

Bracia

Bunsch Karol



calibre 0.7.5

KAROL BUNSCH

*

BRACIA

*

WYDANIE PIERWSZE

WYDAWNICTWO LITERACKIE

KRAKÓW

Pamięci Kolegów poległych pod Jastkowem

Wieść o śmierci wielkiego Bolesława wichrem leciała po kraju i daleko poza granice. Prosty naród płakał jak po ojcu; surowym, czasem srogim, ale sprawiedliwość znalazł u niego każdy przeciw każdemu, a bezbronny mógł spać pod swą strzechą spokojny, że mu jej wraz ręce nad głową nie zapalą. Od lat już nikt nie widział nieprzyjaciela w granicach kraju. Teraz skończyła się beztroska, z zalem mieszał się niepokój, a nawet trwoga. Wraz z wieścią o śmierci króla rozchodziła się ponura przepowiednia, którą w przed śmiertnym majaczeniu rzucił zmarły władca.

Gdy zwłoki jego spoczęły obok ojca w poznańskiej katedrze i rozplynęły się tłumy, które z całego kraju ściągnęły na żałobne uroczystości, metropolita gnieźnieński Hipolit ogłosił zgromadzonym w kościele dostojnikom ostatnią wolę zmarłego: pełnię władzy przekazał starszemu synowi po Emnildzie — Mieszkowi.

Dla nikogo nie było to zaskoczeniem. Pierworodny — po Węgierce — Bezprym od ćwierci wieku już przebywał jako mnich u świątobliwego Romualda w klasztorze w Camaldolil, w dalekiej Italii. Nieco zdziwienia wywołało całkowite pominięcie w dziedziczeniu młodszego syna Emnildy — Ottona, ale starzy, którzy pamiętali nieszczęsne skutki podziału kraju przez wielkiego Mieszka, spodziewali się tego. Choć Otto dawno już doszedł do lat sprawnych, w chwili śmierci ojca liczył ich dwadzieścia pięć, Chrobry trzymał go z dala od spraw państwowych, pozwalając czas trawić na biesiadach i łowach. Nawet małżonki mu nie zaswatał, zapewne w obawie, że niewiasta podjudzać go może, by sięgnął po władzę dla swego potomstwa. Natomiast starszym od brata o blisko dziesięć lat Mieszkiem z dawna zwykł się wyręczać, zarówno w sprawach państwowych, jak i wojennych, toteż doświadczenia Mieszkowi nie brakło. Może dlatego właśnie, nie tylko z żalu za ojcem, chmurny był. Korzystając z obecności w Poznaniu najwyższych dostojników kościelnych i świeckich; zwołał naradę w świetli starym dworcu na Tuńkim Ostrowiu; przed zamierzonym objazdem kraju, by po raz pierwszy we własnym imieniu sadzić i rządzić.

Mieszko zdawał sobie sprawę, że zbudowane przez ojca olbrzymie państwo, od Łaby i Sali po Duhanj nie zrosło się jeszcze w jednolitą całość. Rozumiał, że spoiwem, ma być chrześcijaństwo, od gnieźnieńskiego zjazdu ujęte w ramy własnej organizacji kościelnej. Chrobry uzyskał nawet zezwolenie na misję w sąsiednich krajach pogańskich i w tym celu założył drugą metropolię z tymczasową siedzibą w Sandomierzu, którą w przyszłości zamierzał przenieść do Płocka, gdzie rozpoczął budowę grodu. Jednak po śmierci Brunona z Kwerfurtu misja upadła, a metropolita Stefan Toporczyk nie tylko sufraganów, ale nawet prostego duchowieństwa nie mógł się doczekać. On też pierwszy poprosił o głos i zaczął:

— W Bogu spoczywający rodzic wasz, miłościwy panie, nie dokończone ostawił najważniejsze ze swych dzieł! Na was ciąży zaszczytna powinność szczęśliwie rozpoczętą budowę niezależnego polskiego Kościoła do pomyślnego doprowadzić końca z korzyścią nie jeno dla zbawienia dusz, ale i doczesną. Świątynie bowiem to nie jeno domy Boże, miejsca zgromadzeń, biblioteki i skarbcce, a

obronne nie w ostatku, duchowieństwo - także troskę ma nie jeno i o dusze, ale w rządach pomaga. Tak wielkim bowiem państwem, jakie przesławny rodzic wasz ostawił, nijak władać bez znajomości pisma, obcych krajów i języków, nijak bez kapłanów wytepić pogaństwo i kres położyć roszczeniom magdeburgskich arcybiskupów do misji w naszym kraju.

Mieszko nie przerywał mówiacemu, jakkolwiek; słuchał z pewnym zniecierpliwieniem, gdy jednak Stefan skończył, a z kolei o głos poprosił gnieźnieński Hipolit, niewątpliwie również w sprawach kościelnych, księżę powiedział:

— Wybaczcie, wasza; dostojność, świadom jestem ważności spraw kościelnych, ale nie jeno moja o nie troska, tedy od was czekam, że je uładzić pomożecie. Najpilniejsze zda mi się ustanowienie biskupstwa w Kruszwicy, które by podjęło duszpasterstwo także na Pomorzu i Mazowszu, póki w Płocku osobnego biskupstwa dla niego nie masz. Waszą rzeczą o kapłanów zadbać. Nadań i zasobów nie będę szczędził na ich, uposażenie, księgi, sprzęt czy budowę świątyń.

— Dzięki wam, miłościwy panie — podjął, arcybiskup Stefan — ale nie w tym jeno czekamy waszego, wsparcia. Niedawno zmarły krewniak wasz, Sobiesław, który, rządcą był Mazowsza, nie zwał tępić tam pogaństwa, rzekomo przeto, że dziad wasz przyrzekł przymusem prawdziwej wiary nie krzewić.

— Iście tak! — wtrącił sędziwy Derśław Bróg. — Ale bezpiecznie możecie tam apostołować, bo nijakiej nienawiści nie masz do kapłanów, którzy nową wiarę głoszą nido tych, co z dobrej woli chrzest przyjęli; nawet u Prusów, których zmarły pan podbił po Ossę i Drwęcę, czy u zhołdowanej Jaćwierzy. Mniemam przeto, miłościwy panie — zwrócił się do Mieszka — że nowemu rządcy Mazowsza także zlecicie, by słowu waszego dziada ujmy nie uczynił.

— Komuż było dane słowo?! — szorstko przerwali krakowski Gompo — Poganom? Większa ujma dziadowi miłościwego pana słowo takowe zdzierżyć, niżli je złamać, poganin bowiem a zwierz to jedno. Zasię pierwsza powinność krześcijańskiego władcy wiarę prawdziwą krzewić, choćby i mieczem.

Zwracając się do księcia ciągnął:

— Jeśli tego poniechacie, to Magdeburgowi woda na młyn, by się o zwierzchnictwo nad nami upominać, gdy nie jeno u postronnych pogan misji zaniedbujecie, ale i we własnym kraju.

Derśław widocznie zbierał się do gwałtownej odpowiedzi, bo pomarszczona jego twarz nabiegła krwią. Księżę jednak, nie chcąc dopuścić zadzierki między świeckimi a duchownymi dostojnikami, skinieniem ręki dał mu znać, że sam odpowie i zaczął:

— Nie brak pogan nie jeno na Mazowszu. Pomorze zgoła do bałwochwalstwa wróciło, nalazłby ich i tu, gdzie krzest przyjęto na rozkaz mego dziada, alić nie bez oporu. Gdy nie stać na wszystko, tam raniej chwast plenić, gdzie ziarno już posiane, nie na łąkach lubo na ugorze. Jako rzekłem, wszelkiej pomocy w tym udzielę, a gdy czas będzie sposobny i o misje zadbam. Roszczeniom zasię Magdeburga i nie jeno Magdeburga najłaciej tamę położy koronacja i nad tym nam się naradzić.

— Zda się, że nad tym i uradzać nie trzeba — wtrącił Wojciech Zabawa. — Był rodzic wasz koronowanym królem, wam włość wraz z koroną ostawił. Tedy jeno zrok koronacji wyznaczyć.

— Nad tym uradzać nie pora — odparł arcybiskup Hipolit. Wedle ordo romanus koronacja radosnym jest obrzędem, nijak ją pogodzić z żałobą, jaką po śmierci w Bogu spoczywającego króla zarządziliśmy, tedy nie wcześniej niż za rok i sześć niedziel. Wždy i on niemal do schyłku swych dni czekał z dopełnieniem kościelnego obrzędu.

— Iście czekał — odparł Mieszko — bo nie chciał o to wojny z Henrykiem, Pora była sposobna, gdy Henryk zmarł, a Konrad jeszcze się na niemieckim tronie nie umocnił. I mnie na to nie czekać, bo nie jeno z Niemcem zmagać się przydzi. Rodzic mi z państwem i wrogów ostawił.

— Zgoła nie wiada, zali się Konrad na tronie utrzyma — odparł Hipolit. — Wždy wasz cieść, miłościwy panie, do koronacji w Akwizgranie nie dopuścił. Ani chybi o koronie dla któregoś z synów swych zamyśla. A nie brak Konradowi i w Italii przeciwników i jak słyhać tam pociągnął.

— Nie byłoby źle, miłościwy panie — wtrącił Jaksza Gryfita z Brzeźnicy — gdyby szurzym wasz królem niemieckim ostał. Zdałoby się ręki do tego przyłożyć.

— Bogdaj nam indziej rąk starczyło — niechętnie odparł Mieszko. — Więcej jest takich, co by radzi na niemieckim tronie zasiedli, choćby przyrodni Konrada, Gebhard. Słyhać, że z klasztoru w Wlirzburgu zbiegł i takż popleczników nalazł. Gdy o właść idzie, nie masz krewniaków ni swojaków.

— Jeno że zbiegłego mnicha Kościół nie uzna — wtrącił Gompo, ale ksiązę odparł z goryczą:

— Niech jeno właść posięgnie, zwolni go od ślubów, tyle że nie darmo.

Mieszko mówił o Gebhardzie, myślał jednak o Bezprymie. Pewny był, że gdy tylko dojdzie go wieść o śmierci ojca, i on z klasztoru zbiegnie, a poparcie swych roszczeń znajdzie nie tylko u węgierskiego krewniaka Stefana, ale co gorsze i w kraju, gdzie od pokoleń już zwykło się w pierworodnym synu władcy widzieć prawowitego następcę. Nie wątpił też, iż ktokolwiek by zasiadł na niemieckim tronie, nigdy się z niezależnością Polski nie pogodzi, choćby to był brat Ryczezy. Tym bardziej że zawarte na rozkaz ojca małżeństwo z nią nie było niczym więcej jak obowiązkiem, a od powrotu Mieszka z czeskiej niewoli pozostał z niego tylko pozór. Starsza od męża, wykształcona, surowa i oschła Ryczeza niczyjej miłości nie starała się pozyskać, nawet własnych córek. Jedynie syna Kazimierza zdała się darzyć uczuciem i to tylko małżonkowie mieli wspólnego. Znając jednak dumę i żądzę władzy Ryczezy, Mieszko podejrzewał, iż przyczyną tego wyróżnienia jest; nadzieja, że kiedyś; przez, niego będzie rządziła Polską jak ongiś babka jej Adelajda, rządziła Niemcami. Ale Ryczeza nie cieszy się mirem w kraju, a pobożny, łagodny i słabowity Kazimierz, nawet gdyby, się od jej wpływa uwolnił, nie udźwignie ciężkiego dziedzictwa. Sam Mieszko, z urody i usposobienia podobniejszy do Emnildy niż do ojca, z niechęcią myślał o stosowaniu przymusu wobec własnego narodu, a zwłaszcza okrutnych kar, jakimi Chrobry obłożył łamiących przykazania. A przy tym zagrożone zewsząd państwo za wszelką cenę potrzebuje przynajmniej wewnętrznego spokoju. By uniknąć nagabywań ze strony duchowieństwa, ksiązę zwrócił się do Hipolita mówiąc:

— Skoro wasza dostojność uważa, że nad koronacją uradzać nie pora, tedy nad sprawami Kościoła sami uradzajcie. Ja na Mazowsze ruszam, na miejscu się rozpatrzyć, kogo rządcą ustanowić, a sposobność będzie z czerskim archidiakonem omówić, co dla szerzenia prawdziwej wiary uczynić można, spokoju nie zakłócając.

Krakowski Gompo zamierzał zabrać głos, ksiązę jednak wstał i zwrócił się do wyjścia, a wraz z nim świeccy dostojnicy. Do palatyna Michała Awdańca powiedział:

— Ninie jadę na Lednicki Ostrów, mam i swoje sprawy do załadzenia. Ty ostań w Poznaniu. Bacz pilnie na wszystko. W razie potrzeby najdziesz mnie tam, gdzie będę.

W drodze Mieszko wysforował się przed swój szczupły Orszak, a odsadziwszy się spory kawał, przeszedł w stępa i jechał zamyślony. Śmierć ojca obarczyła go nie tylko brzemieniem spraw państwowych. Rodzinne też nie były pomyślne ni proste. Wdowa po zmarłym, Oda, odwzajemniała niechęć Mieszka, jakiej nie potrafił ukrywać wobec tej, która zajęła miejsce jego zmarłej matki, a dumnej córce potężnego Ezzona i cesarskiej krewniaczce Ryczezie nieraz dała odczuć pierwszeństwo swego stanowiska na dworze. Teraz położenie się odwróciło, Oda wiedziała, że po raz ostatni na pogrzebie małżonka przypadło jej pierwsze miejsce w orszaku. Wprost z katedry, nie mówiąc z nikim, wyjechała na Ostrów zabierając ze sobą córeczkę Matyldę.

Widocznie nie zamierzała czekać, by z kolei Ryczeza dała jej odczuć, że teraz ona jest małżonką

władcy.

Mieszko chciał wiedzieć, co pocnie Oda ze względu na młodszą od jego własnych córek przyrodnią siostrzyczkę, której niemal nie znał. Wiedział jednak, że ulubienicą była starzejącego się króla, matka natomiast odnosiła się do niej obojętnie, widno za złe jej mając, że urodziła się dziewczynką. Ojciec prosił Mieszka, by zatroszczył się o los sieroty, niezbyt ufając, by Oda chciała i mogła to uczynić.

Mieszko, ocknął się z zamyślenia, gdy przed nim załśnił jaśniejszy odbiciem pogodnego nieba pas wody Lednickiego Jeziora. Słońce rumieniło się już na zachodzie, błękit wschodniego nieba pogłębiał się, dzień miał się ku schyłkowi. Mieszko popędził konia i za chwilę stanął u przewozu. Nadbiegłym przewoźnikom polecił nie przeprować na Ostrów orszaku, gdy dociągnie, przed nocą bowiem zamierzał ruszyć dalej. Sam przeprowił się, a do zaskoczonego pojawieniem się księcia zarządcy pałacu powiedział:

— Nie zabawię długo, jeno się rozmówię z królową, wyjeżdżam.

— Jest w babińcu na wyzce— odparł zarządca. — Też widno sposobi się do wyjazdu.

— Zajdź do miłościwej pani i rzeknij, że mówić z nią chciałem.

Czekał w świetlicy, niecierpliwie chodząc dokoła. Spieszno mu było do jedyne miejsce, gdzie mógł spodziewać się radosnego przyjęcia. Śmierć ojca pozwoli mu wreszcie samemu porządzić sobą.

Losem przyrodniej siostry czuł się zobowiązany zająć tylko dla pamięci ojca, ale dlatego wiedzieć musiał, co z sobą począc zamierza Oda. Jasne było, że na dworze pozostać nie chce.

Zapadał już zmrok, szklane gomółki w oknach poszarzały i zniecierpliwiony Mieszko sam skierował się na wyzkę. U wejścia spotkał wysłanego, od którego dowiedział się, że królowa bawi w kaplicy na nabożeństwie. Polecił przynieść światła i usiadłszy za stołem czekał na jej powrót.

Zdało mu się, że w komnacie nie ma nikogo, gdy doszedł go jakiś odgłos, jakby tłumiony szloch. Rozejrzał się i spostrzegł na ławie pod oknem skuloną drobną postać ledwo widoczną w półmroku. Dziewczynka siedziała z twarzą ukrytą w dłoniach, widocznie hamując płacz. Nie miał wątpliwości, że jest to Matyllda. Nie wiedział, czy płacze z żalu za ojcem, czy zmęczona jest trwającymi od rana uroczystościami pogrzebowymi, a może i głodna. Ogarnął go gniew na Odę a zarazem współczucie dla dziewczynki, o którą widocznie matka niezbyt się troszczy. Podeszedłszy do niej począł gładzić ją po jasnych włosach. Zamiast się jednak uspokoić, rozsłochała się jeszcze bardziej. Zmieszany wziął ją na kolana; wtuliła twarz w jego ramię i trzęsła się od łkań.

W tej chwili zjawił się pacholek z płonąącym świecznikiem, a jednocześnie w sieni wiodącej do kaplicy rozległy się kroki i do komnaty weszła Oda w towarzystwie zamkowego kapłana i dworek. Mieszko na jej widok wstał, sadzając dziewczynkę na ławie. Oda nie okazując zdziwienia skinieniem ręki odprawiła asystę, a gdy zostali sami, rzekła:

— Widzę, iżście sobie przypomnieli, że to siostra wasza, choć jeno przyrodnia.

Jakby nie zauważył uszczypliwości, odparł:

— Rodzic mi zlecił zadbać o jej los. Przeto tu jestem, bo przystało i macierzy zapytać, co począc zamierza.

— Z sobą, czy z dzieckiem? Niepotrzebnam nikomu, ninie, gdy zmarł małżonek mój, muszę miejsca ustąpić Rychezie. Tedy wracam do Naumburga, do brata.

— Jak wola wasza — rzekł Mieszko — ale pytam o Matylldę.

— Ja w zakonie chcę dokończyć żywota, zadość mi małżeńskiego stanu — odparła. — W Naumburgu pieczę nad nią może objąć Regelinda. Wždy i ona jej siostra. Skoro wam małżonek mój troskę o dziecko zawierzył, sami postanówcie.

Mieszko wahał się; oddanie dziewczynki siostrze zameźnej za bratem Ody zwolniłoby go od troski o nią, gdy innych trosk nie brakło. Obojętność jednak, z jaką do własnego dziecka odnosiła się Oda, przez jakieś przeciwieństwo budziła w nim poczucie, że winien ojca zastąpić sierocie. Spojrzał na dziewczynka, która widocznie zdawała sobie sprawę, że ma się rozstrzygnąć jej los, bo z niepokojem patrzyła na rozmawiających. Żal mu się uczyniło bezbronnego dziecka i powiedział:

— Macierz twoja w klasztorze chce należeć schronienie. Rzeknij, z nami chcesz ostać lubo do krewniaków jechać do Naumburga?

Jednocześnie wiedział, że tym pytaniem przesądził sprawę. Dziewczynka zamiast odpowiedzieć, przytuliła się do niego. Oda nie całkiem pewnym głosem rzekła:

— Radam, że brata w was odnalazła. Mniemam, iż jej ukrzywdzić nie zwolicie. I mnie takż. Małżonek mój nie zadbał o oprawę dla mnie.

— Kiedy wyjechać chcecie? — zapytał Mieszko.

— Czekać nie mam na co — odparła.

— Tedy zlecę skarbnikowi, by wam wydał, co wdowie po królu przystoi.

Noc już zapadła, gdy ksiązę przeprowił się z powrotem na zachodni brzeg jeziora i wraz z oczekującym go orszakim skierował się ku północy. Przed wzejściem księżyca gwiazdy słabo oświetlały rzadko uczęszczaną nadbrzeżną drożynę, która teraz skręciła na zachód, by ominąć głęboko wchodzącą w ład odnogę jeziora i weszła w las, gubiąc się w ciemności. Mieszko powściągnął rumaka i z kłusa przeszedł w stępa. Ongiś znał tu każdy krzew, każdą gałąź zaczącą w ciemności, każdy korzeń naziemny, o który koń się potykał. Przy głuchym, jednostajnym tupocie kopyt na miękkim podłożu nachodziły go wspomnienia. Lata minęły, gdy na rozkaz ojca porzucić musiał umiłowaną pierwszą miłością niewiastę wraz z synkiem, by pojąc Ryczezę.

Ojcu potrzebny był związek z potężnym palatynem reńskim; Ezzonem, by wpływ mieć na sprawy niemieckie, zresztą Mieszko przywiązał się do dzieci zrodzonych, z Ryczezy, a zwłaszcza do słabowitego i łagodnego synka. W rzadkich okresach, gdy przebywał w domu, nie odczuwał wewnętrznego osamotnienia, póki żyła matka. Zawsze czekała na niego, znała i troszczyła się o jego potrzeby. Ale gdy zmarła, powiało chłodem. Ojciec pojął czwartą już małżonkę, córę swego ongiś przyjaciela, miśnieńskiego margrafa Ekkeharda, by utrzymać przyjaźń z jego synem, a swym zięciem Hermanem. Dwór przestał dla Mieszka być domem, z Odą jeszcze przybyło na nim Niemców. Choć język niemiecki Mieszko znał równie dobrze jak własny, drażniło go, że Ryczeza nigdy z dziećmi nie mówiła po polsku. Poza nimi nic już nie mieli wspólnego i Mieszko zaczynał burzyć się wewnątrz przeciw narzuconemu związkowi. Wiedział, że ojciec wbrew woli dziada wygnał węgierską małżonkę, choć miał z nią syna, a pojął sercem wybraną Emnildę. On nie potrafił się ojcu sprzeciwić. Ale teraz wolny jest.

Z zadumy wy rwało go niezbyt odległe szczekanie psów. Las zrzedł, pojaśniało i wkrótce otwarła się przed jadącymi polana, pośrodku której w świetle zorzy wschodzącego księżyca widniały zabudowania obszernego dworca. Ktoś w nim czuwał widocznie lub obudziło go ujadanie psów, bo w jednym skrzydle błony w okienkach cedziły różowy poblask światła.

Przybyli na podjeździe zsiadli z koni, trzymając je przy pyskach, bo niepokoiły je doskakujące psy. Ujadanie ich zwabiło kogoś, drzwi do sieni otwarły się i rozległ się głos:

— Do budy, zgraja!

Gdy psi harmider ucichł, zapytał:

— Kogo bogi przynoszą?

Mieszko, zamiast odpowiedzieć, rzucił wodze pachołkowi i ruszył ku wejściu.

— Nie poznajesz mnie, Stańko? — powiedział. — Dobroszka doma?

Stary aż zaniemówił z zaskoczenia, ale Mieszko odpowiedzi nie potrzebował, bo w tej chwili z sieni wyszła niewiasta i rzekła:

— Wejdźcie, miłościwy panie.

W głosie jej nie było zdziwienia, jakby przybycie Mieszka było czymś zwyczajnym lub oczekiwanym. Wskazując na jego towarzyszy, rzekła do Stańki:

— Przykaż dziewczkom wieczrę im podać w świetlicy i legowiska przysposobić. Księżę u mnie wieczerzać będzie:

— Pozwólcie, panie!

Przez mroczną sień powiodła, Mieszka w głąb domu. W obszernej komorze od płonącego kaganka zapaliła woskowe świece w glinianym świeczniku, postawiła na stole i milcząc wskazała Mieszkowi miejsce na wyścielanej ławie. Usiadł również milcząc. Po raz ostatni był tu przed siedmiu laty na postrzyżynach syna. Nie wiedział, czy Dobroszka czeka na wyjaśnienie, dlaczego nie bywał tak długo lub po co dziś przyjechał. Patrzył na dawną miłośnicę i dziwił się, że już tyle upłynęło lat od czasu, gdy wracając z łowów nocą jak dziś, wstąpił tu po raz pierwszy. Przy migotliwym świetle świec zdało mu się, że czas nie pozostawił na niej śladów. Rosła i smukła, prosta jak trzcina z kruczoczarnym włosom, zdać się mogła młodą dziewczyną, ohoć jak on schodziła już z południa swych lat. Niełatwo było nawiązać do tego, co minęło. By coś rzec, zapytał:

— Bolko gdzie?

— Pojechał na pogrzeb waszego rodzica.

Zrozumiał, dlaczego nie powiedziała „dziada”. Zarumienił się i zapytał poruszony:

— Czemuż się u mnie nie zjawił?

— Bo nie przy was jego miejsce — odparła spokojnie. W głosie jej nie było wyrzutu ni żalu. Jakby jednak usprawiedliwiając się Mieszko powiedział:

— Ninie tam będzie wasze miejsce, gdzie moja wola. Kładąc nieśmiało rękę na dłoni Mieszka zapytała:

— Zali nam tu źle bywało z sobą? Czymże ja będę na dworze? Tu jeśm u siebie, lżej na was czekać... choćby siedem godów — dodała. — A Bolko?!

— Moim synem! — odparł popędliwie. Milczała przez chwilę, jakby rozważając.

— Chcecie go uznać — rzekła. — Rychło wiek sprawny posięgnie i tak by doma nie siedział. Jeno czyście to przemyśleli? Wždy macie już syna po cesarskiej krewniacze. Słyszę, że w piśmie kształcony, a mój — nasz — poprawiła — w boru się chował, między zwierzem, a takimi jak on sam: do bitki i do łowów, nie na dwór. Nie będzie on tamtemu bratem ni tamten jemu. Wždy wiecie, że nawet jednej matki syny wrogami bywają. Właści niktó dzielić nierad, choć szczęśliwości nie daje nikomu. Zali i nam nie lepiej byłoby, żeby nie to, iżeście królewskim synem? Po cóż Bolko ma nim ostać?

— Rozwazałem i postanowiłem — powiedział Mieszko chmurnie. — Potrzebny mi jaki jest; do łowów i do bitki. Tamten nierychło żrały będzie, słabowity i nabożny, zdały do duchownego stanu. Postrzyc go niecham, przydzie czas, metropolitą ostanie, nie będą współzawodniczyć o właść. A ty jako chcesz. Ostań, jeśli ci tak lepiej. Ilekroć czas pozwoli, przyjadę. Jak za młodych lat, pomnisz?

— Choćbym chciała zabyć, nie wydolę — szepnęła.

Wstająca z bagien i jezior okalających Wzgórze Lecha mgła gęstniała tak, że zakryła przed oczyma zalegających stoki gromad zarisy gnieźnieńskiej katedry. Majaczyły nad nią tylko szczyty wież i jak błędny ogień przeświecał przez otwartą na ścieżaj bramę blask rześciście oświetlonego wnętrza kościoła.

Arcybiskup Hipolit w asyście sandomierskiego Stefana, krakowskiego Gompona, wrocławskiego

Klemensa, poznańskiego Paulina i liczne goście czekał na przybycie książęcego orszaku. Na ołtarzu, na tle purpury koronacyjnego płaszcza, lśniły w blasku świec klejnoty koronne Chrobrego.

Sędziwy Hipolit zadumał się smutno. Przywiązał się do nowej ojczyzny, przyswoił sobie język, znał i rozumiał warunki, w jakich nowemu władcy przyszło objąć spuściznę po wielkim ojcu. Bolesław stworzył potęgę zdolną oprzeć się cesarstwu, umiał w ryzach utrzymać wewnętrzne siły, które jeszcze nie nagięły się do nowego porządku. Przed trzema laty stłumił w zarodku próbę nawrotu do pogaństwa. Arcybiskup jednak najlepiej zdawał sobie sprawę, że daleko jeszcze do tego, by chrześcijaństwo zakorzeniło się w kraju. Wiedział, że byle wstrząs mógł je obalić, a nieliczni, w przeważającej części obcy mnisi, głównie z Korbei i Fuldy, nie znający nawet miejscowego języka, nie nadają się na apostołów.

Spojrzenie arcybiskupa spoczęło na grobie świętego Wojciecha. Obity złotymi blachami, z olbrzymim złotym krzyżem w głowach, zdał się jarzyć własnym światłem. Wśród podwładnego kleru nie widział jego naśladowców, a Mieszko nie może wzorem ojca i dziada siłą wymuszać posłuchu kościelnym przepisom, gdy zewsząd groźby zawisły nad krajem. Hipolit miał w świeżej pamięci niedawną koronację Chrobrego, nieprzeliczone tłumy z zapalem witające orszak koronacyjny burzą okrzyków. Teraz tylko przytłumiony szmer, a potem zbliżający się pomruk zwiastował, że książę wyruszył już z nowego dworca na Panieńskim Wzgórzu. Mimo że po raz pierwszy od dnia śmierci Bolesława, uczta dla pospólstwa, zakończyć miała koronacyjne uroczystości, dymy ognisk płonących na Żuławach i Słomiance, przy których pieczono mięsiva, mieszając się z mgłą, tłumić zdały się radości wesołego z usposobienia, skłonnego do zabaw i pieśni ludu.

Arcybiskup z asystą zbliżył się do wejścia, by powitać parę książęcą, po czym powiodł ją do zakrystii, by zgodnie z ceremoniałem przybrać w białe szaty do namaszczenia. W przyległej od północnej strony kaplicy spoczywały, zwłoki, umiłowanej małżonki Bolesława, Einnildy. Mieszko skierował się do grobu matki i ukląkłszy pogrążył się w zadumie.

Emnildzie, w znacznej mierze, zawdzięczał ojciec, miłość ludu, umiała koić gniew małżonka, hamować jego porywczosć, przy jej boku, w rzadkich chwilach wypoczynku znajdował spokój, tkliwą troskliwość i odprężenie.

Nic z tego nie przyniosła Mieszkowi Ryczeza. W miarę pożycia, miast przywiązania, niechęć wzrastała między małżonkami. Po śmierci ojca, Mieszko zerwał ostatnią nić, jaka ich jeszcze łączyła. Niedawno Ryczeza, uczestniczyć musiała w innej uroczystości, która przekreślała jej rachuby, że kiedyś imieniem syna rządzić będzie, w Polsce. Na rozkaz Mieszka zgolono jego jasną główkę, a ojciec owinąwszy ręce pacholecia zdjętym z ołtarza obrusem oddał je w ręce międzyrzeckiego opata, który włożył na Kazimierza benedyktyński habit i wyprowadził go za klauzurę. Ryczezę bolała nie tylko rozłąka z synem, ale i jej duma i żądza władzy. Nie ma już Kazimierza, jest przeznaczony na mnicha Karol, pozbawiony praw dziedziczenia po ojcu. Należne mu miejsce przy koronacji Mieszka zajmuje bękart po nałożnicy. W głosie Ryczezy brzmiała nienawiść, gdy podszedłszy do klęczącego małżonka syknęła:

— Nie pora na wspominki. Czekają!

Mieszko dźwignął się z tłumionym westchnieniem i razem weszli do kościoła. Gdy Hipolit przystąpił do ołtarza i rozpoczął ofiarę, Mieszko z małżonką usiedli na i podwyższeniu ndprzeciw arcybiskupiego tronu. W kościele nastąpiło poruszenie, gdy poniżej zajęli miejsca członkowie rodziny książęcej, brat Otto, przyrodnia siostra, Matylda, córka Gertruda, Ryczeza oraz syn i po Dobrochnie Bolesław.

Przebywał na dworze, od chwili gdy Kazimierza oddano do klasztoru, a jego obecność na koronacji wyraźnie wskazywała, że Mieszko w nim widzi swego następcę. Dla dostojników z

książęcego otoczenia nie było tajemnicą, że to jest przyczyną najgłębszego rozdzwiewu między małżonkami. Rycheza patrzyła na pasierba z nietajoną nienawiścią, on zaś odpowiadał jej zuchwałym spojrzeniem lub lekceważącym wzruszeniem ramion.

Rycheza wrzała, a złość jej zwracała się przeciw małżonkowi, który zamyślonym wzrokiem błędził po Obecnych lub popadał w zadumę tak głęboką, że księżna trącać go musiała, by wstał, gdy czytano ewangelie, lub ukląkł w czasie podniesienia. Owładnęło go przecucie, iż niedługi żywot ściele się przed nim. Lękał się, że gdyby młodszy o lat cztery od Bolesława, Kazimierz objął, ciężkie dziedzictwo, władzę uchwyci Rycheza, której Syn, potomek niemieckich cesarzy, znajdzie uznanie i poparcie w Niemczech, jakiego nie mógł się spodziewać syn Mieszkowej nałożnicy.

Mieszko i tego był świadomy, ale wiedział też, czego nie wiedziała lub lekceważyła Rycheza, że dla prostego, na pół pogańskiego ludu nie ma różnicy, czy syn pochodzi z pobłogobławionego, przez Kościół związku, czy nie. Jest pierworodnym i wedle słowiańskiego obyczaju on będzie głową rodu. Ale Mieszko pamiętał, że sam nie jest pierworodnym. Pamiętał o tym i zmarły ojciec. Wiele trudu i krwi kosztowało zjednoczenie państwa podzielonego przez wielkiego Mieszka. Nauczony własnym smutnym doświadczeniem, Bolesław całość chciał przekazać starszemu synowi Emnildy, dlatego usunął pierworodnego po Węgierce, Bezpryma. Syn wygnanej małżonki, od dzieciństwa zepchnięty w cień, pozbawiony nawet macierzyńskiej opieki i czułości, rósł w poczuciu krzywdy i nienawiści swą zogniskował na ojcowym ulubieńcu. Mieszko pamiętał, że Bezprym, już jako wyrostek, w czasie walki Bolesława z macochą Odą zdradził jej synowi miejsce pobytu Emnildy i jej dzieci, co mogło pociągnąć nieobliczalne skutki. Emnilda ukryła to przed małżonkiem, lękając się, że w słusznym gniewie gotów rozlać krew własnego syna. Ale zdziczyły jego potomek nie usiłował nawet taić swej nienawiści do Mieszka i ojciec kazał w dalekim klasztorze zgolić jego czarną, kędzierzawą czuprynę opadającą na złe oczy, by tam w zastrzonej regule benedyktyńskiej nauczono go milczenia i posłuchu.

Milczeń Bezprym umiał, jak jednak przewidywał Mieszko, słuchać nie miał zamiaru. Za ledwie doszła go wieść o śmierci ojca, zbiegł z klasztoru i znalazł schronienie u węgierskiego krewniaka Stefana. Tak więc jedyny naturalny sprzymierzeniec Polski stał się teraz jej wrogiem. Mieszko nie wątpił, że Stefan poprze roszczenia Bezpryma do polskiego tronu w zamian za kraje zakarpacie. Ostatnia spokojna granica stała się niepewna, dokonano się okrażenie. Na zachodzie dziedzicznego wroga chwilowo tylko obezwładniają wewnętrzni przeciwnicy, lotaryński Fryderyk i Mieszkowy teść Ezzo. Zerwanie z Rychezą nie usposobi go przychylnie do zięcia. Po wyjeździe Ody nie liczyć też na swojacką życzliwość miśnieńskiego Hermana. Na wschodzie stała kością niezgody z Rusią są Grody Czerwieńskie. Gdy dziad Mieszko walczył na Morawach, zajął je Włodzimierz, po śmierci dziada zająć usiłował Jarosław, gdy Bolesław walczył z macochą, teraz najechał je ponownie, licząc na wewnętrzny zamęt. Tym razem przeliczył się, ale groźba pozostała. Zawisła i na północy, duński krewniak po Świętosławie, Kanut na wieść o śmierci wuja Bolesława zawarł z pośrednictwem hamburskiego arcybiskupa Unwana przymierze z Konradem przeciw Polsce.

Chmurne spojrzenie Mieszka spoczęło na głowie brata Ottona, jakby z zapytaniem, czego może się od niego spodziewać. Nigdy nie byli z sobą zżyci. Otto prowadził na dworze lekki żywot, dotychczas nie zdradził się z chęcią odmiany, ale też nie czekać od niego pomocy czy wyreki. Wbrew obyczajowi ojciec nie wyznaczył mu nawet dzielnicy czy bodaj grodu. Nie chciał widocznie, by Otto zakosztował choć smaku władzy. W gronie najbliższej rodziny, w tłumie dworskich i kościelnych dostojników Mieszko poczuł się ogromnie samotny. Ojciec w pierwszym, trudnym okresie panowania miał pomocników i doradców doświadczonych, obrotnych i pewnych, którym zaufać mógł w każdym położeniu. Nie przeżył go żaden z nich, ani opat Tuni, ani krewniaczy Stoigniew i

Sobiesław. Mieszko zamyślonym spojrzeniem wodził po zebranych, jakby wśród nich szukał takich jak tamci następców. Nie widział ich, niewielu nawet zda się rozumieć położenie. Duchowieństwo od króla wyczekuje pomocy, zawodowe rycerstwo nowych nadań i przywilejów, a prosty naród darmo serc swych nie odda. W jego milczeniu kryje się nieufność.

Mieszko zatopił się w zadumie tak, że Ryczeza znowu trącić go musiała, gdy Hipolit skończył mszę i zwrócił się ku parze książecej, wzrokiem przyzywając ją. Przy nim stanęli dwaj biskupi ująwszy miecz koronacyjny i włócznię św. Maurycego. Do podwyższenia przystąpili palatyn Michał Awdaniec i miecznik Mszczuj Jastrzębiec, by towarzyszyć księciu do ołtarza. Chwila kłopotliwego milczenia skończyła się, gdy Mieszko jak przebudzony ze snu szybko podszedł do arcybiskupa, nie spojrzawszy czy towarzyszy mu Ryczeza. Ruszyła za nim i oboje uklękli, przed Hipolitem, który udzielił im sakramentu ołtarza, po czym wśród przewidzianych porządkiem koronacyjnym modłów, namaścił olejem świętym, a wręczywszy Mieszkowi miecz i włócznię, koronę włożył mu na głowę, okrył go purpurowym płaszczem i na podaną przez trzemeszeńskiego opata Ewangelię odebrał od Mieszka przysięgę koronacyjną.

Mieszko ślubował ochronę wdów, sierot i duchowieństwa, wierność Kościołowi, przestrzeganie praw i obyczajów chrześcijańskich, a jednocześnie myślał o tym, że oznacza to nadal stosowanie przymusu, obciążanie ludu daninami i świadczeniami, gdy wszystkie siły i zasoby niezbędne będą do ochrony zagrożonych zewsząd granic.

Zakończywszy obrzędy koronacyjne arcybiskup ujął Mieszka za rękę i zaprowadził go do stojącego przy wejściu do bocznej kaplicy pozłocistego tronu. Ongiś zasiadał na nim Karol Wielki i na nim spoczęły jego zwłoki w podziemiu akwizgrańskiej katedry. Otto III zakłócił wieczny odpoczynek odnowiciela cesarstwa rzymskiego, wywołując zgorszenie, które przeszło we wzburzenie, gdy zabrany z grobowca tron ofiarował Chrobremu — widomy znak, że w nim upatrzył sobie następcę, gdy, jak zapowiadał, złoży cesarską koronę, by pójść za Chrystusem. Nie bez podstaw nagłą jego śmierć w kwiecie młodości przypisywano truciznie, która położyła kres mrzonkom o państwie pokoju. Kilkunastoletni okres wojen lub przygotowań do nich wypełnił młodość Mieszka. Wiedział, że wypełnią i jego męski wiek. Samotnie przyszło mu dźwigać brzemień nad siły, nie ma i go z kim podzielić, a przede wszystkim nie ma ojca, którego samo imię budziło u wrogów strach.

Mieszko zasiadł na tronie, obok niego miejsce zajęła Ryczeza i przystąpiono do składania hołdu. Pierwsi złożyli go duchowni dostojnicy, po czym odeszli do zakrystii, by zdjąć szaty pontyfikalne. W kościele wszczął się ruch, gdy do tronu zbliżyli się świeccy, starszyzna co możniejszych rodów. Mieszko skinął na Bolka, który przyklękawszy przed nim ucałował podaną mu dłoń i nie rzuciwszy nawet okiem na wyciągniętą ku niemu rękę Ryczezy zszedł z podwyższenia, odprowadzony jej złym spojrzeniem. Nie uszło to uwagi obecnych, jak również wymuszony uśmiech, który rozjaśnił jej surową twarz, gdy z kolei Otto złożywszy hołd bratu ucałował dłoń królowej. Zaczyn rozdwojenia w samym domu królewskim był jawny, starzy, którzy pamiętali wojnę domową po śmierci budowniczego państwa, z troską myśleli, że gdyby Mieszka nie stało; walka o władzę powtórzy się. Ale wówczas do zwycięskiego końca doprowadził ją Chrobry, mając za sobą niemal cały naród. Czego można się spodziewać po wyrostku, który już obecnie wyzywa Ryczezę pogłębiając jeszcze rozdźwięk między małżonkami. Jej łatwiej przyjdzie niż ongiś Mieszkowej Odzie znaleźć poparcie w Niemczech, za które zapłaci krwawo wywalczoną niezależnością.

Zgotowana dla dostojników ucza w wielkiej świetlicy nowego dworca zrazu raczej stypę przypominała. Ryczeza, w swej sztywnej od złota szacie, siedziała milcząca, ostrym spojrzeniem mroząc tu i ówdzie podnoszący się gwar, gdy wino i miód, rozgrzewać zaczęły zwarzony nastrój.

Mieszko cicho rozmawiał z siedzącym po jego lewicy arcybiskupem, z roztargnieniem słuchając o jego troskach, zajęty własnymi.

Nastrój ożywił się nieco, gdy Rycheza nie czekając nawet, by skończono obnosić potrawy, wraz ze swym dworem opuściła biesiadę, a wkrótce po nich wyszło duchowieństwo. Gwar nasilił się, ale ucichł, gdy wstał palatyn Michał i zwrócił się do Mieszka:

— Nie sumujcie się, miłościwy panie, bo od tego nikomu trosk nie ubyło. Przydzie zwykły dzień, pora będzie uradzać, jak je rozgonić. Ninie wasze święto, jakie raz jeno bywa za żywota i jeno niewielu dane. Nawet przesławnej pamięci rodzic wasz dopiero u kresu swego żywota skronie uwieńczył koroną. Tedy radować się nam tym co dzisiaj, bo dzień każdy to jakoby żywot osobny, jednego dnia słońce świeci, wtorego burza lubo ślota. Wiemy, że nielekkie to brzemię, jakie wam rodzic ostawił, ale ostawił także nasze serca i nasze miecze. Wzdyśmy z wami społem przeprawy bronili pod Krosnem, Miśnię oblegali, potem zasię żagiew i miecz ponieśli do Czech, wiecie, że nam ufać można, jako i my wam ufamy.

Mieszko życzliwie spojrział na młodego palatyna. Z rodu był Awdańców, wiernego Piastom od pokoleń, z wojny wyrósł i dla wojny, innego żywota nie pragnie, ale nie rozumie, że krajowi pokój potrzebny, by dzieło przodków utrwalić. Tak myślał i wielki Bolesław w dniach gnieźnieńskiego zjazdu, które nadzieję budziły na pokój w całym chrześcijaństwie, i dlatego Mieszka kształcić kazał w obcych mowach i piśmie. Miast pokoju jednak długotrwałe wojny, które choć zwycięskie, wyczerpały kraj, a teraz burze nadciągają ze wszystkich stron. Mieszko westchnął i odparł:

— I zwycięstw może być za wiele, a nic po nich temu, kto legnie.

— Żywi naród i rody — przerwał palatyn. — Legł dziad mój, trzech synów ostawił, legł rodzic, także trzech nas po nim ostało. I ja niebawem na weselisko was poproszę, gdy nieskoro wojny można się spodziewać. Rusinowi jużemy drogę do dom pokazali i zakładników mamy w rękę, Konrad do Rzymu ruszył po cesarską koronę, a niemiecką cieść wasz dzierży, tedy jest i nie jest Konrad niemieckim królem i doma trosk ma zadość; duński zasię krewniak wasz nie po to z nim przymierze zawierał, by się samemu z nami zwodzić. Słysząc zresztą, że się po norweski tron zbiera, tedy nie do nas mu droga. Jak to u nich się dzieje „więcej wrogów, więcej chwały”, tedy ich sobie szuka po świecie. Nie sumujcie się przeto, miłościwy panie, gdy radować się pora i nie psowajcie sobie, i nam święta. Na pomyślność!

Biesiadnicy poderwali się z miejsc i z kubkami w rękę jęli się cisnąć do króla przypijając do niego z życzeniami. W świetlicy zapanował ożywiony gwar, pacholki nie mogli nadążyć z napełnianiem kielichów. Mieszko pił, ale napitek nie wyparł chmurnych myśli. Mieczom, o których mówił Awdaniec, może zaufać; wprawne i wypróbowane w długoletnich bojach. Ale drużyna to jeno drobna część narodu, dla niej wojna jest źródłem korzyści i wyniesienia ponad resztę ludu, którego serca zgoła nie był pewny. Przypijał do towarzyszy biesiady, a myślą bawił przy gromadach pospólstwa, uczującego pod gołym niebem. Dla nich wojna nie jest źródłem korzyści, nawet pomyślna, a za niepomyślną im pierwszym płacić przychodzi, mieniem i życiem, lub wolnością.

Wiedział, że daleko jeszcze do tego, by prosty człowiek zrozumiał, że najgorszy własny pan lepszy od obcego, że Kościół ład i porządek wnosi. Dobrze pamiętał zapał, z jakim w ojcu witano króla, ale wiedział, że i jemu lud serca nie oddał darmo, a on sam nie będzie miał czym za nie zapłacić.

Niechęć do Niemki, Ody Mieszkowej i jej potomstwa była przyczyną, że Chrobry od początku miał po swej stronie większość narodu. Kazimierz też jest synem Niemki i to było nie ostatnią z przyczyn, dla których Mieszko nie jego postanowił uczynić swym następcą.

Gdy biesiadnicy wrócili na swe miejsca, Mieszko wodził po nich zamyślonym wzrokiem, jakby szukał między nimi takich, którzy pomogą mu znaleźć wyjście z groźnego położenia, jakie stworzyła

przedwczesna śmierć Chrobrego, dając wrogom sposobność do pomszczenia poniesionych klęsk i powetowania strat. Doświadczenie mówiło Mieszkowi, że nie może czekać, aż wrogowie uporają się z własnymi sprawami i porozumią się, by jednocześnie uderzyć. Każdemu z osobna czuł się na siłach sprostać, ale wszystkim naraz nie podoła. Przez chwilę spojrzenie Mieszka zatrzymało się na jedynym z dworzan Rychyzy, który nie wyszedł wraz z nią. Mieszko nie wątpił, że Embricho wzorem Awdańców i Łabędzi zamierza w Polsce ród swój założyć, nauczył się języka, pojął Dobrawę z rodu Wieniawów, która dała mu potomstwo. Może być przydatny w Niemczech, gdzie i Chrobry umiał pozyskać szczerych czy kupionych przyjaciół. Stamtąd grozi największe niebezpieczeństwo i tam naprzód uderzyć należy, póki się Konrad z wewnętrznymi przeciwnikami nie uładzi, a sprzymierzony z nim Kanut upora się z Norwegią. Ale i bez niego północnej granicy nie można zostawić bez osłony przed dokuczliwym sąsiedztwem Prusów i sprzymierzonym z nimi pomorskim pogaństwem. Poskromiona przez Chrobrego Jaćwierz również wykorzystać może sposobność, by zrzucić zależność. Od śmierci Sobiesława, którego sprzężysta i sprawiedliwe rządy zapewniały ład wewnątrz i spokój od sąsiadów, nie było na Mazowszu człowieka, który by zdołał go zastąpić.

Zamyślane spojrzenie Mieszka spoczęło na Mojsławie. Chrobry, który znał się na ludziach, wyróżniał go już jako młodzika, dla jego męstwa i obrotności. Szybko postępował w dostojnościach zarówno wojskowych, jak ostatnio dworskich. Z mazowieckiego rodu Doliwów, niezbyt możnego, i ale spowinowaconego z potężnymi Pałukami i Leszczycami, bez wątpienia zamierza im dorównać lub nawet przewyższyć. W godności cześnika łatwo go będzie zastąpić, natomiast Mieszko nie widział zdatniejszego następcy zmarłego rządcy Mazowsza.

Powziął postanowienie, z wykonaniem jednak wolał zaczekać. Mojsław może być jeszcze gdzie indziej potrzebny, na ucztie rozważać nad tym nie pora. Wesołość biesiadników przechodziła w rozpasanie, które raziło króla. Nie chciał jednak psuć zabawy towarzyszom, dawno nie ucztowali i nieprędko znowu ucztować będą. Wstał na znak, że chce do nich przemówić, a gdy gwar przycichł, zaczął:

— Bądźcie sobie radzi, jako ja rad wam jestem. Palatyn Michał prawie rzekł, iż dzień kaźden sobie, tedy uczujcie choćby do nowego, ja zasię ninie was pożegnam, bo jako za ojców bywało, i z prostym ludem chlebem się przełamać i przypić przystoi, za życzliwość podziękować, jako i wam pięknie dziękuję. Ostajcie z Bogiem. Skiął na szatnego Chocimira i żegnany okrzykami wyszedł kierując się do komnat od zachodniej strony dworca, gdzie gwar uczyty ledwo dochodził. Zrzucił płaszcz koronacyjny podbity gronostajami, zdjął koronę i otarł spocone czoło. Przez chwilę siedział w milczeniu, najchętniej pozostałby sam. Znużony się czuł, ale wiedział, że dla niego nie ma wypoczynku. Zwrócił się do Chocimira mówiąc:

— Podaj mi jakę i zawołaj komornika, który tam jest pod ręką.

Zdjął sięgającą do kostek szatę haftowaną złotem i perłami, włożył krótki kaftan z ciemnego sukna, bez żadnych ozdób, a gdy zjawił się szatny w towarzystwie komornika, Mieszko wskazując na koronę i szaty koronacyjne powiedział:

— Odnieś to skarbnikowi.

Zwracając się zaś do komornika zapytał:

— Gdzie królowa?

Komornik patrzył, jakby nie rozumiał pytania. Dotychczas królową nazywano Odę, a wiadomo było, że wyjechała, Mieszko domyślił się, co w błąd wprowadza komornika i dodał z pewnym zniecierpliwieniem: — Małżonka moja.

— Iście tak — powiedział zmieszany komornik. — Miłaściwa pani tylko co wraz ze swym dworem wyjechała do Poznania.

— A królewic?

— Wždy z wami biesiadował — odparł komornik zdziwiony sądząc, że Mieszko pyta o brata.

— Nie o to pytam, co wiem — już gniewnie powiedział Mieszko. — O królewica Bolka!

— Poszedł. Zda mi się na Żuławy.

Mieszko zmarszczył się. Zamierzał wraz z Bolkiem obejść ucztujący lud, by i on przywykł widzieć w nim królewskiego syna i następcę. Ten syn stał się jedną troską więcej, a co gorsze, Mieszko sam czuł się winien, że wyrostek, który wkrótce mężem już będzie, zuchwały jest, niekarny i ani nie chce, ani nie umie dostosować się do swego nowego stanowiska. Nie mógł Mieszko jednak zaprzeczyć przed sobą, że nie wziął Bolka wcześniej na dwór, by nie doprowadzić do zerwania z Rycheza, a przez to utraty w jej ojcu sprzymierzeńca w Niemczech. Teraz nie tylko utraci sprzymierzeńca, ale napyta wroga. Rycheza nie daruje, że jej syna Mieszko oddał do klasztoru, a nieprawego wyznaczył swym następcą. Co gorsze nieprzezorny młokos wyzywającym wobec niej zachowaniem naraża się na niebezpieczeństwo. Znając jej pychę Mieszko lękał się, iż zechce ona pozbyć się znenawidzonego pasierba.

Ta myśl przejęła go nagłym niepokojem. Nie ma lepszej sposobności pozbycia się niepożądanego współzawodnika niż w podpitym tłumie pod pozorem pijackiej bójki. Wprawdzie Bolko nie jest ułomkiem, nie chowany pod matczyną zapaską, ale w lesie, a strażę miały pilnować spokoju wśród biesiadujących. Same jednak niewątpliwie zagląдают do kubków, a niewiele czasu potrzeba, by ubić jednego człeka, zanim bójkę zdołają zauważyć lub jej zapobiec.

Mgła podeszła w górę, dzień uczynił się chmurny, zbierało się na deszcze. W dolinie nad świętym Jeziorem snuły się jeszcze dymy w stojącym powietrzu, ale ogniska już gasły. Biesiada miała się ku końcowi, tłumy przy zbitych z tarcic stołach rzedły, mniejsze gromadki odpływały już, jedno do grobli nad Jelonkiem, inne drogą na przesmyk między jeziorami Winiarskim i Bielidłem.

Pachołkowie ze służby zbierali statki, wszędzie panował gwar i zamęt.

Mieszko nie myślał już o tym, by podzielić się chlebem z pospółstwem. Chciał jeno pokazać się z Bolkiem, ale darmo wypatrywał go w tłumie. Napotkany dziesiątnik straży na zapytanie o Bolka odparł:

— Wždy go nie znam, miłościwy panie.

Mieszko zrozumiał, że z opisu nie dopyta się o syna. Jeśli miał na sobie bogaty strój, w którym brał udział w koronacji, dziesiątnik powinien go zauważyć. Zapytał przeto jeszcze:

— Spokoju nikam nie zakłócono?

— Jak to przy napitku — odparł dziesiątnik. — Poswarzą się, potem zapiją. O nijakiej bitce nie słysząc.

Mieszko uspokoił się nieco, ale gniewny był. Kazał Bolkowi czekać na siebie, a niesforny młokos nie usłuchał. Póki do lat nie dojdzie, należałoby wyznaczyć mu piastuna, który by potrafił wdrożyć go do nowych dla niego warunków i obowiązków.

Mieszko ruszył z powrotem do dworca, tu i ówdzie witany pokrzykiwaniem, ale nie zatrzymał się. Zamierzał jechać wraz z synem do osady na Lednickie Jezioro, by tam spędzić noc i niecierpliwilo go, że czekać mu przychodzi na niesfornego wyrostka. Służbowemu komornikowi zlecił wprowadzić Bolka, gdy tylko wróci, a sam usiadł w swej izbie na wyścielanej ławie i głowę oparłszy na dłoni przymknął oczy i czekał, bardziej przygnębiony niż gniewny. Jemu nigdy i na myśl nie przyszło, by nie posłuchać ojcowego rozkazu, nigdy też nie spotkał się z brakiem posłuchu u Kazimierza. Oddał go mnichom, by Bolka uczynić swym następcą. W tym dojrzewającym już synu spodziewał się znaleźć wkrótce nie tylko wyrękę, ale przywiązanego powiernika. Na razie osiągnął rozłam w najbliższej rodzinie. Tęgi nad wiek, zuchwały i bitny Bolko zdał mu się zdolniejszy niż Kazimierz, by

sprostac trudnemu polozeniu, w jakim znalazla sie Polska. Teraz nachodzily Mieszka watpliwosci czy nie za pozno, by znarowionego mlokosa wdroyc do obowiazkow. Co gorsza, nie watpil, ze Rycheza nie daruje Bolkowi uczynionej jej ujmy wobec zgromadzonych najwyzszych dostojnikow kraju.

Na mysl o tym króla znowu ogarnal niepokoj. Dzień miał się ku schyłkowi, zapadał wczesny mrok, biesiadujące tu my rozejść się musiały, a Bolko nie wracał. Mieszko już zamierzał wezwać komornika i zlecić, by straż poszukała Bolka po gospodach i na podgrodziach, gdy w sieni posłyszał głosy, a zaraz potem rozległo się pukanie i nie czekając na przyzwolenie wszedł Bolko. Mimo że w izbie panował półmrok, na pierwszy rzut oka Mieszko poznał, iż młodzik jest podchmielony. Popił zapewne z biesiadnikami, ale uczta dawno się skończyła i winien był wrócić. Samotne włóczenie się o zmroku, gdy i innych podpitych zapewne nie brakło, samo przez się nie było bezpieczne i Mieszko rzucił niecierpliwie:

— Gdzie się wałaszasz! Czekam na ciebie, by społem jechać do twojej macierzy. Ninie późno już.

— Tedy pojedziem jutro, mnie nie pilno. A pilno wam, nie trzeba było czekać.

Mieszko zacisnął zęby, hamując gniew. Nienawykłego do karności, a obecnie podpitego wyrostka nie pora do niej wdrażać. Powiedział tylko:

— Pogadamy, gdy ci chmiel z głowy wywieje. Jenó wiedz, ani przystoi królewicowi samopas się włóczyć, ani bezpiecznie. Z czego się śmiejesz? — zapytał gniewnie, gdy wyrostek parsknął lekceważąco.

— Bo jeszcze nie nawykłem do onego królewica — odparł — i sam o swą bezpieczeńność zadbać wydołę.

Mieszko zrozumiał, że nie dogada się z pijanym. Hamując rozdrażnienie powiedział:

— Ruszaj spać! Po trzeźwemu zrozumiesz, że chełpliwość niejedem żywotem przyplacił. Ani wiesz, przed czym musisz się mieć na baczości.

— Choć i prawda, zem wypił — odparł wyrostek — żebym się nie miał na baczości, tobym tu nie stał.

Gdy Mieszko zaskoczony i zaniepokojony patrzył na niego pytająco, Bolko dodał:

— Nie wierzycie?

— Gadaj co się stało?

— Mnie nic. Jakowychś dwóch się do mnie przypięło przy napitku, a potem obiecali do dziewczek zawieść na Winiary. Alem wraz pomiarkował, że mnie gdziesi na ubocze wiodą nad jezioro, gdzie nijakich dziewczek nie masz. Na siłę próbowali, ale im nie wyszło.

— Co prawisz?! — Mieszko niemal pewny był, że to sprawka Rychezy. Krew uderzyła mu do głowy. Lekkomysłny młodzik nie zdaje sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Małżonkę nijak ukarać, zresztą dowodu nie ma; ale jej siepaczy tak, by nie znalazła następnych. Zapytał podniecony:

— Poznałbyś onych ludzi?

— Nie oglądałem, a mrok już był — odparł Bolko lekceważąco. — Ale chcecie ich poznać, kiąłem obydwu w szuwar nad jeziorem. Niechaj i raki mają swoją biesiadę — zaśmiał się.

— Ruszaj spać! — powiedział Mieszko. Postanowił sprawdzić, czy to, co słyszał, to nie jeno pijackie przechwałki. Gdy Bolko wyszedł, zawołał komornika i rozkazał:

— Śłać ludzi z psami nad Winiarskie, szuwar przeszukać.

— Czego mają szukać? — zapytał komornik, ale Mieszko uciął:

— Najdą co lubo nie najdą, bez zwłoki mi donieść, światła naniecić!

Gdy wyszedł pacholek, który przyniósł świecznik, Mieszko znów chodzić jął dokoła w

zamyśleniu. Bolka należałoby ukarać, bezkarność tylko utrwalić w nim może zuchwalstwo i samowolę. Zarazem jednak obawiał się, że wyrostka nienawykłego nikogo mieć nad sobą zrazi do siebie. Nie jego wina, że od pacholęcia nie czuł męskiej ręki. Za rok już osiągnie wiek sprawny, ostatni czas wdroyć go do posłuchu; jeśli nie za późno. Mieszko w myśli szukał człowieka, któremu by mógł powierzyć to zadanie ani łatwe, ani miłe.

Noc już zapadła, gdy znowu w sieni rozległy się głosy, a potem pukanie i wszedł komornik. Król ocknął się z zamyślenia i zapytał żywo:

— Wrócili?

— Tak. Pytają, co z tym począć.

Mieszko nic nie odrzekł, lecz ujawszy świecznik wyszedł do sieni. Na jego widok strażnicy cofnęli się i ujrzał leżące na podłodze zwłoki dwóch ludzi. Szaty ich ubabrane były mułem, pozlepiany włos ociekał wodą. Młodszy zdał się spokojnie spać z przymkniętymi oczyma, uszkodzeń widać nie było, śmierć musiała go zaskoczyć niespodzianie. Natomiast w półprzymkniętych oczach starszego zastygł wyraz przerażenia, a na szyi jego ziała straszliwa rana, już nie krwawiąca.

Mieszko przez chwilę przyglądał się zwłokom, po czym skinął na strażników i wskazując na nie zapytał:

— Znali który z was onych ludzi?

Milczeli, a gdy po chwili król powtórzył pytanie, stary dziesiętnik odparł:

— Nietutejsi. Na grodzie i podgrodziach znam każdego człeka. Przykażecie jednak, miłościwy panie, za dnia rozpytam przyjezdnych, bo wielu co z dalsza przybyłych ostało na nocleg. Jeny marchy obejrzyć muszą; co ninie z nimi robić, bo iście tu nie ostaną?

— Pogrześć nie mieszkając i nikomu o tym ni słowa — rozkazał Mieszko i odwróciwszy się wszedł do izby.

Pora uczyniła się późna, ale sen go nie brał. Nie było pewności, czy zamach na pasierba był sprawką Ryczezy. W ściągniętych zewsząd gromadach nie brakło zapewne i rzezimieszków, których znęcić mógł bogaty strój pijanego młodzika. Prawdę rzekł, że sam potrafi zadbać o swe bezpieczeństwo, skoro mimo podpicia nie tylko zmiarkował ich zamiary, ale potrafił ich zaskoczyć, tak że nie było nawet śladów oporu z ich strony. Z pewnym podziwem dla tego dzikiego syna mieszało się jednak niemiłe uczucie, jakby odrazy. Sam Mieszko dotychczas żywo miał w pamięci, gdy w walce zabił pierwszego w swym życiu człowieka, a starszy był niż Bolko. Coś się w nim wówczas przełamało, w walce nie ma miejsca na litość, ale widok okrucieństwa zawsze w nim budził to wspomnienie. Ten młodzik, może nawet w słusznej obronie, zabił dwóch ludzi, zapewne też pierwszych w swym krótkim życiu, ale raczej zdał się ubawiony przygodą, lekce ją wając, zarówno jak własne bezpieczeństwo. Z doświadczenia Mieszko wiedział, że czasy są takie, iż trzeba umieć zabijać, by nie być zabitym. Sam uczyć się tego musiał, a nigdy nie polubił. Bolka uczyć nie trzeba, jak drapieżny zwierz umie to z przyrodzenia.

Mimo że znużony, król długo nie mógł usnąć. Nie pozbył się podejrzenia, że zamach był sprawką Ryczezy. Bolko dowiódł, że ma się na bacności i przed gwałtem potrafi obronić, ale są inne sposoby usunięcia niemiłego człeka. Jedno było pewne: gdyby Mieszka nie stało, zacznie się otwarta walka na śmierć i życie. Gdy o tym pomyślał, rad był, że łagodnego Kazimierza schronił do klasztoru. Dla niego bratobójcza walka musiałaby się źle skończyć.

Rozważania o przyszłości ustąpiły jednak bliższej trosce: co począć z niesfornym wyrostkiem, dla którego niczym jest powaga króla i ojca. By jej więcej nie wystawiać na szwank, należy go oddać w twarde ręce, które nie zawahają się sięgnąć do kar. Na myśl przyszedł królowi Przemek Gozdawa, tysięcznik jazdy stojącej załogą we Włocławku. Znał go z wyprawy do Czech, wówczas młodego

setnika stałej drużyny, zbieraniny różnych żywiołów. Umiał wymusić posłuch, a mimo to lubiany był. Bolko wprawdzie lat jeszcze nie ma, ale rosły i tęgi nad wiek, niechaj pod okiem doświadczonego woja wprawia się w wojennym rzemiośle. Do tego niewątpliwie będzie zdalny, gdy nauczy się posłuchu, czas będzie i do rządów go zaprawiać.

Powziąwszy wreszcie postanowienie, Mieszko uspokoił się. Drugie kury już piałły, gdy wreszcie ułożył się na spoczynek.

Mimo że król zabronił nadawania rozgłosu sprawie zabójstwa, nie dało się utrzymać go w tajemnicy i wieść o nim wkrótce dotarła do Rychy. Że na nią padło podejrzenie, świadczyło usunięcie Bolka z dworu do Włocławka i ustanowienie piastunem wojskowego dostojnika, który potrafi mieć się na baczności. Sam zresztą Bolko dowiódł, że nie można go lekceważyć. Mimo iż cierpliwość nie należała do cnót Rychy, postanowiła w nią się uzbroić i czekać sposobności, o tyle łatwiej, że pasierb przebywając we Włocławku przestanie ją drażnić wyzywającym zachowaniem. Z małżonką nie liczyłaby się, nawet jeśli miałby przeciw niej dowody, gdyby nie to, że miała przyczynę, by choć chwilowo nawiązać zerwany niemal stosunek. Do Poznania przybyły bowiem poselstwa, do niej od ojca, do Mieszka zaś od duka lotaryńskiego Fryderyka i jego małżonki Matyldy, córki Herrmana księcia Szwedów. Obydwa miały jeden cel: wciągnięcie Polski do sprzysiężenia przeciw Konradowi, dla którego pozyskano już przyrzeczenie pomocy ze strony francuskiego Roberta. Ezzo bowiem, dzierżąc prawdziwą koronę niemiecką, nie wyzbył się jeszcze nadziei, że zdoła nią ozdobić syna swego Ottona, od córki oczekiwał więc, że potrafi nakłonić małżonkę do współdziałania w tym celu, a i jej dumie pochlebiałoby jego osiągnięcie. Niecierpliwie też czekała na powrót małżonka.

Mieszko jednak, jesień i zimę spędziwszy na północnym wschodzie kraju na sądach, objazdach i przygotowaniach do założenia biskupstwa w Kruszwicy, na przedwiośniu otrzymał wieść, że na granicy z Węgrami gromadzą się wojska Stefana. Ruszył przeto w górę Wisły i zatrzymał się w Krakowie, tutaj ściągając siły do odparcia spodziewanego najazdu. Nie było już bowiem wątpliwości, że Stefan zamierza Bezpryma na polski tron wprowadzić. Na zwołanej naradzie żupanów grodowych zdania były podzielone. Młodzi, tylko ze słyszenia znając wyprawy Chrobrego, na których niejedni dorobił się z łupów i nadań, domagali się,

by nie czekać najazdu, lecz samym na nie przygotowanych uderzyć. Rozważniejsi radzili bronić się w grodach i w tym celu wzmocnić załogi na Morawach i Słowacji, a w polu tylko jazdą nękać oblegających. Król zdania swego nie wypowiedział, zdało się jednak, że przychyła się do obrony w krajach zakarpaccich, polecił bowiem ściągnąć do Krakowa konną drużynę z Włocławka, sam zaś ruszył na objazd grodów strzegących przepraw w dolinach Dunajca i Popradu.

Przemek Gozdawa z jazdą nadciągnął, gdy trawa w dolinach już się zazieleniła. Czas był najwyższy, by powziął postanowienie, a król jeszcze nie wracał. Czekał też na niego w Krakowie poseł Rychy, zarządca jej dworu Romer zwany Starkhar i niecierpliwił się. Królowa nakazywała mu pośpiech, nikt zaś nie umiał powiedzieć, gdzie mógłby szukać króla. Niecierpliwił się też i niepokoił Jędrzej Topór, żupan krakowski, na którego spadło brzemień wyżywienia zgromadzonych wojsk. Na przednówku sięgnąć musiał do zapasów, gromadzonych na wypadek głodu lub oblężenia, z którym wobec zagrażającego najazdu należało się liczyć. By choć w części ulżyć ciężar zaopatrzenia, wyprawił Gozdawę z jazdą za Wisłę na śląską granicę, gdzie przynajmniej o paszę dla koni nie trzeba było się starać, a gdy

sprawa powrotu króla przeciągała się, na własną odpowiedzialność wysłał piesze wojska na wzmocnienie grodów na karpacciej granicy Moraw. Wprawdzie rozproszył je przez to, ale gdyby król istotnie postanowił stawić czoło najazdowi na Morawach bliżej by im było.

Mieszko wrócił niespodzianie nocą, z wiosenną burzą. Zbudzony ze snu wojewoda Jędrzej szedł go powitać i zdać sprawę z wydanych zarządzeń, niezbyt pewny, czy król je pochwali.

Mieszko zrzuciwszy przemokłe szaty posilał się przed spoczynkiem, gdy wszedł komornik z zapytaniem, czy życzy sobie niezwłocznie mówić z komesem. Król skinął przyzwalająco, a gdy ten zjawił się, odsunął naczynia i wskazawszy mu miejsce naprzeciw siebie zapytał:

— Co macie mi rzec?

Komes krótko przedstawił wydane przez siebie zarządzenia. Król słuchał zamyślony, a gdy Jędrzej zakończył pytaniem, czy każe je zmienić, odparł:

— Piesze wojska ostaną, gdzie są, jeno Gozdawie tu wracać polecę.

Jędrzej patrzył na króla zdziwiony, a nawet zaskoczony. Działania wojenne w każdej chwili mogą się rozpocząć, grody zakarpackie nie utrzymają się bez pomocy. Zdobycie Moraw i Słowacji zbyt wiele trudu i krwi kosztowało, by je oddać nie próbując oporu. Król zrozumiał widno zgorszone spojrzenie Jędrzeja, bo dodał:

— Nie o Morawy gra, jeno o Polskę. Jeśli Stefan iście Bezpryma na moim stolcu posadzić zamierzył, nie będzie się dobywaniem grodów na Zakarpaciu zabawiał, bo je od niego darmo dostanie. Krwie szkoda!

— A tanio, jeśli im nie dacie wsparcia — powiedział Jędrzej, hamując wzburzenie. — Nam zasię nietanio przyszły.

— Nie mnie to rzec — powiedział Mieszko znużonym głosem. — Jeno że społem z nimi wrogów nabyliśmy, a zadość ich bez tego. Na wszystkich sił braknie. I pospólnych mamy...

Król urwał i przez chwilę panowało milczenie. Jędrzej z niechęcią myślał, że Mieszko panowanie rozpocznie od marnowania zdobyczy swego ojca. Bolesławowi starczyło sił na dobywanie, Mieszko nie wierzy nawet, że je utrzyma. Jedyne wróg, z którym sam Chrobry zmagać się musiał długie lata, to Niemcy. O nich zapewne myśli król, mówiąc, że na wszystkich sił nie starczy, ale nie wie jeszcze, z czym przybyły poselstwa. Jędrzej podjął:

— O Niemcy, miłościwy panie, mozem się nie troskać. Czeka tu na was poseł królowej z pismami od niej i księżnej Matyldy lotaryńskiej. Konrada zamierzili zegnać z tronu. Słabo na nim siedzi, wrogów ma w swoim kraju...

— Ja takoz — przerwał król chmurnie. — domowej wojny się lękam. Bezprym znalazłby stronników.

Urwał i znowu zaległo milczenie. Jędrzej nie mógł zaprzeczyć, że obawa króla jest słuszna. Po chwili zaczął:

— Cóż się odmieni, jeśli zakarpacki kraj bez oporu na łup wydamy Węgrom?

Mieszko miał odpowiedź, ale nie chciał jej udzielić. Stefan po to wprowadzić chce a tron krewniaka, by od niego w zamian za pomoc otrzymać Słowację i Morawy, Jeśli je otrzyma bez tego, żadna mu korzyść wojna z Polską; wraz z nimi Mieszko podrzuci mu własną kość niezgody z czeskim Oidrychem, Bezprymowi zaś zezwoli na powrót do kraju. Rodzic tyle osiągnął wydalając go, że łatwiej mu u obcych szukać poparcia swych roszczeń. W kraju można go będzie dopilnować, by się z postronnymi nie znosił.

Jędrzej, widząc, że odpowiedzi się nie doczeka, wstał i zapytał:

— Co rozkażecie, miłościwy panie, i co mam rzec posłowi królowej?

— Pisma niechaj mi nie mieszkając doręczy, samego wysłucham po nabożeństwie. Po Gozdawę słać, niechaj wraca.

Komes skinął głową i wyszedł. Mieszko długo jeszcze siedział zadumany, zanim wezwał szatnego i udał się na spoczynek.

Gdy rankiem obudził się, pacholek wraz z polewką przyniósł mu listy Ryczezy i Matyldy. Nie potrzebował czekać na któregoś z duchownych, by mu je odczytał, pismo bowiem nie było mu obce, zarówno jak mowy. Ryczeza pisała po niemiecku, krótko zawiadamiając, że w ważnych sprawach, których nie da się omówić przez posły, obecność Mieszka w Poznaniu jest niezbędna.

Gdyby samo przybycie posłów Ezzona i Fryderyka nie pozwalało królowi domyśleć się, jakie to ważne sprawy ma na myśli Ryczeza, pismo księżnej Matyldy pomogłoby mu odgadnąć. Pisała po łacinie, wielce pochlebnie, zachwalając wykształcenie Mieszka jak i jego działalność dla szerzenia i umocnienia wiary. Od pochlebstw jednak ważniejszy był ustęp, który Mieszko zrozumieć musiał jako przynętę do wzięcia udziału w sprzysiężeniu przeciw Konradowi. Pisała bowiem: „Deus omnipotens, cuius constitutione regali diademati coronatus est, ipse tibi spacium vitae, palmamque yictoriae largiendo, cunctis efficiat hostibus tottiorem” (Bóg wszechmogący, którego zarządzeniem ukoronowany zostałeś królewskim diademem, udzielając ci okresu żywota i palmy zwycięstwa, uczyni cię pilniejszym

od wszystkich nieprzyjaciół).

Czytając król uśmiechnął się gorzko. Oznaczało to, że w razie powodzenia spisku przeciw Konradowi sprzysiężeni uznają ważność koronacji, a tym samym niezależność Polski od cesarstwa. Wiedział zaś, że, jak Chrobry, niezależność zawdzięczać może albo sile własnej, albo słabości Niemiec. Dlatego walka o niemiecką koronę na rękę mu i nie zamierza przyczynić się do jej rozstrzygnięcia. Daleko do tego, by silniejszym być od wszystkich nieprzyjaciół. Z pochlebstw Matyldy jedno tylko odpowiada prawdzie: może Boga chwalić w pięciu językach. Ważniejsze jednak, że dzięki ich znajomości oraz pisma nie jest zależny od swego kanclerza biskupa Gompona, ale także nie rozumiany i osamotniony w środowisku, które zabawianie się księgami uważa za zniewieściałość niegodną męża i wojownika. Lata minęły od czasu walk z Niemcami, coraz ubywa towarzyszy bojów, którzy znali zarówno osobiste męstwo Mieszka jak i biegłość jako wodza. Młodzi, wzorem tamtych, chcieliby w walkach dorabiać się dostojenstw i majątności, za gnuśność będą uważać, że król wojen unika.

Myśl o tym miała gorzki posmak, ale król nie da powodować się wbrew rozsądkowi chciwym przygód i zdobyczy młodzikom, a tym mniej żądy wyniesienia krewniaków Ryczezy. Trzeźwo oceniał położenie, pochlebstwa Matyldy w niczym nie wpłyną na jego postanowienie.

Po rannym nabożeństwie polecił wezwać posłańca i krótko oznajmił mu, że do Poznania zjedzie w swoim czasie, gdy pozwolą na to sprawy, które go trzymają na południu. Jak się okazało, Romer był nie tylko posłańcem dla doręczenia listów, ale rzecznikiem Ryczezy, powiedział bowiem:

— Królowej znane są już powody, które waszą miłość skłoniły przybyć do Krakowa. Mniema jednakowoż, że zlecić możecie zastępstwo któremukolwiek z wojewodów, gdy w Poznaniu pilnie waszej miłości wyczekują posłowie w sprawach, które od waszego jeno zależeć mogą postanowienia. I niechaj mi wolno będzie przypomnieć, miłościwy panie, że przodkowie wasi zawždy starali się mieć w Niemczech przyjaciół i popleczników. A cóż może być dla was większą korzyścią niżli szurzym na cesarskim i niemieckim tronie?! Nawet gdyby nieobecność wasza tutaj mogła być strat przyczyną, powetujecie je z nawiązką.

Mieszka drażnił ten zausznik Ryczezy, który mimo iż od lat kilkunastu jadł polski chleb, nie nauczył się jeszcze mowy. Nie chciał jednak na skutek tego zdradzać, co istotnie zamierza i odparł obojętnie:

— Donieś królowej, co rzekłem, pisma nie będzie. Posłowie, jeśli mogą, niech czekają. Możesz odejść.

Nie odpowiedział na pokłon Romera, odwrócił się i wyszedł do świetlicy. Pożywiwszy się,

poleciał wezwać komesa Jędrzeja i wraz z nim obszedł gród, umocnienia, stajnie, lamusy, spichrze, pomieszczenia i kuchnie załogi, po czym kazał sobie osiodłać konia i z jedynym tylko pachołkiem ruszył do przewozu na Stradom. Przeprawiwszy się za Wisłę puścił się w skok drogą na Tyniec, którą winien nadciągnąć Gozdawa. Zdawał sobie sprawę, że mimo zaleconego mu pośpiechu nie mógł jeszcze nadążyć, ale niecierpliwiło króla czekanie, a pogodny dzień wiosenny zachęcał do jazdy. Pachołka na gorszym koniu zostawił daleko za sobą. Chciał być całkiem sam, a nieczęsto trafiała się po temu sposobność. Od śmierci ojca nie miał ani chwili beztroskiego wypoczynku, wzrastająca z wiekiem nieufność do ludzi nie pozwalała wyřęcać się w załatwianiu nawału spraw i oderwać od nich myśli. Odbierając Dobrochnie syna miał nadzieję, że w nim znajdzie nie tylko następcę, ale wkrótce i zaufanego pomocnika. Wojownikiem będzie niewątpliwie, ale takich nie brak. Nachodziły go wątpliwości, czy będzie tym, czym sam Mieszko był dla ojca. Może Przemek Gozdawa potrafił go uchodzić. Jeżeli za późno, sam Mieszko winien. Trudno o to winić Dobrochnę czy starego Stańkę, że okiełznać nie zdołali rozhukanego młodzika.

Mieszko zadumał się smutno. Nie z własnej woli porzucił umiłowaną niewiastę wraz z synkiem. I teraz znowu nie wiadomo, jak długo czekać jej przyjdzie na niego, choć gdyby mógł bodaj na jakiś czas zrzucić z siebie brzemię obowiązków, nie czekałaby ni dnia. A może nie doczeka wcale. Spocząć można tylko po zwycięstwie; „silniejszy od wszystkich wrogów"! Może od każdego z osobna, jeno od walki sił nie przybywa.

Droga wijąca się wśród bagien i rozlewisk wiślanych wybiegając na lesiste wzgórza rozdawała się jedną odnogą na Skawinę, drugą do tynieckiej osady. Na rozstaju Mieszko zatrzymał konia, by poczekać na pachołka i w tej chwili ujrzał nadjeżdżających z naprzeciwna dwóch jezdnych. Gdy zbliżyli się, w jednym z nich z pewnym zdziwieniem poznał Przemka Gozdawę, którego nie spodziewał się ujrzeć tak prędko. Nadjeżdżający widocznie również poznali króla, zeskoczyli bowiem z koni i ująwszy je przy pyskach pieszo zbliżali się. Mieszko też ruszył i podjechawszy, na pozdrowienie Gozdawy łaskawie odpowiedział i dodał:

— Rad jeść, iżeś tak skoro pośpiał na wezwanie, raniej niż się mogłem spodziewać. Drużyna rychło dociągnie?

— Ino patrzeć — odparł Gozdawa. — Na wezwanie nie czekałem, bo są wieści z Moraw — wskazał na towarzysza. — Zaczęło się.

Sądził, że król wypytywać zacznie, ale Mieszko zawrócił konia i skinąwszy na Przemka, by mu towarzyszył, kłusem ruszył z powrotem. Przemek doskoczył w siodło i podązał za królem. Po chwili Mieszko przeszedł w stępa, a gdy się zrównali, zapytał:

— Bolko gdzie?

— Ostał we Włocławku — odparł Przemek zaskoczony, sądził bowiem, że mówić będą o czekającej ich wyprawie. Widząc, że król zmarszczył się gniewnie, dodał:

— Wždy nieletni jeszcze, a na wojnę ciągniem.

— Nie wiem, zali na wojnę — odparł Mieszko — a po tom cię jego piastunem ustanowił, byś go do karności wdroył i takowego żywota, jaki mu wieść przydzie, ninie zasię sposobność po temu.

— Wybaczcie, miłościwy panie — rzekł Przemek — ale nijak mi to z przywodem drużyny pogodzić. Zechciejcie mnie przeto z jednej powinności zwolnić.

Król patrzył pytająco na Przemka. Nie bez ważnej przyczyny chce się uchylić od zadania, którego by mu niejeden pozazdrościł. Gdy Przemek milczał, Mieszko zapytał:

— Jeśli iście pogodzić nie wydolisz, co byś wybrał?

— Zwolicie mi wybierać, ostać wolałbym, czym raniej byłem. Znam swoich ludzi, umiem radzić sobie z nimi...

— Znasz i radzisz sobie z tysiącem chłopów. Wždy łącniej poznać i poradzić sobie z jednym. I korzystniej, bo i mojej wdzięczności możesz być pewien, i on kiedyś wdzięczen ci będzie, gdy go zaprawisz, jak posłuch wymóc, gdy mu kiedyś właść objąć przydzie.

Gozdawa milczał zmieszany, Mieszko zaś ciągnął:

— Wiem, że trudno łoszaka do wędzidla wdroyć, gdy już twardy w pysku. Alić wiem, że rękę takż twardą masz i nie jeno podrostków wydoliłes okiełznać. A łącniej w drużynie, gdy przykład ma karności i posłuchu.

Gozdawa milczał nadal, Mieszko po chwili dodał:

— Widzę, że ci niesporo mówić, jako że o moim synu i następcy. Gadaj otwarcie, może społem uradzimy jako z nim postępować, bo wiem, że łatwy nie jest. A jeśli nie, nie będę cię przymuszał, ale wiedzieć chcę, czemu zrzucić się chcesz z onego zadania.

— Sami wiecie, miłościwy panie — zaczął Gozdawa — że łącniej zły przykład niżli dobry najdzie naśladowców i że kto rozkazywać ma, raniej posłuchu winien się nauczyć. Królewic nijakiego posłuchu znać nie chce, trudno zasię płazem puścić, za co inny za końskim ogonem by pojechał, a czasu wojny łbem zapłacił.

Król słuchał zachmurzony. Zdał się namyślać, a po chwili rzekł:

— Służy piastunowi prawo kary. Gdy Bolko do rozumu dojdzie, uzna, że bez posłuchu nie masz ładu ni prawa. Ktości go do niego wdroyć musi. Jako rzekłem, nie będę cię przymuszał, jeno się głowię, komu to zlecić.

— Jeśli radzić wolno, miłościwy panie, sami weźmijcie syna pod siodło. Co człek zniesie od rodzica, nie zniesie od obcego. Bolko setnika pobił, gdy mu jeno zagroził sprawieniem łazni, i jeszcze zapowiedział, iż mu nie zapomni. Ktoże się zechce narazić temu, co kiedyś po was właść objąć ma?

Mieszko nic nie odrzekł; zdał się namyślać. Gozdawa zdziwiony był, że król nie pyta o nowiny z Moraw. Ustanowienie nowego piastuna dla Bolka i tak odłożyć trzeba do zakończenia wyprawy. Wojna ze Stefanem pilniejsza; jeno co król miał na myśli podając w wątpliwość, czy nawojnę przyjdzie? Gdy milczenie się przedłużało, Przemek nie wytrzymał i zapytał:

— Nie zechcecie, panie, wysłuchać posłańca wojewody? Skarbek nie ostoi się bez rychłej pomocy. Żle jest!

— Żle jest! — powtórzył król zadumany. Co innego musiał mieć na myśli, skoro o położenie na Zakarpaciu jeszcze nie zapytał. Po chwili jakby się ocknął i dodał:

— Pospieszajmy! W Krakowie uradzim, co poczynać. Puścił konia w cwał nie oglądając się na pozostałych. Zwolnił dopiero przed mostkiem na Rudawie i doczekawszy Przemka rozkazał:

— Zdaj dowództwo jednemu z setników, niechaj obozem stanie na błoniu pod Sikornikiem, a sam przyjeżdżaj na gród.

Wjechawszy na dziedziniec zamkowy Mieszko zeskoczył z konia i rzuciwszy wodze nadbiegłym stajennym przez chwilę stał jakby się namyślając, po czym skierował kroki do kapitulnego budynku. Dowiedziawszy się przy wejściu, że Gompo bawi w katedrze na nieszporach, zlecił służebnemu klerykowi zawiadomić biskupa, iż czeka na niego w zamkowej świetlicy.

Bez wezwania zjawił się tam Jędrzej Toporczyk, który zawiadomiony o powrocie króla przyszedł zapytać o dalsze rozkazy.

— Są wieści z Moraw od wojewody Skarbka Awdańca — powiedział Mieszko. — Gozdawa z jazdą już nadciągnął, ino patrzeć, tu będzie. Gdy nadjedzie, zachodźcie do mnie, społem wysłuchamy Skarbkowego posłańca.

Czekając na biskupa Mieszko chodził po komnacie, nad czymś głęboko zadumany. Postanowienie,

jakie musiał powziąć, nie było łatwe. Możliwość władcy i rycerstwo, pomnie korzyści i dostojęstw, których źródłem były zwycięskie wojny Chrobrego, za złe będą mieć królowi, jeśli kosztem zdobyczy ojca kupi pokój od węgierskiego Stefana. Bezprym w jego rękę to nie tylko wygodny pozór, by dla własnej korzyści mieszać się w wewnętrzne sprawy Polski, ale niebezpieczne zarzewie wojny domowej. Mieszko nie wątpił, że nie z miłości dla krewniaka Stefan wprowadzić go chce na polski tron. Jeśli mu zaofiarować korzyść bez wojny, może poniecha tego zamiaru. Należy i warto spróbować układów.

Rozmyślanie króla przerwało nadejście biskupa. Gompo, Rzymianin z pochodzenia, szlacheckiego rodu, przybył do Polski wraz z kilku towarzyszami, sprowadzony przez opata Tuniego. Sam biegły w prawie i piśmie, założył szkołę przy katedrze, by jak najprędzej dochować się krajowego duchowieństwa. Znał bowiem niechęć prostego ludu do obcego, stanowiącą przeszkodę w tępieniu pogaństwa, co uważał za zadanie i cel swego życia. Sam nauczył się polskiej mowy i domagał się tego od podwładnego kleru, co istotnie było warunkiem apostolstwa. Chłubił się też, że w jego diecezji mniej niż w którejkolwiek innej pozostało śladów pogańskiego zabobonu, własnej to przypisując działalności.

Mieszko na tę słabość biskupa patrzył z pobłażaniem, wiedząc, że w kraju Wiślan, który ongiś do Wielkich Moraw należał, chrześcijaństwo głębiej już zapuściło korzenie. Rad był nawet, iż biskup w swej nadgorliwości nie domaga się pomocy świeckiego ramienia. Znając bowiem kraj dawniej i lepiej niż Gompo, wiedział, że pogaństwo stanowi siłę, której podrażnienie w niepewnym czasie może wywołać opłakane skutki. Pamiętał, że jeszcze za życia Chrobrego stało się to przyczyną zamieszek, które siłą trzeba było tłumić. Ojciec miał jej nadmiar, ale w spadku mu jej nie pozostawił, własna gdzie indziej będzie potrzebna, nie wolno jej marnować na domowe zamieszki. By jednak nie dać biskupowi sposobności poruszania tych spraw, z miejsca zaczął o swoich:

— Wybaczcie, wasza dostojność, że was trudzę, może niesposobną porą, jutro jednak skoro świt wyjeżdżam, tedy pożegnać was chciałem. Ale nie jeno przeto, prośbę mam do was: potrzebny mi człek bywały, doświadczony i obrotny, znający pismo i obce mowy, by go w poselstwie wysłać do węgierskiego króla.

Gompo jeno głową skinął i rzekł:

— Ani mi szukać nie trzeba, zdalniejszego nie najdzie niżli dziekan kapituły, brat Rachelin. Rad będzie przysługę wam oddać, a ja łasce waszej go polecić, gdy mi kiedyś pieczęć i biskupi pierścień następcy zdać przyjdzie.

— Jeśli się sprawi ni jemu, ni wam nie zabędę przysługi. Zechciejcie go przeto do mnie przysłać, choćby zaraz.

Zanim jednak zjawił się kanonik, Przemek Gozdawa oznajmił przez komesa Jędrzeja swe przybycie i król polecił wezwać go natychmiast wraz z Skarbkowym posłańcem.

Wszedł, a wraz z nim młody i tęgi wojak, ściągnięta jednak twarz i zaczerwienione oczy zdradzały, że nie żałował siebie spiesząc z wieściami. Zapytany o nie, zaczął:

— Wojewoda Skarbek niechał wam donieść, miłościwy panie, że Węgrzy uderzyli dużą siłą, której sam nie dostoi.

— To wiem — przerwał król. — Praw, jako się zaczęło, gdzie jest ninie wojewoda i co do tej pory przedsięwziął.

— Na przedwiośni przysła przez kupców wieść — ciągnął posłaniec — jako księżę Bezprym bawi w Wyszehradzie u węgierskiego króla. Wojewoda już się miał na baczości, wiadomo że Waik, czyli jak go ninie zowią Stefan, rad by odzyskał kraj na lewym brzegu Dunaju, a Bezprym nie po to z klasztoru zbiegł, by na łasce siedzieć u wuja. Jakoż doniosły nam zwiady, że się wojska ściągają nad

Dunaj, jeno pomiarkować trudno było, kędy uderzą. Nietrudno natomiast, że jeśli dla Bezpryma wszczęli wojnę, to nie po to, by zająć jeno kraje naddunajskie. Tedy im tu droga albo przez Bramę Morawską, albo doliną Popradu na Sącz. Od wypadku tedy wojewoda co nieco wojsk pchnął nad Homad, z rozkazem, by się tam umocnili, sam zaś z główną siłą koło Nitry czekał, co poczną. Przeprawili się przez Dunaj w kilku miejscach naraz, sił za mało, by upilnować całej granicy, tyle że nasze stráže w porę doniosły o najeździe i cofaliśmy się w górę Wagu tyle się odcinając, by pochód opóźnić i doczekać posiłków. Mnie wojewoda wysłał spod Trenczyna, by donieść, że jawnie już prą na Cieszyn i sam się tam cofać będzie.

— Dawno wyjechałeś i gdzie może ninie bawić wojewoda? — zapytał król.

— Dni sześć — odparł posłaniec. — Wojewoda niechał wam donieść, że umocni się nad górnym Wagiem, by wroga w dolinę Olzy nie dopuścić. Mniema, że czas jakiś go powstrzyma, ale by go z powrotem za Dunaj wyprzeć, o tym bez znacznych posiłków ani myśleć. Pilnie wiedzieć chce, kiedy i jakie otrzyma, a mnie bez nijakiej zwłoki wracać przykazał. Tedy zechciejcie rzecz, miłościwy panie, co mam donieść wojewodzie i zlecić, by mi dwa ręce konie dano, bo moje się zmamiły.

— Widzę, żeś i ty się zmarnił — rzekł król. — Ktoś zacz i jak cię zowią?

— Setnik jazdy pancernej, Raclaw Lada z zawołania.

— Ostaniesz przy mojej osobie. Ninie idź się wywczasować, bo rankiem ruszamy.

Wojak z pewnym zdziwieniem skłonił się i wyszedł. Wojewoda Skarbek nie darmo nagli o odpowiedź, wiedzieć musi czy i kiedy nadejdą posiłki i w miarę tego ułożyć

własne postępowanie. Dziwili się też komesi, że król ani ich do głosu nie wzywa, ani nie wydaje rozkazów, gdy dla doświadczonych wojowników jasne było, jak wykorzystać przedstawione przez Raclawa położenie. I Mieszkowi wojna nie nowina, i wie, że od szybkości działania nieraz zależy zwycięstwo. Gdy jednak milczał, jakby się wahał, co począć, Jędrzej sam zaczął:

— Zwólcie, miłościwy panie, że powiem swoje; jeśli radzić wolno, załogi z grodów nad Dunajcem i Popradem pchnąć na Słowację i razem z wojskiem, które Skarbek ostawił nad Hordanem, skierować na Trenczyn, tyły zająć Węgrom. Gdy Skarbek wzmocniony Przemkową jazdą bitwę wyda Wałkowi, zniemacka nastąpią: wzięty z dwóch stron dobrze jeśli choć coś zdoła wyprowadzić, a jeszcze w odwrocie sporo wytraci, gdy grody nie zajęte ostawił za plecy ma.

Mieszko słuchał, nie okazując zniecierpliwienia. Gdy wojewoda skończył, odparł:

— Tak i będzie, jeśli chybią układy. Wraz winien nadejść kanonik Rachelin, którego w poselstwie wysyłam do węgierskiego króla, a wy orszak dla niego przygotujcie, by ruszyć mógł bez zwłoki.

Komesi spojrzeli po sobie zaskoczeni. Król nie na naradę ich wezwał, lecz by im to oświadczyć. Wojewoda Jędrzej nie myślał jednak na tym poprzestać i zaczął:

— Wybaczcie, miłościwy panie, że choć nie proszony radzić śmiem. Iście pokój ze Stefanem nam potrzebny, jeno nie myśmy go naruszili.

— Ninie nie my — powiedział król zadumany. — Raniej rodzic mój Węgrom kraj aż po Dunaj odebrał...

— To i cóże! — przerwał wojewoda. — Zawždy silniejszy słabszemu odbiera. I ninie stać nas, by Węgrom drogę za wodę pokazać. Krwią zapłaciliśmy za one kraje, nie lza darmo je oddać.

— Zasię krwią płacić trzeba, by się przy nich utrzymać — odparł Mieszko. — Wolej mi sojusznika mieć w Stefanie przeciw innym wrogom — dorzucił i wstał na znak, że rozmowa skończona.

Komesi skłoniłi się i wyszli. W drzwiach rozminęli się z kanonikiem Rachelinem. Przemek mruknął:

— Potrzebniejszy do rady niżli my.

Wojewoda nie znał go bliżej i wołał nie mówić otwarcie. Odparł tylko:

— Widno niczyjej rady królowi nie trzeba, by oddać to, cośmy pod jego rodzicem dobywali.

— Morawy jeszcze dziad jego Czechom odebrał. Nie utrzymamy ich, jeśli Słowację odda

Węgrom — zauważył Przemek.

— Może je takż odda Stefanowi, by go z Oidrzychem poróżnić — powiedział Jędrzej. — Wierę, że za tę cenę Stefan Bezpryma odstąpi. Jeno jeśli król mniema, że Bezpryma sobie kupi na powrót do kraju przyzwalając, to się omyli. Brata on jako zarazy nienawidzi od małości, a ninie, gdy przez niego i dla niego młodość zmamił w klasztorze, z każdym wrogiem przeciw niemu sprzymierzyć się gotów. To pewne, że król bez walki oddając krwawy dorobek rycerstwa, zawołania u niego nie zyszcze.

Umilkli; rozważania w kim Bezprym znaleźć może stronników były przedwczesne a nie całkiem bezpieczne. Należy wyczekać na rozwój wypadków.

Wątpliwości, które żywili komesi, król sam wziął pod rozwagę, zanim podjął postanowienie. Patrzył dalej i szerzej niż oni, zdawał sobie sprawę, że zdobycze Chrobrego są kośćmi niezgody ze wszystkimi sąsiadami. Ze Stefanem wojnę może wygrać, jeżeli jednocześnie nie będzie innej, zwłaszcza domowej. Ale nawet wygrana osłabi tylko obydwie strony, dając korzyść wspólnym wrogom. Ważniejsze niż utrzymanie krajów zakarpackich jest pozbawienie Bezpryma poparcia Stefana. Wynik wojny jest zawsze niepewny, a gdyby udało mu się wkroczyć na śląsk z węgierskimi posiłkami, poruszy siły ośrodkowe, które tylko potęga Chrobrego mogła w ryzach utrzymać. Polska stałaby się ponętym łupem dla wszystkich sąsiadów, już nie zdobycze, ale sam byt jej byłby zagrożony. Za spokój i czas utrata zakarpackich nabytków nie zdała się Mieszkowi ceną zbyt wysoką.

Nie wątpił wprawdzie, że Stefan popiera Bezpryma dla własnej korzyści, ale mógł wobec niego powziąć zobowiązania, które trudno mu będzie złamać, a wszczęcie układów przez Mieszka w obecnym położeniu uważać może za objaw słabości, którą zechce wykorzystać. Wiele zależy od zręczności ich prowadzenia i Mieszko badawczo patrzył na kanonika Rachelina, który skłoniwszy się czekał w milczeniu na odezwanie się króla. Nie był już młody, choć wiek jego trudno było odgadnąć, bo w kruczoczarnych włosach nie świeciła ni jedna srebrna nitka, a ciemne oczy o bystrym spojrzeniu mogły należeć do młodzieńca. W jego ruchach i postawie była spokojna pewność siebie.

Wskazując mu miejsce na ławie, król powiedział:

— Siadaj, księżu, bo może dłużej rozmawiać nam przydzie. Dostojny pasterz zapewne rzekł ci, jakie czeka cię zadanie.

— Wdzięchen jeśm za położone we mnie zaufanie i uczynię wszystko, by go nie zawieść — odparł Rachelin. — Wiem jednak jeno tyle, że posłować mam do węgierskiego króla,

a domyśleć się łatwo, że o przywrócenie pokoju chodzi.

Zechciejcie jednak, miłościwy panie, bliżej mnie objaśnić, bo inak układa się słabszy z silniejszym, inak równy z równym.

Król skinął głową i przez chwilę zdał się namyślać. Zapytał:

— Dawno jeś w kraju? Po mowie nie poznać, iześ obcy.

— Przybyłem ze świątłej pamięci opatem Tunim i już ostanę, tędym swój.

— Przeto i nieobce ci nasze sprawy. Wiesz pewnikiem, ile krwie kosztowało, zanim rodzic mój podzielony przez dziada kraj zjednoczył. By zasię krajowi walki o właść

oszczędzić, pierwородnego po Węgierce Bezpryma w mni-
chy postrzyc niechał i do Italii wysłał.

Król urwał i zamyślił się. Po chwili podjął:

— Ukrzywdził rodzic Bezpryma, ale tego nie odmieni.

Z ojcowej woli jam ninie jedynym dzierzycielem własci
i koronowanym królem i o to tarzyć nie będziem. Tak mnie-
mam jednakowoż, że dla węgierskiego króla wprowadzenie
siostrzana na tron to jeno pozór, a celem odzyskanie kraju,
któren mu rodzic mój zabrał. Nie było wróżdy między na-
mi a Węgrami, pokąd górskie bezludzie stanowiło granicę,
natomiast nie brakło nam i nie brak ninie pospólnego
wroga.

Mieszko przerwał znowu, jakby się namysławając i ciągnął:

— Gdyby jeno z Węgrami była sprawa, ani bym się
układać nie potrzebował i Stefan wie o tym. Jeśli przeto
wojnę rozpoczął, liczy na popleczników Bezpryma. Ni ga-
dać nie trzeba, że najgorszy wróg to wróg we własnym
domu.

— Czegóż tedy domagać się mam od węgierskiego króla
i co w zamian ofiarować? — zapytał Rachelin.

— By poniechał popierania siostrzana i do mnie go ode-
słał. Ja zasię nie jeno bezpieczeństwo mu poręcę, ale i upo-
sazenie, jakie królewskiemu synowi i bratu przystoi.

— Zbiegłemu mnichowi jeno loch przystoi o chlebie
i wodzie — wtrącił Rachelin, ale król odparł:

— Nie moja sprawa, niechaj się z Kościołem uładzi, by
go od ślubów zwolniono, bo nie z dobrej woli je złożył.
Ale jemu rzeknijcie, że jeśli odrzuci, co ofiaruję, a dostanę
go w ręce, oczyma za zdradę zapłaci.

— Nie rzekliście, panie, co ofiarować mogę królowi Ste-
fanowi, by poniechał popierania siostrzana — powiedział
kanonik.

— Zwrócę kraj, który mu rodzic mój odebrał. Nic więcej
nie zyszcze nawet gdyby wojnę wygrał, a jeszcze nie wygrał.
I niechaj pomni, że wygnani synowie Wazula też czekają
na kogoś, kto by im pomógł odzyskać dziedzictwo. Radziej
ostańmy sojusznikami.

Rachelin dobrze wywiązał się z powierzonego mu zada-
nia, tym łatwiej że warunki jakie mógł ofiarować były tak
korzystne dla węgierskiego króla, iż jedyną trudność w za-
warciu układu stanowiła sprawa Bezpryma. Kanonik nie
znał wprawdzie węgierskiego języka, ale gdy Stefan w je-
go obecności przedstawił siostrzeńcowi żądanie, by powró-
cił do Polski na łaskę brata, Bezprym jął się sprzeciwiać
tak gwałtownie, że Rachelin zwątpił, czy układ dojdzie do

skutku. Stefan bowiem widocznie zaczął się wahać i wysunął żądanie, by Mieszko dopuścił Bezpryma do współrzędów. Wówczas Rschelin oświadczył, że nie ma upoważnienia do przyjęcia takiego warunku, porozumie się jednak z królem, który właśnie nadciąga z wojskiem. Sądzi jednak, że gdyby nawet się zgodził, to pod wzajemnym warunkiem, że Stefan dopuści do współrzędów synów Wazula, którzy również prosili o poparcie swych roszczeń do węgierskiego tronu.

Stefan zrozumiał pogrózkę i choć chętnie widziałby krewniaka polskim władcą, wolał natychmiastową i tanią korzyść, od przyszłej i niepewnej. Bez sprzeciwu też zgodził się, by polskie załogi grodów odejść mogły z bronią i mieniem. Zażądał jedynie poręczenia przez Mieszka bezpieczeństwa życia i wolności Bezpryma pod przysięgą i celem jej odebrania wysłał wraz z nim poselstwo, z którym Rachelin ruszył w powrotną drogę, spodziewając się zastać króla już nad Wagiem.

Wojewoda Skarbek Awdaniec natomiast, nie wiedząc o wszczęciu układów, niecierpliwie oczekiwał powrotu swego posłańca, a spodziewając się otrzymania posiłków, brody na Wagu od Trenczyna po ujście Orawy obsadził pieszym wojskiem, nieliczne zaś konne oddziały pozostawił na lewym brzegu rzeki, zarazem jako tylną straż jak i celem zabezpieczenia przeprawy z chwilą gdy otrzyma wzmocnienie dość znaczne, by mógł podjąć wyparcie nieprzyjaciela za Dunaj. Utarczki z węgierskimi podjazdami zdarzały się niemal co dzień, niezbyt jednak zacięte, zadaniem ich bowiem było również wyszukanie miejsc, gdzie węgierskie wojska mogłyby podjąć przeprawę z niewielkimi stratami.

Wiosenne wody na Wagu opadały już, brodów przybywało, i wojewoda zaczynał się niepokoić. Siły miał zbyt szczupłe, by wszystkich przepraw bronić, żądane zaś posiłki nie nadchodziły, a nawet nie wracał posłaniec. Gdyby Węgrzy zdołali się przeprawić, mogą mu odciąć drogę odwrotu, zajmąwszy górskie przełęcze między Jawornikami a Białymi Karpatami i śląskim Beskidem. Wojewoda wahał się już, czy samemu ich nie zająć, gdzie wprawdzie łatwiej byłoby zatrzymać dalszy pochód nieprzyjaciela, ale na bezludziu wkrótce skończy się żywność i zmuszony będzie wycofać się na dział wód Wisły i Olzy. Gdyby nawet zdołał nie dopuścić nieprzyjaciela na śląsk, odzyskanie utraconego kraju stawało się wątpliwe, a w najlepszym razie kosztem dużych strat. Co gorsze, pozostawione w gro-

dach załogi można by uznać za przepadłe.

W pogodny przedwieczerek wojewoda Skarbek wracał z objazdu do obozu pod Żyliną. Słońce schowało się za pasmem wzgórz, w dolinie leżał już cień, tylko zachodni stok Magury świecił w ostatnich blaskach dnia.

Wojewoda chmurny był. Zawiadomił króla, że nieprzyjacielowi da odpór na Wagu; gdy teraz wycofa się w góry, wiadomość o tym może się rozminąć z posiłkami, jeśli już są w drodze, i nie przestrzeżone miast swoich spotkają nad Wagiem nieprzyjacielskie wojska. Jeśli zaś nie wycofa się, a posiłki nie nadejdą, sam może się znaleźć w położeniu bez wyjścia.

Z zamyślenia wyrwał wojewodę tętent idącego w skok konia. Na zakręcie drogi wiodącej nad rzeką do Żyliny ukazał się jeździec i za chwilę osadziwszy podjezdka przed Skarbkim, rzucił widocznie podniecony:

— Sam król nadciąga z jazdą.

Wojewoda odetchnął z ulgą i nic nie rzekłszy ruszył w skok. Ważne było, by nieprzyjaciel nie zmiarkował nadejścia posiłków. Miesiąc wschodzi późno, łatwo będzie pod osłoną ciemności niepostrzeżenie przeprowadzić wojska i przed świtaniem na nie przygotowanego uderzyć. Pomyślna bitwa może przesądzić wynik wojny.

Skarbek cieszył się też na spotkanie z Mieszkiem. Zżył się z nim i spoufalił, jeszcze jako wyrostek w czasie walk z Odą, gdy rodzina Chrobrego zmuszona była ukrywać się w leśnym dworcu Awdańców wśród bagien Gniłej Obry. Potem jako młodzieńcy spółem wojowali przeciw Niemcom i Czechom. Przywiązał się do Mieszka, a nie widzieli się od śmierci starego króla.

Gdy wojewoda dojeżdżał do obozu pod Żyliną, mimo zapadającego zmroku z dala zmiarkował, że posiłki już nadeszły, nasilający się bowiem blask licznych ognisk zdradzał obecność znacznie większych sił niż te, które zostawił. Musiały to zauważyć także nieprzyjacielskie podjazdy, kręcące się za rzeką, zaskoczenie nie mogło już się udać. Skarbek zarazem zdziwiony i rozczarowany, że tak doświadczony wódz, jakim był Mieszko, nieroztropnie zdradza swe siły przed nieprzyjacielem, niemniej witał go z radością. Król również wylewnie powitał starego druha, ale gdy wojewoda zarzucił mu, iż udaremnił jego zamiar zaskoczenia wroga, odparł:

— Chcę, by Stefan wiedział, że nietanie mu przydzie odzyskać to, co mu rodzic mój zabrał. Miększy będzie w układach.

Skarbek patrzył na króla pytająco, widocznie zawiedziony, Mieszko dodał:

— Słałem do niego kanonika Rachelina. Jeśli Stefan poniecha Bezpryma i do mnie go odeśle, oddam mu kraj zakarpacki.

Gdy Skarbek milczał, Mieszko ciągnął gorzko:

— Widzę, że i ty za złe masz, iż pozbyć się staram choć jednego wroga, gdy innych nie brak, a narzędzie, którym mnie w plecy ugodzić mogą, chcę mieć w ręku. Czemuż milczysz, zali tego nie rozumiesz?

— Każecie, to powiem: rodzic wasz, miłościwy panie, po to postronne kraje dobywał, by własnym pokój zapewnić. Wrogom siłę okazać należy, a kto z najeżdżcą się układa, jeno słabość zdradza i innym zachętę daje do napaści. Starczy nam sił, by Węgrów za Dunaj przepędzić.

Mieszko skinął głową:

— Starczy! Jeno ich od tego nie przybędzie. Jeszcze rany nie obeschły tym, co Jarosława za Bug przepędzali. A dobywać łatwiej niżli utrzymać. Na nic się zdało, że rodzic Bezpryma w mnichy postrzyc kazał i do Italii wysłał. Zbiegł, bo wie, że każdy z wrogów go kupi za pomoc przeciw mnie, a wzajem Bezprym mu nie jeno zdobycznymi ziemiami zapłaci. Wiesz, że i w kraju nalazłby popleczników, gdyby wrócił z obcą pomocą, przeto wolę, by wrócił sam.

— Co z nim zamierzacie uczynić? — zapytał wojewoda.

— Wždy Stefan siostrzana nie przędą na rzeź. Zresztą brat to mój, na klątwę bym się wystawił. Zleciłem Rachelinowi, by mu żywot i wolność poręczył.

— Ale oczy mu odjąć możecie.

Mieszko zadumał się chmurnie. Po chwili odparł:

— Nie! Krzywda, złe nasienie! Zmarnione miał Bezprym dzieciństwo, zmarnioną młodość i żrały wiek. Czterdzieści godów już liczy, niechaj mnie za swą starość nie przeklina.

— Miętkie macie serce, niczym macierz wasza — powiedział Skarbek. — Czymże jej odplacił, że i jemu własną chciała zastąpić? Zdradą! Wroga będziecie mieć w kraju, a zadrę z Kościołem o zbiegłego mnicha, który pod klątwą.

— Jeśli się zgodzi, uczynię go kruszwickim biskupem, metropolita Stefan nie będzie się przeciwiał, bo mu ludzi brak. A nie, niechaj żywie jak Otto, a z Kościołem sam się uładzi. Czas o tym gadać, gdy wróci Rachelin z wieścią, zali Stefan godzi się. Pośpiech mu zaleciłem, na dniach winien tu być.

Wojewoda nic nie odparł, ale w jego milczeniu Mieszko

czuł przyganę. Nie znalazł zrozumienia nawet u tego przyjacielela z pacholęcych lat; co będą myśleć albo i mówić inni: że nie dorósł swemu ojcu i zaprzepaści jego dorobek. Pod pozorem znużenia drogą odmówił udania się na przygotowaną przez Skarbka biesiadę i siedział samotnie w namiocie, przeżywając swe myśli. Ojciec nigdy nie zawahał się przed najsroższą karą za nieposłuszeństwo. Przez ćwierć wieku Bezprym nie ważył się wbrew rozkazowi opuścić klasztoru, bo wiedział, że dałby za to co najmniej oczy, jeśli nie gardło. Teraz nie lęka się z obcą pomocą dochodzić swego pierworodztwa. Co gorsze, na myśl o spotkaniu z nim jakby echem odezwało się w Mieszku uczucie niepokoju, jakie pacholęciem odczuwał w obecności starszego o lat cztery przyrodniego brata. Po raz ostatni widział go jako czternastoletniego wyrostka. Z górą ćwierć wieku pobytu w klasztorze surowej reguły świątobliwego Romualda musiało go odmienić, nie tylko zewnątrz. Pozbawiony poparcia swego węgierskiego wuja, może zechce resztę życia spędzić w spokoju i dostatku. Nie pora mu już zakładać rodzinę, a jeśli właści żądny może zadowoli go biskupi pierścień i pastorał.

Rachelin istotnie nadjechał nazajutrz, nie tylko z wieścią: towarzyszyło mu węgierskie poselstwo pod przewodnictwem duchownego. Powitany przez niego po łacinie Mieszko w tymże języku odpowiedział:

— Rad jeśm, że dobra wola z naszej strony spotkała się z wzajemnością króla Stefana. Obydwu nam z pożytkiem siły zachować dla pospólnych wrogów. O los swego siostrzana pokojny być może, jako rzekłem, wolność i żywot mu poręczam.

Stefanowi bardziej niż na Bezprymie zależeć musiało na pokoju z Polską, poseł jego bowiem nie czynił żadnych trudności w układach. Poręczył swobodne odejście polskich załóg z grodów z bronią, mieniem i rodzinami i zaniechanie wszelkiego poparcia dla roszczeń Bezpryma.

Mieszka zgoła nie cieszyło spotkanie z przyrodnim bratem. Żal mu nawet było tego człowieka i rozumiał jego gorycz, a nietrudno mu było odgadnąć, że i Bezpryma nie raduje powrót do kraju na łaskę znieawidzonego brata. Gdy jednak Bezprym nadciągnął ze szczupłym orszakiem, Mieszko gniewny był na siebie samego, współczucie dla Bezpryma uważając za słabość. Bezprym zsiadłszy z konia bez pośpiechu podszedł do Mieszka, który czekał na niego w towarzystwie dostojników. Staął przed nim bez słowa i wpił w brata palące spojrzenie ciemnych, głęboko wpad-

niętych w wychudłej twarzy oczu. Tylko po tym Mieszko poznałby w starym, przygarbionym człowieku tęgiego i barczystego wyrostka, jakim widział go po raz ostatni. W czarnym zaroście Bezpryma gęsto już przeświecała siwizna, smagła ongiś twarz miała szary odcień, ćwierć wieku przymusowych umartwień poczyniło w nim niezatarte zmiany, nie zmieniła się tylko nienawiść, z jaką patrzył na tego człowieka, dla którego skazany został przez ojca na żywot stanowiący tylko czekanie na śmierć. Gdy kłopotliwe milczenie przedłużało się, Mieszko rzekł:

— Zali nie masz mi nic do powiedzenia?

— Memento mori! — chrapliwym głosem rzucił Bezprym. Mieszko wiedział, że tak pozdrawiają się bracia zakonnicy reguły świątobliwego Romualda, w ustach Bezpryma zabrzmiało to jednak jak groźba lub gorzka drwina. Zarazem zmieszany i gniewny, odparł:

— Mniemałem, że pośpiąłeś zabyć zakonnego obyczaju!

— Niczego nie zabyłem — odparł Bezprym. — Pytasz, co ci mam rzec; kupiłeś mnie, tedy ja pytam, co ze mną począć zamierzasz? Jeśli dotrzymasz poręki — dodał szorstko.

Mieszko pominął to odezwanie i rzekł:

— Jeśli zechcesz trwać w duchownym stanie...

— Zadość miałem duchownego stanu — gwałtownie przerwał Bezprym. — Tobie się patrzył jako młodszemu, gdybyś się rodzicowi przypochlebić nie umiał.

— Dość — uciął Mieszko. — Nie ja będę cię przymuszał, czyni, co ci się zda. Zaopatrzenie otrzymasz, jeno przestrzegam: jeśli wracać nie chcesz do Camaldoli, waruj się kłówać.

— Wiem, że rad byś mnie tam odesłać, miłościwy bracie — z drwiną odparł Bezprym. — Widno nie możesz, tedy wskaż, dokąd ninie mam się udać.

— Pojedziesz do Poznania. Otto także bawi przy dworze. Mniemam, że jego wzorem zabyć wydolisz zakonnego obyczaju — odparł Mieszko szyderstwem pokrywając gniew. Odwrócił się i wszedł do namiotu, odprowadzony ponurym spojrzeniem Bezpryma.

Dworzec Ottona na podgrodziu nad Cybiną istotnie w niczym nie przypominał klasztoru. Ni ojciec, ni po jego śmierci brat żadnych na niego nie nakładali obowiązków, nie skąpili natomiast zasobów na ustawiczne biesiady, które cieszyły się wzięciem u młodzieży możnych rodów przyjeżdżającej do stolicy; nie najlepszym natomiast zawołaniem u duchowieństwa, biskup nawet zwracał się do króla

z żądaniem, by ukrócił przyczynę jawnego zgorzenia.

Mieszko jednak odparł:

— Wolę mieć brata wszetecznikiem niżli buntownikiem.

Odsyłając Bezpryma do Poznania Mieszko spodziewał się, że i on również zechce powetować sobie lata przymusowych postów i umartwień.

Dla Bezpryma jednak za późno było, by urządzić sobie życie za przykładem Ottona. Uciekał z klasztoru, by wyrwać się ze znieprawionej niewoli. Nawet jeśli pożądał władzy, to jedynie by pomścić zmarnowane życie. Zawód, jaki go spotkał ze strony węgierskiego krewniaka, dopełnił miary nienawiści do całego świata. W klasztorze nawykł przytając się, ale Mieszkowi bryznął nią w oczy, wiedząc, że choćby się ukorzył, ufności nie zyska. Wiedział też jednak, że sam niczego nie zdziała, musi poszukać sprzymierzeńców.

Pierwszym, który przyszedł mu na myśl, był Otto. I on odsunięty został od dziedzictwa, choć jak Mieszko był synem Emmildy. Temu zapewne zawdzięczał, że ojciec nie oddał go do duchownego stanu, lecz pozwolił żyć swobodnie. Gdy przyszedł na świat, Bezpryma już nie było w kraju. Nie znał go i ostrożność doradzała nie zdradzać swych zamiarów, nawet spotkanie z nim pozostawić przypadkowi. Pobyt w klasztorze nauczył Bezpryma cierpliwości, pochopne działanie zaprzepaścić może ostatnią sposobność odegrania się.

Cierpliwość była Bezprymowi tym potrzebniejsza, że nie znał ludzi ni stosunków w kraju i z sąsiadami, z trudem nawet dobierał słowa w mowie, od której odwykł, a wiedział, że nigdy nie umiał jednać sobie przyjaciół. Nie wątpił też, że Mieszko, przynajmniej początkowo, będzie go miał na oku. Toteż w drodze do Poznania nie zamienił z towarzyszącymi z orszaku ni jednego zbędnego słowa, natomiast pilnie nadstawiał ucha, o czym mówią między sobą. Jedno wymiarkował bez trudu: niezadowolenie rycerstwa z zakończenia wyprawy utratą bez walki zdobyczy Chrobrego. Porównywanie zmarłego króla z jego następcą dowodziło, że ten nie cieszy się powszechnym mirem.

Mieszko zaś sądził widocznie, że zapewniwszy podstarzalemu człowiekowi spokojny i dostatni żywot, zabezpieczy się przed spiskowaniem. Toteż żupan poznańskiego grodu Dobromir Nałęcz, otrzymawszy stosowne rozkazy, powitał Bezpryma jak dostojnego gościa, zapytał o jego życzenia i oznajmił, że król przeznaczył na jego utrzymanie dwie grzywny srebra, które co miesiąc skarbnik wypłacać będzie.

Bezprym twarz wykrzywił uśmiechem i odparł:

— Anim się spodziewać śmiał takowej łaskawości i zechciejcie miłościwemu królowi wyrazić moją podziękę.

I wam — Bezprym po raz wtóry wymusił uśmiech — także nie zabędę przychylności. Jeśli nie gardzicie wdzięcznością takowego człeka jak ja — dodał gorzko.

— Nijak i rad jeśm, że miłościwy pan wynagrodzić chce bratu krzywdę, jaką mu rodzic wyrządził.

Zupan uważał, że nie zaszkodzi pozyskać przychylność Bezpryma, niczego nie stawiać. Mieszko od czasu czeskiej niewoli nie najtęższego jest zdrowia. Gdyby go nie stało, następstwo po nim łatwiej mogłoby przypaść Bezprymowi niż nieprawemu Bolkowi czy Ottonowi, który pozyskać umiał tylko takich jak sam lekkoduchów. Bezprym jednak niezbyt wierzył w szczerłość żupana, a zupełnie nie ufał Mieszkowi. By wybadać, jakie w rzeczywistości wydał zlecenia, odparł:

— Zadość mi po tylu leciech niewoli, iżę czynić mogę, co mi się zda, jechać, kędy oczy poniosą...

— A lepiej jeszcze dokąd zwierz człeka zawiedzie — przerwał żupan. — Nie masz jak łowy. Gdy człek za zwierzem pędzi, wicher wszelkie myśli wywieje krom jednej, jak zwierza dopaść.

Bezprym nie zdradził się z zadowoleniem. Łowy stanowiłyby dogodny pozór rozejrzenia się po kraju. By jednak się upewnić, że nie będzie śledzony, powiedział:

— Rad bych, jeno płochy ze mnie łowca, wstydno byłoby przed towarzyszami.

— Zrazu starczy dobra sfora z psiarkami — odparł żupan. — Nabierzecie ćwiczenia, rozejrzycie się między ludźmi, najdą się i towarzysze. Zawždy raźniej w gromadzie. Jeśli radzić wolno, zdałoby się wam z przyrodnim Ottonem poznać. Wesoły z niego człek, skory do wszelakich igrów.

— Dzięki za radę, jeno nie wiem, zali Ottonowi byłoby po myśli, gdy weselszych niżli ja ma towarzyszy. Z wieku także jemu przystałoby uczynić pierwszy krok. A ze wszystkim ani mi gdzie gości podejmować, gdy sam tu jeśm jakoby w gościnie.

— Mniemam, że miłościwy pan gród jakowyś wyznaczy wam na siedzibę, jak przystało — odparł żupan. — Jeno nijakich w tej mierze rozkazów nie wydał, tedy jeśli nie po myśli wam gościem tu siedzieć, jest o pół dnia drogi leśny dworzec, jeszcze przez rodzica waszego na myślistwo zbudowany. Siedzi tam jeno stary włodarz Nielub,

jest sfora psów i sprzęt wszelaki do łowów. Tam możecie być jako u siebie, pokąd się indziej nie ustalicie.

— Jeno zali nie będę wadził królowi? — zapytał Bezprym, ale Dobromir odparł:

— Miłościwy pan nie myśliwy, od śmierci waszego sławnej pamięci rodzica dworzec bez innego pożytku stoi kromie dziczyzny dla dworu. Czasem go królewic Otto nawieździ, gdy biskupowi chce zejść z oczu — zaśmiał się.

Rozmowa z żupanem upewniła Bezpryma, że Mieszko nie ustanowił nad nim nadzoru. Niemniej spotkanie z Ottonem postanowił pozostawić przypadkowi, a samemu usunąć się na ubocze, tym bardziej że odwykł od ruchu i gwaru, jaki stale na dworze panował. Powiedział:

— Jeśli dworzec jeno o pół dnia drogi, rad bych się tam znalazł choćby dziś. Wam nie zabędę przychylności, a da Bóg, może i odwdzięczyć wydolę.

— Włodarza uwiadomić muszę, by przygotował co trzeba. Posłańca pchnę nie mieszkając, a jutro z rana poczet będzie gotowy, który waszą miłość odprowadzi, bo drogi nijakiej tam nie ma i łącno pobłądzić.

Nie tylko błądzić, ale ulgnąć można było wśród bagien i rozlewisk Warty, niełatwo też znaleźć dworzec, niski i przysadzisty, ukryty w gęstwinie starodrzewu. Gdyby Bezprym zamierzał tylko w spokoju dokonać swych dni, nie znalazłby dogodniejszego miejsca. Nie po to jednak zbiegł z klasztoru, a zawód, jaki go spotkał, wzmógł w nim zapieczoną chęć pomszczenia złamanego życia.

Spokój zagubionego w borach zakątka zakłócało jeno szczekanie psiej czeredy lub rzenie prowadzonych do wodopoju koni. Nocną ciszę pogłębiało hukanie sowy lub gwizd lelka. Gdy milkły te odgłosy, Bezprym słyszał głośnie i nierówne bicie własnego serca, z ćwierćwiekowego nawyku budząc się z przekleństwem w godzinach, w jakich budzono go w klasztorze na nocne modlitwy. Po stokroć przekłętą przeszłość przywlekła się za nim. Gdy chyłkiem uchodził, radość z odzyskanej wolności obudziła w nim nadzieję rozpoczęcia życia na nowo. Na dworze Stefana po raz pierwszy od dnia, gdy zamknęły się za nim bramy klasztoru, zetknął się bliżej z niewiastami, po to, by się przekonać, że i diabeł zadrwił z niego swymi pokusami, którym mimo chęci już ulec nie może. Jako jedyne uczucie pozostała mu nienawiść i jedyne cel życia — zemsta.

Gdy jednak rozmyślać zaczynał, jak jej dokonać, gryzł palce w poczuciu bezsily. Z kim? Ze starym milczkiem Nielubem, z którym niewiele obojętnych słów zamienił, czy

z kilku psiarkami i komarami? Złość go ogarnęła na samego siebie, że usunął się z dworu. Tam mógł się przynajmniej rozejrzeć, gdzie szukać sprzymierzeńców. Podejrzewać zaczął Dobromira, iż rozmyślnie poddał mu tę myśl, by pozbyć się kłopotu z nadzorowaniem. Trudno teraz znaleźć pozór powrotu na dwór tak, by nie obudzić podejrzeń. Trzeba czekać na sposobność, a czas pracuje przeciw niemu. Nadchodzi przedwczesny schyłek zmarnowanego żywota.

Za nic jednak nie chciał się poddać. Czując, że bezczynność pozbawia go resztek sił i nadziei, postanowił ruszyć na łowy, by przy tej sposobności rozejrzeć się po kraju. Urok ich był mu obcy, ale dla siebie samego potrzebował choć pozor, że coś przedsięwzięte miast jałowego czekania.

W chmurny poranek wyruszył w las ze sforą psów. Psiarkowie rychło pomiarkowali, że nie łowiec z niego, nie zważa nawet, co się dokoła dzieje. Sami skłuli osaczonego przez psy sporego odyńca, na którego Bezprym nawet nie spojrział. Nie nawykły do jazdy wierzchem, całą uwagę skupić musiał, by utrzymać się w siodle, gdy rumak przeskakował stające w drodze strugi, wykroty i wiatrołomy. Znużony i rozdrażniony, zatrzymał się w napotkanej osadzie bartników. Odpocząwszy i pożywiwszy się poniechał nawet pozor, że wyruszył na łowy, wypytał o najbliższy grodek. Gdy mu wyjaśniono, że nie spiesząc się o dobrym jeszcze dniu stanąć może w Mosinie, psiarkom kazał ciągnąć za sobą i z jednym tylko pachółkiem ruszył najkrótszą drogą do gródka.

Przybycie Bezpryma zaskoczyło żupana Klimunta Taczałę. Wiedział, że mnichem jest w dalekiej Italii, o powrocie jego nie miał jeszcze wieści, w podstarzałym, siwiejącym i łysawym człowieku nie poznał wyrostka, jakim go zapamiętał. Przyjął go zrazu powściągliwie, choć z szacunkiem należnym królewskiemu synowi. Nie na rękę też mu było jego przybycie, bo otrzymał wezwanie do Poznania, gdzie Mieszko zapowiedział swój przyjazd. Rozumiał, że powrót do kraju pierwородnego syna zmarłego króla jest ważnym wydarzeniem i przy wieczerzy starał się ostrożnie wy badać, jakie może mieć znaczenie. Od psiarków wiedział już, że Bezprym osiadł w leśnym dworcu, ale dlaczego i na jak długo nie umieli wyjaśnić. Bezprym wprost pytać nie śmiał i rozpoczął od łowów, choć również wiedział o ich przebiegu i wyniku. Bezprym zrazu nierozmowny był, nie nawykł jednak do picia i parę kubków miodu rozwiązało mu język, nie na tyle, by zapomniał o ostrożności. Gdy żu-

pan oznajmił mu, że do Poznania przyjeżdża król i zapytał czy Bezprym zechce również udać się na zjazd, odparł: — Król mnie nie wzywał, ale was nie zatrzymuję, bo jeno przenocować tu chcę. Utrudzonym, bo odwykłem od konia... i od ludzi też — dorzucił. — Mniemam jednakowoż, że zasię nawyknę i rad bych posłuchał, co w kraju, bo snadnie i mowy bym zabył.

Klimunt jednak wolał zachować ostrożność i odparł: — Jak wasza miłość miarkuje, na uboczu siedzę, tedy nie wiem; co ostatnio zaszło. Juści wiele się zmieniło pod waszą nieobecność, a już od śmierci waszego sławnej pamięci rodzica. Może wam i wiadomo, że miłościwy król syna po Niemce w mnichy postrzyc niechał, a niewzdanego Bolka na następcę sobie sposobi... — Zmieszał się nie wiedząc, dlaczego twarz Bezpryma skurczyła się gniewnie i ciągnął: — Wiem ci ja w ostatku wzdany zali niewzdany. To pewne, że związku brata waszego z Dobroszką Kościół nie pobłogosławił. Kto się ninie wyzna, co jest, a co nie jest wedle prawa i obyczaju. Drzewiej zawsze pierworodny głową bywał rodu...

Urwał wspomniawszy, że najstarszym z synów Chrobrego był Bezprym, a nie chciał utwierdzić go w mniemaniu, że to miał na myśli rozważając sprawę następstwa. Wolał też skończyć rozmowę i rzekł:

— Wasza miłość pewnikiem spocząć zechce, a i mnie pora, bo ruszyć muszę o świcie. Tedy zwólcie się pożegnać i bądźcie jako u siebie doma, póki wola.

Skłonił się i wyszedł, pozostawiając Bezpryma w zamyśleniu. Niewiele się dowiedział, ale z rozmowy z żupanem zmiarkował, że znalazłby takich, którzy pamiętają, że wedle obyczaju jemu patrzyłaby się władza.

Pamiętają. Ale władzę ma Mieszko, on ma grody, drużynę, skarb. Silnemu zawsze łatwo o stronników: dla korzyści, ze strachu, choćby dla spokoju. Jako zbiegły mnich Bezprym nie wątpił, że kościelne władze mogą domagać się jego powrotu do klasztoru, tak jak zmusiły do tego przyrodniego brata cesarza Konrada. Papież mógłby go zwolnić od ślubów, ale nie uczyni tego bez zgody a tym bardziej wbrew woli króla. Mieszko zaś nie zgodzi się, nie darmo zagroził odesłaniem brata do Camaldoli, gdyby spiskować zaczął. Ale choć Bezprym wolałby śmierć, nie wyrzeknie się zemsty, bo nie miałby po co żyć. Z długoletniego nawyku budząc się po nocach, uświadamiać sobie musiał, że nie jest w klasztorze. Gdy jednak rozmyślać zaczynał, jak skutecznie swe zamierzenia, sen odchodził go zupełnie.

Myśl o tym nie opuściła go też, gdy w rozsloneczniony ranek wyruszył z powrotem. Nie widział, że przyroda w pełni rozfewiiu wdzięczy się do wszystkiego co żyje, nie słyszał śpiewu ptactwa, nie czuł woni kwiecica, pogrążony w ponurych myślach. Nie ma ni jednego człowieka, któremu mógłby zaufać. Jest równie samotny jak w klasztorze, gdzie przez ćwierć wieku nie zbliżył się do nikogo. Niczego nie zdziałała, bez obcej pomocy. Ale szukał jej już i spotkał go zawód ze strony własnego krewniaka.

Podmokły bór, przerywany spłachciami wilgotnych łąk, błękitnych od niezabudek, bagienkami wyzłoconymi przez kaczeńce lub zwierciadełkami jeziorek, jak nocne niebo wygwieżdżonych wodnymi liliami, przechodził w suchy, wonny las. Dworca, położonego na niewielkiej wyżynie, jeszcze widać nie było, ale koń Bezpryma poczuwszy bliskość stajni sam ruszył klusem. Ujechawszy jednak stajanie, Bezprym ściągnął wodze. Od strony dworca, zazwyczaj cichego: jak klasztor, dochodził gwar licznej gromady ludzi. Jadący za Bezprymem pachołek podjechał i rozumiejąc jego pytające spojrzenie, powiedział:

— Pewnikiem królewic Otto ze swymi.

Bezprym nie zrozumiał drwiącego uśmiechu pachołka, nie zastanawiał się zresztą nad tym, bo myśl miał zajęta spotkaniem z przyrodnim bratem, podobnie jak on sam odsuniętym od władzy i znaczenia. Wiązał z Ottonem pewne nadzieje i spotkanie byłoby mu po myśli, gdyby nie liczny orszak, w którego obecności obydwu im trudno było mówić otwarcie. Zwłaszcza Bezprymowi, bo nie był pewny, czy Otto nie jest zadowolony z beztroskiego życia bez żadnych obowiązków, nie pragnąc bynajmniej odmiany.

Wjechawszy w dziedziniec, Bezprym rzucił wodze pachołkowi i dostrzegłszy wśród kręcących się ludzi włodarza, zwrócił się do niego:

— Pono królewic Otto nadjechał?

— Iście tak! — z widoczną niechęcią odparł Nielub. —

Trzeba wam było ostać w Mosinie, bo pokąd on tu bawi, ni w nocy nie zaznacie spokoju.

Istotnie ze świetlicy dochodził gwar, świadczący, że biesiadnicy nie żałują sobie napitku. Wybijały się w nim wysokie głosy kobiece. Bezprym, zdziwiony, zapytał:

— Z niewiastami królewic jeździ na łowy?

— Na łowy! — zgryźliwie powtórzył Nielub. — Za staro króla choć przytając się musiał, bo wiadomo, że rodzic wasz srodze rozwiązałóść kaźnił. Ninie królewic Otto

nie jeno sam rozpustę płodzi, ale zachęte do niej daje młokosom. Małżonki nie pojał, choć dawno mu pora, jeno latawice coraz to inne wodzi z sobą. A nowy król bez palce na to patrzy, choć się pan biskup o zgorzenie żalił. Tyle wskórał, że się Otto ze swym dworem z Poznania wynosi, by panu biskupowi zejść z oczu.

— Rzeknij mu, że tu jeśm — przerwał Bezprym wyrzekania włodarza. — Zechce ze mną gadać, będę u siebie na gospodzie.

Powała nad świetlicą z grubych dębowych tramów głuszyła odgłosy biesiady, niemniej po dłuższej chwili Bezprym zmiarkował, że w świetlicy ucichło, a gwar dochodzący z dziedzińca oddalał się i wreszcie ucichł. Bezprym zbierał się, by zejść na posiłek, gdy postyszał na zewnętrznych schodach wiodących na wyżkę odgłos kroków, potem pukanie do drzwi. Nie czekając na wezwanie do izby wszedł Otto.

Bezprym poznał go od razu, bo mimo znacznej różnicy wieku jego podobieństwo do Mieszka było uderzające. Zaczerwieniona twarz zdradzała, że wypił nieco ponad miarę, ale spojrzenie jasnych oczu, którym mierzył Bezpryma, było bystre.

— Pono chciaeś gadać ze mną? — zapytał.

— Mniemałem, że ty chcesz ze mną pogadać — odparł Bezprym. Otto zaśmiał się i rzekł:

— Tedy chcieliśmy obydwaj jedno. I odgadnąć nie-trudno, że o jednym.

Zapieczona jednak nieufność Bezpryma do ludzi nie pozwoliła mu skorzystać z widocznej zachęty do szczerości. Widzieli się po raz pierwszy w życiu, a położenie ich nie było równe. Otto nie miał powodu żywić nienawiści do rodzzonego brata, jakim był dla niego Mieszko. Gdy Bezprym milczał, Otto zrozumiał przyczynę jego powściągliwości i uśmiechając się drwiąco podjął:

— Słusznie nie wierzyłbyś, że jeno z miłości braterskiej chcę się pogadać z tobą. Ale łacniej ja ciebie mógłbym się lękać, niżli ty mnie. Nikomu nie tajne, po coś ubieżał z klasztoru, a skoro ci z węgierskim krewniakiem nie wyszło, rad byś się przedał, kto by cię kupić zechciał. O mnie zaśie jeno tyle wiadomo, że mi dziewczki i biesiady w głowie.

Przeto i ja nie ufam twej braterskiej przychylności i wolę gadać bez świadków.

— Tedy gadaj! Czego ode mnie chcesz?

— Przódzi pogadajmy, czego ty chcesz. Mniemam, że mógłbym ci pomóc, takóž nie z braterskiej miłości.

— Wiem. Jeno czego oczekujesz wzajem ode mnie? Mogę ci owe dwie grzywny srebra ofiarować, które mi Mieszko w swej łasce wypłacać zlecił — mruknął Bezprym z gorzką drwiną. Otto zaśmiał się:

— Niebogato cię wywianował. Mnie by na dziewczki nie starczyło. Dla mnie hojniejszy jest, widno mniema, że mi do końca żywota starczy co noc z inną ladacznicą sypiać. Zadość mi ich już, mogę ci je darmo odstąpić.

— Nie proszę o to — warknął Bezprym, podrażniony. Otto zaśmiał się znowu i ciągnął:

— Nie sierdź się! Rad bym ci wygodził, boś się w klasztorze wypościł, a mnie już się przejadły. Ale może ty świętym chcesz ostać? Pono obwołać nim mają cesarza Henryka, przeto że z małżonką sypiać nie wydolił.

Parsknął śmiechem, ale Bezprym pięścią w stół uderzył:

— Zadość! Drwić ze mnie przyszedłeś?

— Nie sierdź się — powtórzył Otto. — Podpiłem, tedy mi wesoło. Tobie takż radzę nie stronić od dziewczek ni biesiady. Cóże zdziałasz siedząc samotnie jako puchacz na dzwonnicy? Przy miodzie i winie łacniej o druhów, czekać lżej a nie w ostatku piaskiem w oczy Mieszkowi sypnąć, że ci to za wszystko starczy.

— Odwykłem — mruknął Bezprym ponuro.

— Odwykłeś, to przywykniesz. Sposobności nie brak. Ja ci rzekę, czego ja chcę: zadość mi na braterskiej łasce siedzieć, jako na narowistej szkapie, nie wiada kiedy tobą praśnie. Małżonkę chcę pojąć królewskiego rodu, a dadzą mi to, gdy niczym nie jeśm!

— Cóże ja ci pomoc mogę?

— Nie ty mnie, jeno ja tobie, ale nie darmo.

— Czemużeś sobie nie pomógł, skoroś taki mocny?

— Czekałem. Mieszko dziesięć godów ode mnie starszy i nietęgiego zdrowia. Kazimierz takż słabowity, prawie na mnicha zdatny. Iście Mieszko postrzyc go niechał. Aliści po to, by niewzdanego Bolka na następcę sobie sposobić.

— To już wiem, po co mi to gadasz?

— Bo pytasz, czemu sobie nie pomogłem. Nie spieszo mi było. Jako rzekłem przy dziewczkach i miodzie nie dłuży się czekanie. I ninie czekać trzeba sposobności, ale za sojusznikami zawczasu się obejrzyć. Wiem, po coś wrócił. Z rodu jeś najstarszy, najdą się tacy, co za tobą staną. Miast działać przeciw sobie, działajmy pospołu. Za postronnym oparciem rozejrzeć się należy. Tobie na ręce patrzeć będą, mnie nie.

Bezprym słuchał ze zmarszczoną brwią. Gdy Otto skoń-

czył, milczał przez chwilę, jakby się namyślał czy wahał.

Zaczął:

— Mnie czekać nie pora, by Mieszka nie stało. Starszym od niego, zdrowie ostawiłem w bagnach Pereum. Chcę odzyskać, co mi z prawa należy i z nim się policzyć za zmarnowany żywot. Ty prawisz o poplecznikach, ale raniej wrogów policzyć. I ty, i ja duchowieństwo będziem mieć przeciw sobie. A postronnych sojuszników najdziem takich, jak ja znalazłem. Swojej będą patrzeć korzyści.

Otto lekceważąco ramionami wzruszył:

— A my czyjej? O duchowieństwo się nie troskaj. Jeszcze prosty naród starych bogów nie poniechał, ciężary, jakie na rzecz nowego dźwigać musi, rad zrzucić. Za postronna poparcie zasię iście będzie trzeba zapłacić. Jarosław za Grody Czerwieńskie ani chybi udzieli pomocy. Konrad za Milsko i Łużyce, Oidrzych za Morawy lubo nawet Śląsk. Zapłacić mozem, tobie o pomstę jeno idzie, ja zasię wolę coś niż nic.

— Rycerstwo krzywe będzie — mruknął Bezprym. — Za złe ma Mieszkowi, że bez walki kraj Stefanowi ustąpił.

— Nadtoś przezorny. Tedy trzeba ci było w Camaldoli ostać, bo tam najbezpieczniej. O czym tedy ze mną chcesz uradzać? Co czynić, by wszystkim dogodzić?

Błada twarz Bezpryma nabiegła krwią, ale się pohamował i odparł:

— Nie o bezpieczeńność dbam, choćbym żywot miał stracić, swego nie poniecham. Ale że mam jeden jeno, nie chcę go stracić za nic, wrogom na uciechę. Przeto z tobą rozważyć chciałem, jak swoje osiągnąć, a pirwe czego ty wzajem czekasz?

— Juści nie tego, by miast Mieszka ciebie mieć nad sobą. Mnie takóž nie pilno wygodny żywot na wygnanie zamienić lubo oczy postradać. Tedy sposobności wypatrywać należy, ale gotowym być, gdy nadejdzie. A czego chcę? Współrządów i następstwa po tobie. Mamci ja popleczników i ty byś znalazł, jeno nie na bezludziu siedząc.

— Gdybym ninie na dwór wrócił, żupan mógłby powziąć podejrzenie, a tam będzie miał mnie na oku.

— Pozór masz dogodny, bo Mieszko zjazd zwołał do Poznania i sam przybywa. Pono wyprawę gotuje na Morawy, które Brzetysław naszedł, a naród tamtejszy mści się wojackiego ucisku i załogi nasze wycina. Zastaniesz jeszcze Mieszka, żądaj, by ci gród jakowy wyznaczył na siedzibę, nie zastaniesz, takóž pozór, że czekasz na niego. Na podgrodziu najdzie się dla ciebie gospoda, gdzie nie będziesz

sterczał na oczach żupanowi. Przeto jak? Stoi znowa?

Bezprym głową skinął, ale zapytał:

— Jeno jak znosić się będziem, by nie pomiarkowali, iżeśmy zmówieni?

— Przez niewiasty. Wszytkim wiadomo, po co do mnie zachodzą — zaśmiał się. — Ty zasię nie musisz wszem wobec głosić, że nie wiesz, co z nimi poczynać.

Bezprym zachnął się, ale jedynie odburknął:

— Pono zdradliwe bywają...

— Ja mam takową, co ani by się skrzywiła, gdybym jej obwiesić się kazał — rzekł Otto. — Ty zasię, jeśliś zabył, czym się jedna białe głowy, starkę sobie wyszukaj, która nie ma nikogo. Takie już są, że muszą serce do kogoś przylepić. Za dobre słowo i byle świecidełko możesz ją kupić. I bez tego jakowąś zmówić sobie winienes, coby zadbała o twoje potrzeby. Wierzaj mi, bo na niewiastach się wyznawam. Ninie żegnaj. Ja za swoimi w las, ty zasię zbieraj się do Poznania.

Zostawił Bezpryma w zamyśleniu i wyszedł.

W Poznaniu wpadł Bezprym w wir przygotowań do morawskiej wyprawy, w mieście i na grodzie przewalały się tłumy. W starym dworcu izba, w której poprzednio stał gospodą, zajęta była przez przyjezdnych dostojników przybyłych na zjazd. Bezradny, z trudem dopytał się o żupana Dobromira, który przyjął go z niecierpliwym zdziwieniem. Zagadnięty o pomieszczenie, które Bezprym mógłby zająć, odparł porywczo:

— Wždy nikto was stąd nie wyganiał. A nie udał wam się leśny dworzec, można było w nim choć przeczekać, by się tu przewaliło.

Bezprym pohamował gniew i powiedział spokojnie choć ostro:

— Leśny dworzec iście dobry, by w nim wypocząć po łowach lubo zejść ludziom z oczu, jak sami wiecie. Ninie zjechał tam królewic Otto ze swymi, ni miejsca, ni spokoju. Przeto przybyłem, bo z królem gadać muszę, by mi gród jakowy na siedzibę wyznaczył.

— Wybaczcie — rzekł Dobromir. — Sam nie wiem, gdzie mi głowa stoi. A do miłościwego pana ani podobna się dopchać. Nawet posłowie księżnej Matylidy i palatyna Ezzona po dziś dzień na posłuchanie czekają. Na jutro miłościwy pan wyjazd zapowiedział, tedy pewnikiem odprawić ich zechce, gdy wróci z przeglądu wojsk, a jeszcze innych spraw nie brak. Gdzie mu ninie zajmować się waszą, skoro nic nagłego.

— Tedy zaczekam tu, póki z wyprawy nie wróci, jeno gdzie?

Dobromir odparł zakłopotany:

— Skończy się zjazd, wyjdą wojska, najdzie się dla was gospoda, nie zechcecie na grodzie, to na podgrodziach czy w osadach. Jeno dzionek lubo dwa zaczekać trzeba.

— Gdzie mam czekać? — oschle zapytał Bezprym.

— Cóż ja z wami pocznę? — mówił Dobromir zakłopotany. — Chyba w moim domostwie ściany rozepchnąć, bo już gromada rodowców w nim gości. Ale jedną lubo dwie nocki wydzierzycie społem z nimi, pokąd się coś nie najdzie. Wraz przyślę pachołka, któren was do mnie zawiedzie, a ninie zwólcie się pożegnać, bo ani wiem, co prędzej poczynać. Ino patrzeć, jak miłościwy pan wróci i zgłosić się muszę po rozkazy.

Słowa żupana potwierdził wzmożony gwar na dziedzińcu. Król wrócił istotnie i nie odpocząwszy nawet polecił zawiadomić posłów, że przyjmie ich bezzwłocznie. Posłuchanie trwało zbyt krótko, posłowi księżnej Matyldy wyraził tylko podziękowanie za ofiarowaną mu księgę i przekazał wzajemne, równie cenne dary w futrach i klejnotach. Poselstwu Ezzona natomiast kazał zawiadomić swego teścia o tym, czego sami są świadkami: dopiero wróciwszy z wyprawy już na drugą ciągnąć musi. Nijakich zobowiązań, podjąć nie może, póki spokoju we własnych granicach nie przywróci.

Dobromir nie zwodził Bezpryma, mówiąc, że królowi nie pora zajmować się jego sprawą. Zewsząd inne napierały na Mieszka. Niemal jednocześnie zmarli sędziwy metropolita gnieźnieński Hipolit i biskup wrocławski Klemens; pilne a niełatwe było obsadzenie osieroconych stolic, rozbudowa wschodniej metropolii znowu musi ulec zwłóce, co gorsze, śmierć Hipolita pozbawiała króla wypróbowanego i światłego doradcy. Od śmierci ojca zaczęło się dla Mieszka pasmo niepowodzeń, a nic nie pozwalało przewidywać ich kresu. Przeciwnie, nietrudno było przewidzieć, że utrata na rzecz Węgier kraju nad Wagiem stała się dla Morawian zachętą do buntu, nie bez poduszczenia i poparcia czeskiego. Skarbek Awdaniec słusznie mówił, że kto się z napastnikiem układa, innym zachętę daje do napaści. Ale Mieszko nie zapomniał, że nawet wielki jego dziad i imiennik walcząc o Morawy utracił Grody Czerwieńskie. Gdyby teraz związać na Morawach znaczniejsze siły, Jarosław nie pominie sposobności, by powetować niedawną porażkę. Mieszko wolał utracić Morawy, stanowiące kość niezgody

z Czechami i podrzucić ją węgierskiemu Stefanowi. Ciągnął na wyprawę z samą jazdą, by ocalić co się da ze stojących po grodach załóg, a nie w ostatku zadość uczynić drużynie, żadnej jeńca i łupu. Rozgoryczony był jednak i przygnębiony. Nie miał wątpliwości, że jemu przypiszą winę utraty zdobywcy ojca i dziada. Gdy żegnając króla na wyjeźdnym, żupan zawiadomił go o przybyciu Bezpryma, Mieszko zachnął się niecierpliwie i odparł:

— O własnym synu czasu nie stało pomyśleć. Bezprym niechaj siedzi, gdzie chce, byłem o nim nie słyszał.

Mówił, że nie ma czasu pomyśleć o Bolku, ale myślał o nim nawet w pośpiesznej drodze na Morawy i wśród rozgorzałych tam walk, gdy Brzetysław wypadem dotarł aż po Znojmo i rozpuścił zagony, zarówno dla łupu, jak i ogarnięcia niedobitków polskich załóg, cofających się na północ. Rozdrażniony buntem Mieszko nie przechręcił się pustoszeniu kraju, który z góry uważał za stracony. Bez walk już dotarłszy w powrotnej drodze do źródeł Odry wzmocnił stróżę przy Bramie Morawskiej resztkami wycofanych załóg, konną drużynę odesłał do Poznania, sam zaś ze szczupłym orszakiem, nie zważając na zmęczenie, ruszył na Kalisz, nie zatrzymując się po drodze, by przed jesiennymi słotami dotrzeć na Kujawy, gdzie we Włocławku spodziewał się zastać Bolka. Tylko miesiące dzieliły go już od osiągnięcia wieku sprawnego, nie pora ustanawiać mu piastuna, zresztą Gozdawa słusznie radził, by sam król zaprawiał syna do czekających go zadań. Ustawiczne napięcie, w jakim od śmierci ojca żył Mieszko, niepowodzenia i domowe troski, odbijały się na zdrowiu. Czuł wyraźny upadek sił i nachodziło go coraz częściej przeczucie, że wkrótce zdać mu przyjdzie ciężar rządów niedoświadczonemu młodzikowi. Chciałby mu zostawić uładzone choć uszczuplone dziedzictwo. Gdy sąsiedzi odbiorą to, co im zabrał Chrobry, łatwiej mu będzie bronić swego.

Nie myślał natomiast Mieszko o wewnętrznych wrogach.

Otto niczym się dotychczas nie przypominał poza rozwiązłością, Bezprym stary jest i wyniszczony. Nie chciał sobie nim myśli zaprzętać.

Żupan Dobromir dotrzymał słowa i gdy Poznań wrócił znowu do powszedniego życia, zjawił się u Bezpryma i rzekł:

— Ninie miejsca nie brak ni na grodzie, ni w moim dworcu i zgoła w nim ostać możecie.

— Za gościnę dzięki, ale chciałbym być u siebie — odparł Bezprym.

— Jak wola wasza. Tedy jest tu dworzec na Winiarach,

nowy po setniku Domasławie. Obszerny, z obejściem i sadem, jeno nieco na uboczu. Żywie w nim jeno owa stara niewiasta z takóž starym smerdem. Gadałem z nią, rada was przyjmie, bo samotna jest. Pachołków do posługi czy do koni dam wam, ile trzeba, ale zdadzą się niewieście ręce, czy strawę uwarzyć, czy o przyodziewę zadbać.

— Dzięki! — odparł Bezprym. — Rad sobie dworzec obejrzę i sam zmówię się z ona niewiastą, jeno wskażcie gdzie.

Bezprym wolał usiąść na uboczu, ale chciał się rozejrzeć, czy i tam nie będzie pod nadzorem.

— Wraz przyślę pachołka, który was tam zawiedzie, a mnie uwiadomi, zali wam po myśli gospoda — rzekł Dobromir i wyszedł.

Pachołek zjawił się wkrótce z dwoma końmi, bo dworzec istotnie dość był odległy. Żadnych innych zabudowań w pobliżu nie było. Obszerny budynek mieszkalny dzieliła na dwie części sień, wiodąca na przestrzał od podjazdu z rozległego dziedzińca do położonego na tyłach sadu, przylegającego do rzeki. Po ruchu i gwarze panującym na grodzie, na odwykłego od nich Bezpryma kojąco działały panująca tu cisza i spokój. Był pogodny dzień jesienny, powiew chwilami pociągający od rzeki przynosił woń dojrzalego, rozgrzanego słońcem owocu.

Miejsce zdawało się Bezprymowi zaciszną przystanią, gdzie mógłby beztrosko dokonać swych dni. Ale zapieczona nienawiść i nieufność nie pozwoliła mu powodować się tym uczuciem. Zanim postanowi tu pozostać, chciał poznać niewiastę, o której mówił Dobromir. Starej samotnicy nie kupi za błyskotki, jak mu doradzał Otto, a zgorzkniałemu niełatwo będzie nawet pozyskać ją dobrym słowem, którego sam nie słyszał od pacholących lat.

Stary smerd oznajmił, że gospodyni jest w sadzie i poszedł jej oznajmić przybyłych. Czekał na nią Bezprym rozglądał się po otoczeniu. Wstawało w nim wrażenie, że nie po raz pierwszy znalazł się tu, jakby wspomnienie sennego marzenia, bo darmo usiłował sobie przypomnieć, dlaczego to miejsce nie zdało mu się obce.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos szybkich kroków. Na ścieżce w sadzie ukazała się stara niewiasta. Niemal biegła, siwy włos bez czepca miała rozwiany, pomarszczona twarz zarumieniona była, ze wzruszenia czy z wysiłku. Zdać się mogło, że spodziewała się ujrzeć kogoś innego, dostrzegłszy bowiem Bezpryma przystanęła oddychając szybko, a na twarzy jej zjawił się wyraz zaskoczenia czy zawodu. Przez

chwilę patrzyli wzajem na siebie. Znowu naszło go wrażenie, jakby skądś znał tę niewiastę. Pokrywając szorstkością zmieszanie rzucił:

— Cóż na mnie baczysz, jakbyś odmieńca ujrzała?

Nie zaraz powiedziała przez ściśnięte gardło:

— Co oni z tobą działali!

Zmieszał się jeszcze bardziej i zapytał;

— Znasz mnie? Ktoś jest? Jako się zowiesz?

— Pirwe twoje słowa do mnie były, jako do matuli, bo rodzoną ci zabrali. Gdy posłyszałam, żeś wrócił, jako na synaczka czekałam. Nie bądź gniewny, że cię nie poznała, tyle zim minęło! Pacholęciem byłeś, jeszcze nie postrzyżonym, gdy mi cię odebrano. Opłakałam cię, jak własnego. I ja zmieniłam się. Ale tu, gdzieś stawiał pirwe kroki, nie zmieniło się nic, dziw, żeś nie poznał.

Słowa te padły jakby promieniem światła w mrok niepamięci. Bezprym znał to miejsce, jeno ongiś dworzec ze swymi zakamarkami zdał mu się ogromny, a obejście z sadem światem całym. Teraz zmałały, dom jakby skurczył się i przysiadł, ale Bezprym przypomniał sobie każdy szczegół. I jakby pochwycił zerwaną nić pamięci, niemal bezwiednie szepnął do siebie:

— Chwalona! Matuś!

Zawstydził się i opanował wzruszenie. Tej niewiasty nie potrzebuje kupować, ni obawiać się. Po raz pierwszy nie będzie zmuszony kryć się ze swymi myślami i zamiarami.

Oczy starej zaszklily się. Powiedziała drżącym głosem:

— Przypomniałeś! Tyś jeden mnie tak zwał. Mój rodzony zmarł nim gaworzyć zaczął. Potem małżonkowi się legło i tak już ostało: pustka! Ninie jakby minione wróciło, już mi nikto ciebie nie odbierze.

Nie chciał jej łudzić, że pozostanie na zawsze, że po to uchodził z klasztoru, by tu pustelnikiem osiąść. Jeżeli mu służyć ma pomocą w jego zamierzeniach, musi ją wtajemniczyć, ale na to czas będzie.

Czekała jednak widocznie na potwierdzenie swej nadziei, a gdy milczał, zapytała niespokojnie:

— A może ty małżonkę pojąć zamierzasz? Przyrzeknij, że mnie zabierzesz z sobą. Będę wam dziatki...

— Nie pojmem małżonki, nie będzie dziątek — uciął gwałtownie. Przypomniał, że odebrano mu i to, co pozwala przedłużyć nadzieje poza własne nieudane życie. Ale widząc wyraz przykrości na twarzy Chwalony, dodał już spokojnie:

— Ninie ostanę, a o tym, co zamierzam, jeszcze zadość

ugwarzym. Jesień idzie, potem zima, co robić w długie wieczory, jeśli nie gadać?

Westchnęła z ulgą. Tyle zim przesiedziała samotnie, nie mając ust do kogo otworzyć, że nadzieja spędzenia nadchodzącej z tym odzyskanym mlecznym synem pozwalała czekać na nią z radością. Po co wybiegać myślą zbyt daleko, lepiej nie znać przyszłości. Powiedziała:

— Iście tak! Gwarzyć czas będzie, a ninie pójdź się rozgościć.

Zrazu jednak niewiele gwarzyli ze sobą. Oboje odwykli od mówienia, a Bezprym, jakby powetować chciał długie lata zamknięcia, wałęsał się po okolicy lub przesiadywał nad rzeką, w zadumie patrząc na sunącą cicho falę. Często nie przychodził nawet na południowy posiłek, bywało, że zasiedział się tak, iż stara szukać go musiała, by choć na wieczerzę wrócił. Zdał się czekać na coś czy na kogoś. Nie chciała dopytywać, spodziewając się, że sam powie, gdy jesienne słoty i krótkie dni zmuszą go, by więcej przebywał w domu. Tymczasem starała się dogadzać mu jak umiała i martwiła się, że na to nie zwraca uwagi.

Pogodna jesień skończyła się wkrótce i Bezprym istotnie częściej teraz przebywał w domu, ale widocznie zaczynał się niecierpliwic. Roztargniony był tak, że zdał się nie wiedzieć, co je. Gdy raz zapytała go, czy mu jadło nie smakuje, spojrzał na Chwaloną, jakby nie rozumiejąc o co pyta. Gdy powtórzyła pytanie, uśmiechnął się z przymusem i odparł:

— Od jadła takż odwykłem. W klasztorze, co jeno człeku miłe, wszystko grzech. Nawet sen, bo przyśnić się może coś grzesznego. Czuwając łącniej się ustrzec od biesa.

Parsknął złym śmiechem i ciągnął:

— Widno jednakowoż biesa nie ma, bo zjawiłby się, gdym go przyzywał.

— Nie mów! — szepnęła Chwalena nieznacznie spluwając za siebie. — Prawią, że Zły może się przytaić w samym człeku i do zguby go wiedzie.

— Niechby! — odparł. — Byle mi pomógł pomsty dokonać. Pókim żyw, nie poniecham jej. Z prawa mnie się patrzyło królestwo, policzę się z wydziercą.

Po raz pierwszy powiedział wyraźnie, do czego zmierza, a Chwalena zrozumiała, że znowu grozi jej utrata człowieka, który stał się treścią jej życia. Powiedziała nieśmiało:

— Wždy nie on jest wydziercą i nie on cię ukrzywdził.

Rodzie mu właśc przekazał, gdy ty mnichem byłeś...

— Mnichem byłem! — przerwał jej gwałtownie. — Zali

ty rozumiesz, co to w zaraniu młodości wyzbyć się nawet nadziei? Przez ćwierć wieka żyć, na śmierć jeno czekając, jako z głową na pieńku. Ni miłości, ni drużby, ni swobody.

Bodaj z bezdni nie wyjrzał ten, co mnie na to skarał...

Bezprym aż się zachłysnął wściekłością na wspomnienie.

Stara zrozumiała, że nie odwiedzie go od zamierzeń. Ale co zdołała przeciw królowi? Czeką go jeszcze jeden zawód, może nie tylko zawód. Chybiony bunt może oczyma przypłacić, jeśli nie życiem. Szepnęła bezradnie:

— Cóżże ty wskórasz sam przeciw wszystkim?

— Nie sam. Nie brak Mieszkowi wrogów, nie jeno postronnych, ale we własnym domu. I nie przeciw wszystkim. Nie zyskał sobie miru u wojów przez to, że węgierskiemu królowi kraju ustąpił, byle mnie przedał.

— Mniemasz, że sami nie swego jeno będą patrzeć?

A Mieszko nie czędo, wie, czego chce. Po to za ciebie zapłacił, by mieć cię na oku i pod ręką. Jakoże się z mówisz?

— Zmówiłem się już — mruknął Bezprym. Gdy patrzyła na niego pytająco, dodał:

— Z Ottonem!

Plasnęła w dłonie:

— Wierzysz mu? Wždy z Mieszkiem jednych ojców syny. Gdyby przeciwko rodzonemu chciał powstać, dawno by to uczynił. Widno nie jeno nie mógł, ale nie chciał, bo słyszałam, że człek ma być lekki.

— Nie wierzyłbym — odparł Bezprym chmurnie — gdyby, jak sama wiesz, własnej nie patrzył korzyści.

— I cóże mu za korzyść Mieszka na ciebie zamienić?

Zali mu lepiej będzie niżli z rodzonym? Nie słyhać, by jakowaś zadra była między nimi.

— Ostaw! — mruknął niecierpliwie, czując, że Chwalena zamierza go odwieść od postanowienia. — Wiem ja, czemu raniej nie chciał i nie mógł, a ninie chce i może. On zasię wie, że społem łącniej to posięgniem niżli przeciwko sobie. I wie, że ja potomstwa mieć nie będę i jemu przypadnie dziedzictwo.

— Wždy po Mieszku takż jemu by przypadło. Król jedynego syna w mnichy oddał, a innego nie będzie, bo z małżonką ani nie gadają.

— Ale starszego ma po miłośnicy i jego na następcę sobie sposobi.

— Nie wiedziałam — rzekła w zamyśleniu. — Iście pomnę, że syneczka mieli. Piękna była niewiasta, miłowali się, ale mu rodzic porzucić ją kazał, a oną Niemkę pojąć.

Twardy był stary król, niełacno było mu się przeciwzić. On

zasię potrafił i wbrew ojcowej woli macierz twą wygnał, by pojąć tę, którą umiłował.

Patrzyła zaskoczona na Bezpryma, którego twarz nabiegła krwią i żyły wystąpiły na skroniach. Złękła się, iż krew go zaleje, ale zbladł i wyszeptał chrapliwie, przez zaciśnięte zęby:

— Tedy po co mnie spłodził ów wszetecznik!

Po chwili zaczął spokojniej:

— Otto prawil, że za sojusznikami się rozejrzy i postronnym poparciem. Przez jakowaś niewiastę miał się znosić ze mną. Zima idzie, a od niego ani wieści.

— Może zgoła zabył, o czym gadał z tobą. I jakich to znalazłby popleczników? Opojów, jak sam.

Bezpryma ogarnęło przygnębienie. Otto istotnie podchmielony był, gdy się zmawiali. Jeżeli poniechał sprawy, należy samemu coś przedsięwziąć. Choćby wiedział co, pora niesposobna. Przymrozki zwarzyły już listowie, rozeгнаły je północne wiatry, ołowiane niebo siąpiło słońcą. Jeżeli Otto nie wrócił do Poznania, nie wróci wcześniej aż ustali się zima. Jemu czas się nie dłuży na rozmyślaniach, jak Bezprymowi. Trzeba wiedzieć przynajmniej, czy jeszcze liczyć można na Ottona. Powziął postanowienie i rzekł:

— Jadę do grodu. Niechaj mi pacholek konia osiodła.

Chwalena złękła się, że znowu zostanie sama, nie była też wolna od obawy o Bezpryma.

— Po cóż pojedziesz? — rzekła. — Nie lepiej by cię zabili? Żle ci to u mnie?

— Wždy wróczę, jeno się rozejrzę co poczynać — odparł. — Nigdy i nigdzie lepiej mi nie było — dodał ciepło. Mówił, co czuł, ale właśnie dlatego obawiał się, że gotów zapomnieć myśli o zemście, którą pieścił się od czasu, gdy myśleć począł.

Po przybyciu do miasta Bezprym nie dopytywał się o Ottona, pewny, że dowie się i bez tego. Jeśli Otto wrócił, a nie poniechał zamiaru, zgodnie z układem sam da znać o stanie sprawy. By nie budzić podejrzeń, Bezprym otwarcie zajechał na gród, zgłosił się u skarbnika Radwana po przyznane mu srebro, po czym odszukał żupana i pod pozorem, że chce się u króla upomnieć o wyznaczenie mu jakiegoś grodu na siedzibę, wypytał, kiedy można spodziewać się jego przybycia. Wiedział już, że Mieszko wrócił z Kujaw, nie było go jednak w Poznaniu. Dobromir odparł, widocznie zakłopotany:

— Król wraz z synem pojechał na Lednicę. Kiedy wróci, nie wiem. Sam czekam na niego, bo spraw narosło pod je-

go nieobecność. Czekają także poselstwo lutyckie, pan biskup krzyw o układy z poganami, rad by je udaremnić, a wždy sprawa ważna jest. Lepiej by z nami szli na Niemca niżli z Niemcem na nas, jak dotąd bywało. Słałem już do króla, by sam rozstrzygnął, ale nie wraca, oni zaś niecierpliwą się i wyjechać gotowi, gdy pomiarkują, że lekce się ich, waży.

Żupan nie mówił o większej jeszcze trosce. Król nie pojechał do pałacu na Lednickim Ostrowiu, lecz do osady nad jeziorem, do swej dawnej miłośnicy. Rozdzwitek między małżonkami groził otwartym zerwaniem. Rycheza nie robiła tajemnicy, że nie zniesie współzawodniczki. Sama oziębła i oschła, nie dbała o oziębłość małżonka, ale urażona w swej dumie cesarskiej krewniaczki wymogła od biskupa, by wezwał króla do zerwania z miłośnicą, w przeciwnym razie ona wróci do Niemiec i zażąda rozwodu. Jasne było, że wówczas potężny ród Ezzonidów ze sprzymierzeńca stanie się wrogiem. Nawet Chrobry zawsze dbał o to, by mieć w Niemczech prawdziwych czy kupionych przyjaciół. Sprawa budziła niepokój wśród dostojników i naradzali się z biskupem, jak wpłynąć na króla, by starał się załagodzić stosunki z małżonką.

Mówiono o tym nie tylko na dworze, ale po gospodach i na targu, a Bezprym przysłuchiwał się rozmowom, rozmyślając jaką korzyść może wyciągnąć ze sporu w królewskiej rodzinie. Mimo że Dobromir ofiarował mu gościnę u siebie lub we dworze na Tuńskim Ostrowiu, wolał stać w karczmie na podgrodziu, gdzie nie zauważony łatwiej mógł zbierać wiadomości.

O Ottonie jednak nie dowiedział się niczego, natomiast często i z niechęcią mówiono o utracie krajów zakarpaccich, wraz z nimi korzyści z handlu dla kupców, a uposażeń i dostatków dla rycerstwa. Wspominano nie tak dawno minione czasy Chrobrego, który umiał nie tylko wojować, ale jednać sobie sprzymierzeńców tam, gdzie mu byli potrzebni, nigdy nie walczył jednocześnie na dwie strony. Mieszko umie jeno kupować sobie wrogów, nawet we własnym domu. Utrata Moraw i Słowacji stwarzała groźbę dla Śląska.

Bezprym słuchał tych wieści ze złą radością. Budziły w nim znowu zawiedzioną przez Stefana nadzieję, że nie darmo podjął trudy i niebezpieczeństwa ucieczki z klasztoru. Niepokoił go tylko brak wieści od Ottona, uzbierał się jednak w cierpliwość. Zanim spróbuje sam coś zdziałać, musi mieć pewność, co przedsięwziął i osiągnął Otto.

W ponury słotny dzień Bezprym siedział w swej izbie na wyżce, nasłuchując dochodzącego z dołu gwaru. Wciąż jeszcze nie mógł nawyknąć do przebywania w tłumie. Rozważał, czy nie wrócić do dworca Chwalony, gdzie panowała cisza i spokój, a stara niewiasta dogadzała mu we wszystkim. Zdawał sobie jednak sprawę, że siedząc na uboczu, pozbawiony będzie nawet wiadomości o tym, co się dzieje i prześlepić może sposobność pozyskania kogoś dla swych zamierzeń.

Niechętnie zebrał się i zszedł do izby gospodniej, gdzie przy miodzie i piwie biesiadnicy rozmawiali z ożywieniem. Usiadł w ciemnym kącie, czekając na zamówioną polewkę i przysłuchiwał się. Z panującego gwaru usiłował wyłowić jakieś wiadomości. Mówiono o przyjeździe króla, który wczesnym rankiem zjawił się na grodzie wraz z synem. We wnęce, przy stole przeznaczonym widocznie dla dostojniejszych gości siedziało grono poważnych mężów, a wśród nich siwowłósy, zapewne dworski dostojnik, bo godność jego zdradzał złoty łańcuch. Bezprym zdołał podsłuchać, że opowiadał o jakimś zajściu z Bolesławem w dniu koronacji i zakończył:

— Król, ani chybi, małżonkę podejrzewał, że zgubić chciała pasierba, przeto wysłał go na Kujawy. Ninie przywiódł go z sobą, choć widno, że nie w ostatku Bolko przyczyną jest zadry między małżonkami, bo starczy, że król jawnie już wrócił do swej ongiś popaszeli (nałożnicy). Nie ułatwi to panu biskupowi załagodzenia sprawy, choćby dla ludzkich oczu.

— Widno i król tego nie chce — wtrącił któryś z biesiadników. — Pamiętamy, jako ów młokos po koronacji wszem wobec ubliżył królowej, ona zasie nie zwykła zapominać urazy. Może i po to miłościwy pan przywiódł Bolka, by się pozbyć małżonki.

— Niechby wyjechała — wtrącił drugi — nikto jej żałować nie będzie kromie obcego duchowieństwa, bo mu nie skąpi, ze swego i nie ze swego. Jej włodarze wolnych ludzi do świadczeń nadmiernych przymuszają. Nie skarbi to i królowi miłości u prostego ludu, skoro się temu nie przeciwiał, bo nijak pojąć, by mąż zwałął niewieście za łeb się wodzić. Miłościwy pan ze wszystkim miętki jest, nie na te czasy, co, zda mi się, idą.

Stary dostojnik ręką strzepnął i przerwał:

— Nie nasza rzecz. Jemuśmy ślubili wiarę i posłuch. Za to następcę sobie sposobi, bodaj aż nazbyt bitnego. Wojem, ani chybi, będzie przednim, tęgi jest nad wiek i bystry,

jeno zdałaby mu się twardsza ręka niżli ojcową, zanim do rozumu dojdzie.

— Bogdajby się w dziada wdał. Jeno sam Bóg wie, co będzie, a ninie nie ma się z czego radować. Stary król chciał jak najlepiej jednego nad wszystkimi ustanawiając, jeno nie wiada, zali dobry wybór uczynił.

— Ani pora, ani miejsce o tym rozprawiać — uciał dostojnik wstając. Pozostali też jęli się zbierać, zapłacili i wyszli.

Bezpryma zaciekawiła podsłuchana rozmowa, jak również kim byli znaczni niewątpliwie mężowie. Od karczmarza dowiedział się, że najstarszy z nich jest szatnym królewskim, pozostali zaś to starszyzna wojsk stacjonujących w Poznaniu. Teraz Bezprym nie żałował, że wyrwał się spod opieki Chwaleny, gdzie zgnuśniałby do reszty. Jeśli nie ma poniechać swych zamierzeń, musi obracać się między ludźmi.

W tej myśli skierował kroki do dworca na Tuńskim Ostrowiu. Przyjazd króla skupia tam nici najważniejszych spraw. Pod pozorem, że chce się z nim rozmówić, może nie budząc podejrzeń rozejrzeć się wśród zgromadzonych tam ludzi, a nawet zbliżyć się do kogoś.

Już na dziedzińcu stwierdził, że do króla niełatwo się będzie docisnąć, ale nie spieszo mu było. Wszedł do wielkiej, dość mrocznej sieni, zatłoczonej tak, że nie było gdzie usiąść. Po chwili jednak z sąsiedniej izby wyszedł komornik i ogłosił, że król udzieli posłuchania tylko tym, których wezwał. Pozostali niechaj sprawy swe przedstawią żupanowi, który albo je sam rozstrzygnie, albo królowi przedstawi do rozstrzygnięcia.

Wszczął się szmer, sień jęła się opróżniać, pozostało tylko kilku, zapewne urzędników, miarkując ze złotych i srebrnych łańcuchów. Bezprym jednak miast wyjść usiadł na ławie pod oknem. Komornik przystąpił do niego, widocznie zamierzając go wyprosić, poznał jednak Bezpryma, bo skłonił się i rzekł:

— Wasza dostojność wybaczy, ale miłościwy pan odprawia ninie lutyckie poselstwo, potem zasię pan biskup zapowiedział swe przybycie. Zapytam, zali król zechce was wysłuchać. Może jednakowoż sprawę mógłby załatwić żupan Dobromir. Przyjmie waszą miłość przed innymi.

— Poczekam — odparł Bezprym. — Mój czas jest tani, ale nie żupanowi rozstrzygać sprawy między mną a bratem.

Rozmowa zwróciła uwagę obecnych, którzy widocznie dopiero z niej dowiedzieli się, kim jest Bezprym. Zaczęli szeptać między sobą, co go drażniło. W tej chwili jednak z sąsiedniej izby wyszło trzech mężów, obcych wyglądem i strojem, niewątpliwie lutyckie poselstwo. Przeszli przez sień nie rzuciwszy na nikogo okiem. Patrzono na nich z ciekawością, dotychczas bowiem rzadko bywała sposobność przyjrzenia się pogańskim sąsiadom, chyba ubitym w boju. Odwrócili uwagę od Bezpryma, który przypomniał sobie, że po nich zapowiedział swe przybycie biskup Paulinus. Jemu wołał się Bezprym nie rzucać w oczy i zamierzał wyjść, gdy drzwi od komnaty króla otwarły się ponownie i ukazał się w nich rosły i barczysty młodzieniec. Gładką jego twarz dopiero przyciemniać zaczął pierwszy zarost, spojrzenie jego błękitnych oczu, jakim obrzucił obecnych, było zarazem bystre i drwiące i drwiący był uśmiech, z jakim ledwo głową skinął dostojnikom, którzy na jego widok powstali z pokłonami. Bezprym domyślił się, że jest to Bolesław Mieszkowic, nie ruszył się jednak z miejsca, czym widocznie zwrócił jego uwagę, bo zatrzymał się przed Bezprymem i wskazując na niego zapytał towarzyszącego komornika, jakby rzecz miał przed sobą, nie człowieka:

— Kto zacz?

— Królewic Bezprym, przyrodni miłościwego pana — odparł komornik zmieszany. Obelżywe lekceważenie starszego krewniaka ze strony butnego młokosa rzucało się w oczy. Bolko dopełnił miary wzruszywszy ramionami, po czym odwrócił się i wyszedł.

Bezprym siedział jak uderzony obuchem, przed oczyma miał czerwoną mgłę. Wściekłość aż mu oddech zaparła, nie zważając na skutki, gołymi rękami rad by rozdarł zuchwalca, a zarazem czuł, że spotkałoby go jeszcze jedno upokorzenie. Poczucie bezsiły było tak dotkliwe, iż gotów był się rozpłakać, ośmieszając się na dobitkę wobec ludzi, którzy znowu szeptać jęli między sobą, jak sądził, drwiąc sobie z niego. Wstał i zataczając się jak ogłuszony skierował się do wyjścia. W drzwiach omal nie wpadł na biskupa, ręką odsunął go i nie obejrzawszy się wyszedł. Zdumiony i zaskoczony Paulinus rozglądał się po obecnych, widocznie czekając wyjaśnienia. Wszyscy milczeli jednak, tylko komornik skłonił się i rzekł:

— Zechciejcie spocząć, wasza wielebność, wraz uwiadomię pana.

Wszedł do sąsiedniej Komnaty, nie wracał jednak przez dłuższą chwilę. Paulinus widocznie dotknięty zachowaniem

Bezpryma zwrócił się do obecnych i zapytał:

— Kto zacz ów człek? Niespełna rozumu lubo pijany?

— To królowie Bezprym — odparł ktoś. Biskup powiedział jakby do siebie:

— Mam ja i o nim do pomówienia z królem.

Po chwili zjawił się komornik oznajmiając, że król czeka.

Mieszko powitał biskupa przy wejściu, wskazał mu miejsce za stołem i usiadłszy naprzeciw, zagaił:

— Słucham, co mi rzec zechce wasza przewielebność.

— Jak wiecie, miłościwy panie, nie zwykłem siebie i was zaprzętać błahymi sprawami. Nie jeno Kościoła, ale całego kraju dotyczą i nie we własnym jeno przychodzę imieniu.

— Wdzięcznym, że moją troskę o kraj dzielicie, bo nad siły to brzemie — rzekł Mieszko.

— Dla tych, których Opatrzność cięższą opatrzyła odpowiedzialnością, Kościół wyrozumialszy jest, na ich ludzkie słabości przymykając oczy — zaczął biskup. Mieszko z pewnym zniecierpliwieniem wpadł mu w słowo:

— Rozumiem, że o nich mowa nie bez powodu.

— Iście tak, bo nijak przez palce patrzeć, gdy grzech jest jawny, ład chrześcijański narusza, nie jeno zgorszenia stając się przyczyną, ale zerwania przez Kościół uświęconego związku. Tedy zarówno z pasterskiej powinności, jak i z naprawy dostojnej małżonki waszej, wzywam was, panie...

Mieszko wiedział już, do czego zmierza biskup i przerwał:

— Jeśli małżonka moja zerwać chce związek, który po prawdzie dawno z imienia jeno nim jest, ją radziej upomnieć należy. Jeno przypomnę wam, że rodzic mój po dwakroć pobłogosławione przez Kościół związki zerwał, a nie odmówiono mu pobłogosławienia trzeciego. Zali wonczas inne były pasterskie obowiązki niż ninie?

Paulinus zmieszał się, ale podjął po chwili:

— Nie jeno o naruszenie praw Kościoła chodzi. Grzech zawždy zacyń kary w sobie nosi. Jeśli małżonka wasza, słusznie w swych prawach i godności urażona, kraj opuści, przemożny ród jej ze sprzymierzeńca wrogiem się stanie.

— Wolej mi wroga mieć z dala niżli we własnym domu — uciał Mieszko. — Rzekliście, że w ważnych sprawach przychodzicie. Zali nie w tej jeno?

— Iście tak. Nie tajne, że bawi tu poselstwo pogańskich Lutyków, i nietrudno odgadnąć w jakim celu. Pomnijcie, że świątobliwy apostoł pogan Bruno samemu cesarzowi otwarcie przygarnął, iż z poganami przeciw chrześcijanom

się łączy.

— Rozumiem, że i to waszej wielebność pasterski obowiązek. Pamiętam jednak, iż cesarz wolał mieć pogan po swej stronie niżli przeciwko sobie. Ja takż. Czy to już wszystko?

— Nie! — odparł Paulinus podrażniony. — Nie przyniosło Bożego błogosławieństwa, że rodzic wasz uświęcone przez Kościół związku zerwał. Ostał po nim Bezprym. Nie mnie wam mówić o stratach, jakich już stał się przyczyną, ni o groźbie na przyszłość. Jako zbiegły mnich pod klątwą pozostaje ipso facto. Mniemam, że nie jeno dla zadośćuczynienia prawom Kościoła zechcecie go odesłać do klasztoru, skąd zbiegł, by pokutą chrześcijańskiej społeczności przywrócony ostał.

Teraz Mieszko milczał, chmurnie zadumany. Wiedział, że biskup w swym prawie jest, żądając odesłania zbiegłego mnicha do klasztoru, jak niedawno synod frankfurcki zmusił do powrotu również zbiegłego z klasztoru w Würzburgu — Gebharda, przyrodniego brata cesarza Konrada. Ale za nim nie ujmie się nikt, za Bezprymem zaś stanie Stefan węgierski, któremu Mieszko życie, zdrowie i wolność Bezpryma poręczył. Zbyt drogo zapłacił za spokój na południowej granicy i przymierze ze Stefanem, by zdrzeć z nim dla uczynienia zadość kościelnym przepisom.

Ale nie tylko zimny rozsądek wzbraniał tego. Jak wyrzut sumienia tkwiła w nim świadomość krzywdy, jaka spotkała przyrodniego brata. Nie z własnej woli został mnichem, a choć i nie z woli Mieszka, ale z jego przyczyny. Od komornika król wiedział już o zajściu z Bolesławem. Zuchwały młokos do krzywdy dodał upokorzenie. Zbyt szybko przywykł do myśli, że kiedyś władać będzie krajem, i zbyt wczesnie pochlebcy zabiegać zaczynają o względy przyszłego władcy. Postanowił skarcić zuchwalca, ale wiedział, że dla Bezpryma nie ma zadośćuczynienia. Po ranach zadanych dumie zawsze blizna zostaje.

W tej chwili Mieszko zapomniał o żądaniu biskupa. Gdy milczenie się przedłużało, Paulinus przerwał je:

— Czekam waszej odpowiedzi, miłościwy panie.

Mieszko drgnął jak przebudzony i odparł:

— Nie złamię słowa danego węgierskiemu królowi.

Paulinus wstał i rzekł:

— Debitum feci et animam salvavi*. Jakoż od prostego ludu czekać, by praw Kościoła przestrzegał, gdy od was się tego nie doprosić. Tedy zwólcie się pożegnać.

Gdy Paulinus wyszedł, Mieszko jął chodzić po komnacie,

zarazem gniewny i przygnębiony. Oto jak wszyscy pomagają mu dźwigać brzemień! I z Bolka miast wyręki jedna troska więcej.

Gdy wszedł komornik z zapytaniem czy może prosić następnych, król odparł:

— Niechaj przyjdą jutro. Znużony jeśm.

* spełniłem obowiązki i ocaliłem duszę

Chciał być sam, by choć myślał uciec do osady nad Lednickim Jeziorem, gdzie nigdy nie czekały go troski. Ale mimo że odległa zaledwo o dwie mile, zdała mu się daleka jak księżyc.

Bezprym miotał się po swej izbie, jak zwierz w pułapce, chory z bezsilnej wściekłości. Bękart po nałożnicy śmiał jego, pierworodnego syna królewskiego, zlekceważyć niczym psa przybłądę. Nienawiść, jaką Bezprym żywił do ludzi, teraz zogniskowała się na czelnym młokosie. Za pomstę na nim Bezprym wyrzekłby się wszystkiego, ale gdy próbował myśleć jak jej dokonać, gryzł palce i darł włosy w poczuciu zupełnej bezradności. Nie pamiętał, że od rannej polewki nie miał nic w ustach, a już zapadał wieczór chmurnego dnia. Błony w oknach ledwo odcinały się z mroku, w końcu zapanowała zupełna ciemność. Gwar, dochodzący z izby gospodniej, nacichał aż umilkł, jedynym odgłosem był teraz szelest kropel deszczu na gontach dachu.

Bezprym siedział w ciemnościach, nie wołając nawet o światło, wściekłość wyczerpała go, ale mimo to czuł, że nie zaśnie. Ilekroć wspomniał doznane poniżenie, krew uderzała mu do głowy i dudniła w uszach. Toteż zdało mu się, iż słuch go łudzi, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi. Gdy jednak powtórzyło się, zdziwiony i zły odsunął zaworę, przekonany, że gospodarz lub któraś z dziewczek służebnych przypomnieć mu chce, że nie wieczerzał. Otworzył drzwi i na jaśniejszym tle poblasku światła padającego z sieni ujrzał zarys męskiej postaci. Nie był to jednak

karczmarz. Bezprym gniewnie zapytał:

— Kto zacz i po co?

— Przyjaciel — odparł nieznajomy, odsunął Bezpryma, wszedł i zamknął za sobą drzwi. Zaskoczony i zaniepokojony Bezprym rzucił w ciemność:

— Nie mam przyjaciół. Czego tu?

— Wraz się okaże. Choć posłuchać warto.

— Kim jesteś?

— To nieważne, bo nie od siebie przychodzę.

Bezprym uspokoił się. Bez przyczyny nieznajomy nie przychodziłby w słotną noc. Z odgłosu przesuwanych sprzętów zmiarkował, że przybysz usiadł, jakby zamierzał dłużej bawić. Usiadł również i czekał na wyjaśnienie. Cokolwiek by to było, zajście odwróciło myśl Bezpryma od doznanego upokorzenia. Nieznajomy zaczął:

— Na grodzie jeno o tym gadają, na co sobie Mieszkowy szczeniak wobec waszej miłości pozwolił.

Bezprym aż się poderwał i rzucił ochryple:

— Zali po to przychodzicie, by mi o tym prawić?

— Nie bez przyczyny — spokojnie odparł nieznajomy. — A mniemam, że i bez przypominania nie zabędziecie odpłacić mu zniewagi.

— By chęć stała za możność — z goryczą rzekł Bezprym. — On ma za sobą wszystko, ja nic.

— Myli się wasza miłość. Czelność tego młokosa nie szczędzi nikogo. Gdzie się zjawi, mężowie cnoty swych niewiast ni cór niepewni. Nic to dla niego człeka ubić, a sprawiedliwości nie najdzie, bo król słabość żywi do niego, następcę sobie w nim upatrzywszy. Niejednemu aże strach o tym pomyśleć. Temu zapobiec należy.

— Rad to słyszę — powiedział Bezprym — jeno cóże ja w tym mogę? Iście i ja wolejby nie dożył, gdy ten znajda zasiądzie na stolcu, który mnie z prawa należy. Jeno że ninie siedzi na nim Mieszko. Młodszy ode mnie, raniej on mojej śmierci doczeka niżli ja jego, bo i zdrowie mi nie służy.

— Nikto nie wieczny, ale i Mieszkowej śmierci nie czekać. Cesarz Konrad nie daruje uczynionej mu ujmy, że się Mieszko bez jego przyzwolenia królem koronować niechał, korzystając, że poparcie miał teścia, a w Niemczech zamęt był.

Bezprym zaczynał się domyślać, z czyjego ramienia przychodzi posłaniec, nie mógł natomiast odgadnąć, czego od niego oczekują. Zapytał:

— Kto was do mnie przysłał i po co?

Zamiast wprost odpowiedzieć, nieznajomy zaczął:

— Wiecie, że był dziś u króla pan biskup...

— Iście wiem — przerwał Bezprym, teraz uświadomiwszy sobie, że minął się w przejściu z dostojnikiem, któremu wolał nie przypominać się. Nawet jeśli biskup w jego sprawie był u króla, Mieszko nie zadrze ze Stefanem, by zadośćuczynić biskupowi. Niecierpliwiło jednak Bezpryma niewyjawienie przez nieznajomego sprawy, w której przyszedł i rzucił:

— Przecz mi o tym prawicie?

— Bo nie wiecie pewnikiem, że biskup z naprawy pani Ryczezy domagał się od króla, by poniechał nierządneho związku ze swą miłośnicą.

— Jeno cóże się to ma do mnie, z kim Mieszko sypia? Nie moja to sprawa.

— Wraz się okaże, jeno wysłuchajcie. Miłościwa pani ani by dbała o takową współzawodniczkę, gdyby król prawego syna nie oddał w mnichy, by niewzdanego po miłośnicy następcą swym uczynić. Jakby i tego nie dość było, jeszcze jej zuchwalec wszem wobec zelżywość wyrządził, której ona takż nie zapomni.

— I to rad słyszę — odparł Bezprym — jeno wciąż nie wiem, po co mi o tym prawicie. Wždy królowa łacniej ukarać wydoli pyszałka niżli ja, co na łasce jeśm tu, gdzie władać moje prawo.

— Z cesarskim przyzwoleniem — wtrącił nieznajomy. — Temu lenno nadaje, komu jego wola i łaska. Ale „Treue urn Treue”*.

Bezprym milczał. To co słyszał, budziło nadzieję, ale zakorzeniona nieufność rodziła jednocześnie podejrzzenia. Nie miał już wątpliwości, że posłaniec przychodzi od królowej. Ale do czego jest jej potrzebny i co może w zamian ofiarować? A także komu i za co może go sprzedać?

Posłaniec wyczuł widocznie podejrzliwość Bezpryma i rzucił kości na stół:

— Miłościwa pani, jeno pora będzie sposobna, do Niemiec wyjedzie i zażąda rozvodu. Ale nie po to, by wolną rękę ostawić niewiernemu małżonkowi ni jego pomiotowi. Jeno że syn jej jeszcze nieletni, potrzebny tu człek zaufany, który by rządy objął, zanim młody pan do lat sprawnych dojdzie.

Bezprym milczał dalej. Wiedział już, czego królowa od niego oczekuje. Parę lat władzy starczy mu, by nasycić zemstę, a potomstwa mieć nie będzie. Ale bez postronnej pomocy nie zdoła jej pochwycić. Z tego co mówił posłaniec

zdało się, iż Rycheza liczy na poparcie cesarza dla swych zamierzeń. Bezprym jednak słyszał, że ojciec Rychezy niedawno wciągnąć chciał Mieszka do sprzysiężenia przeciw Konradowi. Jeśli nawet cesarz zechce ukarać Mieszka za koronację bez jego przyzwolenia, to nie po to by umocnić swoich przeciwników.

Nieznajomy podjął:

— Czekam odpowiedzi waszej miłości.

— To ja czekam, byście mi rzekli, jak to ja mam rządy objąć. Gdybym wydolił bez pomocy, dawno bym to uczynił.

* wierność za wierność

Posłaniec zrozumiał wątpliwości Bezpryma, bo odparł:

— Królowa zyska dla was cesarskie poparcie. Rodzic jej pojednał się z Konradem, cesarz przyrzekł mu nawet lenno Szwabii dla syna Ottona. Tym łacniej wnątkowi pomoże zapewnić polskie.

— A jeśli nie?

— Cóż stawicie? Do czasu możecie siedzieć na uboczu, niczego nie poczynając.

Bezprym jednak zadość miał jałowego oczekiwania. Czas się pracuje dla niego. Gdyby nie zmowa z Ottonem, nie miałby wyboru. Z drugiej strony nie miał też od niego żadnej wieści, a Otto słuszność miał mówiąc, że łatwiej osiągną cel działając zgodnie niż przeciwko sobie. Nieufność wstrzymywała Bezpryma, by mówić o tym z nieznajomym. Ten jednak rzekł niecierpliwie:

— Czekam odpowiedzi. Wtóry raz po nią nie przyjdę.

Jeśli nie was, najdziemy innego.

Bezprym przestał się wahać:

— Ani bym się nie namyślał — odparł — gdybym się nie umówił z królewicem Ottonem, że społem strącimy Mieszka. Jeno nie wiem, co począł i z kim się zmawia, bo iście bez postronnej pomocy takż Mieszkowi nie wydoli.

Nieznajomy zaśmiał się:

— Chytry! Nie rzekł wam, że takż przez królową szuka cesarskiego poparcia. Jeno że miłościwa pani radziej wam ufa, że układu dotrzymacie, bo jedno, że Otto człek jest lekki, wtóre, że gdyby właśc posiadł, za małżeństwem się obejrzy, które by mu pomogło ją zachować dla swego potomstwa.

Uprzedzając wątpliwości Bezpryma dodał:

— Pokojni bądźcie, że z nim załadzimy i przeszkadzać nie będzie. Dzielnicę otrzyma, która go zaspokoi, a cesarzowi na rękę nawet gdy kraj podzielony. Łacniej go w len-

nym posłuchu utrzymać.

— Tedy co mi poczynać?

— Czeakać. Zima idzie, cesarz bawi nad Renem, królowa nie wcześniej wyjedzie, aż drogi stwardną. Przyjdzie pora, damy znać.

Mieszko źle spał tej nocy. Mówiąc Paulinusowi, że woli mieć wroga z dala niż we własnym domu, miał na myśli małżonkę. Jej wyjazd odczułby jako ulgę, wraz z nią usuną się z dworu Niemcy, którzy kłuli w oczy butą krajowych dostojników, a i bez tego wielu z nich pamiętało nie tak dawne krwawe zmagania z drapieżnym sąsiadem. Prosty naród od wieków zwykł Niemca uważać za wroga, a Rychęza w niczym nie przyczyniła się, by pozwolić zapomnieć o przeszłości. Początkowo pokrzywdzeni skarżyli się królowi i Mieszko próbował przekonać małżonkę, by zakazała nadużyć swym włodarzom, ale daremnie. Ostatnio przestali się żalić, nie łudził się jednak, by się z nimi pogodzili. Dworaków i włodarzy Rychęzy pozbędzie się wraz z nią, ale ani nie może, ani nie chce pozbyć się obcego duchowieństwa, bo nawet wraz z krajowym zbyt nieliczne było, by wśród przywiązanego do starych bogów ludu utrwalić wątki jeszcze posiew nowej wiary. A zerwanie z małżonką, która swą nabożną hojnością umiała je sobie pozyskać, nie przysporzy mu przychylności obcego kleru, choć i sam nie żałował trudów ni kosztów, by umocnić organizację kościelną. Właśnie rozpoczął w Kruszwicy budowę katedry pod wezwaniem św. Zygmunta, a sandomierskiego scholastyka Marcelego wyznaczył biskupem dla Kujaw i Pomorza. Nie tylko Paulinus ma mu za złe, że nie dość stanowczo tępi pozostałości pogaństwa. A przecież żyje jeszcze całe pokolenie, które w czci do starych bogów wyrosło. Rozpoczęte przez ojca i dziada dzieło nawrócenia prowadzić należy z cierpliwą wyrozumiałością, przemoc może wywołać opór, który zburzy to, co już wybudowano.

By jednak siły, myśli i zasoby temu poświęcić, potrzebny jest spokój, a nie ma go nawet we własnym domu. I we śnie jak zmora gniotła Mieszka świadomość, że wrogów ma wszędzie. Na myśl przyszło mu zajście Bolka z Bezprymem. Czego chciał, dopraszając się o rozmowę, Mieszko nie mógł się domyślić, natomiast nie miał wątpliwości, że ciężko musiał poczuć się dotknięty w swej obolałej dumie wyzywającym zachowaniem młokosa, który dał mu odczuć, że niczym tu jest, gdzie z urodzenia mógł być pierwszym. Ale szkodzić potrafi i najmniejszy.

Mieszko sam nie wiedział, dlaczego tak silnie obeszła go

ta sprawa, że zakłóca mu sen. Może dlatego, że od Bolka nie takiej się spodziewał pomocy i wyręki. Młodzik nie chce zrozumieć, że władać to nie tylko wynosić się nad innych, że Jest lekkomyślną głupotą drażnienie wroga, choćby naj-słabszego. Wychowany samopas, jak zwierz zadufany jest tylko we własną siłę, której mu nie brak, niczyjej powagi nie uznaje.

Postanowił rozmówić się z synem. O sięgnięciu do kar myślał z niechęcią. Jak pragnienie odczuwał potrzebę kogoś bliskiego, kto by wypełnił pustkę osamotnienia. Kazimierza nie widział od chwili, gdy oddał go przeorowi, córki odejdą wraz z Rycieżą, która wszczepiła im własną niechęć do ojca. Z Ottonem nic go nie łączy, nie zawsze nawet wie-dział, gdzie się lekkoduch obraca, mała Matyllda to jeszcze dziecko, choć okazywała mu przywiązanie, nieczęsto nawet myśl jej mógł poświęcić. Za wszelką cenę chciałby pozyskać miłość tego syna, który dojrzały już mógł być towa-rzyszem jego trudów i trosk. Czuł jednak, że to jest słabość, o której bystry młodzik wie.

Ranek zbiegł Mieszkowi na załatwianiu zaległych spraw, których jak zwykle namnożyło się pod jego nieobecność. Na południowy posiłek Bolko nie zjawił się, zresztą Mieszko wolał nie mówić z nim wobec współbiesiadników. Nato-miast wieczerzę postanowił spożyć sam na sam z Bolkiem i wysłał komornika z poleceniem, by go odszukał i zawiadomił, że czeka na niego.

Czekał jednak dość długo, nim rozległo się pukanie i Bolko się zjawił. Powitał ojca z wesołą poufałością, usiadł na wskazanym mu miejscu naprzeciw niego, ale gdy wniesio-no wieczerzę powiedział:

— Wieczerzałem już, nie jestem łaknący, ale rad się na-piję.

— Zda mi się, że piłeś także — powiedział Mieszko. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę, by nie spłoszyć nastroju zbli-żenia. Miała to być przygana, ale Bolko jeno roześmiał się beztrąsko i odparł:

— A cóże działać w takową pluchę? W kości grać i pić. Mieszko zachmurzył się. Przyszłemu władcy nie szukać towarzyszy wśród opojów i kosterów. Powiedział poważnie:

— Nie czędoś, co się pod matusiną kieckę przed deszczem chroni. Choć konia przegonić należy, by się nie zastał. Żra-łyś już, może skoro wojować ci przydzie...

— Właśnie prosić was miałem, byście mi konia dać ka-zali — przerwał Bolko. — Rzekłby kto, że urok, nijakie-go szczęścia nie miałem, przegrałem wszystko com miał

i konia takż.

Mieszko pohamował gniew i powiedział spokojnie choć ostro:

— Urok? Wiedz, że są tacy, co wydolą sztuką szczęściu pomagać i głupców szukają, by ich obedrzeć. A najłaciej podpitego i jeszcze się w kułak z niego śmieją.

Bolko zerwał się, aż przewrócił stołek. Gładka jego twarz nabiegła krwią, aż żyły wyskoczyły na skroniach — śmieją się! — wrzasnął. — Łby porozbijam!

Rzucił się do wyjścia, ale Mieszko uchwycił go. Przez chwilę stał dysząc. Uspokoił się, podniósł stołek, usiadł i mruknął:

— Najdę ich przy dniu. Mogą poczekać.

— Po to, by na całym grodzie podśmiewano się, żeś się na dudka dał strychnąć? Nie będziesz ich szukał. Wiedz, że za każde doświadczenie się płaci. A ninie sam rozważ, po co grałeś. Co chciałeś wygrać? Brak ci czego ode mnie dostaniesz.

— Cni mi się — odparł Bolko chmurnie.

— Cni ci się? Mnie nieraz na sen czasu nie staje albo i troski spać nie zwoła. Ja w twoich leciech jużem rodzicowi był wyręką. Ty zaś jeno trosk mi przyczyniasz.

— Nie będę grał w kości — mruknął Bolko, Mieszko jednak ciągnął:

— Nie jeno to. Gdy ci kiedyś rządzić przydzie, druhów będziesz potrzebował zaufanych, z którymi trud mógłbyś podzielić. Nie przy kubkach takowych sobie zjednać. A już w boju żywot często od tego zależy, byś pewny był, kto przy tobie i za tobą. Wrogów zaś ani kupować nie trzeba, zadość ich bez tego. Słyszę, iżes Bezprymowi zelżywość wyrządził. Po co? Mnie nie jest on druhem, ale siedział spokojnie, a do ciebie nic mu było. Ninie masz wroga. Co ci po nim? Nawet psa drażnić nie należy, bo ugryźć może.

Bolko słuchał wyraźnie zniecierpliwiony. Gdy Mieszko skończył, odparł:

— Spróbowałyby gryźć, to go kopnę. Ale o co sprawa, nie wiem, bom ni słowa nie rzekł do niego. Jeno że gdy inni się kłaniali, on ani nie wstał, tedym komornika zapytał kto zacz. Cóż? Ja miałem się jemu pokłonić? Ani dbam o takowego wroga.

Mieszko westchnął. Skoro Bolko sam tego nie rozumie, nijak mu wyjaśnić, czym dotknął drażliwego człeka. Wreszcie powiedział:

— Mniemasz, iżes taki ważny, by ci się wszytcy kłaniać mieli? Nie twoja zasługa, żeś moim synem; gdyby przeto,

Bezprym także synem jest królewskim i starszy od ciebie, czemuż się tedy mu nie pokłonił? Wiedz, że są tacy, którym dla ich wieku i urzędu ty się pokłonić winieneś bez ujmy. I jeszcze jedno: słyszę, iżes nadto do niewiast ciekawy.

— Wzdym nie mnich — niechętnie mruknął Bolko, król jednak ciągnął:

— Skoro się za małżonką dla ciebie obejrzym, a do cudzych nie zachodź. Nie jeno o zgorzenie pan biskup będzie się pieklił, ale bywa, że krwią zapłacić trzeba.

Bolko jednak lekceważąco ramionami wzruszył, a na dobitkę dodał z drwiną:

— Pewnikiem mi jakową Rychezę zeswatacie.

Mieszko zmieszał się. Istotnie rozglądał się za związkiem, przez który zapewnić mógł synowi potężnego sprzymierzeńca. Ale tak samo myślał Chrobry, a przez związek z Rychezą Mieszko zyskał jednego wroga więcej. Z niechcianego również związku ojciec zostawił mu jeszcze Bezpryma. Mieszko pominął zuchwałe odezwanie i zakończył:

— Jest tu tysiąc i trzystu pancernych, konie dla nich przysposobić należy, bo może rychło będą potrzebne. Od jutra zajmiesz się stadniną, nie będzie ci się cniło. Konia sam sobie dobierzesz, jeno go zasię nie przegraj. W boju i to ważne, by się jeździec z koniem znali, tedy zmieniać niedobrze.

— Juści wiem, że koń to nie białogłowa — zaśmiał się Bolko. Król nic nie odrzekł, ale pomyślał, że żrebaka zbyt późno wziętego pod siodło niełatwo wdrożyć do wędzidła. Bo wyjściu syna król zadumał się tak, że zapomniał o wieczery. Naszła go wątpliwość, czy dobrze uczynił oddając Kazimierza do klasztoru, by Bolka uczynić swym następcą. To stało się ostateczną przyczyną zerwania z Rychezą i niechęci duchowieństwa. Nie był też pewny, czy nie zraził do siebie syna. Chłopiec przywiązany był do obojga rodziców, boleśnie odczuć musiał zerwanie związku między nimi, a winę niechybnie przypisze ojcu. Wprawdzie brak mu jeszcze blisko trzech lat do osiągnięcia sprawności i złożenia ślubów, odebranie go z klasztoru nie przedstawiałoby więc trudności, ale Mieszko zdawał sobie sprawę, że skutków nie odwróci. Pozostawiłby Kazimierzowi silnego i bezwzględego wroga, a państwu rozdarcie. Mógł tylko żałować tego, co uczynił. W Bolku nie znajdzie ni wyręki, ni zrozumienia. Kazimierz od najmłodszych lat umiał jednać sobie ludzi, chętny do nauki i pojętny byłby najlepszym władcą państwa pokoju. Ale pokoju nie ma i nie

będzie, Ottonowe mrzonki skonały wraz z nim.

Troska i rozterka nie pozwalały Mieszkowi usnąć. Rycheza jawnie gotowała się do wyjazdu, niewątpliwie po drodze zechce pożegnać Kazimierza i będzie z nim mówiła o ojcu. Był już wielce znużony i pragnął choć przez parę dni odpocząć przy boku Dobrochny, czuł jednak, że nie uspokoi się, jeśli nie rozmówi się z synem, zanim to uczyni Rycheza. Miast wypoczynku czekały go trzy dni podróży w słotną porę po przepadlistych, rozkisłych drogach.

Zabudowania klasztoru w Międzyrzeczu z niepoczerniałego jeszcze drewna leżały opodal osady i gródka, strzegącego przeprawy przez Obrę, na niewysokim, ale stromym brzegu rzeki. Teraz wezbrane od jesiennych deszczów jej wody dochodziły niemal pod zręby budynków przyspieszając swój leniwy zazwyczaj bieg.

Na pniaku ściętego drzewa siedział chłopiec w benedyktyńskim habicie i w zamyśleniu patrzył na sunącą u jego stóp falę. Zapadał już zmrok krótkiego jesiennego dnia. Z zadumy wyrwał go głos sygnaturki z klasztornej kaplicy wzywający na nieszpór. Wstał z westchnieniem i przez furtę w ogrodzeniu wszedł na dziedziniec. Młody braciszek przyłączył się do gromadki spieszącej na nabożeństwo i razem z nią wszedł do oświetlonego wnętrza kościółka. Umilkły odgłosy pracowitego dnia, tylko pomruk zbiorowej modlitwy podkreślał wieczorną ciszę. Zakłócił ją stukot kołatki przy zamkniętej bramie. Zdziwiony furtian otworzył okienko i ujrzał kilku jezdnych, z których jeden zeskoczywszy z konia stał pod bramą i rzucił rozkazująco:

— Otwierać! Król przyjechał.

Zaskoczony i zmieszany furtian odparł drżącym głosem:

— Po zachodzie słońca nie lza mi wpuszczać nikogo bez przyzwolenia przeora.

— Tedy go przywołaj — powiedział wojak, mnich jednak odparł:

— Jego przewielebność nieszpór odprawia, poczekać musicie.

— Król nie zwykł czekać ni stać pod niczyją bramą — ostro już rzucił wojak, Mieszko jednak wtrącił:

— Ostaw! Poczekam.

Zsiadł z konia, oddał go wojakom i dodał:

— Przenocujecie w grodzie. Rankiem stawić się tu. Wracamy.

Usiadł na ławie we wnęce bramy i zadumał się. Teraz, gdy za chwilę miał ujrzeć syna, myślał, jak zacząć mówić z nim o sprawie leżącej mu na sercu. Oddając go do klasz-

toru wiedział, że tam będzie jego dom i rodzina. Czy nie lżej będzie chłopcu, gdy zapomni, że miał inną? A jednocześnie nie chciał utracić jego przywiązania, którego brak wzmagił w nim uczucie osamotnienia.

Zamyślenie Mieszka przerwał zgrzyt otwieranej furty.

Stał w niej przeor Lucilus i przystąpił do króla mówiąc po łacinie:

— *Porta nostra semper patet miseris et amicis**, tym bramą* brama nasza zawsze stoi otworem dla ubogich i przyjaciół dziej dla dobroczyńców klasztoru. Wybaczcie bratu furcianowi, że wam czekać dał, ale nie śmiał przerywać nabożeństwa, a zabroniłem o zmroku otwierać bramę, bo nie brak jeszcze takich, których krzyż w oczy kole, a u pogańskich Lutyków znajdują zachętę i oparcie.

— Mniemam, że od Lutyków ninie nic nie grozi — odparł król. — Spocząłem, bo zdrożony jeśm, jeno syna rad bych ujrzał. Jakoż on się sprawia?

— Mogę rzec, że braciszek Karol nie jeno wzorem jest dla innych oblatów, ale i pomocą magistrowi nowicjatu, któren niezbyt biegły w polskiej mowie, syn wasz zasię niemiecką z doma wyniósł, a łacińskiej nad wyraz szybko się przyuczył, jako i w innych naukach chętny i pojętny, ozdobą będzie naszego zgromadzenia. Zwólcie panie do refektarza na wieczerzę, tam syna ujrzycie.

— Chętnie się pożywię — odparł król — ale z synem chciałem pogadać na osobności.

Przeor zaniepokoił się. Może król wybadać chce syna, czy powołanie czuje do duchownego stanu. Klasztorowi przyniósł Kazimierz więcej niż bogate uposażenie, bo wzorem króla kilku możnowładców oddało młodszych synów do nowicjatu, a wychowanie krajowego duchowieństwa było niezbędnym warunkiem chrystianizacji na poły jeszcze pogańskiego ludu. Lucilus sam nie był pewny, czy Kazimierz zechce pozostać w klasztorze. Karny był i posłuszny, poważny nad wiek, ale smutny i zamknięty w sobie. Gdy rówieśnicy jego czyhali jeno na sposobność, by poswawolić, on szukał samotności. Przeor wiedział, że król oddał mu syna wbrew woli Rychczy i że było to przyczyną rozdzwiewku między małżonkami. Nie śmiał jednak odmówić i rzekł:

— Po wieczerzy obowiązuje u nas *silentium**, ale dla miłościwego pana zrobię wyjątek.

* milczenie

— Tedy pójdźmy powieczerać, a potem mniemam, że udzielicie mi na tę noc gościny.

— Zawždy i na jak długo zechce wasza miłość. Tedy

proszę do refektarza.

Weszli do izby słabo oświetlonej kilkoma kagankami. Jeden z mnichów jednostajnym głosem czytał martyrologium, pozostali w milczeniu spożywali polewkę rybną i osuchy, bo dzień był postny. Na widok króla i przeora, którzy zajęli miejsce na podwyższeniu, wszyscy wstali, a lektor przerwał czytanie. Przeor ręką dał znak, by usiedli, a Mieszko wzrokiem szukał syna. Ujrzał go na przeciwległym końcu stołu, ale daremnie czekał, by Kazimierz odpowiedział mu spojrzeniem. Westchnął i wziął się do jedzenia.

Wieczera nie trwała długo, po skończeniu odmówiono krótką modlitwę, a przeor podszedłszy do Kazimierza powiedział:

— Rodzic chce mówić z tobą, przeto zwalniam cię na dziś od komplety i noclegu w dormitorium.

Kazimierz bez słowa pocałował przeora w rękę, również milcząco przywitał się z ojcem i prowadzeni przez młodego mnicha weszli do większej od innych celi, widocznie przeznaczonej dla dostojniejszych gości, bo dwa legowiska, stół i ławy okryte były kobiercami. Mnich od płonącego kaganka zapalił świece w glinianych świecznikach, zdmuchnął go, postawił na stole i pochwaliwszy Boga wyszedł. Zostali sami.

Króla niepokoiła milkiwość syna. Coś obcego legło między nimi, po dwóch latach rozstania zniknęła dziecięca poufałość. Kazimierz zmienił się, wyrósł, jakby się wyciągnął, bo zdał się jeszcze węższy, na szczupłej twarzy zaczynał się wysypywać jasny zarost. By zacząć rozmowę, Mieszko powiedział:

— Rad słyszałem, jak przeor przychwalał cię, iześ do nauki skory, a magistrowi nowicjatu pomocny.

— Mniemam, że nauka zawždy się przyda — odparł Kazimierz. Głos także mu się zmienił, potęgując uczucie obcości. Nie ułatwił ojcu zbliżenia. Mieszko zaczął:

— Iście, nauka potrzebna, a już w duchownym stanie bez niej nijak. Mnie także rodzic uczyć niechał, choć następcą swym wyznaczył, a nie na kapłana. A jakoże twoi towarzysze?

Kazimierz jakby się namyślając odparł wymijająco:

— Zechciejcie magistra nowicjatu zapytać.

— Nie tyle o naukę pytam — rzekł z pewnym zniecierpliwieniem Mieszko — i sam, wyrostkiem będąc, niezbyt lubiłem fałdów nad księgami przysiądać; jeno czy chętni do duchownego stanu? Przeor bardzo na was liczy.

— Nie wiem. Wždy ich o to nikt nie pyta — odparł Ka-

zimierz.

Mieszko zmiarkował, że objeżdżając nie dowie się, czy syn nie ma do niego żalu. Zapytał wprost:

— A ty?

— Rodzicielowi posłuch winienem — odparł.

— Posłuch winienes! — powtórzył Mieszko z goryczą. — Ja także posłuch dłużny byłem rodzicowi, gdy macierz twoją pojąć mi kazał, choć miałem umiłowaną niewiastę, a z nią syna. Nie pytał rodzic Bezpryma, zali mnichem chce ostać. Nie buntowaliśmy się, pokąd rodzic żył. Ninie Bezprym z klasztoru zbiegł, by właści dochodzić z wrogami się zwącha, wroga mam w kraju, jakby postronnych brakło.

Wroga mam w twej macierzy, rozwodu żąda przeto, że nie ciebie następcą swym wyznaczyłem, jeno syna po Dobrochnie.

Gdy Kazimierz milczał nadal, Mieszka ogarniać zaczęło zniechęcenie. Jakby mur był między nim a synem, przez który się nie dogadać. Zapytał:

— Zali nic nie masz do powiedzenia?

— Nie mnie sądzić rodziceli — odparł Kazimierz cicho.

Zapanowało milczenie. Na świecach wyrosły grzyby, noc uczyniła się późna. Mieszko rozebrał się i ułożył na posłaniu. Mimo znużenia czuł jednak, że nie zaśnie. Kazimierz zapalił kaganek, zgasił świece i ułożył się również.

Ciszę nocną przerwał głos sygnaturki, wzywającej na kompletę. Kazimierz wstał, ubrał się i wyszedł cicho, sądząc, że ojciec śpi. Gdy jednak po dłuższej chwili powrócił, Mieszko odezwał się:

— Słyszałem, jako przeor zwolnił de od nocnych modłów. Przecz wstawałeś?

— Nawykłem. Wybaczcie, że was obudziłem, zdrożeni jeście.

— Nie obudziłeś. Tobie modły sen zakłócają, mnie troski. Po dłuższej chwili Kazimierz odezwał się:

— Z serca rad bych wam odelżyć, jeno cóże ja mogę?

Mieszko usiadł na posłaniu:

— W jednym możesz: szczerze mi rzec, zali i ty masz mi za złe, iżem nie ciebie następcą swym wyznaczył, jeno do klasztoru oddał. Ale raniej ja ci powiem, czego się lękam; —nie dla siebie, jeno dla tego ludu, nad którym Opatrzność pieczę zawierzyła naszemu rodowi. Oto jeszcze mi i czterdzieści godów nie minęło, a sił już często brak. Rządzić to także przewidywać, może mi wrychle władść przydzie zdać następcy. Tyś młody, niedoświadczony i nietęgiego zdrowia, macierz za ciebie objęłaby rządy. Nie tobie ją sądzić,

ale ja muszę: niechęć żywi do naszego narodu i pogardę, naród nienawiścią jej płaci. Albo na wygnanie pójdzie wraz z tobą, albo go z niemiecką pomocą ujarzmi, z wolnego ludu niewolników uczyni, zmarni to, o co od pokoleń walczyliśmy.

Mieszko przerwał, jakby czekał na odpowiedź. Gdy Kazimierz nadal milczał, podjął:

— Jeszcze się za tobą dzwierze klasztoru nie zatrzasnęły. Mogę wymóc, by cię zwolniono, jeno wiedz, do czego wrócisz. Mnie rodzic wroga ostawił w Bezprymie i rodzony Otto nie jest mi druhem. Nie wiem zali prawda, bo nikomu dowierzać nie można, ale mi poszeptują, że się z Bezprymem znosi. Bez obcej pomocy niczego nie działają, ale gdyby mnie nie stało, nie jeno ich wrogami ci ostawię, ale i Bolka. Zacznie się walka, jak było po śmierci mego dziada. Jeno rodzic mój silny był i naród miał za sobą przeciwko Niemce i jej synom. A ty? Sam rozważ. I to wiedz, że włość nie po to, by zadość uczynić pysze i chciwości. To brzemię, od którego nie ma wypoczynku.

Przy mdłym świetle kaganka król patrzył na syna, który siedział na posłaniu, głęboko zamyślony. Podniósł oczy i zaczął:

— Jeśli to wasza troska, śpijcie spokojnie. Ostanę w klasztorze. Wszędy służyć można Bogu i ludziom. I modlić się będę, by was Bóg długo w zdrowiu i sile zachował, a tego nie przewidzi, kiedy i kogo pierw do siebie powoła. To wam przyrzekam, że nigdy z krewniakami o włość walczyć nie będę, a gdyby mi ją z woli Opatrzności objąć przyszło, nie zabędę com dłużny.

Opuścił oczy i zakończył cicho:

— Jeno więcej tu nie przyjeżdżajcie. Ciężko mi było żegnać się i znowu...

Urwał, jakby go coś za gardło ścisnęło. Ułożył się na posłaniu i zapanowało milczenie. Po dłuższej chwili jego spokojny oddech oznajmił, że śpi.

Mieszko usnął późno, a gdy się obudził, syna nie było już w izbie. Na polu dzień musiał być jasny, bo błony w oknach cedziły słoneczne światło. Król zaklaskał, a młody mniszek, co widocznie czekał na jego znak, wszedł niosąc śniadanie, które postawił na stole, pochwalił Boga i dodał:

— Orszak miłościwego pana już gotowy.

— Zawiadam przeora, a także mego syna, że pożegnać ich chciałem — rzekł Mieszko zbierając się.

— Ninie na modłach bawią, ale niebawem skończą — odparł mniszek i wyszedł.

Mieszko pożywił się szybko i skierował do wyjścia. Na dziedzińcu zmrużył oczy od blasku. W nocy spadł pierwszy śnieg, promienie niskiego jeszcze słońca rozjarzyły ośnieżone dachy budynków, pod ich ścianami leżał błękitny odbiciem pogodnego nieba cień.

Mieszko również pogodniejszy był, choć z żalem myślał o pożegnaniu z tym synem, który nigdy nie przyczynił mu troski. Słusznie rzekł, że nie przewidzi, kto pierwszy zejdzie z tego świata, przedwcześnie się troszczyć o przyszłe sprawy, gdy bieżących nie brak.

Mieszko nie przeciągał pożegnania, wiedząc, że ciężkie jest Kazimierzowi. Bez słowa uściśnął syna, który również milcząc dłoń ojca ucałował; przeorowi podziękował za gościnę i żegnany jego błogosławieństwem dosiadł konia i ruszył. Dziesiętnik orszaku zaskoczony był, gdy zamiast na wschód król skierował konia do brodu na Obrze. Wojak nie śmiał pytać, dokąd zmierzają, król jednak widząc jego zdziwione spojrzenie, powiedział:

— Do Lubuszy. Dawno nie byłem w pogranicznych grodach, a pogoda sprzyja.

Nie powiedział, że wolałby nie zastać w Poznaniu Rychezy, która zapewne korzysta z pory sposobnej do drogi.

Wracając z Lubuszy odwiedził Kostrzyn, Santok, Wieleń i Czarnków, grody nad Notecią, i już w pełni zimy wrócił do Poznania, gdzie z miejsca dowiedział się, że Rycheza zabrawszy córki wyjechała, a wraz z nią dwór, służba oraz kilku duchownych. Z Niemców, którzy przed laty przybyli do Polski, pozostał tylko Embricho. Wyjazd małżonki odczuł Mieszko jak ulgę, choć wiedział, że teraz nie ma już w Niemczech żadnego sprzymierzeńca. Żupan Dobromir, zdając królowi sprawę z tego co zaszło pod jego nieobecność, też nie taił zadowolenia z wyjazdu Niemców. Mówiąc o tym dodał:

— Starkhar, ów zausznik królowej, rzekł mi na pożegnanie, że tu wrócą. Wiem, co myślał, a mniemam, że on także zrozumiał, gdym mu odrzekł, że ich powitamy jak przystało.

— Nie wiem, zali czekać na to — powiedział król w zamysleniu. — Mam wieści od pogranicznych żupanów, że Konrad bawi nad Renem, bo francuski Robert nadal przeciw niemu sprzymierzeńców w Niemczech szuka. Będzie tu zjazd na Gody, uradzim, czy niemieckich odwiedzin nie uprzedzić. Tak czy inak, w gotowości być trzeba. Synowi na wyjeźdźnym zleciłem, by zadbał o konie. Gdzie się obraca, bo powitać mnie nie przyszedł?

Żupan zmieszał się widocznie i powiedział z ociąganiem:

— Do macierzy go odesłałem. Tam rychlej wydobrzeje, a tymczasem tu się uspokoi.

Król patrzył na Dobromira zaskoczony:

— Zachorzał? Kto się ma uspokoić? — Gdy ten zwlekał z odpowiedzią, plasnął w ręce gniewnie i niecierpliwie. — Gadaj mi zaraz, co się stało!

— Królewic poszczerbiony jest, ale nic to, wydobrzeje.

Jeno nie wszytocy...

— Co się stało? — powtórzył król.

— Tyle wiem, co mi dziesiętnik doniósł. Iście królewic z druhami do stadniny chadzał konie ujeżdżać. Jeno że dzień krótki, a wieczory długie, o mroku od karczmy do karczmy się wałęsali. Wiadomo, każdy rad popić, gdy kto inny płaci, a już młokosy miary utrzymać nie umieją. Pono się od kłótni z jakowymiś kostyrami zaczęło. Karczmarz, by bitce przeszkodzić, ogień na kominie zalał, ale jeszcze gorzej wyszło, bo o ćmie już nikt nie wiedział, kto z kim i o co, i gdy stróża nadbiegła, mało który cało wyszedł. Gorzej, że jedyny syn tysięcznika z Giecza, Wojtka Osorii, za-bit. Niewiele brakowało, by się rozruch uczynił, bo gieczanie poznańskim odkazywali, jenom ich przegnał i zapowiedział, że któren by się bez rozkazu tu zjawił, za końskim ogonem do dom pojedzie. Ale wróżda ostała — dokończył strapiony.

Król słuchał sprawozdania żupana rozgoryczony i zły.

Zamierzał, póki spokój, wypocząć parę dni w osadzie nad jeziorem. Teraz pierwszej jechać musi do Giecza, sprawę rozpatrzyć i jak się da, załagodzić. Między drużyną stojącą tam załogą a poznańską zawsze istniało współzawodnictwo, zdarzały się i zajścia, ale nie było wrogości, która wobec zamierzonej wyprawy mogła wywołać nieobliczalne skutki. Osoria mirem się cieszył u swoich, tym bardziej jego przede wszystkim należy udobruchać, gdy właśnie jego pościgło nieszczęście, za które bez wątpienia odpowiedzialnością obciąża Bolka. Sam król zresztą nie wątpił, że właśnie syn był przyczyną zajścia. Choć znużony podróżą, postanowił nie zwlekać i rano następnego dnia zastał go już w drodze do Giecza. Zajechawszy na gród natychmiast posłał po tysięcznika, który zjawił się z twarzą ponurą i zaciętą. Mieszko przygotowany był, że niełatwa będzie ze starym wojem rozmowa, a jego milkliwość jeszcze utrudniała jej rozpoczęcie. Postanowił mówić otwarcie i zaczął:

— Nie będę taił, że choć mi pora spocząć, gdy do czasu spokój od wrogów, przeto przyjechałem, by jak się da, po-

niesioną stratę wam wynagrodzić.

Wojak uciekł z oczyma i mruknął:

— Kry* za kry!

* krew

Mieszko pohamował gniew, ale zapytał ostro:

— Czyjej że to krwie żądacie?

Osoria zaczerwienił się i nie odpowiedział, a król ciągnął:

— Boleść przez was mówi, którą rozumiem. Ale Kościół rodowej pomsty zabrania i takie ninie jest prawo. Karać zasię moja rzecz i niczyja więcej. Ale gdyby i tak nie było, pytam: czyjej krwie żądacie? Piastowej? Przecz? Gadaj!

Osoria zmieszał się i bąknął:

— Wždy wasz syn bitkę rozpoczął...

— Jeszczem go nie pytał, ale niechby i tak. Wiecie, kto i kogo ubił? Bo nie jeno waszemu się legło, a i mój ninie liże się z ran. Zali i ja pomsty mam szukać? Pobily się o byle co głupie podpite młokosy, my starzy, którym rozsądek przystoi, ręki do tego mamy przykładać? Może giecka drużyna wojnę poznańskiej wyda? Lubo ze mną wojny chcecie?

Osoria przybladł i powiedział cicho:

— Wybaczcie, miłościwy panie! Trudno rozsądku słuchać, gdy sirdce boli. Rzekliście, że w łasce swej stratę mi chcecie wynagrodzić. A cóże mi to, gdy ostawić nie ma komu! — Głos mu się załamał.

— Jeszcze z was w sile mąż — odparł król. — Możecie potomstwa się dochować. A to sobie rzeknijmy, iżeśmy takż nie bez winy. Młokosom spyży ując, a wędzidła przykrócić, nie będzie ich roznosiło. Dufam, że swoich przekonacie, iże szkoda wzajem krwie sobie upuszczając, gdy rychło indziej będzie potrzebna. A minie żałoba, sam niewiastę wam zaswatam, o posag zadbam i na weselisko się zapraszam.

Osoria bez słowa rękę króla ucałował, który za głowę go ścisnął i łaskawie odprawił. Ale przygnębiony był. Bolko nie jedna sobie przyjaciół, po zadanej ranie blizna ostaje, która przypomnieć się lubi.

Nie chciał jednak sądzić syna nie wysłuchawszy, z niechęcią jednak myślał o spotkaniu z nim we dworcu nad jeziorem, jedynym miejscu, z którym dotychczas wiązały się tylko wspomnienia szczęśliwej młodości. Teraz ich tam nie odnajdzie.

Mieszko polecił obudzić się przed świtem, chcąc jednym dniem stanąć w dworcu nad Lednickim Jeziorem. Orszak odesłał do Poznania i o szarym brzasku był już w drodze. W cztery konie koło południa zatrzymali się w Kostrzynie,

przetarli je, naobroczyli i pożywiwszy się ruszyli dalej. Dzień z rana pogodny chmurzyć się zaczął, z zachodu ruszył wiatr, skręcił na północny i przybierając na sile siec jął twarze jadących śniegowymi krupami. Gdy dotarli do Pobiedzisk, zapadła już ciemność, mróz i wichur wzmagały się. Towarzyszący królowi giermek i pachotkowie sądzili, że tam przenocują, król jednak, choć sam znużony, nawet zatrzymać się nie pozwolił. Od celu podróży dzieliły ich już tylko dwie mile, a niespokojny był, co tam znajdzie.

Gdy jednak ujechali kilka stająg, zawahał się, czy nie zawrócić. Teraz już przec musieli pod prąd śnieżnej rzeki, która ślepiła oczy i zapierała oddech. Coraz trudniej było przynaglić konie do kłusa, co pół stajania przechodziły w stępa, wlokąc się z opuszczonymi łbami. Choć okolicę znali wszyscy, żaden nie wiedział, gdzie się znajdują. Zawianego gościńca, wiodącego z Poznania do Gniezna, mogli nie zauważyć. Teraz już nie czas było zawracać do Pobiedzisk, łatwiej znaleźć jezioro, które jeszcze nie mogło zamrznąć, niż grodek wtopiony w biały zmrok. Jedno było pewne, że po takiej nocy, spędzonej bez ognia i dachu nad głową, nie będzie już dniało.

Mieszko pierwszy zeskoczył z konia, zarówno by mu ulżyć jak i dla rozgrzania się ruchem, i tak wlekli się noga za nogą. Czas dłużył się, zdać się mogło, że dawno ujechali dwie mile. Nawet jeśli nie zbili się z kierunku, mogli nie zauważyć jeziora, ślepieni miotanym w oczy śniegiem. Pozostawało tylko iść przed siebie, póki sił starczy.

Wcześniej niż dostrzegli przed sobą ścianę lasu, w wycie wichury wmieszał się jakby szum wodospadu. Gdy wjechali między drzewa, zdać się mogło, że burza osłabła, śnieg przestał kłuć przemarznęte twarze i pocieplało. Zaświtała nadzieja, że znajdzie się wykrot, w którym będzie można sklecić jaką taką osłonę i naniecić ognia. Nawet konie ruszyły raźniej i szli przed siebie, aż w białym mroku zamajaczyło coś ciemniejszego i za chwilę spłacheć nie zamarznętej wody zagroził im drogę.

Król przetarł zaczerwienione od wiatru oczy. Mimo zawiei przeciwległy brzeg wody był widoczny. Mogła to być tylko wchodząca w lasy odnoga Lednickiego Jeziora, a za nią cel podróży. Mieszko bez wahania skręcił wzdłuż brzegu na wschód, a jednocześnie pomyślał, że gdyby zbili się nieco dalej w tym kierunku, o parę stająg ominęliby schronienie, a wtedy objęcie władzy przez Bolka mogło nie być już sprawą przyszłości. Ludzie i konie byli u krańca sił i gdyby nie nadzieja, że wkrótce znajdą się pod dachem, nie stałoby

ich już do dalszego pochodu.

Gdy dotarli na otwartą polanę, pośrodku której ledwo widoczne przez białą zasłonę majaczyły zabudowania dworca, wichura znowu uchwyciła ich w swe szpony. Przez jej wycie nie słyszeli nawet ujadania psów, ale oznajmić ich musiały, bo gdy zbliżali się, wyskoczyły z mroku jak błędne ogniki jaśniejsze plamy okien. Wewnątrz ktoś czuwał widocznie lub obudziły go psy, których jazgot posłyszeli, gdy wjechali na obejście. Jednocześnie otworzyły się drzwi na podcieniu i męski głos przekrzykując psi harmider i szum wichury zawołał:

— Kto zacz?

Mieszko rzucił wodze giermkowi i powiedział z wysiłkiem:

— Nie poznajesz mnie, stary?

— Jakoże poznać, gdy ćma — mruknął Stańko — ale i zbójowi bym dachu nie odmówił w takową porę.

— Tedy puszczaj — powiedział Mieszko i wszedł do sieni, a za nim Stańko. Gdy przez otwarte drzwi od świetlicy padł poblask płonącego na kominie ognia na zaśnieżoną od stóp do głowy postać, Stańko plasnął w dłonie i krzyknął:

— Miłościwy pan!

— Jam ci jest — powiedział Mieszko. — Zadbaj o ludzi i konie.

Wszedłszy do izby zrzucił zaśnieżoną czapę i szubę i ciężka opadł na ławę przed kominem. Ogarnęła go zarazem ulga i przygnębienie. Nigdy jeszcze nie odczuł tak wyraźnie, że siły jego nie te co dawniej. Nawet myśli mąciły się, niemal zapomniał, po co przyjechał. Prędko minęła młodość. Kleiły mu się znużone oczy, chciał tylko zakopać się w skóry i spać. Ocknął się, gdy odezwał się niewieści głos:

— Wypijcie, miłościwy panie!

Stała nad nim Dobroszka z kubkiem grzanego miodu w ręku. Powtórzyła:

— Wypijcie!

Sięgnął bez słowa i pił pomału, czując jak po przemarzniętym ciele rozchodzi się miłe ciepło. Odstawił opróżniony kubek i ujął rękę Dobroszki:

— Ostaw miłościwego pana — powiedział. — Rad bych choć na chwilę zabył, kto jeśm. Tu chcę być jeno oćcem naszego syna. Co z nim?

— Śpi. Wstaje już z łoża, ale słaby. Dużo krwi go uszło.

— Chcę go ujrzyć.

— Wždy wiem, żeście po to przyjechali, ale noc. I wam spocząć trzeba. Parę dzionków zabawicie — dodała z nieśmiałą prośbą. — Może pośledni raz mam was obu, jak on-

giś — zakończyła cicho.

— Ostałbym i na zawždy — odparł z westchnieniem. —

Ale nie lza, zjazd na Gody, przysposobić go trzeba.

— Taka dola. I nie lepszą Bolkowi gotujecie.

Zdało mu się, że słyszy wyrzut w jej głosie i odparł przygnębiony:

— Wždy doli nikto nie wybiera. Ktości narodowi przywodzić musi, nam to z urodzenia przypadło, nijak się od tego wybiegać.

— Wiem — powiedziała smutno. Przyklęła, by ściągnąć Mieszkowi przemokłe ciżmy i nie patrząc na niego do-dała:

— Może was choć Pogwizd u mnie zatrzyma, bo przed nim nawet zwierz w norę się chroni. Łoże już pościelone, pójdźcie!

— Pójdźmy! — powiedział, biorąc ją za rękę. Uśmiechnęła się smutno i odparła:

— Nie dziś. Spocząć wam trzeba.

Zapadł w sen, jak pod wodę, nie słyszał wycia wichury, od której drżały ściany i spał bez marzeń, choć błony w oknach dawno już pojaśniały, a potem jęły cedzić słoneczne światło. Po nocnej burzy wstał pogodny, mroźny i dzień, na dworcu dawno zaczął się ruch. Gdy się obudził, leżał jeszcze z zamkniętymi oczyma, usiłując sobie przypomnieć, gdzie jest. Podniósł ociężałe od snu powieki i przytomność wróciła mu natychmiast. Nad nim stał Bolko z uśmiechem na wyciągniętej, niemal przeźroczystej twarzy, a widząc, że ojciec obudził się, ujął jego rękę i ucałował ją, mówiąc poufale:

— Jużem mniemał, że wodą was zlać trzeba, byście się obudzili. Wždy pomrzecie z głodu, wczora bez wieczerzy, a ninie już obiadować pora.

Nie czekając odpowiedzi, wyszedł. Mieszko zadumał się. Jechał tu gniewny i rozdrażniony, postanawiając ostro skarcić syna, a teraz czuł, że przyjdzie mu to z trudem. Nie mógł przed sobą zaprzeczyć, że poufałość Bolka, na jaką sam Mieszko nigdy się nie zdobył wobec własnego ojca, jest mu miła, troskliwość rozbrajająca, lecz skutki słabości mogą być groźne.

Przez chwilę przestał o tym myśleć, gdy wraz z Bolkiem zjawiała się Dobroszka, niosąc na tacy polewkę, chleb i mięsiwo. Chciał powstać z łoża, ale powiedziała:

— Ostańcie! Nawet konie zeskapiały po takowej jeździe, wywczasować się muszą.

Usiadła na łożu i patrzyła, jak Mieszko zaczął chciwie się

pożywiać. Gdy skończył, powiedział do niej:

— Ostaw nas samych. Mamy o swoich sprawach do pogadania.

Zabrała statki i wyszła z westchnieniem. Bolko stał uśmiechając się, jakby zgoła nie domyślał się, o czym chce z nim mówić ojciec. Mieszko starając się głoś uczynić surowym zapytał:

— Zali nie wiesz, o co sprawa?

Bolko skrzywił się, jak wyrostek przyłapany na psocię:

— Wiedzieć, nie wiem. Pewnikiem o to, że mnie poszczerbili. Cóż? Moja wina? .

— Zanim ci powiem swoje, chcę wysłuchać jak owo było.

— Zwyczajnie. Jak przykazaliście, społem z druhami ujeżdżałem konie. W kości nie igrałem, alem nie czędo, by z kurami spać chodzić. Samemu wieczerzać cni się, tedy chadzaliśmy do karczmy, raz tu, raz ówdzie, gdzie lepiej zjeść i wypić można. Zachodzimy raz, patrzę, kostyry w kości igrają, a między nimi ów, co ode mnie konia szalbierstwem wyłudził. Samiście rzekli, że sztuką szczęściu pomagają, jako też że zmieniać konia niedobrze, tedy swego odebrać chciałem i spokojnie rzekę: oddaj mojego konia lubo cię do żupana zawiodę do ukarania, iże fałsznymi kośćmi ludzi mamisz. Jeszcze się obruszył i pry: kości są ućciwe, obejrzyć możesz. Tedy rzekę: może te, na pokaz, masz pewnikiem ućciwe. Konia oddaj lubo pódzi. A że iść nie chciał, tedy go za kark ucapił, a już się ruch uczynił, bo się szamotać jął. Wszystkiemu karczmarz winien, bo widząc, że się mają do bitki, chlusnął wodą na ogień w kominie, i potem już nikto nie wiedział, kto z kim, jeno czuję, że mnie ktoś nożem pchnął. Co mi było działać, takóž do noża się wzięłem, jeno że mnie pomdliło i już nie wiem co dalej, bom się dopiero we dworcu ocknął, a potem mnie żupan tu odesłał i tyle wszystkiego.

Mówił uśmiechając się z lekka, jakby go bawiła przygoda.

Gdy skończył, król namyślał się, jak trafić do lekkomyślnego młodzika, by zrozumiał, kim jest i jakie mogą być skutki jego postępowania. Zaczął:

— Nikomu nie lza igrać swoim ni cudzym żywotem.

Iście jużes nie czędo, wiedzieć winienes, co czynisz. Żadna to zabawa, po której marchy wynoszą. Twoja wina lubo nie, tobie ją przypisują. Zadość mi innych spraw, a jeździć musiałem do Giecza, starego Wojtka Osorię ugłaskać, którego syn tam ostał. Uczyniłem, com mógl, ale druha w nim mieć nie będziesz, a i gieczanie poznańskim odkazywali, aże Dobromir zabronić im musiał w Poznaniu się jawić.

Na Bolku jednak przemówienie widocznie nie czyniło wrażenia, zdało się nawet królowi, że na wzmiankę o Osorii ramionami ruszył. Mieszka ogarnął gniew, ale hamował go jeszcze. Zapytał jednak ostro:

— Rzeknij prawdę! Pijani byliście?

Bolko znowu uciekł z oczyma i odparł:

— Bez picia jadło w gardle staje. Wzdym nie kaczka, by wodą popijać.

— Ale miarę znać trzeba we wszystkim. Jeśli nie pomnisz, kim jeś, że ani wiada, kiedy los narodu najdzie się w twym ręku, to przynajmniej rozumieć winieneś, że macierzy byś serce ozdarł, gdyby się tobie przygodziło to, co młodemu Osorii. I bez tego nie uradowała się, gdy cię tu omal bez duszy przywieźli.

— Zaś tam — odparł Bolko. — Jeszcze rada była, że nie rychło wyjadę.

Mieszko nie wiedział już, jak przemówić do syna, by zrozumiał, że musi się ustatkować. Ogarniało go gniewne zniecierpliwienie i rzekł ze złością:

— Gadać do ciebie, jako do głuchego! Żeby nie to, iżeś niemocny, łaźnię bym ci sprawił!

Bolko parsknął hamowanym śmiechem, ale opanował się i całując ojca w rękę powiedział:

— Bijcie! Wydzierzę, jeno nie bądźcie gniewni.

Mieszko rozumiał, że nie ma sposobu na okiełzanie rozpasanego młokosa. Gdy jeszcze pacholęciem był nie postrzyżonym, nic sobie nie robił z chłosty. Bogdaj zbyt drogo nie zapłacił, by zrozumieć, że życie to nie zabawa. By nie zdradzić swej bezradności, Mieszko powiedział surowo:

— Skoroś już mocny, na Gody wrócić masz do Poznania.

Zjazd będzie uradzać o sprawach, o których ci kiedyś rozstrzygac przydzie. Ninie idź zadbać o konie, by rychło zdatne były do drogi.

— Nie ostaniecie z nami choć parę dzionków? Macierzy będzie markotno.

— Nie ostanę. Mniemałem, że w tobie najdę wyrękę, a jeno trosk mi przyczyniasz. Idź już!

Bolko zawahał się, jakby chciał coś rzec, ale zmilczał i wyszedł wyraźnie przygnębiony. Mieszko odetchnął z ulgą; może syn wreszcie rozumiał, czego po nim oczekuje.

Wczesna i śnieżna zima zawałiła drogi wysokimi na parę łokci zaspami, toteż na zjazd stawiło się niewielu dostojników z najbliższej położonych zachodnich grodów. Mieszko powziął już postanowienie wyprawy na Sasów i uradzano tylko nad jej przygotowaniem. Okoliczności były sprzyja-

jące, niepokoje w Niemczech trzymały cesarza nad Renem, udział Lutyków był zapewniony, a przyszły wieści, że Węgierski Stefan również wykorzystać zamierza nieobecność Konrada i najechać Marchię Wschodnią czy nawet Bawarię. Bolko wrócił wcześniej, niż się król spodziewał i choć nie ze wszystkim doszedł do sił, a nawet pogoda nie sprzyjała, gorliwie zajął się ćwiczeniami. O zajściu, którego był przyczyną, ucichło i Mieszko spokojnie mógł zająć się bieżącymi sprawami, by z pierwszą wiosną własną osobą poprowadzić wyprawę. Bezpryma niemal zapomniał, a ten niczym się nie przypominał. Siedział na Winiarach u starej Chwaleny i na grodzie się nie pokazywał, o Ottonie zaś, który wyjechał jeszcze jesienią wraz ze swym dworem, nie wiadomo było nawet gdzie się obraca i król zajęty przygotowaniami do wyprawy, braćmi sobie głowy nie zaprzątał. Zamierzał uderzyć samą jazdą, by z nagłą Sasów zaskoczyć, dlatego czekać musiał pierwszych traw. Na Węgrzech wiosna nastaje wcześniej, ważne było uzgodnienie ze Stefanem pory najazdu, by rozproszyć opór w razie gdyby zawiodło zaskoczenie. W tym celu Mieszko postanowił wysłać do Stefana poselstwo. Z biskupem poznańskim stosunki były oziębłe od czasu gdy król odmówił wszystkim jego żądaniom, wyjazd Rychczy rozdzwięk ten jeszcze pogłębił i Mieszko nie był nawet pewny, czy tą drogą nie przeciekną wieści o zamierzonej wyprawie na Sasów. To też przygotowaniami nie nadawał rozgłosu, a do Stefana postanowił wysłać krakowskiego kanonika Rachelina, który już raz prowadził z nim rokowania. Polecenie należało jednak przesłać przez zaufanego człowieka i królowi na myśl przyszedł Bolko. Będzie to dla niego sposobność rozejrzenia się po kraju, a zarazem da się poznać tamtejszym dostojnikom i zacznie brać udział w ważnych sprawach państwowych. Zaznajomił się już z nimi na naradach, a częściej teraz przebywając z ojcem, wypełniał mu pustkę osamotnienia. Gdy Mieszko oznajmił mu swe postanowienie, Bolko uradował się tak wyraźnie, iż król zrozumiał, że syn zadość ma jednostajnego życia na dworze, że rozpie-ra go nadmiar sił, z którymi nie wie co począć. Będzie mógł dać im upust na wyprawie, przynajmniej w tym znajdzie w nim wyrękę, a przyszłość nie zapowiadała się spokojnie. Nachodziły natomiast króla wątpliwości, czy należycie wypełni ważną przecież misję. Gdy mu zalecił pośpiech a zarazem wyjaśnił, dlaczego nie chce zlecić poselstwa nikomu z miejscowego duchowieństwa, Bolko rzekł:

— Nie ufacie im, to wyгнаć! Waszym chlebem się pasą,

polizacze i połokil* a pożytek z nich żaden, jeszcze i naród krzywym okiem patrzy, jak obrastają w sadło.

Mieszko znał niechęć prostego ludu do kapłanów chrześcijańskich, ale Bolko powinien rozumieć korzyści, jakie przynoszą. Odparł niecierpliwie:

— Dziad twój i pradziad dobrze wiedzieli, po co krzyż chcą w kraju wprowadzić, nie bądź mędrszy od nich. Kapłanów i tak mamy za mało, by tego dzieła dokończyć, swoich nierychło się dochowamy, tedy obcymi posługiwać się trzeba. Ale przezorność we wszystkim zachować należy; nie jeno obcym, ale i swoim, nawet krewniakom nie zawsze ufać można. Ty ucz się poznawać ludzi nie jeno przy kubkach, a pomnij, że kiedyś włądać będziesz krześcijańskim państwem i że jeno krześcijański władca koroną może być ozdobiony, która jedność i niezależność oznacza.

Gdy Bolko odszedł, Mieszko uświadomił sobie, że sam nie zachował zaleconej synowi przezorności, nie zatroszczył się o to, co zamyślają bracia. Doniesiono mu niedawno, że Bezprym spotkał się z Ottonem w leśnym dworcu. Otto zaś cieszył się względami Rychezy. Od najmłodszych lat Mieszko zwykł lekceważyć Ottona, uważając go za lekkoducha, który nigdy nie dał poznać, by zależało mu na czymkolwiek poza beztroskim życiem. Ale nie brakło przykładów, że młodzi bracia władców stają się powolnym narzędziem w ręku wrogów.

* pieczeniarze i żarłoki

Trzeba się przynajmniej dowiedzieć, gdzie

Otto przebywa i z kim się znosi. Bezpryma natomiast nie-trudno było upilnować, ale i tego zaniechał. Zbiegły mnich, pozostający pod klątwą, nienawidzić musi religii, która złamała mu życie.

Mieszko zaniepokoił się. Pogaństwo nawet za Chrobrego próbowało podnieść głowę, ale on potrafił przygiąć mu karku. Pozbawione przywódcy, przytało się, ale teraz znaleźć go może w Bezprymie. On nie będzie przebierał w środkach, by osiągnąć swój cel, a stronników znaleźć może nie tylko wśród prostego ludu. Nieobecność króla w kraju i odciągnięcie znacznych sił może wykorzystać, by wzniecić bunt. Mieszko z goryczą pomyślał, że walczyć mu przychodzi ze skrępowanymi rękami, a winę niepowodzeń jemu przypiszą. Żupan Dobromir, mając Bezpryma pod bokiem, najłatwiej zdoła dopilnować, z kim się ten znosi. Wezwany, na zapytanie, co wie o nim, odparł:

— Gadałem z królewicem, gdyście go tu przysłali. Rzekł mi, że chciałby być u siebie, tędym mu leśny dworzec na-

raił pod Mosiną, jen pusty stoi. Iście tam się udał, ale wrócił, gdy zjechał królewic Otto ze swymi. Widno w klasztorze odwykł od biesiadowania, a tam ni spokoju, ni miejsca. Tu takż zjazd był przed morawską wyprawą i to wiem, że grodu jakowegoś na siedzibę zamierzył się domagać od miłościwego pana. Ale że nie pora wam było z nim gadać, tedy mu doradził, by osiadł u wdowy po Domaślawie na Winiarach i po dziś dzień tam siedzi. Pono jego piastunką była, gdy rodzic miłościwego pana macierz jego wygnał. Nie wiem, czego chciał spraszając się o posłuchanie, mnie mam, że mu takż o gród jakowyś szło, ale każecie, to go zapytam.

Mieszko odetchnął; przynajmniej ze strony rodzonego brata może nie obawiać się spiskowania. Lekkoduch z ponurym odludkiem widno się nie dogadali. Odparł:

— Czego by Bezprym iście chciał, wiem, tedy go pytać nie będę. Wam zlecam jeno oko mieć, z kim się znosi. Nie wierę, by do końca żywota jako pustelnik na uboczu siedział, zda mi się, że radziej czeka na coś. Ninie jadę na Lednicę, długo nie zabawię. Gdyby się zjawił królewic Otto, rzeknijcie mu, że chcę z nim gadać.

Z bratem dawno nie rozmawiał, niewiele o nim wiedział. Lata płyną, może wyszumiał się już, są jednej krwi, zbliżenie dla obu byłoby korzystne. Zanim syn dojrzeje, Mieszko mógłby w bracie znaleźć wyrękę.

Bezprym czekał istotnie. Pieścił się myślą o zemście, jak ongiś o miłości. Srogi rozkaz ojca pozbawił go nawet, marzenia o niej, teraz marzył, jak sycić będzie nienawiść. Niezbyt ufał Ottonowi, ale nie miał wyboru. Otto ma swobodę ruchów, może zarówno rozpatrzyć się w kraju za stronnikami, jak też porozumiewać się z Ryczezą, a przez nią z cesarzem. Bezprym natomiast zdany jest tylko na niego, bo gdyby na własną rękę próbował coś poczynać, Mieszko niechybnie dowie się i wygodny pobyt pod troskliwą opieką dawnej piastunki mógłby się zmienić w niewolę, jeśli nie gorzej. Na duchu podtrzymywała go tylko świadomość, że gdyby nie był potrzebny Ryczezie i Ottonowi, nie zwracaliby się do niego.

Cierpliwość Bezpryma była jednak na wyczerpaniu i gdy po Godach zima ustaliła się, a dni zaczęły wydłużać, postanowił ruszyć się między ludzi. Nie wzbudzi niczyich podejrzeń, gdy zgłosi się do skarbnika po zaległe srebro, o które się dotąd nie upominał, bo nie było mu potrzebne, zaś pora sposobna do łowów, do których sam żupan go nakłaniał, stanowiła dogodny pozór wyjazdu. W pogodny sło-

neczny dzień kazał sobie osiodłać konia, a do Chwaleny powiedział:

— Ninie jadę do grodu, a potem na łowy. Gdyby pytał ktoś o mnie, rzeknij, by mnie szukał w leśnym dworcu pod Mosiną.

Gdy zajechawszy na gród udał się do skarbnika upominając o przyznane mu srebro, Radwan zdał się zakłopotany:

— Jeśli wam ninie starczy dwie grzywny, a na resztę zechcecie poczekać, rad byłbym. Jak zawsze jesienią i zimą z ceł, mostowego i drogowego wpływa niewiele, bo kupcy nie jeżdżą, a na zaciąg i uzbrojenie sporo poszło. Królewic Otto także jeno patrzeć, jak się zjawi, bo dawno go nie było, on zasię czekać nie zechce, bo się pewnikiem u Żydowinów na lichwę zadłużył, a i bez tego zawsze mu mało.

Bezprym nie potrzebował pytać, co oznacza zaciąg i uzbrojenia. To co mówił skarbnik o Ottonie, stanowiło też cenną wiadomość. Nie okazując jednak zadowolenia, zmarszczył się i odparł:

— Nie moja rzecz, zali królewic Otto zechce czekać lubo nie, ni sprawiać się, na co mnie pieniądz potrzebny. Jeno pewne, że za to, co mi król w łasce swej przyznał, ni jednego pancernego nie postawi.

— Tedy pójdźmy do skarbcza — uciał Radwan. Po chwili Bezprym z trzosem pełnym srebra udał się do żupana. Gdy mu oznajmił, że zamierza jechać do leśnego dworca na łowy, Dobromir odparł:

— Iście, aże się prosi, jeno ludzi do przełaju tam nie masz, bo ich Klimunt zabrał do Mosiny. Łowiec jest przedni, tedy miłościwy pan jemu przykazał zapasy mięsiwa poczynić i wielkie łowy tam idą. Może przeto do niego się udacie, nie zbraknie wam łowieckiej uciechy.

Bezprymowi jednak zgoła nie na łowach zależało i rzekł:

— Jeno ze mnie płochy łowiec, nie będę się na prześmiechy wystawiał. Na drobnego zwierza mogę polować i sam, nie lubuje mi gwar i gromada, bo odwykłem.

Dobromir jednak pamiętał zlecenie króla, a to co mówił Bezprym obudziło w nim podejrzenie, że chce się tylko usunąć z oczu. Bezprym jednak dodał:

— Jeno czy zasię nie zjedzie tam królewic Otto ze swymi, bo i oni swaru naczynia, że ni oka nie zmrużyć.

Rozmyślnie dał do zrozumienia, że nie chce spotkać się z bratem i patrzył spod oka, jak przyjmie to Dobromir.

Ten rozłożył ręce i odparł:

— Wždy zabronić mu nie mogę. Jeno że zazwyczaj raniej tu zjeżdża, gdy roztrwoni, co wziął. Waszej dostojności zasię ani nie przystoi drobnym zwierzem się zabawiać jak byle smerdowi, ani samemu bezpiecznie. Tedy wam swoich ludzi dam do przełaju, a zjawi się królewic Otto, uwiadomię, skoro się z nim spotkać nie chcecie.

— Iście ani się swarzyć, ani bratać — rzekł Bezprym. — Wyruszyć chcę jutro jeno zadnieje, ludzie niechaj będą gotowi.

Usłużność Dobromira niezbyt była mu na rękę, bo choćby dla pozorów będzie musiał próbować łowów, odmówić jednak nie mógł.

— Pacholek z końmi będzie czekał na waszą miłość — odparł Dobromir — a piesi osacznicy dociągną na wieczór. Włodarza zasię jeszcze dziś uwiadomię o waszym przyjeździe, by przysposobił, co należy.

Bezprym pożegnał żupana zadowolony z tego, co usłyszał. Nikt nie podejrzewa Ottona o knowania, przebiegły jest i podstępny, nie zwracając na siebie uwagi może przygotować rokosz. Tym zapewne tłumaczy się jego długa nieobecność. Gdy wróci, znajdzie sposób, by się z Bezprymem porozumieć. Ostrożność jednak nakazywała odciąć się od niego, na wypadek gdyby się wydało. Z tego, co mówił wysłannik Rychczy, Otto ma być tylko jej narzędziem.

Bezprym zdawał sobie sprawę, że i jemu podobną rolę wyznacza, ale starczy mu to, by zemstę nasycić, a gdyby nie był Rychcze potrzebny, mógł o tym tylko marzyć.

Po namyśle jednak odstąpił od zamiaru wyjazdu. Jeśli Otto istotnie wkrótce zjawi się w Poznaniu, prędzej i łatwiej można porozumieć się, gdy sam będzie siedział pod bokiem.

Zdało mu się, że Dobromir zaskoczony a nawet nierad był, gdy mu oznajmił zmianę zamiaru. By ją uzasadnić powiedział:

— Rad bych tam zabawił do wiosny, jednak, jak prawicie, królewic Otto skoro tu zjedzie, chcę wiedzieć, zali mi nie przeszkodzi.

— Jak wasza wola — odparł Dobromir — a może i lepiej, bo miłościwego pana ino patrzeć, a pono chcieliście z nim gadać. Ninie swobodniejszy będzie, gdy zasię na przedwiośniu wyjedzie, nieskoro wróci.

Bezprymowi krew uderzyła do głowy na wspomnienie doznanego upokorzenia. Nie Dobromira rzecz, o czym mówić chciał z Mieszkiem, ale teraz już nie chciał, lękając się, że znowu bryźnie nienawiścią, zwracając na siebie

uwagę, gdy woli, by brat o nim zapomniał. Opanował się i powiedział oschle:

— Wiem, że króla zaprzatają sprawy ważniejsze niżli moja. Jako rzekłem, ninie łowami chciałem się zabawić, tedy czekam na wieść, co postanowi królowie Otto.

— Jak wasza wola — powtórzył żupan. — Na łowy i stąd jechać można. Jeno że pobliskie bory już znacznie przetrzebione ze zwierz, tedy dalej wam ciągnąć przydzie.

Usłużność żupana budziła podejrzliwość Bezpryma, ale trudno było odmówić, skoro sam o łowach zaczął. Hamując złość powiedział:

— Nie mnie król zlecił zapasy mięsiwa poczynić. Zasiadziałem się, rad bym się przewietrzył. Tedy, jak rzekłem, wyruszyć chcę o świcie.

Odszedł zły na żupana i na samego siebie. Niecierpliwością może tylko zagmatwać sprawę i narazić się na niebezpieczeństwo. Zachowanie Dobromira obudziło w nim podejrzenie, że chce go obstawić swymi ludźmi.

Niechętnie wyjechał i rad był, że już trzeciego dnia zawieja, w której świata widać nie było, stworzyła dogodny pozór zaniechania łowów. Osaczników pozostawił i z jednym tylko pachółkiem ruszył z powrotem. Nie zajeżdżając na gród odesłał go i pod wieczór już było, gdy dotarł do dworca na Winiarach głodny, przemarznięty i zły. Nastrój jego poprawił się, gdy wyparzywszy się w łaźni zasiadł do posiłku. Chwalena z zadowoleniem patrzyła jak się pożywia i rzekła:

— Jeno się ruszyć, wraz ci do jadła wróciła ochota.

Może jeszcze do czego — zaśmiała się. — Pytała tu o ciebie jakowaś niewiasta, nawet urodna...

— Co prawisz? — przerwał Bezprym podniecony. — Nie rzekła, czego chce?

— A czego by? Pewnikiem wiedziała, iżes pieniądz odebrał u skarbnika. Ni pies tak zwierz nie zwęszy jak ladcznica srebro...

— Kiedy była? — przerwał Bezprym niecierpliwie. Nie wątpił, że dziewczka posłana była przez Ottona. Aż się poderwał, gdy Chwalena rzekła:

— Mało co przed tobą.

— Nie mówiła, gdzie jej szukać?

— Ale cię przypiliło — zaśmiała się Chwalena. — W osadzie złotników żywie, ani tam jeszcze zajść nie pośpiała pewnikiem, bo droga kopna.

Widząc, że Bezprym zbiera się do wyjścia, dodała:

— Poczekalbyś choć, aż ostygniesz po łaźni. Jeszcze cię

zamróz chwyci, a ze wszystkim dziewczka ci nie uciecze. Ale Bezprym nawet nie słuchał i za chwilę w zapadającym już zmroku pędził jak do ognia. Nareszcie coś się zaczęło.

Jeszcze do osady złotników był spory kawał, gdy w białym mroku dostrzegł ciemniejszy kształt i po chwili dopędził idącą w tym kierunku niewiastę. Powściągnął konia i jechał obok niej. Patrzyła na niego nie odzywając się, zaczął więc pierwszy:

— Tyś była u mnie na Winiarach?

— To wyście królowie Bezprym? — zapytała.

— Jam ci jest. Czegoś chciała?

— Brat wasz niechał wam rzec, byście go nie szukali.

Przydzie pora, da znać.

Bezprym omal nie zaklął. Nie na taką wiadomość czekał.

— Tyle jeno? — zapytał ze złością.

— Gdybyście jemu coś rzec chcieli, mnie rzeknijcie.

U złotników żywię, Lubosza mnie wołają.

Bez słowa zawrócił, zrazu złość swą wywierając na koniu. Gdy jednak ochłonął, pomyślał, że Otto nie bez powodu chciał go przestrzec, a teraz wiadomo przynajmniej, jak w razie potrzeby z nim się porozumieć, nie narażając na niebezpieczeństwo. Pozostaje tylko uzbroić się w cierpliwość.

Przestrzegając Bezpryma Otto miał na względzie swoje własne bezpieczeństwo, a lękał się, by zniecierpliwiony brakiem wiadomości nie uczynił fałszywego kroku, który mógł tylko udaremnić zamierzenia. Mieszko niechybnie miał się przed nim na bacności. O rodzonego brata natomiast zgoła się nie troszczył, od dnia koronacji nawet nie gadali ze sobą i Otto, korzystając z zupełnej swobody, od jesieni objeżdżał północ i zachód kraju. Tym razem jednak łowy i biesiady stanowiły jeno pozór i sposobność, by rozejrzeć się, a nawet zjednać sobie zwolenników. Rychezę z jej cesarskim poparciem i Bezpryma z pierworodztwem uważał za narzędzie przydatne do strącenia Mieszka z tronu, ale by samemu na nim zasiąść, potrzebował innych niż oni popleczników. Tym razem myślał nie tylko o pozyskaniu sobie możnych władców niechętnych Mieszkowi. Gdy przyjdzie do rozgrywki, Jarosław i tak skorzysta ze sposobności, by zagarnąć Grody Czerwieńskie. Ale będzie wolał otrzymać je bez walki w zamian za poparcie Ottona.

Niewiele wypocząwszy i uzupełniwszy zasoby, Otto zbierał się do wyjazdu na wschód, gdy zjawił się u niego Dobromir, mówiąc:

— Widzę, że wasza miłość zasię wyjechać zamierza.

— Iście tak — odparł Otto. — Czemu pytacie?

— Bo miłościwy król chciał gadać z wami, tedy radziłbym na niego poczekać. Wrócić ma rychło, bo i spraw tu nieco zaległo, które załadzić zechce nim wyjechać mu przydzie.

Otto zaniepokoił się. Dotychczas Mieszko nigdy go nie wzywał na rozmowę. Na końcu języka miał zapytanie, o czym król chce z nim mówić, ale pomyślał, że Dobromir nie powie, odparł przeto:

— Bym wiedział, gdzie król bawi, sam poskoczyłbym do niego. Czekać mi nijak, bo na przedwiośniu drogi rozmiękną, a cni mi się tu.

Żupan obojętnie ramionami wzruszył:

— Tam gdzie miłościwy pan bawi, nierad gadać o sprawach. Ja jeno radzę, a wy czyńcie, co wam się zda.

Skłonił się i wyszedł, pozostawiając Ottona w zamyśleniu. Co może Mieszko wiedzieć o jego knowaniach? Mówił tylko z Rychezą i Bezprymem, i to bez świadków. O tym Mieszko ani wiedzieć nie może, ani nawet podejrzewać.

Bezprymowi jednak na pewno nie ufa i trzyma go pod nadzorem. Póki sprawa nie dojrzeje, lepiej go unikać, a nawet przestrzec, by nie szukał spotkania.

O zamierzeniach Ottona wie także dawny jego piastun, a obecnie zaufany powiernik, Suliwoj. On jednak nie zdradzi ani rozmyślnie, ani przypadkiem. Chytry jest, z wyniesieniem Ottona wiąże i własne, zawidząc pierwszeństwa Awdańcom, a w rzeczy samej on nakłonił dawnego wychowanka, by nie czekał, aż władzę obejmie syn Mieszkowej miłośnicy, ale jako prawowity syn królewski sam sięgnął po nią. Wie o wszystkich jego zabiegach. Otto mógł jednak popełnić jakąś nieostrożność, zwłaszcza gdy napitek rozwiązał mu język. Postanowił naradzić się z zauszniakiem, co poczynać.

Gdy przedstawił swe wątpliwości, Suliwoj zamyślił się:

— Chce król gadać z tobą — powiedział — poczekaj na niego. Gdybyś się od tego uchylał, właśnie byś się podał w podejrzenie. Może cię i podejrzewa i wybadać chce, ale co może wiedzieć? Tedy łba ci nie utnie.

— Mógł mu donieść któryś z komesów pogranicznych grodów, co z nimi gadałem.

— A cóżeś gadał? Że niemieccy wielmoże sami sobie króla wybierają, jaki im dogodny, a nie na rękę im, to się buntują, jak ninie. Że lenna sobie dziedzicznymi poczynili i o łaskę królewską nie muszą zabiegać. Nie twoja wina

jeśli poniekąd z komesów zrozumiał, że gdyby ciebie królem obwołali, także z urzędników wasali poczynisz, sobie jeno zwierzchnią władzę ostawując.

— A jeśli Bezprym z czymś się wydał?

— Gdyby się wydał, nie siedziałby spokojnie u swej Chwaleny. Tedy niechaj dalej siedzi, póki niepotrzebny, jeno przestrzec go trzeba, by się cierpliwił i nie myślał, iż coś poniechał sprawy.

Otto uczynił, jak radził Suliwoj, ale z pewnym niepokojem czekał na powrót Mieszka. Niemal nie znał starszego brata, który dawno już opuścił dom, często zastępując ociężałego ojca, gdy mię postrzyżony jeszcze Otto pozostawał pod opieką niewiast, które psuły jasnowłosego ulubieńca, pozwalając mu na wszystko. Poważny i zamknięty w sobie Mieszko onieśmiał go, nie szukał z nim zbliżenia, czując, że brat nie pochwała lekkiego życia, jakie prowadził. Po raz pierwszy wzywa go na rozmowę, darmo jednak Otto głowił się, o czym chce z nim mówić.

Po naradzie z powiernikiem postanowił wstrzymać się z wyjazdem na wschód. Przygotowania do wyprawy na Sasów świadczyły, że król pewny jest, iż od cesarza nie otrzymają posiłków. Zajęty na zachodzie Konrad nie udzieli też poparcia zamierzeniom Ryczezy, przedwcześnie więc zmawiać się z Jarosławem.

Gdy Mieszko wrócił do Poznania, na grodzie zapanował ruch. Zawiadomieni o powrocie króla przybyli też dostojnicy, z którymi trwały narady i Otto długo oczekiwał wezwania. Zaczynał podejrzewać Dobromira, że go zwiódł, by skłonić do poniechania wyjazdu, głowił się, jaki mógł mieć w tym cel, aż jednego wieczora przyszedł komornik z zawiadomieniem, że król czeka na niego.

Obszerna, sień, przez którą zazwyczaj przewijało się mnóstwo ludzi wezwanych na posłuchanie, pusta już była i Otto nie czekał długo, gdy zjawił się komornik zawiadamiając, że król go wzywa.

Komnatę oświetlał tylko ogień płonący na kominie, przed którym stał Mieszko. Gdy Otto wszedł, nie zaraz odwrócił się, jakby nad czymś zadumany. Na pozdrowienie skinął tylko głową i po chwili rzekł:

— Dawno cię nie widziałem. Ani wiada, gdzie się obracasz.

Otto miał się na baczności. Nie wiedział, czy to jest pytanie gdzie bywał. Gdy Mieszko milczał, zdało mu się, że czeka na odpowiedź i odparł:

— Wždy się nie ukrywam. Mogę rzec, gdzie bywałem,

jeno dużo by gadać, bo cni mi się na jednym miejscu siedzieć, tedy go i nikam nie zagrzałem.

Mieszko jednak machnął ręką i chodzić jął po komnacie, Otto zaś stał czujny i napięty. Niespodzianie Mieszko zatrzymał się przed nim i zapytał:

— Czego ty byś chciał?

Otto wolał, by brat nadal uważał go za rozwiązłego lekko ducha i odparł:

— Wždy z łaski waszej niczego mi nie brak, tedy i o nic nie proszę. Trzeba wam wiedzieć, kędy bywam, zawždy mogę rzec. Ninie do leśnego dworca zbieram się na łowy pokąd zima. W Poznaniu zasię siedzieć mi nie lubuje, bo pan biskup na mnie krzyw, iże mnie częściej w karczmie znaleźć można niżli w kościele — zaśmiał się z przymusem. Twarzy Mieszka nie widział, bo pozostawała w cieniu, zdało mu się jednak, że w głosie jego brzmiał zawód, gdy powiedział:

— Skoro nie chcesz niczego, możesz odejść.

Nie podając bratu ręki znowu zaczął chodzić po komnacie w zamyśleniu. Otto nadal nie mógł zrozumieć, po co go Mieszko wzywał. By coś rzec, zapytał:

— Zali mogę wyjechać?

— Jak wola — odparł Mieszko obojętnie. Widząc, że niczego się nie dowie, Otto skłonił się i wyszedł. W przejściu przez sień minął się z palatynem Michałem, który wszedł nie czekając na wezwanie. Rodzony brat czekać musiał na nie, gdy palatyn ma dostęp do króla o każdej porze. Drugi już z rządu Awdaniec sprawuje najwyższy urząd, ino patrzyć dziedzicznym go zechcą uczynić, by jak ongiś majordomowie u Franków, sami posięgnąć królewski stolec. Za szybko wyrosli, pora i temu położyć tamę.

Gdy palatyn wszedł, Mieszko wskazał mu miejsce na ławie, sam jednak nie usiadł. By przerwać milczenie, Michał zapytał:

— Nad czym się sumujecie, miłościwy panie?

Król odpowiedział pytaniem:

— Co mniemasz o Ottonie?

Gdy palatyn milczał, Mieszko dodał:

— Gadaj otwarcie, nie bacząc, że to mój brat.

— Tyle o nim wiem, co wszytcy, porobniki* — odparł wymijająco.

Wiedział o zbliżeniu Ottona z Rychezą, jego objazd pogranicznych grodów budził w nim niejasne podejrzenie, ale nie chciał o tym mówić, nie mając żadnych dowodów.

Mieszko usiadł i zaczął w zadumie:

— I was trzech braci, jako i nas. Jeden za drugiego rękę by sobie dał urzezać albo i łeb. Jednej krwi jesteśmy z Ottonem. Wdały jest, zawždy rozpuszczały go niewiasty, rodzic niczego mu nie zlecał, tedy nie dziw, że czas zwykł trawić na igrach. Ale ninie już nie młokos, dwadzieścia i dziewięć godów mu mija...

— Nie był ci już młokosem, gdy umierał rodzic wasz — przerwał palatyn — on znał ludzi, wiedział przecz, działu mu nie ostawił.

— Nie chciał dzielić, co mozolnie jednoczyć musiał. Ale zmieniają się ludzie. Wždy Otto do starości za kieckami ugańnić nie będzie, pomyśleć musi, co począć ze sobą. Chciałem się z nim dogadać jako brat z bratem. Tobie mogę rzec, że nie zda mi się, by długi żywot był przede mną, sił ubywa, ale nie trosk i trudu. Bolko młodziak, takż niewiast zbyt ciekawy, doświadczenia mu nie dostaje. Otto mi krwią najbliższy, a niedobrze człeku samotnemu. Jeno że nie był ze mną szczery, jakoby na bacności się miał...

* rozpustnik

Urwał i zadumał się, a palatyn nie przerywał milczenia. To, co mówił król, umacniało go w podejrzeniu, że Otto istotnie myśli o swej przyszłości, jeno nie takiej, jakiej chciałby Mieszko.

— Co tam! — powiedział król po chwili. — Może i moja wina, iż ufności do mnie nie żywi, bom też nigdy o nią nie zabiegał. Bywa i gorzej, gdy bracia wzajemnie przeciw sobie u wrogów sprzymierzeńca szukają. Ale zadość o tym, bo pewnikiem z czym innym przychodzisz.

— Iście tak! — odparł palatyn. — Potwierdza się wieść, że węgierski król wyprawę na Bawarów gotuje i wyruszyć ma zaraz po świętach Pańskiego Zmartwychwstania.

— Jemu pora sposobna, bo nikam przeprować się nie musi, jeno lewym brzegiem Dunaju pociągnie — powiedział Mieszko w zamyśleniu. — Nam za wcześnie, bo nie jedna rzeka po drodze, a wody jeszcze nie opadną.

— Ale Stefanowi dalej do Bawarii niżli nam do Sasów, a po drodze na opór może natrafić we Wschodniej Marchii. My zasię samą lekką jazdą przeprowim się wszędy, choćby wpław. Chyłkiem borami, grodów i osad unikając, nim do Łaby dociągniem, wody opadną, bród znam poniżej ujścia Muldy, za Salawę zaś nawet wasz wielki rodzic już nie chadzał. Starczy, że magdeburskiemu Hunfriedowi majątności przeczeszem, brańców i łupy zagarniem i wracać nam. Król tylko głową skinął, ale zdał się myśleć o czym innym, bo powiedział:

— Skoro są wieści od Stefana, winien i Bolko wrócić z Krakowa.

— Wrócił — odparł palatyn — jeno poskoczył macierz odwiedzić po drodze.

Mieszko zmarszczył się i rzekł:

— Wždy mu nie bronię, ale osada nie za siódmą rzeką i stąd każdego dnia może ją odwiedzić. Ale pierwsza jego powinność mnie wieści donieść, po które go wysłałem. Palatyn nic nie odrzekł, pożegnał się i wyszedł. Król o sobie myślał, mówiąc że niedobrze samotnemu człeku. Prócz tego syna nie ma nikogo bliskiego, a samowolny młodzik zna tę słabość ojca.

Niszczący najazd całkowicie zaskoczył Sasów, znaczną część kraju obracając w perzynę. Uderzenie Lutyków oparła się na obwarowaniach Braniboru, a węgierski Stefan spustoszył Wschodnią Marchię, docierając aż do granic Bawarii. Jednocześnie tych działań wskazywała na porozumienie między niedawnymi wrogami, tym groźniejsze, że zachodziła obawa, iż ruszą się także zawsze skłonne do buntu pozostałe plemiona połabskich pogan, które raz już omal nie obaliły krzyża na Połabiu. Toteż magdeburski Hunfried, stroskany i niespokojny, słał do cesarza naglące wezwanie o pomoc.

Konrad uładził właśnie sprawy na zachodzie, przeprowadził wybór młodocianego syna swego Henryka na niemieckiego króla, by oszczędzić państwu rozdarcia i zamętu, z jakim sam zmagać się musiał po śmierci swego poprzednika, których nie omieszkali wykorzystać sąsiedni władcy. Były oznaki, że wierni dotychczas Czesi zechcą również zrzucić zależność. Wojowniczy nieślubny syn Oidrzycha — Brzysław bez cesarskiego przyzwolenia zajął Morawy i ogłosił się ich księciem, a co więcej napadł na klasztor, w którym przebywała słynna z urody córka margrafa północnej Bawarii, Henryka ze Schweinfurtu, uprowadził ją do Ołomuńca i nie pytając o przyzwolenie ojca zawarł z nią związek małżeński. Należało przypomnieć Oidrzychowi, że z łaski cesarskiej zasiadł na praskim kamiennym tronie, strącając zeń i więżąc prawowitego władcę a starszego brata swego Jaromira. Toteż otrzymawszy wieść o wypadkach, Konrad pospieszał na wschód i wiosna jeszcze była w pełni, gdy stanął w Magdeburgu.

Mieszko świadomy był, że cesarz nie pozostawi napaści bez odpłaty, ale wiedział też, że nie zdoła zebrać potrzebnych sił, by wyruszyć przed nastaniem jesiennych słoń. Nie ścigany przez nikogo, z jeńcami i łupem wracał do kraju,

wzmocniwszy tylko załogi w Budziszynie i w innych grodach.

Dla Ryczezy natomiast wyzwanie rzucone cesarzowi stwarzało sposobność do wykonania swych zamierzeń. Gdy tylko doszła ją wieść o przybyciu Konrada do Magdeburga, natychmiast udała się tam, by uzyskać dla nich cesarskie poparcie.

Cesarz stanął w pałacu arcybiskupa i uradzał właśnie z Hunfriedem nad położeniem, gdy zjawił się dworzanin Ryczezy z prośbą, by udzielił jej posłuchania.

Konrad wiedział o rozdzwisku między małżonkami, który był mu na rękę, toteż przyjął Rychezę życzliwie i wysłuchawszy ją, powiedział:

— Bóg niechaj wybaczy poprzednikowi naszemu, że naruszając jedność chrześcijaństwa sługę uczynił panem, a z lennika wroga cesarstwa. Zamierzałem jeno ukarać małżonka waszego za przywłaszczenie sobie królewskiej godności bez naszego przyzwolenia i zmusić do hołdu i posłuchu. Skoro jednak, jak słyszę, związek wasz rozwiązany został, chętnie poprę braci uroszczyciela, a synowi waszemu, gdy do lat dojdzie, Polskę w lenno oddać przyrzekam pod warunkiem, że wyrzeczy się królewskiej godności.

— Zaś Kościół polski pod zwierzchnictwo naszej metropolii, jak na to przywilej Ojca Świętego posiadamy — wtrącił Hunfried, Rycheza jednak odparła:

— Wasza przewielebność nie w porę to roszczenie podnosi, nie jeno przeto, że sporne jest. Dziad mego byłego małżonka uzyskał przywilej na misję w swym kraju, rodzic zaś jego nie jeno własnego metropolitę, ale i zezwolenie na misję u północnych pogan. Co jednak Stolica Apostolska dała, to i odebrać władna. Ale ninie gnieźnieńskim metropolitą ostał Bożęta, człek polskiego i to możnego rodu. Będzie się przeciwiał, a z nim duchowieństwo, stanąć gotowe po Mieszkowej stronie.

Hunfried zbierał się do odpowiedzi, ale cesarz uciął:

— Jej dostojność słusznie rzekła, że na kościelne sprawy nie pora. Choćby ninie Ojciec Święty dawny przywilej zatwierdził, też pergamin jeno mieć będziecie, pokąd Mieszko na swym stolcu siedzi.

Zwracając się do Ryczezy dodał:

— Jeno i mnie poczynać nie pora. Tylko co lenników do dom zwolniłem i w tym roku ponownie stawać powinności nie mają. Sprzymierzony z nami Kanut jeszcze w Norwegii wojuje, z ruskim Jarosławem także porozumieć się należy, by pospołu uderzyć. Skoroście się tedy z Mieszkowymi brać-

mi ułożyli, uwiadomić ich trzeba, kiedy zamierzamy poczynać, by się w porę u nas stawili, bo i dla nich bezpieczniej, i ja swoje warunki chcę im postawić. Mniemacie, że im zaufać można?

— Otto jest człek lekki — odparła Rycheza. — Najdzie i on ludzi, którzy niechętni Mieszkowi przy nim staną. Ważniejszy jest Bezprym, bo wielu, a zwłaszcza prosty lud jego uważa za prawowitego dziedzica Bolesławowego. Jemu zaś nie tyle o władzę chodzi, jak o pomstę nad Mieszkiem, bo z jego przyczyny żywot zmamił w klasztorze. Człek niemłody, potomstwa prawego mieć nie będzie, choćby małżonkę pojął, bo związku zbiegłego mnicha Kościół nie pobłogosławi. Ottona tedy byle czym zbyć można, a Bezpryma namiestnikiem uczynić, póki syn mój do lat sprawnych nie dojdzie.

— Innych zaufanych ludzi też by się w kraju mieć zdało — zauważył Konrad, a Rycheza odparła:

— Jako rzekłam, duchowieństwo mi sprzyja, niejednego dobrodziejstwa ode mnie doznawszy. Ze zaś na Bezpryma krzywym okiem patrzeć będzie, to i lepiej. Ze świeckich ostał jeno w kraju dworzanin mój, Embricho. Małżonkę pojął polskiego rodu, tedy nie należałam, by ze mną wyjechał, bo i tam będzie mi potrzebny.

— Jeno zali można ufać człekowi, któren się poniżył z obcymi krewniąc? — zapytał arcybiskup, Rycheza jednak widocznie poczuła się dotknięta, bo odparła oschle:

— Ja takż. Zali przeto i mnie nie ufacie, że dobro krześcijaństwa i cesarstwa mam na względzie?

— Wybaczcie, miłościwa pani — powiedział Hunfried zmieszany. — Na myśli miałem Zygfryda, syna łuzycznego margrafa. Z klasztoru w Nieburgu zbiegł do Mieszka. Naszego jest plemienia, a nie wzdragał się wrogom pomagać.

— Zbiegłemu mnichowi się nie dziwić, że własny naród zdradza, gdy nawet Bogu ślubowanej wiary nie strzymał — rzekła Rycheza. — Ja znam swoich ludzi i wiem, komu zaufać można.

— Bezprym takż z klasztoru zbiegł — mruknął arcybiskup.

— Ale bez przyzwolenia i poparcia miłościwego cesarza ani władzi nie posięnie, ani się przy niej nie utrzyma — odparła Rycheza. — Nie nam za złe mu mieć, że z naszą pomocą pomsty szuka nad bratem.

— Nie tak myślałem — powiedział arcybiskup. — Niczemu nie przyganiam, co z korzyścią jest dla Kościoła i cesarstwa, jeno że do wiarołomnych ufności nie żywię.

— Ufność niepotrzebna, gdy w tym własna Bezpryma sprawa — odparła Rycheza. — Otto zasię może by się z bratem uładził, jeno nie po myśli mu nad sobą mieć bękarta, którego Mieszko na następcę sposobi. Nam przydatny być może, bo mu Mieszko na ręce nie patrzy jako Bezprymowi. Na niego liczę, że usunąć wydoli onego zuchwałego młokosa, któren już pokazał, czego się po nim można spodziewać.

— Ostawmy jej dostojności, kiedy i kogo uwiadomić zechce — uciał cesarz. — Wiedzieć jeno mają, że wyprawę w przyszłym roku gotujem, gdy bagna podeschną i brodów na rzekach przybędzie. Ninie pilniejsza sprawa jak pogańskie napaści ukrócić, by spokój był od nich, gdy przeciw Mieszkowi działać przydzie.

Bitne i niespokojne plemiona pogan połabskich były uciążliwym sąsiadem zarówno Niemiec jak i Polski. Nie zdając sobie sprawy, że tylko współdziałając z nią oprzeć się zdołają wzbierającej fali germańskiej, w przewlekłych wojnach Bolesława z Henrykiem II posiłkowali zazwyczaj cesarza. Toteż Mieszko nie szczędził starań, by ich przeciągnąć na swoją stronę, wiążąc przez to nieprzyjacielskie siły, a zwalniając własne. Po raz pierwszy od dawna Lutycy wzięli udział we wspólnej wyprawie na Sasów, która opłaciła im się sownicą. Mieszko bowiem w Kopanicy, gdzie rozchodziły się drogi powracających wojsk, oddał im znacznie większą część łupów, niż mogli się spodziewać, zaproszoną na ucztę starszyznę z wodzem Muką na czele obdarzył ponadto hojnie, a żegnając ich powiedział:

— Dobrze nam się społem wojowało, mniemam, że niepośledni raz. Rad bych i z waszymi sąsiadami jeśli nie przymerze to choć pokój zawrzeć, a za baraśne odwdzińczyć się nie omieszka. Słyszę, że Weleci ślali do cesarza ze skargą na mnie o pograniczne napaści, jakby nie jeno ich, ale i moim był panem. Jako owce do wilka przeciw psu, któren ich strzeże, choć i ukąsić nie omieszka, gdy swawolą. Nic cesarzowi do spraw między nami, ale wmieszać się rad, bo to na jego młyn woda. Jeno nie od nas, lecz od Niemców zguba wam grozi. Możecie Weletom i Obotrytom rzec, jako im poręczam, że ni jagnię nie zginie, jeśli mnie w spokoju ostawią, gdy zasię z cesarzem zmagać mi się przydzie. A juści bez odpłaty nie ostawi tego, cośmy ninie zdziałali, tedy sposobność im będzie zdradzieckiemu wrogowi za krzywdy odpłacić. Lutycy słuchali nieporuszeni, trudno było odgadnąć, co myślą. Gdy Mieszko skończył, przez chwilę panowało kłopotliwe milczenie. Wszystkie spojrzenia skierowały się na Mukę, który gładził krótką, szpakowatą brodę, jakby rozwa-

zał, co odpowiedzieć. Wreszcie wstał i zaczął:

— Iście łącniej zmówić się z tymi, którzy słowem gadają niżli z Niemcem. Jeno kaźden tam sojusznika szuka, gdzie go naleźć moźe, a nikto korzyściami nie gardzi. Ale za żywot nie chcemy niemieckiego Boga ni od nich, ni od was. A to wiemy, że rodzic wasz zlecenie otrzymał, by go do nas wprowadzić. I dziad wasz, i rodzic Niemkinie pojęli, wam takōż Niemkinie zaswatano. Za nimi niemieccy kapłani się zwlekają, chramy starych bogów burzą, święte gaje wycinają, nowy obyczaj wprowadzają. Rzekliście, że nam od Niemców zguba grozi. Zali wam nie? Jeno my bronić będzim swoich bogów do pośledniej krwi, a wy niemieckiego pod własny dach wpuszczacie, jen Niemcom sprzyjać będzie, nie wam.

Młesko słuchał ze zmarszczonym czołem, namyślając się co odpowiedzieć. Po chwili zaczął:

— Nie jest ów Bóg niemiecki; jeden dla wszystkich narodów, by pokój był między nimi. I nie od Niemca dziad mój przyjął krzyż, a rodzic najwyższego kapłana dla naszego kraju. Niemieckich kapłanów sprowadzamy, bośmy się jeszcze swoich nie dochowali ile trzeba, a umiejętności przynoszą, jakich nam brak. I prawda, żeśmy od Niemców małżonki brali, gdy korzyść w tym była. Ale — macierz mego rodzica z Czechów, moja, jako wiecie, z milczańskiego, a ten owo syn mój, którego następcą swym wyznaczyłem, takōż nie z niemieckiej małżonki, jeno z niewiasty naszego narodu. Muki jednak nie przekonał, gdyż ten odrzekł:

— Opłaciła się nam pospólna wyprawa, tedy my naszym bogom żertwę złożym w podzięce, wy zasię waszemu. Jeno raniej żelazo pływać pocznie, nim go do nas puścim. Prawicie, królu, iże jeden ma być dla wszytkich narodów, by pokój był między nimi; pokój niewolnika, jen doma ostaje, gdy wolny na wyprawę ciągnie, ale w zamian pana słuchać musi jako pies rogu. Nam ani takowy pokój, ani takowy bóg niepotrzebny. Prawy pokój będzie, gdy go wyżeną, skąd przyszedł.

Bolko, który siedząc wśród lutyckiej starszyny przypijał do niej gęsto i zdał się nie słuchać, teraz parsknął śmiechem i zwrócił się do Muki:

— Nie wiem, zali da się go wyżenąć, bo pono wszędy jest i nikto go nie widzi kromie kapłanów. Przeto baraśnikami się uczynili między nim a ludem, oni jedni wiedzą, czego chce i rządzić radzi jego imieniem. Ich wyżenąć, a jeśli iście wszechmocny, jak prawią, bez ich pomocy pokój ustanowić wydoli. Jeno co by wonzas mężowie działali? Chyba do

kądzieli im zasiąść społem z białkami.

Mieszko gniewnie spojrział na syna, ale wśród lutyckiej starszyny rozległy się śmiechy. Nawet surowa twarz Muki rozchmurzyła się, gdy zwracając się do Mieszka rzekł:

— Jeno pozazdrościć ci królu takowego syna. Baczyłem na niego czasu wyprawy: jako wilk podchodzi, jako sokół

uderza, niczym łosć przez bagno przejście znaleźć wydoli, a widzę, że i umysł ma ostry. Z takowym junoszą aże radość społem wojować, tedy mniemam, że iście niepośledni raz. Skłonił się i żegnając króla dodał:

— Somsiadom nie omieszkamy rzec, że ich w pokoju ostawicie, gdy im na Niemca ciągnąć przydzie. Niechaj się z wami o wzajemność ułożą.

Wraz z Muką wyszła starszyzna lutycka, w ślad za nią pozostali biesiadnicy, by przygotować swe hufce do dalszej drogi. Bolko również zbierał się do odejścia, ale król rzekł ostro:— Ostań! — Zwracając się do palatyna Michała dodał: — Ty także.

Bolko patrzył na ojca pytająco. Mieszko zaczął:

— Muka rzekł, iż umysł masz ostry. A ja ci mówię, że jeno język. Choćbyś praw był w tym, co rzekłeś, baczyć winieneś przed kim. Jeszcze cię żywot milczeń nauczy, bogdajbyś drogo za naukę nie zapłacił. Słowo się z wiatrem niesie jak nasienie, ani wiada kiedy i jaki plon wyda. Iście podobalo się to poganom, ale nie uczyni ci druhów u duchowieństwa.

Bolko zrazu słuchał uśmiechając się niepewnie, teraz zasępił się i przerwał:

— Jeśli się spodobało poganom, spodoba się i naszemu ludowi. Znam go lepiej niżli wy, wiem, że starym bogom cześć oddaje, a nowego nie chce ni jego kapłanów...

— Milcz i słuchaj! Pradziad twój przeto krzyż wprowadził, by Niemcom pozór napaści odebrać. Dziad latami starań dokładał i zasobów, nim własnego metropolitę zdołał pozyskać, roszczeniom magdeburckiego biskupa kres położyć i koroną się ozdobić, która niezależność oznacza...

— Niezależność — parsknął Bolko. — Wždy wiem, że Radzim wyklął dziada i pokuty mu nałożył, przeto że cniło się dziadowi sypiać samemu. Mnie także, tedy może każecie mnie wytrzebić, bym się nie naraził kapłanom.

— Dość! — Mieszko pięścią w stół uderzył. — Małżonkę dostaniesz, gdy przydzie pora, a ninie na chleb i wodę do wieży pójdiesz, byś czas miał trzeźwą głową pomyśleć, załiś mędrszy od dziada i pradziada. A teraz precz!

Bolko bez słowa odwrócił się i wyszedł, a Mieszko chodzić jął po izbie. Gdy minął gniew, zostało przygnębienie. Syn nie po raz pierwszy zasłużył na naganę czy karę, ale dotychczas zawsze umiał ojca rozbroić czy pozorną choćby uległością, czy przymileniem. Dziś ważył mu się przeciwstawić. Mieszko nie mógł płazem puścić krnąbrności, a lękał się, że zrazi sobie i tego syna. Stał przed Michałem, który w mil-

czeniu przysłuchiwał się zadzierce i zapytał:

— Rzeknij, jeno szczerze, co o tym mniemasz?

— Cóż? Syn rodzicowi, a wojak królowi posłuch jest dłużny — odparł palatyn wymijająco.

— To wiem bez ciebie — niecierpliwie rzucił Mieszko. — Nie wiem jeno, zali słusznie uczyniłem, jego wyznaczając swym następcą.

— O to wasza troska? Wojakiem już jest przednim, wojak zuchwały być musi, a młokosy gębie wędzidła nakładać nie zwykły. Że za dziewczkami cieką? Pono mój rodzic takż za młodu sporo zamętu o dziewczki zdziałał i z dziadem się o to pozarli, a po dziś dzień sławią jego imię. Z biskupem takż zadarł o druha i nawet pod klątwą pozostawał i cóże się stało? We czci dokonał żywota.

— Jeno że Bolko nie setnikiem ma być ni tysięcznikiem czy wojewodą, ale królem. Nawet mój wielki rodzic z kapłanami się liczył, cześć im oddawał niczym książętom, uposażenia im nie skąpił, bo wiedział, że bez nich nijak rządzić. Ludzi potrzeba znających obce kraje i mowy i inne sztuki. Mnie takż rodzic w tym kształcić kazał, bym właści podołał, bo nie jeno siłą oręza ojce państwo budowali. I nie tylko oni wiedzieli, że naród, któren krzyża nie przyjmie, łupem będzie ochrzczonych. Ochrcił Harald Danię, Olaf Norwegię, Włodzimierz Ruś, Stefan Węgry. Bolko się mędrszym od nich wszystkich mniema, bez kapłanów rządy zapowiada, a karku zginać już nie chce nawet przed rodzicem. Może i moja w tym wina, iżem wcześniej nie zadbał o jego wychowanie, ale nie szło, pokąd rodzic żył, bo nie chciał zadry z Ezzonem. Nawet o to był gniewny, że go przy postrzyżynach jego nazwał imieniem.

— Pytacie, zali dobrze, iżecie jego następcą swym wyznaczyli — zaczął Michał. — Mam szczerze odpowiedzieć, tedy powiem, co myślę: ostawił wam rodzic Bezpryma, to już utratę zakarpaccich krajów kosztowało, a co dalej, nie wiada. Ostawilibyście Bolka Kazimierzowi, też by przeciw bratu znalazł poparcie nie jeno u wroga, ale i u naszego ludu, bo praw jest, że prosty naród ni obcego boga, ni jego kapłanów nie chce. Siłą go wasz dziad wprowadził, rodzic jego srogimi barami do nowego obyczaju przymusił, a bunt stłumił. Ale pokój wonczas miał od postronnych, a w kraju ład i zasobność, przeto miłował go naród i lękał się, bo sprawiedliwości domierzał, ale miłosierdzia nie znał.

Mieszko słuchał, chmurnie zamyślony. Gdy palatyn zamilkł, odezwał się:

— Gadaj śmieie. To wiem, iżem ni miłości nie odziedi-

czył, ni ładu i spokoju, wrogów natomiast gdzie spojrzeć, i nie lepsze dziedzictwo ostawię swemu następcy.

— Rodzic wasz takó¿ wrogów odziedziczył, nie jeno postronnych, ale i w kraju. Trzy gody zмагаć się musiał, nim dziedzictwo w swym ręku zjednoczył. Zawždy zamęt bywa przy zmianie, a kto żyw, korzyścić z niego rad.

— Rzeknij prosto, iżem nie dorósł rodzica — przerwał Mieszko z goryczą, ale Awdaniec odparł żywo:

— Nie rzekę! Nie pora porównywać, gdy żywot przed wami.

— Nie wiem zali długi.

— Nikto nie wie, tedy i lepiej, iżecie sobie następcę przysposobili, ten zrały już, a z wrogiem cackać się nie będzie.

— Iście tak — powiedział Mieszko w zamyśleniu. — W tak młodych leciech aż nadto skorą ma rękę do ubijstwa. — Nadto skorą? — powtórzył Michał. — Mnie rodzic uczył: nie ubijesz ty, ubiją ciebie. Wam by się skorszą mieć zdało.

Mieszko zmarszczył się.

— Do czego pijesz? — zapytał.

— Kazaliście szczerze gadać, tedy nie bądźcie gniewni. Do Bezpryma. Zali wierzycie, że swych zamiarów poniechał? Jeno sposobności mu brak, ale gdy nadejdzie, za późno będzie ład z nim uczynić.

— Stefanowi pod przysięgą wolność i żywot Bezpryma poręczyłem — rzekł Mieszko niechętnie. — Ale nie wierzę mu i Dobromirowi zleciłem mieć na niego baczenie.

— Ja takó¿ kazałem mieć go na oku. A nie byłoby potrzeby, gdyby mu oczy odjąć. Rodzic wasz nie wahał się oślepić krewniaków, gdy się z wrogiem wachali. Może by i Bezprym dawno oczu zbył, gdyby macierz wasza nie zabroniła wydać, co uczynił czasu walki z Odą.

— Ostów! Przecz na niego nastajesz? Zali wiesz coś?

— Gdybym wiedział, nie czekałbym na pytanie. Starczy, że obaj wiemy, iż z każdym wrogiem spiskować gotów. I to wiem, że z Ottonem gadał.

Król ręką machnął lekceważąco:

— Pytałem Ottona, zali chce czego. Rzekł mi, że starczy mu, co ma z mojej łaski. Jeno mu dziewczki, łowy i biesiady w głowie.

— Ale przezorność nie zawadzi — odparł palatyn. — Zleciłem i na niego dawać baczenie. A mam być szczery do końca: miętkie macie sierdce, nie na takowe czasy. Od jawnego wroga gorszy zdrajca.

— Bezpryma rodzic ukrzywdził, tedy nie dziw, iżem mnie

nienawidzi. Ale Ottonowi nijaka krzywda, skoro żywie, jako chce. Żywot by obrzydł, gdyby i przed bratem strzec się należało.

Michał nie chciał przypominać przygnębionemu królowi, że własny jego dziewierz * trzech braci wymordować zdołał, zanim w ucieczce przed Jarosławem sam życia zbył. Rzekł tylko na koniec:

— Nic nie znaczą związki krwi, gdy o władę idzie.

Palatyn Michał pożegnał króla, by korzystając ze spokojniejszej pory rozpuścić do domów hufiec rodowy, a samemu odwiedzić własną rodzinę i odprowadzić gromadę przydzielonych mu jeńców staremu stryjowi, który, jak ongiś założyciel rodu, skończywszy wojaczkę zajął się pomnażaniem majątności. Mieszko z zazdrością pomyślał, że druhowi wolno choć na krótki czas zapomnieć o sprawach, które jemu sa-
* Świętopełk syn Włodzimierza

memu nie schodziły z myśli od chwili, gdy objął władzę. Po trudach wyprawy mógłby przez parę dni odpoczywać przy boku Dobrochny, z dala od gwaru i zamętu, jaki go czekał w Poznaniu, ale starcie z synem zmuszało do poniechania tego zamiaru. Może zrozumiałaby, że nie mógł płazem puścić zuchwałstwa, ale przykro odczułaby nieobecność Bolka, za którym tęskniła. Gdyby zuchwalec sam to zrozumiał i okazał skruchę, Mieszko chętnie by mu wybaczył. Ale zaciął się widocznie, w drodze unikał ojca, jechał wraz z drużyną i z nią stawał na noclegi, a przybywszy do Poznania przez komornika zapytał, kiedy ma się zgłosić do wykonania kary. Mieszko nie wątpił, że uczynił to nie z poczucia winy, lecz z zawziętości lub lekceważenia. Miał jeszcze nadzieję, że nawykły do nieograniczonej swobody po paru dniach zmięknie i będzie się spraszał. Ale czekał daremnie, a myśl o tym zakłócała mu nawet sen.

Jednego wieczora siedząc samotnie przy wieczerzy powziął postanowienie i zawoławszy komornika polecił sprowadzić winowajcę. Gdy po dłuższej chwili zjawił się i bez słowa stanął przy drzwiach, Mieszko wskazał mu miejsce naprzeciw siebie i powiedział:

— Wypościłeś się. Siadaj i jedz, potem pogadamy.

Bolko usiadł, ale nie brał się do jedzenia. Młodzik nie chce ojcu ułatwić pojednania. Mieszko przez dłuższą chwilę chodził po izbie, udając że nie patrzy na syna i namyślając się, jak do niego przemówić. Wreszcie zaczął:

— Chcę odwiedzić twoją macierz, a nie uradowałaby się, gdybym jej rzec musiał, dlaczego przyjeżdżam bez ciebie. Gdy Bolko i teraz nie odezwał się, Mieszko ciągnął:

— Darowuję ci przeto karę a tuszę, że czas miałeś rozważyć swoje zuchwalstwo. Nikomu nie jeśm dłużny sprawiać się, co i dlaczego za potrzebne i dobre uważam. Choćbyś i praw był, nie twoja rzecz mi się przeciwzić. Ale że kiedyś rządy masz objąć, nie chcę do ciebie gadać jak król do wojaka ni nawet rodzic do syna. Wiele jeszcze doświadczyć i nauczyć się musisz, by zrozumieć, że krześcijaństwo nie jeno wiarę przyniosło w prawdziwego Boga, ale nowy ład, w którym lepiej się żywie, a kapłani nie rządzić mają w Jego imieniu, ale praw Jego i przykazań są stróżami.

Spojrzał na Bolka, który nadal siedział w milczeniu z twarzą nieprzeniknioną. Mieszko zrozumiał, że trudno go będzie przekonać, ale podjął:

— Rzekłeś, że lepiej znasz naród niżli ja, bo po równi z tobą nie rozumie dobrodziejstw, które przynosi krześcijaństwo. Pytałeś, co by mężowie działali, gdyby pokój Boży zaplanował. Wždy naród to nie jeno mężowie zdatni do oręża; z łupów bogaci się jeno ten, kto wygra, gdy jeden panem ostaje, drugi niewolnikiem. Za to dziada twego miłował, choć srogimi karami do nowej wiary i obyczaju wdrażał, bo mu pokój wywalczył. Musisz to zrozumieć, byś kiedyś nie zburzył tego, co ojce mozolnie zbudowali, by tamę położyć niemieckiej zaborczości.

Znowu spojrzał na syna, który siedział wpatrzony przed siebie, jakby się zastanawiał nad tym, co słyszał, ale gdy nie odezwał się, Mieszko zapytał:

— Maszli co rzec?

— Wždyście mnie za to pokarali, iżem gadał — mruknął Bolko.

Mieszko zachnął się niecierpliwie:

— Nie za to, jeno przeto, byś pomniał, że nie wszystko i nie wszędy można rzec, choćbyś i praw był, i byś się nie mniemał mędrszym nie jeno ode mnie, ale od mego rodzica i dziada. To wiedz, że z zielonego zboża ni chleba, ni nasienia, i nie o to cię winuję, że w wiosnie żywota żrały nie jeś. Brataniec mego rodzica Stoigniew takoz wyrostkiem omal krzyża nie obalił, a w żrałych leciech najmędrszym ostał budowy Kościoła w Polsce orędownikiem.

— Zwalacie gadać, będę gadał, jak myślę — zaczął Bolko. — Iście nie wiem, zali rządzić można bez kapłanów. Ale to wiem, że oni się rządzą. Od wolnych ludzi świadczeń się domagają, łowów i rybołówstwa wzbraniają tam, gdzie od wieka kaźden łowił wedle woli, denara z dymu płacić rzymskiemu biskupowi za to, czego nikto nie chce. Rzekliście, że dziad srogimi karami do nowego obyczaju wdrażać niechał.

Ja zasię wiem, że tyle z tego, iż się naród przytając nauczył. A jakoż nim rządzić, gdy nie wiada, co myśli i czego chce? Łacno było dziadowi bunt poskromić, gdy siłę miał i pokój od somsiadów. Ale mu go żaden Bóg nie podarował, jeno orężem wywalczył. Na to wojów potrzebował, nie kapłanów. Mniemam, żeście mnie przeto następcą swym wyznaczyli, iżem do wojaczki zdatny, a nie Kazimierza, jen pono i pismo zna, i obce mowy, i na kapłana się sposobi. On by pewnikiem nową wiarę i obyczaj krzewił. Ja nie będę, bo mnie samego mierzi, a srogość dla wrogów zachowam, bo zadość postronnych, tedy w kraju mi niepotrzebni.

Mieszko słuchał zaskoczony a nawet zmieszany. To nie była pusta gadanina podpitego młokosa. Trudno było nawet zaprzeczyć temu, co mówił i nie słowami go przekonać. Zaczął jednak:

— Wielu jest takich, co nijakim prawom podlegać nie chcą, nie jeno Boskim i kościelnym. Zali i ich karać nie Iza, by sobie wrogów nie przysparzać? Kto prawo łamie, jest wrogiem. Nijak każdemu smerdowi wyjaśniać, co dla wspólnego dobra potrzebne, moja rzecz o tym stanowić i moja rzecz wyznaczać, co kapłanom świadczyć winni. A jeśli nie wiesz, pytaj doświadczonych ludzi jako jest u pogan, u Prusów, Jaćwierzy, Weletów i innych: nawet książąt u nich nie ma, we wszystkim kapłani stanowią, świadczyć sobie kaza, ile im się zda, i przeto apostołów mordują, jako to Wojciecha czy Brunona, którzy z dobrą wolą i Bożym słowem do nich szli, by korzyści nie stracić. Naucz się patrzeć i słuchać, na sądy czas ci jeszcze. Ale zadość o tym, ninie powieczerzaj, a potem spać, bo rankiem do twej macierzy jądziem.

Pogodny błękit letniego już nieba odbijał się w zwierciadle jeziora, którego nie marszczył najlżejszy powiew, panującej ciszy nie mącił nawet szelest przybrzeżnych trzcin i tataraku.

Mieszko siedział na ławie pod ścianą dworca i wygrzewał się w słońcu, zamyślonym spojrzeniem wodząc po okolicy. Wzrok jego na chwilę spoczął na zabudowaniach pałacu na przeciwległym ostrowiu. Przebywała tam Matyllda pod opieką piastunki, bezdzietnej wdowy Chocimki. Nieczęsto miał sposobność zatroszczyć się o sierotę odumarłą przez ojca, a opuszczoną przez matkę. Odwiedził ją, wypytał o jej potrzeby, ku swej uldze stwierdził, że przywiązały się wzajemnie z piastunką. Dziewczynka rośnie zdrowo, liczy już dziesięć lat, za trzy lub cztery trzeba będzie pomyśleć o stosownym zamęściu.

Widok pałacu obudził w nim wspomnienie gnieźnieńskiego zjazdu, dni największych nadziei, nie tylko dla Polski, ale dla całego chrześcijańskiego świata, które w jednym dniu zgasły wraz z ostatnim tchnieniem marzyciela w cesarskiej koronie. Mrzonką jest pokój Boży, kilkanaście lat krwawych zmagania kosztowało, by go wywalczyć dla siebie. I ojciec, i dziad dokładali wszelkich starań, by nie mieć wroga jednocześnie na wschodzie i zachodzie. Dla umocnienia zawartego z kijowskim Włodzimierzem sojuszu Chrobry wydał córę za jego syna Swiatopełka, a po śmierci ojca poparł zbrojnie jego roszczenia do wielkoksiążęcego tronu. Ale okrutnik i głupiec kazał zdradziecko wycinać po grodach polskie załogi w nadziei, że Ruś wybaczy mu za to zamordowanie trzech braci. Chrobry porzucił jego sprawę, nie udzielił mu nawet w Polsce schronienia, gdy zmuszony był uchodzić przed Jarosławem i zdrajca marnie zginął w ucieczce. Polska jednak miast sprzymierzeńca zyskała na wschodzie wroga, z którym zaraz po śmierci Chrobrego trzeba się było zmagać.

Mieszko chciał otrząsnąć się z tych rozmyślań. Przyjechał tu, by choć na parę dni oderwać się od trosk, które nie opuszczały go od chwili, gdy podjął mu przyszło brzemię władzy. Z tym miejscem wiązały się tylko wspomnienia pogodne jak to niebo bez chmurki. Wstał i skierował się nad jezioro, zepchnął wyciągniętą na piaszczysty brzeg łódź, kilku silnymi pchnięciami wiosła wyprowadził ją na głębię, zdjął kubrak i podłożywszy go pod głowę wyłożył się do słońca. Światło jego cedziło się przez zamknięte powieki, tak najłatwiej było wspominać chwile beztroskiej młodości. Jak teraz Bolko, od świtu do nocy uganiał po lesie, wypatrując gniazd sokolich czy barci, czatując nad strumieniami na wydry, strzelając z łuku kłapacze lub łowiąc ryby na wędę.

A gdy zdrowo zmęczony i zgłodniały wracał do dworca, czekała na niego Dobroszka. Gdy dojrzeli, pobrali się, nie prosząc nikogo o zezwolenie ni błogosławieństwo. Nie było im potrzebne do szczęścia, a szczęśliwi nie myślą o przyszłości. Niczego by zresztą nie wymyślili. Już na gnieźnieńskim zjeździe zawarto układ o małżeństwo Mieszka z cesarską krewniaczką. Nie myślał o tym, że kiedyś będzie musiał ją pojąć. Gdy doszedł do lat sprawnych, wrzała wojna, nie pora była na weselne uroczystości, ale też coraz rzadziej i jak po ogień doskoczyć mógł do leśnego dworca. Niemal zdziwił się, gdy po długiej nieobecności zastał Dobroszkę z nowo urodzonym synkiem. Nie ważył się nawet prosić ojca, by zezwolił uznać go. Rozumiał zresztą, że oznaczałoby to ze-

rwanie zaręczyn i zamiast tak potrzebnego sprzymierzeńca zyskanie w potężnym Ezzonie wroga. Pojął Ryczezę i zrazu zdało mu się, że potrafi zapomnieć. Lata mijały na wojnach i przygotowaniach do nich, poselstwach, niewoli czeskiej, rozjazdach w zastępstwie ociężałego już ojca. Ale nie potrafił przywiązać się do małżonki, choć przywiązał się do zrodzonych przez nią dzieci. Piękna i wykształcona, ale starsza od niego, oschła, dumna i władcza Ryczeza przytłaczała go. Zrazu ulegał jej, potem zaczął się buntować, coraz częściej myślą wracał do leśnego dworca nad jeziorem, do niewiasty, która żyła tylko dla niego, niczego w zamian nie żądając, do synka, którego niemal nie znał. Gdy zmarł ojciec, a teść pogodził się z cesarzem, przestał się liczyć z Ryczezą, małżeństwo z nią stało się ciężarem, niczego w zamian nie dając. Niemcy są i pozostaną wrogiem, sprzymierzeńców należy szukać gdzie indziej. Ale przymierze z połabskim pogaństwem za złe mu poczytuje duchowieństwo, a oddanie niemal bez walki zakarpackich zdobywcy dziada i ojca w zamian za spokój choć na jednej granicy, nawet najbliżsi towarzysze. Gorzkie myśli przywlekły się za nim nawet tu, gdzie nie dochodzi żaden głos ludzki.

Przerwało je niespodziane zachybotanie łodzi. Zdziwiony otworzył oczy i ujrzał za burtą ociekającą wodą i roześmianą twarz Bolka. Podpłynął nurkiem, a teraz gramolił się do łodzi mówiąc:

— Macierz czeka z posiłkiem.

Ujął wiosła i skierował łódź do brzegu. Mieszko patrzył z ojcowską dumą i podziwem na potężne mięśnie syna grające przy każdym ruchu pod gładką, opaloną od słońca skórą. Budowę miał dojrzałego męża przy chłopięcej jeszcze twarzy, którą dopiero pokrywać zaczynał jasny puch zarostu.

Mieszko znał już samowolę i zaciętość Bolka. Jadąc tu, nie był pewny, czy nałożona na niego kara nie zamąci stosunków między nimi, a może i z jego matką. Ale Bolko zdał się zgoła o tym nie pamiętać, jak źrebak, który zbyt późno wzięty pod siodło, wierzga i gryzie, gdy mu zakładać wędzidło, a puszczonej samopas na łąkę cieszy się tylko odzyskaną swobodą.

Mieszko posmutniał; niedługo tej swobody i tak przeciągnął już pobyt ponad zamierzenie, a nierychło znowu będzie mógł pozwolić sobie na wypoczynek. Tutaj Bolko był tylko synem, którego przymilna poufałość zbliżała, ale nie może jej być tam, gdzie Mieszko jest nie tylko ojcem, lecz królem, na którym ciąży odpowiedzialność. Wspomnienie roz-

mowy. jaką na wyjeźdźnym miał z synem, niepokoiło go. Bolko nie może zrozumieć, że jest jeno winą fałszywych apostołów, którzy krzyż niosą w rękojeści miecza, iż pokój trzeba wywalczać; i że nawet przygotowanie do walki to nie tylko naostrzenie broni i ujeżdżanie konia, a osobiste męstwo będące najwyższą zaletą prostego woja nie starczy samo nawet setnikowi. Stańko, pod którego ręką chował się Bolko, zapomniał nawet, jakie imię na chrzcie otrzymał, z nauk lednickiego kapelana bystry młodzik tyle skorzystał, by widzieć, że do przykazań chrześcijańskiej religii nikt się nie stosuje, chyba tacy jak święty Wojciech, by skończyć jak on. Wszyscy wrogowie dokoła są chrześcijanami, a nic się nie zmieniło od czasu, gdy przyjęli krzyż. Jedno wszakże było pewne, że nie przekona go karami, nawet by nauczył się przytając swą niechęć i lekceważenie.

Gdy łódź zbliżała się do brzegu, z dworca wyszła Dobroszka. Na twarzy jej nie było pobłażliwego uśmiechu, jakim zwykle witała spóźniających się na posiłek, widocznie nie z nim tylko czekała. Jakoż gdy łódź zaryła się dziobem w piasek, przystąpiła do Mieszka, mówiąc:

— Tylko co przybył posłaniec od komesa Dobromira. Czekam w świetlicy.

Mieszko zmarszczył się; Dobromir wie, że król tutaj chce mieć spokój. Jeśli go zakłóca, sprawa musi być ważna i pilna. Zapewne koniec wczasów. Bez słowa skierował się do dworca i przez sień wszedł do świetlicy. Na widok króla posłaniec wstał z pokłonem. Mieszko od progu zapytał:

— Co nowego, Baszko?

— Komes Dobromir niechał wam donieść miłościwy panie, że są wieści od palatyna Michała — zaczął komornik. — Cesarz zbór wojsk, wyznaczył po żniwach we wsi Liske nad Hawelą.

Mieszko uspokoił się. Wiadomość nie była zaskoczeniem, wiedział, że Konrad zechce wziąć odwet. Dobrze jednak na czas dowiedzieć się skąd i kiedy spodziewać się najazdu. Palatyn Michał choć również wyjechał na wypoczynek, czujny jest jak zawsze. Ale też sam wie, co należy poczynać, Dobromir również. Dla Michała oznacza to koniec wczasów, ale Mieszko może jeszcze swoich nie przerywać. Dobroszka niepotrzebnie się zmartwiła. Widząc jednak, że posłaniec chce coś dodać, zapytał:

— Zali to wszystko, co ci komes zlecił?

— Nie, miłościwy panie. Zlecił wam donieść, że królewic Bezprym wyjechał, nie wiada dokąd. Była u niego Ottonowa kochanka, która u złotników żywie. Zaraz potem odebrał od

skarbnika srebro, któreście mu wypłacać zlecili i rzekł, że jedzie do myśliwskiego dworca pod Mosinę, ale się tam nie zjawił. Włodarz Nielub zasię pry, że był tam królowie Otto, rzekomo wracając do Poznania, ale także się nie pokazał. Króla ogarniał zarazem gniew i gorycz. Zniknięcie obu braci zdało się pozostawać w związku z grożącym najazdem. Pora sposobna do buntu, gdy siły skupić trzeba dla jego odparcia. Po Bezprymie niczego innego nie można się było spodziewać, ale przeniecierstwem rodzzonego brata Mieszko głęboko poczuł się dotknięty. Pytał go przecież czego chce. Gdyby poniechał nierządno go życia, byłby go ustanowił rządcą Mazowsza w miejsce Mojsława, na którego zalił się kruszwicki biskup, że mu pomocy w jego misji odmawia. Widocznie Otto wyżej mierzy w porozumieniu z wrogiem, woli uzależnić się od niego, niż podlegać bratu.

Mieszko odprawił posłańca ze zleceniem, by komes Dobromir natychmiast wysłał gońców do pogranicznych grodów z rozkazem pojmania zbiegów, gdyby się pojawili, ale gniewny był na niego, że nie dopilnował Bezpryma. Beztronski pobyt skończył się jednak i Mieszko postanowił niezwłocznie wracać do Poznania.

Zwykle pogodna i cierpliwa Dobroszka żegnała męża i syna, jakby ich już nigdy ujrzeć nie miała. Mieszkowi również ciężko było rozstawać się, nie należał jednak, by jechała wraz z nimi, wiedząc, że i tam będą musieli się rozstać.

Wyjeżdżał jednak z ciężkim sercem, nie spodziewając się, by rychło mógł wrócić do jedyne go miejsca, gdzie go ciągnęło. Jeszcze nie odpoczął po jednej wyprawie, już czeka go druga, a troski znalazły go i tutaj. Czułby się na siłach do odparcia najazdu, gdyby pewny mógł być, że spokój będzie w kraju. Wszystko jednak temu przeczyło. Wiedział, że zdrajcy nie mogą liczyć wyłącznie na cesarskie poparcie. Konrad nawet w razie zwycięstwa nie może na stałe wojsk swych pozostawić, musieli zapewnić sobie miejscowych popleczników. Gdyby ich ująć, spisek zostałby udaremniony.

Mieszko uspokoił się nieco, przypomniawszy sobie, że palatyn Michał ze swej strony zlecił nadzór i to nad obydwu braćmi. Ale też radził oślepić Bezpryma, by go na zawsze unieszkodliwić. Ojciec by się nie zawahał, nie miał litości dla zdrajców. Mieszko czuł, że nie potrafi się przemóc, by dopełnić nieszczęsnego losu przyrodnie go brata. Ale czas będzie o tym myśleć, gdy zostanie schwytany, a może się jeszcze okazać, że podejrzenia o spisek i zdradę są bezpodstawne. Dręczyła go jednak niepewność i choć wieczór już

zapadł, gdy dotarł do Poznania, natychmiast kazał się stawić Dobromirowi. Przyjął go gniewnie, ale wysłuchawszy musiał przyznać, że komes niczego nie zaniedbał. Podejrzenia o spisek stały się niemal pewnością.

Gdy Dobromirowi doniesiono, że u Bezpryma była Ottonowa miłośnica, powziął niejasne jeszcze podejrzenie. Od chwili powrotu do kraju Bezprym nigdy nie szukał styczności z niewiastami i komes przekonany był, że ćwierćwiekowy pobyt w klasztorze wyjałowił go z męskości. Umocnił się w podejrzeniu, gdy od włodarza otrzymał wiadomość, że Bezprym nie zjawił się w leśnym dworcu, dokąd zapowiedział swój wyjazd. Widocznie chciał zyskać na czasie, rozmyślnie wprowadzając w błąd komesa. Dobromir natychmiast zawiadomił o tym króla. Przesłana przez palatynę Michała wiadomość o zborze wojsk nad Hawelą pozwalała przypuszczać, że tam się zdrajcy udali. By się jednak upewnić, komes kazał sprowadzić Luboszę, spodziewając się od niej czegoś bliższego dowiedzieć.

Gdy pachółkowie przywiedli dziewczynę, wystraszona była widocznie; zrazu próbowała przeczyć, ale komes uciął: — Nie kręć, bym ci łba nie ukręcił. Wiem, że byłaś u królewica Bezpryma. Pytam po co?

Usiłowała się uśmiechnąć, gdy odparła:

— Iście byłam. Jeno przyznać się wstydno.

— Odkąd to ci wstydno? Zali mniemasz, iż nie wiem, że legiwałaś z królewicem Ottonem? Ale jeśli prawda, że się z poróbstwem obnosisz, toś ladacznica. Nie będziesz więcej kpm tarzyła, bo jak jeszcze stary król zarządził, wyciąć ci go każę i na drzwiach domu przybić.

Wskazując na struchlałą dziewczynę powiedział do pachółków:

— Rozdziać ją i przywołać oprawcę.

Z płaczem rzuciła się do kolan komesa, wołając:

— Pomiłujcie panie! Nie legiwałam z królewicem Bezprymem.

— Wierę, bo nic wałachowi do kobyły. Tedy gadaj, po coś tam była? Jeno nie łzy j, bo i tak się dowiem, czego jeszcze nie wiem. A chcę wiedzieć kano są Bezprym i Otto.

Gdy milczała, ciągnął:

— Mam sposoby, że nie gadać będziesz, ale śpiewać, jeno cię oprawca żelazem przypiecze.

Zbladła tak, że zdało się, iż zemdleje, ale gdy milczała nadal, komes domyślił się, że nie chce wydać miłośnika i powiedział:

— Zmiłowanie mam nad tobą, boś głupia. Nikogo nie oca-

lisz, a siebie pogrążysz. Pewnikiem mniemasz, iżes jedna u swego gacha? Takich jak ty ma on, ile strzyma, gdzie jeno przyjedzie. On ubieżał, a ciebie na przepadło ostawił, do zdrady wciągnawszy. Wie, że za zdradę żywcem ćwiartowanie, ale nic mu po tobie, bo zadość ma innych.

Posiniałe wargi trzęsły jej się tak, że ledwo zrozumiał, gdy wyszeptała:

— Nijakiej zdrady: niechał mi jeno rzec bratu, iżes czekać na niego będzie u żupana Zdziebora w Słubicach.

— Nie do zdrady? Czemuż tedy gadać nie chciałaś?

— Bo mi królewic Otto srodze zabronił.

— Wierę, iżes głupia, przeto jeno do lochu pójdziesz, pokąd się sprawa nie wyjaśni, by ci zasię królewic Otto czegoś nie przykazał lubo nie zabronił. A jeśliś zełgała i zdrajcy ujdą, wiesz, co cię czeka.

Polecił wyprowadzić dziewczynę i zamyślił się. Nie wątpił, że sprawa zdradą trąci, ale dowodów nie miał, jeno poszlaki. Bezprym raz już próbował pochwycić władzę z obcą pomocą, przeciw niemu podejrzenie było uzasadnione. Ale co po władzy Ottonowi, który żył jak chciał, spełniać mógł wszystkie swe zachcianki, żadnych nie mając obowiązków ni trosk. Dlaczego jednak spotkać się chciał z Bezprymem, usiłując utrzymać to w tajemnicy?

Dobromirowi przyszło na myśl, że jest w tym ręka Suliwoja. Nieraz się zastanawiał, co może łączyć z rozwiązłym lekkoduchem poważnego męża w sile wieku, z możnego i skoligaconego rodu. Teraz przypomniał sobie, że żupan Słubic jest jego dziewierzem. Skoro u niego ma się odbyć tajne spotkanie i Zdziebor musi być wciągnięty do spisku, a może nie tylko on. Bunt w połączeniu z najazdem stwarzał groźne niebezpieczeństwo. Można by go stłumić w zarodku pojmwawszy podżegaczy, ale bracia królewscy podlegali tylko samemu Mieszkowi, bez jego zezwolenia nie może ich uwięzić, a każda godzina jest droga.

Dobromir niecierpliwie czekał na powrót króla, po namyśle jednak postanowił uzyskane wiadomości przekazać palatynowi. Pod nieobecność Mieszka on go zawsze zastępował, zaprzyjaźnieni byli od wyrostków, nie będzie się wahał uwięzić zbiegów mimo braku dowodów, bliżej mu do słu-
bie, ludzi mu nie brak, a Dobromir zrzuci z siebie odpowiedzialność.

Odetchnął z ulgą i polecił wezwać setnika jazdy Gościecha. Gdy ten nadszedł, rozkazał:

— Weźmi pachołka z ludźmi i końmi na zmianę i co tchu w nich, choćby paść miały, gnaj do palatyna Michała. Naj-

dziesz go w Skarbnic lubo w Osieku. Rzeknij mu, że królewice Bezprym i Otto zbiegli i spotkać się mają w Słubicach. Będą chcieli lubo me, wracać mają do Poznania. Gdyby ich tam już nie zastał, pościg niechaj wyśle za nimi, a dokąd, od żupana Zdziebora się dowie, choćby go ogniem przypiec, i wszystkich społem, kto tam z nimi, w pęta wziąć i tu odesłać. Pojmujesz o co sprawa, tedy i swoich gości nie żałuj.

Gościech jeno głową skinął i już go nie było, a Dobromir spokojniej czekał na powrót króla. Nie będzie rad, że mu zakłócił wczasy, ale sprawa zbyt ważna była, by go o niej nie zawiadomić.

Wysłuchawszy komesa, król musiał przyznać, że Dobromir uczynił, co do niego należało. Sam również nie wątpił już, że bracia zamierzają zdradę. Domyślał się też w sprawie ręki Ryczezy, potrzebni jej są, by przez nich rządzić wedle swej woli. Gdy z poparciem cesarza i z jego łaski obejmą władzę, zapłacą za nią krwawo wywalczoną niezależnością. Wiele zależy od tego, co zdoła palatyn Michał. Czujny jest, śmiałości mu nie brak, będzie ścigał zdrajców choćby poza granice. Ale mają się zapewne na baczności, a zyskali na czasie.

Otrzymane wiadomości przygnębiły króla. Do walki z postronnymi wrogami nawykł od młodości i był do niej przygotowany, ale zdrada ze strony braci grozić się zdała wojną domową. Mieszko wiedział, że nie brak mu niechętnych. Za przywileje i nadania nie kupił przychylności możnowładców, którym się marzy dziedziczość urzędów, by się uniezależnić od króla wzorem zachodu, ni duchowieństwa, które sprzyja Ryczezie i za złe mu poczytuje zerwanie z nią związku. Prosty lud zasię krzywym okiem patrzy na ograniczenie dawnych swobód i nowe ciężary, a rodowe rycerstwo królowi przypisuje winę za utratę zdobyczy ojca i dziada i związanych z nimi korzyści, a co gorsze nieszczęsny los pojmanych na Morawach przez Brzetysława krewniaków i swojaków, których zaprzedał niewiernym w niewolę. Liczyć więc może tylko na zawodową drużynę, ale tak długo, jak długo w skarbcu są zasoby, by ją utrzymać i opłacić, z możliwych zaś jedynie na Awdańców. Może i sam się przyczynił do swego osamotnienia. Ojciec, gdy jeno nie bawił na objeździe lub wyprawie, co dzień ucztował w gromadzie towarzyszy, z którymi umiał się poufalić, nie tracąc powagi. Mieszko, wykształcony i obyty, źle się czuł w rubasznym gwarze gromady nieokrzęsanych ludzi, toteż nie sprzeciwił się Ryczezie, by zaniechać tego zwyczaju.

I teraz do spóźnionej wieczerzy zasiadł tylko w towarzystwie syna, a gdy wniesiono potrawy, odprawił służbę i nie biorąc się do jedzenia patrzył, jak pożywia się Bolko. W południe nie dojadł widocznie, Mieszko pił do wyjazdu i teraz nadrabiał, zgoła się nie przejmując złymi wieściami. Wzdając, że ojciec siedzi zadumany, odezwał się:

— Zdrajcy by się radowali, że wam i do jadła odebrali ochotę.

— Jedz, póki me twoja troska o sprawy kraju. Gdy ci kiedyś włość objąć przydzie i miód gorzki się stanie.

— Choćbym wiedział, że mi jutro umierać, też bym się pożywiał za wszystkie czasy. Od postów sił nie przybywa: wždy i jucznego tym lepiej naobroezyc trzeba, im większe brzemie ma dźwigać. A gorzki wam miód, wina się napijcie.

I to dobre na sen.

— Od picia trosk nie ubywa. W twoicli leciech spałem i bez picia, a ty pijesz za wiele.

— Od rozmyślania o troskach takoz ich nie ubywa, a najlacniej zabyć o nich we śnie. Tedy w wasze ręce!

Przypił do ojca, który również wychylił kubek, ale powiedział:

— Zadość wypiteś, idzi spocząć. Ja jeszcze posiedzę.

— Iście, jakby mi piasku w oczy nasuł. Ale i wam zdałoby się spocząć, bo od czuwania takoz sił nie przybywa.

Wyszedł, Mieszko jednak nadal siedział w zadumie. Wychylił jeszcze jeden i drugi kubek, ale sen go nie brał. Nie mógł myśli oderwać od sprawy, choć wiedział, że niczego nie wymyśli, póki nie otrzyma wieści od Awdańca. Mógł tylko beczynnie czekać na nie.

Komes Dobromir natomiast nie chciał czekać beczynnie.

Gdy raz stanął przeciw braciom królewskim, świadomy był, że gdyby im się udało pochwycić władzę, nie utrzyma się nie tylko na urzędzie, ale i przy życiu. Żywił wprawdzie nadzieję, że palatynowi uda się ich schwytać, ale król miękki jest, jak jego macierz. Nie pozwoli przeciw braciom zastosować środków, by od nich przyznanie się do zdrady wymusić, nawet na wojnie okazywał odrazę do okrucieństwa. Starczy im byle wykręt, a ujdą bezkarnie, by oczekiwać następnej sposobności, a przyszłość nie zapowiadała się pogodnie. Trzeba królowi dostarczyć dowodu ich zdrady, by ich na zawsze unieszkodliwić.

Od Luboszy nie spodziewał się niczego więcej wydobyć.

Otto nie zwierzałby się głupiej dziewczce ze swych zamierzeń.

Ale o zamiarach Bezpryma może wiedzieć Chwalona. Siedzieli społem samowtór, o czymś przecie gadać musieli,

z Ottonem zaś nic ją nie wiąże, raczej jego kosztem zechce chronić Bezpryma. Nie wie zresztą, że wysłano pościg za zbiegami. Czy uda się wydobyć z niej dowód zdrady czy nie, na razie nic więcej uczynić nie można. Powziąwszy postanowienie komes zaraz z rana polecił straży sprowadzić Chwalone.

Król, mimo że wypił więcej, niż nawykł, ledwo zdołał przywabić sen i obudził się późno. Głowa mu ciążyła, a w niej leżały się czarne myśli. Nie tknął rannej polewki i czekał na Bolka, zamierzając wraz z nim jechać do obozu drużyny w Łącznem. Chciał się zająć przygotowaniami do odparcia najazdu, by oderwać myśli od wewnętrznego niebezpieczeństwa.

Zaklaskał w dłonie, by polecić wezwać Bolka. Komornik zjawił się, ale od progu powiedział:

— Komes Dobromir czeka i zapytuje, zali miłościwy pan zechce go przyjąć!

— Prosić! — odparł król i dodał: — Gdy królewic będzie gotów, niechaj tu przydzie.

Z niechęcią czekał na komesa. Zapewne znów będzie mówił o sprawie, o której chciał zapomnieć choć na chwilę. Istotnie, gdy się zjawił, skłonił się i zaczął:

— Zleciłem przywieźć tu wdowę po Domasławie, u której żywie królewic Bezprym. Musi więcej wiedzieć o knowaniach niżli dziewczka, która posłańcem jeno była, bo to jego mleczna macierz i jeśli komu się ów odludek zwierzał, czego chce, to jej.

— Wždy tego nie taił — mruknął Mieszko.

— Ale zda się wiedzieć, o czym zmawiali się z bratem waszej miłości, a takż zali nie zełgała owa dziewczka, iż w Słubicach spotkać się mają. Ani nie wiada, zali czegoś więcej nie da się z niej wydusić.

— Skoro to mleczna macierz Bezpryma, obciążać go nie zechce, a nie będziesz starej niewiasty i wdowy po zasłużonym człeku ogniem przypiekał.

Komes zmarszczył się i odparł:

— Nie masz dla zdrajców zmiłowania, kto by to nie był. Rodzic wasz stryjecznych Przybywoja i Odylena oślepić niechał za zdradę, choć jednej krwi byli z nim.

Król zrozumiał, do czego komes pije i uciał:

— Bez dowodu nikogo kaźnić nie lza. Mniemasz, że od niej da się go wydobyć, niechaj ją stawią. Sam ją przesłucham.

— Wždy o to proszę, jeno zwólcie i mnie zadawać pytania. Może starczy niewiastę postraszyć.

Zanim król odpowiedział, w sieni rozległy się kroki.

Wszedł komornik i oznajmił:

— Przywiedli Chwalenę.

— Wprowadzić! — rozkazał Mieszko.

Weszła, a za nią dwóch strażników, którzy stanęli przy drzwiach. Nie zdała się zmieszana, skłoniła się przed królem i wskazując na nich rzekła:

— Nikam nie ubieję, po cóż mi sromliwość czynicie jak złoczyńcę prowadzić niechając pod strażą. Sama stanęłabym na wezwanie.

Król skinieniem ręki oddalił strażników, a gdy milczał, jakby zawstydzony, komes podjął ze złością:

— To ja kazałem cię pod strażą sprowadzić; jak złoczyńcę prawisz? A cóżeś? Nie masz gorszego występku niżli zdrada, a kto o niej wie i nie doniesie, ręki do niej dołożył. Za zdradę obcięcie członków. Chcesz lżejszą śmiercią umrzeć, wyznaj: wiedziałaś, że się królewice zmówili, by do wroga zbiec? Dobromir aż zaniemówił z zaskoczenia, gdy spokojnie odparła:

— Wiedziałam. I cóże?

Gdy milczał, ciągnęła:

— Do jakowej to zdrady ręki miałam dołożyć? Nie królewic Bezprym wiarę ślubił królowi, jeno król pod przysięgą wolność i żywot mu poręczył. I nie zdrada to, gdy tego dochodzi, co mu się z urodzenia należało.

Komes wzburzony odzyskał głos i krzyknął:

— Milcz! Schwytamy ich, będziesz patrzyła na ćwiartowanie twego królewica, nim swoją głowę dołożysz.

— Nie będę milczała. Jeśli miłościwy pan dopełni miary krzywd, jakie rodzic jego Bezprymowi wyrządził, niechaj i moja krew spadnie na niego. Stara jeśm, o żywot nie stoję, kromie Bezpryma nie mam nikogo. I nikt go krom mnie nie miłował, nie dziw, że jeno nienawidzić umie. Gdym go błagała, by choć starość spędził w pokoju i dostatku, miast włści dochodzić, która szczęśliwości nie daje, rzekł mi, że nic mu nie ostało ni miłości, ni druzby, ni sławy, jeno pomsta za zmarnowany żywot.

Umilkła. Komes patrzył na króla, sądząc, że gniewem wybuchnie. Ale Mieszko oczy opuścił i milczał. Niespodzianie powiedział zmęczonym głosem:

— Możesz odejść.

Dobromir ze zdumieniem spojrział na króla. Zuchwalstwo Chwaleny było niebywałe, a to co rzekła, starczyło za dowód przeciw niej. Ochłonawszy pomyślał jednak, że stara niewiasta nie jest niebezpieczna, a zdrada królewiców nie

wymaga już dalszych dowodów. Ale nic po dowodach, gdyby zdrajcy zdołali ujść. Jeśli Gościech zastał palatyna Michała w domu, może zdąży schwytać spiskowców. On nie ma miętkiego serca, choć królewiców zapewne tknąć się nie waży, nad Suliwojem i Zdzieborem litować się nie będzie, potrafi od nich wydobyć, kto jeszcze do spisku należy.

Pełny księżyc pochylił się już nad ciemną ścianą boru i poczerwieniał, a mrok pogłębił się. Pachółka, stróżującego przy bramie gródka w Skarbnic, ogarniała senność, gdy z drzemki wyrwały go psy. Ujadaty jak na obcego, ale zrazu nie mógł się połapać, co obudziło ich czujność. Po chwili dopiero przez psi harmider rozróżnił głuchy tętent idących w skok koni. Zatrzymały się pod bramą, a męski głos zawołał:

— Jest tu kto?

— Kto i do kogo? — pytaniem odpowiedział pachółek.

W mroku rozróżnił zarysy dwóch jeźdźców z dwoma luźnymi końmi.

— Setnik Gościech od komesa Dobromira do palatyna Michała — odparł przybyły. — Pan doma?

— Doma, ale śpi. Poczekajcie, do świtu niedaleko. Stulcie pysk — wrzasnął na psy — bo obudzicie kto jeno żyw.

— Nie po to konie zegnałem, by czekać. Sprawa pilna, obudzisz pana i powtórzysz, com rzekł.

Pachółek wahał się jeszcze, ale psie ujadanie zakłócając ciszę przedświtu obudziło widocznie nie tylko jego, bo z podcienia dworca rozległ się głos:

— Co się tam wyrabia?

— Posłaniec od komesa Dobromira — odkrzyknął przybyły.

— Dawać go!

Pachółek otworzył bramę, a Gościech zeskoczywszy na ziemię rzucił mu wodze i rozkazał:

— Konie przetrzeć i naobroczyć. Wracam nie mieszkając.

Skierował się do dworca, gdzie tymczasem błony na oknach rozjarzyły się światłem. U wejścia stał sam palatyn i wskazał posłańcowi drogę do świetlicy. Zaklaskał w dłonie, a gdy zjawiała się zaspana niewiasta, polecił przygotować posiłek, sam zaś usiadłszy za stołem naprzeciw setnika rzekł;

— Nim podadzą śniadanie, gadaj z czym cię komes przysła?

Słuchał nie przerywając, głęboko zamyślony, dopiero gdy Gościech skończył, mruknął do siebie:

— Radziłem oczy odjąć Bezprymowi...

Nie dokończył i wskazując Gościechowi na przyniesione

tymczasem potrawy, sam zaczął się pożywiać. Jedli w milczeniu, a gdy skończyli, palatyn odezwał się:

— Zmitrężyłeś noc, możesz ninie spocząć. Pódzi ze mną.

— Dzięki! — odparł Gościech. — Niech jeno szkapy wydychają i podeschną, pojedę. Nie nowina mi spać na końskim grzbiecie, a komes pilnie czeka na wieści. Cóż mam mu donieść?

— Co widzisz. Doma mnie naszedłeś, ruszam nie mieszkać, do brata wojewody Skarbka już siałem, by takóž co ducha pod Słubice ciągnął i w pół mili od grodu w boru, pod osadą Kosobuz spotkać się mamy. Tam uradzim, co można i należy poczynać.

Ze palatyn słów ni czasu nie traci, mógł Gościech sam wymiarować. Mimo że niebo dopiero zieleniało na wschodzie, w grodku ruch panował, skrzypiały żurawie, rżały pojone konie. Gdy setnik wyszedł na dziedziniec, by doglądnąć swoich, ujrzał palatyna już w siodle na czele gromadki jezdnych, który na widok setnika rzucił:

— Jedź z Bogiem! Ze Słubic dam wiadomość, cośmy działali.

Z miejsca ruszył kłusem, przez bramę wypadli na łęg i za chwilę skrył ich bór. Gościech pomyślał, że jeśli bunt istotnie już się rozpoczął, Michałowa gromadka niewiele zdziała.

Ale to jego głowa. Skierował się do swoich koni, z westchnieniem wspiał się na siodło, a do pachółka powiedział:

— Jadziom! Ninie ja będę spał, a ty dawaj baczenie.

Palatyn jednak zdawał sobie sprawę, że mimo zaskoczenia może napotkać opór. Skoro królewicze tam wyznaczili spotkanie, niewątpliwie zapewnili sobie pomoc Zdziebora.

Toteż choć liczył na to, iż brat przyprowadzi przynajmniej hufiec rodowy, pchnął gońca do Rzepina z rozkazem dla żupana, by ile ma ludzi pod bronią, ciągnął pod Słubice.

Ważniejszy nawet niż zebranie sił był pośpiech. Gdyby królewicze wyjechali już ze Słubic, sprawa się zawikła. Gościńiec do Braniboru wiódł nad Sprewą przez Kopanicę. Jeżeli tamtejszy żupan przystąpił do spisku, liczyć się należy z walką. Gdyby zaś królewicze nie pojechali gościńcem, pościg należało rozproszyć. Nie są sami, małemu oddziałowi mogą dać skuteczny opór, a jeśli uda im się dotrzeć do wojsk cesarskich, gromadzących się już nad Hobolą, będą bezpieczni. Toteż palatyn przyspieszał pochód, tyle tylko popasając, by koni nie zeszkaścić, bo od ich rąchości zależeć mogło powodzenie przedsięwzięcia. Nad ranem dotarł na skraj borów pod Słubicami. Panował jeszcze mrok, ale gwiazdy już gasły, a przez gałęzie przeświecało jaśniejące niebo. Michał przygo-

towany, że przyjdzie mu czekać na brata, pozwolił rozsiodłać konie i spętane puścić na pastwisko, ludziom zaś pożywić się nie rozniecając ogni i spocząć wystawiwszy strażę.

Sam również pożywił się, ale niepokój o wynik wyprawy nie pozwolił mu zasnąć, bo każda chwila zwłoki mogła zawżyć na jej wyniku. Pierwsze promienie wschodzącego słońca muskały już szczyty gonnych drzew i zaczęła ogarniać go senność, ale otrzeźwiał, gdy nad nim stanął wojak ze straży i oznajmił:

— Nadciągają!

Palatyn zerwał się i sam ujrzał między pniami drzew niepodszytego lasu idący w rozproszeniu hufiec jazdy, a za chwilę z radością witał się z bratem. Siła, którą przywiódł, nie tylko pozwalała na śmielsze poczynania, ale sama jego obecność podniosła Michała na duchu. Ongiś ramię w ramię zaczynali wojować, a choć potem drogi ich często się rozchodziły, każdy z nich pewny był drugiego jak samego siebie.

Skarbek przy tym, choć również szedł mu już czwarty dzieńsiątek lat, zachował beztroskie zuchwałstwo pierwszej młodości, a obrotność zdał się dziedziczyć po starym Audunie.

Gdy usiedli i Skarbek jął się pożywiać, Michał zaczął:

— Skorośmy się naszli, nie pora poczywać. Dzień już, osada Kosobuz w oczach, gromady ludzi długo ukrywać się nie da, a z nagłą naskoczyć należy.

— Skoro Zdziebor do buntu przystał, na baczności mieć się będzie — odparł Skarbek. — Konnymi grodu nie weźmiem, przydzie czas, rozważym, jak to uczynić, a ninie królewiców złowić mamy. Pirwe tedy wiedzieć, zali są jeszcze w Słubicach.

— Iście tak, jeno jako się dowiesz?

— Prosto! Dziesiątaika poślę z dwoma ludźmi. Oznajmi się posłańcem od króla z rozkazem, by nie mieszkając stawili się w Poznaniu.

— Wždy zmiarkują, że się spisek wydał, nie posłuchną i zbiegną. Jeno byś ich przestrzegł.

— Gdyby chytry byli, to by posłuchnęli. Znają Mieszka, wiedzą, że bratnią krwią rąk sobie pokalać nierad, byle wykręt przyjmie, iż się na łowy lubo biesiady zmówili. A jeśli zbiegną, to już się nie wykręca, nam zasię na rękę z grodu ich wywabić, gdzie by opór dać mogli.

— Kazałem załodze z Rzepina tu ciągnąć, może być potrzebna, gdyby siłą ich brać przyszło — powiedział Michał w zamyśleniu.

— Przezorność nie zawadzi, ale wszystkiego nie przewidzisz. Nawet nie wiesz, zali tamtejszy żupan do spisku nie

przystał, bo się Otto z wiesny wszędy tu kręcił, widno ludzi sobie jednając, a nigdy takich nie brak, co radzi korzyści ciągnąć przy zmianie. Tak czy inak, czekać na nich nie będziem. Dziesiętnika wyślę zaraz, a jeno konie wydychają, za rzekę się przeprawię, paści zastawić przy brodzie.

— A jeśli królewiców nie masz już w Słubicach?

— To będziem ich ścigać, a łącniej ich dopaść już ninie za rzekę się przeprawiwszy. Nad czym dumasz?

— Myślę, co pocznem, gdyby dotarli do cesarskich, nim ich dościgniemy.

— Lubo jeśli ich bies w powietrze uniesie. Konrad zbór po żniwach wyznaczył, a dopiero się zaczęły. Coś tam z najbliższych może już nadciągnęło, a to pewne, że nas się nie spodziewają. Ty myśl, co uczynim, a ja uczynię, com umyślił. Wstał i skierował się do swych ludzi. Wydał rozkazy, trzech wojów dosiadło koni i ruszyło w kierunku grodu, a Skarbek wrócił do brata i zapytał:

— Jedziesz z nami, lubo czekać będziesz na posiłki z Rzepina?

— Ostawię im jeno rozkaz, by się w głębi boru przytaili. Najdziem ich, jeśli będzie potrzeba, a gdyby królewiców ścigać przyszło, to nie ma nas do zbytu, bo samowtór bez pocztu takż uchodzić nie będą.

— Tedy ruszajmy, bo z dała od grodu wpływ przeprawić się musimy, a dziesiętnikowi rzekłem, że przy drodze do Kopanicy czekać będę na wieść.

Podnieśli ludzi i ruszyli ku rzece, dość daleko zmuszeni objechać prawobrzeżne bagna, broniące do niej dostępu. Za zakrętem niewidocznym z grodu wparli konie w wodę i przeprawiwszy się ruszyli ku drodze na Kopanicę.

Las na lewym brzegu rzeki naprzeciw grodu wycięty był na przestrzeni kilku stajań, by nieprzyjaciel nie mógł podejść niepostrzeżenie, na karczowisku jeno tu i ówdzie rosły krzaczaste odziomki, nie zasłaniały jednak widoku na bród. Michał wysłał dwóch spieszonych wojów, by na niego dawali baczenie, z lasu bowiem nie był widoczny, sam z kilkunastu ludźmi zapadł na skraju, tak by mieć oko na strażników, a w razie potrzeby odciąć ściganym odwrót do grodu, Skarbek zaś z pozostałymi rozłożył się w głębi po obu stronach gościńca i zaczęło się oczekiwanie.

Słońce tymczasem stało już wysoko, czas dłużył się, a nie działo się nic. Michał zrazu niecierpliwił się, potem zaczął niepokoić i właśnie zamierzał udać się do brata na naradę, gdy ten nadszedł i rzekł:

— Pono jeszcze jednego nie przewidziałeś: że im takż do

głowy przydzie indziej się przeprawić, jeśli coś zmiarkowali.

— Może i tak — odparł Michał — jeno o tym myślę, czemu nie wracają twoi posłance. Jeśli królewiców już w grodzie nie było, to uchodzą, gdy my tu czas tracim..

— Popatrz no — przerwał Skarbek.

Koło strażników ukrytych za krzami zatrzymał się jeździec i rozmawiali, po czym ruszył dalej. Bracia spojrzeli wzajem po sobie i pomyśleli: jeśli to ktoś obcy, nie powinni się mu pokazywać. Gdy jednak podjechał bliżej.

Skarbek rzekł:

— To chyba Sobieżyra. Ale czemu wraca sam? Koń okulał!

Podbiegł do gościańca, zatrzymał nadjeżdżającego i zapytał:

— Gdzie Zdań i Bródek?

— Ostali w grodzie. Chyba ich pojмали.

Tymczasem nadszedł Michał i słuchał zachmurzony opowiadania Sobieżyra. Dziesiętnik Zdań oznajmił się przy bramie posłańcem królewskim i wpuszczono go wraz z towarzyszem, a Sobieżyra zostawił przy koniach, polecając nie popuszczać im popręgów, gdyż zaraz wraca. Gdy jednak długo nie było go widać, a zbliżało się południe, Sobieżyra postanowił napić konie i powiódł je do brodu, spoglądał jednak ku bramie spodziewając się każdej chwili ujrzeć towarzyszy. Miast nich spostrzegł, jak ktoś obcy rozmawia ze strażnikami, po czym kilku ludzi ruszyło ku niemu. Coś go tknęło i niby to pojąc konie wjechał na środek brodu. Zaczęli wołać na niego, by wracał, ale im odpowiedział, że chce popaść konie na łęgu i powróci, gdy nadejdą towarzysze.

Wówczas jeden ze strażników wypuścił do niego strzałę, która zraniła konia w pęcinę. Na drugą już nie czekał, pozostawił konie, które jeszcze piły i jest tu.

Gdy skończył, Skarbek rzekł przez zaciśnięte zęby:

— Tedy nie wiemy, są li jeszcze królewice w Słubicarh, jeno tyle, że Zdziebor zdrajca. Co uczynim?

— Poczekaj! Może się dowiemy.

Wskazał na łęg. Pozostawieni tam strażnicy chyłkiem, kryjąc się za krzaki pomykali ku lasowi. Gdy dopadł pierwszy, krzyknął:

—Przez bród przeprawia się z pół kopy luda.

Bracia spojrzeli po sobie, a Michał rzekł:

— To chyba oni!

— Trzydzieści chłopca jednego nie ściga — potwierdził Skarbek. — Wraz obaczym. Na miejsca!

Pobiegł do swoich ludzi, a Michał patrzył na gościniec, na którym wkrótce ujrział gromadę konnych. Szli klusem, ale gdy dotarli na dwa stajania od skraju lasu, przeszli w stępa,

a tylko czterech jeźdźców wysforowało się naprzód i wjechało w las.

Michał zasumował się. Bór słabo był podszyty, przeważnie niską paprocią. Skarbek jeśli w porę miał uderzyć nie mógł zasiąść zbyt daleko od gościńca, straż mogła zauważyć zasadzkę. Palatyn czekał w napięciu, by z odgłosów zmiarkować, co zajdzie.

Ciszę, maconą tylko skrzeczeniem ciekawskich sójek, przerwał pojedynczy okrzyk i jak na hasło rozpętała się wrzawa, zbliżając się szybko. Nadciągający oddział zatrzymał się, nim jednak po chwilowym zamieszaniu zdążył zawrócić, palatyn skoczył w siodło i krzyknawszy „za mną” pognał, by zaskoczyć uchodzącym drogę. Miał za sobą tylko kilkunastu ludzi, ale starczyło choć na chwilę nawiązać walkę, by dopadł Skarbek ze swymi.

Dopędzał już uchodzących i między ostatnimi poznał Bezpryma, czoło jednak zbliżało się do brodu. Michał zrozumiał, że nie zdoła odciąć im drogi. Niewiele myśląc wyprzedził uciekającego i skręciwszy nagle wpadł na niego, obalił wraz z koniem, po czym pomknął dalej wypatrując Ottona.

Dojrzał go, ale w gromadzie innych, nie zawahał się jednak. Dobył miecza i dopadłszy najbliższego pchnął go pod łopatkę. Ugodzony zawył przeraźliwie i rzuciwszy się do tyłu zdarł konia. Rumak stanął dęba i przewalił się na grzbiet, przygniatając jeźdźca, ale i Michał nie zdążył uskoczyć, koń padając zmiotł go z siodła. Upadł na plecy, głową wyciął o ziemię i stracił przytomność.

Jak długo leżał, nie wiedział. Ktoś prysnął mu wodą w twarz i Michał zachłysnął się oddechem. W głowie miał szum, czarne pląty skakały przed oczami, ale pomału wracała mu świadomość. Przypomniawszy sobie wypadki, otworzył oczy i usiadł. Nad nim stał Skarbek:

— Przecie żeś ożył. Jako ci jest? — zapytał z troską.

— Co ta! Ty gadaj, coś zdziałał.

Próbował wstać, ale zatoczył się. Skarbek powiedział:

— Możesz poleżeć. Już po wszystkim. Mam w pętach obydwu królewiców, Suliwoja i Zdziebora także.

— Sporo uszło?

— Ni noga. Przy brodzie ich dopadłem i na nich wjechałem do grodu. Wydolisz konia dosiąść, tam lepiej wypoczniesz.

— Może i wydolę, jeno jakobym ul miał we łbie.

Gdy z pomocą towarzyszy znalazł się w siodle i ruszyli, zapytał:

— Ilu mamy jeńców?

— Wždy mówię: królewiców, Suliwoja i Zdziebora.

— Rzekłeś, że ni noga nie uszła.

— I prawie. Któren nie legł, ściąć kazałem.

— Pod sąd winni być oddani, by przykład był — powiedział Michał, ale Skarbek odparł:

— Na sądy nie pora, kiedy wojna, na wojnie zasię twoje prawo miecza. A żeś bez duszy leżał, moje. Dla przykładu starczy, gdy Suliwoja i Zdziebora ćwiartować będą, a przeto ich oszczędziłem, by wyznali kto jeszcze w spisku.

— Straceni krewniaków i swojaków mieli — powiedział Michał w zamyśleniu. — Wrogów nam przybyło.

— Ubyło — odparł Skarbek. — Ja bych i królewiców ściąć niechał, jeno że Piastowego są rodu. Samemu królowi sąd nad nimi służy.

— Jeno królowi — przytwierdził palatyn. — Szkoda, iżem Bezpryma nie ubił... Urwał, ale Skarbek domyślił się, jakie brat ma wątpliwości.

Mieszko gotował się do odparcia niemieckiego najazdu, niczego nie zaniedbując. Zapewnił sobie współdziałanie części Lutyków, pokój z Weletami, a otrzymawszy wiadomość, że tmentorokański Mścisław znowu wszczął walkę z bratem Jarosławem o kijowski stolec wielkoksiążęcy, siły ściągnął ze wschodu.

Wodzem był doświadczoneym, nie po raz pierwszy przychodziło mu walczyć z Niemcami, o wynik byłby spokojny, gdyby mu rąk nie wiązali bracia. Od Gościecha wiedział, że palatyn natychmiast wyruszył w pościg za zbiegami. Pozwalało to żywić nadzieję, iż uda mu się ich schwytać, ale świadomość, że w walce o władzę bracia nie mogli liczyć wyłącznie na pomoc Konrada, lecz musieli mieć w kraju stronników, budziła w królu nieufność do ludzi i pozbawiała pewności siebie.

Pracowicie na przygotowaniach spędzane dni nie pozostawiały czasu na rozmyślenia, ale gdy pozostawał sam, ogarniało go przygnębienie. Zgromadzone przez dziada pod wspólnym dachem plemiona lechickie dopiero zrastać się zaczynały w jeden naród, a już w miejsce zacierających się różnic plemiennych zaznaczały się nowe linie podziału.

Chrześcijaństwo, którego rozszerzaniu i utrwaleniu od początku swego panowania Mieszko poświęcił wiele zachodów i zasobów, miał czynnikiem zespolenia stało się jedną z nich. Stanowiąca siłę jedność, którą zbudował dziad, a twardą ręką utrwalił ojciec, w rękę Mieszka rozsypywać się zaczyna. Z niepokojem też i niecierpliwością oczekiwał

Awdańców, a przynajmniej wieści od nich o wyniku przedsięwzięcia, od tego zależało bowiem, czy będzie mógł wszystkich sił użyć do odparcia najazdu. Piesze wojska, obozujące pod Poznaniem, wysłał już pod wodzą Bolka ku granicy. W lesistych i bagnistych okolicach, w jakich walczyć przyjdzie, główny ciężar spoczywał na piechocie, toteż zwłoka w ich wysłaniu mogła zaważyć na wyniku. Stojące w Gieczu jednak trzymał jeszcze na miejscu, by na wypadek buntu nie ogołocić kraju z sił, potrzebnych do jego poskromienia. Niepewność była nieznośna, z doświadczenia wiedział, że na wojnie najgorsze jest wahanie, a rozdrobnione siły łatwiej jest rozproszyć. Z konnymi postanowił pozostać aż do otrzymania wieści od Awdańców, a piesze z Gieczu wysłać w ślad za poznańskimi, by zdążyły się połączyć przed rozpoczęciem walk.

Pod wieczór skwarne go dnia wracał z Gieczu, gdzie sam dopilnował wyprawienia oddziałów łuczników i tarczowników, niemniej dręczyła go niepewność, czy dobrze uczynił. Słubice nie za siódmą górą i siódmą rzeką, jeśli Michał dopadł tam zbiegów i zdołał ich pojmać, mógł już przesłać wiadomość. Zwłoka nie zdała się zapowiadać pomyślnej.

Zmrok już zapadał, gdy król mijał dworzec Awdańców na Śródce. Z okien przeblyskiwały światła, z dziedzińca dochodził gwar. Mieszko zatrzymał konia i zwracając się do giermka rozkazał:

— Skocz, Gostek, obaczyć, kto przyjechał.

Niedaleko było z drogi i po chwili ujrzał wracającego, a w towarzyszącym mu człowieku poznał Skarbka, który pozdrowszy go dodał:

— Jeno co przybyliśmy i wraz do wieczery siadać będziemy. Uczynicie nam ten zaszczyt spożyć ją wraz z nami, bo i wam zda się pożywić z drogi.

— Praw, coście zdziałali — niecierpliwie zapytał Mieszko, a wojewoda odparł:

— Pokojni bądźcie, królewice zawarci w wieży, Suliwoj i Zdziebór w lochu, a jako było, przy kubkach opowiem.

Król zwrócił się do giermka i rzekł:

— Bierz ludzi i jedź na gród. Jednego pachołka ostaw przy koniach. Komesowi rzeknij, że tu będę wieczerzał. Niechaj nie mieszkając do obozu w Łącznem, by w pogotowiu byli do drogi, a sam z rana stawić się ma po rozkazy.

Konia Skarbek ujął za wodze, prowadząc króla do dworca, a Mieszko zapytał:

— Michał gdzie?

— Jest — odparł Skarbek. — Wybaczcie, że witać was nie

wyszedł, ale potłuczony jeszcze nie ze wszystkim wydobrzeał. Stał jednak przy wejściu witając króla i prowadził do świetlicy, gdzie stół był już zastawiony, ale jeno zasiedli do posiłku, Mieszko zwrócił się do palatyna:

— Słyszę, iżeś niemocny. Szkoda, bo jutro ruszamy. Gadał, jako się to stało. Gdzieżeście pojмали Ottona i Bezpryma?

— Spłoszony koń mnie obalił, aż mnie zemdliło. Poleżę jeszcze dzionek lubo dwa, wyparzę się w łaźni, to mi ból z kości wyjdzie i jeszcze wydadzę Konradowi drogę do dom pokazać. Jeno żem bez zmysłów leżał i obudziłem po wszystkim, Skarbek niechaj opowie.

Król słuchał, nie przerywając. Dopiero gdy wojewoda skończył, zapytał:

— Co z onym dziesiętnikiem, którego wysłałeś do grodu?

— Zdań? Chytry! Gdy go w pęta wzięli, widno by zyskać na czasie, rzekł im, że chcą lubo nie, pojedą, bo nadciągamy z załogą z Rzepina. Nieradzi byli czekać na nas, jeno się nie spodziewali, że my już za rzeką.

— Trzeba mi o nagrodzie dla niego pomyśleć — powiedział Mieszko, a Skarbek odparł:

— Pomyślałem. Waszej miłości jeno o nagrodzie dla zdrajców pomyśleć. Przetom Suliwoja i Zdziebora oszczędził, by nam rzekli, kto jeszcze w spisku. Ale łeb uciąć gadowi, kasał nie będzie, choć się jeszcze miota. — Patrzył na króla pytająco, czekając by powiedział, co zamierza począć z pojmanymi. Ale Mieszko wstał i rzekł:

— Za gościnę dziękuję. Jutro ruszamy, tedy i mnie, i wam wywczasować się trzeba z drogi i przed drogą.

Wyszli na podjazd, ale gdy Skarbek zawołał o konia dla siebie, by odprowadzić króla, Mieszko powiedział:

— Ostań! Radziej się gotuj, byś o świtaniu stawił się w obozie.

Gdy gospodarze zostali sami, Michał powiedział w zamyśleniu:

— Król nierad gadać, co pocznie z braćmi. Pewnikiem sam jeszcze nie wie.

— Tak mniemasz? Tedy szkoda, żeśmy ich nie ubili. Nie musiałby nad tym rozmyślać.

— Stało się. Skoro król sam jutro wyruszyć zamierzył, tedy widno sprawę odkłada. A z wieży niejednemu zbiec się udało, tym łacniej gdy pomoc znalazł.

— Dobromir wie, że swoim gardłem przypłacić może, gdyby zbiegli, tedy pilnował będzie jak oka w głowie — zauważył Skarbek.

— Naszym takż. I nie jeno naszym. Gdyby się zdrajcom

właść posięgnąć powiodło, oni dumać nie będą, co z Mieszkiem począć.

Tego i król był świadomy, mimo to wahał się. Gdyby zdrajców kazał oślepić, raz na zawsze odebrałby im możliwość knowania. Nie mógł jednak zapomnieć, że matka litowała się nad krzywdą Bezpryma, choć wiedziała, że nienawidzi jej dzieci, a zwłaszcza Mieszka. W uszach brzmiały mu jeszcze śmiałe słowa Chwaleny. Nienawiści Bezpryma nie odwzajemniał, ale zdawał sobie sprawę, że nie przejedna go wspałałomyślnością. Jest i pozostanie niebezpiecznym wrogiem, którego winien unieszkodliwić, nie tylko dla swego spokoju; nie mógł jednak powziąć postanowienia.

Natomiast gdy pomyślał o Ottonie, ogarniał go gniew.

Ulubieniec matki, od lat dziecięcych żył lekko, niczego w zamian nie świadcząc. Obce mu były trudy wojenne, troski i odpowiedzialność rządu. Gdyby tylko chciał, byłby mu Mieszko powierzył urząd wielkorządcy Mazowsza, ale on wolał władzę z ręki wroga.

Noc już zapadła, znużony się poczuł. Rano rozstrzygnie, co lecząc z braćmi. Wezwał szatnego i poleciwszy obudzić się świcie, udał się na spoczynek.

Dniało dopiero i król przybierał się właśnie, gdy wszedł komornik, oznajmiając, że komes Dobromir stawiał się po rozkazy, ale dodał:

— Czeka też pan biskup i prosi o posłuchanie.

— Król zmarszczył się niechętnie. Za chwilę musi wydać komesowi polecenia na czas swej nieobecności, nie zaś zaprzętać myśl kościelnymi sprawami. Powiedział jednak:

— Niechaj wejdzie!

Zamierzał zbyć go krótko, ale biskup sam zaczął:

— Wiem, że nie w porę przychodzę, ale i moja sprawa nie Cierpi zwłoki.

— Tedy słucham.

— Wasza miłość pomni, iż domagałem się, by zbiegłego mnicha do klasztoru odesłać. Nie znalazłem powolnego ucha i oto jak mści się nieposłuszeństwo kościelnym prawom: kto Bogu wiary nie dochowa, nie dochowa jej nikomu.

— Wyjaśniłem już jego wielebności, że pod przysięgą żywot i wolność Bezprymowi poręczył — zachnął się król, ale Paulinus zapytał:

— Zali ninie już nie wiąże was ona przysięga? Słyszę, że obydwaj królewice straceni być mają. Przestrzec przeto przychodzę waszą miłość, że za rozlanie bratniej krwi klątwą musiałbym was obłożyć.

Królowi żyły nabrzmiały na skroniach, ale pohamował się

i zapytał:

— Od kogo ona wieść?

— Wždy wszytcy na grodzie o tym jeno prawią — odparł biskup zmieszany, ale Mieszko przerwał gniewnie:

— Bo wszytkim wiadomo, że wszędy i zawždy gardłem za zdradę karano, ale wyrok do mnie należy, a jeszcze go nie wydałem. Zali to już wszytko?

— Widzę tedy, że w porę przyszedłem was przestrzec i ponownie domagać się, by królewic Bezprym do klasztoru był odesłany. Tam grzechy swe pokutą zgładzić winien, a sąd nad mnichem do kościelnych władz należy. I to jeszcze, że obwinionym obrona służy, a caritas maior iustitia*.

Paulinus skłonił się i wyszedł, a król wzburzony chodzić jął po komnacie. Zamiast myśli poświęcić odparciu najazdul zaprzętać je musi zdradzieckimi braćmi. Nawet gdyby chciał uczynić zadość żądaniu biskupa, Bezprym do Camaldoli nie dojedzie. Droga do Italii prowadzi przez Czechy lub Węgry.

* miłosierdzie większe od sprawiedliwości

Zarówno Oidrych jak Stefan chętnie mieliby w ręku Bezpryma. Wstawiennictwo biskupa jednak jeszcze wzmogła rozterkę króla, choć czuł, że jest to słabość. Macierzysty pradziad Kruty* nie zawahał się zabić brata, dziewierz Mieszka Światopełk zabił braci Borysa i Gleba, rodzic oślepił stryjecznych, władcy nie mają braci, jeno współzawodników. Mieszko rad byłby sprawę spokojnie przemyśleć, ale czas naglił. Zaklaskał w dłonie i polecił wezwać Dobromira. Gdy ten zjawił się, rozkazał:

— Ślij do obozu w Łącznem do wojewody Skarbka. Niechaj na mnie nie czeka i rusza nie mieszkając. Jeśli nie dopędzę go w drodze, sam zarządzi co trzeba, doświadczenia mu nie brak.

Gdy komes zwrócił się do wyjścia, król ciągnął:

— Jeszcze nie wszytko. Tobie zlecam wybadać Suliwoja i Zdziebora, kogo jeszcze wciągnęli do spisku, potem zasię sąd zwołasz nad nimi i zgodnie z obyczajowym postępkim, Dobromir skinął głową, ale zapytał:

— Co zasię począć mam z królewicami? Gdy wszytkie siły odejdą, łącno zbuntowani pokusić się mogą, by ich odbić. Miast buntowi łeb ukrećić, jeno by sposobność była dana, aby go rozpętać, gdy wasza miłość wojną będzie zajęty.

Król zagryzł wargi. Nie mógł odmówić słuszności obawie Dobromira, wszytko zmusza go bezzwłocznie powziąć postanowienie. Sąd nad braćmi mógł zlecić tylko równemu im urodzeniem, a prócz nich nie miał krewniaków. Musiałby

sam go odprawić, a z odrazą myślał o spotkaniu z nimi. Nie będzie zwlekał z wyjazdem, by słuchać wykrętów, gdy wina ich była jawna. Bezprym zresztą nie taił swej nienawiści i on nie ślubował wierności i posłuszeństwa jak Otto. Mieszko postanowił skończyć i zwrócił się do komesa:

* Bolesław Srogi, zabójca św. Wacława

— Pod strażą zaufanych ludzi odeślesz ich do brzeskiego żupana z rozkazem, by jak stoją za granicę ich odstawił. Wyjęci są spod prawa, a kto by im ognia, wody lubo innej pomocy udzielił, za zdradę będzie karany. Wszem wobec ogłosić należy, że gdyby się ważyli powrócić do kraju, każdy winien ich ścigać i ubić może bezkarnie.

Dobromir patrzył na króla zaskoczony. Drogo Mieszko zapłacił, by Bezpryma dostać do ręki, a teraz go z niej wypuszcza. Nie miał wątpliwości, że Bezprym wróci. Nawet gdyby nie znalazł oparcia w kraju, znajdzie je u któregośkolwiek z wrogów. Mieszko jakby usprawiedliwiając się dodał:

— Jarosławowi nie pora ninie wdać się w nasze sprawy, gdy sam z bratem w walce.

Dobromir nic nie odrzekł, ale pomyślał, że Mieszko walkę ze swymi braćmi tylko odracza.

Tego i król był świadomy, niemniej z ulgą znalazł się w siodle, gdy na czele nadwornego hufca ruszył w ślad za wojskiem. Skarbek jednak prowadził je tak szybko, że Mieszko połączył się z nim dopiero trzeciego dnia na postoju nad Zbąszyńskim Jeziorem i razem już ruszyli dalej. Gdy oznajmił mu swe zarządzenie w sprawie braci, wojewoda również nip nie odpowiedział. Zaczął mówić o wyprawie: znaczniejszy podjazd wysłał przodem z rozkazem dla pieszych wojsk, by nie czekając na jego nadejście przeprowiły się za Sprewę i posuwały w dół rzeki gotując po drodze zasadzki, ludność osad przestrzec polecił, by przed nadciągającą wojną chroniła się wraz z dobytkiem w niedostępne komysze, pozbawiając zarazem cesarskie wojska zaopatrzenia. Żniwa były skończone, najazdu każdej chwili należało oczekiwać.

Pogodne i suche lato wysssało bagna nad Hawelą i Sprewą, brodów na rzekach przybyło. Zgromadzone w obozie pod Liske niemieckie wojska czekały już tylko na przybycie cesarza, który bawił w Magdeburgu, uradzając z arcybiskupem Hunfriedem nad włączeniem polskiego Kościoła do magdeburgskiej archidiecezji. Obydwaj pewni byli, że tym razem wyprawa przyniesie rozstrzygnięcie, którego wywalczyć nie zdołał poprzednik Konrada i usunie opłakane

skutki lekkomyślności Ottona III. Zabrakło już Chrobrego, Rycheza zapewniała cesarza, że Mieszko nie cieszy się mi-rem w kraju, a wyznaczenie przez niego następcą syna mi-łośnicy jest przyczyną, że wielu możnowładców zdołał dla siebie pozyskać Otto. Wyższe zaś duchowieństwo, przeważnie niemieckiego pochodzenia, niechętnie przyjęło ustanowienie gnieźnieńskim arcybiskupem Dożęty z polskiego rodu Wieniawów, tak więc podporządkowanie Magdeburgowi nie natrafi na sprzeciw.

Cesarz zamierzał skierować uderzenie na Poznań, w przekonaniu, że zajęcie tego grodu złamie opór, a poplecznicy Bezpryma i Ottona staną po ich stronie i obalą Mieszka. Gdy jednak z końcem sierpnia przybył do Liske, zamiast królewiczów zastał wiadomość, że Mieszko uwięził obydwu braci, a stronników ich, którzy wraz z nimi pojmani zostali, wydepto do nogi. Co więcej, Lutycy, którzy znając kraj i polskie sposoby wojowania służyć mieli za przewodników, nie stawili się, brakło też czeskiego lennika, a wśród Weletów znowu powstało wrzenie i zachodziła obawa, że zagrożą tyłom wojsk cesarskich.

Mimo to na zwołanej naradzie wojennej zdania były podzielone. Ci z lenników, którzy po raz pierwszy brali udział w wyprawie na Polskę, ufni w wyższość uzbrojenia, obstawali przy uderzeniu na Poznań. Sam cesarz wahał się. Sprawy na zachodzie państwa wciąż jeszcze wymagały jego obecności, nierychło po raz wtóry będzie mógł zgromadzić siły wystarczające, by skłonić do uległości sąsiada, który uznać nie chce nadrzędnej władzy cesarstwa. Niemniej chciał sprawę wszechstronnie rozważyć i udzielił głosu łuszyckiemu margrafowi Zygfydowi.

Stary wojownik wstał i przez chwilę gładził siwą brodę, jakby się namyślał, czy wspominał, za młodu bowiem brał udział w walkach z Chrobrym. Zaczął:

— Jawne już, że nie liczyć nam na Bezprymowych czy Ottonowych stronników, jeno na własne siły. Prawią tu poniektórzy, że starczy ich, bo jeden konny rycerz za dziesięciu pieszych knechtów stanie. Iście łącniej dobrać się do gołej skóry niżli okrytej pancerzem i prawda, że pieszy przed konnym nie ucieknie. Jeno zanim nieprzyjaciela ścigać przydzie, pokonać go trzeba. Nie wiem zali Mieszko mir ma u swoich lubo nie, ale to wiem, że wojennego doświadczenia mu nie brak, nie da nam pola w otwartej walce, gdy wie, że nam w niej nie dostoi.

— Nie da nam pola, tedy kraj zajmij bez walki — zaśmiał się ktoś, ale margraf pokiwał głową:

— Nikto doświadczenia nie nabył z opowieści, jako i pływać nie nauczył się, jeno w wodzie. Ale to kaźden zrozumie, że nijak walczyć z wrogiem, którego nie widać; że człek zreć musi, by z sił nie opadł, a spać nie w ostatku. A że mnie się już do uszu nalało, tedy jeno opowiem, jak nam uchodzić przyszło, gdy poprzednik miłościwego pana z Chrobrym się zmagał, nim niesławny pokój z nim zawrzeć był zmuszony, nie jeno niezależność jego uznając od cesarstwa, ale w rzeczy samej marchie łużycką i miśnieńską w jego pozostawiając władaniu. Po dziś dzień polska załoga w Budziszynie stoi.

— Nie siłą ów wąż i lis zwyciężał jeno chytrą — wpadł Zygfydowi w słowo arcybiskup. — A wstyd przypomnieć, że nie w ostatku złotem. Za poręką kupionych przez niego stronników w Bogu spoczywający cesarz Henryk uwolnić kazał tegoż Mieszka, pojmanego przez Oidrycha, w zamian za przyrzeczenie posłuchu. Oto jak go i rodzic, i syn dotrzymują! Skoro Mieszko karku ugiąć nie chce, złamać go należy.

— Po to zwołałem wyprawę — przerwał cesarz — ale zwólcie mówić margrafowi.

— Jeszcze nie wyruszyła, a prawić nam chce o odwrocie — wtrącił Hildiward, biskup naumburski. — Nie tajne nikomu, że jego syn zbiegł do Mieszka.

Zygfydowi krew uderzyła do głowy. Odparł gwałtownie:

— Ni słowa więcej nie powiem, gdy się mnie o zdradę pomawia. Radziej wiedzieć chciałbym, czemu to wasz margraf na wyprawę nie stanął. Bo dziewierzem jest Mieszkowym?

— Bo niemocny. To wy na wiernego lennika podejrzenie rzucacie, by je od siebie odwrócić.

— Pax! — uciał cesarz. — Doświadczenia margrafowi nikt nie ujmie, a wysłucham kaźdego, nim postanowię.

— Nie chce wielebny Hildiward z mego doświadczenia korzystać — ze złością podjął margraf — tedy mu jeno życzę, by sam doświadczył tego co ja: nocy na słocie bez ognia, ni szaty wysuszyć, ni zasnąć. A zmrużyć oko — wrzawa, zda się, że wróg już następuje. Trafi się osada — pusta, strawy tyle, ile koni dorznąć trzeba do pochodu niezdatnych. Kto zasię od konia odpadnie nie jeno zbroję, ale często i oręż cisnąć musi, by sił starczyło własnymi nogami błoto misić, bo przystać to śmierć.

Biskup zbierał się widocznie do drwiącej odpowiedzi, ale tym razem sam Konrad przerwał:

— Wierę, że tak bywało w odwrocie, gdy jesień wojska

zaskoczyła, ale ninie jeszcze lato i nie o odwrocie radzić mamy. Bagna podeszły, gdy pod Lubuszą się przeprawim, za Odrą sucha wyżyna, jak słyszę. Jeśli nawet Mieszko wie, co się gotuje, radziej pod Krosnem nas się spodziewa, bo zawždy tamtędy wyprawy szły.

— Bo z Krosna bliżej do Poznania niżli z Lubuszy — odparł margraf — ale nie jeno przeto, jeno że przez Odrę łatniej się przeprawić, w górnym biegu. W środkowym zasię pasmo jezior w drodze staje, przejścia między nimi to kładki na bagnach, dziesięci ludzi setkom może stawić czoła. Czego się Mieszko spodziewa, tego nie wiem, bogdaj bym się mylił, że nie za Odrą nas czeka.

— Mniemałby kto, że bez pomocy Mieszkowych braci nie stać nas, by do posłuszeństwa przymusić zuchwalca, któren bez cesarskiego przyzwolenia królewską koronę włożyć się ważył — ze złością wtrącił brandenburski biskup Liuzo. — Skoro margraf same jeno trudności widzi i niebezpieczeństwa, jeno nam do dom się rozjechać, niczego nie przedsiębiorąc.

Znowu zbierało się na kłótnię, ale o głos poprosił graf Dietrich i rzekł:

— Lepiej trudności przewidywać, niż na nie przewidziane się natknąć. Mnie zda się, że nie sił nam braknąć może, jeno czasu, bo jeśli Mieszko wie o naszej wyprawie, a tak mniemam, to pochód opóźnić będzie pola nam nie dając, byle jesieni doczekać. Takie są pogańskie sposoby wojowania, ale nie jeno przeto od pokoleń już nie można od polańskich władców wymóc posłuchu. Zawždy zadbać umieli siłą, chytrnością, złotem lubo przez małżeńskie związki, by spokój mieć na jednej granicy, gdy im na drugiej walczyć przychodziło.

— To wiemy — przerwał Konrad — ninie jednak nie ma Mieszko przyjaciół ni u nas, ni na Rusi. Z naprawy Ryczezy wyprawę zwołałem, by Mieszkowych braci namiestnikami ustanowić, póki syn jej do lat sprawnych nie dojdzie. Skoro, jak słyszę, Mieszko ich uwięził, sama Ryczeza rządy objąć może imieniem syna. Przódzi jednak rozprawić się z Mieszkim trzeba i nad tym radzimy, zali na Poznań uderzyć, a jeśli nie, to co działać.

— Zwólcie, miłościwy panie, że skończę — podjął Dietrich. — Nie zda mi się, byśmy ninie zakończyli sprawę, która się z dawna zawlekła. Nie ma Mieszko na Rusi przyjaciół, ale niedawno odparł najazd Jarosława, któren ninie z bratem w walce. Tedy spokój ma na wschodzie i wszystkie siły pewnikiem na Odrze zgromadził. Ma jednakowoż za-

łogi po grodach na lewym brzegu, zwłaszcza w Budziszynie, które jeśli za plecyma ostawimy, tak może być, jak margraf prawil, gdyby do odwrotu przyszło. Tedy radzę za Odrę się nie pchać, a ninie Łużyce i Miśnię z polskich załóg oczyścić. Sposobną zasię porą z Rusią się zmówić, by z dwóch stron w jednym czasie uderzyć. Czeski Oidrzych takoz nie od tego będzie, by Śląsk zająć, a wszystkim Mieszko nie dostoi. — Oidrzychowi niezależność się marzy — odparł Konrad. — Nie po to jednego wroga zmusić chcę do posłuchu, by drugi w siły urósł. Gdy Jarosław na kijowskim stolcu się ostoi, pora będzie z nim się zmówić. Ale nie nad tym radzimy, jeno co ninie poczynać. Chceli jeszcze kto głos zabrać?

Gdy jednak nikt się nie odezwał, cesarz zakończył:

— Tedy, jak radzi graf Dietrich, ruszamy na Chciebuż i Budziszyn. Mniemam, że tego się Mieszko nie spodziewa. Nie spodziewał się natomiast cesarz, że Mieszko nie jest zdany na domysły. Gdy tylko z główną siłą przeprowił się pod Słubicami na lewy brzeg Odry, zastał wiadomość od Bolka, że z pieszymi wojskami i oddziałem lekkiej jazdy ciągnie gościńcem wiodącym na Branibor, rozsyłając zwiady po obydwu brzegach Sprewy, zarówno by przestrzec osadników przed nadchodzącą zawieruchą, jak i dla zdobycia wiadomości o siłach i zamierzeniach nieprzyjacielskich wojsk.

Mieszko natychmiast zarządził dalszy pochód, by jak najprędzej połączyć się z Bolkiem. Dumny był z poczynań syna, ale też nie wolny od niepokoju o niego. Zwracając się do wojewody Skarbka, powiedział:

— Rzekłby, iż się Bolko wodzem urodził. Rad jeśm, że mi rośnie następca, jeno się lękam jego zuchwalstwa.

Wojewoda uśmiechnął się pod wąsem i odparł:

— Ogar kąśliwy ma być, a wojak zuchwały. Ja i Michał młodszy byliśmy niżli ninie Bolko, gdyśmy pod waszym rodzicem Kraków Czechom odbierali. Doświadczenia zasię nie z ksiąg się nabywa, jeno w walce.

Ugryzł się w język i kątem oka spojrzął na króla, w obawie, że weźmie jego odezwanie za przytyk. Mieszko jednak nie poczuł się dotknięty, wiedział, że wojownicy powszechnie uważają zajmowanie się księgami za zajęcie niegodne męża, nie rozumiejąc pożytku, jaki przynosi. Ale wzmianka ta przywiodła mu na myśl Kazimierza, który z jego woli w zaraniu młodości ślęczyć musi nad księgami, pozbawiony wszelkich jej uroków. Kazimierz od dzieciństwa karny był i posłuszny, ale zamknięty w sobie. Mieszko przejeżdżając

przez Międzyrzec powstrzymywać się musiał, by nie wstąpić do klasztoru. Pamiętał jednak, że syn prosił, by go nie odwiedzał. Może żal ma do ojca, zwłaszcza że przywiązany był do matki i jemu przypisuje winę rozejścia się rodziców. Ale nie mogło być inaczej i za późno o tym myśleć.

Mimo zaufania do obrotności Bolka Mieszko wolał sam mieć go na oku. Jeśli istotnie uda mu się zdobyć wiadomości o nieprzyjacielu, będzie można zależnie od nich powziąć postanowienie o dalszych poczynaniach. Wysłał przodem niewielki konny podjazd z poleceniem nawiązania łączności z pieszymi wojskami, a sam ciągnął w ślad za nimi bez szczególnego pośpiechu, by przed rozpoczęciem działań nie przemęczyć ludzi i koni. Pod wieczór pogodnego dnia dotarli nad utworzone przez Sprewę jezioro i Mieszko stanął nad nim obozem, tu zamierzając czekać na wiadomości.

Noc zapowiadała się ciepła, nie rozbijano nawet namiotów. Wypławione konie puszczono na paszę, wystawiono strażę, choć nie zachodziła obawa nieprzyjacielskiego napadu i król pozwolił palić ogniska, by wojownicy mogli pożywić się ciepłą strawą, z której nie zawsze będą mogli korzystać, gdy rozpoczną się walki. W miarę jak zapadała ciemność, blaski płomieni gasiły poświatę gwiazd, które wyroiły się na pogodne niebo i długo w noc obóz szumiał gwarem, nawet tu i ówdzie rozlegały się pieśni, a król nie hamował beztroskiego nastroju, który i jemu się udzielał. Po raz pierwszy od dawna przestał myśleć o sprawach, które zostawił za sobą. Jeśli wracał myślą do przeszłości, to wraz z wojewodą Skarbkiem snując wspomnienia wspólnie przeżytych przygód i walk.

Zbliżała się północ, ogniska zaczęły przygasać i gwar obozu nacihał. Król przywołał giermka i polecił przygotować posłanie, również zbierając się do spoczynku, gdy ciszę zmałczył jakiś odgłos, jakby tętent koni, a zaraz potem odezwała się straż. Król dzwignął się z legowiska, a widząc, że leżący obok niego wojewoda również otworzył oczy, powiedział: — Pewnikiem wieści od Bolka.

Dorzucił suszu na przygasłe ognisko, a gdy buchnęło płomieniem, zakrył dłonią oczy od blasku, patrząc w ciemność, z której doszedł go odgłos kroków. Z radością w nadchodzącym poznał Bolka, który na widok ojca również uśmiechnął się, ucałował jego dłoń, poufale przywitał się z wojewodą i usiadł.

— Masz jakowe nowiny? — zapytał Mieszko.

— Głodny jeśm — odparł Bolko.

Król obudził giermka, kazał podać wieczerzę, a gdy Bolko

zaczął jeść, powiedział:

— Możesz pożywać i gadać.

— Mogę — odparł Bolko już pełną gębą. — Cesarscy przeprawili się na lewy brzeg i ciągną na południe. Sprzęt oblężniczy wloką z sobą. Uchwalili mniejszymi gradami się nie zabawiać, bo się lękają, by ich słoty nie zaskoczyły, a jeno Chociebuż i Budziszyn wziąć. Mniemają, że starczy to, by silnie nogę nad Odrą postawić, a sposobną porą z Jarosławem się zmówić, by społem uderzyć.

Król i wojewoda spojrzeli wzajem po sobie i obydwaj bez słowa myśleli to samo: jednoczesnemu uderzeniu na dwóch odległych granicach nie dostają.

Milczenie przerwał Bolko. Skończył się pożywiać, przeciągnął się i rzekł:

— Jużem zabył, kiedym się wyspał. Jakby mi piachu w baki nasuło.

Zdjął ciżmy i gotował się do spoczynku, gdy Mieszko zapytał:

— A skąd masz one wieści?

— Podjazd pojmałem z jakimś rycerzem. Znaczny musiał być, bo i oręż miał przedni, i w radzie widno zasiadał.

Ziewnął i położył się, ale Mieszko ciągnął:

— Skoro Konrad wojska na lewy brzeg przeprawił i na południe ciągnie, prawda musi być, co ci ów jeniec rzekł.

Tak z dobrej woli?

Bolko zaśmiał się:

— Tak go poprosiłem, że nie jeno gadał, ale ryczał, aż w boru oddawało.

— Gdzieżeś ostawił brańców?

— Na gałęzi. Wszystkich obwiesić kazałem.

Mieszko zmarszczył się niechętnie:

— Przecz żeś to uczynił? Brańcy zawsze są przydatni, knechtów na pustkowiach osadzić można, by las karczowali, a znaczniejszego dla wykupu zatrzymać lubo na wymianę, bo i naszym się przytrafi w jeństwo popaść.

— Jeszcze ich nabierzem — beztrasko odparł Bolko. — Znaczniejszą gromadę można pod strażą odesłać do kraju. Ale kilku nie będę włókł ze sobą, bo mi jeno gwędzą, a i dopilnować nijak, by nie zbiegli i jeszcze wieści o nas nie zanieśli. Rycerz zasię do niczego już się nie nadał. I tak by zdechł pewnikiem.

Bolko położył się, nakrył derą i po chwili głęboki jego oddech zdradził, że śpi. Skarbek ułożył się również, tylko Mieszko siedział jeszcze, zadumany. Skłonność syna do okrucieństwa niepokoiła go. Wojna sama przez się jest okrutna,

ale mordowanie bezbronnych jest złym sposobem walki. Budzi zjadłość i żądzę zemsty, zmusza, by walczyć do ostatniego tchu. Bolko nie rozumie, że wojna nie jest celem sama w sobie, że walczy się o pokój, o to, by przekonać wrogów, iż choć nie stało Chrobrego, Polska nie jest łatwym łupem sąsiadów. A Bolko, jak drapieżny zwierz, okrucieństwo zda się mieć we krwi. Gdy mu kiedyś władzę objąć przyjdzie, będzie rządził równie okrutnie jak wojuje, zyskując sobie wrogów we własnym kraju, najgorszych ze wszystkich. Spojrzał na leżącego obok syna. Spał spokojnie, długie rzęsy rzuciły cień na jego gładką twarz. Rozchylone czerwone wargi nadawały jej niemal dziecięcy wyraz. Aż trudno było uwierzyć, że pod tym złudnym pozorem kryje się człowiek, który lubi zabijać.

Nie podsycane ognisko zaczęło przygasać, żar wypalonych głowni pokrywał się już nalotem popiołu, gdy Mieszko wreszcie zasnął. Obudził go gwar obozu, gotującego się do pochodu. Bolka nie było, a wojewoda Skarbek, który pożywiał się właśnie, widząc, że król się obudził, rzekł:

— Syn niechał was pożegnać. Spieszył, by dognać swoich, którzy idą przed cesarskim wojskiem, by mu drogi sposobić. Roześmiał się i dodał:

— Jeśli to skutecznie uczyni, a mniemam, że wydoli, nie wiem zali Konrad zdąży pod Budziszyn, nim się zaczną słoty. Tedy nam pozostaje popędzać go. Ale udał się wam on junosza, jakoby się do wojny urodził.

— Do wojny iście tak — powiedział Mieszko w zamyśleniu, zabierając się do posiłku. — Ale rządzić, to nie jeno wojować.

— A kiedyż to spokój był? — odparł Skarbek. — Ni za dziada waszego, ni rodzica. Tych ostatnich kilka godów, od układu w Budziszynie, którego Niemce ani myślą dotrzymać, gdy rodzica waszego nie stało. Prawią, że Konrad czestny człek i rycerski, ale i jemu zda się, że z boskiego zrządzenia władać ma całym światem. Nawet jednak gdy pokój bywał z cesarzem, nie było go ze zgrają duków i margrafów ani z takowymi apostołami jak Hunfried czy Liuzo, którym po to owieczki potrzebne, by je strzyc albo i zarzynać. Już o to pokojni bądźcie, że nie braknie wojny ni wam, ni Bolkowi. Że Bolko skutecznie hamował pochód wojsk cesarskich, mógł król zmiarkować ciągnąc w ślad za nim, ze swej strony zmuszając je do ustawicznej czujności we dnie i w nocy. Bagnista i jeziorzysta nizina w zakolu Sprewy sama przez się nie pozwalała na szybki pochód ani na rozwinięcie wojsk do rozstrzygającej bitwy, do której zresztą Mieszko nie za-

mierzał stawać, czekając, by się wykruszyły siły nieprzyjacielskie, a wiedział, że nie czeka na darmo. Często na szlaku cesarskiego pochodu spotykał świeże mogiły, a nawet zwłoki, widocznie takich, którzy odbili się od gromady, by nigdy do niej nie wrócić. Mieszko też, idąc w ślad za nieprzyjacielem, niejedne pozostawił na pastwę zwierza i ptactwa.

Gdy wreszcie wojska cesarskie dotarły na suchszą i niezbyt zalesioną wyżynę, Konrad powziął nadzieję, że zmusi przeciwnika do bitwy. Kilkakrotnie zdało mu się, że Mieszko daje pole, wojska obu przeciwników rozwinęły już szyki, wystąpili harcownicy. Ale gdy tylko cesarz dał rozkaz natarcia, Mieszko ustępował z pola, a pościg był tylko przyczyną straty ludzi i czasu. Czasu zaś nie pozostawało zbyt wiele, wrzesień miał się ku końcowi i mimo że Konrad przyspieszył pochód, nie próbując już rozstrzygnięcia w otwartym polu i omijając pomniejszych grody w Cziczawie i Jarińcu, zdał sobie sprawę, że nie zdąży zająć ani Budziszyna, ani Chociebuża. Na obleganie obydwu naraz nie starczy sił i sprzętu a po kolei czasu.

Gdy wojska cesarskie minąwszy grodek w Cłani, miast skierować się na wschód, nadal ciągnęły na południe, jawne było już, że Konrad poniechał Chociebuża i celem wyprawy, która miała rzucić Mieszka na kolana lub zgoła pozbawić tronu, stał się Budziszyn, gród ważny dla obrony kraju i dla handlu, leżący bowiem na szlaku wiodącym z Pragi do Szczecina. Ale Mieszko pewny już był, że i tego celu nie pozwoli Konradowi osiągnąć. Gród, położony na prawym brzegu górnej Sprewy, oblany jej wodami, trudny był do zdobycia, a dowodził nim wstawiony ongiś w obronie Niemczy żupan Milik, któremu serca ni doświadczenia nie braknie, posiłki może otrzymać, jakie uzna za potrzebne, a Mieszko z zewnątrz potrafi odciąć wojskom cesarskim zaopatrzenie. Jesień już szła, dni były coraz krótsze, noce zimne, ranne i wieczorne mgły często przechodziły w przenikliwą mżawkę, pogoda psuła się wyraźnie.

Konrad był mężem doświadczonego, jakkolwiek nie w walkach na wschodzie, ale przebieg wyprawy wystarczył, by go przekonać, że Mieszko nie jest łatwym przeciwnikiem i zasadniczy cel wyprawy jest już chybiony. Zajęcie Budziszyna wprowadziłoby choć w części jej trudy i koszty, a w przyszłości ułatwiło uderzenie na Wielką Polskę, ale cesarz rozumiał, że długo obleganiem zabawiać się nie może. Toteż opasawszy gród wysłał do żupana poselstwo, ofiarując załodze swobodne wyjście z bronią, mieniem i ro-

dzinami. By go skłonić do przyjęcia warunków, jednocześnie na oczach załogi czynił przygotowania do uderzenia. Graf Dietrich, który jeździł w poselstwie, wrócił z odpowiedzią, która mogła zdać się drwiną: raz już tu w Budziszynie zawarto pokój, by zapobiec niepotrzebnemu rozlewowi krwi chrześcijańskiej, ale żupan nie jest upoważniony do ukła-

dów, natomiast król bawi opodal i zapewne chętnie zgodzi się, by wojska rozeszły się do domów bez walki.

Konrada życie nauczyło już cierpliwości. Z Mieszkiem układać się nie mógł po wyprawie, której niepowodzenie równało się niemal klęsce. Pozostało ocalić przynajmniej pozory i cesarz nakazał uderzenie, które nie dało niczego prócz strat. Widoczne się stało, że bez oblężniczych machin grodu wziąć się nie da, przystąpiono przeto do ich budowy, ale dla ochrony drwali i cieśli, wysyłanych po budulec do sąsiednich lasów, trzeba było staczać ustawiczne potyczki, które również powodowały straty, a większe jeszcze wyprawy po żywność, której brak dał się już mocno odczuwać.

Resztę nadziei na zdobycie Budziszyna zgasiła słota. Cesarz dobrze pamiętał, co mówił margraf o odwrocie, gdy drogi rozmiękną, bagna staną się przepadliste, brody nieprzebyte, a długie noce bez snu.

Jednej z nich, ciemnej i dżdżystej, straże na murach zauważyły jakieś poruszenie w nieprzyjacielskim obozie. Zawiadomiono żupana w przypuszczeniu, że gotuje się nocny napad. Zjawił się natychmiast i wałami obszedłszy gród zatrzymał się przy zachodniej bramie nasłuchując. Ale gwar nacichł i słychać było tylko szmer wzmagającego się deszczu. Dopiero po dłuższej chwili doszły go odległe odgłosy, jakby wrzawa walki, ale i te wkrótce ucichły i szemrał już tylko deszcz. Żupan zwrócił się do dziesiętnika, który mu towarzyszył i rzekł:

— Ściągnąć ludzi z wałów, kromie straży przy bramach. Naczuwali się zadość, mogą teraz spać.

O brzasku ponurego jesiennego dnia wszystkimi bramami wchodziły do grodu polskie wojska. Wyprawa była skończona, jednak mimo że wynik jej można było uważać za zwycięstwo, twarz króla była chmurna jak to szare niebo, nisko wiszące nad grodem i siąpiące drobnym deszczem, przed którym kto mógł, chronił się pod dachem. Choć każdy rad był wysuszyć nawiłgłe szaty, dziwiono się, że król nie zarządził pościgu za uchodzącym nieprzyjacielem. Brańców i łupu było niewiele, dzielić nie będzie czego, niemniej ziąb i wilgoć dojadły już każdemu, a przy ciepłej strawie i napitku na gospodach zapanowała wojacka wesołość.

Nie było jej tylko we dworcu żupana, dokąd zajechał król wraz z przybyłym przed paru dniami palatynem Michałem Awdańcem, wojewodą Skarbkiem i synem. Wieści bowiem przywiezione z kraju przez Michała nie były pomyślne. Na Pomorzu próba odbudowy organizacji kościelnej, zburzonej jeszcze za Chrobrego wygnaniem kołobrzесьkiego biskupa

Reinberna, wywołała wrzenie, graniczące z buntem. Prosty naród, przywiązany do wiary przodków, ani myślał świadczyć na rzecz kapłanów nowej, którzy apostołstwo rozpoczęli od domagania się dziesięcin. By wymusić posłuch, trzeba by użyć siły, a miejscowi żupani nie zamierzali przysłanym kapłanom udzielić ochrony, może i sami radzi, korzystając z zamieszek, wyłamać się z posłuchu. Wszczęty tam pogański rozruch łatwo mógł się udzielić innym dzielnicom, a wszystko to stwarzało dogodny pozór dla Magdeburga, by zabiegać w Kurii o potwierdzenie sfałszowanej bulli, która poddawała polski Kościół jego jurysdykcji.

Po chybianej wyprawie cesarskiej sprawa przywrócenia spokoju na Pomorzu nie była najpilniejsza, ale nie była jedyną przyczyną zgrzyoty Mieszka. Michał przyniósł też wiadomość, że wygnanego Bezpryma widziano w Polsce. Jeżeli wyjęty spod prawa ważył się powrócić, musi mieć stronników, którzy go chronią. Palatyn podejrzewał, że żupan Brześcia nie tylko nie wykonał rozkazu, ale udzielił wywołańcom ochrony i pomocy. Nie ważyłby się tego uczynić, gdyby nie był pewny, że znajdą i innych stronników, O Ottonie nie było wiadomości, ale skoro spiskowali razem z Bezprymem, zapewne i on znalazł poparcie, a bardziej ruchliwy poszuka go u postronnych wrogów. Gdy Jarosław zajęty walką ze Świętosławem nie mógł go udzielić, palatyn przypuszczał, że Otto udał się do Brzetysława, który zająwszy Morawy gromadzi wojska i umacnia grody nad Śląską granicą. Zachodziła obawa, że wojowniczy Oidrychowie zechce zająć także zawsze sporny Śląsk, należało wzmocnić załogi w Kłodzku, Grodźcu i Cieszynie, a z resztą wojsk wracać do kraju, gdzie położenie również było niepewne. Wszystko to było przyczyną, dla której Mieszko poniechał ścigania uchodzącego nieprzyjaciela i wojska cesarskie spokojnie rozeszły się do domów, a sam Konrad z zachodnimi lennikami zatrzymał się na dłuższy postój w Erfurcie, by wypocząć po trudach wyprawy przed dalszą drogą.

Mieszka natomiast nie czekał wypoczynek, jakkolwiek i na nim odbiły się trudy wojenne. Bardziej jednak niż stan zdrowia przygnębiała go świadomość, że wypuszczając z ręki zdradzieckich braci, sam dostarczył oręża przeciw sobie a także zewnętrznym i wewnętrznym wrogom, co więcej zaś i najbliżsi za złe mu to poczytują. Wprawdzie Awdańce ni słowem tego zdradzili, ale król sam rozumiał, że zmarnował trudy i niebezpieczeństwa, na jakie narazili się, by pojmać zbiegów. Natomiast syn nie oszczędził mu wypo-

mulenia. Gdy uradzano nad dalszym poczynaniem i odmówił mu zgody na pościg za uchodzącym nieprzyjacielem, Bolko wygarnął:

— Jeno tak dalej wojujmy, a zmamimy wszystko, co ojce ostawili.

Mieszka ogarnął zarazem gniew i zmieszanie. Odparł porywczo:

— Głupiś! Ważniejsze ninie w kraju ład i spokój zapewnić, nim zasię z wrogiem zмагаć się przydzie.

— Możem i głupi, bo nijak zrozumieć nie mogę, po co niechaliście zdrajców chwycić. Zali nie przeto w kraju zamęt, a groźba, że postronnych na nas naprowadzą, iżęście ich wypuścili z ręki? Gdyby ich o głowy skrócić, nie byłoby komu o nich się zastawiać.

Mieszko nie zamierzał sprawić się przed zuchwalcem. Spojrzał jednak na Awdańców, którzy siedzieli opuściwszy głowy, widocznie nie chcąc się wmieszać w zadzierkę między ojcem a synem, ale czuł, że uznają słuszność zarzutów Bolka. Im winien wyjaśnienie, dlaczego zmarnował ich trud. Do nich zwrócił się mówiąc:

— Jeno gadka poszła po grodzie, że kaźnić mają królewiców, biskup Paulinus klątwą mi zagroził za bratobójstwo. Nie trzeba mi zadry jeszcze i z duchowieństwem.

Palatyn Michał zbierał się coś rzec, ale uprzedził go Bolko:

— Tedy sam biskup zdrajca, skoro za zdrajcami obstaje. Do lochu bym go zasadził, tam by mógł kłać, ile by chciał. Taki to i król, którym byle biskup rządzi, choć ino z jego łaski na swym stolcu siedzi!

Twarz Mieszka nabiegła krwią, żyły wystąpiły na skroniach, ale Bolko nie widział tego. Podpity był widocznie, oczy mu błyszczały i ciągnął niemal krzycząc:

— To wam powiadam, że którego stryka spotkam, choćby przed ołtarzem, ubiję, jakom żyw. Ja ta o klątwy nie stoję. Zerwał się i wybiegł, trzasnąwszy drzwiami. Mieszko siedział poblądły, zagryzając wargi. Po chwili powiedział ochrypłym głosem:

— Oto jeszcze jeden buntownik, a ukarać go nijak.

Zapadło kłopotliwe milczenie, które po chwili przerwał Michał:

— Nie sumujcie się, miłościwy panie. Słyszałem, że i rodzic wasz takż nieraz z dziadem się starli. Pono omal do wojny między nimi nie doszło i jeno macierzy waszej dziękować, że małżonka pohamowała. Młody zawżdy popędliwy jest, dufny w swą siłę i zda mu się, że nią wszystko załadzi. Bolko niegłupi, jeno doświadczenia mu brak, z którym

nikło się nie rodzi.

— Może i niegłupi — powiedział Mieszko przygnębiony — ale nie jeno doświadczenia mu nie dostaje; znarowiony, nikomu sobą pokierować nie zwoli. Doświadczenie? Drogo za nie się płaci i czasu na nie może nie starczyć, gdy mu już rządy objąć przydzie.

— Co prawicie, miłościwy panie — wtrącił się Skarbek. — W sile z was jeszcze mąż, a dojrzeje Bolko, małżonkę mu wybierzecie, która by i wiano, i znaczenie przyniosła. Przy mądrej niewieście ustatkuje się...

— Nie mądrej mu potrzeba a zimnej niczym ryba, jak Rycheza, jeno dobrej i miłującej, jak była macierz moja. Niechajby sam wybrał, przyzwoliłbym, bo nie chcę, by i w jego potomstwie Bezprym się znalazł. Ale on rozwiązy jest a serca nie ma do żadnej.

— Wybaczcie, że przypomnę — ciągnął Skarbek — ale i wasz rodzic pochutliwy był, a przecie niewiastę znalazł, która go przywiązać umiała. Nasz mało to za młodu zamętu uczynił o białe głowy? Odpoczniecie, miłościwy panie, wraz jaśniej spojrzycie na sprawy. Ninie tu spokój będzie...

— Tu spokoju nie będzie nigdy — przerwał Mieszko — ale o to bym się nie trapił, gdyby indziej był. Nie masz go z żadnej strony, najgorzej zasię, że i w kraju. Jak Swante-wid, cztery oblicza trzeba by mieć, by znikąd oka nie spuszczać. Kiedy mi ta wypoczywać, gdy nie wiada w co raniej ręce włożyć, kędy spojrzeć, to wróg, a sprzymierzeńca nie widno.

— Sprzymierzeńcy to wrogi naszych wrogów, a któremuż ich brak, bogdaj u siebie doma — zaczął palatyn Michał. — Brzetysław odkąd się książęciem Moraw uczynił, rodzicowi mąci, rad by zasiadł w Pradze na kamiennym stolcu, a cesarz Oidrzychowi takóž nie sprzyja, bo wie, że rad by zależność zrzucił. I ninie wyprawy nie obesłał, choć z lennego obowiązku powinien, a nam nie przyjaciel. Ma i Konrad swoich wrogów nie jeno w kraju. Francuski Robert Lotaryńczyka buntuje, węgierski Stefan jeno sposobnej pory czeka, by Wschodnią Marchię najechać. Jarosławowi świętosław Pieczengów na kraj naprowadza. Nikomu wrogów nie brak, nie jeno nam, pokoju tyle było, ile sobie młody Otto zamarzył, a wraz z nim skończyły się mrzonki. Na wojnie my się chowali, pewnikiem i na wojnie kończyć przydzie, ale ninie spokój choć do wiesny, pora z buntownikami w kraju się rozprawić.

— Taki to i spoczynek — z goryczą powiedział Mieszko. — Ani sił nam to nie przysporzy, ani serca do tego człek nie

ma.

— Od czego my, miłościwy panie? — odparł Michał. — Skarbek niechaj wojska na śląską granicę powiedzie i oko da na Brzetysława. Ja was w sądach zastąpić mogę, choćby i zjazd na Gody odprawić. Wczasujcie się, póki wola. A jeśli radzić wolno, na buntowników syna wypuście, jako sokoła na ptactwo. Dobromir pewnikiem wydusił z Suliwoja i Zdziebora, kto jeszcze w spisku. Bolko z nimi igrać nie będzie, a skoro się zarzekł, że Bezprymowi nie przepuści, niechaj go szuka. Każdemu wolno ubić wywołańca, nic biskupowi do tego, bo nie jemu prawa nam stanowić, ani nawet wiedzieć nie musi.

— Ale Stefanowi pod przysięgą żywot i wolność Bezpryma poręczyłem — powiedział Mieszko z wahaniem. Michał jednak zachnął się niecierpliwie:

— Po to od niego nietanie Bezpryma kupiliście, by go mieć w rękę, a żywot i wolność, to nie wolność knowań. Skoro zbiegł, skończyła się poręka.

— Rozważę — powiedział Mieszko. — Aleć i sokoła nie zadość ułożonego nie Iza na łów wypuszczać, bo na własny poczet łowić będzie.

— Tedy i lepiej, że nie na wasz, a Bolko rzekł, że o klątwy nie stoi. Jak zmiarkowałem, sam niezgorzej kłąć wydoli — zaśmiał się Michał, ale król uciał, zwracając się do Skarbka:

— Jutro mi przedstawiś do nagrody najbardziej zasłużonych, bo dla wszystkich łupu ni brańców nie starczy. A ninie zda się i mnie, i wam raz spocząć pod suchą derą.

— Ja bych cały łup i brańców Belkowym do podziału oddał, bo po prawdzie im dzięka, iż Konrad niczego zdziałać nie wydolił. A Bolko niechaj sobie hojnością ludzi jedna.

— Niechaj i tak będzie. Wolej by sobie zasłużonych w boju jednał, niżli druhów od napitku, dziewczek i kości.

Awdańce pożegnali króla i wyszli. Gdy w swej gospodzie zbierali się do wypoczynku, Skarbek zapytał brata:

— Nad czym dumasz?

— Nad Mieszkiem. Zda się nie rozumieć, że jego dziad nie przeto krzyż wprowadzał, by wierzył, że krześcijański kraj od napaści będzie bezpieczny, jeno by takowym apostołom jak Hunfried i jego sfera pozór do nawracania odebrać i wolej dalekiemu Rzymowi uległość okazować niżli cesarstwu. Mieszko zaś nabożny jest, jak jego macierz, za prawdę ma, co w onych księgach stoi. Cóż z tego, iż, jak pisała Matyllda, w pięci językach Boga chwali? Niechajby w jednym było za co. Gdzieże ów pokój między krześcijany?

Nie dziw, że prosty naród za szalbierstwo to ma, gdy mu prawią, by wroga miłował, a to co w księgach za łez, by go rozbroić. Dobrze, że choć Bolko nie na nich chowany, jeno w boru, miłosierdzia nie zna nad wrogiem, a klątwy ma za nic, jak ongiś rodzic nasz.

— Ale nawet stary król, choć potężniejszy od cesarza, nie miał ich za nic i Gaudentego ugłaskał jak się dało, gdy go wyklął. A zgoła z duchowieństwem się liczył, po rękach je całował i księżmi zwać przykazał. Miłosierny takoz nie był, ale nie tym jeno umiał budzić strach.

— Jaki Mieszko jest lubo jaki będzie Bolko — odparł Michał — takiemu służym. Ale mi go żal. Nie byłoby lepszego króla, gdyby rządzić mógł w pokoju.

— Jeno nie było, nie masz i pono nie będzie pokoju.

Z wojny i na wojnie my wyrosli i nie nam się nad tym użalać. Ale nie nasza głowa po co stary Mieszko krzyż wprowadzał, a Chrobry go umacniał, bo wiedzieli, co czynią. Że Bolko do wojny zdatny, to i dobrze, ale mędrszy od nich nie jest, lepiej byłoby, gdyby z Kościołem zadry nie szukał, a rodzica słucał pokąd sam nie zmańdzeje.

— To i co, że lepiej? Jeśli go rodzic ujeździć nie wydoli, to i my nie. Tedy pójdźmy spać.

Palatyn Michał słusznie uważał, że wygnanie królewiczów tylko odwlecze rozprawę z nimi i ich stronnikami w kraju. Co gorsze, nadal nie wiadomo było, kogo zdołali sobie zjednać, Dobromir bowiem niewiele ze zdrajców zdołał wydusić, choć litości nad nimi nie miał i okaleczone ścierwa ich popłynęły z Wartą na żer rybom i rakom. Suliwoj twardy był i niczego nie wydał, Zdziebor wymienił wprawdzie imiona kilku żupanów grodowych na zachodzie i północy, których podobnie jak jego Otto nakłaniał do buntu, ale co wskórał, nie wiedział. Niewątpliwie niejeden liczył na korzyści, jakie im przyrzekał na wypadek, gdyby wyprawa cesarska odniosła zamierzony skutek, a więcej jeszcze takich, którzy w razie jej powodzenia lękali się utraty urzędu, a może też mienia i życia.

Gdy Dobromir skończył zdawać sprawę, obecni przy tym Michał i Bolko patrzyli na króla, czekając co postanowi. Ale siedział milcząc, spojrzenie utkwivszy w końcach swych cizem. Po dłuższej chwili palatyn zapytał:

— Zlecicie ich uwięzić?

— Bez dowodu nikogo karać nie Iza — odparł Mieszko.

Bolko poderwał się, widocznie zamierzając zabrać głos, ale palatyn uprzedził go, mówiąc:

— Dowodów nie ma, ale w wierności podejrzani są. Cze-

muż ni jeden z nich nie ostrzegł, do czego ich Otto nakłania? Co najmniej z urzędów złożyć ich należy, a innych w ich miejsce ustanowić.

— Innych? Jeno kogo? — zapytał Mieszko, ale palatyn wiedział, że król nie czeka odpowiedzi. W głosie jego była gorycz, nie ufa nikomu. Michała ogarniało zniechęcenie. Gdyby król posłuchał jego rady i przynajmniej kazał braci oślepić, nikt nie mógłby liczyć na zmianę władcy, czy choćby jej się obawiać, a do porozumienia z zewnętrznym wrogiem nie byłoby chętnych. Widząc jednak przygnębienie Mieszka, nie chciał mu wytknąć, że do niepewnego położenia w kraju sam się przyczynił, więc zamilkł.

Bolko jednak, który z trudem powstrzymywał się, by nie przerywać palatynowi, teraz rąbnął:

— Jam się nie prosił, byście mnie swym następcą ustanowili. Ale skoro nim jeśm, nie trzeba mi współzawodników. Kto z nimi trzyma, ten mój wróg i cackać się z nim nie będę, jako wy, bo to wiem, że gdyby mnie dostali w ręce, tobym oczu albo żywota zbył, a jeszcze miłe mi.

Mieszko pobladł i zagryzł wargi. Zdało się, że zuchwały młokos wyczerpał już jego cierpliwość i wybuchnie gniewem. Michał zląkł się, że do wszystkich trosk przybędzie jeszcze poważny rozdzźwięk między ojcem i synem. Ostro zwrócił się do Bolka:

— Jeszcze wam rządzić nie pora. Po to was miłościwy pan do rady dopuszcza, byście się ze sprawami obznajomili. Ale radzić można jeno spokojnie, a postanowienie do króla należy i nikomu z tego sprawiać się niedłużny.

— Biskupowi takż nie — warknął Bolko, ale palatyn ciągnął:

— Nie nad tym radzimy, co było, jeno co ninie poczynać, gdy ku zimie idzie i choć do wiosny spokój będzie od postronnych wrogów.

— Wżdy o tym gadam — spokojniej powiedział Bolko. — Sama pora by przeniewierców do nogi vyplenić.

Zwracając się do żupana Dobromira ciągnął;

— Rzekliście, iże ktoś Bezpryma w kraju widział. Kto, kiedy i kano?

— Dziesiętnik, któren królewiców do Brześcia odstawił, wracając kupców spotkał ciągnących z Kijowa do Gdańska. Zgadali się i od nich słyszał, iże go w karczmie we Włodawie naszli.

— Skąd mogli wiedzieć, kim jest? — zapytał palatyn, a Dobromir odparł:

— Zgoła się z tym nie taił i wypytywał, jestli wielki

kniaź Jarosław w Kijowie, do którego udać się zamierzył.

Spojrzał porozumiewawczo na palatyna i ciągnął:

— Ważniejsze zda mi się, co także od kupców się dowiedział, że iście Jarosław do Kijowa wrócił, bo się z bratem Świętosławem tmutorokańskim pojednał.

Wieści były złe. Jeśli Mieszko liczył na to, że wywołańcy pozbawieni wszelkich zasobów nie zdołają dotrzeć do Kijowa, a nawet jeśli im się to uda, Jarosław zaprzątnięty wojną z bratem nie może im udzielić poparcia, to się przeliczył.

Co gorsze, żupani wschodnich także grodów podejrzani są o sprzyjanie wywołańcom.

Wszyscy patrzyli na króla, czekając co powie, ale gdy się nie odezwał, palatyn zapytał Dobromira:

— Królewica Ottona z Bezprymem nie było?

— Jakowychś ludzi miał Bezprym, ale żaden z nich nie był królewicem — odparł Dobromir.

— Może się poróżnili, bo pewnikiem wzajem sobie nie ufali i jeden drugiego ubiec rad.

— Wierę, że się wzajem nie miłują — odparł Michał. — Skoro się jednak przeciw miłościwemu panu zmówili, do czasu będą trzymać z sobą.

Podejrzewał, że Otto udał się do cesarza, skoro już poprzednio za pośrednictwem Ryczezy z nim się porozumiewał. Jeśli domyśla się słusznie, grozi to, czego obawiał się nawet Chrobry. Widząc, że król przygnębiony siedzi z opuszczoną głową i nie zabiera głosu, sam zaczął:

— Nie czekać, by się Konrad z Jarosławem zmówili przeciw nam, bo nie dostoiem.

— Zajdź ku mnie po wieczerzy — odparł Mieszko wstając i wyszedł. Bolko ze złością zwrócił się do palatyna:

— Oto i obznajomiłem się ze sprawami: doma zdrada, między wrogami zmowa. Przeniewiercom ociec ująć zwoił, żeby się pan biskup na niego nie pogniewał. Tedy może by jego wezwać do rady, bo sami nie uradziliśmy nic.

— Miarkujcie się, królewicu — poważnie odparł palatyn. — Nie bez waszej winy, bo nijak królowi znieść, by własny syn do oczu mu skakał, tedy wolał odejść, by do kar nie sięgać. Ani nam ninie z Kościołem zadzierać, ani wam z rodzicem. Wypominanie to nie rada, a macie jakową, rzeknijcie mnie. Powtórzę miłościwemu panu i rozważym.

— Wždy rzekłem — powiedział Bolko zachmurzony. — Zdrajców do nogi wyplenić.

— Łacno rzec! Bezpryma ni Ottona nie masz w kraju.

Zdrajców?! Mniemam, że więcej takich, co z tym trzymać gotowi, kto górą ostanie. Silny zawždy najdzie popleczników.

— Jeszcze ninie my górą, tedy kto nie z nami, tego na hak — rzucił Bolesław gwałtownie. — A chce rodzic dowódów, niech mi jeno zwoli brzeskiego żupana przepytać, jak owo się stało, iż Bezprym z orszakiem we Włodawie się znalazł, a Otto ani chybi do cesarza się udał, takż pewnikiem nie na własnych nogach i nie bez osłony.

— Tak i ja mniemam, ale wiedzieć zdałoby się — odparł Michał w zamyśleniu. — Jeno umiar w karaniu zachować należy, bo najmniej nam wojny domowej potrzeba. Ni waszych sporów z rodzicem — dodał.

— Ma być wojna domowa, niechaj ninie będzie, pokąd indziej spokój — odparł Bolko, ale Michał rzucił niecierpliwie:

— Lepiej zasię, by zgoła nie była. Bez dowodu iście karać nie lza, chyba na licu schwytanego, ale brzeskiego żupana król władny złożyć z urzędu wedle swej woli, a pewnego człeka ustanowić. Jeno że jeśli do spisku przystąpił, a nie władza kto więcej, siłą się przeciwstawić gotowy.

— Tedy się bez dowodu obędzie. Niechaj mi jeno rodzic zwoli, już ja z niego wydobędę co trzeba.

— Powtórzę królowi — rzekł palatyn. — Mniemam, że się zgodzi skoro Bezprym do Kijowa się udał, a Jarosław z bratem się pojednał, najazdu trzeba się spodziewać i nie można w pogranicznych grodach niepewnych ludzi ostawić. Palatyn nie potrzebował przekonywać króla, by zgodził się wysłać syna na wschodnią granicę. Bolko zaczynał mu ciężyć. Wkrótce też okazało się, że zdradzieccy bracia zmówili się, by dla osiągnięcia swego celu przygotować najazd jednocześnie z dwóch stron. Skarbek doniósł bowiem, że przez postawionych na Morawach zaufanych ludzi dowiedział się, iż Otto był w Opawie u Brzetysława. Nietrudno było domyślić się, że w drodze dowiedzieć się musiał o niepowodzeniu cesarskiej wyprawy i próbował skłonić do najazdu Czechów. Skarbek donosił jednak również, że tego można się nie obawiać, Oidrzych bowiem zadarł z cesarzem, odmawiając żądaniu wypuszczenia z więzienia brata Jaromira i podzielenia z nim władzy. Wyraźnie zmierzał do uniezależnienia się od cesarstwa i Konrad nie mógłby spokojnie patrzeć na dalsze jego umocnienie przez zagarnięcie Śląska. Nie było też wątpliwości, że Otto chybiwszy w Czechach uda się do Niemiec.

Michał otrzymane od brata wieści powtórzył królowi. Gdy je przedstawił, Mieszko powiedział:

— I Konrad, i Oidrzych już próbowali i dowodnie wiedzą, że każdemu z osobna dostoim. Wiedzą to i przeniewierce, przeto wrogów z dwóch stron chcą na kraj naprowadzić,

byśmy siły rozdzielić musieli.

— Wiadomo — przytwierdził palatyn. — Ale że nierychło, tedy czas mamy rozważyć i poczynić przygotowania. Jarosław co ino z wojny wrócił, ale choćby i gotów był, na Konrada czekać będzie. Cesarz zasje nie jeno z nami ma sprawę, wrogów i w kraju takż mu nie brak.

— Rychło lubo nierychło, za jedno — odparł Mieszko. — rozważyć, co poczynić? A cóże? Bronić się, póki sił starczy. Ale nie starczy.

— Nie za jedno — żywo zaprzeczył palatyn — i bronić się różnie można i jeszcze takowej wojny nie widziałem, by raniej wiadome było, kto wygra. Ale to wiemy obadwaj, że częściej ten, kto pierwszy zniemacka uderzy. I to wam przypomnę, że gdy dziad wasz na Morawach walczył, siły ściągnął ze wschodu, choć wiedział, że Włodzimierz z tego skorzystać nie omieszka, by Grody Czerwieńskie zająć. Ale wiedział takż, że gdy indziej się umocni, to je odbierze. Choćby i na zawżdy je stracić, jeszcze nam przeto nie ginąć, a Jarosławowi za jedno, kto u nas władnie. Ale nie za jedno Konradowi, bo mu wasza korona niczym sól w oku i takiego mu potrzeba, co by od jego łaski zależał i słuchoł jako pies rogu.

— Radzisz tedy Grodów Czerwieńskich zgoła poniechać? A już za złe mi poczytują, iżem zakarpacki kraj oddał bez walki. Jeszcze mi niechętnych przybędzie, co urzędy i mienie potracą.

— Ja radzę jeno nie opuszczać rąk — odparł palatyn. — Ku zimie się ma, czas sposobny by niepewnych żupanów z pogranicznych grodów usunąć. Choćby opór stawili, mniemam, że królewic Bolko z nimi igrać nie będzie. Konrad zasje raniej wszystkiego się może spodziewać niżli tego, że pierwsi uderzym. Zanim lenników zwoła, by opór dać, my pograniczne marchie spustoszymy, ziemię jeno i wodę ostawując.

— Rozważę — odparł król. — Drużynę tak czy inak w gotowości mieć należy, zaciąg poczynić i o uzbrojenie zadbać. Nie wiada zali raniej nie będzie w kraju potrzebna — dodał z goryczą.

Michał patrzył na pobladłą i wyciągniętą twarz króla i zaczerwienione oczy. Powiedział:

— Troskę o to mnie ostawcie, a wy się wczasujcie, miłościwy panie, pokąd spokój. Gdy człek niemocny, łacno go czarne myśli nachodzą.

— Sen mnie odbieżał — znużonym głosem odparł Mieszko — ni w nocy o nich zapomnieć. Wiem, że tobie mogę za-

ufać, ale i twoja młodość minęła, a jeszcze od wieszny doma nie był.

— Gdy królewic wróci, pojedę odpocząć. Zawołanie już sobie zdobył, można mu zaufać, że z drużyną sobie poradzi, a siła aże go rozpiera.

— Jeno mu rozsądku i umiaru nie dostaje, wszystko na siłę brać gotowy. Tobie mogę rzec, bo i sam wiesz: cierpliwości mej nadużywa... ale i słabości, a nijak było zaprzeczyć, iżem zdrajcom swobodę knowania ostawił.

— Któże mógł przewidzieć, iż się Jarosław z bratem pojedna, a brzeski żupan, miast rozkaz wykonać, jeszcze pomocy wywołańcom udzieli? Z takowym umiar na nic, kto z dobrej woli nie słuca, niechaj słuca ze strachu. Skończcie, miłościwy panie, rozmyślać, a bierzmy się wyprawę na Sasów gotować, gdy tylko paszy dla koni brać nie będzie trzeba. I nie jeno my wrogów mamy gdzie spojrzeć. Konrad także ma ich do wyboru. Węgierskiego Stefana o wyprawie uwiadomić należy, sposobność dla niego Wschodnią Marchię najechać.

— Możesz praw — odparł Mieszko. — Pojadę na Lednicę, jeno gdy wieści będą od Bolka, nie omieszkaj mi je przesłać bez zwłoki.

— Nie omieszkam, ale i o tym czas myśleć, bo nierychło będą. Do Brześcia opętany kawał drogi, ninie rozkiszlej, a dni krótkie. Pokojni bądźcie, że Bolko sobie poradzi.

— Jeno że niepewnych ludzi ma usunąć z urzędów, a nie wojnę wszczynać. Sam winienem to uczynić. Bolko powagi nie ma, jeśli na opór trafi, bez umiaru karać gotowy.

— Po to macie żrałego już następcę, by w nim znaleźć wyrękę. Niechaj pozna kraj i ludzi i ludzie niechaj go poznają. Nie takiemu jak on beczynnienie siedzieć, wam zaśie zda się wypocząć.

— Iście zda się, może mi sen wróci.

Bolko rad wyrwał się z Poznania, nie tylko dlatego, że czekała go tu nuda krótkich, słotnych dni i długich wieczorów. Ojcu przyrzekł, że w kości grać nie będzie, pora ani do łowów, ani do ćwiczeń sposobna, pić i z dziewczkami się zabawiać może i w drodze, a tu jeno by się biskup czepiał o zgorzenie. Nie mógł zrozumieć, dlaczego ojciec tak liczy się z duchowieństwem, którego prosty naród nienawidzi i tylko czeka sposobności, by zrzucić z siebie nałożone na jego rzecz ciężary i wygnać obcych. To jest przyczyną wszczętego na Pomorzu rozruchu, a szkoda sił i środków na jego poskramianie. Choć Bolko przywiązał się do ojca, nie mógł się powściągnąć, by mu nie wygarnąć, że sam sobie trosk

przyczynia. Gdyby nie liczył się z biskupem, nie dbał o porękę daną węgierskiemu królowi czy wreszcie na związki krwi, nie udałoby się wymknąć zdradzieckim braciom po to, by z wrogami powrócić. Ale ślubował sobie, że już głów stąd nie wyniosą, choćby wykląć go miał sam papież. A tymczasem z tymi, którzy im ujść pomogli, rozprawi się tak, by strach padł na przeniewierców.

Wyruszył w słotny ranek, na czele gromady takich jak sam zabijaków, których dobrał sobie w czasie wyprawy. Ruchliwy suchą porą handlowy szlak, krzyżujący się w Kruszwicy z gościńcem z Krakowa do Gdańska, a dalej przez Pułtusk wiodący do Prus i na Ruś, teraz opustoszał, słońca skracała jeszcze i tak krótkie dni i podróż wlekła się. Ze stojącej obozem pod Włocławkiem drużyny zabrał Bolko dwie setnie jazdy, promem przeprawił się przez Wisłę i ruszył w górę rzeki na Płock i Czerwińsk, gdzie gościniec odchodził od niej. Szczęściem po okresie deszczów pogoda ustaliła się, nocne przymrozki ścinały błoto na gościńcu i podróż potoczyła się szybciej. Trochę zwłoki spowodowały przeprawy w bród przez wezbrane wody Wkry, Narwi i Bugu i pod koniec listopada pochód dotarł do Liwa.

Od celu dzieliło go tylko parę dni podróży, po drodze nie było już żadnego grodu, kraj zaczynał się bagnisty i rzadko osiadły, kilka niewielkich osad leżących przy gościńcu nie zapewniało wypoczynku pod dachem, a znowu zaczęła się słońca, nierzadko przechodząca w deszcz ze śniegiem, zapowiedź wczesnej zimy.

Żupan Liwa Godek zdziwiony był nieco przybyciem silnego oddziału o takiej porze, gdy nikt nie ruszał się z domu bez pilnej potrzeby. Nie mniej dziwił go młodociany wygląd dowódcy i jego niezbyt okrzęsanych towarzyszy. Dowiedziawszy się jednak, kim jest, powitał go z szacunkiem i podejmował gościnnie, wedle zwyczaju nie dopytując po co przybył, rad zresztą urozmaiceniu jednostajnego bytowania. Z ciekawością natomiast wypytywał o króla, którego po raz ostatni widział podczas koronacji, dawniej natomiast, jeszcze za czasów Chrobrego, wojował pod nim z Niemcami. Doszły go też wieści o ostatniej przeciw nim wyprawie i z uwagą słuchał opowiadania o jej przebiegu. Bolko opowiadał tak, jak wyrostki zwykle prawić o wyrządzonej komuś psocie, pokpiwając z nieprzyjaciela. Widoczne było, że go lekceważy, a za nic ma własne i cudze życie. Stary Godek, pamiętający ciężkie i długotrwałe walki Chrobrego z poprzednikiem Konrada, słuchał coraz bardziej zdziwiony i gdy Bolko skończył, zapytał go:

— Ile też godów sobie liczycie?

Bolko zaśmiał się i odparł:

— Nie liczę, ale macierz mówiła, że szesnaście. Dlaczego pytacie?

— Bo chociaż tęgi z was junosza, ani bym wam tyle nie dał. Przeto mi dziwne, iż wam rodzic ważne dowództwo zlecał w tak młodych latach.

Bolkowi zdało się, że w głosie żupana brzmi niedowierzanie. Odparł chętnie:

— Coże w tym dziwnego? Sam nieco słabuje, a po to mnie następcą swym ustanowił, by mieć wyrękę, jako i ninie.

Godek uśmiechnął się pod wąsem i rzekł:

— Prawda, że i sam młodo wojować i posłować zaczął. Do wojaczki i do własci wcześniej się zaprawiać trzeba.

Ciekawy był, jaką sprawę Bolko ma zleconą, skoro przybył z silnym oddziałem jazdy, nie chciał jednak pytać wprost i dodał:

— Spokój tu ninie. Jaćwierz jeszcze dziad wasz zhołdował, o takiej porze nawet zbóje siedzą po swych komyszach, gdy kupcy nie jeżdżą a wiece sądowe na Gody zwykliśmy zwoływać. Chciałbym jeno wiedzieć, jak długo wasza miłość zechce tu zabawić, bo dla tylu koni stajen brak i choć szopy trzeba by wystawić, bo bez dachu zmamić się mogą. Bolko zrozumiał, czego Godek chciałby się dowiedzieć. Ze wspomnień jego wynikało, że przywiązany jest do króla i nabrał do niego zaufania. Zamiast jednak odrzec wprost, zapytał:

— A w Brześciu starczyłoby stajen dla naszych koni?

Mam też sprawę do tamtejszego żupana.

— Ani chybi. I gród znaczny, i osady przy nim spore. Wasza miłość może tam konną drużynę odesłać, a żupana wezwać, by tu się stawił. Łacniej jemu z jednym czy dwoma pacholkami, niżli wam ze znacznym hufcem, gdy po drodze osad mało i niespore, a nijak na nocleg stawać bez dachu.

— Byle słota ustała, wydzierzym, może mi i dalej ciągnąć przydzie. A brzeski żupan kto zacz? Znacie go?

— Somsiedztwo niebliskie, tedy się zazwyczaj jeno na ziemskich zjazdach spotykamy, gdy je wojewoda Mojsław zwoła. Ale to wiem, że rodu jest znacznego i z dawna tu osiadłego. Rodzic jego takż żupanem był w Brześciu. Sam w sile jest wieku, dwóch synów ma już żrałych, a i najmłodszy spory wyrostek. Mniemam, że któremuś urząd po sobie zechce ostawić.

— Wierę. Jeno przódzi sprawić się musi, skąd Bezprym z orszakem we Włodawie się znalazł, skoro go wraz z Otto-

nem, jak stali, za granicę miał odstawić i wywołańcami ogłosić.

Teraz Godek zrozumiał, po co Bolko przybył i zaniepokoił się. Jeśli brzeski żupan istotnie ze zdrajcami się porozumiał, nie będzie się sprawiał, ale opór stawić gotowy. Albo też wyprze się, a dowodu nie ma, że to on udzielił im poparcia, bo mogli samowolnie wrócić zza Buga, a pomoc znaleźć gdzie indziej. Tak czy inaczej, sprawa była drażliwa, a mogła być i niebezpieczna, wymagała rozważnego postępowania, Bolko zaś zgoła na rozważnego nie patrzył. Godek zaniepokoił się i rzekł:

— Skoro go podejrzewacie, tym bardziej należy go tu wezwać. Bo jeśli iście zdradę zamierzył, to miast się sprawiać, pojmać was gotowy i będzie miał w ręku zakładnika. Jeśli zaś opór stawi, jazdą grodu nie weźmiecie. Choćbym wam ludzi i sprzętu udzielił, nie pora też go oblegać. Ze wszystkim lepiej pory cieplejszej doczekać, a siły większe zgromadzić, bo i to nie wiada, zali wywołańce jeno w Brześciu należeli sojuszników.

— Jeno bym go przestrzegł tu wzywając — odparł Bolko. — Gdy się niczego nie spodziewa, bramy grodu będą otwarte, tedy go dobywać nie trzeba. Nie po to w takową porę od paru niedziel w drodze jeśm, by tu cieplejszej czekać lubo wracać niczego nie działawszy. Z wiesny zasię nie jeno ze zdrajcami może być sprawa, ale z Rusią, bo Bezprym do Jarosława się udał, Ottona zaś ani chybi do cesarza wysłał. — Zaśmiał się i dodał:

— Nie jeno wyście się zmylili za wyrostka mnie biorąc, jen o siebie zadbać nie wydoli, a druhów takoz mam, że się ni biesa nie ulękną. Tedy o mnie bądźcie spokojni.

Godek jednak nie był spokojny. Gdy nazajutrz przy mroźnym wietrze ze wschodu, który ścinał błoto na gościńcu, Bolko wyruszał w dalszą drogę, do siedzącego już na koniu powiedział:

— Jeśli Włóścibor iście zdradę zamierzał, na bacności się ma. Nad siłę nie bierzcie. Wojewoda Mojsław w Czersku bawi, jego po prawdzie to rzecz zadbać, by z pogranicznych grodów niepewnych ludzi usunąć, a prawo i siły ma po temu.

— Ja takoz — odparł Bolko. — Skoro zasię to jego rzeczą, winien był to dawno uczynić. Gdy ja tu jeśm, mnie rozstrzygać, kogo ostawić, ani mi jego pomoc, ani przyzwolenie potrzebne.

Skinął ręką żupanowi i ruszył. Godek stał i patrzył, aż jadący na tyłach oddziału pachołkowie z jucznymi końmi zniknęli mu z oczu. Pewność siebie królewicza, którą uważał

za butę niedowarzonego młokosa, jeszcze wzmogła jego niepokój. Włóścibor nie z miłości do wywołańców zgodził się pomagać w ich zamierzeniach. Wiedział, że w razie gdyby chybiły, stawi nie jeno urząd, ale głowę. Obliczyć się musiał z siłami.

Włóścibor istotnie dobrze rozważył zarówno korzyści jak i niebezpieczeństwa, zanim zgodził się popierać roszczenia królewiczów. Wiedział, że wojna domowa na Rusi skończyła się, znane mu było trudne położenie Mieszka zewsząd otoczonego wrogami. Jarosław już raz po śmierci Chrobrego usiłował zająć Grody Czerwieńskie. Mieszko zdołał się przy nich utrzymać ściągnawszy siły z zachodu, gdy w Niemczech miał oparcie w potężnym teściu, a Konrad, jeszcze niepewny na tronie, zajęty był walką z francuskim Robertem. Niepowodzenie tegorocznej wyprawy cesarskiej dowodziło, że przed każdym z osobna przeciwnikiem Mieszko zdoła się obronić. Braciom królewskim nietrudno przeto będzie nakłonić Jarosława do współdziałania z cesarzem, który też zechce wziąć odwet na Mieszku. Po zerwaniu z Rychezą król nie ma już żadnego sojusznika, próba odnowienia Kościoła na Pomorzu trafiła na opór, Mieszko jest słaby, a trzymać ze słabym to upaść wraz z nim. Gdyby żupan odmówił królewiczom pomocy, nie utrzymałby się przy urzędzie i mie-niu, gdy oni pochwycają władzę. Natomiast za jej udzielenie przyrzekli mu dziedziczość urzędu a starszym synom najwyższe dworskie godności. Wolał jednak, by synowie sami dopilnowali spełnienia obietnicy i wysłał ich wraz z królewiczami. Król jeśli nawet dowie się, że nie wykonał rozkazu, to nierychło.

Włóścibor spokojnie przeto czekał na wieści od synów, też nie spodziewając się, by prędko nadeszły. Do Kijowa droga daleka, dalsza jeszcze do Niemiec. Na grodzie panował spokój, poczty kupieckie, zazwyczaj idące ze zbrojną ochroną, przestały jeździć. Toteż żupan zdziwił się, gdy o późnym, zimowym już poranku obudził go gwar dochodzący z dziedzińca, szczekanie psów, rzenie koni i głosy znacznej gromady ludzi. Zawołać chciał na służbę, by dowiedzieć się, co zaszło, gdy wszedł dziesiętnik ze straży z oznajmieniem:

— Przyjechał królewic Bolko.

Żupan bardziej zdziwiony niż zaniepokojony zapytał:

— Poczta ma spory?

— Nie liczyłem — odparł dziesiętnik. — Dziedziniec pełny, będzie ze dwie setnie jazdy. Co mam zarządzić?

— Królewica ze starszyzną prosz do świetlicy, niewiasty niechaj im podadzą posiłek, włodarz wyda obrok dla koni

i spyże dla ludzi. Co dalej, sam zarządzę.

Zbierał się pospiesznie, rozmyślając w jakim celu przyjechał królewicz i to z silnym oddziałem jazdy, niepotrzebnym ni dla bezpieczeństwa, ni okazałości. Wiedział o nim tylko, że niedawno doszedł do lat sprawnych. Może chce poznać kraj i ludzi i samemu dać im się poznać, jeno że porę wybrał niestosowną.

Tak czy inaczej przyjazd królewicza nie był mu na rękę.

Zapasów na grodzie nie brakło, ale wyżywienie i pomieszczenie tak znacznej gromady ludzi mogło je uszczuplić ponad miarę, gdyby dłużej utrzymywać ich przyszło. Najważniejsze by rychło się ich pozbyć.

O tym myślał, gdy przybrany już szedł do świetlicy, skąd dochodził gwar biesiadujących. Z niedoświadczonym młokosem jakoś sobie poradzi, tymczasem należy go podejmować jako miłego i dostojnego gościa.

W świetlicy półmrok panował, rozpraszano tylko płonącym na kominie ogniem i światłem świec w glinianym świeczniku. Bolka żupan nie znał, ale nie potrzebował dopytywać, kto nim jest, bo u szczytu długiego stołu na miejscu gospodarza siedział bezwąsy młodzian i z ożywieniem rozmawiał z towarzyszami, przeważnie niewiele od niego starszymi. Na widok żupana umilkli, a on podszedłszy do królewicza skłonił się i rzekł:

— Witajcie pod moim dachem i bądźcie sobie radzi, jako pod własnym.

Bolko przez chwilę patrzył na Włóscibora, jakby się namyślał, po czym odparł:

— Rad jeść pod dachem, bo pośledniej nocy bez niego obozować przyszło. Jako i pod własnym, bo króla tu przedstawiam, a każdy dach jego własny w tym kraju.

Żupana zaskoczyła pyszałkowata odpowiedź, ale uśmiechnął się z przymusem i rzekł:

— Tedy zwólcie, że i ja się pożywię, bom takóž jeszcze nie śniadał, a wszystko co moje, to wasze. Szkoda jeno, żeście mnie raniej o przyjeździe nie uwiadomili, bo byłbym godniejsze przyjęcie zgotował, a spyżę i obrok dla koni i ludzi, i gospody po osadach, bo na grodzie miejsca nie starczy.

Gdy Bolko nic nie odrzekł, ciągnął:

— Prawda, że nie pora obozować, waszym ludziom takóž zda się spocząć pod dachem. Rzeknijcie jeno, jak długo tu zabawić zamyślacie, bym co trzeba zarządził.

— Sam jeszcze nie wiem — odparł Bolko. — Nie będę ich tedy po osadach rozmieszczał, przy ogniskach się zagrzeją i ciepłą strawą pożywią. Wojak twardy winien być, wszakci

i na łowach nieraz bez dachu albo i ognia nocować przy-
dzie.

— Widzę, iż wam doświadczenia nie brak, choć godów
niesporo — wtrącił Włóścibor, ale Bolko ciągnął:

— Jeno, żeśmy nie na łowy przyjechali. Wam raniej wia-
dome być musiało, skoro wieść do Poznania doszła, że Ja-
rosław zasię najazd gotuje.

Włóścibora coś tknęło, ale ramionami wzruszył lekcewa-
żąc i odparł:

— Gadki to jakoweś są. Iście pierwszy bym wiedział. O ta-
kowej porze nikt z Rusi tu nie jeździ, tedy i skąd wiado-
mość?

— Prawdziwa lubo nie, rodzic mi sprawdzić zlecił, a ta-
koż obronność grodów. A że grody nie same się bronią, jeno
ludzie, tedy i ludzi.

— O Brześć możecie być spokojni. Gród, jako widzicie,
obronny, załoga silna i pewna.

— Jeno widzę, że włos u was siwy. Wojna niewieściej jest
płci, tedy ją młodym ostawić należy. Do niewiast z siwym
łbem, jako z jeżem do psa.

Zaśmiał się i ciągnął:

— Słyszę jednakowoż, że synów macie zrałych. Rad bym
i z nimi się poznał.

— Żałować będą, że ich zaszczyt ominął — odparł żu-
pan — ale nie masz ich doma.

— Tedy ślijcie po nich, poczekam.

— Wybaczcie! Prawdę rzec, nie wiem, kano są.

— Szkoda! Ale mniemam, że się jeszcze spotkamy.

Żupanowi zdało się, że w głosie Bolka brzmi groźba. Rad
był, że królewicz więcej o nich nie pytał, lecz zagadnął:

— Kto żupanem jest we Włodawie? Znacie go?

— Jakżeby nie? Na zjazdy do Czerska tędy mu droga i bez
tego bywa, że. przyjedzie. Synom moim druh i krewniaczkę
moją pojął. Człek młody i bitny. Za niego poręczyć mogę
jako za siebie samego.

— Rad to słyszę, bo podejrzany był, że wywołańcom po-
mocy udzielił. Bezpryma we Włodawie widziano i nie sam był.

— To zasię jakowaś gadka — powiedział Włóścibor usi-
lując ukryć zmieszanie. — Wždy nikt go tu nie zna, mało
kto nawet wie, iż z klasztoru zbiegł, gdzie ćwierć wieka
przesiedział.

— Może i gadka, ale sprawdzić należy. Tu ich przecie nie-
jeden widział, a już tym, co wywołańców za granicę odsta-
wić mieli, sposobność była z nimi się zmówić. Którzy to,
chcę ich przepytac.

Teraz Włóścibor domyślił się, po co królewicz przyjechał, jeno nie co i skąd wie. Pozwolił się zaskoczyć, zbyt pewny był, że zanim się wyda, kto pomógł wywołańcom z wrogami się znosić, Mieszko nie będzie miał już możliwości tego dochodzić. Teraz pozostawało tylko zyskać na czasie. Ukrywając ogarniający go niepokój, odparł:

— Załogi mam do pięci set, a nie wczora to było, pomnieć nie mogę. Ale przepytam, jeno że w spokojnym czasie na grodzie jeno strażą, a reszta na podgrodziach i osadach gospodą stoi. Jeszcze nie wyjeżdżacie, tedy niepilne.

— Pilne lubo nie, moja sprawa, ale widzę, że i pamięć wam nie dopisuje. Tymczasem strażę sam przepytam.

— Tedy każę ją zwołać — rzekł Włóścibor wstając. Jeśli zdrada już się wydała lub wyda, nie łudził się, co go czeka. Może uda się jeszcze zgotować opór. Ale królewicz rzekł z drwiną:

— Nie chcę was trudzić, sam sobie poradzę. Mieliście się pożywić, zali wam do jądła odeszła ochota?

Patrzył na żupana jak kot na mysz, zapędzoną do kąta.

Włóścibor zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Powiedział ochrypłym głosem:

— Zda mi się, że przed sądem stoję. Cokolwiek bym przewinił, prawo mi służy bronić się obyczajowym postępkim, a bez dowodu nikogo kaźnić nie Iza.

— Dowód może się i najdzie, a postępek zbędny, gdy zdrajca na licu pojmany — zimno odparł Bolko. — Rozkaz króla był: Bezpryma i Ottona wyjętymi spod prawa ogłosić, jak stoją za Bug wyprawić, a kto by im pomocy udzielił, za zdradę będzie karany. Kara jeno ma być obyczajowa, a tę znacie. Zwrócił się do setnika Głowni i rozkazał:

— Straże na dziedzińcu zgromadzić i otoczyć, by się żaden nie wymknął. Wraz tam zejść.

Gdy Głownia wyszedł, zaległo napięte milczenie, tylko królewicz uśmiechał się, jakby go bawił widok Włóścibora, który na przemian bladł i czerwieniał, przekrwionymi oczyma patrząc na swego dręczyciela. Śmierci nie lękał się, ale śmierci w walce, a wiedział już, że czeka go haniebna i okrutna. Lepiej zginąć zaraz, ale przedtem pomsty dokonać. Zerwał się i chwyciwszy tkwiący w bochnie chleba nóż doskoczył do królewicza, by zgasić ten uśmiech, który go doprowadzał do szału. Ale i tego nie zdołał uczynić. Bolko uchwycił rękę wzniesioną do ciosu i wykręciwszy ją tak, aż chrupnęło w stawie, obalił go na ziemię, a już dopadli towarzysze i przytrzymali rzucającego się, póki nie osłabł i przestał stawiać opór. Bolko zaś nie przestając się uśmie-

chać powiedział:

— Mówiłem, że dowód się najdzie, bo w waszej skórze będąc, sam bym tak uczynił. Więcej dowodów nie trzeba, jeno obaczmy, kto więcej do zdrady ręki przyłożył. Związać go i pójdźmy.

— Jeszcze synów mam, którzy pomszczą rodzica — zdławionym przez bezsilną wściekłość głosem powiedział Włóścibor, ale Bolko zaśmiał się:

— Mniemam, że się wzajem szukać będziemy, tedy się pewnikiem najdziemy. Głupi kto rodzica ubiwszy synów ostawia przy żywocie. Dobrze, izeście mi o nich przypomnieli, bo jeszcze trzeci tu jest.

Twarz Włóścibora uczyniła się sina. Ledwo wybełkotać zdołał:

— Nieletniego na gardle karać nie lza.

— Tedy mu jeno oczy odjąć każę. Niechaj wam za swą dolę dziękuje.

Wyszedł na dziedziniec, gdzie otoczona przez zbrojnych czekała gromada ludzi, zmieszanych i niepewnych po co ich tu spędzono. Na widok związanego i pokrwawionego Włóścibora osłupieli. Nikt nie rozumiał, co się dzieje, niewielu nawet wiedziało, kim jest młodzieniec, który zjawił się w otoczeniu towarzyszy. Dowiedzieli się, gdy zaczął:

— Rodzic mój, król Mieszko, braci swych, Bezpryma i Ottona, za zdradę i przeniwierstwo na wieczyste wygnanie skazał i wyjętymi spod prawa ogłosił. Ten oto do dziś wasz żupan, miast rozkaz wykonać, pomocy im udzielił, by wroga na kraj naprowadzili. Choćbym miał wszystkich, jak tu stoicie, stracić, dowiem się, kto więcej do zdrady ręki przyłożył, nawet z rozkazu żupana, bo nikto zdrajcy posłuchu niedłużny. Wydać go winien lubo sam za zdradę karę ponieście. Czekam, jeno ni czasu, ni cierpliwości nie mam do zbytu.

Z milczącej gromady wystąpił mąż w sile wieku. Wzburzony był widocznie, bo głos mu się rwał, ale mówił śmiało:

— Wojak dowódcy posłuch jest dłużny i nie jemu go sądzić. Ja jeździłem do Włodawy, by tamtejszego żupana uprzedzić, że poselstwo idzie na Ruś i o przystawów winien się postarać. Pierwsze to od was słyszym, że królewice spod prawa wyjęci ostali. Nie dacie mi wiary, niechaj wam starczy moja głowa, bo nią poręczam, że ci, co ze mną jeździli, nieświadomi byli nawet, co mi żupan zlecił.

Wszyscy patrzyli na królewicza, który zdał się namyślać.

Napięcie zelżało, gdy rzekł:

— Wierę! Ktoś jest i jako cię zowią?

— Setnik naroczników, Czeliś.

— Właść obejmiesz na grodzie. W całym ujeździe wyrok królewski ogłosisz, by się nikt nieświadomością sprawić nie mógł, a każn Włóscibora niechaj przestrogą będzie, że nie masz miłosierdzia dla zdrajców.

Gdy Bolko przybył do Włodawy, tamtejszego żupana nie zastał. Zbiegł, zabrawszy rodzinę i co mógł z mienia. Wieść o srogiej kaźni Włóscibora i oślepieniu jego syna już go dojść musiała, czy do spisku należał nie było pewne, ale lękał się widocznie, że jako krewniakowi straconego, Bolko nie da mu wiary. W grodku zamęt panował, a gdy królewicz nadciągnął z jazdą, powstał niemal popłoch. Nikt nie znał przyczyny ucieczki żupana i nie rozumiał, co się dzieje. Bolko jednak ogłosił tylko banicję Bezpryma i Ottona, na głowy ich wyznaczył nagrodę i ustanowiwszy nowego grododzierżcę, wysłał Głównię z jazdą do dalszych pogranicznych grodów w Uhrsku, Czerwieni, Bęzie i Olesku z poleceniem ogłoszenia swych rozkazów i wzmocnienia obronności, sam zaś z przyboczną drużyną ruszył z powrotem, by przed Godami stanąć w Poznaniu. Zima tymczasem nadeszła, wczesna, lecz lekka i mało śnieżna, tyle że pobieliała świat i ścięła błoto na drogach. Podróż z niewielkim orszakiem nie była uciążliwa i Bolko na parę dni przed świętami stanął w Poznaniu.

Zjazd już się rozpoczął i król również wrócił z Legnicy. Na pozór zdał się wypoczęty, mimo to jednak po otwarciu zjazdu uroczystym nabożeństwem w tumie św. Piotra prowadzenie obrad i załatwianie bieżących spraw zlecił palatynowi i siedział samotnie na grodzie, a tylko wieczorami z kilku najbliższymi omawiał je.

Jednego dnia zjawił się dawny dworzanin królowej, Embricho, i doniósł Michałowi, że był u niego posłaniec Rychczy z poleceniem, by rozpatrzył się wśród wielmożów i rycerstwa na czyje poparcie liczyć może Otto i starał się ich pozyskać przyrzeczeniami. Cesarz bowiem obiecał ustanowić go jej namiestnikiem, póki Kazimierz nie dojdzie do lat sprawnych i nie uzyska dyspensy papieskiej.

Mimo że wiadomość nie była niespodziana, Mieszko zachmurzył się i rzekł:

— Komuż tu zaufać można, gdy każdy jeno swego patrzy.

— Nie każdy — zaprzeczył palatyn — ale dowiemy się kto, bo kazałem Embrichowi by polecenie królowej wykonał, jeno nie jej, ale mnie doniósł, kogo zdołał pozyskać. Pewnikiem najdą się i tacy, co trzymać gotowi z tym, kto na wierzchu, za przyrzeczenia na wodzie pisane. Ale głupcom starczy okazać, że nam nie strach cesarza. Szczerych zaś poplec-

ników Otto może mieć takich jak sam, opojów i porobów, a i tych sporą garść Skarbek wyciął.

— Ale jest jeszcze Bezprym — powiedział Mieszko. — Do Jarosława zbiegł.

Michał wiedział, co król ma na myśli: Bezprym, jako pierworodny, łatwiej mógł znaleźć uznanie w kraju. Michał nie chciał jednak przygnębionemu królowi wypomnieć, iż sam zawinił niepewność położenia, rzekł tylko:

— Królewic Bolko na dniach winien powrócić, będą przez niego wieści. A czekam ich też od Skarbka, jeno uwiadomić miał Stefana, że my na Sasów uderzym i zmówić się z nim, by najechał Marchię albo i Bawarię. Nierychło się z tego Konrad wyliże.

Bolko istotnie nadciągnął wieczorem następnego dnia i jak z konia zsiadł, szedł przywitać się z ojcem. Zastał go przy wieczerzy pospołu z Michałem i Dobromirem. Król ożywił się wyraźnie, kazał służbie podać mu posiłek, a gdy ta wyszła, powiedział:

— Możesz się pożywiać i gadać. Coś działał?

— Włóścibora ćwiartować niechałem. Nie jeno zdrajcom pomocy udzielił, ale na mnie rękę podniósł.

Zaśmiał się i ciągnął:

— Po prawdzie sam mu nóż podsunąłem, jako kunie jajko do paści, bo się sądu domagał, tedy wolałem go na licu ująć. Dwaj żrali synowie zbiegli, ani chybi społem z Ottonem i Bezprymem, tedy jeno ich małżonki w niewolę zaprzedałem.

Król zmarszczył się. Kościół zabraniał sprzedaży chrześcijan w niewolę niewiernym, a Bolko się z tym nie liczy. Co gorsze dodał drwiąco:

— Cniłoby im się bez małżonków, a tak będą miały uciechę, choć zrazu ryczały, jakby je kto zarzynał. Urodne były i młode, nie takim wdowi żywot. Najmłodszego zasię ująłem i oślepić kazałem.

— Nieletniego!? — powiedział Mieszko z przyganą. Drażniła go i niepokoila skłonność Bolka do okrucieństwa. Bolko jednak zachnął się:

— Zali czekać miałem, aż żrały będzie? Żebyście wy zdrajcom oczy odjęli, nie byłoby knowań ni spisków. Za ich głowy po trzydzieście grzywien srebra nagrodą wyznaczyć musiałem, a darmo mogliśmy je mieć.

Po chwili kłopotliwego milczenia Mieszko powiedział:

— Pewnikiem zdrożony jeś. Idź spocząć, rano przyjdź po rozkazy.

— Koń jest zdrożony nie ja — odparł Bolko z uśmiechem,

skłonił się i wyszedł. Palatyn i komes również wstali i wyszli widząc, że król siedzi zadumany i nie wraca do rozmowy. Widocznie myśleli o tym samym, bo Michał po chwili odezwał się:

— Nie wiem, co gorsze: Mieszko ze wszystkimi się liczy, Bolko z niczym i z nikim, nawet z rodzicem i królem.

— Ja takż nie wiem, ale strach pomyśleć, gdy iście nikogo już nie będzie miał nad sobą. A cości z królem nie tak, jak powinno. Bywa, zamyśli się i nie słyszy, co gadać do niego. Może go chorość jakowaś draży i tak już szepcą. Nie rzekę, by jak rodzic jego każdego dnia z gromadą biesiadował, bo i czas niespokojny, i zasoby na zbrojenia a zaciąg potrzebne. Ale zjazd po to, by się między ludźmi obrócił i na to czekają.

— Nie zda mi się, by słabował — powiedział Michał w zamyśleniu — jeno przez one knowania ufność do ludzi stracił i zdrady się wszędy dopatruje.

— Może i to — odparł Dobromir — ale zawżdy jakowyś obcy był. To przez one księgi. Skoro go rodzic do nich zaprawiać niechał, radziej jego na mnicha oddać przystało niżli Bezpryma, bo miętki jest i nabożny.

— Nie nam było o tym stanowić — uciął Michał — a ninie modlić się jeno, by się ostał. Wojownikiem jest biegłym, na wyprawie jakoby inny człek, przystępny i odmłodzony. Bezprym zasię od małości nienawiścią jeno żywię, cherlawy na ciele, a chory na duszy. Gdyby właść posięgnął, to jeno pomsty szukał będzie za własną niedolę. Jeśli zasię Belkowych rządów bym się bojał, to jeno przeto, że samowolny i okrutny. Ale druha od wroga odróżnić wydoli ani mu się nie pokłoni, choćby miał gardło dać, bo i to ma za nic.

Mieszko istotnie ożywił się, gdy przygotowania do wyprawy dobiegły końca. Teraz już tylko z wyruszeniem czekał na wieści, od nich bowiem zależało, jakich sił może użyć i z jakim oporem musi się liczyć. Pierwszą przysłał Skarbek: węgierski Stefan ciągnie już w górę Dunaju w głąb Wschodniej Marchii, paląc i niszcząc, poważniejszego oporu nie napotyka. Zimową porą, gdy pasze dla koni trzeba prowadzić z sobą, nikt się widocznie nie spodziewał najazdu. Na to również liczył Mieszko. Od Głowni też nadeszła pomyślna: zawiedzeni przez Świętosława Pieczyngowie na własną rękę niepokoją Jarosława, ze strony Rusi na razie nic nie grozi.

Najważniejszą jednak przyniósł znowu Embricho. Cesarz święta spędził w Goslarze, gdzie do niego zjechała Rycheza z Ottonem. Sprawy ich poparcia widocznie nie uważał za pilną, stamtąd bowiem udał się do Lotaryngii, by załagodzić

stosunki z księciem Fryderykiem i zapewnić sobie spokój na zachodniej granicy, nim mu na wschodzie działać przyjdzie. Zanim wieść o najeździe dojdzie do niego, Mieszko już będzie z powrotem.

Okoliczności układały się korzystnie, zajęty już tylko wyprawą odszedł myślą od codziennych trosk, ale pogodny nastrój zmącił mu kruszwicki biskup Lucillus. W przeddzień wyjazdu króla zjechał do Poznania i przysłał swego kapelana z prośbą o posłuchanie w pilnej i ważnej sprawie. Choć pora była najmniej odpowiednia do zajmowania się kościelnymi sprawami, król nie chciał odmową urazić biskupa, polecił jednak, by stawił się bezzwłocznie, ponieważ nazajutrz o świcie wyjeżdża. Nie potrafił jednak ukryć zniecierpliwienia i powitawszy biskupa powiedział:

— Wierę, że sprawa ważna jest, skoro wasza wielebność własną osobą trzodzi się z Kruszwicy. Zechciejcie jednak krótko ją przedstawić, bo czas mi spocząć przed drogą.

— Mnie zasię z drogi — cokolwiek dotknięty odparł Lucillus — tedy iście krótko powiem: kapłani, których na Pomorze wysłałem, uchodzić byli zmuszeni przed wzburzonym pogaństwem, nijakiej bowiem pomocy ni ochrony od tamtejszych komesów nie doznając, żywota nie byli pewni. Kto słowa Bożego słuchać nie chce, siłą go przymusić należy.

— Woje także z narażeniem żywota pełnią swą powinność — odparł niecierpliwie Mieszko. — Ale łupy i nagrody po zwycięstwie. A nie ich sprawa pogan na prawdziwą wiarę nawracać, jeno wasza. Takowych to apostołów z mieczem dzieło, że poganin nawet prawdziwych słuchać nie chce i przeto święty Wojciech głowę swą położył.

— A męczeńskiej jego krwi nie jeno nikto nie pomścił, ale wojewoda wasz, Mojsław, z mordercami jego się przyjaźni, przez co po dziś dzień i na Mazowszu pleni się pogaństwo, zachętę do trwania w błędach w tym najdując — rzekł biskup, hamując wzburzenie.

— Ale też na Mazowszu kapłanom nikto w głoszeniu słowa Bożego przeszkód nie czyni i od zaczątku tak było.

— Obowiązkiem jest krześcijańskiego władcy prawdziwą wiarę krzewić każdym sposobem — rzekł Lucillus wstając.

— Nie ten jeno obowiązek ciąży na władcy — odparł Mieszko. — Daj Bóg, nie jeno mnie, ale i wam, by mi obu ramion starczyło spokój, ład i bezpieczeństwo krajowi zapewnić. Wasza wielebność jako obcy widno nie rozumie, że to jeno moje ramię chroni Kościół, jeno słabo jeszcze stoi, przed zburzeniem. A śmiem rzec — dodał gorzko — że niemało się do jego umocnienia przyczyniło.

Rozdrażniony był i oschle pożegnał biskupa. Miast uznania spotykają go zarzuty. Utrwalenie nowej wiary wymaga długiej i cierpliwej pracy w spokoju. A spokoju nie ma i nie będzie. Nawet Chrobry zajęty walką z cesarstwem nie usiłował odbudować zburzonego przed dwudziestu laty z górą Kościoła na Pomorzu, skoro wygnanego przez pogan kołobrzesckiego biskupa Reinberna wysłał ze Świętopełkiem na Ruś.

Gdy Lucillus wyszedł, Mieszko ułożył się na spoczynek, ale nie mógł zasnąć. Po dłuższej chwili wstał i dorzuciwszy dREW na palenisko usiadł przed kominem i zapatrzył się w ogień. Nie w porę biskup przypomniał mu sprawę Pomorza i teraz nie mógł myśli od niej oderwać. Oddzielone od reszty kraju puszcza i bagnami Noteci, najpóźniej wcielone w państwo ojca i dziada, nadal żyje własnym życiem, władzę Piastów dotychczas uważa za obcą. Tę naprzód umocnić należy, zanim do odbudowy Kościoła będzie można przystąpić. Ale to dzieło przyszłych pokoleń, gdy nawet w starym kraju zagrożona jest przez zdradzieckich braci. Gdyby im się powiodło władze uchwycić, przefrymarczą obcym dorobek ojców i dziadów.

Przyszłe pokolenie! Kazimierz w klasztorze, a Bolko? Nie chciał syna zmuszać do małżeństwa, jak sam zmuszony został wbrew sercu pojąć Rychezę. Zezwoliłby mu pojąć małżonkę wedle własnego wyboru, choćby z prostego ludu. Czeski Oidrzych, gdy z prawowitej małżonki nie mógł doczekać potomka, zabrał żonę chłopu Krzesinie i spłodził z nią Brzetysława. Belkowa macierz też nie książęcego rodu, a wdały jest i tęższy od Kazimierza. Jeno niekarny i rozwiązły, teraz odszedł już z pieszymi wojskami, lepiej by nadmiar swych sił wyładował w walce, do której się nadał, niż trwonił je na pijaństwie i rozpuście.

Późny zimowy przedświt barwił już błony w oknach, gdy Mieszko wreszcie usnął. Ze snu wyrwał go gwar na dziedzińcu. Nie był wypoczęty, ale przywołał szatnego i zbierał się pospiesznie. Dni są krótkie, droga daleka, od szybkości pochodu zależy zaskoczenie, by wieść o nim nie wyprzedziła najazdu.

W mroźnym powietrzu pogodnego poranka orzeźwiało, a gdy konia poczuł pod sobą, pierzchnęły nocne myśli. Puścił się cwałem i dognawszy idący w przedzie hufiec nadworny, jechał strzemię w strzemię z palatynem Michałem. Mimo woli obydwaj wracali wspomnieniem do przeszłości, do wypraw, które już mieli za sobą. Było o czym wspominać, towarzyszy młodości, których już nie ma, zwycięstwa

i niepowodzenia, bezskuteczne obleganie Hermana w Miśni, odwrót spod Białej Góry, ale też pustoszące najazdy na Czechy i Sasów. Teraz znowu razem ciągną niemal tą samą drogą, co przed blisko dwudziestu latami, jeno młodość już minęła. Michał ożywiony był, ale Mieszko posmutniał i rzekł:

— Aże uwierzyć trudno, że to tak dawno było. Bolko w onczas jeszcze światła Bożego nie ujrzał, a ninie już i on wojuje. Tak od pokoleń, zali nigdy pokoju nie będzie?

Michał zaśmiał się:

— Gdy wilcy trawę jeść poczną. Pono w rajy tak było. Może Niemce wilcy, jeno my nie trawa, nie zjedzą nas, poko żelazo w garzci, a męstwo w serdciu.

— Jeno gdy my wojujem, prosty naród cierzpi. Za to rodzica mojego miłował, że mu pokój, dostatek i prawotę zapewnił.

— A czym, jeśli nie mieczem? Pokój jest nagrodą zwycięstwa, dostatek z łupów i danin, a i prawo za nic bez siły.

Mieszko powiedział markotnie:

— Bez siły! Rodzic mi swej nie ostawił, jeno wrogów dookoła, a zdrajców doma.

Michał zachnął się niecierpliwie:

— A cóże jemu rodzic ostawił? Kraj podzielony z przyrodnymi i stryjecznych, którzy na zdradzie mu stali. Bo siły się nie dziedziczy...

Urwał, widząc że dotknął króla i podjął po chwili:

— Żle jest lubo dobrze, rąk opuszczać nie Iza ni głowy pochylić. Komu wrogów brak? Nam, Awdańcom, zawidzą, iżeśmy nad innych wyrośli, a nie baczą, że z Audunowego dziedzictwa, za które krwią i żywotem zapłacił, synom jego czasu walki z Odą jeno dworzec na Sródce ostał. Ale się nie pokłonili wydziercom i społem z waszym rodzicem odebrali swoje. Bo dziad im przekazał zlecenie, by jeno ległych wrogów liczyć.

— Ja liczę druhów, takowych jak wy — powiedział Mieszko. — Paliców u rąk starczy. Nie tego wroga się lękam, któren przede mną.

Myśl jednak króla jak i palatyna wróciła do bliższych spraw, gdy na drodze ukazał się jeździec. Wojewoda Skarbek donosił, że na morawskiej granicy panuje spokój, ściągnął przeto siły i w Budziszynie czeka na dalsze rozkazy. W tym samym czasie w Goslarze Otto czekał na powrót cesarza Konrada, który wraz z małżonką swą Gizelą wyjechał do Lotaryngii, spodziewając się za pośrednictwem niewiast pojednania ze swojakiem. Żona bowiem Fryderyka Lotaryńskiego była siostrą Gizeli i obydwie niewiasty na-

kłaniały małżonków do zgody.

Powrót jednak cesarza odwlekał się i Otto tracił już cierpliwość. Wygodny i swobodny pobyt w kraju zamienił na obczyznę, pozbawiony środków, zależny był od Ryczezy, która sama oschła i zimna, nie zamierzała ich dostarczyć byłemu dziewierzowi na taki żywot, jaki zwykł prowadzić w Polsce. Zresztą słabo znał język niemiecki, a jego nieliczni towarzysze, między nimi syn Włościbora, Gosław, nie znali go wcale. Toteż zdani wyłącznie na siebie, siedzieli niemal stale w ogromnym pałacu cesarskim, gdzie Ryczeza wraz z córkami i dworem znalazła gościnę i wkrótce swarzyć się zaczęli. Zwłaszcza Gosław, niespokojny o swą rodzinę, jał czynić Ottonowi wyrzuty, że przyrzeczone mu dostojęstwa palcem na wodzie są pisane, a co gorsze obawiał się tego i Otto. Nie miał bynajmniej zamiaru dzielić władzy z Bezprymem, a tym mniej podlegać mu. Wprawdzie poparcia Ryczezy był pewny, królowa bowiem, choćby ze względu na kler, nie życzyłaby sobie objęcia władzy przez pozostającego pod klątwą zbiegłego mnicha. Ale nie będzie o to dbał kijowski Jarosław i w zamian za zrzeczenie się Grodów Czerwieńskich może wcześniej osadzić Bezpryma na polskim tronie, a Otto nie wątpił, że Bezprym również nie będzie chciał dzielić władzy z przyrodnim bratem. Łatwo też było przewidzieć, że Mieszko nie mając dość sił, by bronić się na obydwu granicach, bronić będzie przede wszystkim zachodniej.

To przewidywanie miało się wkrótce potwierdzić. Przyjazd cesarza zapowiedziano wreszcie na wielkanocne święta, ale wcześniej przysłała wiadomość o niszczącym najeździe na Sasów, których kraj nad Sałą zamienił się w pustynię. Ponad sto wsi, osad i grodków poszło z dymem, kto nie zdążył zbiec, szedł pod miecz lub w pęta, na zgliszczach nie zostało nic żywego.

Wieść przywiózł graf Dietrich z Moritzburga, który sam tylko próbował stawić bezskuteczny opór najazdowi i bezsilnie przypatrywać się musiał, jak napastnik, nie zaczepiany już przez nikogo, popędził do Polski stada zdobycznego bydła i koni oraz przeszło dziewięćtysięczną gromadę jeńców, a między nimi biskupa braniborskiego Liuza, który przestrzeżony przez grafa ciągnął, by się z nim połączyć i wpadł w zasadzkę.

Wiadomość wywołała wzburzenie, Otto natomiast z trudem ukrywał radość. Cesarz nie może pozostawić napaści bez odpłaty, a nauczony zeszłorocznym niepowodzeniem zebrać musi znaczniejsze siły, by wreszcie rozprawić się z roz-

zuchwalonym przeciwnikiem.

Radość Ottona zmąciła wieść następna: węgierski Stefan najechał i spustoszył Wschodnią Marchię i znaczną część Bawarii. Nie było wątpliwości, że działał w porozumieniu z Mieszkiem, cesarzowi nie starczy sił, by rozprawić się jednocześnie z obydwojma przeciwnikami. Otto niecierpliwie oczekiwał jego powrotu, żywiąc jeszcze nadzieję, że Rycheza nakłoni go, by naprzód rozprawił się z Mieszkiem, a poprze ją magdeburski Hunfried, który upominać się będzie o uwolnienie pojmanego Liuza. Zamiast Konrada przybył do Goslaru wysłany przez niego graf Waldo z wiadomościem, że cesarz udał się do Salzburga i stamtąd gotuje wyprawę na Węgry wzywając czeskiego lennika, by wspólnie z nim uderzył. Gdy Rycheza nie ukrywała swego niezadowolenia z doznanego zawodu, Waldo rzekł:

— Zechciejcie zrozumieć, miłościwa pani, że cesarz nie może po raz wtóry narazić się na niepowodzenie. Jak wiecie, ubiegłego roku były małżonek wasz sam zdołał stawić skuteczny opór, ninie, jak widać, znalazł w węgierskim królu sojusznika. Tego przódzi poskromić należy, a z kijowskim Jarosławem zmówić się, by w jednym czasie z nami ze wschodu uderzył.

Dla Rychemy zmiana planów cesarza oznaczała odroczenie spełnienia jej własnych. Dla Ottona tylko dalszy nudny pobyt w Goslarze, a co gorsze, obawę, że w objęciu władzy ubiegnie go Bezprym. Jedynym owocem trudów i niebezpieczeństw na jakie się naraził, miała być zamiana Mieszka na Bezpryma. Cnotliwe życie, jakie tu zmuszony był prowadzić, dojadło mu już, w Polsce był bratem królewskim, żył jak chciał, tu jednym z dworaków Rychemy. Gdyby nie przekonanie, że Mieszko pozbawiony sojusznika a napadnięty z dwóch stron nie zdoła się utrzymać przy władzy, byłby zbiegł do Polski. Mieszko wyrozumiały jest i łagodny, wybaczyłby bratu przemieszczenie, ale nigdy nie wybaczyłaby mu Rycheza i Konrad.

Nie uprzyjemniał Ottonowi i tak niemiłego pobytu Gosław. Niepewność losu rodziny i tęsknota za młodą małżonką wyczerpały już jego cierpliwość. Rozdrażniony był i opryskliwy, a gdy dowiedział się, że powrót do Polski odwleka się w nieznaną przyszłość, zasypał Ottona wyrzutami. Pycha Ottona dość już była obolała na skutek lekceważenia, jakie okazywali mu niemieccy dostojnicy, nie zniesie go od człowieka, który od niego jest zależny:

— Milcz! — wrzasnął. — Anim cię prosił, ani nie trzymam. Niepotrzebna ci moja łaska, wracaj, skądś przyszedł,

bo mnie nic po tobie.

Zdało się, że doprowadzony do rozpaczyny Gosław rzuci się na Ottona, ale bryznął tylko gorzką drwiną:

— Łaska! Sami o nią zebrać musicie, o nowe ciżmy prosić. Takowym ja będę palatynem, jak wy książęciem. A ninie z waszej łaski wywołańcem ostałem bez domu i mienia. Bodaj was...

Ottonowi krew uderzyła do twarzy, ale rzekł wyniośle:

— Jako rzekłem, możesz odejść, kędy chcesz. A nie, to trzymaj gębę, bo z mojej łaski masz co do niej włożyć.

— Iście wielka, to łaska, iż się dzielicie wyżebranym chlebem. Może wam smakuje, mnie nie.

— Nie smakuje ci, to nie żrej, a teraz precz.

Gosław wyszedł i Otto więcej go nie ujrzał. Jeśli nie znając kraju ni języka zdoła wrócić do Polski, miast stronnikiem będzie wrogiem. Gdy gniew Ottona przeszedł, pozostało przygnębienie i upokorzenie oraz złość na samego siebie. On wrócić może tylko z Ryczezą, a zależności od niej nie pozbędzie się nigdy.

Jednak i na to czekać musiał w nudzie bezczynności. Nawykły do swobody i ruchu, tutaj niemal nie opuszczał pałacu, nawet po to by udać się na nabożeństwo, na które zaczął uczęszczać, by się przypomnieć Ryczezie, przejście do kaplicy bowiem wiodło kruzgankiem. Pilnie przy tym nastawiał uszu, by dowiedzieć się, czy w położeniu zaszła jakaś zmiana. Ale skończyła się zima, przeminęła wiosna i nadal nie było słuchu nawet o zamierzonej przez Konrada wyprawie na Węgry.

I ta bowiem odwlekała się. Cesarz zimę spędził w Salzburgu, stamtąd rozsyłając wezwania do lenników, by na Wielkanoc stawili się w Wiedniu, dokąd i sam wyruszył z pierwszą wiosną. Zbór wojsk już się rozpoczął, pora sprzyjała pochodowi, cesarz jednak z wyruszeniem czekał na wiadomość o gotowości czeskiego Oidrzycha, którego wezwał, by jednocześnie uderzył lewym brzegiem Dunaju.

Niecierpliwił się, zwłoka bowiem pozwalała Stefanowi na ściąganie sił. Wreszcie przybył poseł czeskiego księcia, zamiast jednak zawiadomienia o gotowości przywiózł oświadczenie Oidrzycha, że wyruszyć nie może, obawia się bowiem, iż stronicy uwięzionego w zameczku Łysyżn brata jego gotowi wykorzystają sposobność, by uwolnić Jaromira i osadzić na tronie.

Konrad wiedział, że jest to tylko pozór, by odmówić lennego posłuszeństwa i wzorem Polski zrzucić cesarskie zwierzchnictwo. Na rękę Oidrzychowi, by cesarz sam tracił

siły, zwalczając zarazem jego wroga, jakim był węgierski Stefan.

Wrzenie w Czechach i walki o tron między synami Bolesława Pobożnego zaczęły się zaraz po jego śmierci. Gdy pojmany i oślepiiony przez Chrobrego Bolesław Rudy dokonał życia w polskim lochu i na tron wstąpił Jaromir, jego z kolei już przed osiemnastu laty pojmał i uwięził Oidrzych, który zasiadłszy na kamiennym praskim tronie, panowanie zaczął od tępienia rzeczywistych czy domniemanych stronników brata. Gdy bez sądu zamordować kazał Bożeja Wrzowca wraz z rodziną, w potężnym a skłonnym do buntu rodzie zyskał sobie wroga, ale nie przeszkodziło mu to przed paru laty wysłać syna Brzetysława, by odebrał Stefanowi ustąpione bez walki przez Mieszka Morawy.

Wojowniczy i bitny Brzetysław dość miał zależności od zgryźliwego i podejrzliwego ojca i ponad jego głowę starał się utrzymywać z cesarzem dobre stosunki. Odkładając przeto ukaranie opornego lennika do sposobniejszej pory Konrad wysłał do bawiącego w Ołomuńcu Brzetysława wezwanie do wzięcia udziału w wyprawie, tym samym uznając go za samodzielnego księcia Moraw i przyrzekając uznanie dalszych zdobyczy. Brzetysławowi uśmiechała się niezależność i nadzieja poszerzenia swego państwa i chętnie stanął na wezwanie nie pytając ojca. Niemniej wszystko to spowodowało zwłokę, która pozwoliła Stefanowi ściągnąć siły ze wschodu i południa i gdy w pełni lata wyprawa wreszcie ruszyła, gotowy był do odparcia najazdu.

Wodzem był biegłym i doświadczonym, wiedział, że pochód w letnim skwarze wyczerpuje ludzi i konie, łatwe zwycięstwa w potyczkach bez znaczenia powodują lekceważenie nieprzyjaciela, a uganiecie za łupem i obciążenie nim rozluźnia karność. Zdołał już zebrać wiadomości o siłach oraz kierunku uderzenia i drobne oddziały lekkiej jazdy wysłał pod Trenczyn i Bratysławę z zadaniem hamowania nieprzyjacielskiego pochodu, znaczniejsze siły pchnął do ujścia Rabu, koło grodu tejże nazwy, główne zaś trzymał pod Ostrzychomiem, wiedząc że Konrad tam ma się połączyć z Brzetysławem i wspólnie już przystąpić do oblężenia Wyszehradu i Budy.

Przewidywania Stefana spełniły się ponad spodziewanie. Zapalczywy i niedoświadczony Brzetysław, złudzony słabym oporem, parł przed siebie, pozostawiając na tyłach niezdobyte grody w Trenczynie i Nitrze, przekonany, że po zwycięskim zakończeniu wojny poddadzą się bez walki, a obleganie ich mogło opóźnić połączenie się z Konradem.

Nie czekał nawet na zebranie swych wojsk, rozproszonych za łupem, lecz dotarłszy pod Ostrzychom, gotować się jął do przeprawy.

Przygotowania szły opornie, Stefan bowiem zawczasu ściągnął wszystkie statki i łodzie w dół Dunaju, a w bezleśnej okolicy drzewo na tratwy trzeba było sprowadzać z daleka. Brzetysław niecierpliwił się i gdy tylko zbito pierwsze, sam przeprowił się przez Dunaj, lada dzień oczekując nadejścia cesarza. Znaczniejszą część swych wojsk miał już na prawym brzegu rzeki i nazajutrz zamierzał rozpocząć przeprawę sprzętu oblężniczego i taborów, gdy o szarym przedświcie hałas na przeciwległym brzegu postawił obóz na nogi. Gdy rozjaśniło się na tyle, że można było dostrzec, co się dzieje, Brzetysław ujrzał, jak pośród powywracanych namiotów i wozów kłębiły się gromady ludzi, a tratwy załadowane już sprzętem spływały w dół rzeki. Zrozumiał, że znaczną część swych wojsk uważać może za straconą, to co z niej ocaleje nie weźmie już udziału w dalszych działaniach, a co gorsze gdyby sam stawić musiał czoło nieprzyjacielowi, w razie porażki odcięty miał odwrót za rzekę. Nie czekając na to, natychmiast ruszył na zachód, by jak najprędzej połączyć się z Niemcami, teraz już każdej chwili spodziewając się nadejścia cesarza.

Ta nadzieja nie spełniła się, natomiast już w parę godzin po wyruszeniu dopadł go pościg lekkiej jazdy węgierskiej i wśród ustawicznych potyczek Brzetysław dotarł trzeciego dnia do ujścia Rabu. Tu zrozumiał przyczynę zwłoki w nadejściu Konrada: wrzała bitwa, część wojsk cesarskich, które zdołały przeprowić się na prawy brzeg rzeki, zmagająca się z przeważającymi siłami węgierskimi, broniąc już tylko przyczółka koło brodu, uderzenie bowiem z obydwu skrzydeł groziło odcięciem odwrotu.

Niespodziewane nadejście Brzetysława sprawiło, że przyczółek utrzymano, a nadchodząca noc przerwała walkę, Brzetysław wiedział jednak, że w ślad za nim nadciągają dalsze siły węgierskie.

Zawiadomiony o tym cesarz zamyślił się. Sam również stracił sporą część swych wojsk, a jasne było, że z główną siłą nieprzyjaciela dopiero przyjdzie się zmagać. Zwycięstwo było wątpliwe, natomiast pewne dalsze straty.

Koło północy ruch i gwar w obozie węgierskim zdradziły nadejście posiłków, a liczne ogniska, przy których widocznie zdrożone wojska gotowały strawę, wskazywały na znaczną ich siłę. Obudzony ze snu Konrad przestał się wahać i natychmiast przesłał rozkaz, by znajdujące się na prawym

brzegu wojska wycofały się za rzekę.

Nazajutrz na obydwu jej brzegach panował spokój, obydwaj władcy mieli na myśli układy. Celem węgierskiego króla było odparcie najazdu, po pierwszym niepowodzeniu przeciwnik skłonniejszy będzie do zawarcia pokoju, nie żądając zwrotu łupów zdobytych w Marchii i Bawarii, cesarz zaś chciał tylko zapewnić sobie spokój ze strony Węgier, by mieć wolną rękę przeciw Mieszkowi. Sprzymierzony z nim przeciw Polsce Kanut powrócił już z Norwegii, zawiadomiony o zamierzeniach cesarza kijowski Jarosław skwapliwie skorzysta ze sposobności, by bez większych ofiar zająć Grody Czerwieńskie.

Stefanowi jednak nie spieszyło się, wojska jego wypoczywały po szybkim nocnym pochodzie, Konrada natomiast czas naglił, każdy dzień był drogi, jeśli chce przed nadejściem jesieni uderzyć na Polskę. Nie chcąc zdradzić swej słabości wysłał do Stefana posła z wezwaniem, by stawił się na rozmowę.

Węgierski władca znał jednak swoją przewagę i rozmyślnie chciał ją dać odczuć cesarzowi.. Oświadczył posłowi, że jest na swojej ziemi i na niczyje wezwanie stawać nie ma obowiązku. Ponieważ jednak i jemu zależało na zakończeniu wojny, osłodził odmowę dodając, że jeśli cesarz zechce się do niego potrudzić, będzie przyjęty nie jak najeźdźca, lecz z wszelką czcią jako dostojny gość.

Takiego zaproszenia cesarz nie mógł przyjąć, nie osłabiając swego stanowiska w układach, a zarazem podkreślić chciał nadrzędność swej godności. Zawiadomił Stefana, że z gościny chętnie skorzysta sposobną porą, gdy zostanie już zawarty wieczysty pokój, jaki chrześcijańskim władcom przystoi zachować. Teraz jednak chodzi o ustalenie jego warunków i w tym celu wysłał swego syna Henryka, z którym Stefan może się układać jak z równym, ponieważ został już wybrany niemieckim królem. Chciałby też, by syn jego zaznajomił się z następcą węgierskiego tronu Emerykiem, o którego zaletach wiele słyszał, tym bardziej że jako siostrzeniec jego poprzednika * jest dalekim krewniakiem. Żywi też nadzieję, że zawarta między młodzieńcami znajomość zamieni się w przyjaźń, z korzyścią dla obydwu narodów i całego chrześcijaństwa.

Otrzymawszy odpowiedź Stefana, że przyjmie cesarskiego syna w sposób odpowiadający jego godności, cesarz wezwał Henryka i rzekł;

— Pojedziesz w posły do węgierskiego króla, wraz z tobą ratyzboński Gebehard. Od niego ucz się, jak prowadzić ukła-

dy nie jeno wtedy, gdy jesteś górą. Twoja rzecz zjednać sobie Stefana. Synowi jego, którego bardzo miłuje, powiesz gościńce w szatach i broni; Wiedz o tym, że najłacniej jednać rodzicielei potomstwu schlebiając, a by najzasobniejszego — darami. Byś takż wiedział w czym rzecz: pilnie mi potrzebny pokój ze Stefanem, by móc całą siłę przeciw polańskiemu Mieszkowi obrócić, gdy wreszcie sposobność jest ukrócić zuchwalstwo tego hardego plemienia, z którym po prawdzie pokoju nigdy nie było, chyba wtedy, gdy im był potrzebny. Zmówiony z nami Kanut uderzyć ma z północy, Jarosław ze wschodu, wydażyć musimy w jednym czasie z nimi, bo każdemu z osobna Mieszko dostoi, a i przewidzieć nietrudno, za jak rodzic jego i dziad przeciw nam większość swych sił obróci. Tedy szkoda mi każdego dnia, każdego człeka czy konia na dalszą wojnę ze Stefanem. Rychezie przyrzekłem Polskę oddać w lenno jej synowi, jeśli zrzecze się królewskiej godności i odda królewskie insygnia, a do czasu namiestnikiem uczynię Ottona, bo rzekomo ma on w Polsce popleczników i łacniej przez niego rządzić jej przyjdzie. — Uśmiechnął się z lekceważącą pobłażliwością i dodał:— Zastrzegła sobie jeno, by jej nadal wolno było zwać się królową. To nam nie szkodzi, schlebianie pysze to jeszcze tańsze niżli dary. Tedy jedź i wracaj skoro.

* syn Gizeli, siostry Henryka II

Dowiedziawszy się o zamierzonych układach Brzetysław oświadczył, że chce wziąć w nich udział, Konrad jednak lękając się, by ich nie utrudnił stawiając swoje warunki, rzekł:

— Zleciłem Gebehardowi układać się i w twoim imieniu, skoro społem działaliśmy. Lepiej by Stefan wiedział, że bez pokoju z tobą nie będzie go miał ze mną. Łacno zasię mógłby przypomnieć, żeś sporą część kraju zagarnął, który Mieszko jemu ustąpił. Niechaj ci ninie starczy, że Stefan uzna twoje zdobycze, a gdy rozprawię się z Mieszkiem, zwolę ci zająć Śląsko. Tedy bądź cierpliwy i zaufaj mi, że dbam o wiernych lenników.

Gdy Stefana zawiadomiono o zbliżaniu się cesarskiego poselstwa, wyszedł z namiotu w orszaku dostojników, z synem przy boku a krucyferym na przedzie, jako legatowi papieskiemu na Węgry służyło mu bowiem na równi z metropolitą prawo do tego wyróżnienia. Lat liczył już sześćdziesiąt z górą, ale prócz gęsto przeświecającej siwizny w kruczoczarnym zaroście, nic nie zdradzało starości. Młodzięcym ruchem dosiadł podanego mu białego konia i bystrym spojrzaniem ciemnych, z lekka skośnych oczu w sma-

głej twarzy spoglądał na zbliżający się orszak poselski. Na widok czekającego króla Henryk wraz z towarzyszącym mu biskupem Gebehardem zsiadli z koni i szli pieszo, a za nimi pachołek niósł przeznaczone dla Emeryka dary. Na kilkanaście kroków od króla zatrzymali się jakby na coś czekając. Stefan zrozumiał, że Henryk chce, by go powitał jak równego sobie, zsiadł z konia i skinąwszy na syna, by mu towarzyszył, ruszył naprzeciw. Zatrzymał się przed Henrykiem twarzą w twarz i położywszy mu dłonie na ramionach, pierwszy zaczął:

— Rad cię witam na mojej ziemi, gdy bez miecza przychodzisz. Dla obu stron z korzyścią będzie słowem, a nie mieczem sprawiedliwy pokój ustanowić.

Henryk skłonił się, zamierzając odpowiedzieć, ale uprzedził go Gebehard mówiąc:

— Cesarz jako pan chrześcijaństwa szczególnie obowiązany jest troszczyć się o pokój między narodami, których wspólną matką jest Kościół Boży. Jeżeli jednak z mieczem tu przyszedł, to jeno przeto, że przede wszystkim swemu narodowi dłużny jest spokój i ochronę zapewnić.

Król zrozumiał, że Gebehard mówić zamierza o jego najeździe na Marchię i Bawarię, ale mając przewagę nie był skłonny zwracać łupów ni płacić za wyrządzone szkody. By uprzedzić żądanie przerwał:

— Jednakowoż rzeczą władców, którzy los swych narodów dierzą w rękę, nie o tym myśleć, co było, bo różnie bywało, lecz o przyszłości, przyszłość zaś do młodych należy. Ja dożywam już swoich lat, moją troską temu oto niemu synowi i następcy rządu ostawić w uładowym i spokojnym królestwie, mniemam tedy, że łącznie do zgody dojdziemy. I waszemu panu Opatrzność w łasce swej dała godnego następcę. Niechaj się młodzi poznajomią, a da Bóg, znajomość w przyjaźń się zamieni.

Skinął na syna, który przystąpił do Henryka z wyciągniętą dłonią. Mimo dalekiego pokrewieństwa podobni byli do siebie, obydwaj rośli, smukli, jasnowłosi. Henryk uścisnął podaną mu rękę i rzekł uśmiechając się:

— Mylisz się, królu, że bez miecza przychodzę.

Skinął na pachołka niosącego przeznaczone dla Emeryka dary i biorąc frankoński miecz w pochwie bogato kamieniami sadzonej, wręczył go królewiczowi i dodał:

— Przyjmij to na pamiątkę naszego spotkania i wierzę, że nigdy przeciwko mnie podniesiony nie będzie.

Stefan z zadowoleniem potakująco skinął głową, żadne przecucie nie mówiło mu, jak spełnić się ma to życzenie.

Nadchodzącej jesieni Emeryk na łowach ciężko raniony przez odyńca, ducha wyzionął. Starzejący się, zrozpaczony król dał ucho poszeptom swej małżonki, że śmierć jedyne go ich syna spowodowały uroki rzucone przez chciwych władzy bratanków Stefana po Wazulu. Uchodząc przed nienawiścią Gizeli schronili się w Czechach.

Teraz jednak w pogodnym nastroju król zaprosił posłów do stołu, gdzie przy winie łatwo ustalono warunki pokoju. Bez stawiania wzajemnych żądań wojska rozejdą się w spokoju, jedynym ustępstwem Stefana było uznanie Brzetysławowego księstwa, którego granicę stanowić ma Wag. Brzetysław wracał do Ołomuńca zawiedziony w swej nadziei rozszerzenia swego księstwa. Za poniesione znaczne straty zyskał tylko przyrzeczenie Konrada, że pozwoli mu zająć Śląsk. Cesarz natomiast, mimo porażki, zadowolony był z wyniku wyprawy. Wbił klin między Oidrzycha a jego syna, najważniejsze jednak, że Mieszko, zdany już tylko na własne siły, nie zdoła się oprzeć uderzeniu z trzech stron. Po zaprzysiężeniu pokoju ze Stefanem Konrad spiesznym marszem ruszył z powrotem, w Ratyzbonie przeprawił się przez Dunaj i pociągnął wprost na północ, wysyłając do Rychczy wezwanie, by wraz z Ottonem stawiała się co rychlej w Merseburgu, dokąd i sam zmierza, by stamtąd starą drogą niemieckich najazdów ruszyć przez Krosno na Poznań. Tym razem nie wątpił, że wyprawa przyniesie zamierzony skutek, wszystko składało się pomyślnie, ciepły i pogodny wrzesień dopiero zaczynał złocić liście na drzewach, gdy potężne wojska cesarskie ruszyły na wschód.

Posłaniec cesarski z wezwaniem do Rychczy wyrwał Ottona z otępienia, w jakim żył na jej dworze, niemal zapomniany, tracąc już nadzieję na odmianę swego losu. Przeklinał własną lekkomyślność z jaką swobodne i wygodne życie zamienił na zależność. Coraz częściej rozważał, jak by pogodzić się z Mieszkiem. Nie jest mściwy, dla pamięci matki może by bratu wybaczył przeniwierstwo. Ale Otto nie był tego pewny, porozumienie przez posłów było niemożliwe, musiałby więc wrócić do kraju, a droga daleka i niezbyt bezpieczna, co gorsze oznaczałoby to zerwanie z Rychczą, a lękał się, by znowu pochopnie nie uczynić fałszywego kroku.

Teraz rozterka skończyła się, cesarz zamierza spełnić dane Rychczie przyrzeczenie, że uczyni Ottona jej namiestnikiem w Polsce.

Ogarnął go jednak niepokój. Posłaniec cesarski doniósł też o porozumieniu z Kanutem i Jarosławem, u którego bawił

Bezprym. Przy poparciu Jarosława pochwyć może władzę, mając w kraju stronników, a cesarz się o to spierać nie będzie, gdy celem jego jest tylko obalenie Mieszka. Toteż droga do Merseburga dłużyła się Ottonowi nieznośnie, a po przybyciu, dowiedziawszy się, że wyprawa już ruszyła, spiesznie podążył za nią i zastał Konrada pod Chociebużem. Cesarz przyjął go dość łaskawie, wypytywał o stosunki w kraju i polecił, by mu towarzyszył. Poważniejszego oporu dotychczas nie napotkał i niepotrzebną część wojsk wysłał już pod Budziszyn, nie zamierzał jednak i tam się zatrzymać, lecz pozostawiwszy za sobą gród ciągnąć pod Krosno, gdzie u przeprawy przez Odrę oczekiwał głównych sił nieprzyjacielskich.

Widząc, że cesarz spieszy, Otto uspokoił się nieco, jakkolwiek były wieści, że Kanut najechał Pomorze, a Jarosław zajawszy Grody Czerwieńskie wkroczył z Bezprymem do Polski i prze na zachód. Nie było już wątpliwości, że Mieszko nie zdoła się obronić, natomiast Otto wciąż jeszcze nie był pewny, komu przypadną owoce zdrady. Gdy żegnał się z Ryczezą, która w Merseburgu czekać miała na wiadomość o rozwoju wypadków, królowa rzekła:

— Jedziesz do kraju wcześniej niżli ja. Pomnij, że nie jeno własci, ale żywota nie będziesz pewny, pokąd żywie ten niewzdany syn po Mieszkowej nałożnicy.

Otto zrozumiał, czego oczekuje Ryczezą, ale nie wiedział, jak ma wykonać zlecenie i zmieszał się, co widząc królowa dodała pogardliwie:

— Wždy nie czekam, byś go sam ubił, bo i nie wydolisz osiłkowi. Masz w kraju swoich ludzi, a jeśli i nie, to za pieniądz najdziesz takich, co go usuną, nie siłą, to chytrąścią. Otto wiedział, że królowa nie z troski o niego chce pozbyć się współzawodnika jej syna, a zarazem pomścić okazywane jej lekceważenie. Ale wiedział też, bo sprawa ukryć się nie dała, że Bolko już jako wyrostek ubił naślanych na niego, zapewne przez Ryczezę, zbirów. Jednego był pewny: że za nic nie chciałby się z nim spotkać oko w oko.

Wypocząwszy po zimowej wyprawie na Sasów, Mieszko poczuł się silniejszy. Nie wątpił, że Konrad nie pozostawi najazdu bez odłaty, ale zyskiwał czas, by przygotować obronę. Łupy zasiły cokolwiek skarb, wyczerpany na przygotowania wojenne, a pozbawiony znacznej części wpływów z ceł mostowego i drogowego, na skutek bowiem rozruchów na Pomorzu główne szlaki handlowe opustoszały. Korzystając z chwilowego spokoju król jął się załatwiania spraw zaległych podczas jego nieobecności, a gdy z począt-

kiem lata nadeszła wieść, że Konrad uderzył na Węgry, Mieszko upewniony, że na razie nic mu nie grozi, ruszył na objazd kraju, Bolka zabierając z sobą. Chciał, by naród przywykł widzieć w nim dziedzica, a zarazem by syn zaznajomił się ze sprawami, które mu kiedyś rozstrzygać przyjdzie. Często nachodziło go przecucie, że czas ten nie jest zbyt odległy. Nieraz budził się wśród nocy już o drugich kurach i do rana nie mogąc usnąć, daremnie usiłował odgadnąć przyszłość. Przedstawiała mu się jak nieprzebita czarna mgła, przed którą zatrzymywał się, wiedząc że musi w nią wkroczyć i omackiem zmierzać do jakiegoś celu czy tylko kresu. Po takiej nocy głowa mu ciążyła, wszystko stawało się obojętne, musiał sobie zadawać gwałt, by załatwiać choć codzienne sprawy i ukryć przed ludźmi swój stan.

Przebywając jednak stale z Bolkiem, nie potrafił go ukryć przed nim. Drażniło go, iż syn to widzi, a w okazywanej przez niego troskliwości, niezwyklej przy szorstkim i twardej usposobieniu, wyczuwał politowanie dla swej słabości, które go upokarzało. Niczym ręki brakło mu braci Awdańców, jedynych ludzi, którym ufał jak samemu sobie, a zwłaszcza Michała. Nie tylko dlatego, że mógł się nim wyręczyć w każdej sprawie, ale jego niezachwiany spokój udzielał się Mieszkowi. Nie mógł jednak odmówić im zwolnienia po powrocie z wyprawy, zwłaszcza że dawno już nie widzieli swych domów, a prosił ich w swaty brat, po ojcu noszący imię Jaskotela. Młodszy od nich o kilkanaście lat, słabowity był i do wojny niezdatny, osierocony w pacholęcym wieku, rósł pod ich opieką i żywili do niego rodzicielskie uczucie. Michał przyrzekł jednak, że gdy tylko wyprawia bratu weselisko i załatwia sprawy majątkowe, zjedzie do Poznania i Mieszko wracając z końcem lata spodziewał się, że już go tam zastanie.

Michał wrócił istotnie wcześniej nawet, niż zamierzał, wieści bowiem, które otrzymał, nie były pomyślnie: Konrad zawarł ze Stefanem pokój i gromadzi wojska w Merseburgu. Mieszko spodziewał się, że cesarz zechce pomścić poczynione u Sasów spustoszenie, sądził jednak, że wojna z Węgrami przeciągnie się, a straty jakie Konrad w niej ponieść zmuszą go do odłożenia wyprawy na Polskę co najmniej do przyszłego roku. Poniósł je zresztą i w tej krótkiej wojnie, i Mieszko bardziej był zdziwiony niż zaskoczony, że cesarz wprost z jednej ciągnąć zamierza na drugą. Niemniej znowu należało gotować się do odparcia najazdu i palatyn już o tym pomyślał, ściągając siły nad Odrę, Skarbka zaś wysłał za rzekę z zadaniem sprawdzenia obronności gro-

dów w Łużycach i Milsku oraz strzegących przepraw. Nie wątpił bowiem, że Konrad po niepowodzeniu poprzedniej wyprawy zgromadzi wojska dość wielkie, by jednocześnie zamknąć oblężeniem ważniejsze grody, a pozostałymi wtargnąć do Wielkiej Polski. Zajęcie przygotowaniami do odparcia najazdu, a zwłaszcza

obecność Michała, przywróciły Mieszkowi sen. Czarna mgła rozstała się, minęło otępienie. Wiedział, że teraz skupić musi wszystkie siły, by wywalczyć dłuższy okres spokoju. Wojny wyczerpywały kraj, opróżniały skarb i dziesiątkowały drużynę, a przysparzały wdów i sierot, o których zaopatrzenie trzeba było się troszczyć. Konrad również nie może stale wiązać swych sił w walkach, z Polską, gdy i jemu nie brak wrogów. Zhołdowane Czechy wyłamują się z lennego posłuszeństwa, wiadomo było, że Oidrzych odmówił obesłania węgierskiej wyprawy, a poprzednio już sprzeciwił się żądaniu cesarza, by władzę podzielił z Jaromirem i nadal trzyma brata w więzieniu. Mieszko wyrósł wśród walk z Niemcami, doświadczenia mu nie brakło. Nie wątpił, że tym razem Konrad wyteży wszystkie siły, by osiągnąć zwycięstwo, postanowił przeto w Łużycach tylko hamować pochód cesarskich wojsk, a główny opór dać na Odrze. Wprawdzie suche lato obniżyło wody w rzece, ale przeprawa zawsze stwarza dogodną sposobność do stoczenia bitwy, a ważniejszych brodów strzegą silne grody w Krośnie, Bytomiu, Głogowie i Lubiążu. Skarbek winien na czas zawiadomić o kierunku niemieckiego pochodu, niemniej Mieszko spodziewając się, że Konrad zechce obejść bagna Obry i uderzyć na Poznań od południa, drużynę z Giecza przesunął do Śremu, a sam w Poznaniu czekał na wieści.

Wcześniej jednak nadeszły nieoczekiwane. Mieszko niecierpliwił się już i zamierzał ciągnąć nad Odrę, gdzie mógł je wcześniej otrzymać, a zarazem sprawdzić obronność grodów i w razie potrzeby wzmocnić ich załogi, gdy z Santoka przybył goniec od tamtejszego żupana z zawiadomieniem, że w Kamieniu wylądował Kanut ze swymi Normanami i posuwa się w głąb kraju, pałac i niszcząc.

Nie było przypadkiem, że najazd Kanuta nastąpił w chwili, gdy Mieszko gotował się do odparcia niemieckiej napaści. Za życia Chrobrego duński jego siostrzan dbał o dobre stosunki z wujem, po jego śmierci jednak za namową hamburskiego biskupa Unwana zawarł z Konradem przymierze przeciw Polsce. Mieszko wiedział o tym, ale nie przywiązywał do tego wagi, gdy Kanut ustawicznie zajęty zdobywaniem nowych królestw bawił z dala od kraju. Teraz najbliższy krewniak, niesyty zdobyczy, porozumiał się z wrogiem przeciw cioteczemu bratu, by wykorzystać jego trudne położenie i zmusić do podziału sił.

Mieszko wahał się, czasu jednak na długie namysły nie było i zwołał naradę starszyzny wojskowej. Pierwszy zabrał głos palatyn Michał:

— Skoro cesarz normański zbójów na pomoc wezwał, widno wie, że sam nie wydoli, co i nie dziwota, skoro nie wydolił Węgrom i pokwapił się byle jaki pokój zawrzeć ze Stefanem. Od wojny z nimi takż sił mu nie przybyło, i na to liczy, że my swoje podzielim. Tedy ja bych Pomorców samym sobie ostawił, nie w smak im był posłuch, niechaj uświadczą, że bez nas jeno łupem będą. Do Wielkiej Polski zasię Kanut nie przydzie, bo dostępu bronią grody od Kostrzynia po Nakło, a lepiej od nich bagna i moczary Nadnoteckiej Puszczy. Normañscy zbóje jak przyšli, tak odejdą, a pomiarkuje Konrad, że mu chybiło, rad będzie takż z nami pokój zawrzeć, by się od nas zabezpieczyć, gdy mu indziej działać przydzie.

Niejeden z obecnych pomyślał, że gdy król posłucha rady palatyna, utraci Pomorze, nawet jeśli Kanut poprzestanie na złupieniu zasobnych miast. Najsłabiej zrośnięte z resztą ziem lechickich, uporczywie trzymające się pogaństwa Pomorze wykorzysta objaw słałości Mieszka, by odzyskać nie zapomnianą jeszcze niezależność. Ale lepszej rady nikt nie widział, a wszystkim wiadomo było, że palatyn cieszy się największym zaufaniem króla i nikt więcej głosu nie zabrał. Mieszko wstając powiedział:

— Ruszamy na Niemca.

Gdy Mieszko raz znalazł się w siodle, myślał już tylko o czekającej go rozprawie. Ciągnął przez śrem i Krzywina na Głogów, gdzie spodziewał się otrzymać wieści od Skarbka o siłach nieprzyjacielskich i kierunku ich uderzenia.

W Głogowie zastał samego wojewodę, który tu czekał na króla z wiadomością, że z początkiem września Konrad wyruszył z Merseburga, pod Dobrylgiem przeprowił wojska przez Czarną Elsterę nie zaczepiając grodu i ciągnie wprost na wschód. Siły prowadzi nieco większe niż w czasie poprzedniej wyprawy, nie ma natomiast ciężkiego sprzętu oblężniczego, widocznie zamierzając rozstrzygnąć walkę w otwartym polu. Spóźniona pora była wyjaśnieniem, dlaczego cesarz nie chce hamować pochodu obleganiem grodów, ale zdało się to świadczyć, że nie liczy się z porażką i odwrotem w czasie jesiennych roztopów, które poprzednim razem dały się jego wojskom we znaki, a pozostawienie silnych grodów za sobą mogło odwrót zamienić w klęskę. Wyjaśnieniem tej pewności siebie doświadczonego wodza, jakim był Konrad, mogło być tylko jego przekonanie, że Mieszko zmuszony do podziału swych sił nie zdoła stawić poważnego oporu.

Ten błąd należało wykorzystać i Mieszko zmienił zamiar

oczekiwania na najeżdżcę dopiero u przeprawy przez Odrę. W drodze do niej cesarskie wojska przeprowiać się muszą przez Sprewę, Nysę i Bober i Mieszko spiesznie ruszył na zachód. Z Żagania wysłał przodem znaczny oddział lekkiej jazdy z poleceniem nawiązania podjazdowej walki z nieprzyjacielem, z resztą wojsk zaś dotarł do Przewozu nad Nysą, tu zamierzając zgotować pierwszy poważny opór. Na wodza oddziałów wysłanej przodem lekkiej jazdy wprosił się Bolko. Ojciec wolałby sam mieć go na oku, lękając się jego nieopanowanego zuchwalstwa, ale prośbę poparł palatyn Michał, mówiąc:

— Takiego potrzeba. Kto przywodzić ma, w przodku wienien być, nie za innych się chować. Królewic już pokazał, że mu nie dziwne z Niemcem się zwodzić, niechaj dalej zarabia na zawołanie.

Uzyskawszy zezwolenie ojca Bolko spieszył się tak, że już przed wieczorem następnego dnia dotarł do Sprewy, po suchym lecie jednak w górnym biegu niewiele niosła wody i niemal w każdym miejscu można ją było przebrnąć. Nie stanowiła przeto większej przeszkody w przeprowie, a jedynie dla podwód z zaopatrzeniem należało wyszukać rozlewisko o płaskich brzegach. Toteż Bolko jeszcze przed zapadnięciem ciemności objechał spory szmat rzeki, wypatrując miejsca zdatnego do przeprowy podwód, na lewy brzeg zaś wysłał podjazdy z zadaniem stwierdzenia, gdzie znajduje się nieprzyjaciel, po czym z resztą oddziału przeprowił się i stanął w głębi lasu, pozwalając jedynie koniom popuścić popręgów, nie wątpił bowiem, że cesarskie wojska nie mogą już być daleko.

Wieczorem z zachodu ruszył się wiatr, niebo zaciągnęło się i noc zapowiadała się ciemna. Szło na zmianę pogody, w nakazanej ciszy chwilami pierwsze krople deszczu szeleściły po listowiu, czasem zmaćił ją świst lelka lub pohukiwanie sowy.

Bolko w podnieceniu czekał na powrót podjazdów wysłanych na zwiady, wcześniej jednak z powiewem doszła go słaba woń dymu. Niemal pewny był, że niezbyt daleko obozują nieprzyjacielskie wojska, w rzadko bowiem zaludnionej okolicy nieliczne osady leżały tylko nad rzeką. Powracające zwiady potwierdziły to przypuszczenie, donosząc że o niecałe pół mili na wielkiej polanie widać ognie obozu. Jak drapieżnika, który łup poczuje, Bolka ciągnęło, by natychmiast uderzyć, ale zdołał się pohamować. Straty jakie zada zaskoczonym nie mogły mieć większego znaczenia, a przyplącić je mógł rozproszeniem własnego oddziału, prze-

strzeżony nieprzyjaciel będzie czujniejszy w dalszym pochodzie i nie pozwoli się już zaskoczyć u przeprawy. Uderzenia zaś od tyłu na pewno się nie spodziewa i wozy z zapatrzeniem idące za wojskiem mogą się stać łatwym łupem, a dla nieprzyjaciela stratą trudną do powetowania. Powziąwszy postanowienie Bolko ruszył oddział, zrazu kierując się ku południowi, by szerokim łukiem obejść nieprzyjacielski obóz. Szli w zupełnych ciemnościach, konie prowadząc przy pyskach, by nie rżały. Odszedłszy spory kawał skręcili na zachód, w końcu na północ i wreszcie Bolko zatrzymał pochód, pozwolił konie rozsiedlać i spętane puścić na paszę, a ludziom pożywić się i spocząć. Mimo siąpiącego deszczu zasypiali znużeni pochodem od wczesnego ranka, Bolko jednak postanowił sam stwierdzić, gdzie znajduje się obóz, by mieć go na oku. Wziąwszy z sobą dwóch wojów ruszył na wschód i uszedłszy kilka stajañ ujrzał przeświecający między pniami poblask ognisk obozu. Nie zmyliło go wycucie kierunku i odległości, trafił tam, gdzie chciał. Wrócił do oddziału i poleciwszy obudzić się o pierwszym brzasku, ułożył się do snu.

Dzień wstawał leniwie, mimo że słońce już wzejść musiało, w lesie panował mrok, nisko wiszące chmury znowu zapowiadały słotę. Istotnie po chwili mżyc zaczęło i gdy Bolko sprawiwszy oddział ruszył ku obozowi, mżawka przeszła w deszcz, coraz rześystszy. Przemoknięci ludzie w porannym chłodzie szczękali zębami, ale Bolko z zadowoleniem zacierał zgrabiałe ręce. Jeśli nawet nieprzyjaciel zostawi tylną straż, nikt się nie rozgląda, gdy za kołnierz leje. Gdy przez szum ulewy doszły go odgłosy obozu, zatrzymał oddział i z kilku ludźmi podsunął się na skraj polany. Obóz już pustoszał, dymiły jeszcze ogniska, pozostały tylko wozy, które okrywano płachtami zwijanych namiotów, ale wkrótce i one ruszyły i zniknęły w przeciwległej ścianie lasu. Straży tylnej nie było, jedynie każdemu z wozów towarzyszyło kilku knechtów, przed deszczem głowy okrywających derami.

Wyczekawszy dłuższą chwilę Bolko ruszył w ślad i jechali w milczeniu, aż przez rzednące pnie przeświecać zaczął otwarty łęg, środkiem którego płynęła rzeka, w tym miejscu dość szeroko rozlana. Bolko podsunąwszy się na skraj lasu patrzył.

Większość wojsk cesarskich była już na drugim brzegu ustawiając się do dalszego pochodu, pozostałe przeprowiały się, a jednocześnie pierwsze wozy zjeżdżały do wody. Oczekiwana chwila nadeszła. Bolko skoczył do swoich

i rozkazał:

— Uprzęże odcinać, wozy wywracać, jeńca ni łupu nie brać, a pośle nie czekając w górę rzeki. Za mną!

Pognali w milczeniu. Wozy jadące w przedzie dochodziły już do prawego brzegu, gdy na lewym rozległy się wrzaski i wznęgały się, aż echo oddawało od ścian boru. Knechci, którzy w czasie przeprawy przysiedli się na wozy, dopiero teraz spostrzegli, co nadchodzi i jęli zeskakiwać w wodę, usiłując dobrnąć do brzegu. Ale niewielu uszło, bo jeźdźcy wparłszy konie w rzekę już siedzieli na ich karkach.

Wznęgająca się u przeprawy wrzawa wstrzymała pochód cesarskich wojsk, którego czoło stanowiąca jazda wjechała już w las. W zamieszaniu, nie wiedząc co się dzieje, wydawano sprzeczne rozkazy, tylko idący w ociążu oddział tarczowników zawrócił, ale bezradnie z brzegu patrzył, jak jeźdźcy zeskoczywszy z koni wywracają wozy, odcięte z uprzęży konie, spłoszone wrzawą, w rozsypce zmierzają do brzegów i rozbiegają się na wszystkie strony, a polański oddział dokonawszy zniszczenia zawrócił i nie spiesząc się odjechał w górę rzeki. Wkrótce na miejsce wypadków nadjechał sam cesarz. Zarządził postój i do wieczora wyciągano z rzeki zwywracane wozy, wyławiano co się dało z zapasów i chwymano rozbiegane konie. Straty były poważne, przepadła lub nie nadawała się do użytku znaczna część żywności, niemal wszystkie namioty uniosła woda, przepadło wiezione na wozach uzbrojenie, kilkunastu ludzi poległo i należało ich pochować. Jedynym zyskiem było dwóch rannych jeźdźców polańskich, których w zamieszaniu i pośpiechu nie zdążyli zabrać towarzysze. Konrad kazał ich opatrzyć i przesłuchać w swej obecności, po czym zlecił grafowi Dietrichowi wysłać oddziały celem uzupełnienia zapasów żywności, a na zwróconą uwagę, że spowoduje to zwłokę w pochodzie odparł:

— Raniej Mieszko prosić będzie o pokój, a że nie czeka na nas na Odrze, tym lepiej.

Graf Dietrich wykonał polecenie, niemniej zdziwiony był i zaskoczony. To co mówił cesarz, oznaczało, że nie ma zamiaru wkroczyć do Wielkiej Polski, a jeśli myśli o pokoju na korzystniejszych warunkach niż te, na jakich zawarł go z węgierskim królem, musi wpierw zadać Mieszkowi poważną klęskę.

Na zwołanej jednak naradzie lenników wyjaśniło się, na czym Konrad opiera swą nadzieję. Już w Merseburgu otrzymał wiadomość, że Jarosław zajął Bełz i znacznymi siłami rusza na zachód, wiodąc z sobą Bezpryma. Nie mówił o tym

wcześniej, niejednokrotnie bowiem do Mieszka przeciekały wieści, które powinny zostać tajne.

Spodziewane rychłe zakończenie wyprawy rozproszyło nastrój przygnębienia. Zwłaszcza lennikom z Północnej Marchii spieszno było do domów, mieli bowiem wieści, że Weleci niepokoją granice. Poprawiła się też pogoda i gdy wróciły oddziały wysłane po żywność, wojska wypoczęte i nakarmione ruszyły na wschód, teraz już ubezpieczając się ze wszystkich stron. Ale pochód odbywał się spokojnie i czwartego dnia wojska dotarły w pobliże Przewozu i stanęły obozem na niewielkiej wyżynie, w odległości niespełna mili od gródka strzegącego brodu na Nysie.

Tu już należało się spodziewać nieprzyjaciela i cesarz wysłał ku rzece podjazdy dla rozpoznania położenia. Istotnie wróciły poszarpane przez harcowników, nie było wątpliwości, że nieprzyjaciel gotuje tu poważny opór, a padające widno w górach deszcze podniosły stan wody i przeprawa jest możliwa albo brodem, albo na tratwach, których zbieranie zająć musi sporo czasu, a wrzesień miał się już ku końcowi. Cesarz zaczynał mieć wątpliwości, czy Mieszko będzie prosił o pokój. Albo jeszcze nie wie o najeździe Jarosława, albo liczy na to, że Niemcy wkrótce będą zmuszeni odejść, a wówczas, mając na zachodzie wolną rękę, z jednym wrogiem sobie poradzi.

Tak czy inaczej, beczynne czekanie nie prowadziło do niczego, Mieszko winien przekonać się, że nie może liczyć na odejście Konrada, a jeśli istotnie nie wie o najeździe Rusi, to wkrótce musi się o tym dowiedzieć. Na zwołanej naradzie postanowiono przeto wysłać część sił w górę rzeki, by spróbowały się przeprawić w nie strzeżonym miejscu, pozostałe zaś podsunąć do brodu, by uderzyły w chwili, gdy Mieszko zajęty będzie walką z wysłanym na prawy brzeg kilkutysięcznym oddziałem.

Wydzielone wojska odeszły, gdy tylko zapadła ciemność, rankiem zaś cesarz podniósł obóz i spędzając harcowników broniących dostępu do brodu rozłożył wojska nad rzeką, trzymając je w gotowości, by uderzyć, gdy tylko dojdą odgłosy walki. Ale minęło południe, nadchodził wczesny wieczór, a na przeciwległym brzegu nic się nie działo. Na umocnieniach przy brodzie widać było zmieniające się straże, pod wałami gródka rozpalały się liczne ogniska polańskiego obozu.

Noc natomiast nie przyniosła spokoju. Mieszko pozostawił na lewym brzegu podjazdy, które w ciemnościach podchodziły pod strażę, zadając im straty. Nad ranem ustąpiły,

a cesarz wysłał za nimi pościg, by się pozbyć dokuczliwego sąsiedztwa. Wróciły pod wieczór, straciwszy kilku ludzi ubitych z zasadzki, a gdy tylko zapadła ciemność, swary zaczęły się na nowo.

Niepokoił Konrada brak wieści od wysłanego pod grafem Dietnchem oddziału. Jeśli nawet nie znalazł zdatnego do przeprawy brodu, powinien wrócić.

Nad ranem jednak graf przysłał wiadomość: o pół dnia drogi w górę rzeki, koło niewielkiej osady, opuszczonej przez ludność, znalazł miejsce zdatne do przeprawy, ale gdy tylko ją rozpoczął, napotkał silny opór. Mimo znacznych strat zdołał jednak przeprowadzić wojska na prawy brzeg i wśród nie ustającej walki ruszył w dół rzeki, ale z nastaniem ciemności wołał wycofać się do brodu, by sobie zabezpieczyć odwrót, w obawie, że Mieszko, który nie dał się zaskoczyć, wyśle przeciw niemu znaczniejsze siły i zniszczy oddział.

Na naradzie, którą zwołał cesarz, zdania były podzielone. Jedni radzili przesunąć całe wojska w górę rzeki, skoro Dietrich zdołał uchwycić przyczółek na prawym brzegu, inni by wzmocniwszy grafa uderzyć na bród pod Przewozem, co uniemożliwi Mieszkowi wysłanie przeciw Dietrichowi znaczniejszych sił. Wszyscy natomiast myśleli o tym, że nadchodzi jesień, mgliste poranki i wieczory, zimne noce, a Nysa nie jest ostatnią przeszkodą w drodze do Wielkiej Polski.

Cesarz nie mówił o tym, ale zaczynał podejrzewać, że Jarosław wykorzystał jedynie sposobność, by zająć Grody Czerwieńskie i na tym poprzestał, a Mieszko gotów jest nawet wyrzec się tej kości niezgody między Polską a Rusią, byle na zachodzie uzyskać wolną rękę i nie ugiąć się przed cesarzem. Konrad też wołałby ciężar walki z Mieszkiem pozostawić Rusi, gdy własnych sił potrzebował gdzie indziej, ale nie pora była czekać na wiadomości o poczynaniach Jarosława. Jeśli nie ma po raz wtóry wracać, niczego nie osiągnąwszy prócz strat, musi jeszcze próbować wykorzystać swą przewagę liczby i uzbrojenia.

Mieszko wiedział, że Bezprym po to zbiegł na Ruś, by zyskać poparcie dla swych roszczeń i liczył się z najazdem. Nie sądził jednak by Jarosław, dopiero zakończywszy walkę ze Świętosławem i Pieczyngami, mógł natychmiast podjąć działania. Nawet gdyby zebrał siły dostateczne, by zająć Grody Czerwieńskie, nie będzie ich tracił jedynie dla Bezpryma, na którym niewątpliwie jeszcze mniej mu zależy niż węgierskiemu Stefanowi. W każdym razie grody pogranicz-

ne winny powstrzymać najazd tak długo, aż sam Mieszko skończy wojnę z Niemcami. Zwłaszcza Bełz, położony w bagnistych widłach Swynioryi i Sołokii trudno będzie wziąć, zanim mróz nie skuje wód, a z doświadczenia Mieszko wiedział, że z nastaniem jesiennych słońc Niemcy zmuszeni będą odejść. Toteż grał na zwłokę i gdy Konrad z dużymi stratami zdołał przeprowadzić swe wojska przez Nysę, Mieszko nie stanął do bitwy, lecz wycofał się, by z kolei gotować opór na Kwisie i Bobrze, a jedynie w tylnej straży pozostawił silne oddziały, by hamowały pochód cesarskich wojsk i przeszkadzały zaopatrywaniu ich w żywność. Zaczynał się październik, coraz krótsze dni skracały jeszcze ciągnące z północnego zachodu chmury, nierzadko wylewając swą zawartość zimnym deszczem, od którego wzbierały strumienie, a rozkisła ziemia utrudniała i tak mozolny pochód. Wojska cesarskie zniechęcone bezpłodnym wysiłkiem i wyczerpane coraz szczuplejszym wyżywieniem szły jeszcze naprzód, myśląc już o odwróceniu. Ale i ta myśl nie podnosiła na duchu tych, którzy pamiętali odwrót w czasie poprzedniej wyprawy. Konrad sam go pamiętał i zaczynał się wahać. Jeżeli Jarosław zawiódł, cel wyprawy był już chybiony. Przejście przez Kwisę znowu przypłacił stratami, w wojsku zaczynały się choroby, coraz więcej ludzi niezdolnych było do pochodu, na wozach brakło już miejsca, a pozostawienie chorych równało się wyrokowi śmierci. Toteż nie docierając do Bobru cesarz zarządził dłuższy postój, by wojska wypoczęły, w braku namiotów pod skleconymi szałasami, wysuszyły wreszcie mokre odzienie a przede wszystkim, by zaopatrzyć je w żywność. Pogoda poprawiła się, jesienne słońce jeszcze dogrzewało południową porą.

Konrad również znużony był i zniechęcony. Narady lenników nie zwoływał, wiedział bowiem, że jak jeden domagać się będą, by zarządził odwrót. Sam niedaleki był od tego postanowienia. Przeprowadzenie przez Bóbr niewątpliwie spowoduje dalsze straty, gdyby Mieszko stanął wreszcie do bitwy, gotowa się zakończyć niepomyślnie, a wówczas odwrót równałby się zupełnej klęsce, której skutki trudno było nawet przewidzieć.

Gdy wieczorem pierwszego dnia postoju wysłane po żywność oddziały wróciły przez nikogo nie zaczepione, Konrad nie wiedział, jak sobie to wyjaśnić. Jeszcze bardziej zdziwiony był, gdy i noc upłynęła spokojnie. Nie mógł zrozumieć, co znowu gotuje nieprzyjaciół, może umyślnie nie przeszkadza w dalszym pochodzie, by u przeprawy przez Bóbr dokonać swego dzieła.

Gdy i drugiej nocy nic nie zakłóciło, Konrad głowił się, co mogło być przyczyną poniechania przez Mieszka działań. Albo wiedząc o opłakanym stanie wojsk cesarskich skupił wszystkie siły, by stanąć do walnej rozprawy, albo zamierza wciągnąć je w głąb kraju, by tym skuteczniej niszczyć je w odwrocie.

Konrad pomyślał, że w obu wypadkach nadarza się sposobność oderwania się od nieprzyjaciela. Dzień lub dwa zwłoki w pościgu może go zgoła udaremnić. Nie zwykł jednak pochopnie pobierać postanowienia, wiedział, że nieraz zwycięża się ostatnim wysiłkiem, a zbyt wiele zależało od wyniku wyprawy. Wojska Mieszka również poniosły straty, wrogów mu też nie brak, nawet we własnym kraju, pokój byłby mu potrzebny i Konrad rozważał, czy nie wysłać do Mieszka poselstwa. Po namyśle jednak odstąpił od tego zamiaru. Zdradziłby tylko swą słabość, a na przyszłość związał sobie ręce, jak jego poprzednik pokojem w Budziszynie.

Cokolwiek postanowi, należało ustalić położenie nieprzyjacielskich wojsk i cesarz zaraz z rana wysłał silny oddział jazdy z zadaniem dotarcia do odległego o niespełna milę Bobru, o ile wcześniej nie napotka nieprzyjacielskich podjazdów.

Powrotu wysłanego hufca spodziewał się dopiero koło południa, podjazd iść bowiem musiał ostrożnie, by nie wpaść w zasadzkę, jakich wiele już przyplacono stratami. Po jego powrocie powzięto postanowienie, a tymczasem chciał sam sprawdzić strażę, panujący bowiem niezwykle spokój wydawał mu się podejrzany, a obawiał się, że spowoduje osłabienie czujności. Straże rozstawione były w krąg obozu, jedna od drugiej na odległość głosu, by w razie napaści wzajemnie udzielać sobie pomocy. Podchodząc do jednej z nich, cesarz posłyszał, że ktoś dopytuje o niego. Przyspieszył kroku i zastał przy placówce gońca, który widocznie podniecony zawołał:

— Miłościwy panie! Rycerz Zygfyrd wraca i prowadzi posłów polańskich.

Przyczyna panującego od dwóch dni spokoju wyjaśniła się: Mieszko zapewne otrzymał wiadomość o najeździe Jarosława i pilno mu wracać do kraju.

Tak widocznie rozumieli to wszyscy od pachołków po dostojników, w obozie bowiem panował ruch i podniecenie, aż nazbyt widoczne było, że spodziewają się zakończenia działań wojennych. Konrad zadowolony był, że się nie pospieszył z wysłaniem poselstwa do Mieszka. Teraz postawić może

inne warunki, niż gdyby sam zwrócił się o zawarcie pokoju.

Koło cesarskiego namiotu zgromadził się tłum. Konrad nie wątpił, że przywiodła go tu nadzieja szybkiego i bezpiecznego powrotu do domów. Niechęć do dalszej walki była tak wyraźna, że cesarz gniewnie nakazał rozpędzić go. Widok niekarnych i wynędzniałych gromad mógł utrudnić układy.

Zebrani w cesarskim namiocie dostojnicy zdradzali nie mniejsze podniecenie niż prości woje. Konrad z pogardliwym lekceważeniem słuchał, jak jeden przez drugiego wysuwali żądania, jak gdyby to oni odnieśli warne zwycięstwo i dyktować mogli warunki pokoju, gdy niedawno myśleli tylko o tym, jak unieść przed wrogiem głowy. Jeszcze stoi naprzeciw z niemal nie naruszoną siłą i nie podda się na łaskę i niełaskę. Konrad nie po raz pierwszy prowadzić miał układy. Sam zamierzał postawić ostre warunki, ale wiedział też, że nie można przeciągać struny, i z ciekawością czekał, z jakim przeciwnikiem przyjdzie mu stoczyć bitwę na słowa. Na jej wynik z obudzoną na nowo nadzieją i niepokojem oczekiwał Otto. Dotychczasowy przebieg wyprawy pozbawił go jej tak, że nieraz myślał o tym, by korzystając ze sposobności zbiec do Mieszka i uzyskać jego przebaczenie. Wstrzymywała jednak Ottona obawa, że zanim zdąży się z nim pojednać, każdy może go ubić jako wywołańca. Lękał się zwłaszcza spotkania z Bolkiem, on by go ubił, nie pytając nawet po co przychodzi. Teraz może coś się odmieni, cesarzowi zależy na osłabieniu Mieszka, mógłby zażądać dla Ottona dzielnicy, by choć w części spełnić dane Rychezie przyrzeczenie, a samemu zyskać w Polsce lennika.

Zbliżający się gwar oznajmił nadciąganie poselstwa. Konrad wyszedł z namiotu i zasiadłszy przed nim czekał w otoczeniu swych dostojników. Z dala widać już było czterech jeźdźców, którzy na widok cesarza zsiadli z koni. Rycerz Zygfyrd skinął na pachołków, by je przytrzymali i podszedłszy do cesarza oznajmił:

— Posłowie Mieszka proszą waszą miłość o posłuchanie.

— Niechaj się zbliżą — odparł cesarz i patrzył na trzech mężów, przybranych jak do boju, w łuskowe pancerze, w spiczastych hełmach ruskiego kształtu, z mieczami na pasach z klamer przy boku. Na piersiach idącego pośrodku lśnił złoty łańcuch. Stojący za cesarzem Otto szepnął:

— To palatyn Michał Awdaniec, Mieszkowy powiernik i prawa ręka.

Cofnął się za innych, wstydząc się swej tutaj obecności,

cesarz jednak obejrzał się za nim i rzekł:

— Będiesz przekładał, co posłowie mają nam do powiedzenia.

Palatyn zdjawszy hełm skłonił się przed cesarzem i rzekł po niemiecku:

— Królewic Otto do niczego nie jest nam potrzebny. Mowę waszą znam równie dobrze jak on, choć nie tu się jej uczyłem. Jeno przeszkadzać może, byśmy doszli do słusznej ugody.

W głosie jego brzmiała pogarda i lekceważenie. Konrad odparł oschle:

— Zali nam potrzebny, to się okaże. Słucham, z czym was polański książę przysyła.

— Król Polski śle nas z pokłonem i pozdrowieniem.

Mniema, że zadość już rozlewu krwi, niszczenia kraju i prostego narodu.

— Bogdaj się raniej nad tym użalał, zanim mi bezbronych Sasów najechał ziemię i wodę jeno ostawując — ostro odparł cesarz. — Wierę, że mu indziej spieszo, tedy rad by tutaj krwi oszczędził. Piasku mi w oczy nie miotajcie.

Palatyn jednak nie zdał się zmieszany i odparł śmiało:

— Skoro waszej miłości wiadomo, że kijowski Jarosław najechał nasze ziemie, nie bez znowy z wami, pewnikiem wiadomo i to, że Weleci Północną Marchię pustoszą, a może też, że italscy lennicy wyszli z posłuszeństwa. Tedy król mniema, że sprawiedliwy pokój nie jeno dla nas będzie z korzyścią.

— Troskę o nasze sprawy niechaj książę Mieszko mnie ostawi — odparł cesarz — i mnie jako panu całego chrześcijaństwa osąd, co sprawiedliwe jest. Bezprawnie dzierży przez Ojca świętego potwierdzoną ojcowizną książęcia Dietricha, której go jeszcze rodzic jego pozbawił, bezprawnie wyzuł brata swego Ottona z należnego mu działu, bezprawnie, bez naszego i papieskiego przyzwolenia godność królewską sobie przywłaszczył.

— Zali to już wszystko? — zapytał palatyn tak obojętnie, że Konrad odczuł to jak drwinę i odparł gniewnie:

— Nie! Jeślim odkładając imię sprawy tu przyszedł, to by wyprostować, co przez wykorzystanie lekkomyślności i niedoświadczenia młodocianego cesarza Ottona, ze szkodą dla cesarstwa i chrześcijaństwa wykrzywione zostało. Pan wasz zrzeknie się królewskiej godności i złoży mi hołd, następcą swym ustanowi szlachetnie urodzonego syna Kazimierza, któremu Polskę w lenno oddać przyrzekłem. Zwróci zrabowane Sasom mienie i uwolni pobranych jeńców. Odda

mi zagarnięte przez jego rodzica siłą, chytryością i przekupstwem ziemię po Odrę.

— Zali to już wszystko? — wyraźną już drwiną powtórzył palatyn. Konrad zagryzł wargi, wśród dostojników wszczął się gniewny pomruk. Gwałtownie zabrał głos magdeburski arcybiskup:

— Nie wszystko! Czcigodnego biskupa Liuza uwolni i za pojmanie go zapłaci pokutne. Kościół zaś bezprawnie z mojej prowincji wyłączony podda władzy naszej metropolitalnej i zaniecha samowolnego ustanawiania pasterzy.

— Nie do was posłuję — odparł palatyn lekceważąco — tedy wybaczy wasza przewielebność, że mu nie odpowiem. — Zwracając się zaś do cesarza ciągnął:

— Wiemy tedy, jakie wasza miłość postawiłby polskiemu królowi warunki, gdyby walne nad nim odniósł zwycięstwo. Stoją jeszcze nasze wojska naprzeciw siebie. Nie przeczę, że nam krew droga, alić i czas drogi. Tedy damy waszej miłości pole i niechaj oręż rozstrzygnie, czego słowem widno rozstrzygnąć się nie da.

Oślupiała cisza, jaka zaległa po tym odezwaniu palatyna, była tak wymowna, że Konrad ze złością spojrzął na swych dostojników. Oni najmniej zaznali niewygód i braków, nie musieli własnymi nogami miesić jesiennego błota. Jeśli zdradzają tak wyraźną niechęć do dalszej walki, jak zawiedzioną nadzieję na pokój przyjmie proste rycerstwo i knechci, z których trudy i braki wyssały już siły? A jeśli nawet dadzą się poderwać, nikt nie zmusi Mieszka, by w razie niekorzystnego dla siebie obrotu walczył do ostatka. Wycofa się za Odrę. Trzeba będzie wracać, niczego nie wskórawszy, korzyść odniesie tylko ruski sprzymierzeniec. Mimo wzburzenia cesarz rozumiał, że nie należy zrywać układów i zwrócił się do Awdańca:

— Zanim oręż przemówi, słyszeć chcę, do jakich ustępstw skłonny jest wasz pan. Donieście mu, jakie są moje żądania. Jeśli iście pragnie pokoju, wie, że musi zań zapłacić.

Palatyn odparł:

— Mniemam, że pokój w jednakowej jest cenie dla nas i dla was. Jeśli król skłonny byłby zapłacić, to nie za pokój, jeno za czas. Upoważnił nas do rozważenia, jakie warunki przyjąć, a jakie odrzucić, do układów, ale nie do poddania. Na długie targi nie pora, pokój lubo wojna.

— Naradźcie się przeto ze swymi towarzyszami, ja zaś zdania swych lenników wysłucham — rzekł cesarz, a zwracając się do grafa Dietricha dodał:

— Zaprowadź posłów do swego namiotu.

Nie miał jednak zamiaru słuchać niczyich rad i gdy posłowie oddalili się, ze złością zwrócił się do swych dostojników:

— Musiałby Mieszkowy poseł pacholęciem być niedoświadczonym, gdyby nie zmiarkował, że wam nie w myśl walka. A może się myli i chcecie walczyć? — zapytał pogardliwie.

Milczenie było odpowiedzią. Dopiero po chwili graf Hesso z Wiblingen odezwał się nieśmiało:

— Nie bądźcie gniewni, miłościwy panie! Choćbyśmy chcieli, nasi ludzie nie zechcą i to raniej ów poseł musiał wymiarkować, że im ciepłego odzienia brak, a niejeden i z cizem się wydarł. Gdy już nadzieję powzięli na pokój, ninie zgoła z posłuchu wyjść gotowi.

Trudno było zaprzeczyć temu co mówił Hesso i Konrad uciał:

— Obaczym, co nam ów poseł ofiaruje.

Równie krótka była narada polskiego poselstwa. Gdy znaleźli się sami, Zdzisław Pokora, sieradzki komes chmurnie zwrócił się do Awdańca:

— Zuchwale gracie, wojewodo. Szczęście, iż niemiecki podjazd w pół drogi na nas natknął i zawrócił. Gdyby nie to, byłby zmiarkował, że naszych wojsk już nie masz za rzeką. Król sam zlecił za każdą cenę choć rozejm uzyskać. Co zamierzacie?

— To ofiarować, co sam Konrad ninie wziąć może. Milsko i Łużyce i tak już jak nie nasze, skoro król załogom z grodów do kraju ciągnąć przykazał, gdy tam są potrzebniejsze — odparł palatyn.

— A jeśli cesarz tym się nie zadowoli? — zapytał Zdzisław. — To rozumie, że król nie słałby do niego, gdyby mu się dach nie palił nad głową. Starczy, by Konrad odpowiedź odłożył do jutra, by zmiarkował, że wziąć może, co zechce. Nam takż do kraju wracać pilno, choć nie wiada zali jest do czego i po co. Chyba by się Bezprymowi pokłonić. Baczcie byście nie przechytrzyli.

— Jeno tego cesarz zmiarkować nie powinien — oschle odparł palatyn. — Ja za wszytkich będę z nim gadał. Widno i jemu się spieszy — dodał widząc nadchodzącego rycerza Zygryda. — Krótka była narada.

Konrad ponury był jak niebo, które znowu zaciągać się jęło chmurami. Deszcz zdał się wisieć w powietrzu. Gdy posłowie stanęli przed nim, powiedział:

— Na targi iście nie pora. Ja rzekłem swoje, słucham, coście uradzili, potem postanowię.

— Pierw przypomnę waszej miłości — zaczął palatyn — że cesarz Otto uznał niezależność naszego państwa i Kościoła, a poprzednik wasz układem w Budziszynie zawartym i zaprzysiężonym ją potwierdził. Tedy pan nasz królem jest, nikomu hołdu ni posłuchu nie dłużny. Od wieka zasię tak u nas bywało, że władca następcę wyznacza wedle własnej woli. Królewic Kazimierz mnichem ostał, praw swych do .dziedzictwa się wyrzekając, Bolko zasię nie gorszy jest od Brzetysława, któregoście książęciem uznali, choć nie jeno z nieprawego, ale cudzołożnego związku pochodzi. Jeśli zasię Ottonowi zecniło się wywołańcem być — ciągnął pogardliwie — niechaj z powrozem na szyi do łaski brata swego się odwoła, bo mu od waszej potrzebniejsza. Książę Dietrich zasię jeno przeto głowę uniósł, że się pod przysięgą obowiązał nigdy do kraju nie wracać.

— Wszystko to wiem — przerwał cesarz — i sposobną porą z samym panem waszym rozważać będę, bo nie wam o tym stanowić. Pytam, coście uradzili, by ninie wojnę skończyć?

— Z Miłska i Łużyc ustąpić, jeśli poręczycie, że załogi z grodów z bronią i mieniem swobodnie odejdą — odparł Michał.

— Wierę, że wam indziej będą potrzebne — rzekł Konrad. — Ale niechaj będzie. Co więcej?

— Biskupa Luiza zwolnim bez okupu, pokutnego nie zapłacim, bo nie przy ołtarzu, jeno z bronią w ręku ujęty został — odparł palatyn. Hunfried zamierzał się wtrącić, ale cesarz uciął niecierpliwie:

— Nie będziem się tarzyć o kilka marek. Uwolnicie bez okupu wszystkich jeńców pobranych u Sasów i zwróćcie zrabowane im mienie. Jeśli nie, dawajcie pole.

Palatyn zdał się namyślać. Wieści z kraju były naglące, Ruś dociera już do Gniezna, pustosząc i uprowadzając ludność, Bezprym bez miłosierdzia tępi stronników Mieszka, wielu możnowładców czy to ze strachu, czy z niechęci do króla uznało go panem. Konrad wie tylko o najeździe Jarosława, ale każdego dnia dowiedzieć się może o jego skutkach, a wówczas zgoła nie będzie się układał. Król kazał kończyć za każdą cenę; gdy cesarz rozpuści lenników, nie zdąży już wziąć udziału w walce. Palatyn przestał się wahać i odparł:

— Sporą część łupów i brańców król rozdzielił między zasłużonych, jak jest obyczaj po wyprawie. Czasu trzeba, by ich ściągnąć, nam zasię pokój potrzebny zaraz lubo wcale.

— Ile czasu wam na to potrzeba? — oschle zapytał ce-

sarz.

— To, co król zachował dla siebie, odesłać mogę do dwóch niedziel. Resztę do Godów — odparł Michał.

— Dobrze! Wykonacie układ, czas będzie gadać o pokoju. Ninie do Godów rozejm — zakończył cesarz. Wstał i nie skinąwszy głową wszedł do namiotu.

Posłowie wracali w ponurym milczeniu, każdy zajęty własnymi myślami, które nie były radosne. Zapadał wczesny zmrok chmurnego dnia, gdy przeprawili się przez wezbrany Bóbr, z dala już widząc, że obozujące nad rzeką wojska dawno odejść musiały, gdyż obozowe ogniska przestały nawet dymić. Jeno w głębi lasu przez wstającą mgłę, jak błędny ogień przeświecał różowy poblask, ku któremu skierował się palatyn z towarzyszami, domyślając się, że król odchodząc zostawił dla nich wiadomości. Istotnie przy ognisku zastali kilku wojów, od których dowiedzieli się, że zaraz po ich wyjeździe przybył posłaniec od komesa Dobromira z zawiadomieniem, że Bezprym bez walki zajął Gniezno i do wszystkich grodzierzców rozesłał wezwania, by stawili się tam celem złożenia mu hołdu i przysięgi wierności, grożąc karami za nieposłuszeństwo. Że groźba nie płoną donieśli zbiegowie z grodów, które stawiały opór. Dobromir błagał króla, by wracał co rychlej, srogość bowiem, z jaką Bezprym tępi jego stronników, szerzy postrach i nawet ludzie przychylni królowi gotowi poddać się. Król przeto nie czekając nawet na powrót poselstwa ruszył z powrotem, nakazał jednak natychmiast donieść sobie o jego wyniku, toteż mimo że ciemność już zapadła, woje ruszyli w ślad za wojskiem. Posłowie pozostali sami, by pożywić się i pod skleconym naprędce szałasem wypocząć do świtu. Czekając by uwarzyła się wieczerza siedzieli w milczeniu wpatrzeni w płomień ogniska. Pierwszy przerwał je lądzki komes Gniewosz. Gorycz i jakby hamowana złość brzmiały w jego głosie:

— Tedy iście do dom wracać nijak, chyba by głowę dać lubo hołd złożyć Bezprymowi. A nie, to na wygnanie iść, rodzinę i mienie na przepadło ostawując.

— Na wygnanie, jeno dokąd? — wtrącił komes Zdzisław. — Nie żal było trudu ni krwie, pokąd było za co. Ale Mieszko zmamił już wszystko, co takż naszym potem i krwią zdobyli jego dziad i rodzic. Ninie jeszcze Miłsko i Łużyce. Miał je oddać, a łupy i brańców na przyczynę, mógł to uczynić nie wdając się w wojnę z cesarzem. Wždy wiedział po co Bezprym do Jarosława uszedł. Ninie stracił swoje i nasze i nawet w kraju panem nie jest.

Palatyn słuchał utyskiwania towarzyszy i wzbierał w nim gniew. Nie oni jedni tak myślą, więcej się znajdzie takich, którzy sprawę Mieszka porzucić gotowi, by głowy i mienie ocalić. Pohamował go jednak i rzekł:

— Nie króla winić o to, co się stało. Jemuśmy wiarę ślubili i kto go ninie opuści, bezecny jest.

Zrozumieli, co palatyn ma na myśli i Zdziesław odparł z gorzką drwiną:

— Wierę, że wy go nie porzucicie. Dla was i waszych rodowców godności, urzędy i nadania, które porzucić trzeba, gdy Bezprym górą. Z gołym mieczem wam uchodzić, z którym dziad wasz tu przyszedł, indziej się zasię dora-biać. Ale nie nam, co tu od wieka siedzimy. Prawicie, iż Mieszko nie winien? Cesarza wyzwał, koroną się ozdabiając, do której nie dorósł, z Rychezą się poróżnił, z potężnego jej rodzica wroga sobie czyniąc, by niewzdanego Bolka następcą swym ustanowić. Mieszkowi radziej mnichem ostać było, skoro na księgach chowany, nie pierworodnemu.

Michał nie od dziś wiedział, że stare rody zawidzą Awdań-com wyniesienia. Odparł wzburzony:

— Dziad mój i rodzic krwią zapłacili za godności i nadania, tu leżą ich kości i tu moje ostaną. A to wam przypomnę, że czasu walki Chrobrego z Odą i jej synami rodowi mojemu jeno dworzec na Śródce ostał, a nie poszli się pokłonić wrogom, bo nie o majątności walczyli.

— Ale je wygrali. Jeno Mieszko nie Chrobry — ni swego, ni naszego bronić nie wydoli — ze złością odparł Zdziesław. — Nie moja sprawa kto będzie na książęcym stolcu siedział, bym za to głowę stawiał, a choćby oddawał, co mi za trudy i straty z jeńca i łupów przypadło.

— Gadacie jak najemnik, któren odchodzi, gdy mu nie zapłacą — hamując gniew wygarnął palatyn. — Nie o wasze chodzi ni o moje, choć więcej mam do stracenia, jeno o dobrobek pokoleń, który Bezprym zmami, gdyby władę osiągnął.

Zaległo nieprzyjazne milczenie. Gdy skończyli pożywiać się, palatyn wstał i rzekł:

— Pośledni raz pożywaliśmy z jednej misy.

Mimo że noc już zapadła i deszcz siąpić zaczynał, przystąpił do konia i dociągał popręgu. Patrzyli zaskoczeni i Gniewosz powiedział:

— Ostańcież! O świcie społem ruszemy. Samemu niebezpieczno.

— Nie jedna nam droga — odparł Michał. — Ja do króla, wy do Bezpryma. Pospieszajcie, bo was inni ubiega, gdy

będzie godności i majątności rozdawał.

Gniewosz zmieszany zdał się namyślać. Wstał i rzekł:

— Bierz lichy! Jadę z wami.

Zdziesiąw patrzył spode łba jak Gniewosz zbiera się do odjazdu. Mruknął ponuro:

— Sam останę...

— Więcej takich będzie — rzucił palatyn przez ramię, już z siodła, i ruszyli. W zupełnej ciemności jechali stępa, zdając się na konie, aż drogę im przeciął jaśniejszy od smolnego mroku trakt, wiodący z Żagania na Bytom. Puścili się w kłus i dłuższy czas jechali w milczeniu, aż Michał powściągnął konia, a Gniewosz zrównawszy się z nim zaczął:

— Nie dziwujcie się, że człek sierdca nie ma do wojny domowej...

— Nie byłoby domowej — przerwał palatyn — gdyby nie było zdrajców. Pierworodny Bezprym lubo nie, z wrogiem kraj naszedł i łupić go zwala, byle swą nienawiść nasycić.

Głupi, kto mniema, że na uboczu ostać może i czekać, kto weźmie górę. Każdemu dzisiaj wóz alibo przewóz.

Umilkli, bo deszcz znowu przybierał na sile. Okryli się derami i jechali podrzemując, aż niebo jaśniejszym pasmem odcinać się zaczęło od ciemnych ścian boru. Deszcz ustał, konie wlekły się z opuszczonymi łbami. Zsiedli, by rozruszyć zdrętwiałe w porannym chłodzie i wilgoci członki, gęstniejący tuman zdradzał bliskość rzeki, do Bytomia musiało być niedaleko. Jakoż las uciał się wkrótce. Dosiedli koni, które nie pojone od południa same ruszyły kłusem czując bliskość wody. Już u przewozu czekała ich wiadomość, że o pierwszym brzasku król ruszył na Krzywini i Śrem do Poznania.

Popaśli więc tyle tylko by się pożywić i naobroczyć konie i koło południa doszli wojska na postoju w pół drogi do Krzywina. Króla już nie zastali, z jazdą odszedł przodem, nad pieszymi dowództwo powierzając wojewodzie Skarbko-wi, z poleceniem gotowania obrony na Obrze.

Wieści były złe. Ruś rozpuściła zagony po kraju, łupiąc, paląc i uprowadzając ludność. Duch w wojsku upadł, zaczęło się zbiegostwo, niepewność losu rodzin i mienia była przyczyną, że z rodowych hufców nie pozostał niemal nikt. Skarbek powitał brata z widoczną ulgą. On również nie-spokojny był o krewniaków i swojaków. Bezprym wie, że Mieszko główne oparcie ma w Awdańcach, mścić się na nich będzie ze szczególną zawziętością i okrucieństwem.

Gdy swą obawą podzielił się z bratem, Michał odparł:

— Jeszcze Bezprym nie wygrał. Jarosław także ma braci, którzy mu zawidzą kijowskiego stolca. Ku jesieni się ma,

Ruś musi odejść, bez jej pomocy niedługo Bezprymowego władania, które od mordów i łupiestwa zaczyna. Do czasu Obra nas obroni, gdy wody rozleją i bagna rozkisną. Najpilniejsze Konradowi odesłać, co przyrzeczone, by mu pozór odebrać zerwania rozejmu. Co niebądź sił ściągnie się z Miłska i Łuzyc. Nie wiada jeno, co u Sandomierzan i Wiślan, tyle że ich najazd ominął.

— Toporczyki nigdy Piastom nie byli przychylni — powiedział Skarbek. — Zabyć nie mogą, że to oni pono książętami byli u Wiślan.

— Bezprym takż Piast — rzucił Michał, ale Skarbek odparł:

— Ale wyrodek, i łącno mu przydzie kupić ich za nie swoje.

— Obaczym, kto z nami, a kto przeciw nam — rzekł Michał. — Tak lubo inak, do Wiślan daleko, słoty idą, do mrozów niewiele się odmieni. Tedy czyń, co ci król przykazał, ja zasię ruszam do niego. Przy mnie zawżdy jaśniej patrzy na sprawy.

— Ja takż, ale jedż, bo król pilnie widzieć cię żada. Może mi się uda do dom poskoczyć, krewniaków przestrzec, by co się da z mienia ukryli po leśnych komyszach, a dla niewiast i dziatwy zgotowali schronienie.

— Może nie będzie potrzeby, ale przezorność nie zawadzi — odparł Michał.

Sam jednak nie był dobrej myśli. Ustawiczny a bezpłodny wysiłek wojenny wyczerpał siły i zasoby kraju, pasmo niepowodzeń Mieszka wielu przypisuje jego nieudolności, wykształcenie uczyniło go obcym, a co gorsze, trudno było zaprzeczyć, że gdyby stracić kazał zdradzieckich braci, chwiejni nie mieliby wyboru. Palatyn wiedział, że Mieszko uległ naciskowi biskupa Paulinusa, by ich oszczędzić, i tym go usprawiedliwiał, ale wiedział też, że dla innych byłby to jeden zarzut więcej. Moźnowładcy niechętnie widzieli, jak pierwszy krok przed nimi biorą kościelni dostojnicy, nie związani z krajem rodem i zasługą, a prosty naród przyczynny upadku dopatruje się w pomście starych bogów. Palatyn niewiele popasawszy pożegnał się z bratem. Nie zatrzymując się w Krzywinie przenocował w śremie i późnym wieczorem następnego dnia stanął w Poznaniu. Jeno z konia zsiadł, udał się do nowego dworca na lewym brzegu Warty. Mimo że noc już zapadła, król przyjął go natychmiast. Siedział samotnie w świetlicy przed płonącym na kominie ogniem. Na stole stały statki z nietkniętą wieczerzą. Na widok palatyna nie okazał radości, lecz zniecierpliwienie, po-

wiedział bowiem:

— Długo mi dajesz czekać na siebie.

— Nie mnie winić, jeno konia — odparł Michał żartobliwie. — Pierwsze moje kroki do was, nie byłem nawet u siebie na Śródce.

— Wybacz! — powiedział Mieszko. — Tedy nie wieczerzałeś pewnikiem. Siadaj i jedz — dodał, wskazując na nakryty stół. — Gadać mozem później, noc długa.

— Gadać mozem i przy wieczerzy — odparł palatyn. — Wam takż zda się pożywić, a w nocy spocząć.

Zasiedli za stołem, ale Mieszko jadł niesporo, często natomiast wychylał kubek. Widząc zdziwione i stroskane spojrzenie Michała, rzekł jakby się usprawiedliwiając:

— Drzewiej po dwóch, trzech kubkach spałem jako miś w gawrze. Ninie tyle że zasnę, ale budzę się o pierwszych kurach. Iście od tego sił nie przybywa.

W ruchach jego i głosie było znużenie i zniechęcenie.

Ciągnął:

— Co tam! Śpię lubo nie, nijak zabyć o troskach. Nie o tym gadać chciałem. Bezprym nagrodę za moją głowę wyznaczył.

Zaśmiał się z przymusem:

— On klątwę ma za nic, co i nie dziw, bo i tak pod nią pozostaje jako zbiegły mnich. Ninie gdy skarbiec gnieźnieński zagarnął, odpust sobie w Kurii zakupi i zwolnienie od ślubów, a Konrad go poprze.

— Bezprym głowę ma takż — wtrącił Michał. Mieszko spojrzał na niego przekrwionymi oczyma:

— Wiem, o czym myślisz: że mogłem ją darmo mieć. Bolko mi rzekł, iż mi ją przyniesie bez odpłaty. Ale i on głowę ma, a lekko zwykł ją stawić. Jeno mi trosk przyczynia.

— Prawda! Zabyłem pytać kano królewic?

— Nie wiada. Zabrał swoich straceńców i poszedł. Tyle wiem, co mi rzekł Dobromir. Gdy go pytał dokąd idzie, jeno zadrwił, że na zjazd zwołany przez Bezpryma.

Dłuższy czas milczeli. Wreszcie Mieszko zapytał:

— Rzekniesz mi, jeno szczerze, jako stary druh? Zali moja wina, iż zmamiło się wszystko, na co rodzic mój i dziad przez pół wieka z górą pracowali?

— Nikomu was sądzić i mnie takż nie — odparł palatyn. — Jeno zawżdy tak bywało i będzie, że wodzowi chwala przypada zwycięstwa i jego winują za klęskę. Ale człek tyle jeno powinien, na ile go stać.

— Na ile go stać! — z goryczą powtórzył Mieszko. — Stać

było dziada i rodzica poszerzać granice, wroga z dala od nich trzymać, skarbiec z łupów i gospodarki bogacić. Mnie stać jeno utracić ich dorobek, nie dziw, że i własny syn waży mnie lekce. I cóże ja mu ostawię? A nie on chciał, bym go następcą swym wyznaczył, jeno ja. Alem się lękał, że Kazimierz nie udźwignie ciężkiego dziedzictwa...

— Przyszłości nikto nie zna — przerwał Awdaniec — ni za drugiego żywota nie przeżywię. Ale choć nie jeśm żyrec, to wiem, że niedługo Bezprymowego władania. Z wra-żą pomocą je posięgnął, srogością i postrachem długo wła-dać się nie da. Rychło pożałują zamiany nawet ci, co w do-brej wierze przy nim stanęli. O Bolka zasię bądźcie pokojni. Czujny i obrotny jest jak zwierz, pośród którego się chował, wie, że w walce gardło trzeba wziąć lubo dać.

— Lubo dać! — westchnął Mieszko. — I co wonczas?

— Nie o tym wam myśleć, co może być, miłościwy panie, jeno o tym co jest. Nie winy szukać tego co się stało, jeno przyczyny: wróg z każdej strony, sprzymierzeńca żadnego. Pierw od Niemca się ubezpieczyć pokój zawierając, a za sprzymierzeńcem się obejrzyć.

— Pokój iście rychło zawrzeć trzeba, pokąd Konrad nie zmiarkuje, że sam wziąć może co zechce — rzekł Mieszko. — Ale sprzymierzeńca gdzie mi szukać? Węgierski Stefan z ce-sarzem się uładził...

— Ale czeski Oidrzych z nim się różni — przerwał Mi-chał. — Rad by się zbyć niemieckiego zwierzchnictwa, a nie jeno sprzymierzeńców mu nie dostaje, ale własny jego syn o cesarską łaskę zabiega, bo mu pilno samemu zasiąść na praskim stolcu.

— Oidrzych! — powtórzył Mieszko w zamyśleniu. — Raz już na zlecenie rodzica posłowałem do Czechów, by ich nakłonić do przymierza przeciwko Niemcom. Pojmali mnie...

— Ja nie doradzam, jeno rozważam. Słuchy chodzą, że Oidrzych schronienia udzielił synom Wazula, którzy do nie-go zbiegli przed knowaniami Stefanowej Gizeli, bo im się po śmierci Emeryka następstwo patrzyło. Chytry jest, po myśli mu w rękę mieć wroga swoich wrogów, a sprzymie-rzeńców kupować, pokąd tani, za jadło jeno i napitek.

— I ja dzisiaj tani, mniemasz, że by i mnie kupił?

— On by pewnikiem kupił — odparł palatyn — jeno wam jeszcze nie pora przedać się. Raniej do Merseburga jechać, z Konradem sprawę załatwić, pokąd tam bawi, bo ani chybi Bezprym o jego uznanie będzie zabiegał. Ubiec go trzeba, bo z nie swojego więcej może ofiarować.

— Tedy nie będę zwlekał. Tobie sprawy ostawiam. Tego

pewnikiem nie będą zawidzili ci, którym solą w oku twoje zaszczyty — zakończył z goryczą.

Dla pośpiechu Mieszko wyruszył ze szczupłym orszakiem, mimo to podróż wlokła się. Coraz krótsze, często słotne dni zmuszały do wczesnego stawania na noclegi, wezbrane jeziennymi opadami wody hamowały pochód, tak że Mieszko dotarł do Merseburga dopiero z początkiem listopada i stanął gospodą na przedmieściu przy moście nad Elsterą.

Znużony był i przygnębiony. Wspominał, że tutaj przed trzydziestu laty zdradziecki zamach na życie Chrobrego rozpętał długoletni okres wojen. Owoce krwawego wysiłku, zakończonego zwycięskim pokojem w Budziszynie, Milsko i Łużyce, teraz już stracił, pokonany nie orężem, ale zdradą. Jeśli zaś Konrad wie o położeniu w kraju, dyktować może warunki, jakie zechce, jeżeli w ogóle będzie się układał.

Należało rozejrzeć się w położeniu i Mieszko wysłał komornika Pietrka Nieczuję na zamek z zawiadomieniem o swym przybyciu, polecając zarazem, by starał się zebrać w mieście wiadomości, które mogły się przydać. Rojne było, mimo bowiem słotnej pory obecność cesarza ściągnęła licznych kościelnych i świeckich dostojników z orszakami lenników, a w ślad za nimi kupców, rzemieślników, rybaków, sprzedajnych dziewczek i wszelkiego rodzaju darmozjadów.

Pietrek obrotny był, znał niemiecki język jak własny i zawiadomiwszy burgrafa o przybyciu króla, kręcił się po targu i karczmach, nasłuchując i wdając się w rozmowy, tak że wrócił dopiero pod wieczór. Przyniesione przez niego wiadomości nie były pomyślne. Burgraf, zawiadomiony o przybyciu polskiego króla, oświadczył, że doniesie o tym cesarzowi, nie sądzi jednak, by Konrad rychło udzielił posłuchania, po powrocie bowiem z wyprawy zachorował i jeszcze słabuje. Co więcej, nie ofiarował królowi gospody na zamku, jak przystało dostojestwu gościa. Mieszko wolałby nawet mieć swobodę ruchów, gdyby nie było to oznaką, że Niemcom niespieszne z nim się układać. Obecność na zamku Rychczy z jej dworem też nie była okolicznością pomyślną, nie zjechała tu bez celu.

Mieszko bezskutecznie czekał na wezwanie, zwłoka nie wróżyła nic dobrego. Wiedział już, że Konrad istotnie słabuje, ale prowadzenie spraw zlecił synowi Henrykowi, nie było przeto przeszkody w prowadzeniu układów. Wieczorem słotnego, listopadowego dnia król siedział samotnie w swej izbie. Niewesołym jego myślom wtórował łoskot rozbijanej o izbice mostu fali wezbranej rzeki i pogwizd

wiatru w bezlistnych gałęziach drzew. Chwilami jego porwy uderzały zlewa o zamknięte okiennice.

Mieszko wahał się czy nadal ma czekać na wezwanie. Dręczył go niepokój o Bolka i niepewność położenia w kraju. Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Wszedł komornik Pietrek i oznajmił:

— Jakowyś człek domaga się posłuchania.

— Kto zacz i czego chce? — zapytał król niechętnie.

— Prawi, że może oznajmić jeno waszej miłości. Gada po naszymu. Musi być sprawa ważna, bo psa żal wygnać w takową porę.

— Niechaj wejdzie — powiedział Mieszko.

W drzwiach stanął nieznajomy w jace z kapturem zakrywającym twarz. Ociekał wodą. Skłonił się i milczał.

— Ktoś jest i po co przychodzisz? — zapytał Mieszko.

Nieznajomy spojrzał na Pietrka, który zaciekawiony wsunął się za nim. Mieszko zrozumiał i niecierpliwym skinieniem odprawił komornika. Gdy drzwi się za nim zamknęły, powiedział:

— Teraz gadaj!

Nieznajomy zrzucił kaptur z głowy. Król jakby sobie go przypominał, powtórzył:

— Ktoś jest?

Nieznajomy pominął pytanie i rzekł:

— Przychodzę od królewica Ottona.

Mieszko patrzył na niego zaskoczony. Po chwili powiedział:

— Brata! Czegóż ode mnie chce?

— Wybaczenia!

— Wybaczenia? — Teraz? Na cóż mu ono? I na co mnie.

— Sami rozważcie, miłościwy panie. Bezprym królewica do zdrady namówił, do cesarza go wysłał, by go skłonić do najazdu, gdy on z Jarosławem uderzy ze wschodu.

— Nie czędo on — gniewnie powiedział Mieszko — wiedział co czyni wroga na kraj naprowadzając.

— Nie czędo! Winien! Ale szczerze z wami pojednać się pragnie. Pytacie, na co mu wasze wybaczenie! Bezprym całą władę dla siebie zagarnął, uznanie cesarskie kupił hołd lenny mu ofiarowując, trzystu pancernych na rzymską wyprawę i zwrot koronacyjnych kanaków. Własny kraj Rusi łupić zwala, kto mu ulegać nie chce, mienia ni żywota niepewny. I na waszą głowę nagrodę wyznaczył.

— To wiem — rzekł Mieszko ponuro. Wzburzony jął chodzić po izbie. Wyjaśniło się, dlaczego Konrad nie zamierza się z nim układać. Zrozumiał też, dlaczego Otto chce się

z nim pojednać. Bezprym wciągnął go do spisku, teraz wywiódł w pole, zapewne chętnie pozbyłby się i jego.

Usiadł i zadumał się. Nie ufał lekkoduchowi. Zapewne chętniej podlegałby jemu niżli Bezprymowi, ale najchętniej nikomu. Knuł z Bezprymem przeciw bratu, oszukany szuka sprzymierzeńca przeciw Bezprymowi. Poślaniec jakby się domyślił wątpliwości Mieszka, bo przerwał milczenie:

— Otto chciałby wrócić do kraju. Za nic go tu mają, gdy stał się niepotrzebny, a nijak nie może, nawet z Rychezą, która się tam jechać zbiera, bo żywota nie byłby pewny. Dla Bezpryma współzawodnikiem jest, dla waszych wywołańcem, wyjętym spod prawa. Ale pytaliście, miłoścywy panie, na co wam pojednanie z bratem? Zda się tu mieć swego człeka, wiedzieć co się kroi. Choćby i ninie: przestrzec was niechał, byście na nijakie układy nie czekali. Choć stary cesarz przeciwił się, by was pojmać, najść się mogą tacy, co was zgładzą bez jego przyzwolenia,

Mieszko zastanowił się. Nie zdawało się, by w przestrodze mógł być podstęp. Miał w pamięci zamach na Chrobrego, on sam również dość zalał Sasom sadła za skórę. Siedział chmurnie zadumany. Po chwili powiedział:

— Z tego, co prawisz, nie wiem, zali wracać mogą do kraju.

— Dzisiaj iście nie — odparł poślaniec. — Bezprym sobie komesów na zachodzie kupił, grody z ujazdami w dziedziczne lenno wypuścić im przyrzekając. Wiedzą, że ich głowy w tym, byście na stolec nigdy nie wrócili. Cesarz zasię nie z miłości do niego uznał go książęciem, jeno by spokój mieć z naszej strony, gdy z kolei czeskiego Oidrzycha poskromić zamierza, któren z posłuszeństwa wyszedł. Gdy Ruś odejdzie, Bezprym sam ostatek i niedługo jego władania. Kto przeciw niemu, za Obrę uchodzi do Awdańców. Lud burzyć się zaczyna, kilku wielmożów, którzy jechali do Gniezna, by hołd złożyć Bezprymowi, ktoś ubił. Przydzie i na niego kolej. Gdy go nie stanie, cesarz z wami ułożyć się musi.

Króla uderzyło to, co mówił poślaniec. Zdało mu się, iż zrozumiał, co na myśli miał Bolko, mówiąc, że na zjazd jedzie do Gniezna i na czym Otto buduje nadzieję, iż ktoś zgładzi Bezpryma. Ale i cóż wtedy? Skutki zdrady pozostaną. Kraj zniszczony, naród rozdarty, skarbiec pusty, a on sam życia niepewny.

Poślaniec zdał się czekać na odpowiedź. Gdy król milczał, zapytał:

— Co mam donieść królewicowi?

— Chcę zabyć, co uczynił, jeno zali nie za późno się nawrócił? Sam jeszcze nie wiem, co pocznę.

— Jeśli radzić wolno, najlepiej byście się do wiesny przytaili. Bezpieczniej by nikto nie wiedział, kano was szukać. A już stąd uchodzić co rychlej.

Skłonił się i wyszedł, zostawiając króla w zamyśleniu. Po dłuższej chwili zawołał komornika i rozkazał.

— Ludzi uwiadom, że wyjeżdżamy. Niechaj przed świtem czekają na nas za mostem.

Uchodził, ale jeszcze nie wiedział dokąd. Jedyne miejsce gdzie mógłby bezpiecznie się przytailć było we włościach Awdańców. Ale by tam dotrzeć, przebyć trzeba rozlaną Odrę.

Wpław niemożliwe, przeprawy będą strzeżone. Wyruszywszy zapłakany świtem listopadowego dnia, Mieszko jeszcze nie powziął postanowienia. Gościniec wiódł w górę Sali, o dzień drogi leży nad nią Naumburg. Tam żyje jego siostra Regelinda, którą Chrobry wydał za Hermana, syna swego przyjaciela Ekkeharda, margrafa Miśni i herzoga Turynгии. Wielkie nadzieje pokładane w tym związku rozsypały się w proch. Drogę do niemieckiego tronu zagrodiła Ekkehardowi ręka mordercy, przyjaźń ojców nie przeszła na synów, w dziewierzu Mieszko miał wroga. Nie u niego jest miejsce, gdzie mógłby znaleźć schronienie. Gdy gościniec skręcił ku południowemu zachodowi, Mieszko porzucił go i na postój zatrzymał się w głębi lasu. Wciąż jeszcze nie wiedział, dokąd się udać, a sprawa była nagląca. Nie pora czekać wiosny tułając się po kraju zjętym już przez nieprzyjaciela.

Gdy zbierali się do drogi, komornik Piotrek zapytał nieśmiało:

— Dokąd jadziem, miłościwy panie?

Mieszko jakby sobie samemu odpowiadając odparł;

— Do Czech! — Myślał bowiem właśnie nad tym, nad czym przy pożegnaniu rozważał z Michałem Awdańcem: Oidrzych sam zagrożony, nie może rad widzieć, by cesarz miał wolną rękę w Polsce. Jeśli nawet nie udzieli pomocy, każdy wróg Konrada jest jego sprzymierzeńcem.

Wniosek był prawdopodobny, mimo to Mieszko, ciągnąc już na południe, jechał jakby pod prąd. Nazbyt dobrze tkwiło w jego pamięci zdradzieckie pojmanie go, gdy do tegoż Oidrzycha posłował. Wówczas jednak Oidrzych walczył po stronie cesarza przeciw Polsce, teraz położenie się zmieniło, zapewne chętnie zawarłby sojusz przeciw Niemcom.

Trudy podróży niewiele czasu pozostawiały na rozważa-

nia. Coraz częściej zlewy niosły śniegowe płaty, nie każdy nocleg można było spędzać pod dachem, nie co dzień posilić się ciepłą strawą. Gdy opuściwszy dolinę Łaby dotarli do przedgórzy Rudaw, śnieg już leżał na szczytach, a bezludzie było zupełne. Pięli się mozolnie pod górę, przeważnie prowadząc wynędzniałe konie, aż wreszcie stoki pochyliły się ku południu. Podróż stała się łatwiejsza i bliski był jej kres. Tu już zaczynała się kraina Łuczan, w dole płynęła Ochrza, a nad nią są osady i silny graniczny gród Zatec, strzegący przeprawy.

Mieszko zatrzymał się w jednej z nich. Najwyższy był już czas, by spocząć pod dachem, zmarnowali się ludzie i konie. Do grodu pchnął posłańca z zawiadomieniem o swym przybyciu i prośbą o przystawę, który by go zawiódł do Pragi.

Posłaniec wrócił z odpowiedzią żupana Prokosza Tepki, że bez zezwolenia książęcego prośby spełnić nie może, natychmiast jednak śle do księcia z zapytaniem, co ma czynić. Odpowiedź zaniepokoiła króla, ale wyboru już nie miał. Jeśli nawet Czesi żywią złe zamiary, ucieczka zimą przez góry, sama przez się niebezpieczna, nie mogła się udać, Cokolwiek by zresztą chciał przedsięwziąć, ludzie i konie wyżyli sił, muszą odpocząć i odżywić się. Do Pragi jest opętanych dziesięć mil, zanim goniec Tepki dotrze tam i wróci, upłynie dobrych kilka dni. Sam Mieszko najbardziej potrzebował wypoczynku. Po długotrwałych wysiłkach i napięciu nastąpiło ośpienie, niech będzie, co ma być.

Nie było też o czym mówić i król rzadko kiedy parę słów zamienił z giermkim swym lub komornikiem, którzy stali gospodą wraz z nim w większym od innych domu. Reszta orszaku rozproszona była po rozrzuconych nad rzeką obejściach niewielkiej rybackiej osady. Szare niebo wisiało nad krajem, często już prósząc śniegiem, w izbach dzień nie różnił się od nocy, okienka z rybich błon nie dawały światła, niewiele więcej kaganek, płonący bez przerwy, by nie trzeba było za każdym razem krzesać ognia dla przygotowania strawy. W osadzie panowała śniegowa cisza, nie zaszczał nawet pies, czasem jeno zakłóciło ją rzenie prowadzonych do wodopoju koni.

Aż jednego dnia zakłócił ją wiatr, ku wieczorowi przybierając na sile. Szło na zawieję, uderzenia były coraz częstsze, szum przechodził w wycie. Ziab ciągnął przez nie ogacone ściany, chybotając płomieniem kaganka.

Mieszko zamierzał zakopać się w dery na swym legowisku, gdy uwagę jego zwróciły jakieś niezwykle odgłosy,

jakby swarów czy bójki. Zmarszczył się; surowo przykazał unikania wszelkich zadrażnień z gospodarzami, którzy i bez tego patrzyli na obcych z nieufną niechęcią. Zamierzał właśnie zawołać giermka, by sprawdził, co się dzieje, gdy do izby wpadł Pietrek i zawołał:

— Uchodźcie, miłościwy panie...

Nie dokończył, gdy w sieni rozległ się łoskot wywalanych drzwi i do izby wtargnęła gromada zbrojnych. Późny świt zimowego dnia oglądał Mieszko przez zakratowane okno w izbie na wieży grodu w Żatcu. Po raz drugi znalazł się w czeskiej niewoli, ale tym razem nie ma już ojca, który przekupił niemieckich dostojników, by wymogli jego uwolnienie. Teraz już nic nie zależało od niego, nie stać go było ani na nadzieję, ani na rozpacz. Nie docierały do niego żadne wiadomości, nie wiedział nawet, co się stało z towarzyszami. Zapewne wymordowano ich, jak za pierwszym razem. Jedy- nym człowiekiem, którego widywał, był dozorca, który raz na dzień przynosił mu dzban z wodą i misę z pożywieniem i milcząc zabierał często nietknięte z poprzedniego dnia.

W bezsenne noce natomiast jak zmora prześladowało Miesz- ka wspomnienie okrutnej kaźni Bolesława Rudego i jego straszliwych przekleństw, gdy oślepionego na rozkaz ojca wleczono do lochu, by tam dokonał nędznego i występnego żywota. I Oidrzych to potrafi, on też jest z pokolenia brato- bójcy Krutego*. W takich chwilach Mieszko modlił się o śmierć, bo niczego już więcej nie pragnął.

Oidrzych jednak ani myślał o pomście za brata, przed którym sam uchodzić musiał do cesarza Henryka, u niego szukając ochrony przed Rudym, oczu ni żywota niepewny. Wiedział o wypadkach w Polsce oraz o grożącym mu od Niemców niebezpieczeństwie. Sam w kraju ma wrogów, poróżniony z synem, nie może myśleć o stawianiu zbroj- nego oporu. Oślepienie czy zgładzenie jeńca nie rokowało żadnych korzyści, więcej pożytku może mieć z żywego. Po namyśle wysłał do cesarza wiadomość o pojmaniu Mieszka, oświadczając gotowość wydania go, by pozorną uległością przejednać Konrada.

Konrad jednak uważał za uchybienie swej godności po- zbywania się podstępem przeciwników. Poślaniec Oidrzycha przyniósł pogardliwą a zarazem groźną odpowiedź: cesarz nie kupuje wroga od wroga. Oidrzych zgryzł się, ale nie poniechał rozważań, jaką korzyść może wyciągnąć mając w ręku Mieszka. Wiedział, że Bezprym nie znalazł w Polsce powszechnego uznania, a podejrzliwy i okrutny zraza sobie nawet dawnych stronników. Przyszło mu na myśl, że ko-

rzystniejsze byłoby, gdyby w miejsce kukły zależnej od Niemców na polskim tronie zasiadł z powrotem Mieszko. W nim nigdy nie będą mieli sprzymierzeńca. Może zdarzy się sposobność wmieszania w sprawy polskie, ale Oidrzych nie miał zamiaru niczego postanawiać pochopnie. Do wiosny nic się nie odmieni, trzeba tylko mieć oko na sprawy. Na razie zawiadomiony o złym stanie Mieszka kazał go przynieść do ogrzewanej izby i obchodzić się z nim jak z dostojnym gościem. Nic po tym, gdyby umarł, a w razie potrzeby łatwiej będzie z nim gadać.

Konradowi też nie było obojętne, jak się sprawy w Polsce obrócą. Uznał Bezpryma księciem po to, by zapewnić sobie spokój na wschodzie swego państwa. Teraz nachodziły go wątpliwości, czy nie lepiej było uznać Ottona, za którym stała Rycheza, zamierzając wraz z nim powrócić do Polski.

* Bolesław Srogi, zabójca św. Wacława

Wieści, jakie stamtąd dochodziły, zdały się wskazywać, że Bezprym nie utrzyma się przy władzy bez pomocy cesarskiej, a tej Konrad nie miał zamiaru udzielić. Chciał mieć w Polsce lennika, obojętne, kto nim będzie. Co gorsze, wrzenie powstało wśród prostego ludu. Zbiegowie przed niszczącym najazdem, którzy schronienie znaleźli na Pomorzu i u pogańskich plemion połabskich, po ustąpieniu Rusi wracali do swych zniszczonych siedzib. Rozpasane gromady, pozbawione zasobów, które pozwoliłyby im przetrwać, znalazły przywódców w kapłanach dawnych bogów, którzy głosili, że nieszczęścia, jakie spadły na kraj, są karą za odstępowanie od wiary przodków. Nienawiść ich zwracała się przeciw obcemu przeważnie duchowieństwu, które niepewne życia i mienia chronić musiało głowy w znaczniejszych grodach, jeśli je unieść zdołało. Gdyby rozruch rozszerzył się na cały kraj, groziło to nie tylko zniszczeniem organizacji kościelnej, ale wprost nawrotem pogaństwa. Bezprym natomiast zgoła się o to nie troszczył. Władza potrzebna mu była, by dokonać pomsty na Mieszku. On sam wprawdzie nic mu nie zawinił, ale był przyczyną, dla której Ojciec skazał pierworodnego na żywot, który był tylko czekaniem na śmierć. Natomiast żądza zemsty bezpośrednia zwracała się przeciw Bolkowi. Na samo wspomnienie upokorzenia jakiego doznał od niego, krew uderzała Bezprymowi do głowy. Mimo że skarbiec w Poznaniu zastał niemal pusty, a wobec zamętu w zniszczonym kraju nie było nadziei, by go zapełnić, zasoby zaś zagarnięte w Gnieźnie topniały szybko, wyznaczył wysoką nagrodę za głowę Bolka i pieścił się marzeniem o zemście, jakiej nad nim dokona. Ale od czasu gdy

Bolko wyrznął kilku dostojników zmierzających na zjazd, słuch o nim zaginął. Bezprym podejrzewał, że znalazł schronienie u Awdańców.

Im również ślubował pomstę, ale dotychczas nie zdołał ich osiągnąć. Położone nad Obrą ziemie ich, większe od niejednego niemieckiego księstwa, najazd ruski oszczędził. Wszystkie grody obsadzone były przez ich krewniaków i swojaków, co więcej, kto tylko uchodzić musiał przed Bezprymem, tam znajdował schronienie, wzmacniając zarazem siły Awdańców.

Nie było jednak między zbiegami Bolka i palatyn Michał był o niego niespokojny. Bardziej jednak niepokoił się o króla. Aż za dobrze Michał pamiętał zdradziecki zamach na Chrobrego i śmierć ojca, który w jego obronie życie poświęcił. O Konradzie mówiono wprawdzie, że jest człkiem rycerskim w przeciwieństwie do poprzednika, ale bez jego wiedzy mógł ktoś zgładzić króla. Niejedno też niebezpieczeństwo czyhało na niego w powrotnej drodze ze strony kupionych przez Bezpryma grodzierzców. Gdyby nie stało zarówno króla jak i Bolka, opór przeciw Bezprymowi tracił cel. Nie mając już wyboru wielu chwiejnych przejdzie na jego stronę, a tych nie brakło. Wezwani o pomoc wojewoda mazowiecki Mojsław i krakowski Jędrzej Topór wyraźnie trzymali się na uboczu, nie dając nawet odpowiedzi, ale przez zbiegów Michał wiedział, że nie stanęli też na wezwanie Bezpryma. Do troski o druha i obawy o los kraju dołączał się niepokój o los własnego rodu. Gdyby Bezprym utrzymał się przy władzy, Awdańcom pozostawało iść na wygnanie, porzucając dorobek trzech pokoleń zapłacony krwią.

Zima miała się ku końcowi, gdy wreszcie przysłała wiadomość, choć niezbyt pomyślna. Komes Wlenia, mający swojaków w sąsiednich Czechach, donosił, że Mieszko został pojmany i uwięziony jest w Żatcu.

Mimo że skończyła się niepewność, palatyn zgryzł się. To on podsunął Mieszkowi myśl, by w Czechach szukać sprzymierzeńca, a zdradziecki Oidrych pojmał go, by przypodobać się cesarzowi. Jakkolwiek było, wszystko zależało od tego, by króla wydobyć z niewoli. O odbiciu go siłą trudno było myśleć, jak poprzednim razem nadzieja była w przekupstwie. Ta droga zdała się jedyna, ale ani prosta, ani pewna. Zacząć należało od porozumienia się z komesem Wlenia, za jego pośrednictwem poszukać w Czechach ludzi, którzy podejmą się niełatwego zadania. Oidrych miał wprawdzie wrogów we własnym kraju, ale nie zdołali na-

wet uwolnić Jaromira, od kilkunastu lat przebywającego w więzieniu. Wyboru jednak nie było i palatyn wysłał do Wlenia najmłodszego brata Jaskotela, sam bowiem wraz ze Skarbkim zajęty był przygotowaniami do walki z Bezprymem, której rozpoczęcia spodziewał się z nastaniem ciepłej pory.

Bezprym istotnie gotował się do niej, wiedząc, że jak długo nie rozprawi się z Awdańcami, nie będzie panem w kraju. Na obcą pomoc nie mógł już liczyć, nie przyjechała nawet Rycheza, za której pośrednictwem spodziewał się zyskać uznanie nieprzychylniej mu hierarchii kościelnej. Gdyby nie stara piastunka, którą mimo jej niechęci ściągnął z Winiar do starego dworca na Tuńskim Ostrowiu, byłby równie samotny jak ongiś w klasztorze.

Chwalona z troską patrzyła na Bezpryma. Słabego zdrowia, nienawykły do trudów, nadużył swych sił, chcąc samemu doglądnąć wszystkiego. Póki śnieżna i ostra zima nie uniemożliwiła rozjazdów, rzadko i na krótko zjawiał się w Poznaniu, wyczerpany i przygnębiony. Chwalona nie pytała o przyczynę, wiedząc że jeno odburknie opryskliwie. Troskliwością i dbałością o jego wygodę starała się oderwać jego myśli od zaprzatających je spraw. Rozumiała go zresztą bez słów. Uchodząc z klasztoru na wieść o śmierci ojca, łudził się, że zdoła odbudować swe życie, w osiągnięciu władzy widział jego treść, a zarazem zadośćuczynienie za poniżającą niewolę. Zawód, jaki go spotkał ze strony węgierskiego wuja, rozjątrzył go jeszcze. Nie chciał się poddać, by na łasce Mieszka w spokoju dokonać zmarnowanego żywota. Nawet w tym, że brat nie odpłaca mu nieukrywanej nienawiści, widział lekceważenie, a zajście z Bolkiem odczuł jak palący policzek, na wspomnienie którego serce podchodziło mu do gardła. Gdy na czele ruskich zastępów zmusił Mieszka do ustąpienia, pewny był, że nadszedł czas odwetu za krzywdy i upokorzenia. Skoro uznał go cesarz, nie będzie dzielił władzy z Ottonem, nie jest mu już potrzebny.

Wieść o pojmaniu Mieszka przez Czechów zdała mu się również korzystna. Skoro Konrad nie chciał go kupić od Oidrzycha, sposobną porą kupi go sam, tymczasem rozprawi się z jego zwolennikami w kraju, a przed wszystkimi z Bolkiem.

Wkrótce przekonał się, że podarowana władza jest tylko pozorną. Na zwołany przez niego zjazd celem odebrania hołdu i przysięgi od dostojników i rodowej starszyny nie stanęli najważniejsi. Co gorsze, kilku niemal pod jego bokiem w drodze zamordowano. Nieład panujący po najeździe

namnożył wprawdzie rozbójników, wkrótce jednak wyszło na jaw, że sprawcą był Bolko. Na wieść o tym Bezprym miejsca sobie nie mógł znaleźć w bezsilnej wściekłości. Wyznaczenie nagrody za jego głowę nie dało wyniku. Nie dostanie jej, póki nie rozprawi się z Awdańcami, do których zbiegali wszyscy jego przeciwnicy. W miarę jednak przygotowań do nieuniknionej walki coraz częściej nachodziły go wątpliwości, jaki będzie wynik. Awdańce byli wojownikami z urodzenia i rzemiosła, które jemu obce było zupełnie. Jedno było pewne: w razie pierwszego niepowodzenia wszyscy chwiejni, a tych nie brakło, przejdą na ich stronę. Klęska zaś oznaczała śmierć.

Bezprym śmierci się nie lękał, od najmłodszych lat przez ćwierć wieku przypominano mu o niej codziennie. Wiedział zresztą, że długo żyć nie będzie. W bagnach Pereum zostawił zdrowie i siły. Ale śmierć jego byłaby triumfem wrogów ostatecznym i zupełnym. Z drogi, na którą wstąpił, nie było jednak odwrotu.

Gdy w długie zimowe noce wciąż jeszcze z długoletniego przyzwyczajenia budził się w porach wyznaczonych na modły, myślą wracał do klasztoru. Tam śmierć była oczekiwanym przekroczeniem progu do lepszego świata, w którym nie ma zła, chciwości, nienawiści ni zdrady. Tak głosił i własnym przykładem świadczył świętobliwy Romuald, książe Traversara. Z możnego rodu Onestich, urodziwy, w kwiecie swych lat dobrowolnie wyrzekł się wszystkiego, co może dać władza, majątność i uroda. Bezprym nie mógł i nie chciał go zrozumieć. Dla niego klasztor był piekłem za życia, do którego wtrącony został za nie popełnione grzechy. Jednej nocy śniło mu się, że jest jeszcze w klasztorze.

Czuł, że pora wstawać na modły, ale myślał o tym ze złością. Zaspany był i nie chciało mu się dźwignąć z posłania. W celi panowała ciemność zupełna, ale mimo niej ujrzał, jak otwarły się drzwi i nad nim stanął przeor. Spojrzenie ciemnych oczu utkwił w Bezprymie, widocznie czekając by wstał i udał się do kaplicy. Bezprym z doświadczenia wiedział, że Romuald surowo karci naruszenie klasztornej karnośći, ale zaciął się. Nie po raz pierwszy przyjdzie mu tygodniami pościć o chlebie i wodzie. Zamknął oczy i derę zaciągnął na głowę. Nagle zerwał się. Jak huk gromu doszły go słowa: *memento mori*.

Usiadł na posłaniu, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że to tylko sen. W izbie jednak nie było nikogo, czerwony poblask dogasających na kominie głowni uprzytomnił mu, że jest w Poznaniu nie w Camaldoli, a Romuald zmarł wkrótce

po jego ucieczce. Może spać do woli.

Ale wybił się ze snu. Zaklął, otarł spocone czoło i dorzuciwszy szczap na palenisko usiadł przed nim, starając się ochłoniąć z wrażenia. Drgnął, gdy otwarły się drzwi i stanęła w nich Chwalona. Sypiała w sąsiedniej komorze i zapewne obudził ją łoskot dorzucanych na palenisko drew. Usiadła obok Bezpryma i gładząc go po łysiejącej głowie zapytała cicho:

— Czemu nie śpisz, synku? Śniło ci się coś?

— Nie! — odparł niechętnie. Chwalona wierzy w sny, zjawy i wróżby. Zacznie o tym mówić, a sam chciał się opeździć wrażeniu, że sen miał jakieś znaczenie.

Patrzyła jednak na niego badawczo i rzekła:

— Możeś ty chory, synku? Czoło masz spotniałe.

Odepchnął szorstko jej rękę, ale widząc wyraz przykrości na jej pomarszczonej twarzy, dodał:

— Nic mi nie jest, jeno ów przekłety nawyk. Przez ćwierć wieka budzili mnie o tej porze na modły.

— Tedy pomódl się i legnij — powiedziała z westchnieniem.

Parsknął wymuszonym śmiechem:

— Wždy pod klątwą jeśm. Tedy chyba do biesa, by mi pomógł pomsty dokonać, nim mnie zabierze.

— Spluń co rychlej od uroku — zawołała rozglądając się trwożnie.

— Ostaw! — powiedział niecierpliwie. — I Bogu darmo się modliłem, i biesa darmo wołałem. Idzi spać, ja takż legnę.

Położył się, ale nie zasnął. Naszła go dziwna myśl: gdyby wrócił do klasztoru, mógłby w spokoju dokonać żywota, tam go nikt ścigać nie będzie. Może takie było znaczenie snu. Ale otrząsnął się z obrzydzeniem. Nie po to poniósł tyle trudów i niebezpieczeństw, by wrogom ustąpić bez walki.

Jeszcze jej nie przegrał.

A czas jej zbliżał się. Sroga zima skończyła się jak uciął, bez nawrotów. Z początkiem marca gwałtowna odwilż znaczne połacie kraju zamieniła w jeziora. Spiętrzone wody dźwignęły lodową skorupę i poniosły ją ku morzu, wysokie już słońce szybko wypijało wilgoć, nagrzana ziemia z dnia na dzień nabierała barwy, a błękitne odbiciem pogodnego nieba zwierciadła rozlewisk marszczył ciepły powiew z południa i rozbijały stada ciągnącego z nim na północ wodnego i błotnego ptactwa. Wiosna szła wczesna i sucha.

Z nastaniem cieplej pory Bezprym poczuł się lepiej. Bóle w kościach, pamiętka bagien z Pereum, ustąpiły niemal zu-

pełnie, wraz ze zdrowiem poprawił się i jego nastrój. Przystał czarno patrzeć na przyszłość. Nieobecność Mieszka w kraju i niepewność jego losu okazała się korzystniejszą, niż zrazu sądził. Teraz rozprawić się trzeba tylko z Awdańcami, których wyniesienie i bogactwa kłuły w oczy zawistnych.

O Bolku bowiem słuch zaginął, od czasu gdy ubił kilku wielmożów jadących na zjazd, nie widział go nikt, mimo że Bezprym nie ustawał w poszukiwaniach. Nie dał też znać o sobie, gdy na święta Wielkiejnocy Bezprym rozesłał wezwania do komesów i starszyny rodów. Tym razem zjazd obesłany był liczniej, niż się spodziewał. Nie przybyli wprawdzie ani mazowiecki wojewoda Mojsław, ani krakowski Jędrzej Topór, ale usprawiedliwili niestawiennictwo niepokojami na granicach. Bezprym niezbyt im wierzył, podejrzewał, że czekają na wynik jego rozprawy z przeciwnikami. Gdy weźmie górę, nie pozostanie im nic innego, jak tylko uznać w nim władcę.

Zamęt i rozprężenie w braku powszechnie uznawanego pana zdały się również wodą na młyn Bezpryma. Drogi stały się niebezpieczne, prosty naród odmawiał danin i świadczeń, a przymuszany, stawiać zaczynał opór lub z mieniem uchodził w głąb niedostępnych borów, gdzie szukać go było niebezpiecznie. Rozpasane gromady groziły zburzeniem od pół wieku z górą budowanego nowego ładu. Nie zważały na przywileje i nadania przysługujące możnowładcom i Kościołowi, nie uznawały własności ziemi ni powagi urzędów, znajdując własnych przywódców. Nawet niechętni Bezprymowi i wojnie domowej rozumieli, że gdyby ruch ten, zaczęty w Wielkiej Polsce, rozszerzył się na inne dzielnice, zniszczony zostanie dorobek pokoleń, a rozbita i osłabiona Polska stanie się łupem sąsiadów.

Ta obawa nie spędzała jednak snu z oczu Bezpryma.

Z krajem wiązała go jedynie pamięć doznanej krzywdy, sierocego dzieciństwa i zmarnowanej młodości. Nawet język nie był jego własnym, potomstwa mieć nie będzie, władza potrzebna mu tylko dla nasycenia zemsty i nienawiści.

Już ją osiągnął, ale nie osiągnie jej celu, jak długo poza

jej zasięgiem znajdują się Mieszko i Bolko. Mieszko w Czechach jest jej niedostępny, o Bolku zaś nie było wieści. Ten młokos, potomek Mieszkowej nałożnicy, mógł mu bezkarne zelżywość wyrządzić, dlatego że ze strony własnego ojca spotkała Bezpryma krzywda. Myśl, że Bolko może ujść odpłacić za nią, była mu nieznośną, ale daremnie rozpytywał i czynił poszukiwania. Przypuszczenie, że mógł w obawie przed zemstą ujść z kraju, nie zdało się prawdopodobne. Zawołany zuchwalec i bitnik, raczej ukrył się gdzieś, czekając na wynik rozprawy z Awdańcami. U nich go jednak nie było, Bezprym stwierdził to przez szpiegów, obawiał się już, że zginął w panującym zamęcie. Wprawdzie oznaczałoby to ubytek groźnego wroga i współzawodnika, ale umknąłby zemście, o której myśl pieścił Bezprym, widząc w niej cel swego życia.

Żywił nadzieję, że Bolko da o sobie znać w czasie zjazdu, jak za pierwszym razem, ale choć urzędnicy i starszyzna rodów przybyła z różnych stron kraju, nie zaczepił nikogo i nikt nie mógł udzielić o nim wiadomości.

Zjazd odbył się spokojnie, a co więcej ku zdziwieniu Bezpryma, przybył też arcybiskup gnieźnieński Bożęta i on odprawił świąteczne uroczystości w katedrze. Dotychczas kościelni dostojnicy unikali Bezpryma jak zapowietrzonego, wiedział i nie zapominał, że biskup Paulinus domagał się od Mieszka, by odesłał go z powrotem do klasztoru. Przyjdzie czas, że odpłaci i jemu. Toteż zaskoczony był, gdy zjawił się u niego służebny kleryk z zawiadomieniem, że Bożęta i Paulinus proszą o posłuchanie.

W porywie złości miał już na ustach pogardliwą odmowę, ale opanował się. Warto przynajmniej wiedzieć, czego chcą i dlaczego zmienili postanowienie. Domyślał się wprawdzie, że niepokoją ich zaczynające się objawy nawrotu prostego ludu do pogaństwa. Nie zaszkodzi im dać odczuć zależność, a przy sposobności dogryźć dostojnikom, od czasów Chrobrego nawykłym do nabożnej czci.

Przyjął ich wieczorem w izbie, w której sypiał, na Paulinusa nawet nie spojrzął, udał też, że nie widzi wyciągniętej do pocałowania dłoni Bożęty i zwracając się do niego wskazał mu miejsce na wyścielanej ławie mówiąc:

— Wasza dostojność zechce usiąść.

Twarz Paulinusa nabiegła krwią, uczynił ruch, jakby zamierzał wyjść, ale metropolita powiedział spokojnie:

— Usiądź i ty, bracie. Nijak gadać o sprawach stojący.

— Nie wiem, o czym byśmy z jego wielebnością gadać mieli. Zali o tym, bym wracał do klasztoru? — rzucił Bez-

prym ze złością.

— O tym i nie o tym — odparł Bożęta, jakby nie zauważył zadzierki. — Kościół domagać się musi przestrzegania swoich praw i sam tylko zwolnić od tego jest władny, gdy słusność lub dobro powszechne tego wymaga. Wasza miłość zaś samowolnie porzuciłeś suknię duchowną, a jeno Ojciec Święty zwolnienia od ślubów może udzielić.

Bezprym domyślał się już, do czego zmierza Bożęta. Zapytał z drwiną:

— Zali przybywacie nakłaniać mnie, bym wracał do klasztoru? Nie słusne było zwolnić mnie od ślubów, gdy zmarł rodzic mój, który mnie do nich przymusił, by należnych mi z urodzenia praw do następstwa zbawić? Mnie po nim włość w kraju objąć przystało, a nie gnić w klasztorze...

— Nie jest rzeczą Kościoła ręki dokładać do spraw, których owocem niezgoda, jeno przestrzegać pokoju — przerwał arcybiskup. — Prawo natomiast mu służy od świeckiego ramienia pomocy się domagać i ochrony i z tym do was przychodzim, skoro zarządzeniem Opatrzności król Mieszko w niewoli i włość w waszym znalazła się ręką. Wiadomo wam, że swawolne gromady pod wodzą kapłanów Beliala nie szcędzą ni domów Bożych, ni uświęconych osób swych pasterzy. Donosi mi wrocławski biskup, że już i na Śląsku owa zaraza szerzyć się zaczyna. Jeśli się temu nie położy kresu, krzyż wprowadzony przez sławnej pamięci dziada waszego obalony ostanie.

— Cóż mnie o Kościół, z którego społeczności wyłączony jeśm? — odparł Bezprym opryskliwie. — Tym pomagam, którzy mnie pomagają, a jakiejże to od was doznałem pomocy?

— Nad tym takóże uradzać przychodzim — ciągnął Bożęta nieporuszony. — Wiadomo wam, że wyklętemu ognia ni wody podać nie lza, tedy nijak nam było pomagać. Aliści, jako rzekłem, Ojciec Święty władny zdjąć z waszej miłości anatemy i od ślubów zwolnić, słuszną pokutę wyznaczysz.

— Pewnikiem klasztor jakowy ufundować — parsknął Bezprym drwiąco — rad bych wszystkich mych wrogów w nim zamknął. Jeno ze mi nie pora zasoby na tołożyć indziej potrzebne ni na poselstwo, bo nie do Kurii jechać z pustymi rękoma. Wam zaś zasobów nie brak, hojnie was i dziad mój, i rodzic uposażył. Chcecie, tedy ślijcie, ninie inne mnie zaprzatają sprawy.

— I to wiemy. Do wojny się sposobicie. Niejednemu w niej żywota zbyć przydzie. Zali nie pora pomyśleć i o zbawieniu

duszy? — zapytał arcybiskup, ale Bezprym odparł gwałtownie:

— Cóż mi kraczecie! Mnie po klasztorze ni bezdeń nie straszna. Jako i tam człek wyzbyty nadzieje, na śmierć jeno czeka. .

— Wszystko co żywie, na śmierć czeka — poważnie rzekł Bożęta. — Jeno człek na żywot wieczny.

Wstał i zwracając się do Paulinusa zakończył:

— Późdzmy, bracie! Wielka jest zatwardziałość tego grzesznika, a gdzie bluźnierstwa, tam czart w pobliżu.

— I to też — rzucił Bezprym za wychodzącymi. — Bluzniłem, ile strzyma, a nie jawił się.

Po wyjściu dostojników Bezprym chodził po izbie, starając się opanować wzburzenie. Ulżył swej złości wywierając ją na nich, ale gdy się uspokoił, pomyślał, że po rozprawieniu się z przeciwnikami mogą mu być potrzebni. Zwolnienie od ślubów umocniłoby jego stanowisko, mógłby uzyskać uznanie także ze strony papieża, a wówczas Mieszko nie miałby po co wracać. Chwiejni przejdą na stronę Bezpryma i nic już nie zagrozi jego władzy.

Przyszedł mu jednak na myśl Bolko i zaklął. Póki on żyje, stanowić będzie groźbę. Dostanie go, gdy zawładnie całym krajem, teraz trzeba myśleć o czekającej rozprawie. Przygotowania były zakończone, ale nienawykłóg do ruchu i gwaru, zmęczyły Bezpryma; w Poznaniu nie można było od nich się uchronić. Wspomnił kamienny pałac na Lednickim Ostrowiu. Raz jeno bawił w nim przejazdem z Gniezna, panująca tam cisza i spokój pozwolą mu odpocząć przed wyprawą, choć przez parę dni. Później tam obierze sobie letnią siedzibę.

Gdy jednak próbował myśleć o przyszłości, nie mógł jej sobie wyobrazić. Teraz żądza zemsty wypełniała mu życie, gdy jej dokona, pozostanie pustka.

Wspomnił słowa arcybiskupa i parsknął złym śmiechem. Śmierć! Ongiś modlił się o nią. Niechby przyszła, gdy weźmie już odwet za zmarnowane życie, byle nie wcześniej. Na wyprawie nie zamierzał się narażać, nie nawykł do konia i broni. Od tego ma wojewodów, a potem niech się dzieje, co chce.

Na Lednickim Ostrowiu istotnie spokój panował, nieliczna służba mieszkała w osobnym budynku, nic nie zakłócało nocnej ciszy, a i we dnie rzadko można było głos ludzki posłyszeć. O codzienne sprawy troszczyła się Chwalona, ale i z nią Bezprym widywał się tylko przy posiłkach. Zabierał łódź i samotnie wyjeżdżał na jezioro, wciągał wiosła i kładł

się, pewny, że tutaj nikt mu nie zakłóci spokoju. Z niechęcią myślał, że wkrótce wracać musi do gwaru i zamętu, po raz pierwszy dostrzegać zaczynał uroki przyrody. I tu była walka i śmierć, ale nie było zdrady, nienawiści, chciwości i zazdrości. Często gładką toń jeziora marszczyło jakby piaskiem sypnął stado drobnych rybek uchodzących przed szczupakiem, po czym wygładzała się znowu i na nagrzanym płycznach w przejrzystej wodzie widać było, jak ocalałe kręca się w poszukiwaniu żeru. Tutaj śmierć służyła życiu.

Jednego dnia Bezprym dłużej niż zwykle zabawił na jeziorze, zapatrzony jak błękit jego wody barwić się zaczyna od zorzy zachodu, a potem wschodzący pełny księżyc wychylił się zza czarnej ściany boru i rzucił srebrzystą połyskliwą ścieżkę przez pociemniałą toń, marszczoną wieczornym powiewem. Z nagrzanego wody wstawać jęła mgiełka, pasemka jej jak wodne duszki odrywały się od jej powierzchni i zbijając się w półprzezroczyste welon płynęły bezgłośnie na wschód, zacierając zarysy pałacu na Ostrowiu. Bezpryma ogarnął chłód i niechętnie skierował łódź ku przystani.

W półmroku dostrzegł czekającą tam Chwalenę. Gdy dobił do brzegu i zacumował łódź, zbliżyła się i rzekła:

— Jeszcze nie obiadałeś, a już wieczerzać pora. Ze wszystkim ziąb i wilgoć niedobre na twoje kości.

— Przeto i wróciłem — odparł — pożywię się i ogrzeję. Tam — wskazał na jezioro — nikto mnie nagabywać nie może.

— Iście nie — rzekła — ale tu był ktoś do ciebie. Prawił, że sprawa ważna.

— Zadość mi ważnych spraw — odparł niecierpliwie. — Po to tu jeśm, by spokój mieć od nich.

— Widzisz, synku, że włość i spokój nie chadzają spodem — westchnęła. — Po cóż ci tego było? Wždy u mnie pokojnie siedzieć mogłeś do końca żywota.

— Wiesz po co — sarknął i skierował się do pałacu. Gdy jednak zasiedli do wieczerzy, przemogła ciekawość i zapytał:

— Kto zaczął był ów człek i czego chciał?

— Nie myśl o tym, skoro ci to wypoczynek psowa — odparła wymijająco, ale gdy nalegał, dodała:

— Pono sokolnik. Włodarz wie, że gadać nie chcesz z nikim, tedy odprawić go chciał, ale człek uparty rzekł, iż wróci jutro, bo mu się jakowaś nagroda należy.

— Jeśli mi donieść chce, kto sokole gniazda podbiera,

kije weźmie nagrodą — ze złością powiedział Bezprym. Pomyślał jednak, że gdyby sokolnik za to czekał nagrody, powiedziałby o tym włodarzowi, który sam mógł błahą sprawę załatwić. Coś ważniejszego musi być na rzeczy, skoro domaga się widzenia z samym księciem. Nie chciał wyjawić co, by go ktoś nie ubiegł. Gdy Bezprym o tym myślał, był niemal pewny, że chodzi o Bolka. Za jego głowę wyznaczył nagrodę. Nadzieja, że wreszcie dowie się czegoś o znieprawionym wrogu, nie pozwalała mu usnąć.

Nazajutrz zerwał się o świcie i wydawszy włodarzowi rozkaz, by natychmiast stawiał przed nim sokolnika, gdy tylko przybędzie, niecierpliwie chodził po komnacie. Byłby sam biegł do przewozu, wolał jednak rozmówić się bez świadków. Nie ufał nikomu, gdyby ktoś niepowołany zmiarkował, że ma wieści o Bolku, mógłby go przestrzec.

Sokolnik nie dał czekać na siebie. Stanąwszy w progu spłoszonym spojrzeniem ogarnął komnatę. Na skinienie Bezpryma zbliżył się nieśmiało i milczał. Bezprym zagadnął:

— Z jakową to ważną sprawą przychodzisz i za co czekasz nagrody?

Sokolnik rozejrzał się jeszcze raz i zapytał szeptem:

— Pono wasza miłość za głowę królewica Bolka nagrodę przyrzekł?

— Możesz gadać śmiało, tu nikto nas nie słyszy. Jeny nie widzę, byś jego głowę przyniósł.

— Nie w mojej mocy — odparł sokolnik. — A za wieść, gdzie go dostać możecie, też dacie nagrodę?

— Jeśli prawdziwa. Skąd go znasz i gdzieś go widział?

— Macierz jego tu żywię w osadzie za onym zakolem jeziora, ja zasię po drugiej stronie. Z powinności chadzam po boru, gniazd sokolich wypatruję i strzegę, on zasię od małeńkości wałęsał się, gdzie go nie posiali, szkodnik i bitnik. Bezprym ze złością pomyślał, że siedziba Bolkowej matki musi być znana wszystkim na Ostrowiu, a nikt mu o tym nie doniósł, choć jasne było, że mogła się przydać w odszukaniu Bolka. Nie zdołałby się ukrywać tak długo, gdyby mu nie sprzyjali, a przynajmniej nie czekali, jak się sprawy obróca. Bez ludzkiej pomocy Bolko nie przebiegowałby zimny, a że zawsze znaleźć ją mógł u matki, nie było wątpliwości. Już ta wiadomość była cenna, ale zapytał:

— Gdzie go widziałeś pośledni raz?

Sokolnik podrapał się po kudłatym łbie:

— Prawdę rzec, nie widziałem go. Ale kto by, gdy noce ciemne, do Dobrochy zachodził, a psy szczekają jak na swojego? Wždy nie młódka, by miłośnik jakowy. Zimą takóž

ślady widywałem do osady i od niej. Poszedłem za nimi jednego razu, ale natknąłem na ślad gromady, tedy zawróciłem, a ze wszystkim nieradem mu się pokazać. Niechby podejście powziął, że go siaduję, nic to dla niego ubić człeka. Was także proszę, miłościwy panie, niechaj nikt nie wie, że ode mnie wiadomość.

— Pokojny bądź. Jeśli to iście on, niedługo mu. Dostanę go, po nagrodę się zgłosisz u skarbnika.

— Co niebądź na zadatek, miłościwy panie. Nie włada jak się sprawy obróca...

— Głupiś! — przerwał Bezprym. — Nic mi po tym, iż wiem, że Bolko do macierzy zachodzi. Całą nagrodę dostaniesz, gdy doniesiesz, że u niej jest. Trzydzieście grzywien ani bez żywot cały nie uścibiesz, opłaci się choćby miesiąc w boru warować. Wyznasz się tam choć i o ćmie, wiesz, którą przychodzi. Jako cię zowią?

— Siemian — odparł sokolnik, znowu skrobiąc się po kudłach. Widocznie nie miał ochoty podjąć się zadania, ale chciwość przemogła, bo rzekł:

— Będę strażował, ale przy pojmaniu nie chcę być. Bez bitki się nie obędzie, czujny jest jako zwierz, a może nie być sam. Ów ślad gromady, którym naszedł, niecałe stajanie od osady, mogą posłyszeć...

— Nie tobie każę go pojmać — pogardliwie przerwał Bezprym. — Płochliwy jeś. Zmiarkujesz, że Bolko jest w osadzie, w te pędy łodzią się przeprawisz i dasz mi znać. Będę sypiał w świetlicy na przyziemiu. Zapukasz do okna trzykroć po dwa razy, sam cię wpuszczę. Reszta nie twoja sprawa.

— Nie jeśm płochliwy — chmurnie powiedział Siemian. — Kazalibyście z rogatyną na niedźwiedzia iść, ani bym się nie zawahał.

— Ni tego ci nie przykażę, a o tym, co kazałem, nikomu ani słowa. I nie pokazuj się tu raniej aż z wieścią, że Bolko jest u macierzy. Ninie możesz odejść.

Gdy Bezprym pozostał sam, zamyślił się głęboko. Skoro wreszcie natrafił na ślad Bolka, rozprawienie się z nim pilniejsze i ważniejsze niż wyprawa. Nie bez przyczyny Bolko nie szukał schronienia u Awdańców. Gdy Bezprym z wojskiem odejdzie za Obrę, będzie miał tego wroga na tyłach, zuchwały jest i przedsiębiorczy. Gdyby leśne gromady, uciążliwe, ale niegroźne w rozproszeniu, w nim znalazły przywódcę, stanowiłyby siłę, której lekceważyć nie można. Bezprym świadomy był, że niewielu ma w kraju rzeczywistych stronników, większość, niechętna wojnie domowej,

czeka na jej wynik. W razie pierwszego niepowodzenia gotowa skupić się koło Mieszkowego następcy. Póki żyje Bolko, Bezprym nie tylko władzy, ale własnego życia nie będzie pewny.

Gdy myśleć zaczął, jak wykorzystać otrzymaną wiadomość, pojmanie Bolka nie zdało się sprawą prostą ani pewną. Nie wie, kiedy przyjdzie i jak długo zabawi u matki. Może tylko po żywność i przyodziewę, a w tym wypadku zanim sam nadaży ze swymi ludźmi, może Bolka już nie zastać, a przestrzeżony więcej się tam nie pokaże. Ze złością pomyślał, że jeśli chybi, uwięzi jego matkę. Zapewne Bolko zechce ją odbić, ale choć lekkomyślny, nie przyjdzie sam. Nie wiadomo kiedy i z jaką siłą, a i wówczas pojmanie go było wątpliwe. Sam będzie tylko w osadzie Dobroszki i tam go pojmać najłatwiej, ale nie może jej zawczasu obstarwić, drogę musi Bolko mieć wolną.

Ludzi na Ostrowiu Bezprym ma niewiele, zaufania do nich nie żywi, zresztą potrzebną siłę trzeba mieć bliżej Dobroszkowej osady, bo zależy na czasie. Postanowił skoczyć do Poznania i wybranych tam wojów umieścić u rybitwów na zachodnim brzegu jeziora, naprzeciw Ostrowia, skąd znacznie bliżej do osady leśnej. I tak sporo czasu zajmie, nim Siemian nadaży z wiadomością, a potem razem przeprowią się na zachodni brzeg.

Do nowiu było jeszcze daleko, noce jasne, ale Bezprym wolał nie zwlekać z przygotowaniami. Chwalona, widząc że zbiera się do wyjazdu, zapytała:

— Wracasz do Poznania? Pojadę z tobą, mam swoje domostwo, nic tu po mnie.

— Nie wracam — odparł — jeno cosi mam załadzić i jednym dniem będę z powrotem.

Domyślała się, że jest to w związku z pobytem nieznanego człeka, ale wiedziała, że Bezprym nie lubi, by go wypytywać i zamilkła. Wrócił istotnie tego samego dnia wieczorem, ale gdy z komory na wyżce, w której sypiał dotychczas, kazał przenieść łoże do świetlicy na przyziemiu, ogarnął ją niepokój. Coś się święci, a nie mogła się niczego domyślić. Przywykła z sąsiedniej komory słyszeć jak wstaje w nocy, nawet jego chrapliwy oddech i sama zasypiała spokojna o niego. Teraz nie będzie mogła usnąć.

Minęła jednak jedna i druga noc, a nie działo się nic. Tyle że zmieniła się pogoda, wiatry z zachodu nagnały chmur i Bezprym przestał wyjeżdżać na jezioro. Zapewne to było przyczyną, że stał się bardziej niecierpliwy niż zazwyczaj, a po wieczerzy, w czasie której roztargniony był, wprost wy-

ganiał Chwalenę na wyżkę. Siedziała w ciemności nasłuchując, póki o bladym świetle nie zmorzył jej sen. Przeczukiwała, że coś się musi wydarzyć, co pozwoli jej zrozumieć niezwykle zachowanie się Bezpryma.

Do nowiu brakło jeszcze parę dni, ale bezgwiezdne noce ciemne były. Siemian już trzecią od zmroku przesiadywał w lesie przy ścieżce wiodącej do osady, przeklinając swoją chciwość. Własnej ręki nie widział w smolistej ciemności, Bolko nie musi nadejść ścieżką, zna tu każdy pień i krzew i w ciemności przemknąć się może niepostrzeżony. Rozświeślały ją tylko odległe błyskawice idącej gdzieś bokiem pierwszej burzy wiosennej, po których mrok zdał się jeszcze głębszy, a szum wiatru w koronach drzew zacierał wszelkie odgłosy. Ani marzyć, by w nim wyróżnić można było szelst ostrożnych kroków.

Siemian zrozumiał, że jeśli jego wysiłek nie ma iść na marne, musi się przysunąć na kraj lasu, tak by mieć na oczach zabudowania. Były dość odległe, wiatr jednak szedł z zachodu i mogą poczuć go psy. Ale ujadają także, gdy poczują zwierza, niewielkie niebezpieczeństwo, że zdradzą jego obecność. Niemniej zaklął, gdy podszedłszy ujrzał zarysy budynków. Psy odezwały się istotnie, ale serce zabiło mu nadzieją. Błony w oknach precedzały światło, ktoś czuwał widocznie, a o tej porze nikt nie czuwa bez przyczyny.

Istotnie czuwali oboje, Dobroszka i Stańko. Siedzieli przed paleniskiem od wieczora, z rzadka dorzucając szczap, byle nie wygasło, a rzadziej jeszcze jakie słowo. Zbliżała się północ, stary Stańko zadrzemywał chwilami, Dobroszka wpatrzona w ogień jeszcze czekała.

— Bo poszłabyś spać — odezwał się stary. — Chyba już nie przydzie dzisiaj.

— Ty się połóż, ja jeszcze posiedzę — odparła.

Siedziała nadal w milczeniu, smutnie zadumana. Takie to królewskie życie zgotował Mieszko synowi! W lesie żyje jak wilk, jak wilk chyłkiem podchodzić musi tam, gdzie żył spokojnie, wolny jak ptak. Królewic! Jego koza aże trzydzieście grzywien srebra stoi. Dla wroga! Dla niej nie ma ceny. Ocknęła się z zamyślenia, gdy odezwał się pies, a zaraz zawtórowały mu inne.

— To on! — powiedziała.

Stańko otrzeźwiał również i nasłuchiwał. Po chwili rzekł:

— Nie on! Ujadają jak na obcego lubo zwierza.

Usiadła z powrotem, zawiedziona. Psi harmider nie ustawał jednak. Zwierz spłoszony odszedłby, musi być ktoś obcy. Zaniepokoiła się, czego może tu szukać o tej porze? Zwraca-

jąc się do Stańki rzekła:

— Weźmi psy i zajrzyj, kto się wałęsa. Niedobrze, gdyby Bolko teraz nadszedł.

Jeszcze nie skończyła, gdy rozległo się pukanie, umówione z Bolkiem. Uradowana sama podbiegła do drzwi i odłożyła zaworę. Cofnęła się zaskoczona i zdumiona. Bolko nie był sam, trzymał za kark zgiętego wpół człowieka, kolanem wepchnął go do izby i zaśmiał się:

— Cóż się dziwujecie? Gościa przywiodłem. Ale że nie-
rad goście, dajcie powroza, by nie uszedł.

Gdy światło padło na twarz obcego, zaśmiał się znowu:

— Somsiad! Siemian! Pewnikiem sokolich gniazd wypa-
trywałeś po nocy? A do dziątek było ci spieszo, żeś tak
niechętnie tu wstąpił. Ja zasię mam z tobą do pogadania, po
coś tu przyszedł?

Gdy Siemian przyduszony wciąż jeszcze łapał oddech
i półżywy z przerażenia milczał, Bolko kopnął go, aż się na
ziemię potoczył i przyklękawszy mu na piersiach wydobył
nóż.

— Gadaj — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Lubo nigdy
więcej gadać nie będziesz. Śledziłeś mnie? Po co?

— Książę Bezprym mi przykazali — wyszeptał Siemian
pobladłymi wargami.

— Bezprym! — Bolko zaśmiał się znowu. — Wierę, że
rad by mnie dostał, ty zasię onych trzydzieście grzywien za
moją głowę. Jeno twoja ni starej cizmy niewarta, jeśli mi
szczerze nie powiesz wszytkiego. Gdzie Bezprym kazał ci
donieść, że tu jeśm?

— Sobie, na Ostrów, jeno tak, by nikto nie wiedział.

— Wierę, że ty byś wolał, by nikto nie wiedział, iześ mnie
wydał. Jeno jak się z nim ujrzysz po nocy, by ktoś nie zmiar-
kował?

— Na przyziemiu sypia w świetlicy. Zapukać mam trzy-
kroć po dwa razy — powiedział Siemian z wahaniem. Bolko
wstał i rzekł:

— Jeśliś zełgał, jutrzejszego słońca już nie ujrzysz. —

Zwracając się do Stańki powiedział:

— Gdybym nie wrócił do świtania, kijem go zatłuczesz.

Dobroszka, która dotychczas w osłupieniu patrzyła na to,
co się dzieje, widząc, że Bolko zbiera się do wyjścia, zapytała
przerażona:

— Dokąd? Co chcesz uczynić?

— Do Bezpryma. Wždy czeka na moją głowę — zaśmiał
się beztrosko, a zwracając się do Siemiana powtórzył:

— Jeśliś zełgał, jeszcze pora byś prawdę rzekł. Lękać się

nie potrzebujesz. Albo jego nie będzie, albo mnie... i ciebie.

— Klnę się na wszystkie bogi — powiedział Siemian drżącymi wargami.

— Tedy módl się do nich, by mi się powiodło — rzucił przez ramię Bolko i już go nie było.

Bezprym również trzecią noc przesiadywał w świetlicy, czuwając do świtu, nie zdjawszy nawet cizem, by w każdej chwili gotowym być do wyjścia. Gdy zdrzemnął się na chwilę, wstawał i zaczynał chodzić, w obawie, że może zasnąć i nie usłyszy pukania. Noc była chmurna i wietrzna, czasami wyteżony jego słuch łudziły jakieś odgłosy dochodzące z dworu. Wówczas zrywał się i wszedłszy do ciemnej sieni otwierał drzwi. Nie było nikogo, widać było tylko jaśniejszą od smolnego mroku taflę jeziora i słyszeć chlupot fali rozbijanej o brzegi. Bezprym zawiedziony wracał do świetlicy i znowu zaczynał chodzić, podniecony i zły. Północ dawno minęła, może znowu czuwa na darmo. Zaczynał tracie nadzieję, że sprawa się powiedzie. Siemian wyraźnie był przestraszony, może poniechał zadania. Jeśli nawet nie, Bolko może nie przyjdzie, a jeśli przyjdzie, nietrudno go prześlepić w taką noc. Wkrótce nastaną jaśniejsze, znowu czekać trzeba na nów, a czekać już nie może.

Chwilami, gdy ustawały porywy wiatru, cisza aż dzwoniła w uszach. W pałacu nie było nikogo prócz niego i Chwaleny, śpiącej na wyżce. I ona pewnie nie śpi, niespokojna o niego. Jej mógłby się zwierzyć, lękał się jednak zauroczyć sprawę, a nie byłaby spokojniejsza, gdyby wiedziała, że zamierzył sam wziąć w niej udział. Ludziom zebranim w osadzie rybitwów również nie wyjaśnił, w jakim celu czuwać mają każdej nocy, w pogotowiu do wyjścia. Dowiedzą się dopiero, gdy przyjdzie do działania i sam chciał dopilnować wykonania rozkazu, ale też nie może ich trzymać w pogotowiu zbyt długo.

I jego ogarniała senność, po trzeciej już nocy spędzonej na czuwaniu, a wraz z nią gasła zbyt pochopnie powzięta nadzieja pozbycia się zniechęconego i groźnego wroga. Wiatr zdał się nacichać, jak zwykle przed świtem, i Bezprym już myślał, że dłużej czuwać nie warto, gdy nagle poderwało go pukanie. Nasłuchiwał przez chwilę, obawiając się, że znowu słuch go złudził, ale gdy powtórzyło się, skoczył do sieni i otworzył drzwi. Ciemność jeszcze panowała zupełna, ale na tle zwierciadła jeziora ujrzał zarys postaci. Zdyszany z podniecenia szeptem zapytał:

— Jest?

— Jest! — również wyszeptaną posłyszał odpowiedź. —

Wejdz! — powiedział i cofnął się do izby, by ubrać jakę i czapkę, bo noc była chłodna. Przybyły wszedł za nim. Bezprym przybrany do wyjścia odwrócił się i patrzył na niego osłupiały, jeszcze sądząc, że łudzi go wzrok lub że mu się śni postać wroga, który nie schodził mu z myśli od chwili, gdy doszła go wieść o nim. Mrugał czerwonymi z bezsenności oczyma, ale zjawa nie znikwała. Przed nim stał Bolko, na widok zdumienia Bezpryma uśmiechnął się drwiąco i rzekł: — Cóż się dziwujesz, stryku? Wždy chciałeś mnie widzieć, tedy przychodzę jak przystało do starszego krewniaka, byś się do mnie trudzić nie musiał.

— Zdrajca! — wyszeptał Bezprym zdławionym głosem. Myślał o Siemianie, ale Bolko odparł:

— Ja? Mniemałem, że ty. Niemcowi mogłeś się pokłonić, bratu nie. Ale nie przychodzę się prawować. Chciałeś dać trzydzieście grzywien za moją głowę, choć w skarbie pusto. Możesz ją mieć darmo, czemuż stoisz niczym kołek w płocie? Gdy Bezprym nadal milczał, Bolko ciągnął:

— Wždy pomsta smakowitsza własną dokonana ręką. Ja, choćbym miał trzydzieście grzywien, ni jednej nie dałbym za twoją głowę. Wolej mi ją darmo wziąć.

Tego Bezprym był pewny, od chwili gdy zrozumiał, że nie zjawa stoi przed nim. Jak tonącemu, stanęło mu przed oczyma całe życie, bez jednej chwili szczęścia, a teraz zgasła nadzieja nawet na pomstę. Wiedział, że nie dostoi osiłkowi i że darmo wołałby o pomoc. Zbudziłby tylko Chwalone, jeżeli już śpi. Niechaj śpi, dowie się na czas, że także żyć nie ma po co.

Bolko, widząc że Bezprym się nie rusza, rzekł niecierpliwie:

— Nie będziem tak stać do rana. Broń się lubo zarżnę cię jak cielaka.

Wyjął zza pasa nóż i postąpił ku Bezprymowi, wpijając w niego bezlitosne spojrzenie jasnych oczu. Gdy Bezprym i teraz nie poruszył się, skoczył jak żbik i obaliwszy go na ziemię klęknął mu na piersiach. Ostatnie co ujrzał Bezprym, to błysk noża w świetle kaganka.

Bolko wstał, drgające jeszcze ciało dźwignął z ziemi i jak wór rzucił na łożo. Wytarł nóż o szatę zabitego, zgasił kagankę i wyszedł.

Chwalona istotnie usnęła przed świtem, ale wcześniej zbudził ją blask słońca. Ranek wstawał świetlisty, wiatr przegnał chmury tylko rozkołysana nim fala tłukła się jeszcze o brzegi, ale uspokajała się z każdą chwilą i jezioro błękitniało odbiciem wiosennego nieba bez chmurki. Chwalona

wstała i zszedłszy na dół, ostrożnie zajrzała do świetlicy. Cofnęła się, widząc, że Bezprym odziany leży na łożu i nie porusza się. Widocznie na coś czekał i wreszcie zmorzył go sen. Udała się do kuchni, by przygotować ranną polewkę i podać ją bez zwłoki, gdy zawoła o śniadanie. Ale zbliżało się południe, a Bezprym nie wstawał. Zaniepokoiła się i ponownie zajrzała do świetlicy. Może zasnął, ostatnio niespokojny był i nieswój, nie sypiał po nocach. Zbliżyła się do łoża i spojrzała na pożółkłą i wyciągniętą twarz Bezpryma. Przeraziła się i chwyciła go za rękę. Zimna była i sztywna, a na piersi widniała plama szerniejącej już krwi. Zrozumiała i z krzykiem upadła na zwłoki.

Wieść o śmierci Bezpryma jeszcze tego samego dnia dotarła do Poznania, wzbudzając zamęt. Zamierzona przez niego wojna domowa traciła cel, a już poprzednio nie budziła zapалу. Wielu z tych, którzy tylko z obawy przed jego okrucieństwem stanęli na wezwanie, natychmiast odjechało do domów, z rodowych hufców nie pozostał ni jeden, na sprzyjających mu dostojników padł popłoch. Wkrótce dla nikogo nie było tajemnicą, kto był sprawcą zabójstwa, Bolko z gromadą zabijaków zajął Lednicki Ostrów. Nikt nie wiedział, jakimi rozporządza siłami, jedno natomiast było pewne: z kolei poszuka głów stronników Bezpryma. Toteż pierwszy zbiegł ustanowiony przez niego poznańskim komesem Domosław Trzaska, a w ślad za nim kto tylko nie czuł się bezpieczny przed mściwością Bolka. W stałej drużynie, pozbawionej przywódców, zapanowało rozprężenie, nikt nie wydawał rozkazów i nie troszczył się o zaopatrzenie, rozłaziła się więc, szukając go na własną rękę i powiększając zamęt. Nękana tym spokojna ludność z utęsknieniem wyglądała, by ktoś objął władzę i ukrócił bezprawia. Na szczęście już czwartego dnia zjawił się w Poznaniu dawny komes Dobromir z rodowym hufcem. Kilku wojów schwytanych na rabunku kazał ściąć, paru pojechało za końskim ogonem, w miejsce zbiegłej starszyny ustanowił inną i w grodzie zapanował ład. Nie miał jednak dość sił, by przywrócić spokój w kraju, natychmiast przeto pchnął gońców do palatyna Michała, któremu Mieszko, wyjeżdżając do Merseburga powierzył namiestnictwo.

Wieść jednak o wypadkach rozchodziła się szybko i palatyn, przebywając w niezbyt odległym Krzywiniu, gdzie gotował pierwszy opór spodziewanej napaści, wiedział już o nich i nie czekając na wezwanie natychmiast dosiadł konia i ruszył do Poznania. Nie zajeżdżając nawet do swego dworca na Śródce zjawił się na grodzie, gdzie go z ulgą

powitał Dobromir. Groźba wojny domowej zniknęła ze śmiercią Bezpryma, ale daleko było do tego, by znowu zapanaował ład i spokój. Pusty skarbiec, rozprężone wojska, wyczerpany i zniszczony kraj, bezdomne i głodujące gromady po lasach, niepewne gościńce. Należało ściągnąć zasoby i zapasy z nie zniszczonych dzielnic. W Wielkiej Polsce brakło nawet zboża na zasiewy i tak spóźnione. W razie zaniedbania ich groził głód. Było o czym myśleć i nad czym radzić. Awdańce nie żalowali własnych zasobów, ale nic to było wobec potrzeb, a Michał wiedział, że stare rody z zawiści do nich nie pójdą mu na rękę. Toteż gdy na wieść o śmierci Bezpryma zjechał do Poznania arcybiskup Bożęta dla załatwienia kościelnych spraw, na zwołanej naradzie Michał zwrócił się do niego:

— Nie żalował miłościwy pan ni rodzic jego, ni dziad nadań i zasobów kościołom i klasztorom. Ninie od waszej wielbności pomocy czekamy. Kto chce zbierać, siać musi. Na nic siłą tłumić podnoszące głowę pogaństwo, gdy prosty naród nieszczęścia, jakie nań spadły, za pomstę starych bogów uważa. Ninie nie od niego czekać wam danin i świadczeń, ale kościelne i klasztorne spichrze i lamusy mu otworzyć, sprzężaju udzielić do odbudowy. Gdy będzie dokąd, rozejdą się gromady, głodnemu chleb ważniejszy niżli taki czy inny bóg. Więcej tym ludzi zjednacie, niżli ja mógłbym siłą.

Bożęta siwą głową kiwał, ale odparł:

— Juści i Bóg przykazał głodnego nakarmić. Nigdy nie skąpiłem wsparcia biedocie. Ale czemuż to sięgać chcecie do kościelnego skarbcza i spichrza, gdy są zapasy w grodach, których nie zniszczył nieprzyjaciół?

— Bo ziemia czekać nie może na siew ni głodny na chleb — odparł palatyn. — Pomoc potrzebna nie jutro, ale dziś, za udzieloną z dobrej woli wdzięczni będą, czynem łacniej zbłąkanych do prawdziwej wiary przekonacie niżli słowem lubo siłą, bo mi indziej potrzebna. A to wiecie, że głód zły doradca. Moja zasię pierwsza troska, jak króla wydobyć z niewoli. Wróci, uładzą się sprawy, hojny był zawsze dla Kościoła, z nawiązką wam odpłaci, gdy jeno będzie z czego.

— Daj Bóg, by wrócił — westchnął metropolita. — Nabozny i hojny dla Kościoła był pan. Ale nie wiada zali jeszcze żywię. Srogie jest plemię onego bratobójcy, Oidrzych rodzzonego brata od lat gnoi w lochu. Ale nie wdał się w rodzica Mieszkowy następcą...

— Ostawcie! — przerwał palatyn. — Bolko ustatkuje się z wiekiem, a ninie wielką krajowi oddał usługę, przy-

czynę wojny domowej usuwając. Ale po cóż myśleć o następcy, gdy król żywie ani chybi, bo o śmierci jego byłoby głośno. Nie w tyra rzecz, jeno jak go wydobyć z czeskiej niewoli, pieniądzem lubo chytrąścią. Komes Wlenia swojaków ma w Czechach, przez niego wieści były o królu. Pewnikiem i teraz będzie je miał lubo zasięgnąć może. Z nim uradzę, co poczynać.

— Zdałoby się wiedzieć, co zamierza królewic Bolko — wtrącił Dobromir. — Jak go znam, ninie pomsty gotów szukać na Bezprymowych stronnikach. Winien zrozumieć, że są pilniejsze sprawy, a pirwe spokój w kraju. Wróci król, sam postanowi, zali karać zechce lubo laskę winnym okazać.

— Prawie mówicie — przyświadczył Bożęta. — Winnych zbyt wielu, by wszystkich pokarać można spokoju nie naruszając, miłosierdzie większe niżli sprawiedliwość. A nie masz Bezpryma, nie ma jego popleczników.

— Tedy zechce wasza wielebność wstąpić do królewica na Lednicki Ostrów — zwrócił się palatyn do Bożęty. — Nie z drogi wam będzie do Gniezna. Samowolny jest, ale może zrozumie, że gdy jedną ręką zarzewie rozdwojenia zagasił, drugą zasię rozniecić je może. Ja do Wlenia jadę nie mieszkać, na Śląsku muszą już wiedzieć, co tu zaszło, może komes sam pomyślał, jak króla uwolnić.

— Daj to Bóg! — westchnął arcybiskup. — Modły zarządzę na tą intencję. I dla Kościoła, i dla kraju źle byłoby, gdyby w takowym czasie włość miał objąć ów nieźrały junosza.

Wieść o śmierci Bezpryma istotnie rozchodziła się szybko i z końcem wiosny dotarła zarówno do Pragi jak i Merseburga, gdzie wciąż jeszcze bawił cesarz Konrad. Z nastaniem cieplej pory zdrowie jego poprawiło się, ale jednocześnie rozgorzały walki z Weletami, zagrażając Pomocnej Marchii. Wypadki w Polsce były przyczyną nowej troski cesarza. Już poprzednio Mieszko zdołał zjednać sobie niektóre z pogańskich plemion połabskich, współdziałanie ich z Polską mogło ponownie zagrozić niedawno odzyskanym marchiom miśnieńskiej i łużyckiej, gdy jednocześnie Oidrzych wyraźnie zmierzał do zrzucenia zależności od Niemiec. Teraz wezwany do Merseburga nawet nie usprawiedliwił niestawiennictwa, natomiast pojednał się z synem Brzetysławem, który również naraził się cesarzowi porywając z klasztoru Judytę, siostrę frankońskiego margrafa Ottona ze Schweinfurtu. Cała wschodnia i północna granica stała się niepewna, a jednocześnie niepokoje w Italii wzywały cesarza na południe. Natomiast Oidrzych na wieść o śmierci Bezpryma zatarł

ręce. Zhołdowanie Polski, najsilniejszego przeciwnika cesarstwa na wschodzie, dawało Konradowi wolną rękę przeciw zbuntowanemu lennikowi czeskiemu. Dobrze się stało, że cesarz nie chciał kupić Mieszka, teraz Oidrzych uwalniając go, ciśnie mu kłodę pod nogi, odsunie od siebie niebezpieczeństwo, przynajmniej na jakiś czas. A czas jest drogi, Konrad nie może stale zajmować się tylko wschodnimi sprawami.

Mieszko zaś, odcięty od wszelkich wiadomości, stracił już nadzieję uwolnienia. Gdy po raz pierwszy przebywał w czeskiej niewoli, wiedział, że ojciec uczyni wszystko, by go z niej wydobyć. Chrobremu nie brakło ni sił, ni złota, przepłacił niemieckich dostojników, którzy wymogli na Henryku, by kazał Mieszka uwolnić. Teraz nie ma Chrobrego, skarb wyczerpany wojnami, kraj osłabiony najazdem Jarosława. Przez chwilę odżyła w Mieszku nadzieja, gdy z zamknięcia na wieży przeniesiono go do wygodnej i ciepłej izby na wyżce, a z nastaniem wiosny zezwolono nawet wychodzić do ogrodu, choć zawsze pod dozorem strażnika. Widocznie zakazano mu jednak wszelkich rozmów z więźniem, gdyż nie odpowiadał nawet na obojętne pytania. Teraz Mieszko rozumiał, co musiał przez ćwierć wieku cierpieć Bezprym, gdy sam nie miał z kim nawet dwóch słów zamienić. Zamiast gniewu na zdradzieckiego brata, ogarniała go litość nad nim. Gdy odzyska wolność, nie tylko mu wybaczy, ale będzie się starał wynagrodzić wyrządzoną przez ojca krzywdę. Sądził, że poprawę swego położenia zawdzięcza wstawiennictwu sprzyjającej mu Matyldy lotaryńskiej, siostry cesarzowej Gizeli i za jej pośrednictwem zdoła odzyskać wolność.

Ale czas płynął, nadzieja zgasła i Mieszko zamiast o wolności, myśleć zaczął o śmierci. Znowu budził się po nocach i nie mogąc usnąć, chodził po izbie do świtu, po czym nieraz dzień cały przeleżał w łożu, nie wstając, nawet by się pożywić. Przestał wychodzić, drażniła go bowiem obecność milczącego strażnika. Nie chciał widzieć nikogo.

Toteż gdy jednego dnia do izby wszedł niespodzianie żupan Prokosz Tepka, Mieszko leżąc na łożu z oczyma utkwionymi w powalę, nawet nie spojrzał i nie poruszył się. Nie odpowiedział też na pozdrowienie, jakby go nie słyszał, rad się pozbyć nieproszonej obecności. Żupan jednak nie wychodził, stał przez chwilę zmieszany i podjął:

— Wysłuchajcie mnie, miłościwy panie, bo dobrą przynoszę nowinę. — Gdy Mieszko nadal się nie poruszył, dodał: — Zdradziecki brat wasz, Bezprym, nie żywie.

Teraz król usiadł na łożu, przecierając oczy, jak obudzony ze snu lub niepewny, czy się nie przesłyszał. Żupan ciągnął: — Przychodzę prosić o wybaczenie, iżem was pojmał, nie wiedząc, że krewniak wasz, a pan mój kniże Oidrzych, gościa jeno chciał w was widzieć, jak długo w Polsku Bezprym jako cesarski namiestnik moc sprawował, bo w kraju żywota nie byliście pewni.

Mieszko siedział w milczeniu, zamyślony. Nie wierzył ani w pomyłkę żupana, ani w dobrą wolę Oidrzycha. Wietrzył jakiś podstęp i czekał, spodziewając się, że Prokosz powie wreszcie do czego zmierza. Żupan zmiarkował, że Mieszko mu nie ufa i rzekł z uśmiechem:

— Widzę, że mi nie dowierzacie, miłościwy królu. Mniemam, że was przekonam o szczerości, gdy rzekę: do waszej woli do kraju wracać, rząd objąć lubo do Pragi, gdzie krewniak przyjmie was jako brata i druha.

Mieszko nadal nie wierzył chytremu Oidrzychowi. Druh! Od pokoleń, ilekroć Polska walczyła z Niemcami, Czesi byli po przeciwnej stronie. Ale choćby Oidrzych zamierzał go zgładzić w drodze, tak by się wieść nie rozeszła, Mieszko wolał to niż życie bez nadziei i celu. Zapytał:

— Kiedy mogę wyjechać?

— Nawet zaraz. Orszak dla was przygotowany, odprowadzą was dokąd wola.

— Przykażcie tedy konie siodłać — rzekł Mieszko wstając.

— Co mam rzec mojemu panu? — zapytał żupan.

— Że zadość mi gościny. Wracam do kraju — odparł i skierował się do wyjścia.

Jeszcze w to nie wierzył, gdy znalazł się w siodle. Ciągnęli ruchliwym gościńcem wzdłuż rzeki na Litomierzyce. Odwykły od konia i ruchu Mieszko na postojacn walił się na spoczynek, wyzbyty sił, ale minęła bezsenność. Gdy w Litomierzycach przeprawili się za Łabę, wjechali w kraj górzysty i słabo zaludniony. Coraz rzadziej na noclegi stawali w osadach, podróż stała się uciążliwa, ale Mieszko uwierzył, że istotnie zmierza na wolność. Gdyby Oidrzych chciał go zgładzić potajemnie, sposobności było zadość. Toteż gdy dotarli do Gór Łużyckich i ciągnąc przyszło zupełnym bezdrożem i bezludziem, Mieszko ponaglał podróż ile sił w koniach. I jemu wracały wraz ze snem i chęcią do jadła.

Gdy zbocza górskie pochyliły się na północ, podróż stała się łatwiejsza, kraj ludniejszy. W Żytawie stanęli na ostatni popas na ziemi czeskiej, pod wieczór następnego dnia dotarli do rzeczutki, nad którą zatrzymali się na nocleg. Gdy rankiem siodłano konie, do Mieszka zbliżył się dziesiętnik

mówiąc:

— To Nysa. Rzeką traficie do waszego Shorzelca. Tedy żegnajcie, miłościwy panie. Nam wracać.

Skłonił się, dosiadł konia i orszak zawrócił. Mieszko pozostał sam, przez chwilę wahał się, dokąd jechać. Po utracie Łużyc Nysa stanowiła granicę, nie był jednak pewny, kto teraz siedzi w Zgorzelcu. Droga nad rzeką niezbyt była ruchliwa, wolał jednak tymczasem nie spotkać się z ludźmi, i ruszył bezdrożem na wschód. Jechał nie spiesząc się, teraz samotność odczuwał jak ulgę. Od dnia, gdy po śmierci ojca objął władzę, nigdy nie miał dnia wyłącznie dla siebie. Zrazu rozmyślał nad przyczyną, dla której Oidrzych zwolnić go kazał. W życzliwość jego nie wierzył, musi mieć w tym jakiś własny cel. Ale od dawna pozbawiony wszelkich wieści ze świata, Mieszko darmo głowił się nad tym. Przestał rozmyślać i rozkoszował się swobodą. Był pogodny dzień późnej wiosny, przyroda w pełnym rozkwicie wdzięczyła się wszystkimi urokami: barwami i upojną wonią kwiecica, śpiewem ptactwa, a w skwarne już południe kościelną ciszą, od czasu do czasu jedynie przerywaną żalonym kwileniem jastrzębi, szelestem uchodzącego większego zwierza lub skrzeczeniem ciekawskich sójek.

Pod zachód w drodze stanęła niewielka rzeczulka i Mieszko tu postanowił zatrzymać się na nocleg. Wiedział, że to górny bieg Kwisy, jeszcze jeden dzień swobody i dotrze do leżącego nad Bobrem Wlenia. Napoił konia i spętanego puścił na paszę, a sam ułożył się z siodłem pod głową. Patrzył na gasnące na niebie zorze zachodu i słuchał ostatnich odgłosów dnia, cichego pogwizdywania drozdów, aż na ciemniejący z każdą chwilą granat nocnego nieba wyroiły się gwiazdy. Z pewnym zdziwieniem myślał o tym, że w swym długim już życiu nigdy nie był w lesie sam i po raz pierwszy spojrzał jakby innymi oczyma. Dotychczas z odgłosów lasu znał gwar wojenny, rzadziej łowiecki, woń końskiego potu i czerwien krwi.

Nie wiedział, kiedy usnął i spał bez marzeń, aż obudził go ranny chłód. Pierwsze promienie słońca dopiero muskały szczyty drzew, w głębi boru leżał jeszcze cień, ale już rozśpiewały się ptaki.

Mieszko zbierał się ociągliwie, dobrze mu tu było w ciszy i samotności. Ale wiedział, że to już koniec, nawet nie spiesząc się jeszcze tego dnia dotrze do Wlenia. Nie wiedział, co w kraju zastanie, jedno było pewne: troski, zgryzoty, zadania nad siły. Spełnia się ponura przepowiednia ojca. Ale przed nim nie ma innej drogi niż podjąć daremny trud, by

odwrócić przeznaczenie. Wstał z ociąganiem, rozpiął i osiodłał konia i ruszył na wschód.

Oidrzych zadbał o to, by wieść o powrocie Mieszka do kraju co prędzej dotarła do Konrada i jak słusznie przewidywał, pokrzyżowała jego zamierzenia. Nie mógł skierować zgromadzonych sił przeciw Czechom, zostawiając Mieszkowi czas, by okrzepnąwszy po zniszczeniach i zamęcie, znowu stał się niebezpiecznym wrogiem.

Wiadomość o jego uwolnieniu pierwszy przywiódł naumbursko-żytycki biskup Cadalus, ale duchownych lenników magdeburskiej archidiecezji niepokoiły szczególnie objawy nawrotu do pogaństwa. Gdyby prosty naród, przywiązany jeszcze do starych bogów, korzystając z zamętu w Polsce obalił krzyż, mogło to stanowić zachętę i oparcie dla obalenia go także na Połabiu, niszcząc dotychczasowy dorobek i kładąc tamę dalszemu przenikaniu niemczyzny na wschód. Tak czy inaczej, działać należało szybko, ale Konradowi niełatwo było powziąć postanowienie. Osłabiona i rozdwojona Polska nie mogła stawić najazdowi poważniejszego oporu, ale powiększyłby tylko zamęt, sprzyjający pogańskiej reakcji. Zhołdowanie Bezpryma niczego nie rozwiązało, nie zdołał opanować nawet części kraju i przyplacił to życiem. Konrad pamiętał, że po nadejściu wiadomości o pojmaniu Mieszka — Ryczeza przypomniała mu przyrzeczenie, iż namiestnikiem w Polsce ustanowi Ottona. Odmówił wówczas, rad, że mimo niepowodzenia wyprawy przeciw Mieszkowi osiągnął cel, gdy wprowadzony przez Jarosława Bezprym złożył mu hołd. Ryczeza nie tała niechęci z powodu odmowy, a cesarza upokarzało to, że usprawiedliwiać się przed nią musi. Po zamordowaniu Bezpryma jasne było, iż sprawy polskie rozważyć należy na nowo i gdy Ryczeza zażądała posłuchania, nie miał wątpliwości, czego się będzie domagać. Nie chciał jej po raz wtóry drażnić odmową, ze względu na jej potężnego ojca, reńskiego palatyna, ale znając ją wiedział, że zależny od niej Otto ma być tylko narzędziem, przez które sama będzie sprawować władzę. Nie liczy się jednak z tym, że Otto podobnie jak Bezprym niewielu znajdzie w kraju stronników, sama zaś tylko w niemieckim duchowieństwie, jak ona znienawidzonym przez prosty lud. Osłabiona i skłócona Polska nie może wprawdzie stawić poważniejszego oporu, ale nie można też uczynić z niej jednej więcej czy kilku marchii, gdy istniejące już na ziemiach słowiańskich dość wiązały sił i przysparzały trosk.

Konrad chciał sprawę rozważyć spokojnie i bez naciśku, polecił przeto oświadczyć Ryczezie, że zwołał na na-

radę duchownych i świeckich lenników, na której i jej wysłucha.

Czekał jeszcze na najpotężniejszego z nich, magdeburskiego Hunfrieda, gdy niespodzianie zjechała do Merseburga cesarzowa Gizela, wracając z odwiedzin u swej siostry, Matyldy lotaryńskiej. Konrad uradował się jej obecnością, niewiasta była wykształcona i bystra. Do spraw państwowych nie mieszała się, ale przy niej mógł głośno myśleć i nieraz skorzystał z jej rady, wiedząc, że w przeciwieństwie do innych doradców, nie ma na celu własnej korzyści.

Gdy po uroczystym powitaniu wieczorem zostali sami, Gizela widząc, że Konrad chodzi głęboko nad czymś zamyślonny, zapytała:

— Troskę jakowąś macie?

— Trosk mi nigdy nie brakło — odparł. — Zdać się mogło, że ubyla jedna, gdy Bezprym namiestnikiem ostał w Polsce, a Mieszka pojmał Oidrzych. Ninie Bezprym nie żywie, Oidrzych zasię uwolnił Mieszka ani chybi, by mi trosk przysporzyć. Mnie pilno do Italii, a nijak odejść, nie załatwiwszy sprawy. Ostawię mu czas, umocni się i miast w Polsce mieć lennika, będę miał wroga.

— Słyszałam, że Mieszko po wyprawie chciał się układać — wtrąciła Gizela. Konrad przytaknął:

— Był tu. Ale wonczas już Jarosław Bezpryma na stolcu książęcym osadził. Bezprym hołd mi złożył, klejnoty koronacyjne wydał, hufiec na rzymską wyprawę stawić obiecał. O czym tedy z Mieszkiem miałem się układać, gdy panem nie był w kraju? Nawet Rychezie odmówiłem, by Ottona namiestnikiem jej syna uczynić. Kto mógł przewidzieć jak się sprawy obróca? Ninie Bezprym nie żywie, Mieszko do kraju wrócił, nijak mi odejść nie załadziwszy sprawy z Polską. Ostawię mu czas, umocni się, odebrać gotów co stracił, nawet Oidrzycha poprzeć. Uderzyć trzeba, póki tam zamęt i rozdrojenie, ale co dalej? W jego miejsce osadzić muszę takiego, któren by bez mojej pomocy utrzymać się wydolił. To wiem, że Rycheza zasię Ottona raić mi będzie, by przez niego rządy sprawować. Niewiasta żadna władzy i pyszna, wymogła, bym jej nadal królową zwać się przyzwolił. To mi nie wadzi, ale takie to będzie królowanie. Otto miru w kraju nie ma, ona zasię jeno u duchowieństwa, które samo za oparciem ogląda się, bo w zamęcie pogaństwo podnosić jęło tam głowę. Odmówię jej, zadrę mogę mieć z jej rodzicem, a przyzwolę ani chybi skończy się jak z Bezprymem i będzie jak było, jeno czas i ludzi darmo stracę, bo Mieszko bez walki nie ustąpi, a wodzem jest biegłym.

— A jeśli nie jego, to kogo osadzić zamyślacie na Mieszkowym stolcu? — zapytała Gizela.

— Jest jeszcze Dietrich po Mieszkowej Odzie — odparł Konrad z wahaniem. — Rodzic mu dział wyznaczył pod opieką Pietrowej Stolicy, ale woli jego nie uszanował Bolesław i wraz z Odą wygnał Dietricha. Człek już niemłody, kraju nie zna, mowy bodaj zabył. Wiem ci ja, zali lepszy byłby niż Otto? Gdym o tym wspomniał Mieszkowemu posłowi, rzekł mi, że Dietrich zaprzysiągł, iż nigdy do Polski nie wróci. Jeśli nawet ze wszystkim go nie zabyli, nikto na niego nie czeka.

— Widno tedy, że najlepszy byłby Mieszko — powiedziała Gizela z uśmiechem. — Prawdę rzec, prosiła mnie Matylda, by się za nim wstawić. Człek jest świątły i nabożny, dla Kościoła zasłużony. I jemu pokój potrzebny, łatwo się będzie ułożyć.

— Wierę, że mu potrzebny, by się umocnić, jeno mnie nie po to pokój potrzebny. Niejeden raz zawieraliśmy go, a po prawdzie nie było go nigdy. Chcę być pewny, że gdy odejdę, naruszony nie będzie.

— Nic wiecznego na tym świecie — odparła Gizela. — Najgorsze zaś byłoby i dla krześcijaństwa, i dla cesarstwa, gdyby pogaństwo w Polsce dźwignęło głowę.

— To prawda — przytaknął Konrad w zamyśleniu. — Jeno co mam rzec Ryczezie? Przynależem Polskę oddać w lenno jej synowi, a do czasu gdy zwolnienie od ślubów uzyska, namiestnikiem ustanowić Ottona. Mieszko zaś następcą swym wyznaczył syna po miłośnicy.

— Wždy Mieszko żywie i niestary jeszcze, o następstwie nie czas myśleć, jeno o tym co ninie. Może i Ryczeza żadna władzy, ale matką jest. Ani chybi tęskno jej za synem i przeto chciałyby wrócić do Polski.

— A jakoż jej wracać gdyby Mieszko na stolcu się ostał? Wždy nie jeno rozwiedziona z nim, ale zgoła w nieprzyjaźni.

— Można by i Mieszka nie ze wszystkim od władzy usunąć i jej choć w części zadość uczynić. Podzielić kraj między trzech Piastowiców — powiedziała Gizela.

— Myślałem i ja o tym — odparł Konrad. — Ale jeśli nawet Mieszko się zgodzi, to jeno by zyskać na czasie. Wždy już dziad jego podzielił spuściznę, a Bolesław wygnał matkę i braci.

— Ale trzy gody trwało, nim się z nimi uporał, choć jeno z niewiastą i wyrostkami była sprawa — powiedziała Gizela. — Wam także czas potrzebny. Słowo tańsze niżli oręż, a lepiej z każdym wrogiem z osobna mieć sprawę niżli

z dwoma naraz. Nie zgodzi się Mieszko, czas będzie sięgnąć do miecza.

— Uczynię jak radzicie — rzekł Konrad po namyśle. — pilniejsze mi Odrzychowi przypomnieć, że z mojej łaski zasiadł na praskim stolcu i w mojej mocy lenna nadawać i odbierać, a nieposłuszeństwo karać.

Palatyn Michał z dnia na dzień czekał na wiadomości o Mieszku, po które komes Miłosław wysłał do swojaków w Dzieczynie. Przedłużająca się nieobecność króla i niepewność jego losu powiększała jeszcze zamęt i rozprzężenie. Nie opłacana stała drużyna była w rozsypce, na rodowe hufce zawistnych możnowładców nie można było liczyć, własne siły Awdańców mogły starczyć na stawienie oporu Bezprymowi, przeciw cesarskim chyba na podjazdy, a były oznaki, że znowu gotuje się najazd. Wiosna skończyła się, po żniwach należało spodziewać się uderzenia.

Michałowi ciążyła odpowiedzialność, dłużej czekać nie mógł. Do Krzywina pchnął gońca z poleceniem, by Skarbek siły jakie zgromadzić zdoła podsunął do granicy, a sam zbierał się jechać do Wrocławia ze Śląskim wojewodą naradzić się nad obroną, gdy przybiegł pachołek z zawiadomieniem, że król wrócił i jest na grodzie.

Palatyn odczuł taką ulgę, jakby z powrotem króla zniknęły wszystkie troski, ledwo uwierzyć mógł w tak pomyślny obrót sprawy. Ale istotnie był to Mieszko, choć jakiś odmieniony, nie tylko dlatego, że wychudłą jego twarz okrywał dawno nie golony zarost, ale przerzedzony włos pojaśniał na skroniach. Wprawdzie z widoczną radością powitał starego druha, ale gdy ten zdawać ją sprawę z położenia, siedział osowiały, jakby nie słuchał albo nie rozumiał. Gdy jednak Michał mówić począł o zarządzeniach wydanych na wypadek najazdu, Mieszko znużonym głosem przerwał:

— Po co?

Palatyn patrzył na króla zdumiony. Nie wiedział, czy sam się przesłyszał, czy Mieszko nie rozumie, o czym mówi.

— Wždy wieści mam, że Konrad sposobi się do najazdu, obronę gotować należy — zaczął, ale król przerwał znowu:

— Po co? — Tym razem dodał: — Nie lza darmo przelewać krew.

— Cóżże nam działać, jeśli nie bronić się? — zakrzyknął palatyn. — Wolej mi zginąć, niżli jak niewolnik kark zginać przed Niemcem.

— Wolej zginąć! — szeptem powtórzył Mieszko. — Mierzi mnie żywot. Ty możesz, sławę ostawisz po sobie, a ja? Iżem zmamił wszystko, co rodzic mi ostawili.

— Nie tego winić, kto przegrał, jeno kto się poddał bez walki — zaczął Michał po chwili milczenia. — Sterała was niewola, miłościwy panie, odpoczniecie, siły wam wróca, inak spojrzycie na sprawy.

— Zali z tego co mówisz czas na odpoczynek? I cóż choćbym je odzyskał? Nie swoją jeno siłą ołce i dziady zwyciężali, jeno całego narodu. Gdzie one ninie? Sam wiesz.

Znowu zaległo milczenie. Po chwili palatyn zapytał:

— Co tedy działać zamierzacie? Czekać, jako z głową na pieńku?

— Układów spróbować — odparł Mieszko.

— Układów? Wiecie, czego żądał Konrad, gdy sam był o krok od klęski. Gdy się poczuł górą ani gadać z wami nie chciał.

— A będzie się układał, gdy resztę sił wytracim? Niechaj niesława spadnie na mnie, iżem się poddał bez walki, ale w sumieniu będę pokojny, żem narodowi nieszczęść oszczędził.

Michała po raz pierwszy w życiu ogarnęło przygnębienie. Nadzieja, jaką wiązał z powrotem króla, rozwiała się, trudy i ofiary poniósł na darmo.

— Chcę, byś choć ty mnie zrozumiał — podjął Mieszko. — Przemyślałem, dlaczego zwolnił mnie Oidrzych. Nie z życzliwości, której nigdy nie żywił, jeno zadarł z cesarzem i lęka się, że gdyby się Konrad z nami uładził, na niego uderzy. Nie będziem ostatka krwi przelewać, by on swojej oszczędził.

— Wasza właść, wasza wola — odparł palatyn. — Ale bogdajbym nie dożył, gdy wy się korzyć będziecie przed Niemcem.

— Wolejbym i ja nie dożył — rzekł Mieszko. — Ale sam mi ongiś rzekłes, że naród dłużej żywie niżli człek. Może jeszcze odnajdzie swą siłę. Ja swoich już wyzbyłem, a brzemienia nie ubyło. Rad bych je zdał na młodsze barki.

— Ostawcie te rozważania — powiedział palatyn. — Starszym od was, ale jeszcze pomogę wam dźwignąć, przyjdzie pora, zdamy je młodszym. Chcecie się układać, wasza wola, ale ja obronę będę gotował. I wam z cesarzem łacniej gadać będzie niżli jako z rzeźnikiem ciołek, jen bronić się nie wydoli. Ninie wywczasujcie się, gdy ciało mdłe i myśl niebystra, ja skoro świt ruszam do Wrocławia.

— Nie pora wypoczywać, jeśli się układać, to nie mieszkać, jeno do Poznania raniej pojedę, bo rad bych się z Bolkiem obaczył.

— Dobrze byłoby — przytaknął Michał. — Miał z królew-

cem gadać Bożęta, by ścigania odstępców poniechał, bo ninie spokój najważniejszy, a siły indziej mogą być potrzebne, jeno nie włada zali posłuchnął. Nie masz Bezpryma, niegroźni są, a wielu jeno przeto do niego przystało, by się przy urzędach i mieniu utrzymać lubo zgoła ze strachu. Królewica do Skarbka odeślijcie, tam się lepiej nada, gdyby walczyć przyszło.

— Tak i uczynię — rzekł Mieszko — ale raniej wszystko by spokój utrzymać, bo to iście najważniejsze.

Przypuszczenie, że cesarz będzie próbował osiągnąć swój cel bez walki, okazało się słuszne, po przybyciu bowiem do Poznania Mieszko zastał wezwanie do bezzwłocznego stawienia się w Merseburgu. Konrad pisał jak suweren do lennika, zobowiązanego do posłuszeństwa, ale Mieszko przygotowany był na takie upokorzenia. Gotów był zresztą na wszystko byle wyczerpanemu Krajowi oszczędzić jeszcze jednego najazdu. Wiedział, że słowiańscy władcy niejednokrotnie nie wracali z rzekomych układów, własny jego ojciec tylko dzięki ostrzeżeniu i męstwu swych towarzyszy uszedł z życiem z zamachu zgotowanego przez zdradzieckiego Henryka. Wezwany przez niego czeski Jaromir pojmany i wydany Oidrzychowi od kilkunastu już lat gnije w więzieniu, a sam Mieszko w czasie poprzedniego pobytu uniknął tego losu tylko dzięki przestrodze Ottona, chyłkiem uchodząc z Merseburga. Istotnie na radzie cesarskiej nie brakło głosów, by pojmać Mieszka, a w miejsce Bezpryma namiestnikiem ustanowić Ottona. Nalegała na to również Rycheza, Konrad jednak postanowił inaczej zabezpieczyć pokój na wschodzie swego państwa. Oidrzych, choć tron zawdzięczał łasce cesarskiej, wezwany do Merseburga nawet nie usprawiedliwił niestawienia, wyraźnie już wyłamując się z lennego posłuszeństwa. Gdy Otto poczuje się na siłach, gotów również zapomnieć, komu zawdzięcza władzę, skuteczniej będzie podzielić zarówno Polskę jak i Czechy między zwalczających się wzajemnie dzielnicowych władców. Cesarz nie chciał jednak rozdrażniać Mieszka lekceważeniem i gdy ten w skwarny, lipcowy już dzień stanął w Merseburgu, wysłał do niego burgrafa z zaproszeniem na zamek i zapewnieniem, że gdy tylko odpocznie z drogi, udzieli mu posłuchania. Mieszko niezbyt ufał tej uprzejmości, polecił jednak podziękować cesarzowi za gościnę, której nie chciałby nadużywać, zwłaszcza że po długiej nieobecności pilno mu wracać do kraju. Nie był pewny, czy istotnie zezwolą mu wrócić, a korzystając z gościny na zamku nie będzie miał możliwości porozumienia się z Ottonem. Nie mógł jednak odmówić za-

proszaniu i udał się na zamek, a wkrótce zjawił się u niego burgraf z zawiadomieniem, że cesarz nie chce go zatrzymywać, wiedząc iż zamęt w Polsce wymaga jego obecności i już nazajutrz po nabożeństwie udzieli mu posłuchania.

Mieszko nie łudził się jednak, by Konrad odstąpił od warunków postawionych w czasie ostatniej wyprawy, gdy sam był w trudnym położeniu. Teraz, gdy widocznie ma wiadomości o stanie spraw w Polsce, spodziewać się można jeszcze ostrzejszych, ale Mieszko gotów był kupić pokój za każdą cenę.

Burgraf widocznie nie trzymał w tajemnicy udzielonej polskiemu królowi odpowiedzi Konrada, gdyż natychmiast doszła do wiadomości Rychezy, która zaniepokoiła się. Jeżeli cesarz zezwoli na powrót Mieszka do Polski, nie tylko przekreśli nadzieje na jej rządy za pośrednictwem Ottona, ale co gorsze utrzyma się znienawidzony Bolko! On był kamieniem obrazy, o który rozbiło się jej małżeństwo, a w przyszłości może stać się groźnym współzawodnikiem jej syna. Nie bacząc na spóźnioną porę wysłała swego ochmistrza Romera do cesarza z prośbą o bezzwłoczną rozmowę w bardzo pilnej sprawie.

Konrad domyślił się łatwo, czego domagać się będzie Rycheza. Nie miał zamiaru zmieniać postanowienia, niemniej wolał nie drażnić jej odmową i polecił oznajmić, że przyjmie ją wieczorem w swej sypialnej komnacie, by rozmówić się z nią w cztery oczy, nie wiedząc jak zachowa się pyszna i zadufana w znaczenie swego potężnego ojca niewiasta. Gdy ochmistrz zapowiedział jej przybycie, kazał ją prosić i nie odpowiadając na powitanie, powiedział:

— Pora mi spocząć, ale jeśli sprawa istotnie nie cierpi zwłoki, słucham jej dostojności.

Rycheza zrozumiała, że cesarz zamierza ją zbyć i hamując złość odparła przez zaciśnięte wargi:

— Niewiele czasu zabiorę miłościwemu panu. Chciałam jeno przypomnieć, że mam wasze słowo, iż polskie lenno nadacie mojemu synowi, a do czasu gdy będzie mógł je objąć, namiestnikiem ustanowicie Ottona.

— Przypominać mi nie trzeba, o czym sam pamiętam — oschle powiedział Konrad.

— Czyżby mnie w błąd wprowadzono mówiąc, iż zamierzacie zezwolić Mieszkowi na powrót do Polski? — zapytała hamując gniew.

— Nie! — odparł. — Wróci, jeśli wyrzeknie się królewskiej godności, złoży mi hołd i przysięgę posłuszeństwa.

— Nie rozumiem, jak to ze słowem waszym pogodzić — rzekła Rycheza uszczypliwie. — Przypomnę wam natomiast, że gdy w Bogu spoczywający poprzednik wasz tegoż Mieszka Oidrzychowi uwolnić przykazał za poręczeniem swych przekupnych wasali, niczego nie dotrzymano. A to pewnikiem wam wiadomo, że Mieszko następcą swym pokrzywnika Bolesława wyznaczył. Zuchwalec ten przed nikim nie zwykł uginać karku. Chwast plewić należy z korzeniem i nasieniem.

Cesarza niecierpliwić zaczynała przedłużająca się rozmowa. Postanowił jasno przedstawić swe stanowisko i powiedział:

— W mojej mocy lenna nadawać, a wiarołomnym je odbierać. Synowi waszemu jeszcze nie pora je objąć, nie jeno przeto, że zbyt młody, lecz mnichem jest i raniej zwolnienie od ślubów winien uzyskać. Wiadomo wam, że Bezprym tego poniechał, co nie w ostatku było przyczyną, iż w kraju nie znalazł uznania, gdy duchowieństwo nie mogło poprzeć zbiegłego mnicha. A jakóż uzyskać dyspensę dla waszego syna, gdy Ojciec Święty Jan XIX zmarł i opróżniona jest Pietrowa Stolica? To moja największa troska i pierwsza powinność zadbać o wybór godnego następcy z wiernego cesarstwu rodu grafów tuskulańskich, by dwie najwyższe władze w chrześcijaństwie zgodnie z sobą współpracowały. Ale by wybór po swej myśli przeprowadzić, własną osobą udać się muszę do Italii, tedy mi tutaj spokój choć na czas potrzebny, a jeszcze i z czeskim lennikiem sprawę przed wyjazdem muszę załadzić. Nie ufam zasię nie jeno Mieszkowi, ale i Ottonowi, przeto polskie lenno podzielić postanowiłem. Rozumiecie, że nie pora mi na wojnę z Polską, ale rozumiem i ja waszą troskę o przyszłość syna i waszą za nim tęskność. Tedy Ottonowi Wielką Polskę i Śląsk w zarząd oddać postanowiłem, będziecie mogli wraz z nim wrócić do kraju. Nie dochowa Mieszko wiary lub nie stanie go, wondrous do sprawy powrócim.

— Dziękuję i za to waszej miłości — rzekła Rycheza, pożegnała się i wyszła. Nie wątpiła, że gdy tylko Mieszko poczuje się na siłach, będzie próbował kraj zjednoczyć, ale to nie jej troska, teraz wrócić może do Polski, zabierając ze sobą córy. Przywiązany jest do nich, jak ona do syna, choćby wygnał Ottona, im pozwoli pozostać. Kością niezgody i groźbą na przyszłość jest Bolko. Bawiąc w kraju znajdzie sposobność, by go usunąć, jak to uczynić, naradzi się z Ottonem, gdy już będą na miejscu. Wówczas jedynym dziedzicem zostanie Kazimierz, Mieszko nie będzie już miał wyboru.

Konrad spieszył się istotnie. Podzieliwszy Polskę między Mieszka, Ottona i Dietricha, odebrał od nich hołd i przysięgę lennego posłuszeństwa, po czym bezzwłocznie wyruszył przeciw Oidrychowi. Rojny i gwarny dotychczas Merseburg opustoszał, wojska odeszły z cesarzem, Dietrich z oddziałem najemników spieszył objąć spustoszone przez Kanuta Pomorze.

Ostatnia zbierała się do wyjazdu Rycheza wraz z córkami i Matyldą. Mieszko widział je tylko raz w czasie nabożeństwa, nie szukał też sposobności spotkania się z Ottonem. W kraju przekona się, czy lekkomyślny brat szczerze chce z nim zgody, czy też nadal pozostanie narzędziem w ręku Rychczy.

Otto zaś nie wiedział, co czynić i kim jest w tej grze. Wdając się w knowania przeciw bratu liczył na to, że sam zasiądzie na jego miejscu, zarówno Bezprym jak Rycheza mieli mu jedynie utorować drogę do tego celu. Oddanego do klasztoru Kazimierza nie uważał za przeszkodę, byłby nią dojrzały już Bolko, ale jego postara się usunąć Rycheza. Sprzykrzył sobie dostatni i beztroski żywot królewskiego brata, zachciało mu się władzy!

Wypadki nazbyt rychło rozwiąły te mrzonki. Omal nie stracił głowy, a potem przyplacił je długotrwałym wygnaniem na łasce zimnej, oschłej i wyrachowanej Rychczy, zależny od niej nawet w swych codziennych potrzebach. Przygnębiony bezpłodnym oczekiwaniem wyciągnął rękę do brata, a teraz nie był pewny, czy znowu nie uczynił fałszywego kroku i drżał z obawy, by Mieszko nie szukał z nim spotkania, które mogłoby wzbudzić w Rychczie podejrzenie, że się porozumieli. Z ulgą też powitał jego odjazd natychmiast po złożeniu hołdu, a teraz bez radości zbierał się wraz z nią, mimo że pobyt w obcym środowisku i okazywane mu obojętne lekceważenie dojadły mu do żywego. Celu jaki mu przyświecał nie osiągnie, z imienia tylko i na niedługi czas będzie władcą zachodnich dzielnic Polski, gdzie nikt go nie czeka, prócz może kilku towarzyszy rozwiązłej młodości, którym udało się ująć rzezi. Włókł się samotny i osowiały za orszakiem Rychczy, przeżuwał gorkie myśli. Nie tała, że jemu powierza zadanie usunięcia Bolka, nie mógł jej wprost oświadczyć, że nic mu do tego, kto po Mieszku obejmie dziedzictwo, a tym bardziej zaś, że się lęka Bolesława. Śmierć Bezpryma zdała mu się groźną przestrogą. A jeśli się nawet powiedzie usunąć Bolka, oznaczać to będzie ostateczne zerwanie z Mieszkiem. Skłonny był wybaczyć zdradę i przeniwierstwo, śmierci syna nie wybaczyłby nigdy,

a zgoła nie jest pewne, jaki obrót przybiorą sprawy. Póki cesarz blisko, Mieszko dotrzyma warunków. Po długiej nieobecności zajęty będzie przywracaniem ładu, ale nigdy się z nimi nie pogodzi. Czy i kiedy jednak zdoła zebrać siły, by zrzucić zależność, nie było pewne. Gdyby Otto teraz stanął po jego stronie, w niczym nie poprawiłby jego położenia, tylko siebie pogrzyżył. Ni Konrad, ni Rycheza nie darują mu przeniewierstwa, zależności od nich nie pozbędzie się nigdy, z drogi, na którą nieopatrznie wstąpił, nie ma odwrotu.

Mieszko przyjmując narzucone przez cesarza warunki istotnie nie zamierzał się z nimi pogodzić. Ale gdy klęcząc przed Konradem, by przyjąć od niego lenny proporzec, zrzekał się godności królewskiej, stanowiącej uwieńczenie całego życia trudów i walki Chrobrego, sam sobie zdał się przeniewiercą. Mimo że Konrad na skutek wstawiennictwa małżonki starał się oszczędzić mu upokorzenia przyjmując go jak dostojnego gościa i dając pierwszy krok przed innymi lennikami, Mieszko czuł się upokorzony do głębi. Kraj, którego zjednoczenie kosztowało tyle trudów i krwi, znowu jest podzielony, by nigdy do sił nie doszedł. Co gorsze Mieszko czuł, że jego własne są na wyczerpaniu. Po przeżyciach niewoli nie miał ani chwili wytchnienia, spieszyć musiał do Merseburga, by zapobiec nowej wojnie, a teraz nie wypocząwszy wracał co rychlej do kraju, niepewny co tam zastanie. Gdy wyjeżdżał, Michał Awdaniec gotował się do wojny. Mieszko ufał, że przed jego powrotem nie naruszy drogo kupionego pokoju. Ale jest jeszcze Bolko, w swych dwudziestu latach sił ma nadmiar i zda mu się, że, starczą za wszystko. Po powrocie z niewoli Mieszko nawet go nie widział i nie był pewny, czy posłuchał arcybiskupa i poniechał ścigania stronników Bezpryma.

Przeprawiwszy się przez Odrę pod Krosnem Mieszko ciągnął na Zbąszyń, wysławszy gońca z rozkazem, by odszukał palatyma Michała i polecił mu stawić się w Poznaniu, gdzie zamierzał zatrzymać się aż do przybycia Ottona, rozpatrzyć się w położeniu i wydać potrzebne zarządzenia.

Wieść o powrocie Mieszka lotem rozeszła się po grodzie i ledwo z konia zsiadł, zjawił się palatyn, który przybył rannym tegoż dnia z Przemętu, gdzie go zastał goniec. Na widok wynędzniałej i postarzałej postaci Mieszka powiedział: — Zmarniliście się, miłościwy panie.

— Bogdaj tylko siebie — odparł Mieszko. — Wyjechałem królem, wracam książęciem i to niecałego kraju. Śląsk i Wielką Polskę po Wartę i Prosnę oddać mam Ottonowi, Pomorze Dietrichowi.

— Był już kraj podzielony po śmierci waszego dziada, a przeto nas Niemce nie zjedli — odparł palatyn. — Przydzie czas, odbierzem co swoje, a jeszcze nam nie umierać.

— Rodzic był w pełni sił, gdy kraj jednoczył, a ja? Sam widzisz, co ze mnie zostało. Nie wiem, zali mi na to żywota starczy i tyle mi po nim, by choć niesławę zmazać.

— Nikto nie wie, gdzie i kiedy kości złoży — rzekł Michał. — Niejedno pokolenie budowało, niejedno odbudować musi. Syna macie...

— Mam dwóch — przerwał Mieszko — jeno nie wiem, zali nie od tego zło się naczęło, iżem Bolka następcą swym ustanowił.

— Nie pora rozważać, co by było — niecierpliwie rzucił palatyn. — To pewne, że królewic Bolko mężny jest i bitny. On karku nigdy i przed nikim nie ugnie.

— Nie tak jak ja — gorzko wtrącił Mieszko, ale palatyn zachnął się:

— Nie to myślałem. Bywa, że wybrać trzeba, ugiąć lubo złamać. Wiem, iż wam niełacno przyszło, ale kupiliście pokój i wykorzystać go należy, by w gotowości być, gdy się sposobność trafi. Dietrich się długo na Pomorzu nie utrzyma, ze wszystkim Niemiec, nawet mowy naszej pewnikiem zabył. Z Niemcami się zwlecze, niemiecki ład zaprowadzać. Od północnego margrafa wsparcia nie otrzyma, bo ten z Welcami w wojnie, tedy go nie przepuszczą. Sami Pomorcy pomogą zegnać Dietricha, byle ich na siłę nie nawracać, bo przeto się buntowali.

— Będzie się duchowieństwo boczyło, gdy mu wsparcia ni ochrony nie udzielim — powiedział Mieszko w zamyśleniu, ale palatyn odparł:

— Nie o to nam się troszczyć, jeno by naród mieć za sobą. Radźmy, co ninie poczynać. Chcecie tu czekać na Ottona. Po co?

— By wiedzieć, co zamyśla. Do zgody zdał się nakłaniać. Gdy pierwszy raz byłem w Merseburgu, przestrzegł, że się coś przeciwko mnie gotuje. Ninie jakby mnie unikał. Nie wiem, co o nim myśleć.

— Nic! Wždy nie on rządzić będzie, jeno Rycheza ze swymi Niemcami. On zasię zawždy człek był lekki jako witka. Tam się skłoni, kędy wiatr zawieje. Cóż wam po zgodzie z takim?

— Wždy brat.

— Samiście rzekli, że władcy nie mają krewniaków, jeno państwa. On o krewieństwie nie pamiętał, gdy wroga na kraj naprowadzał, by swej zachciance dogodzić. Nie słowami

zmazać zdradę, obaczym, co będzie poczynać. Nad czym dumacie, miłościwy panie?

— Córy mam. Widziałem je w Merseburgu, pięknie wyrosły, ale ni pogadać było z nimi, nie miałem sposobności. Może tu się nadarzy.

— A one nie miały? Nie czekać wam na to.

Mieszko zwiesił głowę. W swej komnacie na zamku w Merseburgu istotnie czekał wieczorami na córki i nie przyszły. Gdy znużony jest i przygnębiony, nie ma przy nim nikogo, przy kim mógłby choć na chwilę zapomnieć o zaprzatających go sprawach.

Michał zrozumiał, co czuje stary druh. Podjął:

— Wam ninie spocząć trzeba póki spokój. Jedźcie do Dobroszki, ona najlepiej o was zadba, a może tam i Bolka zastaniecie.

— Rad bych go ujrzał, bo przed wyjazdem nie było kiedy. Mniemasz, że tam bawi?

— Nie wiem, nie zwykł się opowiadać. Ale to pewne, że do macierzy zachodził, a zjawi się pewnikiem, gdy się dowie, że tam jesteście. Was może posłuchnie, by bez sądu nie karać odstępców, bo wrogów przysparza nie jeno sobie, ale i wam.

— Miał z nim o tym gadać Bożęta — powiedział Mieszko zaniepokojony, a Michał odparł:

— Gadał, ale tyle jeno z tego, że się z nim pociął. Rzekł mu, by za zdrajcami nie obstawał, a swego baczył.

Mieszko zasumował się:

— Trzeba mi tam jechać, jeśli nie spocząć, to przykrócić mu wodzy. Z dawna zwykł luzem chodzić. Długo nie zabawię, bo trzeba i w kraju się pokazać. Pod moją nieobecność nie jeno on wyszedł mi z ręki.

— Kiedy zamierzacie jechać, miłościwy panie, i co mnie zalecicie?

— Dzień długi, pojedę zaraz, tu nijak zapomnieć o sprawach. Wezmę jeno giermka i koniara, za trzy, cztery dni orszak mi podeślij do Lednogóry, bo tu już nie wrócę. Chcę być i w Krakowie, i w Płocku. Pojadę na Łąd i Kalisz, do Sieradza, tam i wieści przesyłaj, gdzie mnie najdą.

— A co mnie poczynać, miłościwy panie? Nasze ziemie w Ottonowej dzielnicy ni mnie, ni moim ani w myśli mu służyć.

— Wiem, że mi wiary dotrzymacie, ale trzeba będzie, ugnij i ty karku. Bacz pilnie, co się tu będzie działo, a wiedzieć zda się, co Konrad pocznie. Przeciw Oidrzychowi się zbierał, będzie wojna lubo się Oidrzych ukorzy, gdy zmiar-

kuje, że nie nam zwodzić się z cesarzem. Tedy żegnaj i daj Bóg spotkać się w pomyślniejszym czasie.

Mieszko wyruszył z Poznania wczesnym popołudniem skwarne go dnia. Wyjechawszy na gnieźnieński gościniec puścił konia w cwał, a gdy odsądził się od towarzyszy, powściągnął wodze. Nie spieszył się, do osady nad jeziorem zdąży przed nocą, teraz chciał być sam, by spokojnie przemyśleć poczynania. Znużony był, myśli rozsypywały się, a miarowy krok konia i kołyszący ruch usypiały go. Drzemał chwilami.

Słońce pochyliło się, upał zelżał, a chłodniejszy powiew od niedalekiego już jeziora orzeźwił go. Ruszył kłusem i za chwilę na nieboskłonie ujrzał zarysy pałacu na Lednickim Ostrowiu. Ten widok obudził w nim wspomnienie, gdy jako dziesięcioletni wyrostek towarzyszył tu ojcu w czasie gnieźnieńskiego zjazdu, w dniu jego największego triumfu, potęgi i chwały. Zdało mu się wówczas, że nic już nie zdoła zakłócić szczęścia Kraju ni jego własnego. Żyła jeszcze umiłowana przez wszystkich Emnilda, nie mogła jednak oglądać wspaniałości przyjęcia cesarskiego gościa, bo właśnie urodziła syna, ku jego czci nazwanego Ottonem, Ale teraz rzeczywistość zakłóciła nawet wspomnienie. Tu dokonał niebezpiecznego żywota Bezprym, niechciany przez ojca syn odtrąconej małżonki. Krzywda jego jak przekleństwo zdała się ciążyć nad wszystkim.

Mimo woli zaczął porównywać go z Ottonem. Tego żadna nie spotkała krzywda, a po równi z tamtym dopuścił się zdrady. On bardziej na śmierć zasłużył niżli Bezprym a jednak Mieszko skłonny był wybaczyć mu, gdy tylko rękę wyciągnął do zgody. Może słusznie palatyn Michał nie ufa mu, zwłaszcza że za Ottonem stoi Rycheza. Ona nigdy nie pogodzi się z odsunięciem od władzy Kazimierza, a drogę do niej zagradza Bolko. Raz już próbowano zamachu na jego życie, teraz Rycheza wraca do kraju, a Bolko wrogów ma dostatek. Łatwo jej przyjdzie ich rękami pozbyć się zniechęconego pasierba. Zabrać go trzeba w objazd kraju, mając go na oku Mieszko nie będzie się niepokoił, a może pohamuje jego samowolne poczynania. Byle tylko rychło się zjawił, bo długo na niego czekać nie może.

Mieszko otrząsnął się, skręcił z gościńca w las, słońce już stało na zachodzie. Ostatnie jego promienie ślizgały się jeszcze po pniach gonnych sosen, ale w głębi boru zapadał cień. Czasem sennie odezwał się ptak nie zakłócając jednak ciszy nadchodzącego wieczoru.

Zmącił ją jakiś głuchy odgłos, jakby uderzenie wiosła

o burtę łodzi. Mieszko zmiarkował, że niedaleko już do wchodzącej w bór zatoki jeziora. Gdy podjechał jeszcze pół stajania, usłyszał szelest przybrzeżnych trzcin, przez które ktoś przepychał łódź. Ściana ich rozchyliła się i ku swemu zaskoczeniu Mieszko w wiosłarzu poznał Bolka. Nagi był do pasa, parciane portki ociekały wodą i powalane były mułem. Zajęty ubieraniem suchej odzieży nie od razu dostrzegł stojącego opodal Mieszka. Skończywszy podjął z dna łodzi półtorałokciowego szczupaka i wyskoczył na brzeg. Na widok ojca stał przez chwilę, jakby oczom nie wierzył, cisnął zdobycz na ziemię i doskoczywszy do niego zawołał:

— Wróciliście! Już mniemałem, że was zasię pojмали i trzeba będzie odbijać. Ale się macierz ucieszy!

I w jego oczach świeciła radość. Ujął konia za uzdę i dodał:

— Pospieszajmy! Sami jeście?

— Jedzie za mną giermek i koniar. A połowu nie weźmiesz? — zapytał wskazując na szczupaka, i dodał: — Sporą stworę ułowiłeś.

Bolko machnął ręką:

— Na wieczerzę starczy, ale nie na niego się czailem. Jest tu takowy, co macierzy wszystkie gąsięta pożarł. Mniemałem, że to on, bo choć krzepy mi nie brak, nijak wyciągnąć się nie dał. Ale się jeno o szuwar zapętlili i musiałem za nim włązić do wody, a tu muł po kolana.

Mieszko patrzył na syna. Pięść, w której dzierżył wodze, miał jak maczugę, w barach jeszcze poszerzał, a twarz pozostała chłopięca z dopiero sypiącym się jasnym zarostem i jakby nic ważniejszego nie zaszło od czasu, gdy się widzieli, ciągnął:

— Tamtego chyba na wędę nie złowi, ale wypatrzeć go niełacno. Raz go naszedłem, stał sobie w rzęsie, jeno łeb na wierzchu. Rzekłbyś smok. Zgoła się nie bał, jeno te oczyśka złe na mnie patrzą. Ościenia przy sobie nie miałem, tedy go wiosłem w łeb chciałem zdzielić i jakby go wiatr zdmuchnął, jeno się rzęsa zakolebała. Ale go jeszcze dostanę.

— Nie wiem zali ci czasu stanie — powiedział Mieszko. — Ważniejsze są sprawy, a pirwe samopas się nie wążaj. Słyszę, że nowych wrogów sobie napytałeś a Ryczeza wraca do kraju.

— Nie jeśm bojażny — lekko odparł Bolko — wrogów mi ubyło — zaśmiał się drapieźnie. — Bezprym takóż chciał ze mną koniec uczynić i nie wyszło mu. Wszystko już dobrze,

skoroście wrócili, a przemożony jeście, zda się wam odpocząć.

— Odpocznę jeno parę dni — odrzekł Mieszko. — Nie wiesz, co zaszło, nie pora na wczasy.

Opowiedział pokrótce przebieg merseburskiego zjazdu i dodał:

— Rozumiesz tedy, że ważniejszy ład i spokój w kraju niżli karanie odstępców. I nie twoje było prawo — dodał ostrzej. — Nie pora też na zadrę z duchowieństwem, a sły-szę, iżeś się z arcybiskupem pociął, gdy ci zabraniał bez sądu karać winowajców.

Twarz Bolka zmierzania. Odparł twardo:

— Bo nic Bożęta nie ma do rozkazowania. Gdy was w kraju nie było moje prawo we wszystkim, on zasię niechaj swoich spraw patrzy.

— Nie bądź mędrszy od twego dziada i pradziada. Wie-dzieli, po co nam krzyż, a praw Kościoła przestrzegać niechali jak własnych. Nie masz spraw ich i naszych, bośmy wzajem sobie potrzebni. A ciebie następcą swym ustanowi-łem, nie zastępcą, bo doświadczenia ci brak i umiaru.

Bolko nic nie odpowiedział, ale zachmurzył się i ciągnęli dalej w milczeniu. Mieszko również pomarkotniał, zma-rona została radość powitania, nie ma miejsca gdzie nie cze-kała go troska.

W lesie mrok już był zupełny, gdy otwarła się przed ni-mi polana z zabudowaniami widocznymi na jaśniejszym tle jeziora. Bolko bez słowa puścił się ku domowi, a Mieszko podjechawszy zeskoczył z konia i czekał, by go ktoś od nie-go odebrał. Z głębi domu doszedł go głos syna:

— Anibyście, matuś, odgadli, z czym przychodzę.

— Pewnikiem onego zbója ułowiłeś — postyszał słowa Dobroszki.

— Sami wyrzycie, jaki to ów zbój — odparł Bolko.

— Później obaczę. Skoroś wrócił, wieczerzę sposobić mu-szę.

— A dużo nagotujcie, bo gości będziemy mieli — zaśmiał się.

Mieszko postłyszał odgłos szybkich kroków w sieni i ruszył naprzeciw. Choć ciemno już było, Dobroszka poznała go widocznie, bo bez słowa ręce zarzuciła mu na szyję. Przez chwilę stali w milczeniu. Puściła go, gdy z dworu doszły odgłosy zwiastujące, że nadjechali jego towarzysze:

— Wieczerzę przysposobić muszę. Zwólcie do świetlicy. Zawiodła go do izby słabo oświetlonej płonąca w kunach smolną drzazgą. Wyjęła ze skrzyni woskowe świece, zapaliła i w glinianym świeczniku postawiła na dębowym, poczerniałym ze starości stole, po czym wyszła.

Mieszko pozostał sam i rozglądał się po izbie. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy przed dwudziestu laty z okładem po raz pierwszy tu wszedł. Na półkach dokoła ścian stały domowe statki, na ścianach rozwieszane były łowieckie i rybackie przybory, pod oknem stała skrzynia służąca zarazem za ławę. I Dobroszka pozostała jaka była, witała zawsze z radością, nie żaliła się, gdy ją zaniedbał, niczego nie żądała i nie chciała. Jednego tylko odmówiła, by udać się z nim na dwór, ale ją rozumiał. Tu byli tylko dla siebie, z tym miejscem wiązały się wspomnienia wszystkich szczęśliwych chwil, jakie przeżyli, tu mogła żyć nadzieją, że Mieszko wróci i będzie tylko jej.

Ze smutkiem pomyślał, że teraz trzeba będzie zabrać stąd Dobroszkę. Nie będzie tu bezpieczna, gdy do Poznania zjedzie Rycheza. Nie daruje córce prostego włodyki, matce znieawidzonego Bolka, którą Mieszko przeniósł nad nią, córę potężnego palatyna, dumną cesarską krewniaczkę. Nie chciał jednak teraz mówić o tym z Dobroszką, zakłócić pogodę tych kilku dni, które może jej i sobie poświęcić, nie wiadomo czy nie po raz ostatni.

Przyszłość była ciemna, wiele zależało od zachowania się Ottona, ale podniesione przez palatyna Michała wątpliwości udzieliły się Mieszkowi. Lekkomysłny i słaby, będzie zapewne narzędziem w ręku Rychezy, która nie po to wraca do Polski, by rządzić jedną dzielnicą. Całość chce zapewnić Kazimierzowi w oparciu o cesarstwo. A Bolko nigdy nie ustąpi i znowu bratobójcza walka ściągnie na kraj nieszczęścia i ostateczny upadek. Ile jeszcze sił i czasu starczy, Mieszko poświęcić musi ponownemu zjednoczeniu kraju. Kazimierz przyrzekł mu wprawdzie, że nigdy o władzę walczyć nie będzie, ale nie od niego to zależy. Jedno wymóc musi od Bolka, że nigdy na brata nie podniesie ręki, cokolwiek by się stało.

Pobył Mieszka w osadzie nad jeziorem przeciągnął się ponad zamierzenie, oczekiwane wieści z niedalekiego Pozna-

nia nie nadchodziły. Mimo panującego tu spokoju i troskliwej opieki Mieszko nie czuł się wypoczęty. Po napięciu w jakim żył od roku, nastąpiło przygnębienie. Zdało mu się, że nigdy nie odzyska sił do czekających go nowych trudów i walki, znowu nasza go bezsenność, a gdy usiłował sen przywabić miodem, gnębiła go zmora. Wolał już leżeć z otwartymi oczyma, oczekując świtu. A lato już było w pełni, podróż przed nim daleka. Od dawna nie pokazał się na wschodzie i północy, a jedynie stamtąd ściągnąć mógł siły i zasoby, by trzymać je w pogotowiu na wypadek gdy okoliczności pozwolą podjąć próbę zjednoczenia kraju i zrzućenia cesarskiego zwierzchnictwa. Jeśli ich nie wykorzysta, słusznie przypiszą mu winę upadku.

Dalsza zwłoka groziła jednak, że nie zdąży poczynić przygotowań przed nastaniem jesiennych słońc i zamierzał już słać do Poznania po wiadomości, gdy wreszcie nadeszły. Po bezsennej znowu nocy zadrzemywał w sadzie nad jeziorem, gdy po krokach poznał Dobroszkę. Stała nad nim, ale widząc, że oczy ma zamknięte, już zamierzała odejść, gdy zapytał:

— Chciałaś czego?

— Nie! — odparła. — Jeno przyjechał wojewoda Skarbek. Ale śpijcie, może poczekać.

— Zadość było czekania — westchnął dźwigając się i skierował kroki ku domowi.

W świetlicy Skarbek widocznie zziębnięty siedział przy stole, popijając sok brzeziniowy. Wstał na powitanie odstawiając kubek, a na widok wynędzniałej twarzy króla powiedział:

— Słabujecie, miłościwy panie.

— Nie o tym mi praw — niecierpliwie rzucił Mieszko. — Na wieści czekam, dawno je Michał miał nadesłać wraz z orszakiem.

— Orszak przywiódłem — rzekł Skarbek — ludzi pewnych i niebojaźnych. W Lednogórze ostał. Michałowi nie miejcie za złe zwłoki, bo sam czekał na wieści, by coś pewnego donieść, a gdy odjedzicie, nierychło by was doszły.

— Gadaj, jakie są, pewne lubo nie, dobre czy złe.

— Sami uznacie. Ryczeza z Ottonem już ściągnęła do Poznania, z nią hufiec trzystu rycerstwa. Cesarz widno oporu się spodziewał, bo wie, że u nas obcych nie miłują albo i nie wierzył, że z dobrej woli dzielnicę oddacie Ottonowi. Dietrich widno także znaczniejsze siły na Pomorze zabrał, bo słyhać, że walki się tam zaczęły. Wielkiego oporu

nie napotka, bo jak wiecie, tam co grodek to panek, nikomu podlegać nierad, nowej wiary ni nowych ciężarów nie chce. Przekonają się, że bez nas nie wydolą, sami pomogą wyżęnąć obcych.

— O tym czas myśleć — przerwał Mieszko. — Pokąd Konrad nie odejdzie, niczego poczynać nie mozem. Są o nim wieści?

— To pewne, że przeciw Oidrychowi znaczną siłą ruszył. Prawią, że Oidrych, gdy zmiarkował, że mu chybiło na nas go napuścić, ukorzyć się chciał, bo i syn mu się zbuntował, i wrogów ma w kraju, którzy za Jaromirem obstają. Ale go Konrad uwięził, pewnikiem by wymusić podział właści tak jak u nas, bo najpewniejszy będzie spokoju, gdy poróżnieni bracia na niego będą musieli się oglądać.

— Jeśli to prawda, może do Italii ruszy, by wybór nowego papieża po swej myśli przeprowadzić — powiedział Mieszko w zamyśleniu, ale Skarbek przecząco pokiwał głową:

— Prawda lubo nie, mniemam, że zaczeka, aż się upewni, że tu wszystko ostawi, jak zamierzył. Przed zimą nie zdąży, a w górach wcześniejsza niżli w dolinach. Przeto nie raniej aż z wiosny, ale i nam czasu trzeba, by w gotowości być, gdy działać przydzie.

— Ja ruszam nie mieszkając, siły ściągnąć z Mazowsza i od Wiślan — rzekł Mieszko, ale Skarbek powiedział z wahaniem:

— Ważniejsze, byście wy do sił doszli, miłościwy panie, i przeto mnie tu Michał wysłał, bym was zastąpił, a wy poczywajcie.

— Dzięki za troskliwość, ale sam wiesz, że zawidzą wam stare rody wyniesienia. Gdybym tobie zastępstwo zlecił, posłuchu gotowe odmówić. A tu jeś potrzebny, baczyć, co się będzie działo. Wiedzieć trzeba kto ze mną, a kto przeciw.

— Biskup Paulinus wielce uroczyście witał królową — zaczął Skarbek, ale Mieszko przerwał:

— Zawždy z nią duchowieństwo trzymało, bo nie szczędziła Kościołowi nadań i datków. Wiedzieć chcę, co będzie poczynał Otto. Gdy pierwy raz bawiłem w Merseburgu, zgody ze mną szukał.

— Może i chciał jej -wówczas, gdy na wygnaniu siedział i nie miał pewności, jak się sprawy obróć. Ninie po zgodzie mu nic, gdy z cesarskiego ramienia dzielnicę otrzymał. Ni wam, bo jeno w królowej ma oparcie i lęka się w podejrzenie u niej popaść. Gdy Michał chciał z nim gadać, by

zmiarkować, co zamierza, odmówił. Niemca burgrafem ustanowił w Poznaniu, ani chybi na jej zlecenie. Miru w kraju nie ma ani go nie zyszcze Niemcom się wysługując. Na niego wam nie liczyć.

Wstał i dodał:

—Zwólcie się przeto pożegnać, miłościwy panie, skoro nie chcecie, bym was na objeździe zastąpił i daj Bóg w lepszym zdrowiu was obaczyć. Jadę do Krzywina, dokąd i Michał się udał. Mam mu przekazać jakowe zlecenia?

— Sam wie, co poczynać. Jedno natychmiast uczynić należy: przestrzec śląskiego wojewodę i grodzierzców, by niewczesnego oporu nikto nie stawiał, bo jeno strat może być przyczyną. Na nic działać w rozproszeniu i nikomu za złe nie wezmę, jeśli posłuch da Ottonowi.

— Jeśli radzić wolno — wtrącił Skarbek — syna swego powściągnijcie. Bezpryma także niejeden pod strachem jeno uznał. Nastanie pokojny czas, obyczajowym postępkim, rozpatrzy się, kto iście zdrady był winien. Bez sądu nie każń to, jeno ubijstwo, więcej wrogów przysporzy, niżli wytępi, — Wiem — niechętnie uciał Mieszko. — Zabieram Bolka z sobą, skończy się samowola. I nie jeno przeto. Nieprzezorny jest i nazbyt w sobie zadufany. A jeszcze Bożętę przejednać muszę, z którym zadarł. No! Jedź z Bogiem, a także na bacności się miejcie, bo i wam wrogów nie brak.

Skarbek skłonił się i wyszedł do pasącego się w sadzie konia. Gdy dociągał popręgę przystąpiła do niego Dobroszka i zapytała:

— Odjeżdżacie? Co wam rzekł?

— Nie chce nijakiego zastępstwa — odparł Skarbek. — Może i praw, bo nazbyt długo w kraju się nie pokazał, a lęka się, że ja nie znalazłbym posłuchu.

— Wždy widzicie, co z nim. Mniema, że nie wiem, iż nie śpi po nocach, a zwabi sen miodem, krzyczy i miota się, jakby go zmora dusiła. Tu choć za dnia przedrzemie w spokoju. Któż o niego zadba, gdy mnie przy nim nie będzie? Może by się zgodził, by go Bolko zastąpił. I tak nie usiedzi, nawet gdy tu bawi, dobrze jeśli na odwieczerz przydzie.

— Miłościwy pan Bolka zabiera z sobą. Zlećcie synowi, by się zatroszczył o rodzica. A także, by trosk mu nie przyczyniał samowolą.

— Takowa to i chłopska opieka! — westchnęła Dobroszka. — Bolko zdrów i silny niczym koń, nijak mu zrozumieć, czego potrzeba niemocnemu.

— I nijak męża zrozumieć niewieście — odparł Skarbek. — Wiele człek może, gdy wie, że musi. Na sen zasię

trud najlepsze lekarstwo. Nie usiłujcie pana zatrzymać, bo mu jeno ciężej będzie. Mężowi wstydno do niemocy się przyznać.

— Jeno siły nie można udawać — szepnęła Dobroszka.

Wieści przez Skarbka przywiezione okazały się prawdziwe. Konrad pojmał Oidrzycha i uwięził go w Regensburgu, zleciwszy wschodnim margrafom, by dopilnowali nowego ładu i przekonany, że osłabiwszy słowiańskich sąsiadów na dłuższy czas zapewnił spokój z ich strony, postanowił zająć się przygotowaniami do rzymskiej wyprawy.

Od czasów Ottona Wielkiego służyło cesarzowi prawo zatwierdzania wyboru, dla uniknięcia jednak schizmy prostsze było osadzenie na tronie Piętrowym z góry upatrzonego człowieka. Zasiadało na nim pięciu już członków potężnego i wiernego cesarstwu rodu grafów tuskulańskich, dwaj ostatni, Benedykt VIII i Jan XIX, byli nie tylko wiernymi przyjaciółmi cesarstwa, ale i godnymi zwierzchnikami Kościoła.

W drodze do Kolonii, gdzie postanowił spędzić zimę, Konrad zatrzymał się w Bambergu i tam zastał posłów konsula rzymskiego i patrycjusza cesarstwa Albericha, brata ostatnich dwóch papieży, który prosił, by cesarz zgodził się na wybór jego syna Teofilakta, zapewniając zarazem, że swymi wpływami potrafi wybór ten przeprowadzić.

Sędziwy biskup bamberski Eberhard odradzał wprowadzić zgodę na wybór Teofilakta, podnosząc że sprzeczny byłby z kanonicznymi przepisami, Teofilakt bowiem liczy dopiero osiemnaście lat i nie ma żadnych święceń, ale Konrad odparł, że nie jest to pierwszy wypadek, tyleż bowiem liczył Jan XII, gdy zasiadł na papieskim tronie. Nie był to zachęcający przykład, ale Konrad wolał na nim widzieć zależnego od siebie człowieka, a zarazem oszczędzić sobie trudów dalekiej podróży, zwłaszcza że ostatnio coraz częściej zapadał na zdrowiu. Odprawiwszy przeto posłów Albericha z pomyślną odpowiedzią, sam ruszył dalej.

Wieść o wypadkach w Czechach i odejściu cesarza na zachód dotarła najwcześniej na sąsiadujący z nimi Śląsk, gdzie właśnie bawił Otto, po raz pierwszy objeżdżając przyznaną mu dziedzinę. Jeszcze wracając z Rychezą do Polski nie był pewny, co mu należy poczynać. Gdyby Konrad napotkał w Czechach poważny opór, a zwłaszcza poniósł porażkę, Mieszko mógłby porwać się na zrzucenie cesarskiego zwierzchnictwa. Teraz jednak gdy Konrad zyskał wolną rękę, osadziwszy w Czechach zależnych od siebie książąt, a zwłaszcza sprzyjającego mu młodego i wojowniczego Brze-

tysława, widoki Mieszka na odzyskanie utraconych dzielnic zmaleły. Co więcej, Otto wiedział, że brat podupadł na zdrowiu. Gdyby zmarł, przed Ottonem otworzyłyby się widoki, o jakich' niedawno nie mógł marzyć. Wiedział, że cesarz przyrzekł Rychezie oddać Polskę w lenno Kazimierzowi, ale Kazimierz liczy dopiero lat siedemnaście i jest mnichem, przed objęciem inwestytury musiałby uzyskać zwolnienie od ślubów. Wprawdzie aż do uzyskania przez niego dyspensy rządzić zechce Rychezą, ale cesarz wie, że poza obcym duchowieństwem nie ma ona w kraju żadnego oparcia. Przeto zgodzi się zapewne, by tymczasem namiestnictwo objął Otto, a gdy raz posiędzie władzę, nie pozwoli jej sobie odebrać. Postara się o potężnego sprzymierzeńca, którego brak był przyczyną Mieszkowych niepowodzeń, poślubi Gunhildę, córkę Kanuta, lub jedną z trzech cór Jarosława, a wówczas Konrad będzie wolał mieć w nim wernego hołdownika, niż prowadzić wojnę jedynie po to, by dotrzymać danego Rychezie słowa. Przedsmak władzy upoił Ottona, chociaż wciąż jeszcze liczyć się musiał z królową, ale przyjdzie czas, gdy odpłaci jej za wyniosłość i dumę. Gdy minęło jednak pierwsze upojenie władzą, marzenia zbladły i poszarzały. Zależny jest od Rychezy, a Mieszko żyje i liczy dopiero czterdzieści trzy lata. Nic dziwnego, że przejścia ostatniego roku odbiły się na jego zdrowiu, ale może jeszcze przyjść do sił. Nawet jednak gdyby zmarł; pozostaje Bolko. Jak długo on żyje, nie wystarczy, by cesarz zezwolił Ottonowi na objęcie władzy. Trzeba będzie stoczyć o nią walkę.

Otto otrzeźwiał zupełnie, w kraju nie znajdzie sił, które mógłby Bolkowi przeciwstawić. Jeśli pokona go cesarz, Otto okaże się niepotrzebny.

Wniosek z tych rozmyślań narzucał się tylko jeden: Bolka należy usunąć, póki Mieszko żyje. Gdy naród będzie miał do wyboru rządu Rychezy albo Ottona, stanie po jego stronie. Teraz jednak jedzie z nią na jednym wozie. Rycheza nienawidzi Bolka i lęka się go, ale od Ottona czeka, by usunął kamień obrazy i współzawodnika jej syna.

W powrotnej drodze do Poznania Otto rozmyślał, jak tego dokonać. Nie wie nawet, gdzie Bolko się znajduje ani jak i gdzie go szukać. Pewny był, że Rycheza znowu poruszy tę sprawę i drażniło go, iż będzie musiał przyznać, że niczego w niej nie zdziałał ani nie wymyślił.

Istotnie, ledwo zajechał do swej gospody w starym dworcu, zjawił się komornik Rychezy z wezwaniem, by stawił się u niej.

Otto zaklął. Zbierał się do wypoczynku, a królowa wzywa go jak sługę. Nie śmiał jednak odmówić i udał się na Tuński Ostrów.

Rycheza wróciła właśnie z Międzyrzecza, gdzie jeździła, by po długiej nieobecności zobaczyć się z synem. Powitał ją z radością, ale gdy mu wspomniała, że jak tylko Stolica Pietrowa obsadzona zostanie, poczyni starania, by zwolniono go od ślubów, odparł stanowczo.

— Poniechajcie tego matko. Rodzicowi ślubiłem, że nigdy o władzę walczyć nie będę. I nie będę, choćby mnie rodzic zwolnił. Wolej mi żywota dokonać w klasztorze, niżli Boskie i ludzkie przekleństwo ściągnąć na swe głowę za krwie bratniej przelanie.

Rycheza nie nalegała. Zamiarów swych mu nie wyjawia. Gdy Bolka nie stanie ni on, ni sam Mieszko nie będą mieli wyboru. Bezprym zginął, nie będzie walki o władzę. Ottona lekceważyła, choć od przybycia do Polski zmienił się. Może i jemu śni się władza, ale nie ma na nią żadnych widoków. Tymczasem niechaj się cieszy jej pozorami, póki jest potrzebny. W swoim czasie dowie się, że jest niczym.

Nie potrafiła jednak pohamować się, by mu tego nie dać odczuć, gdy na zapytanie co zdziałał w sprawie Bolka, odparł szorstko:

— Ani nie wiada, gdzie się obraca. By zwierza ubić, wiedzieć trzeba, gdzie go naleźć. Nie umiem gonić wiatru w polu.

Spojrzała na niego pogardliwie i powiedziała:

— Po to trzyma się psy, by go szukały. Wiadomo, gdzie go nie ma. W osadzie nad Lednickim Jeziorem sam jeno stary smerd ostał.

— I cóże z tego? — zapytał. — Wždy i tam Bolko nigdy nie siedział.

— Ale do macierzy zachodził. Tam był, gdy Bezpryma ubił i stamtąd społem z rodzicem i jego miłośnicą wyjechali.

— I cóże z tego? — powtórzył. — Skoro wyjechał, tedy go nie ma ani zachodził nie będzie, gdy i ją zabrali. Ani chybi w objazd ruszyli, bo Mieszko dawno w kraju nie był. Polska jest duża, na miejscu takóże nie usiedzą, ani wiada kano ich szukać.

— Nie ich, jeno jej — rzekła niecierpliwie. — Starej niewiasty w objazd nie wzięli, gdzieści osiąść musiała, a zachodził Bolko do macierzy, tedy i będzie zachodził. Z objazdu takóże wrócą przed zimą. Pono i niedźwiedzia łacniej naleźć, gdy w gawrze zimuje, niżli gdy po lesie chodzi. To wam lepiej winno być wiadome niżli mnie, niewieście —

zakończyła drwiąco.

Przyznać musiał, że królowa obrotniejsza jest od niego i już poczyniła starania, by wywiedzieć się o Bolku. Jakby usprawiedliwiając się rzekł:

— Wiecie, że ja jeno co z objazdu wróciłem, nie czas było Bolkiem się zaprzętać. Ale ninie pomyślę o nim.

— Mniemam, że nie dla mnie to uczynicie, jednakowoż nie myślcie zbyt długo. Bolko bystrzejszy jest, gotów raniej o was pomyśleć.

Zagryzł wargi. Rycheza zapewne ma słuszość. Bolko ma powody, by usunąć i drugiego stryja. Należy go uprzedzić. Mimo zmęczenia rozmyślał o tym do późnej nocy. Nietrudno będzie dowiedzieć się, kędy ze znacznym orszakiem pociągnął Mieszko i słusznie przypuszcza królowa, że choćby dla pośpiechu nie weźmie ze sobą niewiasty. Sam po powrocie będzie musiał w jakimś grodzie osiąść na zimę, tedy Dobrochnę zostawi po drodze. Nigdy nie chciała bawić przy dworze, zapewne i teraz zechce osiąść opodal na uboczu. Byłoby to okolicznością pomyślną, łatwiej będzie ją mieć na oku i Bolko nie będzie matki odwiedzał z gromadą, lecz sam lub z jednym czy dwoma towarzyszami.

Wszystko zdało mu się teraz jasne i proste, dziwił się, że nie wpadł na to, co mu podsunęła królowa.

— Chytra suka! — mruknął zasypiając.

Istotnie bez trudu stwierdził, że z Lednogóry Mieszko ruszył do Gniezna, stamtąd zaś gościńcem na Łąd i Kalisz, widocznie zmierzając do Krakowa. Do Kalisza przybył już tylko z konnym orszakiem. Dobrochny przy nim nie było, był natomiast Bolko. Nie wróca wcześniej aż ku zimie, starczy czasu, by ją odszukać.

W Gnieźnie Mieszko nie popasł. By nie tracić czasu, Bolka z matką wysłał przodem do Łądu, by rozejrzał się w okolicy, gdzie by osiąść chciała, a sam zajechał do zabudowań katedry św. Jerzego na wzgórzu Lecha, na miejscu dawnego gródka. Wolał rozmówić się z arcybiskupem pod nieobecność Bolka, obawiając się, że zamiast złagodzenia sprawy, może ją jeszcze zadrażnić.

Sędziwy arcybiskup z widoczną radością powitał dawno nie widzianego króla, a widząc, że wynędzniały jest, zapraszał, by się rozgościł choć na parę dni, ale Mieszko odparł:

— Wždy wiecie, wasza dostojność, co zaszło. Cesarz wymusił na mnie podział państwa, z władcy hołdownikiem mnie uczynił. Ile jeszcze żywota przede mną poświęcić muszę, by osławy po sobie nie ostawić. Nie czekać mi, aż dojdę

do zdrowia, spieszyć muszę, by w gotowości być, gdy się sposobność nadarzy zjednoczyć państwo i zrzucić zwierzchnictwo.

— Ultra posse nemo obligatur * — odparł Bożęta. — Macie, miłościwy panie, żrałego już następcę.

* Nikt nie ma obowiązku ponad możność

— O nim z wami gadać chciałem — przerwał Mieszko. — Nazbyt dufny w sobie, zda mu się, iż jeno w mieczu jest siła. Wybaczcie junoszy, jen nie rozumie, żeśmy wzajem sobie potrzebni. Owo i ninie prosić was muszę, byście choć kościelnej jedności ustrzegli, którą rodzic mój zbudował. Wiecie, że z dawna Magdeburg roszczenia podnosi, by Kościół nasz jego zwierzchności poddać. Sposobność ma, by trzy najstarsze diecezje od niej oderwać, gdy ni Otto, ni Dietrich przeciw się nie będą. Nie ufam poznańskiemu Paulinusowi, wrocławski Lucilus takż obcy, a to by jeno podział państwa utrwaliło. Wiadomo wam zasię, czym jest niemiecka misja na Połabiu.

Bożęta odparł porywczo:

— Bez mej zgody nikto tego uczynić nie władny. Klątwą zagrozę i zawieszeniem w urzędzie.

— O to was proszę — rzekł Mieszko. — Lękam się jednakowoż, że mogą to uczynić za zgodą Kurii rzymskiej. Nigdy nie była nam przychylna, a ninie Konrad ani chybi powolnego sobie człeka na Pietrowym stolcu osadzi. Pieniądzem można by tam ludzi pozyskać, ale wiecie, że w skarbcu pusto, a potrzeb niemało.

— Świętokupców iście tam nie brak — przytaknął Bożęta. — Ale o to niewczesna troska, a w ostateczności dzięki waszej i przodków waszych hojności jeszcze w kościelnym skarbcu co nieco ostało. A choćby z ołtarzy zdjąć, poznańska, wrocławska i pomorska diecezja od zarania polskie były i polskie ostaną pókim żyw — rzucił porywczo.

Przez chwilę sapał gniewnie. Uspokoił się i podjął:

— Bliższa troska o waszego syna. Junosze popędliwi bywają, anibym pomniał, co mi rzekł. Nie o mnie chodzi ni o moje wybaczenie. Postrachem ładu nie zaprowadzi, jeno sobie i wam wrogów przysparza. Nawet istych zdrajców obyczajowym postępkim karać należy, bo i im prawo służy bronić się. Nijaka to prawota, gdy poniektóry nie wie, za co głowę ma dać, skoro pod przymusem jeno Bezpryma panem uznał.

Mieszko słuchał zachmurzony, a Bożęta ciągnął:

— I z kimże to królewic tej swojej prawoty domierza?

Z leśnymi gromadami, które nie jeno z kościelnego posłu-

szeństwa wyszły. One to, nie tych kilku wielmożów czy nieco rycerstwa, które wam zaprzysiężonej wiary nie docho-
wało, wojnę domową wzniecić gotowe, nie jeno krzyż oba-
lić, ale wszelką władę. Nie masz Bezpryma, nie ma jego
popleczników, sami do posłuszeństwa wrócą, bo zamęt ni-
komu nie służy, chyba zbójcom.

— Bez tę moją nieobecność wszystko się rozprzęgło — po-
wiedział Mieszko. — Widzicie, iż nie władza do czego raniej
ręki przyłożyć. Ninie Bolka zabieram z sobą, skończy się
jego samowola. Moja to wina, iżem zawczasu nie zadbał,
by w nim następcę swego przysposobić. W boru się cho-
wał, przy starym smerdzie, jen nie wiem, zali chrzczo-
ny był.

— Nie winujcie siebie, miłościwy panie — powiedział
Bożęta — bo wiadomo przecz tak było. Da wam Bóg jeszcze
mnogie lata, byście zjednoczone i uładzone państwo synowi
ostawili. A tymczasem usatkuje się i nabierze doświad-
czenia.

— Daj to Bóg! — westchnął Mieszko, ale w to nie wie-
rzył. Jak chore zwierzę najchętniej zaszyłby się gdzieś
z dala od ludzi, wiedział jednak, że tego uczynić mu nie
wolno. Obawiał się, że zbyt rychło przekazać mu przyjdzie
państwo Bolkowi, który zda się nie rozumieć, że zachęte
daje do oporu prostemu ludowi, któremu przywódcy tylko
nie dostaje, by obalić wszelki ład. Nie brak było takich
przykładów w świeżo ochrzczonych postronnych państwach.
Mieszkowi znowu przyszła na myśl ponura przepowiednia
konającego ojca. Jeśli musi się spełnić, to na darmo wszelkie
wysiłki. Ale nic go od nich nie zwolni.

O świcie ruszył w dalszą drogę, by jednym dniem stanąć
w Łądzie. Późnym wieczorem zajechał na gród, ale Dobroch-
ny już tam nie zastał. Komes Gniewosz udzielił jej gościny
w swym dworcu na lewym brzegu Warty, niespełna ćwierć
mili od grodu, ona zaś, nawykła do samotności i ciszy, wo-
łała od razu się przenieść. Mieszko postanowił wstąpić tam
nazajutrz, także rozmowę z synem odkładając do jutra, nie
chciał bowiem mówić z nim przy obcych. Zdrożony zresztą
był i zaraz po wieczerzy udał się na spoczynek.

Przeprawiwszy się przez Wartę o świcie, Mieszko polecił
setnikowi ciągnąć z orszakiem dalej, sam zaś wraz z Bol-
kiem i jednym koniarem zjechał z gościńca rzadko uczęsz-
czaną drożyną wśród rozlewisk. Po kilku stajaniach wy-
biegła na wąski przesmyk między dwoma jeziorkami lekko
wznoszący się ku pagórkowi, na którym wśród olchowych
kęp z dala już widoczne były zabudowania.

Gdy dotarli do nich, na obejściu nie widać było nikogo, nawet pies nie zaszczekał. Mieszko polecił komarowi przytrzymać konie nie popuszczając popręgów, zamierzał bowiem tylko pożegnać Dobrochnę, a na południowym postoju dogonić idący przodem orszak.

Zastali ją nad brzegiem jeziora. Siedziała zapatrzona w wodę, błękitną odbiciem pogodnego nieba, na której jak gwiazdy lśniły lilie wodne. Na odgłos ich kroków odwróciła się bez zdziwienia, widocznie spodziewając się tych odwiedzin. Bolko powitawszy matkę odszedł rozejrzeć się po obejściu, Mieszko zaś usiadł koło niej i po chwili powiedział jak do siebie:

— Pięknie tu jest...

Urwał w obawie, że będzie go zatrzymywała, widząc jak bardzo potrzebny mu wypoczynek, ale powiedziała tylko:

— Pięknie. Prawie jak u nas.

— Dobrze ci tu? — zapytał.

— Zawždy mi dobrze z wami.

Opuścił oczy, patrząc na swe wychudłe dłonie. Dla niej jest wszystkim i niczego więcej nie chce, a on w zamian ofiarować jej może czekanie na okruchy swego życia. Odebrał jej syna, a teraz jeszcze opuścić musiała rodzinny dom, za którym tęskni widocznie.

Jakby zrozumiała dlaczego posmutniał, dodała szybko:

— Wiem, że i wam dobrze ze mną bywało, ale indziej wasza powinność. Tedy wróćcie, może już do nas, nad swoje jezioro.

Położyła rękę na jego dłoni uśmiechając się smutnie:

— Dobrze, gdy człek czekać ma na co lubo choć wspominać. A Bolko wrychle mógłby was zastąpić — dodała nieśmiało.

Mieszko przemógł się i wstał. Zdało mu się, że chce go zatrzymać, choć dotychczas nie czyniła tego nigdy. Ale powiedziała tylko:

— Lepiej jechać o porannym chłodzie, jeno pomnijcie spocząć południową porą, bo skwarna będzie.

Razem podeszli do koni, gdzie zastali Bolka. Wyściskał matkę, pomógł ojcu wsiąść, skoczył w siodła i ruszyli. Jechali kłusem dłuższy czas, dopiero gdy konie zagrzały się, przeszli w stępa. Bolko nie przerywał milczenia, widząc że ojciec nad czymś się zadumał.

Mieszko myślał o tym, że sam młodszy był niż obecnie Bolko, gdy w niejednym zastępował rodzica, ale nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, by nieposłusznym być jego woli. Jak przemówić do syna, by zrozumiał, że władza to

nie sposobność zaspokajania chęci przygód, a co gorsze skłonności do okrucieństwa. Za późno, by go przekonywać karami, a Mieszka nachodziła obawa, że wkrótce nie tylko zastępstwo zdać mu przyjdzie. Jaki będzie los państwa w rękę niedoświadczonego młodzieńca.

Zwrócił się do Bolka:

— Gadałem o tobie z arcybiskupem.

Bolko parsknął śmiechem:

— Bardzo się staruch na mnie pieklił?

Mieszko pohamował gniew. Postanowił rozmówić się spokojnie i rzekł:

— Mógłbyś choć teraz z większym szacunkiem mówić o człeku, jen nie tylko wiekiem i doświadczeniem cię przewyższa, ale głową jest Kościoła i od każdego przestrzegania jego praw domagać się jest władny.

Bolko zachmurzył się i mruknął:

— Pono dwie głowy w jednym państwie to za wiele.

— Ale jeszcze nie ty głową, a choćbyś i był, dziad mój krzyż wprowadzając praw Kościoła słuchać nakazał jak własnych, rodzic zaś srogimi karami nieposłusznym zagroził. Tedy nie dwie głowy to, ale jedna i ta jedność o sile państwa stanowi. Chcesz wiedzieć, co mi rzekł metropolita? Aniby pomniał, coś mu wygarnął, bo młodzi popędliwi bywają, gdyby to, co działaś, nie było z powszechną szkodą. Widno nie chciał rzec, że bywają głupi.

Bolko zaczerwienił się i odparł chmurnie:

— Zali zdrajców tępić to powszechna szkoda? A kto za nimi obstaje, ten sam zdrajca.

— Milcz! — przerwał Mieszko gniewnie. — Nie za zdrajcami obstaje, jeno za prawem, bez którego nie masz ładu ni siły. I nie to najgorsze, iżesz ilu tam bez sądu wysięki, jeno z kim. Z leśnymi gromadami, którym żaden ład, a pirwe krześcijański nie po myśli.

Bolko nie odezwał się, ale wyraz twarzy miał zacięty.

Mieszko opanował gniew i zagadnął:

— Maszli co rzec?

— Wždy kazaliście milczeć. A chcecie bym gadał, tedy nie bądźcie gniewni, gdy rzekę co myślę.

— Gadaj! — mruknął Mieszko.

— Możem głupi — zaczął Bolko — ale nie tak, bym nie wiedział, co było i co jest. Przedziad krzyż wprowadził nie przeto, że mu nowy Bóg był potrzebny. Niemieckiemu apostołstwu tamę chciał położyć. Wiem, że d, co z nim przyśli, przynieśli znajomość pisma, obcych krajów i mowy, nowy obyczaj i ład. Gdzieże ta siła, którą miał dać? Miast jed-

ności rozdwojenie, bo prosty naród nie chce ni nowego Boga, ni nowego obyczaju i ładu.

Zwrócił się wprost do ojca, który słuchał coraz bardziej zmieszany i ciągnął:

— Wy znacie obce mowy, pono w pięci językach nowego Boga chwalicie. Znacie obce kraje, jeździliście do Niemiec, z cesarskiego rozkazania, do Czech, w niewolę. Posłuszni prawom Kościoła ostawiliście przy żywocie zdradzieckich braci, bo wam Paulinus klątwą zagroził. Zali bym się mylił, że Radzim wyklął dziada i stało się coś? Wy zasię przeto panem nie jeście we własnym kraju, z cesarskiego ramienia zniemczały pociotek Pomorze dzierży, śląsk i Wielką Polskę zdrajca Otto, po prawdzie pacholek Ryczezy. Wiadomo po co tu wróciła: nie z tęsknoty, jeno by swemu synowi dziedzictwo po was zapewnić. O jednego z nas za dużo. W głosie Bolka zabrzmiała groźba, a Mieszko wiedział, że zdolny jest ją wykonać. Oddał młodszego syna do klasztoru licząc na to, że kiedyś będzie następcą Bożęty w zgodnej współpracy z Bolkiem jako swoim następcą. Cóż z tego, że Kazimierz przyrzekł, iż o władzę walczyć nie będzie? Za nim stoi Ryczeza. Nie mógł zaprzeczyć, bo sam był tego pewny, że ona uczyni wszystko, by się pozbyć znieawidzonego pasierba, a stawką w tej grze jest niczemu nie winny Kazimierz. Naszło go uczucie, że wszystko co czyni, na złe musi się obrócić.

Gdy milczenie się przedłużało, Bolko zapytał:

— Zali nie jeśm praw w tym co rzekłem?

— Nie wiem — głucho odparł Mieszko — jeno że jakoweś przekleństwo ciąży nade mną. Może Bezprymowej krzywdy i krwi?

— Na mnie ciąży Bezprymowa krew — rzekł Bolko niecierpliwie. Parsknął śmiechem, aż Mieszko wzdrygnął się, i dodał:

— Wolej mi, niżby moja na nim ciążyła. I Ottonową lekko udźwignę.

— Ale nie udźwigniesz mojego przekleństwa, gdybyś się Kazimierzową pokalał — rzucił Mieszko wzburzony. — On mi przyrzekł, że o władzę walczyć nie będzie.

Bolko pokiwał głową:

— Dietrich takż ślubił waszemu rodzicowi, że do kraju nie wróci. Ninie na Pomorzu siedzi. Oszczędziliście Bezpryma, zdradą odpłacił. Chcecie i mnie takowego Bezpryma ostawić? Niechaj będzie, skoro tańsza wam moja głowa niżli jego. Nie stoję o nią i nic mi do chuchraka, jeno pokąd on żywie; cesarz nie poniecha mieszania się w nasze

sprawy.

— Pokąd żywie Rycheza — powiedział Mieszko jak do siebie, ale Bolko odparł:

— Z babami nijak wojować. Mierzi mnie niewieścia jucha.

— Nie tak myślałem — mruknął Mieszko i umilkł. Rozmowa z synem wprowadziła go w zamęt. Jedno uświadomił sobie: Bolko nie jest już wyrostkiem, szukającym przygód. Wie, co robi i do czego zmierza. Temu, co mówił, trudno było zaprzeczyć, a jednak Mieszko czuł, że błądzi. Ale jednocześnie nachodziła go wątpliwość, czy niemal nieustające pasmo swych niepowodzeń można tylko losowi przypisać, czy też Bolko słusznie wytyka mu słabość. To prawda, że nie umie budzić strachu.

Mieszko puścił konia w kłus i rozmowa się urwała. Wy-sforował się naprzód, chciał być sam i nie myśleć o niczym. Męczył go też wzrastający ku południowi upał, powietrza aż drżało od skwaru. Gdy zziajany koń po chwili przeszedł w stępa, gorąco stało się nieznośne, woń końskiego potu zatykała oddech. Mieszko zeskoczył na ziemię, zatoczył się i usiadł. Zimny pot zrosił mu czoło, zęby ścierpły, przed oczyma tańczyły czarne pląty. Otrzeźwiał, gdy nad nim stanął Bolko, dźwignął go i powiedział:

— Do rzeki jeno stajanie, wypławicie się, przejdzie omamienie. Wydolicie dojsć? — zapytał.

— Już mi przeszło — powiedział Mieszko usiłując powstać, ale Bolko widział, że chwieje się na nogach. Ujął go pod ramię i niemal niosąc skierował się do rosnącego opodal zagajnika, ułożył w cieniu na derze zdjętej z konia, a zwracając się do pachółka rozkazał:

— Weźmi konie napoić i wypławić, a potem spętaj i puść na paszę. Tu będziem obiadować, wody przynieś.

Usiadł obok ojca zamierzając rozmówić się, ale Mieszko leżał zamknawszy oczy. Bolko sądził, że usypia, wstał i poszedł wypłuskać się w rzece. Do wracającego z wodą pachółka powiedział:

— Daj, sam zaniosę, a ty skocz do setnika. Rzeknij mu, by na nas nie czekał. Dojdziem go na noclegu lubo w Kaliszu. I wracaj nie mieszkając, a kociołek mi ostaw i sakwy ze spyżą.

Wprawnie rozniecił ogień, kociołek zawiesił na trójnogu z patyków i czekając aż woda zawrze, usiadł i zamyślił się. Jeżeli objazd i przygotowania mają zakończyć przed zimą, wskazany jest pośpiech. Jak skłonić ojca, by powierzył zastępstwo jemu. Postanowił mówić wprost, ujął dzban z wo-

dą i skierował się do kępy, gdzie spoczywał Mieszko. Oczy miał otwarte, na widok Bolka usiadł i wyciągnął ręce po dzban. Pił długo, z przerwami, potem twarz zwilżył wodą i rzekł:

— Możem jechać.

— Strawa się warzy — odparł Bolko. — Biegana niechalem zawiadomić, by na nas nie czekał.

— Pospieszać trzeba — powiedział Mieszko, ale położył się znowu. — Jutro na wieczór stanąć chciałbym w Kaliszu. Wieści tam winien przysłać palatyn Michał albo i sani przybyć.

— Ja zasię mogę tam być rankiem. Niedziwne mi spać na koniu. Wam niewieściego starunku potrzeba, wracajcie do Łądu. Macierz się uraduje, wieści, jeśli jakowe będą, prześlę, a nie, to palatyna uwiadomię, kano was najdzie. Macie ulgnąć gdziesi po drodze, lepiej wam będzie u macierzy i raniej do sił dojdziecie.

Mieszko milczał. Wahał się widocznie, ale czuł, że syn ma słusność: jeżeli jeszcze może odzyskać siły, to tylko wypoczywając w spokoju.

Bolko nie nalegał, wstał i odszedł do ogniska przygotować obiad. Zanim skończył, wrócił pacholek wykonawszy polecenie, Bolko kazał mu dopilnować jadła i przynieść, gdy będzie gotowe, a sam udał się do ojca, usiadł koło niego i czekał. Po dłuższej chwili pacholek przyniósł kociołek i cynowe misy. Pożywiali się w milczeniu. Bolko skończył pierwszy, wstał i zapytał:

— Co mam rzec Awdańcowi?

Mieszko jakby się jeszcze zawahał, bo nie od razu odpowiedział:

— Jeśli go zastaniesz w Kaliszu, niechaj przyjedzie do mnie. Jeśli jeno wieści, przyślij. A ni jedno, ni wtóre, uwiadom go, gdzie jeśm. Gdzie go szukać, nie wiem, bo pewnikiem na miejscu nie siedzi, ale w Górach lubo w Skarbnie będą wiedzieli. Wierny to druh i doświadczony człek, polegać mogę na nim jako na sobie samym.

— Na mnie takoz — zaśmiał się Bolko całując ojca w rękę. — Tedy poczywajcie, a my już uładzim, co trzeba.

Skinął na pacholka mówiąc:

— Odwieziesz pana do Łądu i ostaniesz przy nim.

Zaczekał, aż pachol osiodłał konie, pomógł Mieszkowi dosiąść i stał jeszcze, patrząc jak ruszyli z powrotem. Odetchnął z ulgą. Przywiązał się do ojca, ale ciężył mu nie tylko dlatego, że sterał już swe siły i zdrowie. Sobie ręce wiązać pozwala i jemu chce związać względami dla wrogów,

uległością dla praw Kościoła. Gdy ze śmiercią Chrobrego rozwiła się jego potęga, chrześcijaństwo, które spoiwem być miało, łączącym plemiona o różnym obyczaju i przeszłości w jeden naród, stało się tylko jarzmem, pod którym prosty lud uginać musi kark. Bolko znał go i wiedział, że potrafi je zrzucić. Opór grozi wojną domową, niebezpieczniejszą niż ta, której obawia się Mieszko, zabraniając ściągać przeniewierczych możnowładców.

Bolko dosiadł konia i ruszył w ślad za orszakiem. Gościec był pusty, miejscami już trawą zarosły. Ongiś najruchliwszy odwieczny szlak handlowy, od czasu najazdu Jarosława opustoszał. Handel potrzebuje spokoju i bezpieczeństwa, teraz gdy rzeka, nad którą biegnie, stała się granicą przyznanego Ottonowi lenna, niepewność jeszcze wzrosła. Kalisz, leżący na skrzyżowaniu dróg z Krakowa, Wrocławia i Gdańska, z najważniejszej stacji handlowej stał się pogranicznym grodem. Dochody z targów, ceł, drogowego i mostowego przestały zasilać skarbiec. Orszak, jaki zabrał Mieszko, to niemal wszystko, co pozostało z tysiąca trzystu pancernych, stałej drużyny, stojącej w Poznaniu. Reszta nie opłacana rozeszła się lub pozostała w służbie Ottona i Ryczezy. Mimo że upał zelżał, Bolko nie gnał konia. Teraz gdy miał wolną rękę, rozważyć chciał, co poczynać. Lubił zresztą samotność, do której nawykł od pacholęcia, dołączy do orszaku na noclegu.

Słońce już zaszło, gdy z dala dojrzał dymy ognisk. Namiotów nie rozpinano, bo noc zapowiadała się ciepła. Napojone i wypławione konie pasły się na łące nad rzeką, wojownicy siedzieli przy ogniskach, warząc wieczerzę. Potem układali się na spoczynek z siodłem pod głową, gwar obozowy nacichał, ogniska zaczęły przygasać.

Bolko przysiadł się do Biegana, który siedział samotnie, nie zabierając się do spoczynku. Nie znał go, a chciał wiedzieć, czego może się po nim spodziewać. Palatyn Michał pewny musiał być tego człowieka, skoro wybrał go na dowódcę przybocznego hufca. Bolka pozdrowił z szacunkiem i nie odezwał się więcej. Wiek jego trudno było odgadnąć. Gdy siedział na koniu, zdał się młodym człowiekiem, w blasku ogniska jednak widać było zmarszczki na jego suchej twarzy, a obwisły wąż nadawał jej wyraz smutku czy troski. Bolkowi również nie zbierało się na sen. By ośmielić starego wojaka, zapytał:

— Rodzinę masz?

— Dwóch otroków — odparł Biegan, kciukiem przez ramię wskazując na leżących opodal pokotem wojowników.

Bolko domyślił się nawet którzy, bo poprzednio zauważył dwóch podobnych do siebie gołowąsów. Zapytał:

— Czemuż nie wieczerzacie społem?

— Bo tu nie jeśm rodzicem, jeno dowódcą; by się im nie zdało, że lepsi są od innych. Doma będziemy pożywać społem.

— Nie wiada kiedy — powiedział Bolko w zamyśleniu. —

Otto ni Ryczeza nie będą radzi patrzeć na tych, co im służyć nie chcą.

— Na Gody! — mruknął Biegan. Bolko uśmiechnął się:

— Skąd ta pewność? Nie stać nas ninie na wojnę z cesarzem.

— Stary król wiedział, dlaczego Ottonowi działu nie osta-
wił i tak ma być, jak on zarządził — odparł Biegan.

— Praw jeś, jeno że stary król nie żywię, a rodzic mój
wiesz! Słabuje i miętki jest. Miał było obydwu braci w rę-
ku i wypuścił, bo mu biskup klątwą zagroził.

— Ale wam widno klątwy nie strach, skoroście Bezpry-
ma ubili — powiedział Biegan.

— A rodzic jeszcze się nad nim użalał — zaśmiał się
Bolko.

— Niechby się i nad Ottonem użalał — mruknął Biegan
wstając i dodał:

— Pójdę sprawdzić straże. Ninie tu jest granica. Gdy
wojować naczynałem, nad Salą była.

— Niechajby choć nad Odrą była — westchnął Bolko. —
Ale i na to czekać przydzie.

— Do Godów — powtórzył Biegan. Bolko zapytał niscier-
pliwie:

— Skądżeś taki pewny?

— Wiedźma mi przepowiedziała, że na Gody wrócę do
dom. A nie wrócę, pokąd Otto w Poznaniu siedzi. Jeno wy
na siebie pozór dajcie. Niech bogi chronią, byśmy jeno
z onym mnichem i jego macią ostali.

— Co prawisz! Wždy żywię rodzic mój.

Biegan nic nie odrzekł i odszedł w ciemność, Bolko po-
został zapatrzony w przygasające ognisko. Po raz pierwszy
uświadomił sobie, że gdyby Mieszka nie stało, jemu przy-
dzie podjąć odpowiedzialność za losy kraju. Ale ojciec liczy
dopiero czterdzieści trzy lata, pod opieką Dobrochny powi-
nien dojść do sił. A może sam przeczuwa rychły kres i dla-
tego zalecił na doradcę Michała Awdańca, lękając się Bel-
kowego niedoświadczenia. Jeśli w Kaliszu spotka się z nim,
naradzi się nad dalszym poczynaniem, skoro ojciec tak chce.
Po dłuższej chwili powrócił Biegan i bez słowa ułożył się

na spoczynek. Bolko nadal siedział zadumany, spojrzenie utkwivszy w dogasający żar ogniska. Nie wiedział, kiedy zasnął. Gdy otworzył oczy, ognisko płonęło znowu, ale nie było przy nim nikogo. Wstawał dzień, niebo na wschodzie jarzyło się zapowiedzią nadchodzącego słońca, obóz był już na nogach.

Bolko zbierał się, by iść wypłuskać się w rzece, gdy nadzedł Biegan, mówiąc:

— Jeśli na nocleg mamy być w Kaliszu, pora nam ruszyć, tedy pośniadajcie prędko.

— Możesz ruszać zaraz, dociągnę — odparł Bolko, ale Biegan rzekł:

— Pokąd jesteśmy społem, moja za was odpowiedzialność. Nie ostawię was samych.

— Z dawna bez piastuna chadzać obykłem — zaśmiał się Bolko, pomyślał jednak, że palatyn umie dobierać ludzi. Słońce już zachodziło, gdy dotarli do Kalisza. Bolko kazał Bieganowi stanąć obozem nad rzeką, sam zaś pospieszył na gród, by zdążyć przed zamknięciem bram. Już przy wjeździe dowiedział się od strażnika, że palatyn nie przyjechał, bawi natomiast u żupana wojewoda Skarbek. Nie czekając, by go oznajmiono, udał się do mieszkalnego budynku i zastał obydwu przy wieczerzy.

Żupan Niemierza, który nie znał Bolka, zaskoczony był jego zjawieniem się, ale domyślił się, kim jest, gdy wojewoda wstał witając go i zapytał:

— Gdzie miłościwy rodzic wasz? Czekam tu na niego.

— Zasłał w drodze, tedy odesłałem go do Łądu, gdzie w Gniewoszowym dworcu bawi także macierz moja. Ale miał tu być brat wasz. Rodzic chciał się z nim obaczyć.

— Nie mógł przybyć, tedy mnie przysłał — odparł Skarbek. — Chyba mi jechać do króla, a Michał pilno wracać przykazał — dodał zatroskany. — Naradzić się trzeba.

— Naradzić możecie się ze mną, a króla ostawcie w pokoju. Wiedzieć chciał, co poczyna Otto, jen w Merseburgu o zgodę zabiegał. Miał z nim gadać palatyn, by wymiarkować.

— Nie chciał gadać z Michałem — odparł Skarbek. — Myślał zrazu brat, że jeno lęka się, by się przed Rychezą nie wydało, bo zajęczą kozą podszyty. Ale widno na jednym wozie jadzie z królową, bo ani chybi z jej poduszczenia na was dybie i brat przestrzec was niechał.

Bolko parsknął złym śmiechem, ale zapytał:

— Skąd ta wiadomość?

— Mamy zaufanych w Poznaniu i na samym dworze —

odparł wojewoda. — Ze królowa rada by pozbyć się was, wiadomo. Ale po co by się Otto wywiadywał, gdzie macierz wasza, jeśli nie przeto, iż wie, że obykliście do niej zacho-
dzić? Tedy miejcie się na baczości.

— Dzięki za przestrogę — powiedział Bolko obojętnie. — Zali tyle jeno wieści?

— Nie! Cesarz odszedł na zachód, widno mniema, że już tu sprawy załadził, a w razie potrzeby margrafowie pomocy udziela nowym lennikom. Ale północny margraf w wojnie z Wioletami, a Dietrich swoje lenno dobywać musi. Pomor-
scy pankowie nijakiej zwierzchności nieradzi, opór stawia, tyle że w rozsypce, bo i między sobą się swarzą: snadnie by sami ziemzonego Piastowica przegnali, gdyby się zje-
dnoczyć umieli. Prosty naród zasię w bory i bagna uchodzi albo i za Noteć. Tak mniemam, że gdyby im poręczyć, że nikogo siłą do zmiany wiary przymuszać nie będziem, chę-
tnie by do wspólnoty wrócili, bo widzą, że w osamotnieniu na łup jeno pójda dla obcych.

— Jeśli tak iście jest — powiedział Bolko — do Mojsła-
wa nam słać. Drużynę we Włocławku ma pod ręką, z sąsia-
dami spokój, niechby Pomorców podparł. Jemu zaufają, że na siłę krzcić nie będzie, bo i na Mazowszu krzcić nie zwa-
łał i nawet się o to kruszwicki biskup u rodzica żalił. Najdzie biskup chętnych iść tam, gdzie ich nikt nie chce, niechaj sobie Pomorców nawracają. Może wojak głowę stawić, mogą i oni, nie droższe mają.

Niemierza ze Skarbkiem spojrzeli po sobie. Wojewoda po chwili powiedział:

— Królem można być jeno w krześcijańskim państwie.

Dziad wasz wiele zasobów i trudu poświęcił, by mieć wła-
snego metropolitę, bez którego koronowany nie mógł być.

Bolko ramionami wzruszył:

— Mógł się koroną uwieńczyć, bo siłę miał. Gdy rodzicowi jej brakło, korony odrzec się musiał, choć metropolita ostał.

Machnął ręką i dodał:

— Nie o to moja troska. Jakie wieści macie ze Śląska i Wielkiej Polski?

— Źle się stało, że miłościwy pan zabronił opór stawić Ottonowi. Może mniemał, że on jeno się przytają, a sposob-
ną porą pospołu z nami działać będzie. Ale on jawnie już stronników sobie skarbi, nowymi ludźmi urzędy obsadzając, nie przeciwi się, gdy Rycheza przez swych włodarzy od wol-
nych ludzi świadczenia wymusza, do których nie są obowiązani. Widno zasmakowała mu właść i może wyżej mierzy.

— Palatyn Michał gdzie bawi? — zapytał Bolko.

— Wedle Wschowa. Siły gromadzi, jakie nam ostały — odparł Skarbek. — Wielu też przed Ottonem tam uciekało, rodziny nasze ściągnął i co się dało z mienia i zapasów, bo miejsce obronne. Spory szmat kraju jeziorami i bagnami Obry oblany, a o wieści łatwo, bo do granicy blisko. Jeno zimować trudno tam będzie, bo dla wszystkich spyży ni dachu nad głową nie starczy. Ciężka może być z Ottonem rozprawa, gdy się to rozejdzie, on zasię umocni się w kraju.

— Tedy kończyć należy przed zimą — rzekł Bolko, ale Skarbek przecząco pokiwał głową:

— Otto od margrafów może pomoc zyskać, nie wydolimy przed zimą...

— Nie będzie Ottona, nie będzie jego ludzi ni komu pomocy udzielać — przerwał Bolko. Skarbek, zaskoczony, zapytał:

— Co zamyślacie?

— To samo, co Otto — zaśmiał się Bolko. — Chce się stryk ze mną spotkać, trzeba mu wyjść naprzeciw.

Przez chwilę wojewoda zdał się namyślać i podjął:

— Nie przeczyć, że gdyby Ottona nie stało, łatwiejsza byłaby sprawa. Jeno zważcie, że to nie Bezprym, jen nieprze-zorny był i cherlak. Wierzę, że i Ottonowi samowtór poradziłibyście, choć bywa, że mocniejszy słabszemu ulegnie.

Ale on wam nie stanie, cudzymi rękami zwykł się wrogów zbywać. Wiem, że śmiałości wam nie brak, ale starczy ona wojownikowi, nie temu, na którym los kraju spoczywa.

Gdyby się jemu powiodło, nie wam, kto ostatek? Rodzic wasz o dziesięć godów od niego starszy i słabuje...

Bolko, który słuchał z ukrywanym zniecierpliwieniem, przerwał:

— Jeszcze żywię. Nie będę myślał co po nim, jeno co dzisiaj. Sami prawicie, że z czekania Ottonowi korzyść, nie nam. Ani mi takż w myśli wyzywać go na udeptaną ziemię, ani się nie upieram, by go zarznąć własną ręką. Setnie ludzi mam pewnych, trzeba będzie i więcej najdę. Setnika Biegana ani chybi takż znacie?

Wojewoda skinął głową:

— Człek obrotny i doświadczony, można mu zaufać.

Bolko zaśmiał się:

— Wiedźna mu wywróżyła, że na Gody będzie doma, a zarzekł się, iż nie wróci, pokąd Otto się panoszy. Wróci on, to i my. Skorośmy tedy uradzili, co poczynać, wypijmy strzemiennego, bo jadę do swoich. Jeno rodzicowi nie gadajcie, co zamierzam. Dowie się w porę, nad kim ma lutać, nad bratem lubo nad synem. Jeśli wydoił, sam niechaj do

Krakowa jadzie, jeśli nie, jedźcie wy, tak czy inak siły i zasoby ściągnąć trzeba.

Nie czekając by się który odezwał, nalał sam w kubki, wypił i wstając rzekł:

— Bywajcie! Obaczmy się w Poznaniu.

Gdy Bolko wyszedł, Skarbek mruknął:

— Uradziliśmy!

Niemierza zaśmiał się:

— Widno mu nijakiej rady nie trzeba. I wiecie: zda mi się, że on iście z Ottonem koniec uczyni.

— Daj to Bóg! — powiedział Skarbek. — Ale jeśli nie, to choćby sam głowy nie dał, rozpęta walkę, do której nie jesteśmy gotowi. Pry, że krom onej setni ludzi najdzie! Wiadomo jakich: chaśniaków i darmochołów, o co już się ściał z arcybiskupem, zdatnych poczty na gościńcu napastować lubo nocą dworce nachodzić, ale nie do oczu stanąć rycerstwu lubo grodów dobywać. Bieda to, że król zaniemógł — westchnął. — Miał Bolko z nim na objazd jechać, siły ściągnąć ze wschodu. Ninie mnie to ostawił, a wiemci ja, zali u Starzów, Odrowążów, Strzemieńczyków i innych posłuch najdę, gdy Awdańcom niechętni. Nie daj Bóg, by nie stało króla...

— Zadość troski o dzisiaj — przerwał Niemierza. — Do Mojsława tak czy inak słać trzeba, wy zasię jedźcie do króla z nim uradzić,

— Jakoż mi jechać, gdy Bolko zabronił mówić, co wziął przed się. A rzekę, jeno bym niemocnemu człeku zgryzoty przyczynił.

— Tedy iście, jeno mu wieści przesłać, a sami jedźcie do Krakowa. A ze wszystkim nie wiem, zali na takowe czasy nie lepszy Bolko od rodzica. Baczcie do czegośmy pod nim doszli.

Wojewoda zachnął się:

— Łacno go winić! Wrogi dokoła, zdrajcy doma. Wiem, że go poniektórzy gnuśnym zowią. Jeśli w czym zawinił, to wyrozumiałością dla nich.

— Nie sierzście się — powiedział żupan — wždy nie ja go winuję. Jednakowoż zawždy tak bywało, że wodza sławią za zwycięstwo. Jedno zasię pewne, że Mieszko nie ma szczęśliwej ręki.

— Nieszczęsny człek — powiedział Skarbek. — Nie byłoby lepszego władcy, gdyby mu w pokojnym czasie rządzić przyszło. A nie było roku bez wojny lubo przygotowań do niej.

Niemal zupełny brak oporu przeciw objęciu władzy przez

Ottona podniósł go na duchu, nie chciał jednak jawnego zerwania z Rycieżą, jakkolwiek coraz bardziej drażniła go jej lekceważąca wyniosłość. Toteż unikał z nią spotkania, rzadko i na krótko przebywając w Poznaniu, zajęty objadami swej dziedziny, a gdy znużony nimi pozwalał sobie na wypoczynek, po dawnemu zabierał się do leśnego dworca. Odnalazło się paru starych towarzyszy rozpustnych zabaw, przybyło nieco nowych, ale Otto ze zdziwieniem stwierdził, że przestały mu smakować pijackie biesiady, natomiast zasmakowała mu władza. Życie z dnia na dzień zdało mu się jałowe, coraz częściej zaczynał myśleć o przyszłości. Był już w sile wieku, czas najwyższy pojąć małżonkę, a przez ten związek zapewnić sobie potężnego sojusznika. Jarosław jednak ni Kanut nie wydadzą córę za tymczasowego lennika na niewielkiej dzielnicy. Otto wiedział o chorobie Mieszka, ale gdyby nawet zmarł, drogę do spadku po nim zagradza Bolko. O Kazimierza na razie nie troszczył się; sam niezdolny jest do objęcia władzy, znieawidzona w kraju Rycieża nie zdoła jej pochwycić.

O tym myślała i królowa, z niecierpliwością oczekując wieści o wyborze nowego papieża, by słać do niego z prośbą o zwolnienie Kazimierza od ślubów. Póki tego nie uzyska, Otto może być jej jeszcze potrzebny, a zmiana w jego zachowaniu budziła niejasne podejrzenia. Trudno było jednak odgadnąć, co może chować w zanadrzu. Porozumienie z Bolkiem było nieprawdopodobne, raczej już z Mieszkiem. Nie był zawzięty, a w obecnym położeniu zgoda z bratem byłaby dla niego korzystna. To by wprawdzie wyjaśniało beczyność Ottona w sprawie Bolka i zmianę zachowania, ale niejasne było, jakiej korzyści może wyglądać.

Królowa postanowiła rozmówić się z nim, spodziewając się, że potrafi wymiarkować jego zamiary. Ostatnio dwukrotnie nie stawił się na wezwanie, by go przeto zaskoczyć, gdy tylko zjawił się w Poznaniu, natychmiast udała się do nowego dworca.

Z świetlicy dochodził gwar licznych głosów, widocznie zbierano się na wieczerzę. Usiadła na podcieniu, towarzyszącą jej dworkę wysyłając z zawiadomieniem o swym przybyciu.

Otto istotnie zaskoczony był, ale zarazem zaciekawiony, co skłoniło królową, by sama trudziła się do niego. Zjawił się wkrótce witając i zapraszając do wnętrza, ale odparła: — Chcę pomówić spokojnie, bo są sprawy, które zdałoby się społem rozważyć. Zawszy wpadacie jak po ogień, a i nie pewnikiem niedługo zabawicie?

— Iście tak! — powiedział. — Rano wyjeżdżam do leśnego dworca. Tedy słucham was, miłościwa pani.

— Pewnikiem na łowy — westchnęła. — Zawidzę wam, że możecie choć na czas zabyć o sprawach. Wybaczcie, że wam o nich przypomnę, bo mnie one nawet nocny spoczynek zakłócają.

W zachowaniu królowej nie było nic ze zwyczajnej wyniosłości. Zdziwił się, ale zarazem zaniepokoił i zapytał:

— Zali co zaszło?

— Mówił mi biskup Paulinus, iż metropolita żalił się u waszego brata na Bolka, że z poganami się znosi i z nimi bezprawia dopuszcza, a Mieszko przyrzekł, że go powściągnie. Nie mógł lubo nie chciał, bo wiadomość mam, że koło Sulęcina pogańskie gromady moje i międzyrzeckiego klasztoru majętności spustoszyły. Wiecie, że lud tu na poły pogański, zuchwały i do posłuchu nieskory...

— Dlaczego mniemacie, miłościwa pani, że to Bolkowa sprawka? — zapytał. — Dużo ludu z Pomorza przed Dietrichem za Noteć uszło. Wyżywić się muszą, tedy rabują.

— Nie! — zaprzeczyła. — Wiem, że bieżeńcy wracają, bo Dietrichowi nie wiedzie się. Pono tamtejsze książątka posiłki otrzymali od wojewody Mojsława, który się z nimi przyjaźni i zgoła nie wiadomo, zali się Dietrich na Pomorzu utrzyma. Ale nie jeno przeto. Nie samych chańników w Sulęcinie widziano, ale jeźdźców pancernych. Jedno zda mi się pewne, że Mojsław nie bez wiedzy jeśli nie z rozkazu Mieszka walkę podjął z Dietrichem, a wiecie co to znaczy: uda mu się wyprzeć go, przydzie kolej na nas.

Patrzyła badawczo na Ottona. Zaskoczony był tak wyraźnie, że upewniła się, iż nie jest w zmowie z Mieszkiem, natomiast ogarnęła ją złość na jego niedbalstwo czy beztroskę. Pohamowała się, ale dodała:

— Zda mi się, że nie pora łowami się zabawiać. Nie byłoby wam po myśli raz jeszcze z kraju uchodzić, jeśli by się wam zgoła ujść dało. Zabyliście o losie Bezpryma. Zali jeno ja mam się troszczyć o siebie i o was?

Domyślił się, po co przyszła Rycheza i odparł:

— Ani mi przypominać nie trzeba. Wiem już, gdzie żywie Bolkowa macierz, ale jego tam nie ma i nie raniej się zjawi aż późną jesienią lubo zimą, bo w objazd ruszył i widziano go w Kaliszu. Pilniejsze mi było w kraju się rozejrzeć i swymi ludźmi urzędy obsadzić. I to wiem, że Mieszko słabuje i w Sieradzu ulgnął.

— Ale to pewne — odparła — że pilniejsze niżli łowy z Bolkiem się rozprawić i Awdańcami, którzy koło Wscho-

wa siły gromadzą. Sami nam nie wydolą, tedy na coś liczyć muszą. Ani chybi Mieszko zamierza zrzucić cesarskie zwierzchnictwo, nie czekać wam, aż siły zbierze i z lenna was wyżenie ani na to nie liczyć, że słabuje. Bolko nie wszczynałby buntu bez jego przyzwolenia.

Widząc, że Otto zamyślił się, dodała:

— Zali ja mam łowcę objaśniać, że zwierza nie jeno w grodzę lubo paści złowić można, ale i w obieży. Ludzi do przełaju wam nie brak ni sfory, by wysładować, gdzie go należć.

Po odejściu Ryczezy Otto nadal siedział w zadumie. Bolko stanął na drodze także jego zamierzeń i nadziei, ale spodziewał się usunąć go podstępem. Rozmowa z królową uprzytomniła mu jednak, że nawet o to, co już osiągnął, trzeba będzie walczyć, co gorzej, że gdyby się nie zdołał utrzymać na swej dziedzinie, czeka go tylko los wygnańca bez nadziei powrotu, z którym nikt się już liczyć nie będzie.

Na wspomnienie przeżytych upokorzeń zacisnął zęby. Po raz drugi nie pójdzie na wygnanie. Gdy po raz pierwszy musiał uchodzić, Bolko wyznaczył nagrodę za jego głowę. Teraz przyszła pora, by mu tym samym odpłacić.

Jesień dopiero zaczynała złocić pierwsze liście na drzewach, ale palatyn Michał z troską spoglądał na gromady uchodźców, którzy wyzuci z mienia a niepewni życia schronili się pod jego opiekę.

Miejsce było obronne. Niespełna dwie mile na północ od Wschowej szmat kraju otaczały jeziora, tworząc niemal półwysep, dostępny tylko od północno-wschodniej strony. Nie brakło mężów zdatnych do broni, ale przewagę stanowiły niewiasty i dzieci. Żywić trzeba wszystkich a dach nad głową, pod którym można było przezimować, stanowił tylko dworzec, a raczej grodek na samym południowym krańcu, słotną porą zmieniający się w wysepkę. Suche lato pozwalało przetrwać w byle jak skleconych szałasach lub nawet pod gołym niebem, ale skończyło się, nie przynosząc żadnej odmiany. Wysyłane podjazdy przyniosły tylko wiadomość, że w kraju panuje spokój, a Otto umacnia się w grodach. Palatyn wiedział jednak, że w zastępstwie chorego króla Skarbek wyjechał na wschód, by ściągnąć zasoby i siły. Jakkolwiek Mieszko zabronił stawiania oporu, by uniknąć niepotrzebnych strat, nie pogodził się jednak z podziałem kraju. Ale jeśli skorzystać chce z nieobecności cesarza zajętego przygotowaniem rzymskiej wyprawy, pora rozpocząć działania zanim uniemożliwią je słoty.

Niepokoił też palatyna brak wiadomości o królewiczu.

Wiedział, że ani nie bawi przy ojcu, ani nie wyjechał wraz ze Skarbkim. Gdyby tylko przytaił się, nie było powodu do obaw. Obrotny i obyty z puszcza, nie pozwoli się ogarnąć, póki można się obywać bez dachu nad głową. Ale z nastaniem słotnej pory musi gdzieś osiąść. Choćby nie dotarła do niego wiadomość przywieziona przez jeden z podjazdów, że Otto wyznaczył nagrodę za jego głowę, zdaje sobie sprawę, że zarówno on jak i Ryczeza uczynią wszystko, by go zgładzić. A noce już zaczynały być chłodne, wstającą z bagien i oparzelisk przenikliwą mgłę nie zawsze zdołało spędzić nieśmiałe już słońce. Co gorsze, znając Bolka palatyn podejrzewał, że nie będzie spokojnie czekał na rozkazy.

Sam jednak również nie umiał czekać na rozwój wypadków z założonymi rękami. Musi wiedzieć, czy przyjdzie mu zimować na tym skrawku ziemi, którego wprawdzie mógł bronić nawet przed przeważającymi siłami, ale tylko tak długo, póki głód nie wytrąci oręża z rąk obrońców lub nie zdziesiątkują ich choroby. Postanowił rozejrzeć się po kraju, zasięgnąć wieści, a w miarę możliwości zaopatrzyć się w żywność i paszę dla koni, które już zeszkaplały na kwaśnej bagiennej trawie i zastały się w bezruchu. W obszernych włościach Awdańców, zagarniętych teraz przez Ottona i Ryczezę, nie brak prostych ludzi, przywiązanych do dawnych panów, którzy wzorem dziada Auduna dbać zwykli o wszystko, co żyje, zajedno koń czy niewolnik. Palatyn liczył na ich pomoc, niemniej i z tym, że przyjdzie siłą brać, toteż wziął co młodszych wojów, dla ilu tylko starczyło koni i wyruszył o szarym świcie, by za dnia jeszcze przeprowić się za Obrę. W żywność i paszę zamierzał zaopatrzyć się dopiero w powrotnej drodze, jeżeli w miarę zebranych wiadomości okaże się potrzebna. Trzeciego dnia pochodu z bagien i rozlewisk Obry wyszedł w kraj suchszy i lesisty. Od napotykanymi czasami sokolników, smolarzy i bartników niewiele mógł się dowiedzieć, niektórzy nie wiedzieli nawet o zaszytych zmianach. Należało wyjść w otwartą i osiadłą okolicę, toteż skierował się ku gościńcowi wiodącemu z Międzyrzecza do Niemczy, wysyłając niewielkie podjazdy do leżących przy drodze osad z zadaniem zasięgnięcia języka.

Jeden z nich przyniósł pogłoskę o walkach na Pomorzu. Ważne było stwierdzenie, czy jest to tylko opór stawiany Dietrichowi przez poszczególne grody czy wielmożów, czy też Mieszko ponowne zjednoczenie kraju rozpoczął od wyparcia stryja z przyznanej mu dzielnicy. Gdyby się z tym uporał, zwolnione tam siły skieruje niewątpliwie przeciw Ottonowi, który ani wodzem nie jest biegłym, ani nie ma

zbyt wielu szczerych stronników w kraju. Poważniejszy opór może stawić tylko siłami swoich i Ryczezy najemników.

Palatynowi zaświtała nadzieja, że zimę będzie mógł już spędzić wraz z rodziną w swoim Skarbnie. Ale na razie była to tylko nadzieja, a należało mieć pewność, by podjąć postanowienie o dalszym postępowaniu. Toteż podszedłszy pod Babimost stanął obozem w głębi boru, podjazdy wysyłając w kierunku Zbąszynia i Świebodzina. Nie spodziewał się ich rychłego powrotu, nakazał bowiem sprawdzenie za wszelką cenę pogłoski o walkach na Pomorzu, a w razie jej potwierdzenia, o ich wyniku. Ludziom i koniom przyda się zresztą dłuższy wypoczynek, wobec niejasnego położenia wolał jednak nie zdradzać swej obecności i zabronił palenia ognisk po nastaniu ciemności.

W lesie zaś zmrok zapadał wcześniej, bezgwiezdne i chłodne już noce wlekły się. Z pobliskich jezior wstawała mgła, przez którą jak błędne ogniki przeświecał żar gasnących ognisk, przy których kulili się woje, czekając, by zmorzył ich sen.

Jednego wieczora palatyn obszedłszy strażę, usiadł przed dogasającym ogniskiem. Obóz już spał, cisza aż dzwoniła w uszach, z dopalających się głowni czasem jeszcze wyskoczył płomyk, bezsilny już.

Michała sen nie brał, natomiast budziły się wspomnienia. Niemal czterdzieści lat minęło od czasu, gdy zaczął wojskować. Nadchodzi starość, ale kresu walkom nie widać. Lubił wojnę, ale nie taką, której owocem tylko zamęt i spustoszenie. Ile czasu i sił stracił Chrobry na walkę z braćmi i macochą! Mieszka kosztowała ona nie tylko utratę zdobyczy ojca i dziada. Nie jest panem nawet w starym kraju. Sterany i chory u progu starości oglądać musi ruinę. A przyszłe pokolenie nie zapowiada się lepiej, Bolko i Kazimierz nie będą zgodnie współpracować, jak to Mieszko zamierzył. O to już postara się Ryczeza. Nic dobrego nie przyniosły małżeństwa z Niemkami.

Palatyn otrząsnął się z tych rozważań. Nie o to się troszczyć, co będzie w przyszłym pokoleniu, skoro nie wiadomo nawet co się z królewiczem stało.

Głuchą ciszę zmaćił jakiś szmer, po chwili wyraźny już odgłos kroków po igliwiu. Palatyn dorzucił suszu na głownie i przysłoniwszy oczy od blasku wpatrzył się w ciemność. Gdy nadchodzący wszedł w krąg światła, poznał w nim dowódcę podjazdu wysłanego w kierunku Zbąszynia. Ręką wskazał mu miejsce obok siebie i zapytał:

— Z czym wracasz i gdzie reszta ludzi?

— Wysłałem ich w ślad za jakowymś wojskiem, które szło z Poznania na Międzyrzecz. Tysiąc chłopów albo i więcej, samych jezdnych ze trzy setnie — odparł wojak. Palatyn skinął głową:

— Słusznie. Wiedzieć trzeba dokąd i po co.

Przypuszczał, że Otto i Rycheza wysyłają posiłki Dietrichowi, wiedząc o walkach na Pomorzu, ale wojak dodał:

— Prawili ludzie, że jakoweś gromady złupiły majątności klasztorne i królowej wedle Sulęcina.

Palatyn Michał zamyślił się. Przeciw gromadzie swawolników nie wysyłano by tak znacznych sił. Starczyły załogi najbliższych grodów, których rzeczą strzec w swoim ujeździe spokoju i bezpieczeństwa. Jeżeli to było przyczyną wysłania wojsk, łupieży musiały dokonać poważniejsze siły. Jakie, na nic domysły, jeno jest pewne, że coś się dzieć zaczyna. Zwrócił się do wojaka:

— Pożyw się i spocznij, a rano wracaj do swoich. Ja także o świcie ruszam na Sulęcina i tam mnie szukaj.

Po odejściu wojaka palatyn długo jeszcze siedział w zadumie. Ze swym około stu ludzi liczącym oddziałem niewiele może zdziałać przeciw wielokrotnej przewadze. Ale niespodziane uderzenie na związanych walką może jej wynik rozstrzygnąć. Nie zamierzał stać na uboczu.

Otto wyruszył z Poznania rankiem pogodnego jesiennego dnia. Wolałby jechać na łowy, niż dowodzić w walce, w której nie miał żadnego doświadczenia. Nie chciał się jednak z tym zdradzać i dotarłszy pod wieczór do pasma jezior stanął obozem na przesmyku z obydwu stron ubezpieczając dostęp, jakkolwiek nie mógł się jeszcze spodziewać spotkania z nieprzyjacielem. Również w dalszej drodze ubezpieczał pochód strażami ze wszystkich stron i trzeciego dnia dotarłszy pod Międzyrzecz obóz założył za rzeką, a sam z kilku towarzyszami udał się na gród, by zasięgnąć wiadomości.

Zupan Gościwuj, zapytany o napaść, odparł niechętnie, jakby się usprawiedliwiając:

— Nijak mi było chaśników ścigać, mam jeno pięćdziesięci chłopów załogi, a ludzie prawią, że była ich chmara, samych jezdnych do setki. Wszystkim dowodził jakowyś młody człek, jen włodarza miłościwej pani obwiesić kazał, a z klasztornego, gdy prosił, by kościelne mienie oszczędził, jeszcze się naigrywał. Pry, że krześcijańska powinność głodnych nakarmić. Dokąd odeszli, nie wiem. Mniemam, że po śladach łącno ich odnajdziecie.

Otto nie pytał więcej. Od dłuższego czasu deszcz nie pa-

dał, by zatrzeć ślad pochodzenia tak znacznej gromady ludzi, prowadzących ponadto zrabowane bydło. Rozprawić się z nimi nie będzie trudno, siły ma dostateczne. Uderzyło go natomiast to, co żupan mówił o młodym dowódcy. Ryczeza podejrzewała w nim Bolka, ale ona wszędzie widzi znienawidzonego pasierba. Otto niezbyt w to wierzył, miał wiadomości, że Bolko wraz z ojcem wyruszył z Gniezna, ostatnio widziano go w Kaliszu. Jeżeli nawet Mieszko nie zamierza pogodzić się z podziałem kraju, musi się liczyć z oporem i siły ściągnąć ze wschodu. Skoro zaś sam choruje, zapewne zlecił to synowi.

Otto wspomniał jednak, że już w czasie niewoli Mieszka Bolko grasował po kraju, łupiąc i mordując stronników Bezpryma. Teraz domysł Ryczezy zdał się Ottonowi bardziej prawdopodobny, ale pewność uzyska na miejscu od ludzi, którzy go widzieli. Jeżeli to istotne Bolko, nadarza się wreszcie sposobność zgładzenia niebezpiecznego wroga.

Napastnicy zyskali jednak na czasie, choć prowadząc stado zrabowanego bydła nie mogli ciągnąć zbyt szybko. Dla pośpiechu Otto wyruszył o świcie z samą jazdą, pieszym polecając iść za sobą i słońce nie wzbilo się jeszcze wysoko, gdy dotarli do klasztornej folwarku, położonego na niewielkim wzniesieniu. Otaczające obszerny dziedziniec gospodarcze budynki same już świadczyły o dokonanej tu grabieży, otwarte na ścieżaj wrota obory i stajni ukazywały puste wnętrza.

Przybycie wojska wzbudziło poruszenie, zewsząd wysypywali się gapie, nieskładnie opowiadając o niedawnych zajściach. Niewiasty swarzyć się zaczęły, wzajemnie sobie przecząc i zniecierpliwiony Otto zsiadł z konia i kazał się prowadzić do włodarza, by się spokojnie z nim rozmówić. Włodarz również rozpoczął od wyrzekania, że nie ma nawet czym poczęstować dostojnego gościa. Otto jednak przerwał mówiąc, że nie po to przyjechał. Wiedzieć chce, ilu i jakich było napastników, kto nimi dowodził i dokąd odeszli. Włodarz jakby zdziwiony odparł:

— Mniemałem, że już wiecie. Będzie temu niedziela z okładem, gdy obudził mnie stajenny, by coś zaradzić, bo przybyło jakoweś wojsko i nie pytając gospodarzyć się zaczyna jak u siebie doma. Było ich ze sto koni, a ze starszyzny dwóch, jeden już szpakowaty, drugi zasię młodziak, niewiele nad dwadzieścia godów, ale widno ktoś dostojny, bo i szłom miał bogaty, i miecz kamieniami sadzony. Gdy mu rzekłem, że folwark jest klasztorny, wolny od stanu i pod-

wody, a o niecałe pół dnia jest księżący, gdzie zaopatrzyć się mogą, roześmiał się i odrzekł, że już to uczynili i nierychło się tam kto pożywi. Choć dzień był postny, mięsiwo sobie na śniadanie podać kazali, a gdy im rzekłem, że król Bolesław za złamanie postu wybiciem zębów groził, też się jeno śmiali. Widzę, że jakowis bezbożni swawolnicy, na siłę nie poradzi, pożywią się i pójdą. Aliście dopust Boży dopiero się zaczął. Koło południa nadciągnęła za nimi chmara jawnie już chaśników, ilu ich było, nie policzyłem, jeno nie wiem, zali która z bab choć jakową kokoszkę ukryć wydoliła. Nie ostało w loszku ni kropli miodu, ni kubka piwa, siewnym zbożem konie obroczyli. Ucztowali do późnej nocy. Ale najgorsze dopiero czekało. Gdy rankiem odeszli, pobrali konie z wozami i co się jeno na nich pomieściło, bydło do ostatniego kopyta, choć jeno parę wołów wyprosić próbowałem, bo jesień i robota w polu...

Włodarz tak się rozżalił, że omal nie płakał i zakończył: — Jedyna nadzieja w waszej miłości, że chaśnikom złupione mienie odbierzecie.

Ottonowi jednak na tym mniej zależało. Był już niemal pewny, że sprawcą grabieży był Bolko, ale zapytał:

— Nie miarkujesz, kto zacz był ów młokos?

— Widno ktoś możny, jako rzekłem — odparł włodarz. —

Nie wiem, zali się nie przesłyszałem, że ktoś go królewicem nazwał. Ale ani to do prawdy podobne, by królowie pospołu z chaśnikami łupił klasztorne mienie...

Otto jednak wiedział już, co chciał i przerwał:

— Dokąd odeszli?

— Wždy był tu wczoraj wasz podjazd i poszedł w ślad za nimi, tedy znać da, gdzie ich najdziecie — odparł włodarz. — Ku Noteci ciągnęli, jakoby na Gorzów.

Otto zdziwił się, żadnego bowiem podjazdu nie wysyłał. Może wysłano go z Sulęcina, spodziewając się nadejścia posiłków, nie przywiązywał jednak do tego wagi. Siad pochodu nietrudno będzie odnaleźć. Natomiast o parę mil ku północy leży Nadnotecka Puszcza. Wśród jej bagien i oparzelisk jazda nie na wiele się przyda, niewiele też znaczy liczebna przewaga, gdy zbójów znających przejścia przez moczary nie można zmusić do walki. Może uda się odzyskać zrabowane bydło i konie, których nie schowają pod ziemię, ale nadzieja na schwytanie Bolka zmaląła.

Niemniej nie chciał się jej wyrzec, gdy wreszcie wpadł na jego ślad. Nie zamierzał wracać niczego nie wskórawszy, może posłuży mu przypadek. Znajac Bolka przypuszczał, że nie będzie siedział spokojnie, dopóki nie zmusi go do tego

słotna jesień, a w puszczy niczego nie zdziała ze swym oddziałem jazdy.

Otto powziął postanowienie i nie czekając na przybycie pieszych oddziałów ruszył na północ. Lada dzień deszcze mogą zatrzeć ślad uchodzących, na razie jednak był tak wyraźny, że szedł za nim szybko, dopiero zmrok zmusił go do wstrzymania pochodu.

O pierwszym świcie ruszył dalej, teraz jednak ciągnął wolniej. Coraz częściej w drodze stawały bagienka i strugi, bezdroże i bezludzie było zupełne, w podmokłym gruncie konie lgnęły powyżej pęcin. Kępy olch i zarośli kraj czyniły nieprzejrzystym, pod wieczór wstająca z oparzelisk mgła zgęstniała w mleczny tuman, w którym majaczyły tylko szczyty drzew. Wcześniej niż poprzedniego dnia trzeba było stanąć i Otto wypatrywał suchszego miejsca na obóz. Zmrok już zapadał, gdy trafił na łysą wyżynkę, a zgłiszcza liczynek ognisk zdradzały, że tu nocować musieli uchodzący.

Noc wlekła się, od bagien ciągnął przenikliwy chłód, suszu było niewiele, wilgotne drewno więcej dawało dymu niż ognia. Otto obudził się na długo przed świtem. Mgła jakby jeszcze zgęstniała, biała ciemność zdała się dotykalna. Leżąc bezsennie rozmyślał, co dalej poczynać. Spyży dla ludzi miał niewiele, dla pośpiechu bowiem nie brał jucznych koni, wierzchowe zdane były tylko na kwaśną trawę bagienną. Uchodzący, choćby najwolniej ciągnęli, musieli dotrzeć do niedalekiej już puszczy. O pościgu nie mogą wiedzieć, ze stadem bydła nie będą bez przerwy wędrować, zapewne mają upatrzoną siedzibę na zimowisko. Pośpiech przeto niczego już nie da, trzeba poczekać na piesze oddziały.

Myśl Ottona jednak nadal zaprzętała Bolko. On nie ma ani powodu, ani celu zimowania ze swymi rozbójnikami. Dpomógł im zaopatrzyć się w zapasy, odprowadził dla bezpieczeństwa, ale niewątpliwie wróci do Mieszkowej dzielnicy, gdzie nie będzie miał trudności z zaopatrzeniem ludzi i koni, a sam spokojnie może prezimować, odwiedzać matkę i zastępować chorego ojca. Ottonowi przyszedł na myśl podjazd, o którym wspominał klasztorny włodarz. Może to Mieszko wysłał go wzywając syna do powrotu.

Jeżeli jednak słusznie się domyśla, a w to nie wątpił, może już w najbliższym czasie Bolko będzie wracał, trudno jednak przewidzieć którądy. Toteż gdy tylko zadniało, Otto wysłał znaczny podjazd za gromadą, a mniejsze na wschód i zachód. Jeżeli Bolko już zawrócił, któryś z nich winien zauważyć ślad. Sam Otto pozostał na miejscu, czekając na nadejście piechoty, której zamierzał zlecić dalszy pościg za zbrojecką

gromadą. Po namyśle wysłał jednak gońców do dowodzącego nią tysięcznika z rozkazem, by zajął się pościgiem za uchodzącymi, na wypadek bowiem gdyby któryś z podjazdów trafił na ślad wracającego z jazdą Bolka, bez straty czasu należy iść za nim.

Mglisty dzień miał się jednak ku schyłkowi, a żaden z podjazdów nie wracał. Pod wieczór mgła zgęstniała tak, że Otto przestał oczekiwać ich powrotu. W mlecznym tumanie pobłądzić można nawet w znanej okolicy. Zniecierpliwienie jego przeszło w złość. Gdyby nie Bolko, siedziałby teraz spokojnie w Poznaniu, zabawiał się łowami lub biesiadował w gronie towarzyszy przy miodzie i winie. Tu poprzestać musi na wędzonym mięsiwie i osuchach, popijanych obrzydliwą wodą bagienną, noce spędzać pod wilgotną derą, cuchnącą końskim potem. Co gorsze, póki Bolko żyje, on sam niczego nie może być pewny. Gdyby nie on, Otto mógłby nawet pogodzić się z bratem i spokojnie oczekiwać rozwoju wypadków. Mieszko starszy jest o dziesięć lat, sterany i chory. Gdyby go nie stało, przed Ottonem otwarłyby się możliwości, o których teraz nawet marzyć nie może.

Nachodziły go jednak wątpliwości, czy trudów wyprawy nie podjął na darmo. Ze złością pomyślał, że nakłoniła go do niej Rycheza. Sam wolałby się pozbyć wroga tak jak zamierzył. Co więcej, skrytobójstwo poszłoby na rachunek Rychezy, nie stanowiłoby przeszkody pojednania się z bratem, gdyby zaszła potrzeba. Wypadki na Pomorzu świadczyły, że Mieszko nie pogodził się z podziałem kraju, położenie było niepewne.

Otto usnął późno i obudził się o dobrym dniu, a raczej obudzono go. Przed nim stał jeden z gońców wysłanych do pieszych wojsk. Nie czekając na pytanie, powiedział:

— Tysięcznik niechał wam rzec, że nie przydzie.

— Co się stało, dlaczego? — zapytał Otto zaskoczony.

— Królowa kazała wracać nie mieszkając — odparł wojak.

— Dlaczego? — powtórzył Otto, ale odpowiedzi nie czekał, bo przyczyny łatwo się było domyślić: wojska, jakie prowadził, stanowią poważną część sił, jakie może przeciwstawić Mieszkowym, które zapewne uporały się już z Dietrichem, tym łatwiej, że zniemczony Piastowie miał w kraju tylko wrogów.

Nie czekając nawet na powrót podjazdów, Otto zostawił im tylko wiadomość o odwrocie i ruszył wprost na zachód. Miał o czym myśleć. Własnymi siłami Mieszkowi nie dostoi, a gdy raz wda się w walkę z bratem, na pojednanie nie

może już liczyć, trzeba będzie z kraju uchodzić. Jeśli Rycheza uzyska pomoc sąsiednich margrafów, zależności od niej nie pozbędzie się już nigdy. Gdy w Merseburgu wyciągnął rękę do zgody, Mieszko skłonny był zapomnieć mu przehiewierstwo. I teraz zapewne wolałby uniknąć wojny domowej. Nawet gdyby mu nie pozostawił działu, lepszy po stokroć beztroski pobyt w kraju niż ponowne wygnanie bez nadziei powrotu.

Wspomniał, że palatyn Michał domagał się z nim rozmowy. Zapewne chciał pośredniczyć w ugodzie między braćmi. Może zgodziłby się pośredniczyć i teraz. Wprawdzie Otto naraził się Awdańcom zagarniając ich majątności, ale Michał jest człowiekiem rozsądnym, też wolałby odzyskać swe mienie bez walki.

Otto jednak nie wiedział, gdzie go szukać, a sprawa była nagląca. Gdy zdąży się w nią wdać Bolko, nie dopuści do żadnej ugody, wie, że Otto wyznaczył nagrodę za jego głowę. Teraz przeklinał własną chwiejność i nieprzezorność, nie mógł jednak powziąć postanowienia, a wiedział, że gdy raz stanie w Poznaniu, wyboru już mieć nie będzie.

Zdało się jednak Ottonowi, że za niego rozstrzygnąć chce los. Gdy wyprzedziwszy piesze wojska dotarł do gościńca wiodącego z Międzyrzecza do Lubusza, pod wieczór zatrzymał się w niewielkiej osadzie, rad, że wreszcie noc spędzić może pod dachem i pożywić lepszą strawą niż wędzone mięso i osuchy. Młoda gospodyni powiedziała jednak zakłopotana:

— Chyba wam kokoszkę uwarzę. Co było świeżego mięsiwa, wyjedli ci, co tędy szli przed wami.

Siedzący w kącie izby stary chłop odezwał się:

— Sprawiedliwy pan. Jako królewski dostojnik, stanu mógł żądać, a wszystko srebrem zapłacił.

Otona zastanowiła ta wiadomość: może królowa ściąga z zachodnich grodów posiłki. Zapytał:

— Sporo ich było?

— Hufiec jazdy, ze sto koni — odparł chłop.

— Wiecie, kto zacz ów dostojnik?

— Wždy go wyrostkiem pomnę, a ninie pierwszy po królu. Palatyn Michał Awdaniec.

Istotnie, palatyn otrzymawszy wiadomość, że nadciągnął Skarbek z siłami Sandomierzan i Wiślan, natychmiast skierował się na Poznań, by uprzedzić Ottona, przypuszczając, że on ma już wiadomość o wypadkach i będzie wracał. Nie wiedząc jak daleko znajduje się Bolko, nie czekał na niego, wysłał tylko gońców z zawiadomieniem i przestrogą, że

w drodze może napotkać przeważające siły.

Bolko jednak wiedział już o nich, zagarnawszy w drodze jeden z podjazdów. Ciągnął ostrożnie, ominął wojska piesze i szedł za jazdą po gorącym śladzie, wypatrując sposobności by wyprzedzić ją i połączyć się z palatynem. Wspólnymi siłami zamierzał rozbić ją niespodziewanym uderzeniem, przede wszystkim jednak dostać w ręce Ottona.

Otrzymana przypadkiem wiadomość, że na Poznań ciągnie palatyn Michał, zdała się Ottonowi wskazówką losu, by wycofał się z walki, nim będzie za późno. Nie czekając nawet na wieczerzę dosiadł konia i pognął za Awdańcem.

Palatyn zaś tymczasem minął już gród w Międzyrzeczu i stanął na nocleg w karczmie klasztornej koło przewozu przez Obrę, wysyłając podjazd za rzekę po wiadomości. Wystawiwszy strażę spożył wieczerzę i polecając obudzić się o świcie ułożył się na spoczynek.

Po raz pierwszy od dawna zrzucić mógł wierzchnią odzież i ciżmy, toteż zasnął twardo. Z głębokiego snu obudziło go pukanie do drzwi. Znużony się czuł i niechętnie otworzył oczy. Błony w oknach ciemne były, żar na kominię jeszcze nie wygasł. Zdało mu się, że złudził go słuch, ale gdy pukanie powtórzyło się, otrzeźwiał i usiadł na posłaniu. Noc jeszcze, zajść musiało coś niezwykłego.

— Wejść — zawołał i ubierał się pospiesznie, a gdy na Wezwanie wszedł wojak ze straży, zapytał:

— Z czym przychodzisz?

— Jakowyś człek domaga się widzenia z waszą miłością.

Pry, że sprawa ważna i pilna. Koń jego ńście spieniony, widno go nie szczędził.

— Kto zacz i czego chce?

— Pytałem. Rzekł mi, że wyjawić może jeno wam.

— Sprowadzić! — polecił palatyn i przystąpił do paleniska, dorzucając dREW na głównie. Odwrócił się, gdy posłyszał, że ktoś wszedł do izby i stanął przy drzwiach.

— Ktoś jest i czego chcesz? — zapytał. Gdy przybyły nie odpowiadał, dorzucił gniewnie:

— Gadaj lubo...

Urwał w pół słowa. Płomień chwycił suche drwa, w izbie pojaśniało i w blasku płomienia poznał Ottona. Zdumiony, szepnął do siebie:

— Królewic Otto.

Ochłonął z zaskoczenia i powiedział krótko:

— Słucham!

Otto widocznie nie wiedział, jak zacząć, odparł bowiem dopiero po chwili:

— Chcę ugodzić się z Mieszkiem.

— Nie ja wam w tym przeszkodziłem — gniewnie powiedział Michał. — Aniście ze mną o tym gadać nie chcieli, nie wam tak pilno, że mi spoczynek zakłóćacie. Nie byłem i nie jeśm niczego wam dłużny. Chciałem was pogodzić, bo zadość nieszczyć przyniosło rozdwojenie, ninie nie pora.

— A gdy zacznie się walka, zali nie będzie upustu krwi? — zapytał Otto. — I nie ja ją wszczynam. Za Mieszkową zgodą cesarz państwo podzielił po sprawiedliwości, bo mi się dział po rodzicu należał...

— Za Mieszkową zgodą! — przerwał Michał wzburzony. — Gdyście pospół z Bezprymem wroga na kraj naprowadzili! Nie cesarzowi dzielić puściznę Chrobrego, jen wiedział, dlaczego działu wam nie ostawił. Ważniejsza wam sprawiedliwość Konradowa, czemuż nie zaczekacie, aż wróci z Italii, by jej wam zasię domierzył? Bo się lękacie, by was nie pościgła taka, która zdrajcom przynależy. Żeby nie to, izeście Piastowej krwi i sąd nad wami jeno królowi służy, sam bym jej domierzył.

Otto pobladł, ale odparł wyniośle:

— Mniemałem, że palatyn Awdaniec nie swego jeno będzie patrzył, jeno pospólnego dobra. Złość ku mnie żywicie za pobrane mienie. Wždy zwrócę je wam...

— A żywot takóž ludziom, co go przez was stracili?! — gwałtownie przerwał Michał. — Nie z dobrej woli ku mnie przychodzicie, jeno ze strachu o własny.

— Nie wam będę się sprawiał — odparł Otto. — Nie po myśli wam zgoda między braćmi, tedy żądam jeno, byście mnie przed ów sąd stawili, którym mi grozicie, bo nie tego się lękam, jeno byście mnie sami nie zgładzili, by pomstę nasycić.

Palatyn zacisnął zęby, ale nic nie odparł i chodzić zaczął po izbie. Położenie nie było jasne, walki można było się spodziewać. W szczeróść Ottona nie wierzył, pilnowanie więźnia nie było mu na rękę, a nie wiedział nawet, gdzie król się znajduje, by go do niego odesłać. Pomyślał jednak, że pozbawienie przeciwników przywódcy ułatwi z nimi rozprawę. Stanął przed Ottonem i rzekł:

— Dobrze! Odstawię was do króla.

— Mam wasze słowo, ize mnie żadna przygoda nie spotka? — zapytał Otto.

— Jedno mam słowo i już je wyrzekłem — gniewnie odparł palatyn i zawołał:

— Straż!

Gdy wszedł wojak, wskazał na Ottona i rozkazał:

— Zabrać go i strzec jak oka w głowie.

— Zali to potrzebne? — z drwiną zapytał Otto. — Z własnej woli przyszedłem, tedy nie ubieję.

Gdy Michał został sam, ułożył się znowu, ale podniecenie nie pozwalało mu usnąć. Otto liczy zapewne na to, że przed Mieszkiem zdoła się wykręcić, zyska na czasie, by doczekać niemieckiej pomocy. Konrad bez wątpienia nie pozostawi bez odpłaty złamania przez Mieszka wymuszonego układu.

Uwięzienie Ottona jednak nie zachęci do oporu jego stronników, kupionych za urzędy i nadania, może zgoła da się uniknąć wojny domowej. Gdy zjednoczony kraj okrzepnie, dostoi najazdowi.

Palatyn uspokoił się i zasnął, ale nie dane mu było spoczywać do świtu. Błony w oknach dopiero wyłaniać się zaczęły z panującego w izbie mroku, gdy obudził go jakiś hałas przed karczmą. Przez chwilę nasłuchiwał ł już zamierzał zawołać strażnika, by zapytać, co zaszło, gdy otwarły się drzwi i ktoś wszedł do izby. Michał gniewnie zapytał:

— Kto to?

— To ja, Bolko — posłyszał znany głos. — Wybaczcie, że wam spoczynek zakłócam, ale i ja całą noc w siodle ani pięści pod głowę podłożyć. Ale ninie spać nie pora, jeno zjadłbych co.

Palatyn zaklaskał w dłonie i kazał podać śniadanie, po czym zwrócił się do królewicza:

— Rad jeśm, że was widzę. Niepokojny byłem, byście w biedę jakową nie popadli, nie wiedząc, że przed wami znaczne siły, a pewności nie miałem, zali goniec mój do was dotarł.

Bolko machnął ręką:

— Nie dotarł, aleć bez tego wiedziałem, bo zagarnąłem podjazd. Nie żałowałem ni swoich, ni końskich kości, by was dognać i społem przyjęcie im zgotować.

Zaczął się pożywiać i ciągnął:

— Pół dnia drogi od Poznania gościniec wiedzie między jeziorami, a bór dokoła. Tam by się zasadzić i gdy na przesmyku będą, z dwóch stron uderzyć.

— W drodze się naradzim — rzekł Michał. — Nie wiecie co najważniejsze: w ręku mam Ottona.

Bolko parsknął pełną gębą, omal się nie zakrztusił. Przełknął i odparł:

— Nie macie go w ręku. — Gdy Michał patrzył na niego zdumiony, dodał:

— Nie miejcie za złe swoim ludziom, bo siłą go odjąć kazałem i nie mieszkając stracić.

Palatyn zachmurzył się i rzekł po chwili:

— Miał moje słowo, że żywego królowi na sąd dostawię.

— Moje zasię, że go skrócę o głowę, tedy się nie sumujcie, bo nie wasza wina — odparł Bolko. Widząc, że palatyn nie rozchmurzył się, ciągnął:

— Obydwaj wiemy, jaki by to był sąd królewski. Raz już pojмалиście zdrajcę a rodzic go wypuścił, bo mu biskup klątwą pogroził. Ninie nie będzie musiał przed nim się sprawiać,

— Nie wiem — powiedział palatyn zatroskany. — Wždy to był stryk wasz rodzony. Zadość już, iżeście chaśnikom kościelne mienie zagrabić pomogli. Będzie się i o to Paulinus ciskał.

— Na mnie niechaj się biskup gniewa — szorstko odparł Bolko. — Nie stoję o to ni o jego klątwy. Rodzic zasię sam prawil, że książęta nie mają krewniaków, jeno państwa. Nijakiemu zdrajcy nie przpuszczę, choćbym go przed ołtarzem dopadł. Chaśnikom prawicie! Nie będę się spierał o przezwisko, jeść muszą jako i drudzy, mnichom zasię pościć przystoi. W bory uchodzą, bo świadczyć nie chcą obcym wywłokom, co z biesagami tu przyśli, a ninie panoszą się, swoje prawa stanowią, wolnym ludziom ryby w wodzie i zwierza w lesie łowić zabraniają, samym królem chcą rządzić. I to wiem, iże zdrajców nie między prostym ludem szukać, jeno między wielmożami.

Palatyn słuchał zatroskany. Prosty naród z trudem nagina się do nowego ładu. Gdy w Bolku znajdzie zachętę do oporu, gotów zburzyć, co mozolnie zbudowano od trzech pokoleń. Zaczął:

— Nie jeśm ja przeciwny, by zdrajców karać, jeno bez sądu nie kara to, a ubijstwo. Bezprawiem nie zwalczy bezprawia. Nie lza prostego narodu świadczeniami uciskać ponad powinność, aleć i nie jego rzeczą samym sobie prawoty domierzać. I nie wszystko złe, co obcy przynieśli. Dziad mój takoz obcy tu był i wielu innych, bo przodkowie wasi radzi takich widzieli, co przynosili nową broń i sposoby wojowania, a choćby tylko mężne sierdca i silne dłonie. Wolno mi rzec, iże wierniejsi bywali niżli ci, co zabyć nie chcą, że drzewiej nikogo nie mieli nad sobą...

— Nie o takich gadam — przerwał Bolko. — O tych, co tu jeno wiarę nową przynieśli i obyczaj, a w zamian rządzić chcą wszystkim, swoje prawa stanowiąć.

— Nie jeno nową wiarę i obyczaj — odparł Michał. — Gdy wam rządzić przydzie, sami uznacie, że darmo chleba nie jedzą. A ninie rodzic wasz rządzi i nie takowej od was

czeka pomocy i wyręki, byście buntownikom ład od przodków ustanowiony burzyć pomagali. Nie wróci to, co minęło, jako i rzeka nie popłynie do źródła. Zburzyć ten, co jest, nijakiego nie będzie, a potrzebniejszy on ninie niż dochodzenia kto i co zawinił. Nastanie spokój, przydzie czas obyczajowym postępkom prawoty domierzać, za jedno wielkim i małym, bo nie Iza temu, kogo Opatrzność na czele postawiła, z jednymi trzymać przeciwko drugim. — Jakoby mi piasku w baki nasuł — powiedział Bolko przeciągając się i ziewając. — Dzień już, pojadłem, tedy jadziem, bo wam tu zasnę.

Palatyn westchnął. Nie był pewny, czy Bolko słyszał to, co mówił, ale niemal pewny, że nie posłucha.

Rycheza niecierpliwie oczekiwała wiadomości o wyniku wyprawy Ottona. Jesień już szła, porywiste wichry przeganiały chmary pożółkłego listowia, ołowiane niebo ciężko wisiało nad krajem wraz z czarnym ptactwem ciągnącym z boru do osad i grodów zapowiadając jesienne słoty. Otto winien wracać, nawet jeśli nie osiągnął celu. Podejrzewała, że lęka się swego dzikiego bratanka, a brak mu wojennego doświadczenia, siły jednak jakie poprowadził aż nadto winny wystarczyć, by rozprawić się ze zgrają rozbójników, choćby wspieraną przez oddział jazdy, kilkakrotnie szczuplejszy od samej tylko najemnej jazdy niemieckiej. Dowódca jej Reinhard pół życia spędził na walkach ze Słowianami i znał pogańskie sposoby wojowania.

Bardziej jednak niż na ukaraniu łupieżców i odebraniu zrabowanego mienia zależało królowej na pozbyciu się pasierba. Póki on żyje, niczego nie mogła być pewna, nie tylko dziedzictwa po Mieszku dla swego syna, ale nawet jego życia. A Mieszko choruje, następstwo po nim mogło być sprawą niedalekiej przyszłości. Znekany niepowodzeniami zapewne pogodził się z podziałem kraju, ale gdyby zmarł, nie pogodzi się z tym Bolko, a Otto nie ostoi się przed nim bez pomocy Konrada.

Zniecierpliwienie Rychezy przeszło jednak w niepokój, gdy dochodzić jęły wieści, że Mieszko ściąga siły ze wschodu, zapewne zamierzając wykorzystać nieobecność cesarza, by złamać wymuszony układ. Królowa natychmiast wysłała gońców do Ottona z rozkazem powrotu. Siły, jakie powiódł, mogły być pilnie potrzebne, toteż z dnia na dzień czekała na nie.

Zapadał wczesny wieczór chmurnego dnia, gdy królowa z dworkami udała się do katedry na nieszpór. Nie mogła jednak skupić się na modlitwie, myśl jej krążyła wciąż koło

Ottona: dlaczego nie wraca, a przynajmniej nie prześle wieści. Tknęło ją, gdy za sobą posłyszała jakiś ruch, przez klęczący tłum przepychał się ku niej ochmistrz Romer. Nie czekając końca nabożeństwa wstała i skierowała się ku wyjściu. Już w kruchcie zapytała:

— Co zaszło?

— Wrócił Reinhard — odparł ochmistrz, wyraźnie zmieszany.

Wiadomość była ważna, ale nie tak pilna, by niemógł z nią poczekać do końca nabożeństwa. Nie wróżyła nic pomyślnego.

Nie pytając więcej królowa skierowała się do dworca.

W sieni u wejścia do świetlicy czekał dowódca niemieckich najemników. Skinieniem ręki wskazała, by szedł z nią, a widząc, że słania się na nogach, rzekła:

— Siadaj i mów!

Zaczął od pościgu za rozbójnikami, ale przerwała z gniewnym zniecierpliwieniem:

— Wiem, że niczego nie działaliście. Gadaj, co zaszło, że sam wracasz? Gdzie księżę Otto?

Widząc jednak, że wojak zmieszany jest i roztrzęsiony, opanowała złość i powtórzyła spokojnie:

— Gdzie i kiedy pośledni raz widziałeś księżęcia?

Słuchała marszcząc brwi, gdy Reinhard zaczął:

— Tysięcznik pieszych przekazał nam rozkaz miłościwej pani, by wracać. Zawróciliśmy nie mieszkając, wyprzedzili ich i pod wieczór dotarłszy do gościńca stanęliśmy na nocleg obozem koło osady jakowegoś smerda, księżę zasię u niego znalazł gospodę. Gdy rankiem przyszło ciągnąć dalej, a nie nadchodził, mniemałem, że zasnął. Poszedłem go budzić, aliści wyjaśniło się, że nie masz go już od wieczora. Wiedziałem, że mu tu spieszno, jeno dziwne było, że nic nie rzekł. Jałem rozpytywać i okazało się, że przed nami szedł palatyn Awdaniec z setnią jazdy. Nietrudno było odgadnąć, dokąd i po co spieszno było księżęciu, tedy puściłem się w pościg, koni nie szcędząc, do wieczora jednakowoż nie dopadłem ich. Widno Otto przestrzec musiał palatyna i szybko uchodzili. Na nic było nocą ich ścigać, konie miałem zegnane, tedy zwolilem je rozsiodłać, by się wytarzały i puścić na paszę. Straże wystawiłem jak należy, choć nijak się było spodziewać, by Awdaniec nie w sile będąc na nas się porwał.

Nie wiem, zali przespałem dwa pacierze, gdy chęłst się uczynił, od strony Międzyrzecza zwała się na obóz jako waś jazda. Szczęściem ogniska jeszcze nie pogasły, wydo-

liłem skrzyknąć ludzi i broniliśmy się składnie. Jenow w zamęcie i wrzawie nikt się nie obejrzał, jak inni na karkach nam siedzieli. Kto mógł, patrzył jenow, by głowę wynieść. Przebiłem się z kilkoma ludźmi do koni, które także rozbiegały się. Jednego dopadłem i oklep wydoliłem ująć, a kto więcej, nie wiem, bo i nie czekałem. Ważniejsze zdało mi się donieść, że nadciąga palatyn Awdaniec.

Królowa skinęła głową i rzekła krótko:

— Możesz odejść.

Gdy za Reinhardem drzwi się zamknęły, siedziała z twarzą skupioną i zaciętą. Romer z niepokojem patrzył na nią, czekając na rozkazy. Gdy jednak milczała, zapytał:

— Co nam ninie poczynać?

— Zlecisz skarbnikowi, by wypłacił najemników, i zwolnisz ich — odparła. Gdy patrzył na nią osłupiały, myśląc, że się przesłyszał, dodała:

— Zrozumiałeś? Szkoda pieniądza na przegraną sprawę, indziej będzie potrzebny. Cesarz niechaj się upomni o złamanie układu. Ninie pójdiesz do pana biskupa i poprosisz, by zechciał zajść do mnie nie mieszkając w pilnych i ważnych sprawach.

Czekając na biskupa, rozmyślała nad położeniem. Zdrada Ottona pozbawiała walkę zarówno celu, jak i widoków powodzenia, stronnicy jego nie będą stawiali oporu, sama ma ich tylko w duchowieństwie i tych użyć postanowiła.

Na myśl o Ottonie ogarniała ją zarazem złość i pogarda.

Łatwowierna była, myśląc, że jego rękami pozbyć się zdoła pasierba. Niewątpliwie ze strachu pogodzić się chce z bratem, a Mieszko nie wybaczyłby zabójstwa swego syna.

Znajdzie się inny sposób usunięcia Bolka, zadość ma wrogów zarówno wśród świeckich jak i duchownych możnowładców, którzy pozbyć się go radzi dla własnego bezpieczeństwa.

Rozważania Rychezy przerwało zjawienie się biskupa, który nie dał czekać na siebie, sam bowiem ciekawy był sprawy, widocznie pilnej, skoro królowa nie poczekała nawet na zakończenie nabożeństwa. Rycheza zaczęła bez wstępu:

— Prośbę zanoszę do waszej wielebności, byście między mną a byłym małżonkiem moim pośredniczyć raczyli. Nie-tajne wam zapewne, że zamierzył siłą odebrać Ottonowi lenno przez cesarza mu nadane. Mam zaś wiadomość, że on bronić go nie będzie i zgody z bratem szuka. Niechaj się cesarz o złamanie zaprzysiężonego układu upomni, nie moja to sprawa i nie chcę, by do wszystkich zarzutów jakie prze-

ciwko mnie miotają jeszcze i ten dodano, iże z mojej przy-
czyny krew się polała.

Paulinus głową skinął:

— Chętnie odwdzięczę waszej miłości za liczne dobro-
dziejstwa. O czym tedy miałbym mówić z miłościwym pa-
nem? Zali zamierzacie przywrócić związek z nim?

— Nie! — zaprzeczyła. — Synod w Erfurcie orzekł roz-
wiązanie naszego małżeństwa z tym, że w zakonie dokonać
mam żywota. Wspólne jednakowoż mamy potomstwo
i wspólna winna być troska o jego przyszłość. Córy nasze
wkrótce osiągną wiek sprawny, o wyborze małżonków dla
nich pomyśleć należy. Przywiązane są do nas obojga i my
wzajem. Niczego nie żądam, jeno pozostać tu chcę wraz
z nimi, póki nas los nie rozłączy, a takżeo pobliż być naszego
syna. Wiem, że i jemu za rodzicielami tęskno.

— Zali to wszystko? — zapytał Paulinus.

Rycheza zdała się namyślać. Po chwili powiedziała:

— Jeszcze jedno na sercu mi leży: syn mój nie z własnej
woli w mnichy postrzyżony został. Prośbę chcę słać do Apo-
stolskiej Stolicy o dyspensę od ślubów. Zechciejcie ją wygo-
tować.

Paulinus, wyraźnie zakłopotany, odparł po chwili:

— Bez przyzwolenia miłościwego pana nie mógłbym tego
uczynić, nietajne mi bowiem, że przeto syna waszego do
klasztoru przeznaczył, by zapobiec wojnie między braćmi
o następstwo po nim.

— Braćmi! — pogardliwie i szorstko rzuciła Rycheza. —
Zali nie wolno mi we własnym imieniu prośby zanosić do
Ojca Świętego? Mieszko nie jest moim panem, by mi jego
przyzwolenie było potrzebne.

— Ale ja składałem panu hołd i przysięgę wierności —
powiedział biskup zmieszany. — Nijak mi ręki przykładać
do sprawy wbrew jego woli ani ją przed nim zatajać.

Królowa gniewnie zmarszczyła brwi. Paulinus jednak był
jej potrzebny, pohamowała gniew i rzekła:

— Tedy będę z wami mówiła otwarcie, jako na spowiedzi,
i jak spowiedź w tajemnicy zachowajcie.

— Słucham was, miłościwa pani — niechętnie powiedział
biskup.

— Nie czekam od was odwdzięki wbrew sumieniu — za-
częła Rycheza — zali jednak nie wobec Kościoła pierwsza
wasza powinność? Otwarcie przyznaję, że wszystko uczynię,
by syn mój, prawowity potomek władców tego kraju, na-
leżne po rodzicu objął dziedzictwo. Kto zasię jest ów nie-
wzdany, którego Mieszko następcą swym wyznaczył, wiecie:

mało tego, że rozpustnik i mężobójca: sam w boru jak zwierz chowany, z motłochem, który z wszelkiego posłuszeństwa wyszedł, nie jeno rycerskie dworce nachodzi, rzekomo zdrady się mszcząc, ale kościelne mienie grabić pomaga. Czegóż się po nim spodziewać można, gdyby rządy objął? Że pospołu z pogańskim gminem obali krzyż i tak słabo stojący. Zali brak takowych przykładów w nowo nawróconych krajach? Szatan nigdzie ustąpić nie chce bez walki.

Biskup słuchał zamyślony. Temu, co mówiła królowa, trudno było zaprzeczyć. Gdy się nie odezwał, ciągnęła: — Bóg mi świadkiem, że nie dla próżnej pychy syna chcę widzieć na książęcym stolcu. Rzekliście, iż Mieszko do klasztoru go oddał, by krajowi wojny domowej oszczędzić. Jestli tak, to się omylił. Nie wiem, zali choć jeden z możliwych rodów zgodzi się na władcę, który siły swej u motłochu szuka, do oporu dając mu zachętę. Ale nie jeno domową wojną to grozi. Cesarz Konrad przyrzekł Polskę oddać w lenno memu synowi, powadze swego słowa ubliżyć nie

zwoli. Kraj zniszczeniem zapłaci za Belkowe następstwo, przy którym się nie utrzyma. Kością niezgody był między mną a małżonkiem, kością niezgody dla kraju i kością niezgody z cesarzem.

Gdy Paulinus milczał zadumany, zapytała:

— Nad czym rozmyślacie? Zali nie tak jest, jak rzekłam?

— Nijak zaprzeczyć — odparł — jeno nie zda mi się, by pora była sprawę wszczynać. Król żywie, pozdrowieć może. A nijak to do prawdy podobne, by się o poselstwie nie dowiedział, miast zgody nowa zadra by powstała. I nie jeno przeto, wždy Stolica Apostolska osierocona i nie wiada, kiedy obsadzona będzie, do kogóż tedy słać? Po wyborze zasię nijakich podejrzeń nie wzbudzi, gdy sam się udam ad limina Apostolorum*.

— Może i słusnie radzi wasza wielebność. Tedy jeno zechciejcie u pana wyjednać, by mi w kraju pozostać nie było wzbroniono. Możecie go upewnić, że ja o Ottona wojny wszczynać nie będę, nawet swoich najemników odprawić zleciłam.

* do progów apostolskich

Nie nalegała już, do wyboru papieża może poczekać. Najważniejsze, pozostać w kraju, by znaleźć wykonawców swych zamierzeń. Jeśli uda się usunąć Bolka, Mieszko sam słać będzie do Kurii po dyspensę dla Kazimierza.

Wybór następcy zmarłego Jana XIX był jednak już dokonany, tylko wieść o tym nie dotarła jeszcze do Polski. Pod imieniem Benedykta IX został nim Teofilakt bratanek dwóch poprzednich papieży, syn wszechwładnego konsula Rzymu, grafa Albericha, który przekupstwem, groźbą, podstępem lub jawną przemocą po raz szósty najwyższą w chrześcijaństwie godność zapewnił swemu rodowi. Osiemnastoletni młodzik był znany z rozwiązłego życia, które budziło zgorszenie nawet u ludu rzymskiego, nawykłego nie szukać wzorów cnoty u dostojników Kurii. Z koronacją jednak czekać musiał Alberich na zatwierdzenie przez cesarza, ale mimo iż wybór wywołał wzburzenie i liczne sprzeciwy, nie obawiał się, by Konrad odmówił. Cesarzowi potrzebna była przychylność potężnego i wpływowego rodu hrabiów tuskulańskich.

Istotnie Konrad nie zamierzał odmówić zatwierdzenia, mimo zastrzeżeń dostojników dbałych o powagę najwyższej władzy w chrześcijaństwie; były mu nawet na rękę, tym bardziej uzależniając od niego nowego papieża. Zajęty tymi sprawami przestał się troszczyć o sprawy polskie. Odebranie Milska i Łużyc zabezpieczało wschodnią granicę, nawet

gdyby Mieszko pojednał się z Ottonem, któremu cesarz niezbyt ufał.

Mieszko również nie ufał zmiennemu lekkoduchowi, zwłaszcza że znał jego uległość wobec Ryczezy. Pewny był, że to z jej poduszczenia Otto wyznaczył nagrodę za głowę Bolka. Niemniej wahał się, czy przed rozpoczęciem działań nie próbować zawrzeć z nim ugody, ofiarowując mu zarząd Kujaw, a tym samym usunąć niepewnego człowieka z najbardziej zagrożonych granic, krajowi oszczędzić nowego rozlew krwi i zniszczeń, a zarazem poróżnić Ottona z Ryczezą. Czas naglił, jesień już była w pełni, a wojska zgromadzone nad Prosną gotowe do działania.

Mimo że zdrowie nadal Mieszkowi nie dopisywało, a gnębił niepokój o Bolka, zebrał się i ruszył do Gniezna, zamierzając prosić arcybiskupa o pośrednictwo. W mglisty wieczór zajechał do dworca na Panieńskim Wzgórzu, samotnie spożył wieczerzę, ale choć wyczerpany był, sen go nie brał. Lękał się, że znowu czeka go bezsenna noc, po której wyzbyty z sił, pragnął już tylko zaszyć się gdzieś z dala od ludzi i nie myśleć o niczym. Coraz częściej nachodziła go chęć zdania władzy Bolkowi, wstrzymywała go tylko świadomość, że zmiana władcy w niepewnym położeniu pogrzyżłaby kraj w zamęcie. Póki sił i życia starczy, musi wszystko uczynić, by zjednoczyć kraj i zrzucić cesarskie zwierzchnictwo. Pachołkowi, który przyszedł pozbierać statki po wieczerzy, polecił wezwać szatnego. Czekając na niego siedział wpatrzony w płonący sną kominie ogień i poczuł, że ogarnia go senność. Z ulgą zmrużył oczy i był już na pograniczu świadomości, gdy rozległo się pukanie! Poderwał się, serce zabiło mu przyspieszonym tętnem. Gniewnie zawołał:

— Wejść!

Uświadomił sobie jednak, że sam wezwał szatnego, pohamował rozdrażnienie i rzekł tylko:

— Długo niechasz czekać na siebie.

— Wybaczy, wasza miłość — odparł szatny — ale wzywał mnie pan Bożęta. Pytał zali już spoczywacie, bo u niego bawi poznański biskup, jen pilnie żąda posłuchania.

Mieszko zamyślił się. Wiedział, że nierychło zdoła znowu zwabić sen. Zamiast leżeć w ciemności rozmyślając po co przyjechał Paulinus, lepiej dowiedzieć się.

— Idzi przeto do pana biskupa — rozkazał — i rzeknij, że przyjmę go zaraz.

Gdy szatny wyszedł, Mieszko wstał i chodzić jął po świątlicy. Sen odbiegał go zupełnie, usiłował odgadnąć, po co

przybywa Paulinus. Może przysłała go Otto, i jemu zapewne korzystniejszą zda się ugoda z bratem niż walka, by w razie przegranej znowu z kraju uchodzić na łaskę i niełaskę obcych.

Nie czekał długo, gdy w sieni rozległy się głosy. W jednym z nich poznał głos arcybiskupa Bożęty i gdy weszli, do niego zwrócił się, mówiąc:

— Wybacz wasza dostojność, że nie pośpiałem was powitać, ale zdrożony jeśm.

— Nie stoję o to — odparł metropolita — i nie zakłócałbym waszego spoczynku, ale brat Paulinus prosił mnie o pośrednictwo, a mam także o innych sprawach do pomówienia. Mieszko pomyślał, że nie pora w obecnym położeniu kościelnymi sprawami się zaprzętać, ale powiedział tylko: — Słucham tedy, który z waszych wielebności zechce zabrać głos.

Arcybiskup ręką wskazał na Paulinusa, który przemówił:

— Miłościwa pani Rycheza zleciła mi oznajmić, jako niczego przeciw waszej ugodzie z bratem przedsięwziąć nie zamierza, w dowód czego najemników swych odprawiła, by nikt nie mógł rzec, iż z jej przyczyny krew krześcijańska się poląła.

— Rad to słyszę — odparł Mieszko — mniemałem jednakowoż, że to z jego ramienia przychodzie, do tej pory bowiem Otto do mnie o pojednanie się nie zwrócił. Zali królowa z nim to uzgodniła?

Biskup nieco zdziwiony odparł:

— Nijak uzgodnić nie mogła, królewic Otto bowiem jeszcze z wyprawy nie wrócił, ale królowa wiadomość ma pewną, iż z waszą miłością ułożyć się zamierzył.

— Z jakowej wyprawy? — zapytał Mieszko gniewnie marszcząc brwi. Jeżeli Otto wszczął walkę, by wymusić od opornych uznanie, w poselstwie Rychezy może, ukrywać się podstęp. Odpowiedź biskupa uprzedził jednak Bożęta:

— Zwólcie, że ja wyjaśnię, bo i w tej sprawie przychodzę. Królewic Otto przeciw chaśnikom pociągnął, którzy oprawą wyznaczone majątności miłościwej pani i międzyrzeckiego klasztoru spustoszyli. Może i nie wiedział, że syn wasz pomocą i osłoną służył łupieżcom. Aliści tak się okazało, i nie Ottonowi za złe można poczytać, że kościelnego mienia bronić zamierzył.

Mieszko słuchał zmieszany i zaskoczony. Zrozumiał, w jakiej sprawie przyszedł arcybiskup. Już poprzednio żalił się, że Bolko z pogańskimi zbiegami w porozumienie wchodzi. Teraz zaś wprost zadarł z Kościołem. By uciąć sprawę, po-

wiedział:

— Upewnić mogę waszą dostojność, że międzyrzeckiemu zgromadzeniu wszelkie straty wynagrodzę, dołożył Bolko ręki do chęśby lubo nie.

Arcybiskup jednak widocznie nie zamierzał na tym po-
prześcić, skinął głową, i rzekł:

— Znana jest hojność waszej miłości dla sług Bożych. Onże sławnej pamięci rodzica waszego szczodrobliwo-
ści uposażenie swe zawdzięcza i nie o to upomnieć się
przychodzę.

— Wiem — uciał Mieszko — ale nie czas o tym mówić.

Ja to waszą wielebność prosić zamierzyłem, by jednacem
był między mną a bratem. Otto, słyszę, przeciw Bolkowi po-
ciągnął, a nietajne mi, że nagrodę za jego głowę wyzna-
czył. Raniej wiedzieć muszę, zali Bolko żywie i samego wy-
słuchać. Jeśli zasię ta krew padła między mnie a Ottona,
póki żywota nie masz między nami ugody.

Zwrócił się do biskupa:

— Mniemam, że królowa nie po to jeno trudzi waszą do-
stojność, by mi oznajmić, że wojny ze mną wszczęć nie
zamierza. Tedy słucham.

— Iście tak — odparł Paulinus. — Córy wasze żrałe już,
o związkach dla nich czas pomyśleć. Tedy o spotkanie z wa-
mi prosi, by się społem naradzić. Nie tai takóž, że za sy-
nem jej tęskno, tedy rada w kraju pozostać wraz z córa-
mi a i one chętnie by ujrzały rodzica. Mniema, że i wam
to po myśli.

— Nie ja małżonkę wygnałem — odparł Mieszko.

Gdy samotny i przygnębiony bawił w Merseburgu, żadna
z cór nie zatroszczyła się o niego, zapewne zabroniła im
Rycheza. Teraz wykorzystać chce rodzicielskie przywiza-
nie, by uzyskać zgodę na pozostanie w kraju. Nie ufał jej,
a z niechęcią myślał o spotkaniu, nie wierzył też w szczeróć
biskupa i dodał:

— Nie takie to pilne, bym dziś musiał dać odpowiedź.

Rozważyć muszę, a zdrożony jeśm i pora mi spocząć. Wy-
baczą tedy wasze dostojności, że was pożegnam.

Chciał pozostać sam, ale czuł, że nie zaśnie, choć istotnie
znużony był. Podejrzewał, że Paulinus niechcący wygadał
się o wyprawie Ottona, a nie powiedział, jaki był jej wynik.
Podejrzana też była gotowość brata do zgody. Gdyby jej
chciał z dobrej woli, nie byłby tępił stronników Mieszka
i nie czekał, aż Mieszko zbierze wojska, by siłą zjednoczyć
kraj. Znając obrotność Bolka niezbyt się obawiał o jego
życie, ale nie przypuszczał też, że jego udział w spustosze-

niu klasztornej majątności zmyślono, by usprawiedliwić wystąpienie Ottona przeciw niemu.

Zbył metropolitę, mówiąc że naprzód rozmówić się chce z synem, ale nie żywił wątpliwości, co usłyszy. Chciał się tylko upewnić, że Bolko żyje i nic mu nie zagraża.

Usiłował rozważyć prośbę Ryczezy i sprawę małżeństwa córek, przez które mógłby zyskać sprzymierzeńców. Tych mu ojciec nie zostawił, nie dały ich zawierane przez niego związki. Przez małżeństwo z Węgierką Judytą zyskał wroga w Stefanie, a Mieszkowi pozostawił Bezpryma. Córkę Dobrawkę wydał za Włodzimierzowego syna, by mieć w Rusi sprzymierzeńca, wroga synowi pozostawił w Jarosławie; Regelinę za miśnieńskiego Hermana, wrogiem był Mieszka aż do swej śmierci, bo nie w smak mu była zależność od dziewczęcia. Zaswatał ojciec Mieszkowi Ryczezę, by sprzymierzeńca miał w potężnym palatynie reńskim, wroga ma w byłym teściu po rozwodzie z małżonką. A gdzie szukać związków dla córek, by z pożytkiem były dla kraju? Jedyne syn Stefana, Emeryk, nie żyje, bratankowie jego po Wazulu, którym tron się po nim patrzył, na wygnaniu przebywają w Czechach, życia w kraju niepewni na skutek knowań stryjny Gizeli. Gdyby nawet Jarosław w obecnym położeniu zechciał się krewnić, z pięciu jego synów pierwsorodny Ilja zmarł, najstarszy z kolei Włodzimierz liczy dopiero dwanaście lat, z małżeństwem należałoby czekać, aż osiągnie wiek sprawny, a doświadczenie ze Swiatopełkiem stanowi przestrożę, że przez taki związek Polska może być znowu wplątana w walki między braćmi o spadek po Jarosławie. Ryczeza niewątpliwie zamyśla wydać córy za niemieckich książąt, ale i te związki nic dobrego nie obiecują, a jedno jest pewne, że Bolko nienawidzi Niemców jak zarazy. Córy pod wpływem matki i tak już obce się stały, niechaj czyni z nimi, co chce. Nie ma wyjścia z osamotnienia ani jako władca, ani jako człowiek. I cóż stąd, że ostatnim wysiłkiem zjednoczy państwo, gdy nie ma wewnętrznej jedności. Moźnowładcy zawidzą sobie wzajem godności i urzędów, Pomorze z dawna siłą gotowe się przeciwstawiać wprowadzeniu nowej wiary, .pospólstwo nie chce jej nigdzie, rozruch zaczyna się udzielać, pogaństwo podnosi głowę w Wielkiej Polsce i na śląsku, a w Bolku może znaleźć przywódcę.

Od tych myśli Mieszko zamęt czuł w skołatanej głowie i ogarniało go takie zniechęcenie i poczucie bezradności, że nie zdobył się nawet na wysiłek zdjęcia cizem lub przywołania szatnego. Jak stał rzucił się na łoże, w zmaconym

umyśle kołatało tylko jedno pragnienie; zobaczyć Bolka, upewnić się, że żyje i nic mu nie grozi. A potem niech się dzieje, co zdarzy los.

Szary brzask późnego świtu cedził się już przez szklane gomółki, gdy wreszcie skłębione myśli Mieszka rozmazały się w majaki niespokojnego snu.

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo spał, świadomość wracała mu z wolna, ale nie mógł się zdobyć na otwarcie powiek, na powrót do rzeczywistości. Nie był wypoczęty, wiedział jednak, że już nie zaśnie. Dochodziły go odgłosy dziennej krzątany. Zdało mu się, że wyczuwa czyjąś obecność i niechętnie otworzył oczy. Nad nim stał Bolko i widząc, że ojciec się obudził, powiedział z uśmiechem;

— Czemuż śpicie odziany jak na wojnie? Wyczesalem szatnego, że wam choć cizem nie zezul.

Widząc, że Mieszko zdrętwiały z trudem usiłuje się dźwignąć, dodał:

— Łażnię niechałem wam zgotować, wyparzycie się, to wam drętwota przejdzie. Do macierzy was odwiozę, bo widzę, że tu nikto o was nie dba. Zmarniliście się.

— Nie czas mi spoczywać — odparł Mieszko. — Dawno tu jeś?

— Od rana. A ninie już obiadować pora.

Widząc, że ojciec zamierza go wypytywać, dodał:

— O sprawach pogadamy przy posiłku, niepilne.

— Nie wiesz, kano się palatyn Michał obraca? — zapytał Mieszko.

— Społem wróciliśmy. Był tu, ale żeście spali, poszedł do siebie na Słomiankę. Wraz pośle po niego, przydzie, nim się wyparzycie.

Z pomocą syna Mieszko wstał i wyszedł. Ubyła troska o niego, obecność doświadczonego i przyjaznego Michała Awdańca podniosła go na duchu, nie jest jeszcze całkiem samotny, palatyn pomoże mu rozważyć sprawy i powziąć postanowienie.

Rzeświejszy wrócił z łaźni, istotnie zastał już druha i powitał go z radością:

— Jako ręki brakło mi ciebie, a w ważnych sprawach trzeba mi twojej rady. Od królowej przyjechał tu poznański biskup. Pry, że Otto zgody ze mną szukać zamierzył, ona zasię przeciwie się nie będzie, jeno w kraju chce pozostać. Niezbyt mu ufam, bo zawždy wietrznik był i lekkoduch, ale krwie by oszczędził. Co o tym mniemasz?

Gdy Michał nie odpowiadał, lecz patrzył na Bolka, jakby czekając, by się odezwał, Mieszko zapytał:

— Czemuż nie gadasz?

Zamiast niego odpowiedział Bolko:

— Bo i nie ma o czym. Otto nie żywie.

Mieszko zaniemówił. Brat! Przed oczyma miał nie przewiercę, sprawcę zamętu i najazdów, lecz złotowłosego dzieciaka, igrającego na kolanach matki, której był ulubieńcem. Powiedział przez zaciśnięte gardło:

— Niechaj mu Bóg wybaczy. W walce poległ?

Pytanie zwrócił do palatyna, ale znowu odpowiedział Bolko:

— Nie! Stracić go kazałem.

Widząc, że ojciec zadumał się chmurnie, rzucił szorstko:

— Gdybym ja popadł mu w ręce, też by ze mną nie igrał.

Iście godzić się chciał, gdy zmiarkował, że nie wygra. Wam by pewnikiem piaskiem w oczy sypnął lubo by was biskup klątwą postraszył i wybaczylibyście przewiercy, by zasię zdradził sposobną porą. Za miętką macie rękę, przeto się zdrajcy mnożą.

Mieszko milczał przygnębiony. Jemu nigdy i przez myśl nie przeszło, by się OJCU sprzeciwić lub zgoła mu przygarnąć. Istotnie, za słabą ma rękę, dla syna też.

— Zali prawda, iżes chąśnikom klasztorne mienie grabić pomagał? — zapytał po chwili.

— Prawda, jeno nijakim chąśnikom. Z takimi społem wojowałem, gdy Bezprym się panoszył a wyście w niewoli siedzieli. Zapłaty nie biorą, a jeść muszą.

— Takimi, co nie jeno z kościelnego posłuszeństwa wyszli — rzekł Mieszko gniewnie. — Był tu już metropolita o grabież kościelnego mienia się upomnieć. A jeszcze Otto na ubił, jen go bronił. Co mu rzekę?

— Co?! — ze złością odparł Bolko. — Do mnie go odeślijcie, już ja się sprawię. Jeno nie wiem, kto tu panem, on zali wy. Żadnemu zdrajcy nie przepuszczę ani mną nikt rządzić nie będzie. Was nie stać, by drużynę utrzymać, a Bożęta w samej katedrze skarbów ma, że nie przeliczyć, przeto go rozděło. Kościelne mienie! Kościelne posłuszeństwo! Zerwał się i wybiegł.

Mieszko długo siedział, tępo wpatrzony przed siebie, a palatyn nie przerywał milczenia, czekając by ochłonał i sam wrócił do spraw. Ale widocznie przeżuwał zajście ze synem, bo szepnął:

— Oto jeszcze jeden buntownik. Ale praw jest, że u mnie ni rady w głowie, ni siły w ręku.

Podniósł wychudłą dłoń i dodał:

— Spójrzj!

Ręka drżała jak u zgrzybiałego starca. Michał patrzył na niego ze współczuciem i niepokojem. Mieszko nigdy nie był wesoły i beztroski, ale tak przygnębionego jeszcze nie widział. Choć sam w to nie wierzył, powiedział:

— Siły wam wrócą, gdy odpoczniecie, prawie na to pora. I rada się najdzie. Nie masz Ottona, prawdę rzec, lepsze to niżli ugoda z nim, której by pewnikiem nie strzymał i jeno zyskać chciał na czasie, póki się Konrad indziej nie uładzi. Królowa takż przeto godzić się chce, bo jej zabrakło Ottona, przez którego rządzić się zamierzyła, gdy sama miru w kraju nie ma.

— Co tedy radzisz odrzec biskupowi? — zapytał Mieszko.

— Jemu pilne nie wam. Raniej rozejrzeć się w położeniu i wymiarkować, czego iście chce królowa.

— To wiem, że się wzajem z Bolkiem nienawidzą i rada by się go pozbyć. A gadać chce ze mną, bo zawždy umiała wymóc ode mnie, co chciała. Ninie pewnikiem córy wydać zamierzyła po swej myśli, by sobie sprzymierzeńców pozyskać. Prawdę rzec, nie widzę dla nich związku, który by z korzyścią był dla kraju.

— Tedy ich nie wydajcie, ani wam niewola gadać z królową. Moja rada, jedźcie spocząć na Lednicę. Bogu dziękować, bez wojny domowej się obędzie, mamy czas.

— Czas mamy, ale nie pieniędzy. W skrzyni dno widać, a zbroić się trzeba, bo Konrad nie pozostawi bez odpłaty, iżem układ złamał. Jeszcze Bożęta o Belkowe sprawki upominać się przyszedł. Zbyłem go, że przódzi z Bolkiem chcę gadać, bo ani wiem, co rzec metropolicie. W swoim prawie jest, a słyszałeś, co Bolko rzekł. Wyrządzone przez niego szkody wyrównać przyrzekłem, ale Bożęcie nie o to jeno szło.

— Nie wiecie, co mu rzec, tedy nie gadajcie — z pewnym zniecierpliwieniem powiedział Michał. — Królewica wyslijcie w objazd, by się z arcybiskupem nie spotkał, a i tak dawnych grodzierzców osadzić trzeba w miejsce ustanowionych przez Ottona. On to potrafi, tymczasem sprawa się odstoi, a wy jedźcie nie czekając, aż się metropolita zgłosi.

Widząc że Mieszko waha się, zawołał komornika i rozkazał:

— Orszak królowi zgotować, włodarza na Lednickim Ostrowiu uwiadomić, że przyjeżdża.

— Pojadę do osady nad jezioro — powiedział Mieszko. — Dobroszka już tam wróciła.

— To i lepiej, zda wam się niewieścia opieka — rzekł

Michał. — Myślcie o zdrowiu pokąd spokój, sprawy mnie ostawcie. Z metropolitą będę próbował załadzić, potem jadę do Poznania, będę gadał z królową. Zda mi się, że lepiej, by ostała, łącniej upilnować, by się z wrogiem nie znosiła. Wygnać zawždy czas.

Mieszko odetchnął z ulgą, ale powiedział:

— Jeszcze z Bolkiem chcę pogadać. Zrozumieć winien, że ninie spokój najważniejszy.

— Tedy zabierzcie go z sobą. Macierz mu się ucieszy, pewnikiem też o niego niespokojna. Jej najłacniej będzie go nakłonić, by wam trosk nie przyczyniał.

— Mójżeś ty! O wszystkim pomyślisz, jeno nie o sobie — powiedział Mieszko ściskając przyjaciela. — Tobie też wypoczynek by się patrzył i swoich obaczyć.

— Przydzie i na to czas — odparł palatyn. — Skarbek winien już być w Poznaniu, jakoś się sprawami podzielim. Tedy żegnajcie, miłościwy panie, krzepcie się, a daj Bóg w zdrowiu się obaczyć.

Bożęta mimo podeszłego wieku popędliwy był. Gdy się dowiedział, że król wyjechał zabierając ze sobą syna, w pierwszym porywie zamierzał natychmiast obłożyć Bolka kłątwą, ochłonawszy jednak postanowił naradzić się z kapitułą. Wcześniej służebny kleryk oznajmił mu, że przyszedł palatyn Michał Awdaniec i prosi o rozmowę.

Arcybiskup wiedział, że jest to przyjaciel i zaufany doradca króla i domyślał się w jakiej sprawie. Niemal rad był, że na nim będzie mógł rozładować swe wzburzenie i kazał go prosić natychmiast. Nie odpowiadając nawet na powitanie zaczął gwałtownie:

— Wasza dostojność darmo się trudził, jeśli po to, by sprawić króla, iż mnie zbył jak natrętnego proszalnika, a ninie, prosto rzec, uciekł, by nie gadać w sprawie, której ja nie poniecham. Nie jeno w prawie jeśm, ale moja to powinność przestrzegania praw Kościoła domagać się i o ich naruszenie upominać. Jeśli zadośćuczynienia nie otrzymam, kłątwą obłożę królewica. Nie w waszej zasię mocy poręczyć, że dopełni pokuty i wszelakich związków z poganami się odprzysięże.

Bożęta skończył i sapał gniewnie, palatyn jednak nieporuszony rzekł:

— Wždy wasza przewielebność jeszcze nie wie, z czym przychodzę.

Arcybiskup ulżył już sobie, wspomniął, że mówi z pierwszym dostojnikiem królestwa i dobroczyńcą Kościoła, więc i powiedział spokojniej:

— Słucham tedy waszej dostojności.

— Pirwe siebie sprawić, bo z mojej to naprawy miłościwy pan wyjechał, czy jak rzekliście — uciekł. Można i tak to zwać, zawsze ubiega kto słaby.

Bożęta zdziwiony i zaskoczony patrzył na palatyna, który ciągnął:

— Nijak nie mogło ujść waszej przewielebności, że król z sił wyzbyty ostatkiem zdrowia goni. Co więcej mógł uczynić, niżli przyrzec, że wyrządzoną międzyrzeckiemu klasztorowi szkodę wynagrodzi, choć w skarbcu pusto i nawet na zbrojenia zasobów nie dostaje.

— Co?! — przerwał metropolita. — Syna zmusić, by pokutę uczynił.

Michał pokiwał głową:

— Zmusić! Nie zgaduję, bo byłem, gdy o tym mówili.

Królewic rodzicowi w oczy cisnął, że nie on tu panem, jeno wy, bo żądania stawiać śmiecie.

— Gdzie moje prawo, tam żądam a nie proszę — gniewnie wtrącił arcybiskup. — Od tego nie odstąpię.

— Za nic prawo bez siły — odparł palatyn. — I za waszym jeno świeckie ramię stoi, jak to zowiecie, tedy na jednym wozie jadziem. Silne było państwo Chrobrego, kaźden kościelnego i świeckiego prawa przestrzegać musiał, bo za nimi stał miecz. A ninie, sami wiecie.

— Jeszczeć w moim ręku ensis spiritualis*. Kłatwą, jak rzekłem, królewica obłożę.

— To iście w waszym ręku, jeno co zyszczecie? Nie ja muszę prawić waszej dostojności, że prosty naród nierad krześcijaństwu. Nie chęci mu brak, by zgoła krzyż obalić, jeno przywódcy. Zali chcecie Bolka nim uczynić?

— Zali nim nie jest? — rzucił arcybiskup. — Nie poganom to przywoździł, którzy kościelne mienie złupili?

— Nie! — zaprzeczył palatyn. — Jeno siły tam szuka, gdzie naleźć może, a prawdę rzec, indziej jej nie ma. Nie opłacona drużyna w rozsypce, rodowe hufce niepewne, jeszcze w prostym narodzie ostała, nie pora pytać, krześcija- nie lubo poganie. Z nią to Bolko opór stawiał Bezprymowi. Jedno prawda, że ich siłą nawracać do nowej wiary nie zwoli.

— Jestli kraj krześcijański lubo nie jest? — gniewnie przerwał Bożęta. — Jeszczeć nie Bolkowa właść.

* duchowy miecz

— Jest i nie jest — odparł palatyn. — Nawet za Chrobrego pogaństwo podnosiło głowę, jeno siłę miał, by ją przygiąć. I to z Pomorza zgoła krzyż wygnano. Nie Bolkowa

właść? Bogdajbym się mylił, ale niedługi żywot ściele się przed Mieszkiem. Rozważcie zali od wojny zaczynać z jego następcą.

— Jeśli się nie ukorzy i pokuty nie odprawi, nie będzie nim. Jest jeszcze Otto, prawowity syn Chrobrego...

— Otto nie żywie — uciał palatyn. — Uchowaj Bóg od władcy, jen wroga na własny kraj naprowadza.

— Nie żywie? — zapytał Bożęta zaskoczony. — Co się stało?

Gdy Michał nie odpowiedział, ciągnął:

— Jest syn Mieszkowy, nabożny, w piśmie i naukach kształcony, Ojciec Święty zwolni go od ślubów.

— Po to, by zasię wojnę wywołać między braćmi? — przerwał palatyn. — Zali w każdym pokoleniu tak być musi, mało jeszcze nieszczęść przyniosły? Prawda, że królowa pomoc dla niego zyszcze cesarską i swojaków. Magdeburgski arcybiskup takż chętnie ręki przyłoży, by tu apostołować, tak jak na Połabiu. Wy naszego rodu jeście, zali swoją do niemieckiej dołożycie? Tedy prosto rzekę: ja i moi radziej z poganami pójdziem przeciwko Niemcom niżli z Niemcami przeciwko poganom. Zali i dla was poganin to dziki zwierz, którego tępic zasługa przed Bogiem?

— Czego tedy chcecie? — zapytał metropolita zmieszany.

— Spokoju dla kraju i króla. Dopiero zgliszcza po najęździe chwastem zarosły, jeszcze się rany nie zablizniły po rozdarciu, a już do obrony sposobić się trzeba. Pokąd od wroga spokój, czas okrzepnąć, nie waśnie wzniecać, choćby i słusznych praw dochodząc.

Bożęta domyślał się już, do czego zmierza palatyn, ale powtórzył:

— Czego chcecie ode mnie?

— Byście poniechali sprawy przeciw Bolkowi, nawet wynagrodzenia szkody. Będzie spokój, ruszy się handel, wypełni się skarbiec. Hojny był zawżdy Mieszko dla Kościoła i nadal wam nie pożałuje, gdy będzie z czego. Wam zasię zasobów nie brak, szczodrobliwości króla i jego przodków dziękować.

— Nie o majątność moja troska — odparł Bożęta z wahaniami — jeno bezkarność rozzuchwała i naśladowcom daje zachętę.

Palatyn jednak widząc, że bliski jest celu, odparł:

— Umocni się kraj w pokoju, nastanie ład i prawo. Ninie niejeden występki wybaczyć trzeba, by skończył się zamęt i rozerwanie. Korzyść w tym wszystkim, a Kościoła nie w ostatku.

Gdy arcybiskup jeszcze zdał się namyślać, ciągnął:

— Ostawcie królowi sprawę Bolka. Zadzierzysty jest, ale niegłupi, a do rodzica przywiązany. Wojownik zasię przedni i dobrze to Mieszko umyślił Kazimierza do duchownego stanu przeznaczając, by kiedyś, gdy wam dań spłacić przydzie ludzkiemu przyrodzeniu, on wasze miejsce zajął. Będą bracia współdziałać, miast o władzę się zwodzić. Kazimierz nie Bezprym i rodzicowi przyrzekł, że się o nią dobijać nie będzie.

— Daj Bóg, by tak było — westchnął Bożęta i dodał: — Byle nierychło. Zawždy zamęt bywa przy zmianie, po dwakroć już go doświadczyłem, bogdajbym nie oglądał po raz trzeci. I niechaj już będzie, jako chcecie, dla króla to jeno czynię, by mu trosk ująć.

— Tedy imieniem króla dziękuję — odparł palatyn wstając, ale metropolita zapytał:

— Bawi u mnie brat Paulinus, zechcecie i z nim gadać?

— Nie! — odparł Michał. — Jeno odpoczną, jadę do Poznania. Uznam, że trzeba, sam rozmówię się z królową. Nie pilne.

Rycheza słuchała sprawozdania biskupa marszcząc gładkie czoło. Twarz jej miała wyraz skupiony i zacięty, chwilami zagryzała wąskie wargi. Teraz dopiero dowiedziała się o śmierci Ottona, nie miała wątpliwości, kto był jej sprawcą. Nie był Otto sprawnym narzędziem, niemniej jeszcze potrzebnym, śmierć jego dawała Mieszkowi wolną rękę w opróżnionym przez niego lennie i to była zapewne przyczyna, że zlekceważył rzekomą dobrą radę byłej małżonki i nie udzielił nawet odpowiedzi na prośbę o spotkanie.

Ważniejszą jednak była wiadomość o złym stanie jego zdrowia, sprawa następstwa po nim stała się pilną. Nigdy nie żywiła do małżonka cieplejszego uczucia, ale stanowił przeszkodę w poczynaniach swego dzikiego syna. Bolko nie naoże przeżyć swego ojca.

Paulinus również z niepokojem myślał o objęciu władzy przez Bolka. Zażyły stosunek z królową stawiał go w rzędzie jego wrogów, z którymi nie zwykł, się certować.

Biskupowi zdało się, że królowa jemu poczytuje za złe chybione pośrednictwo; podjął usprawiedliwiając się:

— Ani wątpić, że to palatyn Michał nakłonił króla, by mi nie udzielił odpowiedzi. Ale nie to najgorsze. Gdy mu przedstawiłem, że chcecie pozostać, póki się sprawa związku waszych cór nie załadzi, odrzekł mi, że was nie wyganiał, widno przeto, że i ninie wygnać nie zamierza. Gorsze to, że arcybiskup, jen walnie odkazywał, że Bolka wyklnie,

jeśli pokuty nie uczyni, po rozmowie z palatynem zgoła tego poniechał.

— Wždy i waszej wielebności prawo służy klątwą go obłożyć — zauważyła Rycheza, Paulinus jednak odparł wymijająco:

— W mojej to mocy, ale zrazu uczynić to należało. Jeno wóczas nijak mi było podjąć pośrednictwo między wami a królem. Gdybym zaśę ninie to uczynił wbrew metropolicie, z nim zadarłbym, a skutku nie osiągnął.

— Tedy jeno dziękować waszej wielebności za trud i chęci, choć bez skutku — rzekła królowa uszczypliwie. — Nie dziw, że u nas kraj ten za pogański mają, gdy rzekomy następca rzekomego króla z poganami kościelne mienie łupi, a rzekoma głowa Kościoła płazem to puszcza. Praw jest magdeburgski metropolita, gdy się jurysdykcji nad Polską domaga, jak na to przywilej posiada. On by tu snadnie pogański chwast wyplenil. W waszej mocy do tego się przyczynić: prośbę słać do Kurii rzymskiej, by mego syna od ślubów zakonnych zwolniła. Cesarz na koronację nowego Ojca Świętego wyjechał, Stolica Apostolska nie jest już osierocona.

— Mam i ja tę wiadomość — potwierdził biskup. — Jeno czym prośbę uzasadnić, gdy król żywie i następcą starszego syna wyznaczył? Kuria zawždy ostrożna jest, nie zechce się mieszać w tę sprawę.

— Zaliby waszej wielebności nie było wiadome, czym się prośby w Kurii najskuteczniej popiera? — drwiąco zapytała Rycheza. — Ale i bez tego — ciągnęła — zali nie starczy, iż ów następca, prawy poganin, Kościół w Polsce obalić gotowy. Poselstwo takżę ptakiem nie polecie, bo ptaki już odeszły i ku zimie się ma. Nie raniej stanie w Rzymie, aż z wiosną. Ani to pewne, że woriczas były małżonek mój jeszcze żyw będzie, samiście rzekli, że lepszych na marach kładą.

Nie chciała wprost powiedzieć biskupowi, że uczyni wszystko, by Bolko nie przeżył ojca, a wówczas sam Mieszko prosić będzie o dyspensę dla Kazimierza. O tym radzić będzie ze swym zausznikiem Romerem. Zakończyła:

— Zechciejcie pismo wygotować do Kurii i ludzi wyznaczyć, zasobów na drogę i na podarunki sama dostarczę. Rozumiecie, że sprawa winna w tajemnicy pozostać.

Paulinus pożegnał się, a królowa poleciła wezwać swego ochmistrza. Gdy Romer nadszedł, zapytała:

— Wiecie, że Otto nie żywie?

Romer skinął głową:

— Wiem. Awdaniec go pojmał, a Bolko ściąć kazał.

— Rodzonego stryka niczym na licu schwytanego łotra!

Nic świętego dla onego mężobójcy — powiedziała Rycheza w zamyśleniu, ale Romer odparł:

— Ottona nam nie żałować, miałki człek był, a może to i lepiej, że ubić kazał go Bolko. Przyjaciół tym sobie nie przysporzył, zwłaszcza u duchowieństwa, a i bez tego wrogów mu nie brak.

— Metropolita odmówił obłożenia go klątwą — zauważyła Rycheza — pono z naprawy Awdańca. Widno z nim trzymają, a wiedzą, że wyklętemu nijak byłoby włość objąć, gdyby zmarł Mieszko.

— Ale im takż nie brak niechętnych. Póki Mieszko żywie, nie będą nic poczynać, ale wiedzą, że pod Bolkiem nie utrzymają się nie jeno przy mieniu i urzędach, ale przy żywocie.

— Co tedy radzicie? — zapytała królowa.

— Przeworność zachować i rozejrzeć się, na kogo można liczyć. Będzie pewnikiem zjazd na Gody, sposobność wymiarkować. Słotną porą kaźden rad doma siedzi, gdy dni krótkie, a drogi rozkiśłe. Bolko też pewnikiem gdzieś ulgnie, były małżonek wasz zasię niestary jeszcze, ozdrowieć może, tedy sprawa następstwa po nim niepilna.

— Ale gdy będzie pilna, za późno o tym myśleć — niecierpliwie powiedziała Rycheza. — Ninie nie liczyć mi ani na pomoc Konrada, który indziej zajęty, ni margrafów, którzy z Weletami w wojnie, jeno na siebie, a to wiem, że mnie tu nie miłują.

— Ale Bolko takż ma wrogów, syn wasz zasię nikomu nie krzyw, jeno od ślubów zwolnić go trzeba, by poparcie miał kościelnych dostojników.

— O tym już pomyślałam, jeno sami rozumiecie, że o tym nikomu, pokąd skutku nie odniesie. Łacnie by to mogli udaremnić, choćby wymordować poselstwo. Od was zasię nie pociechy czekam, bo płochliwa nie jestem, jeno pomocy. Z innej przyczyny niż Rychezę stan króla niepokoił palatyna Michała, nie tylko dlatego, że przywiązany był do druha z pacholęcych lat. Z troską myślał o tym, że od śmierci Chrobrego kraj ustawicznie wstrząsany przez wojny, najazdy i zmiany, wyczerpany i rozprzężony, potrzebuje spokoju pod rozumnym i powszechnie uznanym kierownictwem, a Mieszko jest u kresu sił. Podjął się zastąpić go, ale wiedział, że nie brak zawistnych, którzy stawiać będą choćby bierny opór jego zarządzeniom.

Pod wieczór słotnego dnia przybywszy do Poznania Mi-

chał zajechał do starego dworca na śródcie i zastał tam brata. Spodziewał się go, niemniej powitał z radością i ulgą. Nie widzieli się dawno i było o czym mówić. Gdy Michał skończył opowiadać własne przeżycia, Skarbek powiedział:

— Dobrze się stało, że Bolko zgładzić kazał Ottona. Oszczędziło nam to krwi, a my ninie możemy pomyśleć o sobie. Nasi pewnikiem wrócili już doma, rad ich ujrzę, odpocząć takż zda się.

— Ty jedź — powiedział Michał — a zagładnij też do moich. Ja ostanę pokąd Mieszko do sił nie dojdzie. Nie wiada w co raniej ręce włożyć, a i na królową trzeba dawać baczenie. Nie wierę, by po to jeno zjechała, by małżeństwa cór załadzić.

— Tedy wygnać ją — rzucił Skarbek. — Tyżeś starszy od Mieszka i tobie wypoczynek się patrzy. Zbiedniałeś. Ma Mieszko żrałego syna, niechaj go zastąpi. Czas mu do rządów się zaprawiać.

Michał westchnął:

— Lękam się jego rządów. Do wojny iście zdatny, ale zadość ich już było. Ninie nam spokój potrzebny.

— Ty to mówisz — uśmiechnął się Skarbek. — Wždy i myśmy z wojen urosli i na nich się dorobili.

— Prawda! Ale i to, żeśmy za naszego żywota po dwakroć cały dorobek stracili, nawet to stare domosko. — Ciągnął w zamyśleniu: — Widno co za szybko rośnie, nietrwałe jest. Myślał jednak nie o swym rodzie, lecz o państwie. Dwa pokolenia zbudowały potęgę zdolną oprzeć się cesarstwu, w trzecim chyli się do upadku. Winę przypisują Mieszkowi, ale palatyn wiedział, że nie z jego to przyczyny i żał mu było druha. Za trud całego życia zyskał tylko niesławę. Skarbek jednak widząc, że brat przygnębiony jest, powiedział:

— Coś ty czarno patrzysz na sprawy, takim cię jeszcze nie znałem. Jedź ty doma odpocząć, a ja tu ostanę. Straciłiśmy, ale w domowych wojnach, a zasię tu siedzim.

— W domowych, to prawda — odparł Michał. — Ale zarzewie nowej gotowe. Rycheza nigdy się z Belkowymi rządami nie pogodzi, a dla swego syna poparcie najdzie nie jeno cesarza i swojaków, ale i tu w kraju, bo nie brak takich, którzy się Bolka lękają. Zadarł nawet z metropolitą, któren nasz człek jest i zyczliwy. Ledwom Bożętę nakłonić wydolił, by poniechał klątwy na niego, a i to zataić musiałem, że rodzzonego stryka stracić kazał.

— Tedy jako rzekłem, wygnać Rychezę, nie będzie kno-

wał — rzucił Skarbek.

— Kazimierz mnichem jest, a sam prawileś, iż rodzicowi przyrzekł własci się nie dobijać.

— Nie on, to jego macierz, by rządzić nim i za niego, jak zrazu rządziła Mieszkiem, pokąd się nie zbuntował — niecierpliwie odparł Michał. — A wygnać ją, prawisz! Jeno wolną rękę jej dać, by wrogów podjudziła. Tu choć na ręce jej patrzeć mogę i to wiem, że już nad czymś z biskupem uradzała, jen takż Bolkowi nie druh.

— Chcesz, to ostań — powiedział Skarbek — jeno pomnij, że tyle człek dłużny, na ile go stać. Nie młodyś, a może zasię wojować przydzie. Ja takż doma siedzieć nie będę, jeno odpocznę, zajrzę i do twoich i dam ci wiadomość. Koni też podeślę, ile wydołę, bo drużynę odbudować trzeba, by choć coś mieć pod ręką, domowa lubo niedomowa wojna będzie, a co było we Włocławku, Mojsław zabrał na Pomorze i takż nie wiada, co z niej ostało. Ninie już nic nie uradzimy, tedy spać idę, bo rankiem chcę ruszyć, a tobie takż radzę, boś też niejednej nocy nie dospał.

Pożegnał się i odszedł, ale palatyn nadal siedział zamyślony. Ciężyła mu odpowiedzialność, której nie ma z kim podzielić. Z dawnych dworskich i grodowych urzędników nie było w Poznaniu nikogo, by zdjąć z niego troskę choć o bieżące sprawy.

Wieść o zaszłej zmianie rozchodziła się jednak szybko i nazajutrz przybył żupan Dobromir. Było już komu zadbać o ład, bezpieczeństwo i zaopatrzenie grodu. Z pierwszym śniegiem zjawił się też skarbnik Radwan, gdy mróz ściał błoto na drogach, nadjechali pierwsi kupcy, ściała do grodu służba leśna, bartnicy, bobrownicy i smolarze, krótki okres spokoju wystarczył, by życie zaczęło płynąć zwyczajnym łożyskiem. Gdy Skarbek wraz z tabunem koni przysłał wiadomość, że w Skarbnic, Górach i Osieku straty w gospodarstwie i mieniu są niewielkie, a rodziny już siedzą na swoim, palatyn odetchnął i odprężył się. Postronne wieści też były pomyślne, margrafowie zajęci wciąż jeszcze wojną z Weletami nie mogą się wdać w sprawy polskie, cesarz bawi w Italii, gdzie szalbierstwem i przemocą przeprowadzony wybór Teofilakta na głowę Kościoła wywołał wrzenie, szczególnie wśród wyższego duchowieństwa z arcybiskupem Mediolanu Aribertem na czele. Koronowany pod imieniem Benedykta IX, rozpustny młokos rozpoczął panowanie od wyprzedazy kościelnych godności, było widoczne, że nie utrzyma się na Pietrowej Stolicy bez zbrojnego poparcia. Groziło to schizmą i nawet gdyby Konrad

miał już wiadomości o wypadkach w Polsce, nierychło będzie mógł nią się zająć. Okres spokoju od zewnętrznych wrogów pozwoli krajowi okrzepnąć po wstrząsach, przywrócić ład i bezpieczeństwo. Sposobność też była zwołania powszechnego zjazdu, który winien się do tego przyczynić.

Michał jednak nie chciał o tym stanowić bez porozumienia się z królem, którego obecność była niezbędna. Z dala od trosk, w spokoju przyszedł już zapewne do sił, na tyle, by temu podołać. Zjednoczenie kraju i zrzucenie zależności od cesarstwa pozwalało także obejrzeć się za sprzymierzeńcem, ale i tę sprawę należało omówić z królem. Czas było postanowić o małżeństwie Bolka, palatyn miał na myśli związek z Gunhildą, córą duńskiego Kanuta, ongiś sprzymierzonego z Chrobrym. Jako zięć potężnego władcy trzech królestw, Bolko miałby mocne stanowisko, zarówno w kraju, jak i u postronnych, usunęłoby to niebezpieczeństwo walki o spadek po Mieszku.

Zbliżał się jednak koniec roku, zwołanie zjazdu na Gody stało się pilne, a Mieszko nie wracał. Palatyn widząc, że nie doczeka się go w Poznaniu, w zimowy poranek sam ruszył w drogę. Dotarłszy koło południa do Lednogóry skręcił z gościńca w las.

Wiodąca zachodnim brzegiem Lednickiego Jeziora drożyna ledwo widoczna była spod śniegu, żadnych ludzkich śladów, mimo że od kilku dni panowała słoneczna i mroźna pogoda. Zimową ciszę z rzadka tylko przerywało kucie dziecięcia lub skrzeczenie sójki. Pora do łowów była wymarzona i palatyn obiecywał sobie, że po zjeździe we własnych borach użyje zapomnianej niemal łowieckiej uciechy. Skarbek już odpoczął, może go przy królu zastąpić.

Gdy przed jadącymi otwarła się polana, we dworcu odezwały się psy, ale ujadanie zaraz umilkło, widocznie ktoś je uciszył, a na podcieniu ukazała się Dobrochna. Palatyn zeskoczywszy z konia rzucił wodze pachołkowi i zmierzał do wejścia. Położyła palec na ustach i powiedziała cicho:

— Zwólcie do świetlicy. Pan śpi.

Widząc jego zdziwione spojrzenie dodała:

— Nie sypia po nocach. Lęka się ciemności. Ostawcie go w spokoju.

Palatyn strapił się i zmieszał. To była przyczyna, że król nie wracał do Poznania, gdzie obecność jego była niezbędna. Choroba jego mogła jeszcze pogłębić rozprężenie, zaprzepaścić sposobność zaprowadzenia w kraju ładu i spokoju, Nadzieje, z jakimi jechał tu, zbladły. Powiedział jak do siebie:

— Leczyć go trzeba. Jest w Poznaniu kanonik Raclaw...

— Była tu lekownica — przerwała Dobrochna. — Ni widzieć jej nie chciał, prawil, że go otruje. Dała jeno zioła na sen. Zrazu pomagały a ninie...

Machnęła ręką widocznie powstrzymując łzy i powtórzyła przez zaciśnięte gardło:

— Ostawcie go. Wyzbyty z sił.

— Wždy o niego idzie — odparł palatyn. — Musi się jeszcze pozbierać, choć na krótki czas, jeśli wszystko, co działał i wydzierzył, nie ma iść na marne.

— Na krótki czas! — powtórzyła. Chciała jeszcze coś dodać, gdy otwarły się drzwi od sąsiedniej komory i stanął w nich Mieszko. Przez chwilę mrugał zaczerwienionymi oczyma. Na widok Michała, który zerwał się witać, jakby przebłysk radości zjawił się na jego twarzy, ale zaraz zgasł. Ciężko opuścił się na ławę, tępo wpatrzony przed siebie. Palatyn nie wiedział, od czego zacząć, niepewny, czy Mieszko słucha i rozumie.

— Po was przyjechałem, miłościwy panie — powiedział. Mieszko zrozumiał widocznie, bo drgnął, jakby się przestraszył, ale palatyn ciągnął:

— Spokój ninie, zjazd zwołać trzeba. Odprawicie go, nastanie ład, będziecie mogli wczasować ile wola. Da Bóg, siły wam wróca. Wždy bywało gorzej lubo całkiem źle, a nie opuszczaliście ramion. I pływakowi najczęściej sił braknie przy brzegu, zbierzcie je, niedaleko już.

— Wszystko na nic — głucho odparł Mieszko. — Rodzic przepowiedział, że zmarni się jego dzieło. Nijak się doli wybiegać.

Michał jednak nie zamierzał się poddać. Znał swój wpływ na króla i rzekł stanowczo:

— Tak prawicie, miłościwy panie, jak niewiasta co na zgliszczach domu usiądzie i jeno łzy roni. Mąż za topór ujmuje, by nowy wystroić. I my po dwakroć z mienia wyzuci, zasię na swoim siedzim. Choćby po siedemkroć, nie opuścim rąk, a nie my, to syny nasze. Kto walczy, jeszcze nie przegrał. Macie i wy syna.

— Mam dwóch — szepnął Mieszko. — Miałem i braci, od tego się naczęło...

Palatyn zrozumiał, co król ma na myśli. Odparł:

— Kazimierz mnichem jest, przyrzekł wam, że o własć walczyć nie będzie.

— Bezprym takż mnichem był — powiedział Mieszko. — A jest jeszcze Rycheza. Jako trądu nienawidzi Bolka, swojaków ma potężnych i cesarz za nią stanie...

— Jeszczeć wam nie umierać, czas myśleć o następcy — przerwał Michał. — Ważniejsze to co dzisiaj. Ostawicie Bolkowi państwo uładzone, wojownikiem jest przednim, poradzi sobie. Zaszatać mu niewiastę, która by w wianie potężnego sprzymierzeńca przyniosła, jakiego wam brakło.

— Jako mnie Rycheza — wtrącił król z goryczą. — Niechaj pojmie taką, do której sierdce mieć będzie. A choćbym i chciał go swatać, nie posłuchnie.

Michał westchnął. Tego syna już jako wyrostka Mieszko nie zdołał osiodłać, teraz istotnie za późno. Może jednak Bolko da się przekonać, że tak trzeba dla powszechnego dobra; jeżeli już gdzieś serca nie zaczepił. Że nie żyje jak mnich, o tym z dawna wiadomo. Zapytał:

— Gdzie ninie bawi królewic? Miał być tu.

Dobrochna, która weszła by zaprosić na posiłek, teraz odezwała się:

— Był, ale jeno śniegiem przysuło, zabrał się. Dokąd, nie gadał, jeno że na Gody wróci. Niechaj on zjazd odprawi, gdy rodzic niemocny.

— Nie lza słabości okazować nie jeno wrogom, ale i swoim. Przesławny dziad miłościwego pana, choć o ćwierć wieka starszy był od niego, omal nie w siodle dokonał żywota.

Gorzki uśmiech zjawił się na twarzy Mieszka. Wyciągnął dłonie, drżały wyraźnie i rzekł:

— Jeno jak ją ukryć? Spójrz!

— Ręce macie nasze, ale nie jeno w nich jest siła. Póki żywota berło w waszym jest ręku, a każdy może, co musi — powiedział stanowczo i dodał:

— Gdy was wiatr owionie i słońko przyświeci, wraz wam wróci sen i chęć do jadła. Cóż wyдумacie patrząc w zakopconą powałę? W ciemności jeno złe myśli jak roba'ctwo się lęgną.

Mieszko patrzył na Dobrochnę, jakby czekając co ona postanowi, ale Michał widząc, że król się zawahał, uprzedził ją:

— Wždy nie opuścicie pana, gdy widno waszej pieczy mu potrzeba. Za parę niedziel będziecie mogli społem wrócić. Tedy pójdźmy się pożywić, bo zgłodniałem, a szmat drogi przede mną.

— Ostań choć do jutra — powiedział Mieszko. — Zawždy mi raźniej przy tobie.

— Jak każecie, miłościwy panie. Tedy jeno pachółka wysłę, by uwiadomił kogo trzeba, że wracacie i poczet zlecił przysłać, jaki królowi przystoi.

Przy posiłku Michał nie mówił już o sprawach bieżących, natomiast snuć zaczął wspomnienia wspólnych przeżyć. Przy kubkach Mieszko ożywił się, zaczął dorzucać swoje i przegwarzyli do wieczora. Przerwała im dopiero Dobrochna, mówiąc:

— Jutro także dzień, zadość na dziś wspominek, pora spocząć.

Odprowadziła Mieszka do przyległej komory i przez dłuższą chwilę Michał pozostał sam, zadumany. Gdy wróciła, zapytała:

— I dla was posłanie gotowe. Spoczniecie?

Ocknął się z zadumy i jakby własnej myśli odpowiedział:

— Od własci nie masz wycieczki.

Myślał jednak nie o sobie, lecz o Mieszku. Zastał króla w gorszym stanie, niż pożegnał, nadużył swego wpływu, by go skłonić do wysiłku, na który go już nie stać. Żał mu go było, ale znając druha rozumiał, że przyczyną jego załamania jest nie tylko zły stan zdrowia, którego nie odzyskał od czasu powrotu z czeskiej niewoli, lecz świadomość, że jemu przypiszą winę doprowadzenia dzieła przodków do ruiny. Teraz okoliczności złożyły się tak, że choć w części można powetować straty, tego zaniedbać nie wolno.

Jednej myśli nie mógł się palatyn opędzić i długo w noc nie pozwalała mu usnąć: Mieszko nie rokuje długiego żywota, śmierć władcy zawsze wyzwala przeciwstawne siły, Bolko, zadufany we własne, bezwzględny i samowolny, może rozdzwięk tylko pogłębić.

Nazajutrz palatyn zbudził się o dobrym dniu, z sąsiedniej świetlicy dochodziły głosy rozmowy. Przypuszczając, że Mieszko już wstał, zbierał się pospiesznie, zastał tam jednak Dobrochnę i setnika, który przybył z zawiadomieniem, że w Lednogórze orszak czeka na króla. Gdy Michał zapytał o niego, powiedziała z uśmiechem:

— Anibym uwierzyła, że takowego leku mu potrzeba. Od wczora jeszcze śpi.

— Niechaj śpi — odparł. — Poznań nie za morzem, pospiejem za dnia, jeśli ruszym obiadową porą.

Uśmiechnął się również i dodał:

— Prawie rzekłem, iż każdy może co musi. Jeno wy nie nadążycie wozem.

— Wzdym nie królowa, by społem wjazd odbywać. Przyjadę jutro.

Chciała jeszcze coś dodać, ale zjawił się Mieszko, którego również obudziły głosy rozmowy. Zaspany był jeszcze, ale spojrzenie miał żywsze. Gdy zasiedli do posiłku, sięgnął po

chleb. Ręce mu nie drżały i palatyn pomyślał, że przedwcześnie się trapić o następstwo po nim, zadość trosk na dzisiaj, których należy królowi oszczędzić.

W drodze Mieszko sam jednak zaczął wypytywać o sprawy, jakie zaszły pod jego nieobecność. Dopiero gdy słońce pochyliło się i śnieg zaczął skrzypieć pod kopytami, zamilkł i osowiał. Widocznie odwykł od konia i zmęczyła go jazda. Palatyn pomyślał, że do wojny król już niezdatny, ale o to się nie trapił. W tym Bolko może go zastąpić, a i sam czuł się jeszcze na siłach.

Zorze już gasły i pierwsze gwiazdy wysiewać się zaczynały na pogodnym niebie, gdy orszak wyjechał z borów. Wiadomość o powrocie króla widocznie się rozeszła, bo mimo zapadającego zmroku i wrostającego mrozu z osad na gościniec wylegały gromady, a gdy mijali Śródkę, zgęstniały w tłum, który okrzykami witał dawno nie widzianego władcę. Mieszko skinieniem ręki odpowiadał na powitanie, ale palatyn znając go widział, że źle się czuje wśród ludzi i rad by pozostał sam.

Przy wjeździe na Tumski Ostrów przy moście na Cybinie stał żupan Dobromir w otoczeniu dworskich i wojskowych dostojników, witając króla, palatyn jednak skrócił powitanie, mówiąc, że król zmęczony jest i wraz z nim skierował się do starego dworca. Wyległych na ich przyjęcie komorników odprawił, polecając tylko przygotować wieczerzę i wraz z Mieszkiem udał się do świetlicy, sam pomógł mu zdjąć wierzchnią odzież i zapytał:

— Macie jakoweś życzenie, miłościwy panie? Kiedy mam się stawić?

— Ostań! — odparł Mieszko. Usiadł przed płonącym na kominie ogniem i przez chwilę rozcierał ręce zgrabiałe na mrozie. Potem długo siedział nie odzywając się. Oczy miał przymknięte, głowę pochylił na piersi. Michał sądził, że rozmarzyło go ciepło i zdrzemnął się. Cicho podszedł do drzwi, zamierzając wydać polecenie, by królowi nie przeszkadzano, gdy Mieszko nie podnosząc oczu odezwał się:

— Ostań! Nie śpię.

— Nie odchodzę — powiedział palatyn — jedno odwołam wieczerzę. Sen dla was ważniejszy niż posiłek.

— Tak! Chciałbym spać i nie zbudzić się. — Głos mu się łamał jak u starca, gdy ciągnął:

— Prawieś, że nie lza słabości okazywać. Sam widzisz, a nie wiesz jeszcze wszystkiego.

— Tedy rzeknijcie. Może społem coś uradzim.

— Cóż ci rzekę? Mniemałbyś, iżem z rozumu obran.

A może iście tak jest?

— Co prawicie, miłościwy panie! Wždy znam was od wyrostka jako siebie samego, nigdy nie brakło wam rozsądku. Wiem takż, iże nieletki mieliście żywot, przemożeni jeście. Ale ninie najgorsze już za wami, nie masz Bezpryma ni Ottona, którzy zacznem byli wszelkiego zła. Zjednoczony kraj rychło do sił dojdzie, na zjeździe się sprawy uładzi, a pośle poczywać będziecie mogli, ile wola.

Mieszko jednak, jakby myślał o czymś innym, zapytał:

— Czy tobie się kiedy zdało, że ktoś jest koło ciebie, a nie widać nikogo?

Palatyn drgnął, ale odparł bez wahania:

— Różnie może się przywidzieć, gdy człek w gorętwie lubo we śnie. Ale jeno w baśniach może się czarnoksiężnik niewidocznym uczynić.

— We śnie go widuję — mówił Mieszko szeptem. — Wiedziałem, że to on. Pod klątwą był, bez sakramentów skonał i potępiony jest na wieki. Lękam się zasnąć, by go zasię nie ujrzyć. Ale zawždy czuję, że jest koło mnie.

Michał wiedział, o kim mówi Mieszko. Dreszcz go przeszedł, ale opanował się i rzekł stanowczo;

— Sami wiecie, że to jeno zwidy są. Czemuż Bolka nie nawiedza, jen go ubił, a jeno pięść podłoży pod głowę i śpi jak susel? Spytajcie biskupa, a on wam rzeknie, iże potępieńcem nie Iza opuszczać piekieł.

— Cóżże stąd, że wiem. Zjawi się, tak go widzę, jako ciebie. Sierdce mnie omal nie udusi, członki z kamienia, chcę się obudzić, a nie mogę. Zawždy mnie nienawidził, a cóżem ja winien, że żywot miał nieszczęsny i pogrzebali go gdzieś jako psa w nie poświęcanej ziemi.

— Bo nie dla zdrajcy czestny pogrzeb — popędliwie odparł Michał. — Przestańcie się nad nim użalać. Mógł był pokojnie dokonać żywota, wolał nieszczęście na kraj sprowadzić, by złość swą nasycić. To przekleństwa go pościgły, które ściągnął na swoją głowę. Przeklnijcie go i wy.

Widząc, że Mieszko siedzi z opuszczoną głową, dodał ze złością:

— Dopytam się o jego mogiłę i kołek osikowy w piersi wbić każę, by go zasię ziemia nie wypłuła. Nie strzygą chodzić mu po świecie, gdy w bezdnie jego miejsce.

— Będzie się biskup o pogańskie przesady ciskał — rzekł Mieszko niepewnie.

— Wiedzieć nie musi. A w ostatku, niechaj po swojemu odczyni uroki. Ninie spać pójdźmy.

Nie wołając szatnego pomógł królowi zdjąć odzież, zga-

sił świece, zapalił kaganek i w sąsiedniej komorze ułożył go do snu. Sam jednak długo w noc nie mógł usnąć. Niepokoił go stan druha, po wypoczynku jeszcze się pogorszył i niepokoił los kraju w ręku człowieka, który nie wierzy, by go mógł odwrócić.

Palatyn usnął po drugich kurach, ale wcześniej obudził go ruch we dworcu. W świetlicy pacholek rozpalał ogień na kominie, z sieni dochodził przytłumiony gwar głosów. Pod nieobecność króla wiele spraw zaległo, ale Mieszko spał jeszcze i Michał nie chciał, by mu przerwano wypoczynek. Przybrał się pospiesznie i wyszedł do sieni zatłoczonej ludźmi. Służbowemu komornikowi polecił, by dowiedział się, kto i po co przychodzi i zawiadomił o tym króla, gdy wstanie, a tymczasem kazał obecnym, by się rozeszli. Sien zaczęła się opróżniać i Michał zamierzał wrócić do świetlicy, gdy zbliżył się do niego ochmistrz Romer i rzekł po niemiecku: — Miłościwa pani śle mnie z zapytaniem, kiedy może przyjść wraz z córkami, by powitały rodzica.

— Miłościwy pan wie, że tu bawią — szorstko odparł palatyn — zechce, to sam zawoła. Gdy bawił w Merseburgu, nie było im spieszno. Czy zechce także widzieć byłą małżonkę, sam zapytam i zajdę do niej.

— Miłościwa pani mówić chce o sprawach, o których sami jeno rodziciele mogą stanowić — powiedział Romer, ale palatyn uciał:

— Moja sprawa, o czym będę gadał, twoja donieść swej pani, że skoro do niej przyjdę.

Czekał jednak na przebudzenie się Mieszka. Że nie zechce się spotkać z byłą małżonką, w to nie wątpił, nie był natomiast pewny, czy zdoła zająć się sprawami, które wymagały jego rozstrzygnięcia. Zawołał komornika, by dowiedzieć się, w jakich mógłby króla zastąpić, a gdy nadszedł żupan Dobromir, zaczął z nim omawiać przygotowania do zjazdu, pożywając się jednocześnie, spać bowiem poszedł bez wieczerzy. Nie skończyli jeszcze, gdy zjawił się Mieszko. Zdał się spokojny, widocznie spał bez majaków, na powitanie Dobromira odpowiedział łaskawie i również jął się pożywiać. Michał patrzył na niego z ulgą, może właśnie zajęcie się sprawami państwa odwróci jego myśli od dręczących go zwidów, a sen i jadło przywróca mu siły. Nie wracając do nocnej rozmowy powiedział:

— Był tu posłaniec Ryczezy z zapytaniem, czy może przyjść do was z córami, by was powitały, a sama mówić chce o ich związkach. Zda mi się, że na to nie pora. Są pilniejsze sprawy i ważniejsze potrzeby niż posagi, które by

trzeba wypłacić. Rzekłem, że sam ją uwiadomię, jaka wasza wola.

— Nie chcę jej widzieć — niechętnie odparł Mieszko. — A córy? — zamyślił się. — Urosły, nie wiem, zali bym je poznał.

— Takoz niepilne — rzekł palatyn. — Zechcecie je ujrzeć, każdego czasu możecie je wezwać. Tedy ostawiam was z Dobromirem, jen sprawę zda, co tu zaszło pod waszą nieobecność, a sam idę do Ryczezy.

Gdy Romer oznajmił królowej wynik swego posłannictwa, Ryczeza gniewnie zacisnęła wargi. Zdążyła już rozejrzeć się w kraju, wiedziała o chorobie Mieszka. Mimo wpływu, jaki umiała na niego wywierać, wbrew jej woli oddał Kazimierza do klasztoru, ale teraz stosunki zmieniły się. Bolko ma w kraju wielu przeciwników, którzy słusznie mogą obawiać się objęcia przez niego władzy, kościelni dostojnicy wiedzą już, że od niego nie mogą oczekiwać pomocy w utwierdzeniu chrześcijaństwa. Wszyscy zaś, króla nie wyłączając, muszą być świadomi, że berło w ręku Bolka to żagiew wojny z cesarzem. Nadzieja Ryczezy, że zdoła się go pozbyć, zmaląła, nie poniechała jej jeszcze, ale na to liczyć nie może. Spodziewała się natomiast, że zdoła nakłonić króla, by zwolnione po śmierci Ottona i wygnaniu Dietricha lenna oddał Kazimierzowi. On nie ma wrogów w kraju, a oszczędzi mu wojny z Konradem, mając przyrzczone cesarskie poparcie. Poselstwo z prośbą o dyspensę dla Kazimierza już wyruszyło do Rzymu, to jednak wołała Ryczeza zachować w tajemnicy, niepewna wyniku swych zamierzeń.

Odpowiedź, jaką przyniósł ochmistrz, nie zdała się zapowiadać pomyślnego. Mieszko nie chce się z nią spotkać, palatyn, cieszący się jego szczególnym zaufaniem, nie jest nastawiony przychylnie. Jednak rozsądny i doświadczony, powinien zrozumieć, że oszczędzenie wyczerpanemu krajowi nowej wojny warte jest ustępstwa. Postanowiła nie zrażać go wyniosłością i gdy nadszedł, uprzejmie odpowiedziała na powitanie, wskazała miejsce naprzeciw siebie i zaczęła: — Rada widzę waszą dostojność, rozumiecie jednakowoż, że o związkach moich córek jeno z ich rodzicem mogę uradzać. Skinął głową, ale odrzekł:

— Różne są przyczyny, dla których ta sprawa nie na czasie, a to miłościwej pani wiadomo, że nie stać nas ninie na wywianowanie, jakie królewskim córom przystoi, żadna zaś się nam korzyść wydać je za byle grafa czy duka, jen się małym zadowoli.

— Ale mnie stać, by córy po królewsku wywianować —

dumnie odparła Rycheza. — Nawet wasz wielki Bolesław córę za margrafa wydał, bo rozumiał, że związki z potężnym sąsiadem i jego umacniają.

— Tak iście zamierzył — odparł palatyn — a że nie tak wyszło, to jeno przestroga, by dobrze rozważyć, nim się postanowi i miast sprzymierzeńca wroga sobie nie napytać. Inne ninie sprawy zaprzatają miłościwego pana, tedy o tej stanowić nie będzie.

Rycheza dobrze rozumiała, że palatyn mówiąc o wrogach nie tylko związek z miśnieńskim Hermanem ma na myśli.

Zmarszczyła brwi, ale odparła spokojnie:

— Rozwagać to jeszcze nie stanowić, a o innych sprawach takż z nim samym rozmówić się muszę i po to tu przybyłam.

Krew uderzyła Rychezie do twarzy, gdy palatyn wygar-
nął:

— Zgadywać nie trzeba, co waszą miłość tu sprowadza.

Nie do rozmowy potrzebni byli najemnicy, których ja popołu z królewicem rozbiłem, że i zbierać nie było co, i nie ze swej kiesy Otto nagrodę za głowę Bolka wyznaczył.

Miarkujcie się, miłościwa pani, bo już po dwakroć kto inny głowę dał, niż było zamierzone.

— Na oszczerstwa odpowiadać nie zwykłam — odparła wyniośle — ni grózb się nie ulękę. Ani taić nie zamierzam, że nie jeno z tęskności za synem tu przybyłam, jeno by sprawę jego następstwa po Mieszku załadzić. Nikto nie wie, kiedy jego kres, a Mieszko słabuje pono na umyśle. Gdy przeto was baraśnikiem swoim uczynił, sami rozważcie: złamał Mieszko układ o podział kraju i przysięgę lennego posłuszeństwa. Nie ostawi tego Konrad bez odpłaty...

— To wiemy — przerwał palatyn — i o to pierwsza nasza troska, nie o następstwo po królu, jen żywie.

— Ja zasię wiem, jak wojny tej wam oszczędzić. Przyrzekł cesarz oddać polskie lenno memu synowi. Niechaj mu Mieszko zwróci bezprawnie zagarnięte po zamordowaniu Ottona i wygnaniu Dietricha dzielnice a jeno przyznaną sobie zachowa, a nie będzie cesarz dotrzymania układu docho-
dził, bo mu innych trosk takż nie brak. Skoro zasię miłszy Mieszkowi ów pokrzywnik po miłośnicy niż syn nasz z pravego związku, niechaj go w swej dzielnicy następcą ustanowi. Przyznacie, że warto nie swoim za pokój zapłacić.

Gdy palatyn zdał się namyślać, sądziła, że zdołała go przekonać i dodała:

— Szczerze wam rzekłam, po co tu przybyłam, rozważcie, zali nieprawda, co mówię. A trzeba wam się naradzić, po-

czekam na odpowiedź.

— Szczerze, jeno nie wszystko, i prawda, jeno nie cała — odparł palatyn. — Już rozważyłem, tedy wam odpowiem: nie jest Polska lennem cesarstwa, nie prawcie mi o układach, bo raniej niż merseburski mieliśmy gnieźnieński i budziszyński, jeno mnogo krwi kosztował, by cesarskim, rozszczeniom położyć kres. Podział kraju to wojna domowa, jak już dwakroć było, bo ni wam nie wierę, byście się połową zadowolili, ni Bolko na to nie przystanie, od domowej zasię wolej nam wojna z cesarzem. To też pewne, że siły całego kraju większe niżli połowy i że Bolko zdatniejszy do wojny niżli Kazimierz, tedy nie w tym rzecz, któren rodzicowi milszy. Tęskno wam za nim, nie wygania was Mieszko, ale chcecie ostać, poniechajcie mieszania się w nasze sprawy. Ze wszystkim zasię lepiej byście się, miłościwa pani, do Międzyrzecza przenieśli, będziecie tam widywać syna. Tu zjazd zwołujem na Gody, ma przybyć i Bolko. Prawda lubo nie, że dybiecie na jego głowę, ale on tak mniema, wy zasię wiecie, że i Bezprym, i Otto własną to przyplacili. Tedy i jemu, i wam bezpieczniej, byście nie stali pod jednym dachem. Spojrzała na Awdańca ze złością. Rozumiała, że jej nie wierzy i odparła:

— O moją bezpieczeńność troskę ostawcie mnie, on zasię widno o swoją dbać umie. Ale wyjadę, bo mierzi mnie bliskość tego pogańskiego mężobójcy.

Nie chciała przyznać nawet przed sobą, że Bolko budzi w niej niepokój. Po rozmowie z Awdańcem upewniła się, że jedynym sposobem zabezpieczenia dziedzictwa synowi jest usunięcie Bolka. Nie tylko mieczem można zabić, ale gdyby się powiodło, lepiej być z dala. Bolko ma wrogów, podejrzanych będzie więcej. Oschle pożegnała palatyna, a gdy wyszedł, wezwała Romera, by zlecić mu przygotowania do wyjazdu.

Po okresie wichrów zima ustaliła się bezwietrzna i pogodna, ale mroźna. Drogi po zawiejach już przetarto, ale ruch na nich panował niewielki, zjazd na Gody zapowiadał się niezbyt liczny. Z Pomorza przybyło jedynie kilku komesów z nadnoteckich grodów, mniej jeszcze z odległego Mazowsza, przywożąc ponadto wiadomość, że nie przyjedzie wielkorządca Mojsław, ruszyła się bowiem zhołdowana ongiś przez Chrobrego Jaćwież. Zbójeckie plemię niechętnie wprowadzie zносиło narzuconą mu zależność, ale pograniczne zajścia nie wymagały obecności samego wojewody. Krakowski Jędrzej Topór przysłał tylko syna, usprawiedliwiając nieobecność słabością, choć w sile był wieku i mocny jak tur.

Palatyn Michał i w to niezbyt wierzył. Brak tych dostojników na zjeździe nie tylko utrudniał obrady nad urządzeniem kraju, ale Sam zdał się objawem rozprzężenia. Skutki podziału, długiej nieobecności, a potem choroby Mieszka wciąż dawały się odczuć, a stan jego nie rokował poprawy. Wprowadzony przez Chrobrego zwyczaj codziennego udziału króla w biesiadach dawno już zarzucono, ale zjazd był po to, by dostojnicy i starszyzna rodów zetknęli się z królem nie tylko na sądach i naradach, ale swobodnie przy kubkach. Przyjezdni biesiadowali wprawdzie w wielkiej świetlicy nowego dworca, ale Mieszko ni razu nie zjawił się. Mimo że Rychcza wyjechała, pozostał w starym dworcu, wyraźnie stroniąc od ludzi. Do Godów i uroczystego otwarcia zjazdu pozostawało już tylko parę dni, zapowiedział swój przyjazd metropolita, a Mieszko nadal nie brał w niczym udziału. Zaczynały się szeptki i domysły, Michał kilkakroć próbował skłonić króla, by choć powitał przybyłych na zjazd, jeśli nie czuje się na siłach zająć sprawami, jednak bezskutecznie. Zdać się mogło, że Mieszkowi zobojętniało już wszystko, o nic nie pytał, a często jakby nie słyszał, co Michał do niego mówi.

W miarę jak zbliżał się dzień otwarcia zjazdu niepokój palatyna wzrastał. Bez udziału króla zjazd nie może przynieść spodziewanych wyników. Mieszko nie jest obłożnie chory, z wyglądu nawet poprawił się, powinien zdobyć się na kilkudniowy wysiłek, jeśli sposobność umocnienia kraju nie ma iść na marne.

Palatyn sam znużony się czuł i z dnia na dzień wyczekiwał przybycia brata, któremu mógłby zlecić wykonanie uchwał i zaleceń zjazdu, przede wszystkim zaś odbudowę stałej drużyny, by sam wreszcie mógł odpocząć trochę we własnym domu i zająć się własnymi sprawami.

Nie mogąc dociec przyczyny obojętności Mieszka, postanowił rozmówić się z Dobroszką, która mając dostęp do króla o każdej porze, mogła ją wyjaśnić, a nawet wpłynąć na zmianę jego zachowania. Korzystając, że jednego wieczora pozostał z nią sam na sam, powiedział:

— Zda się, jakoby pan silniejszy był. Wždy po to tu przybył, by zjazd odprawić, ludziom się pokazać, zaległe sprawy załadzić, on zaś z nikim i gadać nie chce. Niechajby choć raz pobiesiadował z przybyłymi, skończą się szeptki.

Dobrochna widocznie zmieszana odparła:

— Zali to dziwne, że zaznawszy tyle zdrady i przemieszania ufności do ludzi nie żywi?

— Niedziwne — odparł palatyn niecierpliwie — ale nie

ma już Bezpryma ni Ottona, którzy przyczyną byli. Nie masz przyczyny rozdwojenia, sposobność jest ład i posłuch zaprowadzić, a nijak to czynić bez króla.

— Bolko przyrzekł, że na Gody wróci, może zastąpić rodzica — rzekła wymijająco, ale palatyn nie dał się zbyć:

— Pokąd król żywie, nikto nie może go zastąpić, chyba w tym, co mu zleci. Jego jest cała władza, w jego ręku moc i karać, i wybaczać. Ninie umiar najpotrzebniejszy, a swego syna znacie, że tego mu nie dostaje. Niechajby król zjazd odprawił, może nadal po ożywać w waszej osadzie, a skończą się gadki, które jeno szkodę przynoszą. Prawią nawet, że król na umyśle szwankuje. -

Gdy nie odpowiadała wyraźnie zmieszana, dodał:

— Wiem, że i niechętnych Mieszkowi nie brak i na ich młyn to woda, jeśli nawet sami tego nie zmyślili. Uciąć to należy.

— A jeśli to prawda — powiedziała szeptem. — Sama nie wiem.

— Wždy bym zmiarkował...

— Nie wiem — powtórzyła. — Jeno że do gęby nic nie weźmie, czego ja mu nie podam. Jakoż mu z wami ucztować?

Michał zadumał się chmurnie. Po chwili podjął:

— Że król ufność do ludzi stracił, po tym czego od nich doznał, nie dziw. Przeto jeszcze nie rozum. Ale wam ufa, tedy wasza rzecz go przekonać, że choć, jako rzekłem ma i niechętnych, nie masz takowych, którym by zgładzenie króla korzyść jaką obiecywało. Nie stało Bezpryma i Ottona, komuż by władza przypadła, jeśli nie waszemu synowi?

Wszystkim wiadomo, że Mieszko mściwy nie jest, rozumie, że karać nie Iza, gdy winnych zbyt wielu, Bolko zasię nie tai, że żadnemu odstępcy nie przepuści.

— Jest jeszcze Ryczeza — cicho powiedziała Dobrochna. — Wszystkich nas nienawidzi...

— Wierę, że waszego syna rada by się zbyła — odparł Michał. — Ale nic jej po Mieszkowej śmierci, pokąd dla Kazimierza zwolnienia od ślubów i cesarskich posiłków nie otrzyma. A i to wie, że gdyby Bolko władza objął, nie ostawać się jej w Polsce ni dnia, jeśli nie gorzej.

— To prawda — powiedziała Dobrochna — jeno dlaczego sami nie rzekniecie panu jako jest? Do was takoz ufność żywi.

— Może sroma się przede mną przyznać, iż lęka się otrucia, skoro mi nie rzekł, dlaczego od biesiady stroni. W tym może go Bolko zastąpić, jeśli iście wróci. Ale nijak bez króla

stanowić, jak ład i spokój w kraju przywrócić i po tom tu przybył.

— Będę z nim mówiła — odparła Dobrochna z westchnieniem — ale on w to nie wierzy i jeno wspomina przepowiednię ojcową, że zmami się wszystko i boleje, i że jemu winę przypiszą, że za wszystko co działał i wycierpiał nie-sławę po sobie ostawi.

— Tedy iście, będę gadał z królem — zachnął się palatyn. — Przepowiednia już się dopełniła, ale co zburzone, odbudować należy, a pora i sposobność jest po temu, i nad tym uradzać mamy. Jeno i wy nie zwlekajcie, bo czas ucieka.

Pożegnał się i Wyszedł. Na grodzie panował nocny spokój, światła pogasły. Strażnik przy bramie poznał palatyna i otworzył furtę bez słowa. Michał skierował się drożyną na Śródkę. Wysoko na niebie stał pełny księżyc, bezlistne drzewa rzucały błękitną siatkę cieni na lśniącą płaszczyznę, głuchą ciszę mącił jedynie skrzyp kroków po śniegu. Po dziennym gwarze i krzątaniu panujący w przyrodzie spokój działał kojąco. Michał znużony się czuł, ale jeszcze parę dni, a będzie mógł jechać do domu. Zmęczenie sprzyja przynębieniu i ono jest przyczyną, że Mieszko załamał się. Ale najgorsze już za nim, bieżące sprawy zdjąć może z niego Bolko, zresztą i Michał nie zamierzał się od tego uchylać, on nie ma jeszcze dojrzałego syna, ale jest brat. Skarbek dość już wypoczywał, każdego dnia winien tu być.

W jaskrawym świetle księżyca dopiero podszedłszy do zabudowań dworca Michał zauważył, że błony w oknach świetlicy precedzają światło. Zapewne Skarbek nadjechał. Przyspieszył kroku i po chwili z radością i ulgą witał oczekiwanego.

Zrazu rozmowa toczyła się o domowych i rodzinnych sprawach, ale gdy Skarbek skończył opowiadać, zapytał:

— Teraz ty gadaj, co tu słyhać, a pirwe co z Mieszkiem? Wiem już, że wrócił, jeno jaki?

— Z pozoru jakby się podebrał — odparł Michał. — Ale nieufny jest i nie wierzy, by się coś na lepsze obróciło.

— Ufny nigdy nie był, zawždy jakiś obcy — rzekł Skarbek — a uwierzy, gdy się dowodnie przekona. Nie rzekłem ci jeszcze, że są dobre wieści, Konrad uwięził Oidrzycha, ale na tym nie koniec jego troski o Czechy, a tymczasem lud rzymski buntuje się przeciw onemu wyuzdanemu młodzikowi, którego sobie papieżem ustanowił. Nierychło będzie mógł nami się zająć, tedy ni od Czech, ni od cesarza nic nam nie grozi. W samą porę Bolko Ottona zgładził,

i prawdę rzec, dobrze uczynił, bo to koniec rozdwojenia, a Mieszko, jak go znamy, byłby zasię przeniewiercę z ręki wypuścił. Słabą ma, nieostatnia to przyczyna zła.

— Bolko zasię za mocną, a ninie umiar i wyrozumiałość potrzebne, by istic kres położyć rozdwojeniu — odparł Michał. — Metropolita swój przyjazd zapowiedział, ani chybi, by za powszechnym odpuszczeniem win odstępcom orędownać i ja takoz za tym jeśm, jeśli pokój ma nastać w kraju. Bolko zasię gotów się przeciwzić, tedy wolałbym, by go na zjeździe nie było, bo już raniej zadrę miał z Dożętą i zgoła się z tym nie liczy, że zraza sobie człeka, jen doświadczony jest, stateczny i potrzebny.

— Sam to zamiarkuje, gdy mu własc objąć przydzie, ale jeszcze nie w jego ręku — lekko odparł Skarbek i zapytał:

— Pono jakoweś poselstwo wysłane do Rzymu? Ani pora na to, gdy nie wiada, zali ten młokos na Pietrowej Stolicy się utrzyma, a to pewne, że niczego nie uczyni, co by Konradowi nie na rękę było.

— Nic o tym nie wiem — odparł Michał zdziwiony — kromie tego, że Mieszko nijakiego poselstwa nie wysyłał.

— Tedy kto i bez wiedzy króla?

— Może Bożęta o zatwierdzenie Reinberna na krakowskiej stolicy, a może sam Reinbern, choć winien króla o tym uwiadomić. A skąd ona wieść?

— Od węgierskich kupców, w Albie je spotkali, ale nic to. Pytałem, bo pieniądza szkoda, a bez niego u onego świętokupcy niczego nie wskóra. Ale jutro takoz dzień, tedy spać pódźmy, bo widzę, żeś i ty się zmamił.

— Przemożony jeśm, ale do końca zjazdu jeszcze wydzierzę — odparł Michał. — Załadzi się co najpilniejsze, pojedę doma wczasować, skoro ty tu jeś, bo ktoś przy królu ostać musi, do kogo ufność żywi.

— Pono u kresu drogi najcięższe bywają nogi — zaśmiał się Skarbek, ale Michał odparł zadumany: '

— Nie ma kresu ona droga, jeno gdy utrudzonemu nie w siłę już dźwigać brzemię, następny je przejąć musi.

— Jeszcze ci czas o tym myśleć, odpoczniesz, siły wróćą — rzekł Skarbek, ale Michał odparł:

— Nie o sobie myślę, jeno o Mieszku. Nie byłbym pokojoyi gdyby mu ninie Bolkowi własc przekazać przyszło.

— I o tym czas myśleć. Co ma być, to będzie, a spać trzeba, tedy pódźmy.

Nowy rok tysięczny trzydziesty czwarty zdał się zapowiadać kres ośmioletniemu, niemal nieprzerwanemu pasmu niepowodzeń Mieszka. Ogłoszone przez niego powszechne: od-

puszczenie win zapewnić winno wewnętrzny spokój, a przywiezione przez wojewodę Skarbka wieści pozwalały żywić nadzieję, że odbudowy sił kraju nie zakłóci nieprzyjacielska napaść. Ruszyła mennica, bez sprzeciwu uchwalono daninę, która starczy na zaciąg i utrzymanie stałej drużyny.

Do uspokojenia przyczyniła się też widoczna poprawa w stanie zdrowia króla. Urwały się pogłoski, że na umyśle szwankuje, gdy nie tylko wziął udział w naradach, ale i w pożegnalnej uczcie, wprowadzie w szczupłym gronie najwyższych dostojników z metropolitą Bożetą i palatynem Michałem na czele, ale nikogo to nie zdziwiło, w małej świetlicy starego dworca nie starczyło bowiem miejsca dla wszystkich i pozostałych ugoszczono w obszernym nowym dworcu.

Dostojnicy, których nie zatrzymywał obowiązek, zaczęli się rozjeżdżać, palatyn Michał również zamierzał skorzystać z zasłużonego wypoczynku, bratu zostawiając troskę o bieżące sprawy. Z przebiegu i wyniku zjazdu byłby zadowolony i gdyby nie zaniepokoił go królewicz. Wrócił ze swoim oddziałem jazdy w sam dzień Bożego Narodzenia i wziął udział w otwarciu obrad. Gdy po uroczystym nabożeństwie metropolita zwrócił się do króla z wezwaniem, by przed sprawiedliwością dał pierwszeństwo chrześcijańskiemu miłosierdziu i zechciał zapomnieć odstępcom ich winy, siedzący obok palatyna Bolko zachnął się wyraźnie. Nie zakłócił wprowadzie zebrania, spokojnie wysłuchał, gdy Mieszko ogłosił powszechną amnestię, ale palatyn wiedział, że królewicz gotów nie liczyć się nie tylko z Bożetą, ale i ojcem i na własną rękę zacząć domierzać sprawiedliwości. Nie mógłby odjechać spokojnie, nie stwierdziwszy co Bolko zamierza, a nawet żywił nadzieję, że zdoła go odwieść od poczynań, które by zakłóciły tak potrzebny krajowi spokój. Nie chciał jednak mówić z nim wprost, by królewicz nie pomyślał, że chce nim kierować, ł tedy pod pozorem pożegnania przed dłuższą nieobecnością zaprosił go na wieczerzę w nadziei, że w swobodnej rozmowie przy kubkach trafi się sposobność poruszenia niepokojącej go sprawy. Zaprosił też żupana Dobromira, który również wybierał się odpocząć w swej majątności koło Zbąszynia i wraz ze Skarbkiem, oczekiwali przybycia Bolka we dworcu na śródcie.

Królewicz chętnie przyjął zaproszenie i nie pozwolił czekać na siebie. Cenił Awdańców, ciekawy był przygód wojennych, które wyniosły ich na najwyższe w kraju urzędy, a do Michała zbliżył się w czasie ostatniej wyprawy. Nie dał się wciągnąć w rozmowę o wynikach zjazdu, w której palatyn

spodziewał się znaleźć sposobność wybadania zamierzeń królewicza i skierował ją na ich wojenną drogę, dopytując i. pierwsze na niej kroki. Z zaciekawieniem słuchał opowiadania Skarbka o odbiciu przez Chrobrego zajętego przez Czechów Krakowa, w którym po raz pierwszy jako prości woje pod dowództwem stryja wzięli udział w walce. Z kolei, widocznie wzburzony, słuchał opowiadania Michała o zdrazieckim zamachu na Chrobrego w czasie zjazdu w Merseburgu i śmierci ich ojca. Wieczere dawno spożyli, kubki krążyły gęsto, a Bolko wciąż nie był syty opowiadań. Oczy świeciły mu podnieceniem, widać było, że nie przestanie choćby do rana. Michała zaczynało to niecierpliwić i skończywszy opowieść o oblężeniu przez Mieszka Białej Góry dodał:

— Spokój będzie ninie, nie pośledni raz gwarzym z sobą. Jadę doma i rad was ujrzę w Skarbnic. I wy już macie o czym prawić, a inni takż radzi posłuchać, choćby ninie brat i komes Dobromir o onej sprawie z Ottonem.

— O czym tu prawić? — odparł Bolko. — Nijaka wojna z ciastochem, a że zdrajcę o łeb skrócić kazałem, każdemu wiadomo.

— Prawdę rzec — podjął palatyn — zrazu za złe wam miałem, iżście przeniewiercę ojcowej sprawiedliwości odjęli. Aliści dobrze się stało, bo byłby uszedł cało, a człek chwiejny i wrogom powolny. Że zaś jego poplecznikom król wybaczył to i lepiej, bo spokój będzie, gdy ścięty łeb zdrady. Bolko jednak rzucił popędliwie:

— Spokój będzie, gdy się i członki poćwiartuje, jako jest obyczaj.

Nie było wątpliwości, co ma na myśli i palatyn zaniepokojony odparł:

— Zważcie, miłościwy królewicu, że gdybyście rodzicielskiemu słowu ujmę uczynili, to od nowa zaczyn rozdwojenia, ninie gdy od sprawiedliwości ważniejsza jedność. A jakoż ma być, gdy jej nie będzie między synem a rodzicem i komuż to przykład dawać, że można za nic mieć królewskie słowo?

Bolko siedział zachmurzony. Po chwili rzekł:

— Nie uczynię ujmy ojcowemu słowu. — I dorzucił zawzięcie: — I nie uczynię swojemu, jeno zdrajcy muszą poczekać.

Michał uspokoił się, na razie spokój będzie. Powiedział jednak poważnie:

— W ręku władcy i kara, i łaska. Ale i nad nim prawo i obyczaj. Nie lza bez sądu sprawiedliwości domierzać, chy-

ba na licu i na gorącym śladzie pojmanemu.

Widząc, że Bolko nie rozchmurzył się, dodał:

— Ja nie za zdrajcami oręduję, jeno za ładem i prawem, bo bez tego nie masz siły.

— Warn wierę — odparł Bolko. — Co ta prawić o tym będzie, skoro nie wiada.

Niespodzianie zaśmiał się i ciągnął:

— Setnikowi Bieganowi wiedźma wywróżyła, że na Gody będzie doma, choć się zaklął, że nie wróci, pokąd tu cuchnie Rycheza z Ottonem. Chciałem i ja, by mi wywróżyła, co mnie czeka, rzekła jeno, że nic mi po tym, jeno bym się niewiast wystrzeżał.

Zaśmiał się znowu:

— Niechajby im takowej rady udzieliła, choć i one nie-płochliwe. Ucieka poniektóra, to jeno po to, by ją ścigać.

— Nie waźcie sobie tego lekce — powiedział. — Niejednego już niewiasty do zguby przywiodły. Setnikowi wróżba się spełniła.

Bolko jednak nie zdał się przejmować przestrożą. Powiedział:

— Mało wiele brakło, a nie byłaby się spełniła, bośmy się u Weletów zasiedzieli. Muka wielce sobie mnie upodobał i puścić nas nie chciał...

Urwał i ciągnął z kpiny;

— Jeno o tym nie gadajcie, bo zasię by się na mnie Bo-żęta gniewał, iżę się z poganami bratam.

— Bitny to naród — powiedział palatyn — wojnę dla wojny miłuje, za jedno z kim lubo przeciw komu. Ale niestały, tedy niepewne z nimi przymierze.

— Cóżę mężowi działać, jeśli nie wojować? — zapytał Bolko.

— I ja tak mniemałem, gdy był w waszych leciech — odparł Michał. — Nam ninie pokój potrzebny. A wiedzieć trzeba, o co się walczy.

— Tedy rad jeśm, iżem nie w waszych leciech — zaśmiał się Bolko. — I starczy mi, że wiem z kim. Tedy napijmy się. Dobromir jednak widząc, że Bolko podchmielony jest a Michał znużony, skorzystał ze sposobności i rzekł:

— Iście pora wypić strzemienego, bo drugie kury już piałły, a i mnie, i palatynowi rankiem czas w drogę.

Wypili i Bolko niezbyt chętnie zabrał się wraz z żupanem.

Gdy bracia zostali sami, Michał odetchnął i rzekł:

— Szczęście to, że Mieszko pozdrowią, może jeszcze ze wszystkim do sił dojdzie.

Skarbek zrozumiał, co brat ma na myśli:

— Bacz, byś ty do sił doszedł — powiedział. — Wróć od-
stępcey do posłuchu, odstoi się sprawa. Bolko wicher jest,
czego na gorąco nie uczyni, tego i poniecha, a jemu dzie-
kować, nie masz Ottona ni Bezpryma, nie ma komu i dla
kogo spiskować. Choć narowisty, ale słowo strzyma. Niechaj-
by sobie społem z Weletami powojował, skoro mu się cni
pokojnie siedzieć.

— Radziej spróbuj go nakłonić, by się po kraju ruszył,
zaciągu do drużyny dopilnować, zaopatrzenia i oręża. Nie-
chaj wie, że raniej napracować się trzeba, nim wojować
przydzie. Nawet konia samemu układać należy, jeśli spraw-
ny ma być i posłuszny.

Gdy rankiem bracia żegnali się, na wsiadany Skarbek
powiedział:

— Pokojny bądź, że tu załadzę, co należy. Zajrzyj i do
moich, a gdy trawy ruszą, koni podeślij. Doma także po-
trzebny jeś, tedy siedź póki wola. Bez wieści cię nie osta-
wię, gdyby coś ważnego zaszło.

— Tedy bywaj w zdrowiu — rzekł palatyn już z konia
i ruszył wraz ze szczupłym orszakiem.

Ciągnęli gościńcem na śrem, dokąd dotarli pod wieczór,
droga była przetarta, pogoda sprzyjała podróży. Rankiem
po lodzie przeprawili się przez Wartę i zбочyli na Krzywini,
palatyn bowiem postanowił po drodze zwiedzić grody leżące
na ziemiach Awdańców i obsadzone przez swojaków, by
stwierdzić ich stan, a potem spokojnie już zająć się własny-
mi sprawami.

Najpilniejsze były postrzyżyny młodszego syna, który
właśnie skończył siódmy rok życia. Wypadało też zaprosić
krewniaków, a przed wszystkimi stryja Michała, choć było
wątpliwe, czy starzec zimową porą zdolny będzie do drogi.
Zabawiwszy parę dni w Przemęcie palatyn z zadowoleniem
stwierdził, że krótki okres spokoju starczył, by życie wra-
cało w dawne łożysko. Postanowił wstąpić do Osieka, by
osobiście zaprosić stryja na postrzyżyny.

Sędziwy wojak jednak nie opuszczał już łoża, ale ucieszył
się widokiem najstarszego bratanka:

— Jużem się ciebie ujrzyć nie spodziewał — powiedział. —
Widno czas nastał pokojny, skoro cię Mieszko zwolnił. Na-
wojowałeś się i ty zadość, widzę, że ci już skronie przypró-
szyło, a zda mi się, niedawno jak na twoich postrzyżynach
byłem. Rad bych ujrzał i twoich otroków, ale sam widzisz,
że jedna mnie już tylko droga czeka. A jakże Mieszko? Ta-
koż niemłody już i słyszałem, że słabuje.

— Młodszy ode mnie, ale nielekki miał żywot — odparł

Michał. — Ninie podebrał się, ale mocny nie jest. Skarbka przy nim ostawiłem, by mu wyręką służył. Nie ufa ludziom i nie dziw po wszystkim co przeszedł.

— Iście, nie szczędził go los — powiedział stary wojak w zamyśleniu. — Jakowyś urok ciąży nad Piastowym rodem. Co pokolenie bracia walczą między sobą. Chrobry trzy gody na tym strawił, Mieszko aż dziewięć. Po nim także dwóch synów ostanie, nie będą sobie braćmi. Rad jeśm, że Mieszko pozdrowiał, nie jeno przeto, iż mi go żal. Chciałbym już spokojnie dokonać żywota pod swoim dachem, nie zasię w bory i bagna uchodzić, gdy się wojna zacznie o Mieszkowe dziedzictwo.

— Pokojni bądźcie, stryku — rzekł Michał. — Mądrze to Mieszko postanowił, młodszego do duchownego stanu oddając.

— Jak Chrobry Bezpryma! — mruknął stary, ale Michał odparł:

— Kazimierz rodzicowi przyrzekł, że o władzę dobijać się nie będzie.

— Ale nie jego mać. Wždy ją znamy. Słyszę, że do kraju wróciła; po co?

— Nie troskajcie się stryku po próżnicy. Mam ją na nią oko, a Mieszko żywie, tedy co myśleć o dziedzictwie.

— Możeś i praw — westchnął stary. — Gdy byłem w siłach, nie lękałem się niczego, bezradnego niepokoi wszystko i nie jeno o siebie. Ale co ta będziesz słuchał starucha. Jedź do swoich, radujcie się tym, co jest, nikt nie ubieży przed swoim cieniem.

Michał pożegnał stryja, nie spodziewając się, by go jeszcze ujrzał za życia. Nie czekał już na brata i ruszył wprost do Skarbna, by rozesłać zaproszenia do dalszych krewniaków i swojaków i dopilnować przygotowań uroczystości. Stryj jednak nie schodził mu z myśli. Ostatni już z odchodzącego pokolenia, które też niemal cały żywot spędziło w walkach. Wywalczyło państwu potęgę, rodowi znaczenie i majątności. A u schyłku żywota starzec musi być bezradnym świadkiem, jak zmarnował się dorobek krwawego znoju.

Palatyn usiłował otrząsnąć się z tych myśli. Najgorsze już minęło, zjednoczony kraj okrzepnie i dojdzie do sił. A jednak niepokoiło go pytanie po co wróciła Rycheza. Sam nie wierzył, by tylko omówić z byłym małżonkiem sprawę małżeństwa córek. Nigdy się nie liczyła z jego wolą, a gdy raz wbrew jej woli swoją przeprowadził i wspólnego syna oddał do klasztoru, nastąpiło zerwanie. Wyniosła i zawzięta nie pogodzi się z tym, że nie będzie władać ani przez męża, ani

przez syna. Czy nie należało jej usunąć nie tylko z Poznania, ale z Polski? Na razie na obcą pomoc liczyć nie może, jednak na wypadek śmierci Mieszka znajdzie ją w kraju nie tylko u obcego duchowieństwa, ale u wszystkich, których trwoży myśl o objęciu władzy przez Bolka.

Palatyn ze złością stwierdził, że widocznie i sam się zestarzał, skoro podobnie jak stryj troszczy się o przyszłość, która nie do starych należy. A Bolkowi ani w myśli, że swym postępowaniem toruje drogę zamierzeniom Rychczy. Jeżeli w walce z nią liczy tylko na oparcie w prostym narodzie, który jej nienawidzi, to rozpęta wojnę domową, gorszą niż walka o władzę między braćmi.

Troskę o to zostawił jednak za sobą, gdy pod wieczór pogodnego dnia wyjechał z boru na obszerny łęg i z dala na śnieżnej płaszczyźnie ujrzał zabudowania dworca w Skarbnic, a na krańcu sadu kopce mogił, z których najwyższy krył prochy założyciela rodu i gniazda, dziada Auduna. Na mogile jego wyrosło spore już drzewo, jak ono rozgałęził się i zakorzenił ród. Dwakroć już żywi uchodzić stąd musieli w czasie bratobójczych walk, ale wracają tu i wracać będą jak ptaki z wiosną do starego gniazda, by kiedyś pozostać już na zawsze wśród przodków. Nawet koń Michała zatęsknił widocznie za stajnią, w której się ulął, bo sam puścił się cwałem.

We dworcu dostrzeżono nadjeżdżających, zanim bowiem dotarli do bramy, otwarła się i wysypała się z niej gromada, na czele której pędziło dwóch wyrostków. Uchwycili się strzemion ojcowego konia i wraz z nim wjechali na dziedzińiec, a gdy Michał zeskoczył, rzucili się ścisnąć go i całować jeden przez drugiego opowiadając o swych ważnych sprawach. Wzruszony słuchał ich półtuchem i ująwszy za rękę szedł do dworca, gdzie w gromadce niewiast czekała na niego małżonka. Radości powitania nie zakłóciły żadne niepomyślne wieści.

Pierwsze dni pobytu Michała upłynęły na przygotowaniu przyjęcia gości. W burzliwych czasach dawno nie było rodzinnego zjazdu, krewniacy i swojacy nieczęsto nawet mieli o sobie wzajem wieści. Toteż zjazd był liczny jak nigdy, było o czym mówić i co wspominać, nie zawsze wesołego, ale nie brakło pieśni i gęśli, wielu młodych spotkało się tu po raz pierwszy, ale poufali się szybko, zmaiwiali na spotkania, gdy wreszcie przyszło się żegnać i na dworcu zapanaował spokój powszedniego dnia.

Michał obiecywał sobie objazd swych rozległych włości, ale gdy minęło podniecenie, zadowolony był nawet, że na

przeszkodzie stały się śnieżne zawieje, tak obfite, że z dworca trzeba było przekopywać się do studni, stajen i lamusów. Za to po raz pierwszy mógł wiele czasu poświęcić obcowaniu ze swymi synkami. Obydwaj wyszli już spod niewieściej opieki, należało obejrzeć się za piastunem dla nich. Ciekawi wszystkiego wyrwali się w świat, rozważał, czy nie zabrać ich z sobą, gdy odpocznie i załadzi własne sprawy i przyjdzie mu wracać na dwór. Zapowiada się dłuższy okres spokoju, miałby ich pod własną ręką. Ale o tym nie mówił, bo już by się nie opędził ich prośbom, odsuwał zresztą myśl o powrocie do Poznania. Dobrze zasłużył sobie na odpoczynek, Skarbek odpoczął już, młodszy jest, a radzi sobie widocznie, skoro nie przysyła wiadomości.

Gdy pogoda ustaliła się, palatyn ruszył w objazd, chłopców zabierając z sobą, by poznali ziemię i ludzi, którymi kiedyś rządzić im przyjdzie. W wędrowkach tych kilkakrotnie spotkali kupców ciągnących z Pragi na Poznań, do Gdańska lub Szczecina. Uzyskane od nich wiadomości ze świata były pomyślne. Cesarz Konrad za wstawiennictwem swej żony uwolnił jej krewniaka Oidrzycha, który upokorzył się i zobowiązał podzielić władzę z bratem Jaromirem. Natychmiast jednak po powrocie kazał go oślepić, a zaprzyjaźnionego z cesarzem syna Brzetysława wygnał. Na razie przeto ze strony Czech i Niemiec nic nie grozi, palatyn jednak wiedział, że pokój nie jest trwały i wykorzystać go należy, by odbudować siły kraju, a przede wszystkim stałą drużynę. Toteż gdy tylko zeszyły śniegi, objeżdżać zaczął folwarki, na których zimowały stadniny, by samemu wybrać i dopilnować objeżdżania koni, o które upominał się Skarbek. Na tych zajęciach szybko mijał czas, wiosna już była w pełni i sianokosy ukończone, gdy stado doborowych trzylatków ściągnął do Skarbnia. Sam zresztą gotować się zaczął do powrotu, wypoczął już zadość, Mieszka pożegnał w nie najgorszym stanie, ale wątpił, czy wydobrze na tyle, by obyć się mógł bez wyreki. Zresztą brak wiadomości zaczynał niepokoić palatyna, postanowił na nie już nie czekać, dowie się na miejscu, jak sprawy stoją. Niemniej żał mu było minionego okresu swobody, jakiej nie miał od lat i zapewne nieprędko znowu mieć będzie, a na stałe zostanie tu dopiero za stojącym właśnie w kwieciu sadem, przy ojcach i dziadach.

Chłopców jednak postanowił nie zabierać z sobą, w Poznaniu niewątpliwie wiele czasu nie będzie im mógł poświęcić, w pierw rozejrzeć się musi za piastunem dla nich. Jak on sam ongiś, wyrrywają się w świat nie wiedząc, że nigdy

i nigdzie nie będzie im tak dobrze jak pod rodzinnym dachem i nigdy już nie odnajdą tego, co porzucili. Zmienia się wszystko, co żyje, tylko mogiłki zostają takie same, choć i one jakby przysiadły.

Poszedł je pożegnać przed wyjazdem i posiedział przy nich w zadumie. Gdy wyjeżdżał stąd po raz pierwszy, była tu tylko mogiła dziada. Wówczas zdała mu się wielka jak góra. Potem mogił przybywało, pół kopy lat minęło, gdy sam przywiózł tu zwłoki ojca zmarłego z ran odniesionych w czasie zamachu na Chrobrego na zjeździe w Merseburgu. Może i sam wróci tu dopiero jak ongiś ojciec.

Otrząsnął się z przygnębienia, pożegnanie zawsze jest smutne, a przyszłość nieznaną. Smutno jest i tym, co pozostają. Chłopcy znowu nagabywać go będą, by ich zabrał z sobą. By tego uniknąć, osiodłał konia i samotnie ruszył w las. Pożegna ich rano przed wyjazdem.

Wracał, gdy zorze już gasły, a pyzaty, czerwony i spłaszczony księżyc dźwigał się nad borem. Bramę gródka zastał jeszcze otwartą, puścił konia, który sam ruszył do stajni, i skierował się do dworca. Wszedłszy do sieni usłyszał dochodzący ze świetlicy męski głos. Sądził, że słuch go ludzi. Gdy stanął w progu, ujrzał Skarbka, który na widok brata zerwał się. Jednocześnie zapytali:

— Po co przyjechałeś?

— Dlaczego nie wracasz? Naradzić się trzeba. Kazimierz zwolniony od ślubów wraz z Rychezą wrócił do Poznania.

— Bez wiedzy i przyzwolenia króla? — zapytał Michał.

Skarbek patrzył na niego zdumiony:

— To nie wiesz, że Mieszko nie żywie? Tydzień temu pogrzebł go Paulinus w swojej katedrze, nawet na Bolka nie czekając i zaraz bullę papieską odczytał, która zwalnia Kazimierza od ślubów dla dobra kraju i krześcijaństwa. Wždy pismo ptakiem nie przyleciało, raniej musiał je mieć i Rycheza pewnością o nim wiedziała.

— Mieszko nie żywie! — powiedział palatyn do siebie.

Nie tylko żał mu było druha. Zmarł właśnie wtedy, gdy zapowiadała się jaśniejsza przyszłość, którą śmierć jego przekreśla. Rycheza już rzuciła wyzwanie, ani chybi nie jeno pismo papieskie chowała w zanadrzu. A Bolko nie ustąpi bez walki. Zapytał:

— Królewic gdzie?

— Z wiosną na Kujawy ruszył, miał być i w Krakowie, ale wraca pewnością, bo musi już wiedzieć o śmierci rodzi-
ca. Wieść rozeszła się wszędy, dziw, żeś ty nie wiedział.

— Nie jeno dziw — odparł Michał. — Rycheza zyskała

na czasie. Ninie nie lza tracić ni godziny. A co poczyna metropolita, bo jego to prawo ogłosić następcę.

— Nie gadałem z nim, bo nie był na pogrzebie. Pono słabuje, ale zda mi się, że nie chce ręki dokładać nikomu. Bolkowi nie sprzyja, ale i Rychezie nie druh. A ty co zamierzasz?

— A co by? — zachnął się Michał. — Zadość uczynić Mieszkowej woli.

Ale widocznie i sam był w rozterce, bo dodał z goryczą:

— Widno w każdym pokoleniu bracia przekleństwem będą dla kraju.

— Kazimierz rodzicowi przyrzekł, że się własci dobijać nie będzie — zauważył Skarbek, ale Michał odparł:

— Z wolą lubo bez woli, zacynem jest rozdwojenia. Wraz ze swą macierzą musi iść z kraju precz.

Żadne przeczucie nie mówiło mu, że za kilka lat sam błagać będzie Kazimierza, by wracał ratować kraj od ostatecznego upadku.

POSŁOWIE

Ponieważ celem mojego pisarstwa jest przyswojenie czytelnikom w sposób przystępny wiedzy o dziejach ojczystych, w przedstawieniu faktów i osób historycznych przyjąłem jako zasadę zgodność z wynikami nauki historii, oczywiście tam, gdzie zgodność taka istnieje. Aż nazbyt często jednak, wobec braku lub niejasności źródeł, historycy reprezentują odmienne stanowiska. Nie są też wolni od ludzkiej słabości wymądrzania się jednych nad drugimi. W tych wypadkach służy mi prawo wyboru, którego dokonuję jednak nie w miarę tego, co mi jest wygodniejsze, lecz czyje argumenty są dla mnie bardziej przekonujące.

Takim spornym problemem jest istnienie osoby Bolka Zapomnianego, którego w tej książce wprowadzam jako jednego z głównych bohaterów. Znanie mi jest stanowisko S. Kętrzyńskiego i innych, którzy zaprzeczają istnienia tej postaci. Jako zasadniczy argument wysuwają brak o niej wzmianki w najstarszych źródłach, przede wszystkim u Galia. Ale Gali nie wspomina także o Bezprymie, którego istnienia nikt nie kwestionuje. Wzmiankę o Bolku zawiera dopiero Kronika Wielkopolska, datowana z końcem XIII w., wspomina o nim jeszcze późniejszy Długosz, zresztą bałamutnie. Argumentem przeciw istnieniu Bolka jest więc fakt, że wspomina o nim dopiero źródło o dwa i pół wieku późniejsze. Należałoby zapytać, na jakiej zasadzie i po upływie jakiego czasu fakty zawarte w źródle stają się niewiarygodne. Jeżeli czasokres nie ma być dowolny, zależny od gustu tego czy innego historyka, to w kon-

sekwencji można by je ustalać tylko na podstawie źródeł współczesnych, a i tu zauważyć należy, że fałszowanie historii na bieżąco nie jest wynalazkiem naszych czasów. Niezależnie od tego, gdyby przyjąć, że istniały tylko te osoby, o których mówią źródła, to per reductionem ad absurdum należałoby przyjąć, że państwo polskie zbudowali pierwsi Piastowie własnoręcznie z udziałem kilku ludzi wzmiankowanych u Dietmara.

Nadmienić należy, że T. Wojciechowski wykazał, iż Kronika Wielkopolska opiera się na jakimś starszym zaginionym źródle. Za tezę Balzera przyjąłem istnienie Bolka nie dlatego, że ten autor Genealogii Piastów, od trzech ćwierci wieku podstawowego dzieła w tej dziedzinie, a zarazem jeden z najlepszych znawców polskiego średniowiecza, przyjmuje istnienie Bolka, ale że to w sposób prawidłowy i przekonujący uzasadnia.

Każdy Mieszko miał syna Bolesława i każdy Bolesław syna Mieszka. Są to więc widocznie imiona dynastyczne, z reguły nadawane najstarszemu synowi. Gdyby Mieszko II miał tylko jedyne syna, nie nazwałby go Kazimierzem, a przede wszystkim nie oddał do klasztoru. Wprawdzie zwolennicy tezy przeciwnej usiłują ten zasadniczy fakt kwestionować, termin „oblatio” tłumacząc jako oddanie tylko na naukę, ale jedynie słuszna interpretacja gramatyczna nie budzi wątpliwości, że oznacza to ofiarowanie, a więc na zakonnika i takie znaczenie ma też w prawie kanonicznym.

Sporną jest też kwestia, czy Bolko był synem Rychczy, jak chce Długosz, czy też miłośnicy Mieszka. Przyjmuję to drugie, na co zdaje się wskazywać zły stosunek między Bolkiem a Rychczą. Imię wskazuje na to, że Bolko był starszy od Kazimierza. Małżeństwo z Rychczą zawarł Mieszko licząc co najmniej 23 lata, a więc na ówczesne stosunki późno (np. Chrobry pojął pierwszą żonę mając lat 16) zapewne już przedtem pozostawał w jakimś związku, z którego urodził się Bolko.

Nie bez znaczenia wydaje się fakt rzekomego pięcioletniego bezkrólewia. Mieszko zmarł 10 V 1034 r., gdyby po nim nie nastąpił żaden władca, trudno zrozumieć fakt, dlaczego możni władcy dopiero w drugiej połowie r. 1039 zabiegali o powrót Kazimierza. Tę datę przyjmuję na tej podstawie, że pomoc ofiarował Kazimierzowi cesarz Henryk III, a jego poprzednik Konrad zmarł dopiero 4 VI 1039 r.

Jeszcze uwaga na temat imiennictwa: używam imienia Mojsław zamiast przyjętego, a zwłaszcza spopularyzowanego powieścią Kraszewskiego, Masława. Nie ma to nic wspólnego z masłem, jest to zepsuta w łacińskim tekście lekcja „Masiaus”,

„Maeclaus". Jedyne nie zepsute przekaz w słowiańskim języku
znajduje się u Nestora i brzmi Mojsław.

Karol Bunach

Obwolutę i tłoczenie projektował

JANUSZ BRUCHNALSKI

Redaktor

IRENA SMORAĞ

Redaktor techniczny

MAŁGORZATA KWIECIEN-SZCZUDŁOWA

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978

Wyd. I. Nakład 50 000 + 283 egz.

Ark. wyd. 20,3. Ark. druk. 25,75

Papier druk. mat. M. III, Si X 104 cm, 70 g

Oddano do składania 15 V 1975

Podpisano do druku 15 I 1976

Druk ukończono w styczniu 1976

Żarn. nr 1523/75. Z-18-130. Cena zł 50.—

Drukarnia Wydawnicza, Kraków, ul. Wadowicka S